

Tom Clancy

SUMA WSZYSTKICH STRACHÓW

TOM 1

(Przełożył: Piotr Siemion)

*Jeśli posadzić przy jednym stole najodważniejszego
marynarza, najbardziej nieustraszonego lotnika
i najmężniejszego żołnierza - cóż ujrzymy? Jak się sumuje
ich strach.*

Winston Churchill

*Dwaj adwersarze wytoczyli swoje wojska na błonia Camlan,
by wszcząć rokowania. Obie strony były uzbrojone po zęby,
obie też podejrzewały skrycie, że przeciwnik zechce
spróbować jakiejś sztuczki albo fortelu. Rokowania
postępowały wyśmienicie, gdy naraz jednego z rycerzy
ukąsiła żmija. Rycerz wyszarpnął miecz, by zabić gada.
Na widok obnażonego ostrza, inni rycerze runęli na siebie,
wszczynając straszliwą rzeź-
Kronikarz (...) uściśla, iż rzeź okazała się szczególnie
krwawa dlatego, że do bitwy doszło przypadkiem, a tym
samym nikt nie zdążył się do niej przygotować.*

Herman Kahn, "O wojnie termojądrowej"

Prolog

ZŁAMANA STRZAŁA

“Jako wilk na owczarnię...” - powtarzali później w nieskończoność komentatorzy, którzy uznali, że sławny wers lorda Byrona najtrafniej oddaje atmosferę syryjskiej ofensywy na bronione przez Izrael Wzgórza Golan o godzinie czternastej czasu miejscowego, szóstego października tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku. Nie ulega także wątpliwości, że takim właśnie obrazem delectowali się w myślach co bardziej poetycko nastawieni dowódcy syryjscy, dopracowując szczegóły operacji, w czasie której na pozycje izraelskie rzucić mieli taką liczbę czołgów i artylerii, o jakiej się nie śniło najbardziej chętnym generałom pancernych dywizji Hitlera.

Tak się jednak złożyło, że owieczki, na które w ów ponury październikowy dzień skoczyła armia syryjska, bardziej przypominały dzikie muflony podczas jesiennej rui niż jagniątko opisywane w bukolicznej poezji. Dwie trzymające Wzgórza Golan brygady izraelskie stanowiły doborowe jednostki. Mimo dziewięciokrotnej przewagi przeciwnika, Siódma Brygada nie drgnęła nawet i utrzymała północną część Golanu, dzięki swojej sieci umocnień, umiejętnie wiążącej sztywność obrony z manewrowością. Poszczególne gniazda oporu broniły się zajadle, spychając natarcie Syryjczyków w wąskie skalne doliny, gdzie napastnik trafiał pod ogień manewrujących izraelskich czołgów, czuwających dotąd w zasadzce za Fioletową Linią. Kiedy drugiego dnia nadciągnęły posiłki, obrońcy nadal panowali nad sytuacją, chociaż wciąż groziła wymknięciem się spod kontroli. Po czterech dniach walk z Siódmą Brygadą, syryjska armia pancerna dymiła na pobojowisku, nie zdoławszy sforsować izraelskiej obrony.

Brygada “Barah” (czyli “Grom”), broniąca południowej części Wzgórz Golan, nie miała jednak aż tyle szczęścia. Teren dawał tu mniej szans na skuteczną obronę, a dowództwo syryjskie wykazało większy talent. W ciągu kilku godzin obrona “Gromu” rozpadła się na kilka części. Wprawdzie każda z izolowanych grup okazała się groźniejsza niż gniazdo żmij, lecz syryjskie zagony pancerne natychmiast runęły w powstałe luki, kierując się w stronę strategicznego celu, za który obrano Jezioro Galilejskie. Bitwa, jaka się wywiązała w ciągu następnych trzydziestu sześciu godzin, stanowiła dla armii izraelskiej najcięższą próbę od czasu wojny w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku.

Drugi rzut zaczął wzmacniać obronę dopiero nazajutrz. Odwody musiano kierować w rejon walk w sposób rozdrobniony, zatykając dziury, blokując szosy czy wręcz zagradzając drogę własnym oddziałom, które załamały się w ogniu walki i po raz pierwszy w historii Izraela ruszyły do ucieczki pod naciskiem arabskiego natarcia. Dopiero na trzeci dzień Izrael zdołał skupić siły w pancerną pięść i najpierw otoczono, a potem zdruzgotano wojska syryjskie, które dokonały tak głębokiego przełamania. Rozjuszeni żołnierze izraelscy bez chwili zwłoki przeszli do kontrnatarcia, odrzucając Syryjczyków w stronę ich stolicy i zmuszając do poddania się na równinie pełnej spalonych czołgów i przerażonych mężczyzn. Gdy zapadał zmierzch, szturmowcy z obu brygad usłyszeli w radiostacjach skierowany do nich komunikat najwyższego dowództwa Sił Zbrojnych Izraela:

OCALILIŚCIE NARÓD IZRAELSKI.

Tak było w istocie. Mimo to jednak poza Izraelem, nawet w szkołach, w których wykłada się sztukę wojskową, mało kto pamięta o tamtej epickiej bitwie. Podobnie jak podczas wojny sześciodniowej w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym roku, całą uwagę i podziw świata

skupiły na sobie spektakularne działania wojskowe na Synaju: forsowanie Kanału Sueskiego, bitwa o "Chiński Folwark" czy okrążenie egipskiej Trzeciej Armii. Może to dziwić, zważywszy straszliwe ewentualne skutki walk o Golan, u samych bram Izraela. Ci żołnierze Siódmej Brygady i brygady "Grom", którzy przeżyli wojnę, zdawali sobie jednak sprawę ze swoich zasług, a oficerowie obu jednostek mogli pocieszać się myślą, że miara talentu i odwagi, jakiej wymagała bitwa o Wzgórza, stawia ich na równi z obrońcami Termopili, Bastogne i Gloucester Hill.

Każda wojna zna ironiczne zrządzania losu, a wojna październikowa nie stanowi wyjątku. Jak często bywa podczas heroicznej obrony, poświęcenie żołnierzy i tym razem okazało się niepotrzebne; czy raczej, nie byłoby potrzebne, gdyby wywiad izraelski właściwie odczytał doniesienia z Syrii. Gdyby nie pomyłka sztabu, dwanaście godzin przed atakiem wcielono by w życie gotowe plany, w porę wzmacniając odwodami linię obrony na Wzgórzach Golan. Przy takim obrocie sprawy, nie doszłoby po prostu do heroicznej obrony pozycji, i nie musiałoby zginąć tylu czołgistów i piechurów. Ich liczba była tak wielka, że dopiero po kilku tygodniach ujawniono straty własne dumnemu lecz dotkliwie zranionemu narodowi. Gdyby zareagowano wcześniej na doniesienia, masakra dosięgłaby Syryjczyków daleko przed Fioletową Linią, i nie pomogłaby im w niczym ogromna kolekcja radzieckich czołgów i armat; trudno zaś byłoby sławić pamięć masakry. Nigdy nie udało się przy tym wyjaśnić do końca, dlaczego zawiodło wówczas rozpoznanie sytuacji. Czy osławiony Mossad nie zdołał zorientować się w arabskim planie? Czy też może izraelscy politycy nie potrafili skorzystać z otrzymanego ostrzeżenia? Kwestią tą wkrótce zajęła się, oczywiście, prasa całego świata, rozpisując się jednak głównie na temat zaskakującego ataku wojsk egipskich i przerwania przez nie okrzyczanej linii Bar-Lewa podczas forsowania Kanału Sueskiego.

Równie poważny, lecz mniej widoczny okazał się tu zasadniczy błąd popełniony kilka lat wcześniej przez tak zwykle wszechwiedzący sztab generalny Izraela. Mimo znakomitego wyposażenia w działa, izraelskie wojsko nie miało w swoim składzie zbyt wiele artylerii raketowej, szczególnie z punktu widzenia radzieckiej doktryny wojennej. Zamiast polegać na skoncentrowanych ugrupowaniach ruchomej artylerii polowej, Izraelczycy zdali się prawie całkowicie na moździerze, których duża liczba nie kompensowała niewielkiego zasięgu, a także na lotnictwo wsparcia taktycznego. Skutek był taki, że podczas walk o Golan na jedno izraelskie działo przypadało dwanaście luf syryjskich, a na baterie izraelskie spadała lawina ognia nie pozwalająca skutecznie wspierać własnej, słabnącej obrony. Błąd ten kosztował Izrael życie wielu żołnierzy.

Jak bywa z większością zgubnych błędów, także w opisywanej tu historii zawinili ludzie inteligentni i działający w najszlachetniejszych zamiarach. Te same myśliwce bombardujące, które atakowały Golan, ponad godzinę później potrafiły już siec ognistym deszczem okolice Suezu. Izraelskie siły powietrzne były bowiem pierwszą flotą lotniczą świata, w której zajęto się "martwym czasem" między kolejnymi lotami bojowymi. Obsługa naziemna ćwiczyła się więc w swoich działaniach dokładnie w ten sam sposób jak mechanicy samochodów wyścigowych, a jej szybkość i umiejętności podwajały w efekcie skuteczność bojową każdej maszyny, dzięki czemu lotnictwo izraelskie zyskało na elastyczności i sile rażenia. Nic dziwnego, że jeden phantom i skykawk wydawał się sztabowcom bardziej godny uwagi niż tuzin haubic samobieżnych.

Izraelscy sztabowcy odpowiedzialni za plan operacyjny zapomnieli jednak wziąć pod uwagę, że Arabowie zostali uzbrojeni przez Moskwę, a co za tym idzie, przejęli także radziecką myśl taktyczną. ZSRR, który liczył się zawsze z perspektywą zmagania z lotnictwem NATO, niewątpliwie lepszym od radzieckiego, wcześniej skupił wysiłki konstruktorów na raketach ziemia-powietrze (SAM), dzięki czemu modele radzieckie uznawano tradycyjnie za najlepsze na świecie. Nie kto inny, jak rosyjscy sztabowcy potraktowali więc zbliżającą się wojnę październikową jako wspianą szansę do

wypróbowania najnowszej uzbrojenia i doktryny taktycznej. Okazji rzeczywiście nie przegapiono: arabscy klienci otrzymali od radzieckich dostawców sieć obrony przeciwlotniczej, o jakiej nie mogło się w tamtych czasach nawet śnić wojskom Północnego Wietnamu czy krajów Układu Warszawskiego. Arabowie dysponowali nieprzebitym murem powiązanych ze sobą baterii rakiet przeciwlotniczych i stacji radarowych, dyslokowanych w głębi teatru działań. Pancernym zagonom towarzyszyły tymczasem samobieżne wyrzutnie rakiet przeciwlotniczych, dzięki czemu strefę aktywnej obrony przed samolotami rozciągnięto nad pierwszą linią atakujących wojsk. Oficerowie i żołnierze, którzy mieli obsługiwać nowy sprzęt, zostali starannie wyszkoleni, częściowo w samym ZSRR, a na dodatek mieli okazję w pełni skorzystać z wiedzy, jaką Rosjanie i Wietnamczycy zdobyli na temat amerykańskiej techniki wojennej i taktyki, przejętej od USA, jak można było oczekiwać, także przez armię izraelską. Spośród wszystkich arabskich uczestników wojny październikowej, jedynie wojska przeciwlotnicze osiągnęły zakładany cel, gdyż przez dwa dni skutecznie neutralizowały działania lotnictwa Izraela. Gdyby zaś działania lądowe potoczyły się zgodnie z planem, dwa dni zupełnie by wystarczyły.

Tu właśnie rozpoczyna się na dobre niniejsza opowieść. Sytuację na Wzgórzach Golan bardzo prędko oceniono jako poważną. Z rozproszonych i niedokładnych informacji, jakie docierały z oszołomionych sztabów obu brygad, dowództwo izraelskie wyciągnęło wnioski, że działania wymknęły się spod kontroli. Wyglądało na to, że najstraszliwszy koszmar staje się rzeczywistością: armia została kompletnie zaskoczona atakiem, a przeciwnik zaczyna zagrażać kibucem na północy kraju. W izraelskich cywilów i dzieci mierzyły już lufy syryjskich czołgów, które lada chwila miały stoczyć się z Golami na równinę. Pierwsza reakcja sztabowych oficerów operacyjnych przypominała więc zwyczajną panikę. Wytrawni oficerowie operacyjni potrafią jednak uwzględnić w swoich planach nawet panikę. Dla narodu, któremu wrogowie otwarcie poprzysięgli fizyczną zagładę, nie istnieją zbyt ostre czy niedopuszczalne metody obrony. Jeszcze w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku Izrael, podobnie jak jego sojusznicy z USA i z innych państw NATO, oparł swój generalny plan obronny na opcji nuklearnej. Siódmego października o trzeciej pięćdziesiąt pięć nad ranem czasu lokalnego, zaledwie w czternaście godzin po rozpoczęciu się walk, izraelska baza lotnicza pod Beer Szewą otrzymała teleksem rozkaz podjęcia przygotowań do planu JOZUE.

Izrael nie miał w tamtym czasie zbyt wielu bomb jądrowych - i po dziś dzień zaprzecza, jakoby w ogóle dysponował bronią nuklearną. Inna sprawa, że gdyby doszło już do użycia tej broni, liczba bomb miałaby znacznie drugorzędne. W jednym z wielu podziemnych bunkrów amunicyjnych w Beer Szewie znajdowało się dwanaście dość zwyczajnych przedmiotów, które od innych bomb i zasobników, podwieszanych pod skrzydłami samolotów szturmowych, różniły się na oko jedynie rzędem srebrno-czerwonych pasków wzdłuż boku. Bomby nie miały stateczników, a ich kadłuby z oksydowanego na brązowo, polerowanego aluminium, z kilkoma ledwo widocznymi szwami i zaczepami, wyglądały całkiem zwyczajnie. Były takie nie bez powodu. Przypadkowy czy nie wtajemniczony obserwator łatwo mógł uznać przedmioty za zapasowe zbiorniki paliwa albo zasobniki z napalmem i niewątpliwie nie poświęciłby im wiele uwagi. Każdy z obłych kształtów był jednak bombą atomową z ładunkiem plutonu o mocy sześćdziesięciu kiloton, zupełnie wystarczającym, by wykroić serce dużemu miastu, uśmiercić tysiące żołnierzy w otwartym terenie, albo też, po doczepieniu do zewnętrznej powłoki bomby pancerza z kobaltu, śmiertelnie skazić teren dla wszelkich form życia na długie lata.

Tej nocy w bazie Beer Szewa panował wściekły ruch. Przez bramy napływali wciąż nowi rezerwiści z całego niewielkiego kraju, poprzedniego dnia oderwani przez wojnę od obrządków religijnych i rodzinnych wizyt. Ci żołnierze, których wojna zaskoczyła na służbie, padali z nóg,

wyczerpani trwającym od kilkunastu godzin, niebezpiecznym zajęciem, jakim jest podwieszanie bomb i rakiet pod samolot. Nawet nowo przybyłym nie dane było pospać. Jedna z drużyn technicznych (której ze względu na bezpieczeństwo nie wyjawiono charakteru zadania), uzbrajała właśnie w bomby atomowe klucz myśliwców bombardujących typu A-4 Skyhawk, obserwowana czujnie przez dwóch oficerów, zwanych "nadzorcami". Ich rola istotnie polegała na nadzorowaniu wszystkich, najmniejszych nawet szczegółów manipulacji przy broni jądrowej. Niskie wózki z bombami podtoczono pod centralny zaczep każdego z czterech samolotów, po czym podniesiono kadłuby na wysięgnikach i zatrzaśnięto zamki bombowe. Mniej wyczerpani z techników mogli się zorientować, że bombom brakuje jeszcze zapalników i stateczników, a skoro tak, to widocznie spóźnia się oficer odpowiedzialny za uzbrojenie ładunków, zresztą nic dziwnego, bo tego pamiętnego świtu spóźniali się wszyscy i wszystko. W dziobie każdej bomby znajdował się układ elektroniczny, za którym umieszczono już odpowiednio wcześniej ładunek wybuchowy i kapsułę z materiałem rozszczepialnym, zwane łącznie po prostu "pakietem fizycznym". W odróżnieniu od broni amerykańskiej, izraelskie bomby atomowe nie były przenoszone przez dyżurujące samoloty w okresie pokoju, a co za tym idzie, brakowało im skomplikowanych zabezpieczeń, w jakie wyposażali amerykańskie ładunki pracownicy zakładów nuklearnych Pantex niedaleko miasta Amarillo w Teksasie. Detonator izraelskich bomb składał się z dwóch części, z których jedną mocowano w przedniej części pocisku, a drugą przykręcano wraz ze statecznikami ogonowymi. Części detonatorów przechowywano w innym miejscu niż główne ładunki Izraelskie bomby były nader prymitywne w porównaniu z bronią amerykańską czy radziecką, co jednak o niczym jeszcze nie świadczy, bo pistolet, choć jest prymitywniejszy od karabinu maszynowego, z bliskiej odległości zabija równie skutecznie.

Kiedy zainstalowano już i uaktywniono detonatory dziobowe i ogonowe, pozostało jeszcze umieścić w kabine każdego myśliwca specjalną tablicę przyrządów i przyłączyć do bomby kabel elektryczny z kadłuba samolotu. Od tej chwili ładunki były "sterowane miejscowo", czyli powierzone pieczy młodych, agresywnych pilotów, którzy mieli je zrzucić przy zastosowaniu manewru, zwanego "pętlą kretyna". Wskutek tej akrobacji, bomba zaczynała szyć po krzywej balistycznej, a pilot po zwolnieniu zamków mógł próbować wyprowadzić maszynę z pola rażenia eksplozji nuklearnej.

W zależności od sytuacji, i po zezwoleniu "nadzorców", główny oficer do spraw uzbrojenia w Beer Szewie mógł zamocować w bombach detonatory. Na szczęście właściwy oficer nie palił się wcale do tego, żeby trzymać rząd uzbrojonych "atomówek" na pasie startowym, na który pech mógł w każdej chwili zesłać arabskie bomby. Oficer był ponadto osobą religijną i choć w tamten posepny, zimny świt nad jego krajem zawisła wielka groźba, po cichu odmówił dziękczynną modlitwę, kiedy w Tel Awiwie przeważał rozsądek i odwołano plan JOZUE. Grupa doświadczonych pilotów, mających prowadzić maszyny, powróciła do sali odpraw dywizjonu, gdzie kazano jej zapomnieć o planowanej akcji. Oficer do spraw uzbrojenia natychmiast rozkazał odczepić bomby i umieścić je z powrotem w bunkrze.

Kiedy zziębnieli jak psy żołnierze z drużyny obsługi zaczęli odpinać bomby z zamków, druga drużyna podtoczyła nowe wózki, by przezbroić skyhawki, tym razem w zasobniki z rakietami Zuni. Piloci otrzymali tymczasem nowe rozkazy. Kierunek Wzgórza Golan. Uderzyć na syryjskie kolumny pancerne nacierające w sektorze Fioletowej Linii brygady "Grom" z kierunku Kafr Szams. Technicy z obu drużyn potracali się nawzajem pod samolotami, próbując robić swoje. Jednocześnie zdejmowali bomby, które nie były wcale zwykłymi bombami, i podwieszali pod skrzydłami metalowe kasety pełne rakiet Zuni.

Oczywiście na lotnisku w Beer Szewie znajdowało się dużo więcej samolotów. Powracała właśnie grupa wysłana o pierwszym brzasku nad Suez; a raczej, powracały jej resztki. Arabowie zestrzelili maszynę zwiadu elektronicznego typu Phantom RF-4C, a towarzyszący jej myśliwiec F4-E ledwo się dowlókł do bazy na jednym silniku, roniąc paliwo z podziurawionych zbiorników w skrzydłach. Pilot przekazał już drogą radiową ostrzeżenie przed nowymi raketami ziemia-powietrze, być może właśnie tymi SA-6, przed którymi ostrzegał wywiad. System wykrywania na pokładzie phantoma w ogóle nie zarejestrował wiązki fal radarowych naprowadzających raketę na cel. Maszyna rozpoznawcza została trafiona bez ostrzeżenia, a pilotowi myśliwca tylko dzięki szczęściu udało się umknąć czterem wycelowanym w niego innym raketom. Zanim uszkodzony myśliwiec chwiejnie dotknął betonu, wiadomość została błyskawicznie przekazana do dowództwa wojsk lotniczych. Maszynę poprowadzono daleko na koniec lądowiska, w pobliże miejsca, gdzie stały cztery skyhawkki. Pilot pokołował w ślad za prowadzącym go gazikiem w stronę czekających wozów strażackich, lecz zaledwie zdążył się zatrzymać, wystrzeliła mu opona. Uszkodzona goleń podwozia również ustąpiła, a dwudziestotonowy myśliwiec rąbnął w beton pasa startowego jak kufer pełen zastawy stołowej. Natychmiast zapaliło się ciekące paliwo, a płomień, choć niewielki, ogarnął cały samolot. Strażacy podbiegali już pod osłonę mgły wodnej z hydrantu, a dwaj "nadzorcy", ponieważ stali najbliżej, rzucili się wyciągać obu pilotów z płonącej kabiny. Kiedy wynosili pierwszego, w całą grupę trysnęły odłamki eksplodującej w ogniu amunicji. Jeden ze strażaków odważnie rzucił się w ogień i wyniósł drugiego członka załogi, poparzonego lecz żywego. Reszta strażaków otoczyła "nadzorców" i uratowanego przez nich pilota, po czym załadowała ich okrwawione ciała do sanitarki.

Szalejący tuż obok pożar odwrócił uwagę obsługi uwijającej się pod skyhawkami. Jedna z bomb, podwieszona pod maszyną numer trzy, odpadła od zamka ułamek sekundy za wcześnie, zgniatając nogi stojącemu przy dźwigu szefowi drużyny. Wśród krzyku i zamieszania żołnierze stracili rachubę. Zanim ranny szef znalazł się w lotniskowym szpitalu, a trzy odczepione bomby odtoczono na wózkach z powrotem do bunkra, w obliczu kompletnego chaosu, zwyczajnego w bazie lotniczej w pierwszej dobie prawdziwej wojny, nikt nie zwrócił uwagi na pustą kołyskę bombową na czwartym wózku. Minutę później do maszyn podjechali oficerowie techniczni, by dokonać przyspieszonej kontroli przed lotem. Od strony baraku załóg nadjeżdżał już łązik, z którego zeskoczyło czterech pilotów, każdy z mapą i hełmem w rękę, każdy rwący się do zemsty na wrogach swojego kraju.

- A to, co za diabeł? - warknął osiemnastoletni porucznik Mordechaj Zadin, chudy i niezgrabny, jak to w tym wieku. Koledzy nazywali go Motti.

- Na mój rozum zbiornik paliwa - odpowiedział mu jeden z mechaników, sympatyczny pięćdziesięcioletni rezerwista, w cywilu właściciel warsztatu samochodowego w Hajfie.

- Sram na paliwo! - odkrzyknął pilot, prawie trzęsąc się z podniecenia. - Do Golan i z powrotem nie potrzebuję zapasu!

- Mogę ci go zdjąć, ale to potrwa parę minut.

Motti zastanowił się przez chwilę. Pilotem został pięć miesięcy wcześniej, a urodził się w kibucu na północy, czyli był Sabrą, rodowitym Izraelczykiem. Patrzył teraz, jak trójka pozostałych pilotów zapina pasy. Syryjczycy atakowali domostwo jego rodziców! Naraz przejął go starach, że spóźni się na swój pierwszy lot bojowy.

- A, pierdołę! Zdejmiesz zbiornik, jak wrócę. - Zadin odwrócił się i błyskawicznie wspiał po drabince. Technik podążył za nim, pomógł mu zapiąć uprząż i ponad ramieniem pilota zerknął na tablicę przyrządów.

- Wszystko gra, Motti! Lataj powoli!

- Przygotuj mi herbaty, jak wrócę - Pilot uśmiechnął się z brawurą właściwą tylko młodzikom.

Technik klepnął go w wierzch hełmu.

- Pewnie, doprowadź mi tylko z powrotem maszynę, męczkin. Mazeł tow!

Mechanik zeskoczył na pas i odstawił drabinkę. Następnie obejrzał jeszcze samolot z zewnątrz, na wszelki wypadek, a Motti zapuścił turbinę, sprawdził działanie sterów i dodał gazu, kontrolując liczniki paliwa i temperatury silnika. Wyglądało, że wszystko jest w porządku. Motti podniósł głowę i dał dowódcy klucza znak, że jest gotowy, a potem ręką opuścił owiewkę, ostatni raz spojrzął na szefa mechaników i dziarsko zasalutował mu na pożegnanie.

Jako osiemnastolatek, Motti Zadin nie był wcale najmłodszym pilotem izraelskiego lotnictwa. Wybrano go ze względu na błyskawiczny refleks i chłopacką agresywność dobre cztery lata wcześniej. Od tamtej pory musiał zajadłe walczyć o miejsce w najlepszym lotnictwie wojskowym świata. Motti uwielbiał latanie, pilotem pragnął zostać od chwili, kiedy jako berbecę oglądał treningowe maszyny Bf-109, które ironiczny los zesłał Izraelowi jako zaczątek floty powietrznej. Motti uwielbiał swojego skyhawk, głównie dlatego, że pilot musiał w nim polegać głównie na sobie, zamiast powozić elektronicznym monstrum w rodzaju phantoma. Skyhawk A-4 były małe i zwinne jak drapieżne ptaki, a przy tym posłuszne najlżejszemu ruchowi ręki na drążku. Nareszcie lot bojowy. Motti nie bał się zupełnie. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że może stracić życie: jak każdy nastolatek, był przeświadczony o swojej nieśmiertelności. Prócz tego pilotów wojskowych dobiera się pod kątem braku zwykłych ludzkich słabości. Mimo to Motti Zadin z drżeniem wyczekiwał dzisiejszego dnia. Nigdy jeszcze świt nie wydawał mu się tak piękny. Wszystko odbierał nadzwyczaj wyraźne, wszystko trafiało wprost do świadomości: mocna poranna kawa, zapach pyłu w porannym powietrzu nad Beer Szewą, a teraz męskie zapachy skóry i oleju w kabinie, trzaski w słuchawkach radiowych i swędzenie dłoni na drążku sterowym. Motti Zadin nie przeżył jeszcze podobnego dnia; nie przyszło mu też do głowy, że może to być dla niego dzień ostatni.

Cztery maszyny w doskonałym porządku pokołowały na początek pasa numer jeden. Start prosto na północ, w stronę wroga czekającego o piętnaście minut lotu stąd, stanowił dobry omen. Na rozkaz dowódcy klucza, który sam liczył sobie raptem dwadzieścia jeden wiosen, każdy z pilotów popchnął drążek jak najdalej od siebie, zwolnił hamulce i runął naprzód w zimny poranny przestwór. Po kilku sekundach klucz oderwał się od pasa i zaczął wspinać się na pułap tysiąca dwustu metrów, uważając na cywilne samoloty pasażerskie z międzynarodowego lotniska Ben Guriona, wciąż latające w najlepsze, pomimo wojny - jak to na Bliskim Wschodzie.

Kapitan wydał serię krótkich rozkazów, zupełnie tak samo, jak podczas lotów ćwiczebnych: wyrównać lot, sprawdzić silnik, uzbrojenie, instalację elektryczną. Rozglądać się za migami i za naszymi. Upewnić się, że identyfikator "swoj-obcy" (IFF) mruga na zielono. Piętnaście minut lotu z Beer Szewy na Wzgórza Golan minęło bardzo prędko. Motti Zadin wytrzeszczał oczy, chcąc dostrzec wulkaniczną skarpe, pod którą ledwo sześć lat wcześniej zginął jego starszy brat, odbijając ją z rąk Syryjczyków. Syryjczycy już jej nie dostaną, pomyślał młodzieniec.

- Uwaga klucz: zwrot w prawo, kurs zero cztery trzy. Cel: kolumny pancerne cztery kilometry na wschód od linii. Uważać na rakiety i ogień z ziemi.

- Czwarty do prowadzącego - zameldował chłodnym głosem Motti. - Trzy w lewo czołgi. Wyglądają na nasze centuriony.

- Masz dobre oczy, czwarty - potwierdził dowódca klucza. - To nasze.

- Mam alarm na przyrządach. Alarm, rakiet! - rozległ się inny głos.

Piloci zaczęli przepatrywać niebo.

- Kurwa, mam! - rozległ się następny podniecony głos. – Rakiety nisko na wprost, wspinają się!
- Widzę! Klucz, rozsypać się w lewo i w prawo, JUŻ! - rozkazał kapitan.

Klucz rozdzielił się na pary. Kilka kilometrów w przodzie wspinał się w niebo tuzin rakiet SA-2, podobnych do słupów telegraficznych wzlatujących z trzykrotną prędkością dźwięku. Rakiety także rozbiły się na dwie grupy, lecz uczyniły to niezdarnie, a dwie zderzyły się i eksplodowały w powietrzu. Motti położył maszynę na prawy bok i przyciągnął drążek sterowniczy do brzucha, nurkując w stronę ziemi i przeklinając zbyteczny ciężar pod skrzydłem. Dobra, raketom nie udało się nadażyć za ich manewrem. Wyrównał lot kilkadziesiąt metrów nad skałami, wciąż z prędkością osiemset na godzinę zmierzając w stronę pozycji syryjskich. Niebo trzęsło się, kiedy przelatywał nad wiwatującymi, obłożonymi żołnierzami brygady "Grom".

Z taktycznego punktu widzenia nalot rozproszoną formacją stanowił fuszerkę. Motti sam już się w tym zorientował. Nieważne, byle ustrzelić parę syryjskich czołgów! Nieważne też, kto w nich siedzi, ważne, że syryjskie! Obok siebie pilot ujrzał innego A-4 i skręcił w jego stronę w chwili, gdy drugi Izraelczyk przeszedł do ataku. Motti spojrzął przed siebie i ujrzał wreszcie kopulaste wieże syryjskich T-62. Na ślepo przełączył kontakty, uzbrajając rakiety. Z przodu kabiny podniósł się jednocześnie celownik odbłaskowy.

- Uwaga na ziemię, następne SAM-y! - Głos kapitana wciąż był spokojny.

Mottiemu zamarło serce: nad skałami mknął w jego stronę rój rakiet ziemia-powietrze, tym razem mniejszych. Czy to te SA-6, przed którymi nas ostrzegano? - przemknęło mu przez głowę. Jeden rzut oka na elektroniczny system ostrzegania upewnił go, że przyrządy nie wykryły tych nadlatujących rakiet. Mógł teraz liczyć jedynie na własne oczy. Motti instynktownie poderwał maszynę znad ziemi, szukając w górze swobody manewru. Za nim pomknęły cztery rakiety, odległe o trzy kilometry, Uskoczył w prawo, zszedł spiralą w dół i zawrócił w lewo. Zgubił trzy lecące z tyłu SAM-y, ale czwarty pocisk nadal go ścigał. Sekundę później rakiet eksplodowała zaledwie trzydzieści metrów od samolotu.

Skyhawk zakołysał się, odrzucony o dziesięć metrów w bok jakby potężnym kopniakiem. Motti szarpnął za stery, wyrównując lot tuż nad skałami. Widok, jaki następnie ujrzał, zmroził go: całe płaty lewego skrzydła wisały w strzępach, brzęczyki w hełmie i lampki alarmowe na tablicy informowały o katastrofalnej skali uszkodzeń. Płyn hydrauliczny na zerze, radio wysiadło, generator martwy. Skyhawk słuchał się jednak ręcznych sterów, a rakiety można było odpalić za pomocą zapasowego akumulatora. W tejże chwili Motti dostrzegł swoich prześladowców - baterię rakiet przeciwlotniczych SA-6, czyli Kufrów, cztery gąsienicowe wyrzutnie, jeden gąsienicowy wóz z wielopasmowym radarem, a obok wielką ciężarówkę zapasowych rakiet, zaledwie cztery kilometry przed nim. Orlim wzrokiem pilot umiał nawet dostrzec syryjską obsługę, zmagającą się z rakieta ładowaną na prowadnicę wyrzutni.

Syryjczycy także go dostrzegli. Rozpoczął się pojedynek, który choć krótki, nie był przez to wcale mniej epokowy.

Motti obniżył lot na tyle, na ile się tylko odważył, mając uszkodzone stery i starannie nakierował celownik. W zasobnikach miał czterdzieści osiem rakiet Zuni, wystrzeliwanych salwami po cztery. Rozpoczął ogień z odległości dwóch kilometrów. Syryjskiej obsłudze udało się jakimś cudem wypuścić w jego stronę kolejnego SAM-a. Nie było szans na ucieczkę, lecz na szczęście któraś z rakiet Zuni, przelatując uruchomiła radarowy zapalnik odległościowy syryjskiej rakiety. SAM eksplodował bez szkody pół kilometra przed samolotem. Motti zaśmiał się dziko pod maską tlenową, dołączając teraz do kolejnych rakiet salwą z dwudziestomilimetrowego działka i puszczając ją w splątana masę ludzi i pojazdów.

W baterię uderzyła trzecia salwa zuni, a po niej czwarta. Zadin napał na ster, chcąc umieścić w celu cały zapas amunicji. Bateria syryjska zmieniła się w piekło płonącej ropy, paliwa raketowego i eksplodujących głowic. Przed samolotem wykwitł potężny ognisty grzyb, a Motti, przelatując przez chmurę, wydał z siebie okrzyk triumfu. Oto zdruzgotał wrogów, oto pomścił przyjaciół!

Upojenie zwycięstwem nie trwało długo. Powietrze, przez które skyhawk rwał nadal z prędkością ośmiuset kilometrów na godzinę, zrywało z lewego skrzydła wciąż nowe płyty aluminium. Samolotem zaczęło dziko szarpać. Gdy Motti pochylił się w skřęcie, zawracając do bazy, lewe skrzydło oderwało się zupełnie, a skyhawk rozpadł się w locie. W ułamku sekundy nastoletni wojownik roztrzaskał się o bazaltowe skały Wzgórz Golan; nie pierwszy i nie ostatni, który na nich spoczął. Akcji nie przeżył ani jeden z czterech pilotów klucza.

Niewiele zostało także z syryjskiej baterii raketowej. Wybuchy rozszarpały wszystkie sześć pojazdów na strzępy. Wśród zwłok dziewięćdziesięciu żołnierzy obsługi najlepiej zachowanym fragmentem był tors dowódcy. Zarówno dowódca, jak i Motti Zadin dobrze służyli ojczyźnie, ale jak to bywa, czyny, które przy innej okazji mogłyby natchnąć pióro Wergiliusza albo Tennysona, i tym razem przepadły dla ludzkiej pamięci. Trzy dni później matka Mottiego otrzymała telegram, informujący ją, że cały Izrael łączy się z nią w bólu; jak gdyby postronni ludzie mogli czuć to samo, co kobieta, która utraciła dwóch synów.

Do niniejszego, zaginionego fragmentu historii trzeba jeszcze dodać, że nie uzbrojona bomba oderwała się od rozsypującego się w powietrzu samolotu i zboczyła na wschód, spadając daleko od kadłuba skyhawk, za to zaledwie pięćdziesiąt metrów od domostwa druzyjskiego wieśniaka. Dopiero trzy dni później Izraelczycy zorientowali się, że bomba zniknęła. Tuż po zakończeniu wojny październikowej zdołali odtworzyć scenariusz jej zaginięcia. Stanęli wobec zagadki, przed którą kapitulowały najtęższe głowy. Bomba znajdowała się gdzieś za liniami syryjskimi - lecz w którym dokładnie miejscu? Który z czterech samolotów miał ją pod kadłubem? Gdzie się roztrzaskał? Prośenie Syryjczyków o pomoc w poszukiwaniach oczywiście nie wchodziło w grę. Izrael nie mógł też powiadomić o wszystkim Amerykanów, gdyż od nich po kryjomu i cichaczem otrzymał "specjalne materiały promieniotwórcze".

Bomba spoczywała więc w zapomnieniu. Wiedział o niej jedynie druzyjski wieśniak, który najzwyczajniej w świecie zasypał lej dwumetrową warstwą ziemi i w najlepsze uprawiał swój spłacheć skalistego gruntu.

1

NAJDŁUŻSZA PODRÓŻ...

Arnold Van Damm klapnął na swój obrotowy dyrektorski fotel z gracją szmacianej lalki, ciśniętej w kąt pokoju. Jack Ryan nie przypominał sobie, by Arnold kiedykolwiek występował w marynarce, chyba że w obecności prezydenta, a i wówczas nie było to wcale regułą. Jack był przekonany, że przed każdym oficjalnym bankietem, z tych, na które trzeba chodzić w smokingu i muszce, Arnie ubierał się pod lufą przybocznego agenta z Tajnej Służby. Krawat, który dyndał luźno pod rozpiętym kołnierzykiem, chyba ani razu nie miał okazji podjechać do samej góry. Rękawy koszuli w niebieskie pasy, koszuli z wysyłkowego magazynu L.L. Bean, były podwinięte i wyszmelcowane na łokciach na czarno, jako że Arnie zwykł czytywać dokumenty państwowe

zgarbiony i z łokciami opartymi na blacie nigdy niesprzątanego biurka. Dyrektor nie garbił się tylko podczas rozmów; przeciwnie, jeżeli temat był ważny, rozwalał się w fotelu i opierał nogi o szufladę. Arnie Van Damm zaledwie przekroczył pięćdziesiątkę, miał rzadziejące siwe włosy, a twarz zmarszczoną i pooraną jak stara mapa, lecz z jego bladoniebieskich oczu nie zniknęło ożywienie, a myśl nieustannie krążyła wokół wszystkiego, co przynosił dzień, albo co dzień próbował przed nim ukryć. Taka właściwość bardzo się przydaje, kiedy się jest szefem sztabu Białego Domu.

Van Damm nalał dietetycznej coli do ogromnego kubka na kawę, z wizerunkiem Białego Domu na jednej stronie i imieniem "Arnie" na drugiej, po czym spojrzął na zastępcę dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej, trochę przyjacielsko, a trochę badawczo.

- Napijesz się?

- Jeśli mi znajdziesz prawdziwą colę, nie dietetyczną - Ryan uśmiechnął się szelmowsko. Lewa ręka Arniego zniknęła z blatu, po czym czerwona puszka rozpoczęła lot po krzywej balistycznej, kończącej się na podołku Jacka, który jednak złapał colę w powietrzu. Otwieranie potrząśniętej coli to kuszenie losu, lecz Jack manifestacyjnie skierował wierzch puszki w stronę Van Damma i pociągnął za blaszane kółko, myśląc zarazem, że choć nie wszyscy lubią Arniego, facet ma swój styl. Posada nie uderzała mu do głowy, nie licząc chwil, kiedy szefowi wygodnie było sprawiać takie wrażenie. Na pewno nie tym razem. Arnold Van Damm udawał ważniaka jedynie wobec obcych. W towarzystwie współpracowników nie musiał niczego udawać,

- Szef się wścieka i pyta, co się tam dzieje, do cholery - rozpoczął Van Damm.

- Ja też się pytam - przerwał mu Charles Alden, główny doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa, wchodząc do gabinetu. - Panowie, przepraszam za spóźnienie.

- I my się pytamy - odrzekł Jack. - Zupełnie tak samo, jak kilka lat temu. Powiedzieć wam, ile wiemy na pewno?

- Strzelaj - przynaglił Alden.

- Następnym razem, kiedy będziecie w Moskwie, rozejrzyjcie się za dużym białym królikiem w kamizelce i z zegarkiem. Nurkujcie za nim do króliczej nory, a jak wrócicie, sami opowiedzcie mi, coście znaleźli - rozpoczął Jack z udaną powagą. - Panowie, nie macie przed sobą kolejnego prawicowego idioty, który skamla, domagając się powrotu zimnej wojny, ale powiem wam, że wolałem dawne czasy, kiedy Rosjanie byli jeszcze obliczalni. Teraz się to wszystko u tych pacanów zmieniło, upodobniło bardziej do naszych porządków. Niczego nie sposób przewidzieć. Zabawna sprawa, ale nareszcie rozumiem, dlaczego zawsze tak wkurzaliśmy KGB. Sytuacja polityczna po tamtej stronie zmienia się z dnia na dzień. W kuluarach Narmonow to najzwinniejszy bokser na całym ringu polityki, ale ile razy wystąpi publicznie, zaczyna się nowy kryzys.

- Jaki jest ten facet? - zapytał Van Damm. - Powiedz, przecież się z nim spotykałeś. - W odróżnieniu od Aldena, Van Dammowi nie udało się dotąd poznać osobiście Narmonowa.

- Nie spotykałem, a tylko raz go spotkałem - sprostował Jack Ryan. Alden uśmiechnął się w fotelu i zauważył:

- Spokojnie, Jack, znamy twoją teczkę. Zarówno my, jak i prezydent. Do diabła, prawie udało mi się go przekonać, że jesteś wart szacunku. Dwie Gwiazdy Wywiadu na piersi, ta historia z okrętem podwodnym, a potem, Chryste Panie, afera z Gierasimowem... Wiadomo, cicha woda brzegi rwie, ale żeby aż tak? Teraz się nie dziwię, że Al Trent uważa cię za zasranego geniusza.

Gwiazda Wywiadu to w CIA najwyższe odznaczenie za pracę w terenie. Jack zdobył ich, prawdę mówiąc, trzy, ale rozkaz z nominacją do trzeciej spoczywał zamknięty w bardzo bezpiecznym sejfie, a całą sprawę trzymano w takim sekrecie, że nie wiedział o niej i nigdy się nie miał dowiedzieć nawet nowy prezydent.

- No więc, udowodnij, coś wart. Opowiedz nam trochę - przynaglił Jacka Alden.

- Narmonow to niezwykły facet. Dopiero w chaosie czuje się u siebie. Znałem medyków podobnych do niego. Zdarzają się tacy, rzadko bo rzadko: nie opuszczają izby przyjęć, opatrują ludzi z wypadków, robią reanimacje i co tam jeszcze. Wszyscy inni mogą padać z nóg, a ci dopiero się rozkręcają. Tacy ludzie po prostu upijają się presją i stresem, Arnie. Narmonow jest dokładnie taki sam. Nie jestem pewien, czy faktycznie upajają go nietypowe sytuacje, ale radzi sobie z nimi jak nikt. Facet musi mieć końskie zdrowie...

- Jak większość polityków - zauważył Van Damm.

- Ich szczęście. Tak czy inaczej, pytacie, czy Narmonow w ogóle wie, dokąd zmierza? Myślę, że trochę wie, a trochę nie. Orientuje się z grubsza, w jakim kierunku musi popychać kraj, ale w jaki sposób tam dotrzeć, i co robić dalej, to już trudniejsza sprawa. Facet ma jaja, i na pewno nie boi się grać w ciemno.

- Wygląda na to, że go polubiłeś. Nie było to pytanie.

- Miał niedawno okazję mnie sprzątnąć tak łatwo, jak byś ty zgniatał te puszkę, i nie zrobił tego.

- Jack uśmiechnął się, dodając: - Sam widzisz, że należy mu się ode mnie trochę ciepłych uczuć. Zresztą tylko dureń może nie szanować Narmonowa. Taki ktoś zyskałby sobie szacunek nawet jako wróg.

- Chcesz powiedzieć, że wrogość się skończyła? - Alden skrzywił się nieznacznie.

- Jaka znów wrogość? - Jack udał zdumienie. - Sam prezydent ogłosił, że czasy wojny to przeszłość.

- Politycy zawsze coś takiego mówią - zauważył szef sztabu Białego Domu i odchrząknął. - Za to biorą pieniądze. Powiedz lepiej, czy Narmonow się utrzyma.

Jack Ryan z niesmakiem spojrział w okno. Niesmak brał się głównie z faktu, że sam nie umiał odpowiedzieć na to pytanie.

- Ujmijmy rzecz w ten sposób: Andriej Iljicz musi okazać się najzręczniejszym macherem, jakiego znała rosyjska polityka. Tak czy siak stąpa po linie. Naturalnie, nie ma sobie równych w akrobacji, ale pamiętacie czasy niezrównanego akrobata Karla Wallendy? Ten sam Wallenda skończył jako mokra plama na chodniku, a dlaczego? Bo zdarzył mu się jeden zły dzień akurat w chwili, kiedy nie miał prawa palnąć głupstwa. Andriej Iljicz jedzie na podobnym wózku. Czy mu się uda? To samo pytanie słyszę od ośmiu lat! Moje biuro uważa, że tak. Myślę podobnie, z tym że... Arnie, sam wiesz, w tych sprawach nie ma proroków. Idziemy przez nieznaną tereny, do cholery, tak samo jak Narmonow. Głupi gość od pogody w telewizji ma łatwiejsze życie i całą bazę danych do swojej dyspozycji. Pytałem dwóch najlepszych specjalistów od historii Rosji: Jake'a Kantorowitza w Princeton i Dereka Andrews w Berkeley, i co? Jeden mówi mi "czarne", a drugi zaraz, że "białe". Dwa tygodnie temu zaprosiliśmy ich obu do Langley. Osobiście skłaniam się do oceny Jake'a, ale znów szef naszych sowietologów zgadza się z tym, co twierdzi Andrews. Klient płaci, klient wybiera odpowiedź. Dokładnie tyle wiemy. Chcecie wyroczni, to zajrzyjcie do pierwszej lepszej gazety. Van Damm skinął głową i zapytał:

- A ich następny kryzys?

- Myślę, że za diabła nie dojdą do ładu z ruchami wśród mniejszości etnicznych - zaczął Jack - ale to sami wiecie nawet bez mnie. W jaki sposób ZSRR będzie się rozpadać, i które republiki się odłączą, kiedy, jak, pokojowo czy wśród zamieszek? Narmonow boryka się z tym na co dzień. Te sprawy nieprędko ucichną.

- Sam powtarzam to samo już od roku - skwitował słowa Jacka Ryana Alden. - Ile upłynie czasu, zanim się to wszystko utrząśnie?

- Mnie pytasz? O Niemczech Wschodnich twierdziłem, że zjednoczenie zabierze im przynajmniej rok, a i tak byłem wtedy największym optymistą w Waszyngtonie. Pomyliłem się o jedenaście miesięcy. Cokolwiek ci powiem, ja czy ktokolwiek, będzie to wzięte z sufitu.

- Inne punkty zapalne? - zapytał znów Van Damm.

- Zawsze pozostaje Bliski Wschód... - zaczął Ryan, który zauważył błysk w oku rozmówcy.

- Zajmiemy się tym już wkrótce.

- W takim razie życzę dużo szczęścia. Pracujemy nad zagadnieniem od czasu rozróby z Nixonem i Kissingerem w siedemdziesiątym trzecim roku. Wszystko niby przyszło, ale zasadniczy spór trwa w najlepsze, więc prędzej czy później znów się zaczną hocki-klocki. Tyle dobrego, że Narmonow nie chce się już w to mieszać. Będzie wspierał starych przyjaciół, nie zrezygnuje z handlu bronią, bo skąd niby ma wziąć walutę jak nie od Arabów, ale jeśli zacznie się tam draka, nie będzie się rozpychał tak, jak dawniej. Podobnie było już nad Zatoką Perską. Narmonow może nadal dozbrajać podopiecznych, chociaż nie sądzę, by się na to zdecydował, ale poza tym palcem nie kiwnie, żeby pomóc Arabom w jakiejś nowej wojnie z Izraelem. Nie wyśle okrętów i nie zmobilizuje wojska. Wątpię nawet, czy poprze Arabów, jeśli ci znowu zechcą na próbę potrząsnąć szabelką. Andriej Iljicz powtarza, że sprzedaje im sprzęt obronny, nie zaczepny, i zdaje się, że faktycznie tak jest, wbrew temu, co słyszemy od Izraelczyków.

- To pewne? - zapytał Alden. - Departament Stanu mówi mi co innego.

- Departament się myli - uciął Ryan.

- Ale to samo powtarza twój szef - przypomniał Jackowi Van Damm.

- Powiem panom na to, że z całym szacunkiem dla szefa CIA, nie zgadzam się z jego oceną.

- Teraz wiem, za co cię tak lubi Trent - pokiwał głową Alden. - Nie umiesz wyrażać się jak prawdziwy biurokrata. Jeżeli zawsze mówisz to, co myślisz, jakim cudem udało ci się utrzymać na tym stołku?

- Może kazano mi tak robić na pokaz - roześmiał się Ryan, po czym, poważniejąc, dodał: - Proszę tylko pomyśleć. Narmonow ma dość zabawy ze swoimi mniejszościami, żeby babrać się na serio z Bliskim Wschodem, gdzie więcej straci, niż zyska. Jemu wystarcza, że sprzedaje broń za twardą walutę, a i to tylko wtedy, kiedy nie robią się z tego kłopoty. Handluje sobie, ale nic z tego nie wynika.

- Innymi słowy, jeżeli znajdziemy sposób, żeby uspokoić region... - zaczął zastanawiać się na głos Alden.

- Narmonow nam w tym nie przeszkodzi, a może nawet pomoże. W najgorszym razie przyczai się i będzie klął, że go nie dopuszczamy do gry. Ale, ale... W jaki sposób chcecie uspokoić Bliski Wschód?

- Przytrzymy nosa Izraelowi - odpowiedział Van Damm z prostotą.

- To głupi pomysł, i to z dwóch powodów. Po pierwsze, nie możemy naciskać na Izrael, dopóki ten faktycznie ma powody obawiać się o własne bezpieczeństwo. Po drugie, Izrael nie przestanie obawiać się o bezpieczeństwo, dopóki nie znajdzie się rozwiązań kilku podstawowych kwestii spornych.

- Jak na przykład?

- Jak na przykład, w kwestii, od której zaczął się cały konflikt W kwestii, o której wszyscy jakoś milczą.

- Wiadomo, że chodzi o religię, ale sam powiedz, jedni i drudzy idioci wierzą właściwie w to samo! - warknął Van Damm. - Kurczę, nie dalej jak miesiąc temu czytałem Koran i znalazłem tam dokładnie to, co mi wykładano w szkółce niedzielnej.

- To fakt - zgodził się z nim Jack Ryan. - Tylko co z tego? Katolicy i protestanci są przekonani, że Chrystus był Synem Bożym, ale nie przeszkadza to im wysadzać w powietrze Irlandii Północnej. W dzisiejszych czasach rzeczywiście najbezpieczniej być Żydem: pieprznici chrześcijanie mordują się wzajemnie z taką gorliwością, że nie mają nawet czasu na antysemityzm. Sam popatrz, Arnie. Mimo że my, na zewnątrz, prawie nie zauważamy różnic między tymi religiami, dla nich stanowią one wystarczający powód nawet do rzezi. Dlatego nie ma o czym mówić, przyjacielu.

- Pewnie masz rację - niechętnie zgodził się z Ryanem szef sztabu. Po krótkim namyśle wiedział już, o jaką sporną kwestię chodzi Ryanowi.

- Chciałeś powiedzieć: Jerozolima?

- Trafiłeś! - potwierdził Ryan, który, dopiwszy colę, zgniótł w dłoni puszkę i cisnął ją do kosza na śmieci u stóp Van Damma strzałem za dwa punkty. - Jerozolima to święte miasto trzech różnych religii, powiedzmy, trzech zwaśnionych plemion. Fizycznie miasto należy tylko do jednego plemienia, które na dodatek wojuje zawsze z którymś z dwóch pozostałych. W tak wojowniczym rejonie wszystko trzeba obsadzić wojskiem, ale czym wojskiem? Pamiętajcie, że nie tak dawno temu paru muzułmańskich czubków urządziło jatki w samej Mekce. To samo się zdarzy, jeśli się wprowadzi do Jerozolimy arabskie siły bezpieczeństwa: Izrael stanie wobec bezpośredniej groźby. Jeżeli zostanie wszystko po staremu, czyli jeśli w Jerozolimie nadal będzie wojsko izraelskie, obrażą się na nas Arabowie. Aha, zapominam o siłach ONZ. Te z kolei nie będą się podobały Izraelowi, bo Żydzi od dawna mają z ONZ na pieńku. Arabowie znów nie cierpią sił ONZ, bo w końcu większość błękitnych hełmów to chrześcijanie. Nawet my nie lubimy ONZ, bo ONZ za często z nami zadziera. Odpadają więc jedyne siły międzynarodowe, jakie wchodziłyby tu w grę. Impas, panowie.

- Prezydent bardzo nalega, żeby coś wymyślić - przypomniał szef sztabu w Białym Domu. - Musimy coś zrobić, bo inaczej powiedzą, że się opieprzamy.

- No to może, niech prezydent przy następnym spotkaniu z papieżem poprosi go o interwencję z wyższego szczebla - zażartował dość bezceremonialnie Ryan, lecz uśmiech zgasł mu na ustach. Van Damm wiedział, że Jack powtarza sobie w duchu, by nie zadzierać z prezydentem, którego nie cierpi. Ryan zamilkł jednak i siedział z kamiennym wzrokiem. Arnie nie znał zastępcy dyrektora CIA na tyle, by rozpoznać tę minę. - Chwileczkę, panowie...

Szef sztabu zaśmiał się pod nosem. Prezydentowi rzeczywiście nie zaszkodziłoby spotkanie z papieżem. Wyborcom nieodmiennie podobają się podobne sztuczki, zresztą zaraz później prezydent mógłby dać się zaprosić na bankiet ligi żydowskiej B'nai B'rith i udowodnić w ten sposób, że uwielbia wszystkie religie. Van Damm wiedział doskonale, że odkąd dzieci prezydenta dorosły, chadza do kościoła jedynie na pokaz, traktując wiarę jako jeszcze jedną zabawną stronę codziennego życia. ZSRR zaczął ostatnio zwracać się ku religii, szukając w niej wartości społecznych, lecz amerykańska lewica dawno odsunęła się od Kościoła i nie miała najmniejszego zamiaru powrócić na jego łono, obawiając się skądinąd, że odnajdzie w wierze te same wartości, których poszukują Rosjanie. Van Damm sam zaczynał karierę jako nawiedzony lewicowiec, lecz dwadzieścia pięć lat pracy w rządzie wyleczyło go ze złudzeń. Dzięki tej lekcji nie dowierzał dziś równie żarliwie ideologom zarówno z jednego, jak i drugiego skrzydła. Szef sztabu był człowiekiem poszukującym tylko takich rozwiązań, co mogą sprawdzić się w praktyce.

Zaduma nad światem polityki oderwała go na chwilę od trwającej dyskusji.

- Nad czym tak się zastanawiasz? - zapytał wreszcie Ryana Alden.

- Myślę o tym, co Ewangelia mówi o "ludziach jednej Księgi" - mruknął Ryan, czując że z zamętu zaczyna mu się wyłaniać pewna myśl.

- Co z tego?

- Przypomniałem sobie, że Watykan to formalnie osobne państwo, z własną służbą dyplomatyczną, ale bez sił zbrojnych... oprócz gwardii szwajcarskiej... A Szwajcaria jest neutralna, nie należy nawet do ONZ. Arabowie jeżdżą tam wpłacać pieniądze i pohulać... No, nie, zastanawiam się, czy ktoś by na to poszedł... - Jack zamilkł, a jego twarz ponownie straciła wszelki wyraz. Van Damm zauważył, że źrenice Ryana zwęziły się zarazem, jak oświetlone latarką. Ciekawie jest patrzeć, jak rodzą się nowe pomysły, choć jeszcze ciekawiej byłoby usłyszeć, na czym właściwie polegają.

- Na co by poszedł? Kto by poszedł? - zapytał więc szef sztabu nie bez irytacji. Alden z kolei czekał bez słowa.

Ryan przedstawił im swój pomysł.

- Wiecie już, o co chodzi, prawda? Większość całego zamieszania wynika ze sporu o święte przybytki. Powinienem porozmawiać z moimi ludźmi w Langley. Mamy tam naprawdę pierwszorzędne...

Van Damm znów rozparł się w fotelu i zapytał:

- A jak tam wasze kontakty? Wybierasz się pogadać z nuncjuszem papieskim?

Ryan zaprzeczył ruchem głowy.

- Kardynał Gianetti jest poczciwym staruszkiem, ale to zwykły figurant Jesteś tu od tak dawna, Arnie, że nie muszę ci tego mówić. Nie, jeśli chcesz porozmawiać z kimś, kto wie, o co chodzi, wal prosto do ojca Riley'a z uniwersytetu Georgetown. Uczył mnie, kiedy robiłem na Georgetown doktorat, dobrze się znamy od tamtej pory. Riley ma kabel do samego generała.

- Jakiego znów generała?

- Do generała Towarzystwa Jezusowego. Do szefa jezuitów, Hiszpana, Francisco Alcalde. Alcalde i ojciec Tim Riley wykładali razem na uniwersytecie św. Roberta Bellannine w Rzymie. Obaj są profesorami historii, a ojciec Tim to waszyngtońska wtyczka generała. Nie mieliście okazji spotkać ojca Tima?

- Jakoś nie. A warto?

- Pewnie, że warto. Jeden z najlepszych profesorów, jacy mnie uczyli. Zna cały Waszyngton od podszewki. Ma świetne kontakty w swojej centrali - dodał jeszcze żartem Ryan, lecz Van Damm nie zrozumiał dowcipu.

- Możesz zorganizować cichy lunch? - zapytał Alden. - Nie tutaj, rzecz jasna, gdzieś w mieście.

- W Cosmos Club na Georgetown. Ojciec Tim jest członkiem klubu. Klub uniwersytetu jest, oczywiście, bliżej, ale...

- Wiadomo. Czy ten Riley zachowa wszystko dla siebie?

- Jezuita miałby zachować wszystko dla siebie? - zaśmiał się Ryan. - Chyba nie jesteś katolikiem, co?

- Na kiedy możesz zorganizować to spotkanie?

- Na jutro, ostatecznie na pojutrze.

- Komu właściwie służy ten Riley? - padło jak grom z jasnego nieba pytanie Van Damma.

- Ojciec Tim jest obywatelem amerykańskim, więc jeśli chodzi o jego lojalność, nic nam nie zagraża. Z drugiej strony, jako ksiądz, ojciec Tim złożył śluby nakazujące mu posłuszeństwo władzy wyższej niż nasza konstytucja. Można mu ufać, że jako człowiek honoru uszanuje wszystkie zobowiązania, lecz proszę nie zapominać, jak delikatne są te zobowiązania. Aha, ojciec Tim nie da sobą komenderować - ostrzegł jeszcze Ryan.

- Proszę nas umówić na lunch. Wygląda na to, że tak czy inaczej powinienem go poznać. Proszę mu powiedzieć, że chodzi o nawiązanie cennego kontaktu - polecił Ryanowi Alden. - Liczy się

pośpiech. Rezerwuję dla siebie czas jutro i pojutrze po południu.

- Tak jest. - Ryan podniósł się na pożegnanie.

Waszyngtoński Cosmos Club mieści się u zbiegu alei Massachusetts i Florida w dawnej posiadłości Sumnera Wellesa. Zdaniem Jacka Ryana, byłaby ona na swoim miejscu nie w mieście, lecz w otoczeniu pięciuset mórg falujących wzgórz, gdzie obok stajni pełnokrwistych koni miałyby swoją norę lis, na którego właściciel gruntów polowałby od czasu do czasu, lecz niezbyt zajadle. Że jednak podobny pejzaż nigdy nie rozciągał się wokół tej posiadłości, Ryan zachodził w głowę, dlaczego pałacyk wybudowano właśnie w rustykalnym stylu, tak sprzecznym z waszyngtońską rzeczywistością, i to na zamówienie polityka, który jak mało kto rozumiał mechanizmy tego miasta. Cosmos Club był znany, jako miejsce spotkań inteligencji, a więc osób, które członkostwo w nim zawdzięczają raczej własnym osiągnięciom niż posiadanym majątkom. Dlatego też klub słynął na cały Waszyngton z wykwintnej konwersacji i okropnej kuchni nawet jak na miasto pełne mdłych restauracji. Ryan wprowadził Van Damma do prywatnego gabinetu na piętrze.

Ojciec Timothy Riley, S.J., czekał już na nich. Z zaciśniętą w ustach fajką z białego wrzościa wertował stronicę porannej "Washington Post"; na stoliku obok stał kieliszek z resztą ciemnego sherry na dnie. Ksiądz miał na sobie wygniecioną koszulę i marynarkę, która głośno dopominała się o żelazko. Habit, dzieło rąk jednego z lepszych krawców przy Wisconsin Avenue, ojciec Tim zostawiał na bardziej oficjalne okazje. Jego koloratka jaśniała jednak nieskazitelną bielą. Jackowi Ryanowi przemknęło przez głowę, że sam, pomimo wychowania w wierze katolickiej, nie ma pojęcia, z czego wyrabia się księżowskie kołnierze. Krochmalona bawełna? Celuloid, taki jak w odpinanych kołnierzykach z epoki pradziadka? Niezależnie od materiału, oczywista sztywność koloratki musiała właścicielowi służyć jako memento na temat jego miejsca na tym świecie, a także w zaświatach.

- Witaj, Jack!

- Witam ojca. Proszę pozwolić, to jest Charles Alden. Ojciec Tim Riley. Kiedy wymieniono uściski dłoni, cała grupa usiadła przy wybranym wcześniej stole. Kelner zebrał zamówienia na napoje, a wychodząc, dyskretnie zamknął drzwi gabinetu.

- Jak tam twoja nowa praca, Jack? - zapytał Riley.

- Poszerzam horyzonty - przyznał Ryan, ucinając pytanie. Ksiądz na pewno dobrze się orientował, na czym polegają kłopoty Jacka w centrali w Langley.

- Mamy kilka pomysłów związanych z Bliskim Wschodem, a zdaniem Jacka, właśnie z ojcem warto byłoby je przedyskutować - zagaił Alden, sprowadzając rozmowę do konkretów. Musiał jednak poczekać, gdyż kelner wniósł właśnie napoje i karty dań. Przedstawienie całej koncepcji zabrało mu dobrych kilka minut.

- Interesujące - stwierdził Riley, kiedy doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa skończył wreszcie.

- Jak ojciec się na to wszystko zapatruje? - zapytał z kolei doradca.

- Interesujące... - powtórzył ksiądz i zamilkł na chwilę.

- Czy papież... - Ryan przerwał jednak Aldenowi machnięciem ręki. Riley nie znosił, kiedy go poganiano, gdy się nad czymś zastanawiał. Bądź co bądź był historykiem, nie oswojonym z szaleństwami lekarzy na ostrym dyżurze.

- Z pewnością jest to elegancka koncepcja - odezwał się Riley po upływie trzydziestu sekund. - Szkoda tylko, że Grecy okażą się tak zasadniczym problemem.

- Grecy? Jacy Grecy? - spytał zaskoczony Ryan.

- Obecnie jedynym wojowniczym ugrupowaniem są Grecy z Cerkwi prawosławnej. Co rusz

rzucają się nam do gardła w najbardziej błahych kwestiach. Nie wiem, czy panowie zdają sobie sprawę, że rabini i imamowie są do siebie bardziej przychylnie nastawieni niż kapłani chrześcijańscy. Dziwna rzecz, ale naprawdę trudno jest komukolwiek przewidzieć, jak zareagują ludzie prawdziwej wiary. Nieważne zresztą, zadrażnienia między Rzymem a ortodoksją grecką mają głównie charakter administracyjny, wciąż idzie o to, kto ma sprawować pieczę nad danym świętym przybytkiem w Jerozolimie, i tak dalej. W zeszłym roku poleciało pierze, kiedy starliśmy się o Betlejem, mianowicie o to, kto ma prawo odprawiać w Betlejem mszę pasterską w kościele Narodzenia Pańskiego. Prawda, jakie to wszystko deprymujące?

- Chce ojciec powiedzieć, że z pomysłu nici, bo dwa chrześcijańskie Kościoły nie potrafią...

- Powiedziałem jedynie, że mogą być kłopoty, doktorze Alden. Nie powiedziałem, że "z pomysłu nici"... - Riley znów na chwilę zamilkł. - Trzeba uzgodnić, z którego kopyta ma ruszać cała trojka, ale zważywszy na naturę przedsięwzięcia, wyobrażam sobie, że wszystkie strony będą skłonne do współpracy. Z grecką Cerkwią prawosławną musielibyśmy tak czy inaczej szukać porozumienia, tym bardziej, że, jak pan wie, Grecy świetnie się dogadują z muzułmanami.

- Jak to? - zdziwił się Alden.

- W czasach, kiedy niewierni poganie wygnali Mahometa z Mekki, znalazł on schronienie w klasztorze św. Katarzyny na górze Synaj, w sanktuarium grekokatolickim. Popi otoczyli Mahometa opieką w chwili, kiedy tego potrzebował, a on z kolei okazał się człowiekiem honoru. Od tamtej pory klasztor znajduje się pod opieką islamu. Minęło tysiąc lat, a sanktuarium nigdy nie spotkało nic złego, mimo tylu okropieństw, jakie działy się w jego pobliżu. Przyznają panowie, że islam to religia, w której wiele rzeczy jest godnych uznania. My, ludzie Zachodu, lubimy o tym zapominać, za sprawą szaleńców, którzy nazywają się muzułmanami, zupełnie jak gdyby chrześcijaństwo nie znało podobnych problemów. Islam ma w sobie wiele szlachetnych cech, istnieje też w nim godna uznania tradycja nauk. Inna sprawa, że mało kto w Ameryce w ogóle o tym słyszał - urwał Riley.

- Czy ojciec widzi jeszcze jakieś wady tego pomysłu? - zapytał Jack.

- Kongres Wiedeński! - przypomniał Riley ze śmiechem. - Jack, zapominasz o Kongresie Wiedeńskim!

- O czym? - wtrącił się poirytowany Alden.

- O kongresie z tysiąc osiemset piętnastego roku. Każdy to wie! Po ostatecznym uregulowaniu dziedzictwa wojen napoleońskich, Szwajcarzy zobowiązali się, że zaprzestaną eksportu najemników. Jestem pewien, że znajdziemy jakiś sposób obejścia zakazu. Gwardia papieska składa się z najemników szwajcarskich, podobnie jak dawna gwardia królów Francji. Ta znów wyginęła, do ostatka broniąc Ludwika i Marii Antoniny. O mały włos, a podobne nieszczęście przytrafiłoby się kiedyś żołnierzom papieskim, którzy bronili się jednak na tyle długo, by ich niewielki odwód zdołał wyprowadzić Ojca Świętego w bezpieczne miejsce. Zdaje się, że chodziło o Castel Gandolfo. Najemni żołnierze stanowili niegdyś główny towar eksportowy Szwajcarii, a gdziekolwiek się pojawili, budzili respekt. Oczywiście dzisiejsza gwardia szwajcarska w Watykanie istnieje głównie na pokaz, ale niegdyś ludzie naprawdę przed nią drżeli. Dość na tym, że z powodu złowrogiej sławy, szwajcarscy najemnicy doczekali się specjalnej glosy do postanowień Kongresu Wiedeńskiego i od czasu wojen napoleońskich nie wolno im wojować nigdzie poza własną ojczyznę i terenem Watykanu. Zaznaczyłem jednak, że to niewielki kłopot. Szwajcarzy będą zachwyceni, jeżeli ktoś pozwoli im włączyć się do dzieła. Zwiększy to tylko ich prestiż w regionie słynącym z obfitości pieniędzy.

- Jasne - podjął myśl Jack Ryan. - Zwłaszcza jeśli to my dostarczymy im sprzętu, czołgów Abrams M-1, wozów bojowych Bradley, radiostacji satelitarnych...

- Opamiętajże się, Jack - powściągnął go ojciec Riley.

- Proszę pozwolić, ojczec. Charakter całego zadania zmusza nas do użycia ciężkiego sprzętu, choćby tylko ze względów psychologicznych. Musimy pokazać, że to nie żarty. Jeśli się raz uda, reszta sił może później nosić stroje zaprojektowane przez Michała Anioła, potrząsać halabardami i uśmiechać się do obiektywu. Tymczasem jednak, żeby przebić karetę pików ciągle potrzebny jest sześciopalcowy rewolwer Smith&Wesson, a już zwłaszcza na Bliskim Wschodzie.

Riley ustąpił wobec tych argumentów i zauważył:

- Najbardziej podoba mi się elegancja tego planu, moi panowie. Każdy z uczestników twierdzi, że wierzy w Boga, czcząc go pod tym czy innym imieniem. Trzeba więc zaapelować do nich, aby właśnie w Imię Boże... O to właśnie chodzi, prawda? Jerozolima, Miasto Pańskie. Jak szybko potrzebuj ą panowie odpowiedzi?

- Nie ma tu zbytniego pośpiechu - odrzekł Alden. Riley w mig pojął, że choć Biały Dom jest bezpośrednio zainteresowany sprawą, nie trzeba za wszelką cenę szukać szybkich rozwiązań. Nie można jednak dopuścić do tego, by rzecz na wieki utknęła na czyimś biurku. Chodziło o ciche zbadanie gruntu, w sposób sprawny i niezwykle dyskretny.

- Muszę jednak puścić to drogą służbową. Pamiętajcie, panowie, że Watykan to najstarsza działająca nieprzerwanie biurokracja świata.

- Stąd właśnie nasza dzisiejsza rozmowa - przypomniał Ryan. - Generał nie będzie się pieprzył z drogą służbową.

- Jak śmiesz mówić w ten sposób o księżętach Kościoła! - Riley o mało nie udusił się ze śmiechu.

- Sam jestem przecież katolikiem. Wiem, co mówię.

- Napiszę do kogo trzeba - obiecał Riley, a w jego spojrzeniu można było wyczytać słowa: "jeszcze dzisiaj".

- Ale dyskretnie - przypomniał jeszcze raz Alden.

- Dyskretnie - obiecał mu ksiądz.

W dziesięć minut później ojciec Timothy Riley siedział już w samochodzie wiozącym go z powrotem do gabinetu na uniwersytecie Georgetown i rozważał szczegóły planu. Ryan trafnie domyślał się skali powiązań ojca Tima i znaczenia jego kontaktów. Riley układał już depezę, w starożytnej grece, języku filozofów, używanym we współczesnym świecie najwyżej przez pięćdziesiąt tysięcy osób. Właśnie w greckim oryginale Riley studiował niegdyś pisma Platona i Arystotelesa w seminarium duchownym w Woodstock w stanie Maryland.

Po wejściu do gabinetu jezuita zamknął dokładnie drzwi, polecając wpierw sekretarzowi nie łączyć telefonów, po czym włączył komputer. Najpierw włożył do napędu dyskietkę z programem pozwalającym pisać w greckim alfabecie. Riley nie był wprawnym maszynistą, gdyż jednoczesne korzystanie z usług sekretarza i komputera błyskawicznie obniża sprawność manualną, więc ponad godzinę mozolił się nad sporządzanym dokumentem. Wydrukował go następnie na dziewięciu stronach papieru maszynowego, po czym schylił się nad biurkiem i wykręcił szyfr na tarczy niewielkiego, lecz bezpiecznego sejfu, udającego jedną z szuflad. Wewnątrz, jak od dawna podejrzewał to Ryan, znajdowała się książka szyfrów, żmudnie przepisana wiecznym piórem przez młodego księdza z przybocznej świty generała zakonu. Riley nie mógł powstrzymać śmiechu, gdyż szyfry to jedna z ostatnich rzeczy, które można kojarzyć ze stanem kapłańskim. Kiedy w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku admirał Chester Nimitz zasugerował kardynałowi Johnowi Spellmanowi, głównemu kapelanowi amerykańskich sił zbrojnych, że archipelag Wysp Mariańskich potrzebuje nowego pasterza, kardynał wydobyl z zanadru książkę szyfrów i posługując się

wojskową radiostacją namaścił nowego biskupa. Jak każda duża organizacja, również Kościół katolicki musi od czasu do czasu korzystać z bezpiecznych linii łączności, a co za tym idzie, szyfranci Watykanu znajdowali zajęcie od stuleci. W przypadku książki ojca Riley'a szyfr opierał się na długim cytacie z tekstu Arystotelesa na temat Bytu Samego w Sobie, z którego jednak usunięto siedem słów, a cztery w groteskowy sposób przekreślono. Resztę można było pozostawić specjalnemu programowi komputerowemu. Ojciec Riley ponownie wydrukował tekst i odłożył go na bok, wyłączył komputer i wymazał tym samym ostatni ślad wiadomości w pamięci operacyjnej maszyny. Następnie przesłał zaszyfrowaną wersję telefaksem do Watykanu i przepuścił wydrukowane wcześniej egzemplarze przez młynek, który podarł je na mikroskopijne strzępki. Cała znużona zabawa zajęła mu bite trzy godziny. Riley poinformował sekretarza, że można już łączyć telefony i zabrał się do porzuconej pracy, wiedząc już, że będzie nad nią siedział do świtu. W odróżnieniu od zwykłych urzędników, ojciec Riley unikał jednak plugawych przekleństw.

- Coś mi tu śmierdzi - niegłęboko zauważył Leary, nie odkładając lornetki.

- I mnie też - przytaknął Paulson, który dzięki dziewięciokrotnie powiększającemu celownikowi optycznemu widział całą sytuację wyraźniej, choć nie tak panoramicznie. Sytuacja zaś śmierdziała. Śledzoną osobą był ścigany przez FBI nieprzerwanie od ponad dziesięciu lat John Russell (alias Matt Murphy, alias Richard Burton, alias Rudy Niedźwiedź). Podejrzany o zgładzenie jednego szeryfa i dwóch specjalnych agentów Biura, Russell znalazł schronienie wśród serdecznych przyjaciół z grupy, która mieniła się jako Związek Wojowników Wolnego Narodu Siuksów. John Russell mało przypominał wojownika. Urodził się w Minnesocie, z dala od rezerwatów Siuksów, i początkowo był drobnym przestępcą. Po pierwszym poważniejszym wykroczeniu wylądował w więzieniu. Tam właśnie odnalazł swoją prawdziwą przynależność rasową i zaczął kształtować się na swoiście pojęty obraz Indianina. Zdaniem Paulsona, przybierający taką pozę Russell miał więcej wspólnego z Aleksandrem Bakuninem niż z Koczisem czy Tuhulhulzotem. Później Russell przystąpił do innego zawiązanego za kratami stowarzyszenia, zwącego się Amerykańskim Ruchem Indian i jako jego członek dokonał wielu aktów terroru, które pociągnęły za sobą śmierć trzech stróżów porządku. Następnie bandyta zniknął. Każdemu jednak prędzej czy później powinie się noga; dziś na przykład miała się powinąć Russellowi. Usiłując zdobyć fundusze, Związek Wojowników zaczął przemycać narkotyki przez granicę kanadyjską. Błąd wojowników wziął się stąd, że jeden z konfidentów władz federalnych podsłuchał, na czym polega plan.

Wojownicy urządzili sobie kryjówkę w upiornych ruinach opuszczonego miasteczka, o dziesięć mil od granicy Kanady. Oddział szturmowy FBI musiał tym razem zająć się czymś innym niż uwalnianie zakładników, a mianowicie działać jako brygada antyterrorystyczna. Dziesięciu funkcjonariuszy wysłanych do tej akcji pod dowództwem agenta Dennisa Blacka podlegało zasadniczo rozkazom specjalnego agenta Hoskinsa z centrali, który przejął nadzór nad miejscowym oddziałem FBI. Na tym polegało pierwsze straszliwe potknięcie tak zwykle profesjonalnej FBI: specjalny agent obmyślił drobiazgowy plan zasadzki, który od początku nader opornie dawał się wcielić w życie, a ostatecznie przyniósł skutki prawie tragiczne. Trzech agentów FBI znalazło się już w szpitalu z powodu wypadku samochodowego, a dwóch kolejnych trafiło tam z poważnymi ranami postrzałowymi. Po stronie przeciwników zanotowano jedną pewną ofiarę śmiertelną i, przypuszczalnie, jednego rannego. Nikt nie był pewien szczegółów, wiedziano tylko, że reszta wojowników - trzech, a może czterech, tego także nie wiedziano - schroniła się w budynku dawnego motelu. Wiadomo było za to, że w motelu nadal działa telefon, choć, oczywiście, nie kablowy. Zapewne terroryści mieli ze sobą telefon komórkowy, za pomocą którego zawiadomili o oblężeniu

dziennikarzy i telewizję. Wynikłe stąd monstrualne zamieszanie wzbudziłoby podziw nawet samego Fineasa T. Barnuma, właściciela największego niegdyś cyrku Ameryki. Właśnie telewizją usiłował się posłużyć specjalny agent, ratując resztki swej nadszarpniętej reputacji zawodowej. Nie przyszło mu do głowy, że żonglowanie ekipami telewizyjnymi przybyłymi aż z Denver i Chicago to nie to samo, co popisy na użytek miejscowych pismaków, którzy dopiero niedawno opuścili progi szkoły dziennikarskiej. Zawodowcom trudno było czymś zaimponować.

- Bili Shaw mówił, że obetnie temu facetowi jaja i wrąbie je na miękko na śniadanie - zaszeptał znów Leary.

- Wiele nam z tego przyjdzie - skrzywił się Paulson i parsknął. - A poza tym, najpierw niech spróbuje tam znaleźć jakieś jaja.

- Co nowego? - zapytał ich Black przez radio.

- Ruszają się, ale brak identyfikacji - zameldował Leary. - Za ciemno. Ci Indianie może są głupi, ale wiedzą, co robią.

- Ścigani proszą, żeby przysłać do nich dziennikarza telewizyjnego z kamerą. Specjalny agent zgodził się na to.

- Dennis, a ty nic? - Słyszając tę wiadomość, Paulson mało nie wybił sobie oka celownikiem.

- Pewno, sprzeciwiłem się - brzmiała odpowiedź Blacka. - Powiedział mi, że on tu wydaje rozkazy.

Zawodowy negocjator z FBI, skądinąd psychiatra, znajdował się wciąż o dwie godziny drogi od miasteczka, natomiast specjalny agent, chciał ubarwić wieczorne wiadomości. Black, gdyby mógł, udusiłby skurwiela. Ale, oczywiście, nie mógł.

- Trudno go aresztować za brak kompetencji - zauważył Leary, zasłaniając dłonią mikrofon, po czym pomyślał, że jeśli terrorystom czegoś dotąd brakowało, to właśnie zakładników. Jasne, posłać im zakładnika! Niech negocjator też ma coś do roboty.

- Powiedz coś jeszcze, Dennis - odezwał się teraz Paulson.

- Rozkazuję działać na własną rękę, na moją odpowiedzialność - usłyszeli głos starszego agenta Blacka. - Reporterka ma dwadzieścia osiem lat, blondynka z niebieskimi oczami, metr siedemdziesiąt wzrostu. Kamerzysta jest Murzynem, bardzo ciemna cera, metr osiemdziesiąt pięć. Powiedziałem, którędy mają iść. Kamerzysta to łebski facet, z takich, co nie dadzą się wyrolować.

- Zrozumiałem, Dennis.

- Od jak dawna tkwisz przy tej flincie, Paulson? - zapytał z kolei Black. Zgodnie z regulaminami FBI, snajper nie mógł czuwać przy celowniku dłużej niż trzydzieści minut. Po upływie tego czasu obserwator i snajper zamieniali się miejscami. Dennis Black łudził się, że przynajmniej on sam nie naruszy uświęconych zasad.

- Będzie z piętnaście minut, Dennis. Dobrze mi... Hej, widzę całą ekipę!

Kamerzysta i reporterka przemaszerowali w bliskiej odległości, niecałe sto pięćdziesiąt metrów od frontowej ściany budynku. Światła było coraz mniej. Do zachodu słońca pozostało zaledwie dziewięćdziesiąt minut. Oprócz tego przez cały dzień wiało. Gorący wiatr z południowego zachodu cesał prerię, a pył siekł w oczy. Co gorsza, wiatr przybierał na sile i wiał dokładnie w poprzek linii strzału. W tych warunkach pocisk może zboczyć o dobre dziesięć centymetrów.

- Gotowość dla drużyny - poinformował Black przez radio. - Gdyby coś poszło nie tak, dostaliśmy rozkaz działać na własną rękę.

- Jego szczęście. A już myślałem, że to zupełna dupa - odsapnął Leary do mikrofonu. Był zbyt wściekły, by martwić się myślą, że specjalny agent usłyszy go przez radio. Pewno smutas usłyszał i znowu z miejsca się zadławił, pomyślał funkcjonariusz.

Snajper i obserwator mieli na sobie kombinezony myśliwskie. Podczołganie się na pozycję zabrało im bite dwie godziny, lecz teraz byli praktycznie niewidzialni, a ich zakamuflowane stroje zlewały się z tłem, jakie stanowiły karłowate drzewka i periowa trawa. Leary obserwował przejście dziennikarki i kamerzysty. Widać było, że dziewczyna jest ładniutka, chociaż można się było domyślić, że suchy, ostry wiatr wzburza jej fryzurę i psuje makijaż. Kamerzysta wyglądał jak środkowy obrońca Wikingów, silny i szybki na tyle, by utorować drogę nowemu napastnikowi drużyny i sensacji sezonu, Tony'emu Willsowi. Leary prędko otrząsnął się z zamyślenia.

- Kamerzysta ma kamizelkę kuloodporną. Dziewczyna nie.

Ty głupia krowo - skarcił dziennikarkę w myślach Leary. - Przecież Dennis na pewno ci wytłumaczył, co to za jedni, ta banda.

- Dennis mówi, że kamerzysta ma poukładane - odezwał się Paulson, celując lufą w budynek. - Uwaga, drzwi!

- Gdyby jeszcze inni mieli poukładane - mruknął Leary.

- Podejrzany "A" staje w drzwiach - obwieścił Paulson do mikrofonu. - To Russell, wychodzi za drzwi. Snajper "A" trzyma go na muszce.

- Ja też - wypowiedziały przez radio trzy głosy naraz.

John Russell był potężnej postury: metr dziewięćdziesiąt kilka wzrostu i sto dziesięć kilo żywej wagi, na którą niegdyś składały się same mięśnie, lecz teraz wypierał je tłuszcz i sadło. Russell miał na sobie jedynie dżinsy, a długie czarne włosy przewiązał przepaską. Na jego piersi widniały tatuaże, niektóre zrobione ręką zawodowca, większość jednak stanowiła ołówkową robotę więzienną. Indianin był jednym z tych facetów, z którymi policja lubi rozmawiać, trzymając palec na spuście. Z leniwej arogancji, z jaką się poruszał, wynikało jasno, że nie zamierza przestrzegać jakichkolwiek dżentelmeńskich reguł.

- Podejrzany "A" ma w ręku duży czarny rewolwer - meldował Leary reszcie zespołu. - Chyba typu Smith, odmiana N. Ej, Dennis, on jest jakiś dziwny....

- Jak to, dziwny? - rozległ się natychmiast głos Blacka.

- Mikę ma rację - potwierdził Paulson, przyglądając się twarzy w celowniku. Russell miał nieprzytomne oczy. - Gość jest naćpany, naćpany jak stodoła. Zawróćcie tych reporterów!

Na to było już jednak za późno.

Paulson nie spuszczał wzroku z głowy Russella, który z człowieka przemienił się oto w przedmiot, w cel. Zespół mógł teraz w każdej chwili zacząć działać na własną rękę; specjalnemu agentowi udało się nareszcie wydać właściwe polecenie. Oznaczało to, że gdyby doszło do jakiegoś pechowego obrotu wypadków, agenci mieli się słuchać wyłącznie bezpośrednich zwierzchników, instrukcje dla snajpera o strzelaniu bez ostrzeżenia były jeszcze bardziej wymowne: gdyby ścigani zagrozili życiu agenta lub innej osoby, Paulson musiał tylko przyłożyć siłę dwóch kilogramów do pół centymetra kwadratowego powierzchni precyzyjnego języka spustowego.

- Uspokójcie się wszyscy, na miłość boską - wysapał snajper. W wizjerze jego celownika optycznego marki Unertl widniały dwie przecinające się pod kątem prostym linie i rząd podziałek, oznaczających odległości. Paulson odruchowo ocenił dystans i usadowił się wygodniej, oceniając w myślach siłę podmuchów wiatru i kąt znoszenia. Siatka celownika zamarła w punkcie tuż za uchem Russella, dokładnie tam, gdzie trzeba było mierzyć.

Widok był tragiczny i komiczny zarazem. Dziennikarka wciąż się uśmiechała, manewrując mikrofonem, podczas gdy kamerzysta celował obiektywem małej kamery, wyposażonej w pojedynczy silny reflektor, zasilany z akumulatora u pasa. Russell przemawiał z zacięciem do obiektywu, lecz z powodu wiatru Paulson i Leary nie mogli ze swojego miejsca dosłyszeć ani słowa. Od samego

początku wojownik miał gniewną minę, a w miarę jak się rozkręcał, jego wściekłość rosła. Już po kilku chwilach zacisnął lewą dłoń w pięść, a palce jego prawej ręki zaczęły szukać rękojeści rewolweru. Wiatr przycisnął jedwabną bluzkę do piersi reporterki, która tego dnia zapomniała najwyraźniej włożyć stanika. Leary uświadomił sobie, że Russell słynie jako seksualny długodystansowiec i, jeśli wierzyć pogłoskom, lubi bywać brutalny. Twarz terrorysty sprawiała jednak dziwnie nieobecne wrażenie. Robił wprawdzie dzikie miny, od kamiennej maski przechodzące w zawziętość, pobudzaną chemicznie przez narkotyki i podsycaną jeszcze stresem, płynącym z wiedzy, że budynek otaczają agenci FBI. Naraz jednak Russell uspokoił się. Nie był to jednak dobry spokój.

Co za sierota ten specjalny agent! - zawył w duchu Leary. - Powinniśmy się wycofać i przeczekać. Sytuacja jest stabilna, tamci i tak nie mogą się nam przecież wymknąć. Trzeba było zacząć negocjacje przez telefon i przetrzymać tę zgraję...

- Uwaga! Russell zakleszczył wolną ręką ramię dziennikarki. Ta usiłowała się wyrwać, lecz dysponowała zaledwie ułamkiem potrzebnej do tego siły. Operator poruszył się, odrywając dłoń od kamery Sony. Ponieważ był wielki i silny, być może udałooby mu się uwolnić reporterkę, ale jego ruch natychmiast sprowokował Russella, który sięgnął po rewolwer.

- Cel, cel, cel! - powtórzył półgłosem Paulson, błagając w myślach terrorystę, by ten natychmiast, NATYCHMIAST zatrzymał rękę. Snajper nie mógł pozwolić Russellowi dobyć broni. Umysł Paulsona pracował gorączkowo, oceniając sytuację. Po pierwsze, rewolwer, duży Smith&Wesson, z tych, które robią w ciałach wielkie, krwawiące dziury. Być może cel jedynie gestykulował, próbując dodać wagi swoim słowom, lecz Paulsonowi nie sprawiało to różnicy. Russell kazał zapewne kamerzyscie zatrzymać się. Wyglądało też, że rewolwer nie jest wycelowany ani w kamerzystę, ani w dziewczynę, lecz ponieważ terrorysta sięgał po broń zdecydowanym ruchem...

Huk wystrzału ze snajperskiej broni zatrzymał czas niczym w klatce aparatu fotograficznego. Palec strzelca poruszył się niemalże mimo woli, lecz to tylko lata ćwiczeń wzięły górę nad świadomością. Kiedy karabin kopnął Paulsona w ramię, ręka otwierała już zamek, przeładowując broń. Niestety, wiatr wybrał sobie zły moment na nowy podmuch: pocisk z karabinu snajpera przeniósł leciutko w prawo i zamiast przeszyć środek czaszki Russella, trafił go w skroń. Uderzając w kość, kula rozprysnęła się, a siła wybuchu oderwała twarz terrorysty od reszty czaszki. Nos, oczy i czoło zmieniły się w mokrą krwawą mgłę. Z całej twarzy pozostały jedynie usta, otwarte w krzyku i buchające krwią, która lała się z ciała postrzelonego jak z zapchanego prysznicza. Umierający, lecz wciąż żywy Russell wystrzelił jeden nabój w stronę kamerzysty, a potem zwałił się bezwładnie w kierunku reporterki. Murzyn upadł, dziewczyna zaś nadal stała bez ruchu. Nie miała jeszcze nawet czasu wpaść w szok na widok krwi i strzępów tkanki na ubraniu i twarzy. Dłoń Russella przejechała raz jeszcze po rozszarpanej pociskiem twarzy i zamarła. Paulson usłyszał w słuchawkach ogólne "NAPRZÓD, NAPRZÓD, NAPRZÓD", ale nie zwracał już na nic uwagi. Wprowadził do komory drugi nabój i wycelowował w twarz majaczącą w oknie. Widział ją już na fotografii. Twarz ściganego, twarz przeciwnika. Postać za oknem ścisnęła karabin, chyba antycznego winchestera z czółenkowym zamkiem. Broń zaś wędrowała do oka. Drugi strzał Paulsona okazał się lepszy niż pierwszy, bo pocisk gładko przestrzelił czoło podejrzanego "B", znanego jako William Ames.

Czas ruszył nagle naprzód. Drużyna FBI podbiegła do budynku, wszyscy w czarnych kombinezonach z nomeksu i kamizelkach kuloodpornych. Dwóch agentów odciągnęło bezwładną reporterkę, dwóch następnych uczyniło to samo z operatorem, tulącym do piersi swoją kamerę Sony. Kolejny agent cisnął przez wybite okno granat obezwładniający, a Dennis Black i pozostała trójka

wpadli przez otwarte drzwi do środka. Dalszych strzałów nie było. Piętnaście sekund później radio znowu ożyło.

- Tu szef zespołu. Przeszukanie zakończone. Obaj terroryści nie żyją. Podejrzany "B" to William Ames. Podejrzany "C" to Ernest Thorn. Wygląda, że nie żyje od dość dawna, w piersi dwie rany postrzałowe. Zabezpieczono broń w obiekcie, można wchodzić. Powtarzam, można już wchodzić.

- Chryste! - wykrztusił Leary, dla którego była to pierwsza wymiana strzałów podczas dziesięciu lat służby w FBI.

Paulson podniósł się z ziemi, zabezpieczając karabin, złożył dwójnóg, na którym opierała się lufa i podreptał w stronę budynku. Jego zwierzchnik, agent specjalny, ubiegł go jednak i ze służbowym pistoletem w dłoni stanął nad bezwładnym ciałem Johna Russella. Na szczęście terrorysta leżał twarzą do ziemi, ale każdą kroplę krwi, jaka płynęła dotąd w jego żyłach, można było sobie wyraźnie obejrzyć na cementowym chodniku.

- Dobra robota! - oświadczył zespołowi specjalny agent. Była to jego ostatnia pomyłka tego dnia.

- Ty zasrany garbaty kutasie! - Z tymi słowy Paulson rozpląszczył zwierzchnika na ścianie z malowanych pustaków. - Ci ludzie zginęli przez ciebie!

Leary rozdzielał ich już, odrywając Paulsona od zaskoczonego tym wszystkim agenta. Zaraz też stanął obok nich z nic nie mówiącą miną Dennis Black.

- Posprzątaj to, coś narobił - odezwał się i odprowadził swoich ludzi, zanim mogło dojść do nowych rękoczynów. - Co z kamerzystą?

Operator leżał na wznak z kamerą przy twarzy. Reporterka klęczała teraz, obficie wymiotując. Miała po temu powody, bo chociaż któryś z agentów otarł dziewczynie twarz, jej droga bluzka zmieniła się w krwawą mapę, którą dziennikarka miała oglądać we snach jeszcze przez wiele tygodni.

- Wszystko dobrze? - zapytał ich Dennis Black. - Ej, wyłącz tę pieprzoną zabawkę!

Nie słysząc odpowiedzi, sam sięgnął po kamerę i zgasił reflektor. Operator potrząsnął głową i pomacał się po brzuchu, tuż pod żebrami.

- Bracie, dzięki za dobrą radę - wykrztusił. - Muszę napisać do firmy, która robi te kamizelki. Słowo daję... - Mężczyzna urwał, gdyż stopniowo zaczynało mu świtać, co się właściwie stało. - Boże, Boże, Jezusie miłosierny! - załkał nagle.

Paulson podszedł do terenowego chevroleta i umieścił karabin snajperski w sztywnym futerale. Leary wraz z drugim agentem czuwał przy snajperze, powtarzając mu, że zrobił dokładnie to, co należało. Mieli tak powtarzać do chwili, kiedy strzelec wreszcie się otrząśnie. Dla Paulsona zaś, mimo że nie był to jego pierwszy śmiertelny strzał, każdy podobny wypadek, choć różniły się między sobą, był czymś, czego później należało żałować. W życiu w odróżnieniu od telewizji po strzelaniu nie następuje kolorowa reklama.

Reporterka przeżywała zwyczajny w tych okolicznościach szok traumatyczny. Zapominając, że nie ma nic pod spodem, zerwała z siebie okrwawioną bluzkę, i dopiero jeden z agentów otulił ją kocem i pomógł dojść do siebie. Na miejsce strzelaniny zmierzały już pozostałe ekipy telewizyjne, waląc prosto do budynku. Dennis Black polecił swoim ludziom zabezpieczyć broń i zająć się dwójką cywili. Reporterka otrząsnęła się z szoku już po kilku minutach. Zapytała, czy wszystko to naprawdę było konieczne, po czym dowiedziała się, że jej kamerzysta dostał kulę w brzuch, ale na szczęście miał na sobie kuloodporną kamizelkę, zwaną w FBI "jesionką"; taką samą kamizelkę, jaką wzgardziła idąc do terrorystów. Następnie przeżyła falę euforii, cała szczęśliwa z faktu, że nadal może oddychać. Wkrótce powrócił szok, lecz ponieważ mimo młodego wieku i braku doświadczenia

dziewczyna miała talent, nauczyła się tego i owego z przebiegu zajęcia. Następnym razem będzie słuchać dobrych rad, a gdyby zapomniała o otrzymanej nauce, przypomną jej o niej senne koszmary. Po pół godzinie stała już chwiejnie na nogach, ubrana w zapasową kreację, i z wątlym ożywieniem klepała do mikrofonu własną wersję wydarzeń. Na dyrektorach z Black Rock, gdzie mieści się zachodnia centrala sieci telewizyjnej CBS, największe wrażenie zrobił jednak nakręcony materiał. Kamerzysta otrzymał specjalny list pochwalny od szefa redakcji wiadomości. Na taśmie znalazło się wszystko, co trzeba: dramat, śmierć, odważna (a w dodatku atrakcyjna) kobieta, nic więc - dziwnego, że film puszczono w wieczornych dziennikach w całości i powtórzono nazajutrz rano, tym bardziej, że w świecie nie działo się akurat nic specjalnego. Przed każdą kolejną emisją główny prezenter lojalnie ostrzegał widownię, że materiał może narazić na wstrząs osoby wrażliwe, upewniając tym samym telewidzów, iż za chwilę ujrzą coś szczególnie smakowitego. Ponieważ niemal wszyscy oglądali taśmę co najmniej dwa razy, wielu osobom udało się nagrać sprawozdanie na kasetę wideo. Wśród osób tych znalazł się także sam przywódca Związku Wojowników, niejaki Marvin Russell.

Wszystko zaczęło się dość niewinnie. Któregoś ranka po przebudzeniu poczuł skurcze żołądka. Poranny bieg stał się dziwnie męczący, odeszło też dawne dobre samopoczucie. "Stuknęła ci trzydziestka" - wyszeptał w myśli. "Już nie te lata". Inna rzecz, że zawsze był w dobrej formie. Może to przeziębienie, wirus albo spóźnione skutki picia surowej wody, diabli wiedzą, może jakiś pasożyt? Trzeba się wziąć w garść, a wszystko samo przejdzie. Dla poprawienia formy zaczął więc nosić dodatkowe ciężary i jeszcze jeden pełny magazynek. Rozleniwił się ostatnio, i przez to cały ten kłopot, ale istnieją przecież lekarstwa na lenistwo. Silnej woli miał dosyć.

Rzeczywiście, przez prawie miesiąc wszystko wróciło do normy, a choć wciąż czuł zmęczenie, składał je na karb dodatkowych pięciu kilo ekwipunku na grzbiecie. Nowe zmęczenie było na swój sposób miłe, bo przypominało mu o żołnierskich cnotach. Spróbował urozmaicić dietę i nie zarywać nocy. Pomogło. Ból w mięśniach był tym samym bólem, jaki czuł na samym początku tego nowego, wyczerpującego życia, w nocy zaś spał snem sprawiedliwego. Twarde ciało stało się jeszcze twardsze, mózg ostro dyrygował cielesną powłoką. Kto powiedział, że nie można sobie poradzić z głupim, niewidzialnym mikroblem? W przeszłości udowodnił, że umie sobie radzić ze znacznie większymi organizmami. Rozśmieszyła go myśl o rzucaniu wyzwania bakteriom. Jego przeciwnikiem, jak u każdego twardego mężczyzny, było wyłącznie własne ciało, opierające się rozkazom mózgu.

Dolegliwość jakoś nie chciała ustąpić. Schudł wprawdzie, nabrał nowych mięśni, lecz bóle i mdłości nie przeszły. Denerwowało go to, choć z początku żartował sobie na ten temat. Kiedy koledzy zauważyli, że coś mu jest, zbył to żartem o "porannej migrenie", wywołując salwy śmiechu. Pokornie znosił ból przez kolejny miesiąc, lecz wreszcie pogodził się z myślą, że jeżeli ma zachować swoje miejsce na czele kolumny, obok dowódców, musi odciążyć ekwipunek. Po raz pierwszy w życiu na bezchmurnym niebie męskiej dumy pojawiły się ledwo widoczne obłoczki zwątpienia. To wszystko przestawało być śmieszne.

Walczył ze sobą jeszcze przez miesiąc, nie ustając w ćwiczeniach, tyle że w niezwykle rygorystycznym porządku dnia wyznaczył sobie dodatkową godzinę snu. Mimo to jego stan nadal się pogarszał; może zresztą nie tyle pogarszał, ile nie chciał się poprawić. Chyba faktycznie już nie te lata; trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Zdawał sobie przecież sprawę, że niezależnie od tego, ile nad sobą pracować, każdy jest tylko człowiekiem. Trudno, to żadna hańba, nawet jeśli dotąd za wszelką cenę próbowało się takiej hańby uniknąć.

Wreszcie sam zaczął głośno narzekać na swój stan. Towarzysze broni okazywali współczucie. Wszyscy byli młodszy od niego, a wielu z nich służyło pod jego komendą od pięciu lat, nawet dłużej.

Podziwiali go za to, że taki twardy; na tyle twardy, że można mu wybaczyć pół sekundy słabości, która stanowiła najlepszy dowód na to, że dowódca jest takim samym człowiekiem jak oni, i za którą tym bardziej trzeba go cenić. Kilku młodych zaproponowało domowe leki, lecz ostatecznie jeden z bliskich przyjaciół i towarzyszy broni ofukał go i stwierdził, że głupio robi, unikając lekarza. Miejscowy doktor, zresztą szwagier rozmówcy, cieszył się dobrą sławą, bądź co bądź ukończył w swoim czasie cenioną brytyjską akademię medyczną. Ponieważ była najwyższa pora, żeby zająć się niedomagającym zdrowiem, skorzystał z tej porady.

Doktor rzeczywiście znał swój fach. Siedząc za biurkiem w nakrochmalonym, śnieżnym fartuchu laboratoryjnym, spisał najpierw historię chorób nowego pacjenta, a potem dokonał wstępnych oględzin. Na pozór wszystko było w porządku. Doktor wspomniał coś o napięciu nerwowym - na ten temat jego pacjent nie potrzebował dodatkowych wykładów - i zauważył, że z biegiem lat stres zaczyna zbierać żniwo w każdym organizmie. Najlepsza kuracja to odpowiednia dieta, umiar w wyczerpujących ćwiczeniach fizycznych, dużo odpoczynku. Zdaniem doktora, dolegliwość brała się w tym wypadku ze splotu całej masy drobnych czynników, spośród których lekarz wymienił błahe, ale dokuczliwe zaburzenia gastryczne - zaraz zapisze na nie lekarstwo. Medyk zakończył swój wykład dramatycznym monologiem na temat pacjentów, którzy wiedzeni fałszywą męską dumą wstydzą się poddać leczeniu, a potem gorzko tego żałują. Pacjent przytakiwał gorliwie, okazując należny fachowcowi szacunek. Sam często udzielał swoim podwładnym całkiem podobnych pouczeń. Postanowił więc, jak to miał w zwyczaju, robić dokładnie to, co nakazał doktor.

Lekarstwo przynosiło ulgę może przez tydzień. Żołądek prawie doszedł do normy. Polepszenie nie było jednak całkowite. A może? Pacjent słynnego doktora z irytacją stwierdził, że w ogóle nie pamięta rozmaitych dupereli, na przykład tego, jak w przeszłości czuł się po przebudzeniu. Istniało w końcu tyle dużo ważniejszych spraw, wielkich idei, które nakazywały dążyć do szlachetnego celu bez oglądania się na potrzeby ciała. Ciało niechaj sobie radzi jak chce, byleby nie przeszkadzało w pracy umysłu. Umysł wydaje rozkazy i spodziewa się, że zostaną wykonane. Komu potrzebne jeszcze jakieś dolegliwości? Jak osiągnąć cel, kiedy ból nie pozwala się na niczym skoncentrować? Wiedział, że cokolwiek by się działo, musi wypełnić zadanie, jakie wiele lat wcześniej postawiło przed nim życie.

Dolegliwość nijak nie chciała ustąpić. Udał się zatem powtórnie do lekarza. Tym razem doktor zbadał go dokładniej. Pacjent cierpliwie zniósł opukiwanie i ugniatanie, a także upuszczanie krwi cienką igłą, jakże różną od groźnych narzędzi, które widział w myślach przed wizytą. Choroba może okazać się całkiem poważna, zauważył wreszcie doktor, być może chodzi nawet o bakteryjne zakażenie organizmu. Są jednak i na to lekarstwa. Ot, malaria, niegdyś endemiczna w całym ich regionie, wywołuje bardzo podobne objawy, a nawet jeszcze poważniejsze, podobnie jak wiele innych schorzeń, kiedyś traktowanych jako bardzo groźne, lecz dziś leczonych z łatwością dzięki cudownym zdobyczom współczesnej medycyny. Dokładna analiza laboratoryjna wykaże, o co chodzi, trzeba tylko wypisać skierowanie. Doktor zdawał sobie sprawę, jaki jest życiowy cel jego nowego pacjenta, i w pełni podzielał te idee, co prawda z nieco innej perspektywy i z bezpiecznej odległości.

Pacjent powrócił do gabinetu dwa dni później i natychmiast zorientował się, że coś jest nie tak. Podobne spojrzenie, jakie posłał mu doktor, przychodziło mu nieraz oglądać u swojego szefa komórki wywiadowczej. Musiało stać się coś nieoczekiwanego, coś, co pokrzyżuje wszystkie plany. Doktor tym razem przemawiał powoli, dobierając słowa i próbując delikatnie przekazać pacjentowi prawdę. Pacjent jednak chciał wiedzieć wszystko, natychmiast. Nie po to przez tyle lat narażał życie, żeby teraz bawić się w aluzje i półsłówka. Lekarz z szacunkiem pokiwał głową i odpowiedział szczerością na szczerść. Pacjent beznamiętnie wysłuchał diagnozy. Los przyzwyczał go do

rozmaitych rozczarowań. Zdawał sobie sprawę, co czeka każdego po najdłuższym życiu, zwłaszcza że sam nieraz pomagał innym osobiście się o tym przekonać. Trudno. Tym razem przyszła i na niego kryśka; los może bezlitosny, a może do uniknięcia. Może. Na pewno coś, z czym się trzeba liczyć. Zapytał więc, czy ma jakąś szansę, a odpowiedź natchnęła go nowym optymizmem. Doktor nie starał się go pocieszać na siłę, lecz odczytując myśli pacjenta, przedstawił mu wszystkie niezbędne fakty. To i owo da się jeszcze zrobić. Kuracja może się udać, choć nie na sto procent. Czas wszystko pokaże. Silny organizm na pewno będzie pomocny w walce z chorobą, podobnie jak żelazna wola pacjenta. Zdaniem doktora, u chorego najważniejsze jest wewnętrzne nastawienie. Słyszając to, badany chciał wesoło się roześmiać, lecz powstrzymała go myśl, że lepiej będzie wykazać stoicką odwagę aniżeli łudzić się idiotyczną nadzieją. Ostatecznie, cóż to takiego śmierć? Tyle lat żył, walcząc o sprawiedliwość, o wypełnienie woli Najwyższego. Czyż nie poświęcił życia na ołtarzu wielkiego posłannictwa?

Wciąż jednak się gryzł. Nie przywykł planować porażek. Dawno temu obrał sobie życiowy cel i postanowił go osiągnąć, niezależnie od tego, ile miało to kosztować jego czy innych. Na tym właśnie ołtarzu złożył wszystkie swoje przyszłe nadzieje, wszystkie marzenia zmarłych rodziców, wykształcenie, które ojciec i matka dali mu w nadziei, że dzięki niemu polepszy sobie życie. Również normalne życie, życie z kobietą, która mogłaby urodzić mu synów - i tego się wyrzekł, wybierając ścieżkę pełną trudów, niebezpieczeństw, lecz nieustępliwie prowadzącą do godnego celu.

I co teraz? Całe poświęcenie na próżno? Czyżby życie miało stracić sens? Ma więc nigdy nie ujrzeć dnia, na który tak czekał? Czy Bóg może być aż tak okrutny? Powoli obracając w głowie wszystkie te myśli, pacjent zachowywał kamienną twarz i swoim zwyczajem unikał spojrzenia w oczy. Nie, tak być nie może! Niepodobna, by Allach mógł go w ten sposób opuścić. Był pewien, że mimo wszystko doczeka dnia zwycięstwa, i że zrobi wszystko, by dzień ten jak najbardziej przybliżyć. Tylko dzięki temu życie nadal zachowa jakiś sens. Wszystko, co przeżył, nie mogło pójść na marne, nie wolno roztrwonić czasu, który jeszcze pozostał. To ostatnie postanowienie utkwiało mu szczególnie mocno w pamięci.

Ismael Kati posłusznie zastosował się do wskazań doktora. Uczyni wszystko co niezbędne, by wydłużyć dany mu czas. Być może nawet uda mu się pokonać wroga, który wkraść się w organizm, zdradliwego i tak samo godnego pogardy, jak prawdziwi wrogowie dookoła. Tymczasem, myślał Kati, trzeba się jeszcze bardziej starać, trzeba wycisnąć z siebie absolutnie wszystko i szukać nadziei w Bogu. Szukać znaków, które zsyła Najwyższy. Zawsze dotąd walczył z wrogami, dziś z taką samą odwagą i całkowitym poświęceniem będzie walczył i z nowym przeciwnikiem. Ponieważ nie znał w życiu litości, tym bardziej nie okaże jej teraz. Jeżeli jego samego czeka śmierć, nie warto przejmować się śmiercią innych. Nie o to jednak chodzi, by zacząć mordować na ślepo. Trzeba czynić to, co do człowieka należy. Trzeba żyć tak samo, jak dotąd i wypatrywać okazji, która, jak podpowiadała Katiemu wiara, czeka na niego na drodze, daleko przed końcem szlaku, na razie jednak wciąż niewidoczna. Swoją niezłomność Kati zawsze zawdzięczał własnej inteligencji. Jej też zawdzięczał fakt, że nie miał sobie równych.

W LABIRYNTACH

List przekazany telefaksem z uniwersytetu Georgetown dosłownie w kilka minut dotarł do właściwego rzymskiego biura, gdzie następnie, jak w każdej biurokratycznej instytucji, dyżurujący urzędnik (który pełnił służbę zwaną w gwarze szpiegowskiej nocną wachtą) położył kartkę na wskazanym biurku i powrócił do przedegzaminacyjnej lektury pism metafizycznych Tomasza z Akwinu. Nazajutrz, punktualnie o siódmej rano, młody ksiądz jezuita imieniem Hermann Schörner, prywatny sekretarz Francisca Alcaldy, ojca generała Towarzystwa Jezusowego, zasiadł przy tym samym biurku i zaczął przeglądać poranną pocztę. Telefaks z Ameryki, który był trzecią kolejną przesyłką, sprawił, że młody jezuita zamarł z wrażenia. Szyfrowanie wiadomości stanowiło, oczywiście, dla Schörnera rutynowe zajęcie, lecz nie było ku temu okazji aż tak często. Zakodowany dopisek w nagłówku telefaksu oznaczał miejsce nadania i stopień pilności. Ojciec Schörner pospiesznie przerzucił resztę poczty i natychmiast zabrał się do pracy.

Procedura, której się trzymał, stanowiła dokładne odwrócenie czynności ojca Riley'a, choć trzeba zaznaczyć, że Schörner znacznie lepiej pisał na maszynie. Najpierw jednak Schörner musiał za pomocą czytnika optycznego wpisać tekst do komputera i wystukać hasło, które uruchamia program do deszyfracji. W kilku miejscach trzeba było poprawić zniekształcenia powstałe przy faksowaniu, lecz były to drobiazgi. Wkrótce z cichobieżnej drukarki wysunął się czysty wydruk (oczywiście nadal w starożytnej grece). Podczas gdy ojciec Riley mozolił się nad kartką trzy godziny, Schörnerowi to samo zadanie zajęło dwadzieścia minut. Młody ksiądz zaparzył poranną kawę dla siebie oraz dla swojego zwierzchnika i, pijąc drugą tego dnia filiżankę, przeczytał odszyfrowany list. Doprawdy nadzwyczajne, pomyślał.

Wielebny Francisco Alcalde, choć już starszawy, odznaczał się rzadką żywotnością. Mimo ukończenia sześćdziesięciu sześciu lat, wciąż całkiem nieźle sobie radził na korcie; podobno brał też często udział w papieskich wypadach na narty. Chudego, żylastego i wysokiego na metr dziewięćdziesiąt generała zakonu łatwo było rozpoznać także po szczotce siwych włosów nad parą głęboko osadzonych, swoich oczu. Alcalde słynął jako tęga głowa: władał jedenastoma językami i gdyby nie to, że wybrał suknię duchowną, zostałby pewnie największym w Europie znawcą historii średniowiecznej. Przede wszystkim jednak czuł się księdzem, choć obowiązki administracyjne kłóciły się w nim wciąż z pragnieniem, by poświęcić się bez reszty nauce i służbie duszpasterskiej. Jeszcze kilka lat i będzie mógł przekazać komu innemu stanowisko generała największego i najpotężniejszego zakonu w całym Kościele rzymskokatolickim, zostanie znów zwyczajnym wykładowcą, który po zajęciach ze studentami może iść odprawiać mszę w parafialnym kościółku gdzieś w robotniczej dzielnicy i pochylać się nad zwyczajnymi potrzebami prostych ludzi. Tak, to właśnie byłoby dla niego największym błogosławieństwem w życiu, co błogosławieństwem zaznało bez liku. Generał znał własną niedoskonałość i często musiał walczyć z pychą, która często towarzyszy pierwszorzędnym umysłom. Uparcie, choć z rozmaitym skutkiem, usiłował znaleźć w sobie pokorę właściwą duchownemu powołaniu. Często jednak musiał przyznawać, wzdychając w duchu, że doskonałość to dla niego wciąż bardzo odległy cel, i uśmiechał się na myśl o swoich dylematach.

- Guten Morgen, Hermann - przywitał sekretarza, zamasyście przekraczając próg.

- Bongiorno! - odpowiedział niemiecki jezuita, po czym przeszedł na grekę: - Przyszło tu dziś

coś ciekawego.

Na te słowa generał podniósł krzaczaste brwi i machnął ręką w stronę gabinetu. Schörner podążył za nim, z kawą na tacy.

- Zarezerwowałem kort tenisowy na czwartą - potwierdził sekretarz, nalewając kawę.

- Chcesz mnie znowu pogłębić?

W Watykanie żartowano czasem, że miody Schörner mógłby przejść na zawodowstwo, a pieniądze wygrane podczas turniejów przekazywać na rzecz Towarzystwa, którego członkowie są zobowiązani przestrzegać ślubów ubóstwa.

- No, kto tam do nas pisze?

- Ojciec Timothy Riley z Waszyngtonu - odrzekł Schörner, wręczając przesyłkę.

Alcalde nałożył okulary i powoli przeczytał list. Nie tknął nawet przy tym swojej kawy, a kiedy dotarł do ostatniej strony, ponownie przerzucił stronicę. Jako badacz, generał rzadko wypowiadał się o czymkolwiek bez uprzedniego namysłu.

- Nadzwyczajne. Słyszałem już coś o tym Ryanie... To ktoś z wywiadu, prawda?

- Zastępca dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej. To my go wykształciliśmy, w Boston College i na Georgetown. Teraz siedzi głównie za biurkiem, poprzednio jednak brał udział w kilku ważnych operacjach. Nie znamy wszystkich szczegółów, ale wygląda na to, że nigdy nie angażował się w brudne afery. Mamy na jego temat trochę materiału. Ojciec Riley wyraża się o tym doktorze Ryanie nader pochlebnie.

- W samej rzeczy - Alcalde znów spojrzął na przesyłkę i zamyślił się. Znał Rileya od trzydziestu lat. - Myślę, że może to być zupełnie szczerą inicjatywą. A ty, co sądzisz o całym pomysle, Hermannie?

- Jeśli się sprawdzi, okaże się niewątpliwie darem niebios. - Schörner wypowiedział te słowa bez cienia ironii.

- I ja tak uważam. A niebiossa nie lubią czekać. Myślisz, że prezydent USA stoi za tym wszystkim?

- Sądzę raczej, że nikt nie powiedział mu na razie słowa. Ale wkrótce się dowie. Trudno, taki już jest. Bardzo wiele mu trzeba wybaczać - Schörner wzruszył ramionami.

- Podobnie jak nam wszystkim - zauważył Alcalde, zapatrzony w przeciwległą ścianę.

- To prawda, ojcze.

- Jak tam mój dzisiejszy grafik?

Schörner z pamięci wyrecytował listę spotkań.

- Znakomicie... Zadzwoń, proszę, do kardynała D'Antonia i powiedz, że mam coś ważnego. Jeśli będzie potrzeba, przetasuj moje spotkania. Akurat z tym nie powinniśmy zwlekać. Aha, i zadzwoń do Timothy'ego, podziękuj mu za wiadomość i powiedz, że zrobię co w mojej mocy.

Ryan ocknął się opornie o wpół do szóstej rano. Słońce wstawało dopiero pomarańczową i różową zorzą między pniami drzew szesnaście kilometrów od domu, na wschodnim wybrzeżu Marylandu. Najpierw przyszło mu do głowy, żeby zaciągnąć story, bo dziś akurat Cathy nie musiała jechać do swojej kliniki, ale dlaczego? Przypomniał sobie powód dopiero w połowie drogi do łazienki. Następna decyzja dotyczyła przełknięcia dwóch tabletek tylenolu na ból głowy. Za dużo wypił poprzedniego wieczora, podobnie jak przedwczoraj i trzy dni temu... Ale co robić? Bez alkoholu nie potrafił już zasnąć, mimo wydłużających się wciąż godzin pracy i mimo zmęczenia, które...

- Niech to szlag! - sapnął, wykrzywiając się do lustra.

Wyglądał jak ruina. Podreptał z powrotem do kuchni zrobić sobie kawę. Dopiero po kawie świat zaczyna dochodzić do normy. Na widok butelek po winie na kuchennym blacie żołądek Jacka Ryana skręcił się w ciasną, nienawistną kulę. Półtorej butelki, teraz sobie przypomniał. Półtorej, wcale nie dwie, jak myślał. W drugiej butelce coś jeszcze zostało, więc nie może być aż tak źle. Ryan przycisnął włącznik ekspresu do kawy i przeszedł do garażu. Usiadł za kierownicą kombi, otworzył zdalnie kierowane drzwi i podjechał kilkadziesiąt metrów do bramy, gdzie czekała poranna gazeta. Wprawdzie odległość do bramy i z powrotem nie była zbyt daleka, ale tego ranka Jack Ryan nie miał nastroju do spacerów, a poza tym, do diabła, jeszcze się nie zdążył ubrać. O, właśnie - nie był ubrany. Radio w samochodzie, nastawione na stację podającą non-stop wiadomości, zasypało Jacka pierwszą tego dnia falą informacji o tym, jak kręci się świat. Wyniki meczów futbolu amerykańskiego. W baseballu drużyna Orioles znów przerznęła. O, fatalnie: obiecał przecież zabrać syna na mecz. Obiecał mu to solennie niedawno, kiedy to po raz nie wiadomo który nie przyszedł kibicować mu w meczu ligi dziecięcej. "No to kiedy się z nim wybierzesz?" - w myślach zapytał Jack samego siebie. "Może znów będziesz czekał do kwietnia? Niech to szlag".

Ale bez paniki, przed nimi był jeszcze cały sezon. Na razie nie zaczęły się nawet letnie wakacje. Wybiorą się na mecz na pewno. Nie ma sprawy. Jack cisnął poranną "Washington Post" na tylne siedzenie i zawrócił do domu. Kawa zdążyła się już zaparzyć - pierwsza dobra nowina tego poranka. Ryan nalał sobie wielki kubek i postanowił nie jeść śniadania. Znów bez jedzenia? Niedobrze, stary, podszepnął mu głos wewnętrzny. Nie ma sensu dodatkowo macerować żołądka, który i tak jest w kiepskim stanie, a dwa kubki mocnej czarnej kawy wcale mu nie pomogą. By zignorować podszepty głosu wewnętrznego, Ryan zmusił się do lektury gazety.

Mało kto zdaje sobie sprawę, w jak ogromnym stopniu służby wywiadowcze polegają na informacjach środków masowego przekazu. Wynika to po części z pokrewieństwa obu instytucji. Obie parają się podobnymi zajęciami, a co więcej, wywiad nie ma rynkowego monopolu na najlepsze mózgi. Ryan zastanowił się nad tym i zauważył, że gazety, w odróżnieniu od jego firmy, nie płacą swoim informatorom. Poufne źródła, na jakie powołują się dziennikarze, to najczęściej ludzie, których do ujawnienia sekretnej informacji pcha gniew albo wyrzuty sumienia. Z tego właśnie, nie innego powodu, ludzie ci dostarczają pierwszorzędnych danych. Każdy doświadczony oficer służb specjalnych może potwierdzić, że gniew i zasady moralne najskuteczniej ze wszystkiego popychają nas do sprzedawania rozmaitych smakowitych tajemnic. Prócz tego, choć dziennikarstwo tradycyjnie jest domeną ludzi leniwych, również i tam trafiło paru sensownych gości, zwabionych pokusą lepszej płacy niż w wywiadzie. Ryan od dawna wiedział z góry, że artykuł opatrzony tymi czy innymi inicjałami zasługuje na staranną, uważną lekturę. Pamiętał też, by zawsze sprawdzić datę w nagłówku depeszy. Jako zastępca szefa CIA orientował się doskonale, którzy szefowie poszczególnych działów znają się na rzeczy, a którzy nie, i dlatego na przykład wiedział, że "Washington Post" dostarczy mu dokładniejszych informacji niż szefostwo sekcji niemieckiej. Na Bliskim Wschodzie na razie cisza. Bałagan w Iraku zaczynał się nareszcie uspokajać. Nowy układ sił w tamtym kraju powoli nabierał kształtów. Nareszcie. Gdyby jeszcze udało nam się coś wykombinować ze stroną izraelską... Przyjemnie byłoby zaprowadzić tam jakiś porządek, stwierdził w duchu Ryan. Uważał zresztą, że jest to całkiem możliwe. Konfrontacja Wschodu i Zachodu, która zaczęła się zanim się jeszcze urodził, przeszła do historii. Któż by w to uwierzył? Ryan, nie patrząc, dolał sobie kawy i jak zwykle, nawet na kacu, nie uрониł ani jednej kropli. To, co zaszło w ciągu paru zaledwie lat, zajęło mniej czasu, niż on sam spędził w Agencji. Kto by to, kurczę, pomyślał.

Wszystko stało się tak nagle, że Ryan zapytywał wręcz samego siebie, jak długo będzie się pisało o tym książki. Pewno przez całe pokolenia. A tu masz, za tydzień miał odwiedzić centralę w

Langley pod Waszyngtonem wysłannik KGB, szukający porady na temat organizacji parlamentarnego nadzoru nad wywiadem. Ryan głośno odradzał tę wizytę, co sprawiło, że przygotowywano ją w ścisłej tajemnicy, ze względu na fakt, że Agencja nadal miała na swoich usługach sporo Rosjan, których przeraziłaby z pewnością nowina, że KGB i CIA nawiązały oficjalne kontakty (i odwrotnie, pomyślał Ryan, rzecz odnosi się także do Amerykanów na usługach KGB... Prawdopodobnie). Wysłannikiem był zresztą stary przyjaciel, Siergiej Gołowko. Ładny mi przyjaciel, sapnął Ryan, zaglądając do działu sportowego. Największą wadą porannego wydania jest to, że nigdy nie zdążą w nim podać wyniku wieczornego meczu...

Jack znów skierował kroki do łazienki, choć tym razem w sposób bardziej cywilizowany. Przebudził się w końcu, choć w żołądku nadal czuł gorycz istnienia. Pomogły dopiero dwie tabletki sody. Nareszcie zaczął też działać tylenol. W pracy trzeba będzie łyknąć jeszcze ze dwie piguły. Kwadrans po szóstej Jack Ryan zdążył wyjść spod prysznica, ogolić się i ubrać. Wychodząc pocałował śpiącą jeszcze Cathy, która skwitowała gest sennym mruknięciem, i wyszedł za próg dokładnie w tej samej chwili, kiedy przed dom zajechał jego wóz. Ryana gnębił w jakiś sposób fakt, że aby tutaj dotrzeć, kierowca musiał się zerwać jeszcze wcześniej od niego. Tym bardziej, że dobrze znał tego kierowcę.

- Witam doktora - rzekł na jego widok John Clark, wykrzywiając usta w uśmiechu. Ryan wśliznął się na przednie siedzenie. Usiąść z tyłu oznaczałoby dla niego w jakiś sposób obrazić kierowcę, poza tym z przodu mógł rozprostować nogi.

- Cześć, John - odpowiedział.

Pan doktor znowu wieczorem zabarłozzył, pomyślał John. Co za pajac; jak na takiego mądrego faceta zachowuje się niczym ostatni idiota. O bieganiu też się zapomniało, co? John Clark spojrział na pasek i talię zastępcy dyrektora. Nie szkodzi, przyjdzie pora, że zrozumie to samo, co zrozumiał kiedyś Clark, a mianowicie, że zarywanie nocy przy flaszcze to zajęcie dla młodych gówniarzy. John Clark był młodszy niż obecnie Ryan, kiedy stał się apostołem kondycji fizycznej. Z jego rachunków wynikało, że zmiana obyczajów co najmniej raz pozwoliła mu już ocalić własne życie.

- Cichy dyżur - poinformował jeszcze Clark, ruszając sprzed domu.

- To fajnie. - Ryan podniósł aktówkę z raportami i wykręcił kombinację szyfru. Otworzył teczkę dopiero, kiedy zamrugało na niej zielone światełko. Clark miał rację, niewiele nowego. W połowie drogi do Waszyngtonu zdążył już wszystko przeczytać i skreślić kilka notatek.

- Podskoczmy wieczorem odwiedzić Carol i dzieciaki? - zapytał Jacka Clark, gdy przejeżdżali wiaduktem nad marylandzką szosą numer trzy.

- Prawda, dziś termin.

- Ano, właśnie.

Odwiedziny stanowiły cotygodniowy punkt programu. Carol Zimmer była Laotanką, wdową po sierżancie lotnictwa Bucku Zimmerze, któremu Ryan obiecał przed śmiercią, że zajmie się jego rodziną. Mało kto wiedział o tej umowie, a jeszcze mniej ludzi znało prawdę o akcji, w której zginął Buck. Ryan był jednak niezmiernie dumny z funkcji opiekuna. Obecnie Carol Zimmer wzięła w ajencję sklepik sieci handlowej "7-11" przy trasie z Waszyngtonu do Annapolis, dzięki czemu jej rodzina zyskała stałe i legalne źródło dochodów. W połączeniu z rentą po mężu i z funduszem oszczędnościowym, założonym przez Jacka Ryana, pieniądze te gwarantowały, że każde z ośmiorga dzieci Carol stać będzie w przyszłości na wyższe studia. Najstarszy syn już je nawet rozpoczął. Do końca pozostawała jednak daleka droga, bo najmłodsze dziecko Zimmerów było dopiero w pieluchach.

- Te bandziory molestują ich jeszcze? - zapytał kierowcę Jack. John Clark spojrział tylko na

niego z pełnym politowaniem uśmiechem.

Tuż po otwarciu sklepu zaczęła go nachodzić zgraja miejscowej żulii, której nie w smak było, że Laotanka z chmarą kolorowych dzieciaków stała się właścicielką czegokolwiek w tej wciąż na poły wiejskiej okolicy. Wreszcie Carol poskarżyła się na nich Clarkowi, który udzielił miasteczkowym frantom jednego ostrzeżenia. Zlekceważyli je w swojej głupocie. Być może wzięli Clarka za emerytowanego policjanta, kogoś, kim nie warto zawracać sobie głowy. Wówczas John i jego hiszpańskojęzyczny przyjaciel zrobili porządek, a kiedy prowodyr bandy wyszedł już ze szpitala, wizyty młodzieńców w sklepie ustały jak nożem uciął. Miejscowa policja podeszła do zajścia ze zrozumieniem, a obroty sklepu natychmiast podskoczyły o dwadzieścia procent. Ciekawe, czy temu cwaniakowi będzie się zginać kolano, pomyślał Clark w rozmarzeniu. Może weźmie się teraz do uczciwej pracy...

- Jak tam dzieciaki?

- No, trochę się trudno przyzwyczaić do tego, że najstarsze już studiuje. Sandy nieco markotno samej... Doktorze?

- O co chodzi, John?

- Przepraszam, że się wtrącam, ale wygląda, że się pan sforsował. Może by tak trochę poluzować?

- Cathy powtarza mi to samo. - Jack Ryan miał oczywiście ochotę powiedzieć kierowcy, żeby pilnował swego nosa, ale facetom w rodzaju Clarka trudno się było postawić. Poza tym, Jack traktował go jak przyjaciela. I w dodatku, Clark miał świętą rację.

- Jest lekarką, to pewnie wie, co mówi - zauważył Clark.

- Jasne, jasne. Wszystko przez to, że mam... Mam trochę pilnej roboty. Tyle się ciągle dzieje, że...

- Trzeba ćwiczyć, wtedy gorzała nie szkodzi. Cholera, nie znam bystrzejszego faceta niż pan. Trzeba wziąć się w garść. Koniec kazania. - Clark wzruszył ramionami i skoncentrował całą uwagę na porannych zatorach.

- Wiesz co, John? Gdybyś zdecydował się za młodu zostać doktorem, wszystkich byś uzdrowił - zauważył Jack Ryan i zachichotał.

- A to dlaczego?

- Gdybyś z równym przekonaniem walnął im taki tekst u wezglowia, baliby się zachorować.

- Jestem najspokojniejszym facetem pod słońcem - sprzeciwił się Clark.

- Jasne, nikt jeszcze nie dożył chwili, kiedy robisz się naprawdę wściekły. Korkują już wtedy, kiedy wpadasz w lekką irytację.

Oto dlaczego Clark został kierowcą Jacka Ryana. Jack sam załatwił mu przeniesienie z pionu operacyjnego na etat agenta ochrony. Cabot, nowy dyrektor Agencji, zwolnił ze służby aż dwadzieścia procent kadry operacyjnej, a ludzie z doświadczeniem wojskowym poszli pierwsi pod nóż. Nie chcąc ryzykować utraty talentów Clarka, Ryan nagiął dwa przepisy i bezwstydnie złamał trzeci, wszystko po to, by zrobić z Johna szofera. Dopomogli mu w tym Nancy Cummings i dobry przyjaciel w pionie organizacyjnym. Co więcej, Jack mógł się czuć zupełnie swobodnie przy swoim kierowcy, który w wolnych chwilach szkolił młokosów z jednostki ochrony. Na dodatek okazało się, że Clark wyśmienicie prowadzi i, jak zwykle, również i dziś punktualnie zwiózł Ryana do podziemnego parkingu w Langley.

Buick należący do Agencji zatrzymał się w wydzielonym sektorze. Ryan wysiadł i zadzwonił kluczami. Ten, który uruchamiał dyrektorską windę, znalazł, oczywiście, na końcu. Dwie minuty później Jack Ryan był już na siódmym piętrze i maszerował korytarzem do swojego gabinetu. Biura

zastępcy dyrektora sąsiadują z długim, wąskim apartamentem zajmowanym przez szefa Agencji, który dziś jednak nie spieszył się z przybyciem. Okna niewielkiego i, jak na funkcję człowieka numer dwa w głównej agencji wywiadowczej kraju, zaskakująco skromnie urządzonego gabinetu, wychodziły na parking dla gości, za którym majaczyła kępa sosen, oddzielających tereny centrali CIA od autostrady Waszyngtona i doliny rzeki Potomac. Po swojej krótkiej karierze zastępcy szefa pionu rozpoznania, Ryan zatrzymał Nancy Cummings jako sekretarkę. Clark również zasiadł przy swoim biurku, przerzucając przyniesione mu raporty. Przygotowywał się już do porannej konferencji ochroniarzy. Tematem miały być sygnały o wzmożonej aktywności niektórych grup terrorystycznych. Nikt wprawdzie nie próbował dotąd dokonać jakiegoś poważnego zamachu na życie dyrektorów Agencji, lecz sekcja ochrony nie ma za zadanie roztrząsania przeszłości. Tematem jest przyszłość. Jeśli zaś chodzi o jej przewidywanie, z zasługami CIA bywało rozmaicie. Ryan znalazł na swoim biurku kolejny, starannie ułożony stos raportów, zbyt ważnych, by wozic je pod kluczem w samochodzie. Pospiesznie przygotował się do porannego zebrania z szefami poszczególnych pionów, któremu miał przewodniczyć wspólnie z dyrektorem. W gabinecie stał ekspres do kawy, a obok niego czysty, nigdy nie używany kubek, ofiarowany Ryanowi przez człowieka, który niegdyś wprowadził go do Agencji - wiceadmirala Jamesa Greera. To Nancy wybrała dla kubka takie miejsce, wskutek czego Jack Ryan nie mógł zacząć dnia, nie wspominając nieżyjącego szefa. Cóż, do roboty. Jack przetarł oczy i usiadł nad papierami. Jakież to nowe, interesujące niespodzianki zgotował mu dziś ziemski padół?

Drwal, czego można się było spodziewać, stanowił okaz tężyzny: metr dziewięćdziesiąt dwa wzrostu, sto kilo wagi, jak przystało na byłego obrońcę w stanowej lidze futbolu amerykańskiego. Zamiast iść na studia, wstąpił do piechoty morskiej. Mógł oczywiście skorzystać ze stypendium, jakie mu ofiarowywano w Oklahomie i w Pitt University, ale nie chciał tego. Wiedział aż za dobrze, że nie ma ochoty rozstawać się ze swoim Oregonem, a tymczasem dyplom wyższej uczelni niósłby za sobą konieczność pożegnań. Może zostałby zawodowym piłkarzem, a potem wcisnął się w garnitur? Bzdura, od dzieciństwa najbardziej lubił las. Zarabiał teraz i tak nieźle, założył rodzinę w miasteczku, w którym miał pełno przyjaciół, żył zdrowo i zwyczajnie, i nie miał sobie równych, gdy szło o spiłowanie drzewa w sposób miękki i łagodny. Radził sobie z najtrudniejszymi pniami.

Szarpnął za linkę potężnej, dwuosobowej piły łańcuchowej. Również pomocnik bez pytania podniósł z ziemi rękojeść po swojej stronie. Przedtem podcięli drzewo toporem o dwóch ostrzach, teraz przyszła pora na staranną robotę. Drwal śledził jednym okiem piłę, a drugim baczył na to, jak zachowuje się drzewo. Zrobić to właściwie to prawdziwa sztuka. Uważał za punkt honoru nie zmarnować ani centymetra pnia więcej niż to niezbędne, nie tak, jak chłopaki z tartaku w dolinie. Inna sprawa' że akurat tego pniaczka tartak nawet by nie tknął. Obaj mężczyźni wykończyli pierwsze cięcie i nie odsapnąwszy nawet zaczęli żłobić drugie. Tym razem operacja zabrała im cztery minuty. Drwal w napięciu śledził każdy szczegół. Czując na twarzy podmuch wiatru, poślinił palec i upewnił się, że wieje z tej strony, co trzeba. Niezależnie od wymiarów każde drzewo natychmiast poddaje się podmuchom, szczególnie jeśli do połowy nadpiłować mu pień...

Wierzchołek zachwiał się wreszcie... Rychło w czas. Drwal wycofał piłę i machnął ręką na pomocnika, jakby kazał mu tym gestem obserwować każdy swój ruch i spojrzenie. Młody chłopak skinął energicznie głową. Jeszcze tylko ćwierć metra, pomyślał drwal. Ostatnie centymetry cięli w ślimaczym tempie; niszczyło to łańcuch piły, lecz zapewniało bezpieczeństwo. Ubezpieczający ich pozostali mężczyźni śledzili najłżejsze tchnienie wiatru, i... Już!

Drwal wyszarpnął piłę i cisnął ją na ziemię. Pomocnik, który tylko na to czekał, odbiegł dziesięć metrów od drzewa w ślad za swoim szefem. Obaj skupili wzrok u nasady pnia. Jeśli pień ma

podskoczyć, zobaczą w porę, co się święci.

Na szczęście nic się takiego nie stało. Jak zawsze, wydawało się, że upadek trwa całe wieki. Drwal wiedział dokładnie, dlaczego tę właśnie chwilę tak uwielbiają filmować "zieloni" z organizacji Sierra Club. Upadek następował powoli, w tak wielkim bólu, jak gdyby drzewo naprawdę wiedziało, że umiera i na próżno usiłowało się jeszcze bronić. Trzask rozdzieranych włókien przywodził na myśl jęk ludzkiej rozpacz. Rzeczywiście, ten moment przypomina trochę śmierć, pomyślał drwal. Nawet jeśli to tylko głupie drzewo. Rozstęp u nasady pnia począł rosnać, drzewo przechyliło się, coraz szybciej pędząc na spotkanie z ziemią. Niebezpieczeństwo czaiło się właśnie u nasady, i dlatego drwale nadal nie spuszczała oka z tego miejsca. Kiedy drzewo znajdowało się już pod kątem czterdziestu pięciu stopni do ziemi, puściły ostatnie włókna. Szeroki pień podskoczył dobry metr w górę, dygocząc niczym człowiek w śmiertelnych drgawkach. Przerażliwy trzask, a po nim świst powietrza ciętego padającą koroną. Drwal zastanowił się, czy wierzchołek drzewa podczas upadku mknie szybciej niż dźwięk. Ee, chyba nie. Na pewno wolniej... I nagle - ŁUPS! Nawet padając na rozmiękły grunt, drzewo rzeczywiście podskoczyło, choć niegroźnie. Potem zamarło w bezruchu, zamienione w zwykłe drewno. Mimo wszystko ścinającym było go trochę żal. Takie piękne drzewo.

Ku zdumieniu drwala, do pnia podbiegł natychmiast kupiec z Japonii, dotknął kory i wymruczał coś, co zapewne było modlitwą. Amerykanin nie wiedział, co o tym myśleć; podobnych gestów prędeż już można by się spodziewać u Indianina. Ciekawe, ciekawe. Drwal nie miał oczywiście pojęcia, że szintoizm to religia zbliżona do innych form kultu natury, takich jak wierzenia amerykańskich Indian. Pogaduszki z duchem drzewa? Eee tam. Japończyk podszedł z kolei do drwala.

- Zna pan swoją sztukę - zauważył cudzoziemiec i leciutko skłonił głowę.

- Miło, że pan tak myśli - drwal również się odklonił. Pierwszy Japończyk, jakiego spotykam w życiu, pomyślał. Wygląda na zupełnie normalnego faceta. Coś takiego, modlitwa do ściętego drzewa... Ta nacja ma swój styl, skonstatował.

- Żal zabijać coś tak wspaniałego.

- Pewno, trochę żal. Czy to prawda, że te pnie przeznaczacie dla świątyni?

- Owszem, owszem. W naszym kraju już takie nie rosną, a nam potrzebne są cztery potężne belki. Dwadzieścia metrów każda. Może nawet uda się je wszystkie wyciosać z jednego pnia - dodał Japończyk, powtórnie spoglądając na powalonego leśnego olbrzyma. - Bo tak każe tradycja świątyni, wszystkie belki z tego samego pnia.

- Wygląda, że się nada - brzmiała fachowa ocena drwala. - To jakaś stara świątynia?

- Ma tysiąc dwieście lat. Stare belki... Dwa lata temu popękały przy trzęsieniu ziemi, trzeba je prędko wymienić. Jeśli los zechce, te nowe wytrzymają równie długo. Mam taką nadzieję. To dobre drewno.

Pod nadzorem wysłannika z Japonii drwale pocięli powalone drzewo na kilka części, które dadzą się zwieźć ze stoku. Nie oznaczało to, że zwózka będzie łatwym zadaniem. Żeby ściągnąć leśnego potwora w dolinę, sprowadzono zawczasu masę specjalnego sprzętu, a korporacja Georgia-Pacific wystawiła słony rachunek. Ten ostatni nie stanowił kwestii: Japończycy, którzy osobiście wybrali drzewo, zapłacili, nie mrugnawszy okiem. Szef delegacji posunął się wręcz do tego, że przeprosił za takt, iż kupcy nie skorzystają z tartaków Georgia-Pacific. To kwestia wiary, wyjaśniał powoli i precyzyjnie Amerykanom: nabywcy w żadnej mierze nie chcą czynić ujmy amerykańskim fachowcom. Wicedyrektor Georgia-Pacific pokiwał tylko głową. Jemu tam bez różnicy. Od chwili, kiedy drzewo zmieniło właściciela, rzecz przestawała go obchodzić. Przechowa się je, i, jeśli to możliwe w tak krótkim czasie, przesezonuje, a potem załaduje na amerykański drewnowiec i wyśle

za ocean. W Japonii drzewem zajmą się już rzemieślnicy, którzy z zachowaniem wszystkich religijnych ceremonii ręcznie obrobiją pień, zmieniając go w budulec. Ani Amerykanin, ani jego gość nie wiedzieli jeszcze, że drzewo nigdy nie dotrze do Japonii.

Kiedy się nad tym zastanawiał, Murray czuł się bardziej strażakiem gaszącym kolejne pożary niż stróżem prawa. Rzeczywiście, nawet rozparty na obitym skórą fotelu czuł na brzuchu ucisk Smitha & Wesson kalibru 10 mm, przytroczonego do paska. Powinien był oczywiście przełożyć gnata do szuflady, ale przecież lubił jego ciężar. Choć podczas długich lat pracy w policji nosił zawsze służbowe rewolwery, w swojej nowej roli szybko polubił zwarty kształt Smitha. Bili był w stanie to zrozumieć. Ostatecznie po raz pierwszy w historii FBI kierował całym biurem ktoś, kto zaczął służbę jako zwykły uliczny gliniarz, uganiający się za bandziorami. Żeby było śmieszniej, Murray i Shaw startowali w tym samym komisariacie. Bili lepiej sobie radził z dyrygowaniem pracą biura, ale i jego nie sposób było wziąć za typowego urzędnika z dyrekcji. Pierwszy raz zwrócił na siebie uwagę przełożonych, kiedy sam jeden zmusił do poddania się dwóch uzbrojonych typów, którzy napadli na bank, nie czekając, jak mówił, na odsiecz kawalerii Stanów Zjednoczonych. Co prawda, nigdy jeszcze nie strzelał do człowieka - bardzo niewielki procent agentów FBI ma kiedykolwiek po temu okazję - ale potrafił skutecznie przekonać obu napastników, że nie mają przy nim szans. Pod manierami dżentelmena Bili skrywał żelazny charakter, a umiejętności ruszania głową też można mu było pozazdrościć. Dlatego właśnie Dan Murray, zastępca wicedyrektora FBI, nie zżymał się, kiedy Bili Shaw zmuszał go do asystowania przy szczególnie trudnych sprawach. - Co mi radzisz zrobić z tym palantem? - zapytał Shaw z lekkim obrzydzeniem w głosie.

Murray skończył właśnie składać meldunek o obławie na Wojowników. Przełknął kawę i wzruszając ramionami zauważył:

- Bili, ten facet to geniusz od afer łapówkarskich. Bezkonkurencyjny. Z drugiej strony rzeczywiście gówno się zna na dowodzeniu bezpośrednią akcją. Najlepszy dowód, że tak się pogubił. Nasze szczęście, że nikt nie narobił szumu.

Murray miał rację: wdzięczne za uratowanie życia reporterce środki przekazu okazały się zaskakująco łaskawe dla FBI. Zupełnie zaś zdumiewające było to, że prasie nie przyszło ani przez chwilę do głowy, iż reporterka nie miała prawa znaleźć się przed budynkiem pełnym terrorystów. Stąd gorąca wdzięczność pismaków pod adresem miejscowego oddziału Biura i uznanie dla brygady antyterrorystycznej za uratowanie życia reporterce i kamerzyście w chwili, gdy wypadki przybrały dramatyczny obrót. Nie był to pierwszy raz, kiedy FBI jakimś cudem zamiast się zblamować do reszty, zbierało zewsząd pochwały. Biuro troszczyło się o swoją dobrą opinię jeszcze bardziej chorobliwie niż jakakolwiek inna instytucja rządu federalnego. W tej sytuacji wyrzucenie specjalnego agenta Walta Hoskinsa, niestety, nie wchodziło w rachubę. Murray zaczął dalej naciskać:

- Na pewno dostał dobrą nauczkę. Wiesz, Bili, ten Walt nie jest wcale taki głupi.

- To prawda. Kto, jak nie on, przydupił w zeszłym roku tamtego gubernatora? - Shaw znowu się skrzywił, bo Hoskins rzeczywiście był geniuszem, jeśli chodzi o wykrywanie skorumpowanych polityków. Dzięki niemu właśnie gubernator jednego ze stanów miał szansę spędzić resztę życia na państwowym wikcie. Za tę akcję awansowano Hoskinsa na stanowisko specjalnego agenta. - Masz może jakiś pomysł, Dan?

- Ześlij go do Denver na zastępcę głównego agenta - zaproponował Murray i mrugnął złośliwie do szefa. - Dyplomatycznie i po cichu. Dla Hoskinsa to i tak awans, z szefa oddziału na prowincji przeskoczyć na kierownika pierwszoligowej sekcji antykorupcyjnej. W dodatku będzie robił to, na

czym się zna najlepiej; jeśli wierzyć temu, co gadają w Denver, będzie tam miał roboty po pachy. Doszło do mnie coś o jakimś senatorze i deputowanej do stanowego kongresu, pewnie załapią się jeszcze inni. Z wstępnych meldunków o projekcie zapory wodnej wynika, że to gruba sprawa. Mówię poważnie, Bili, gruba afera. Podobno ze dwadzieścia milionów przeszło z ręki do ręki.

Shaw gwizdnał cicho, słysząc o takiej sumie.

- Powiesz mi, że to wszystko zgarnął jeden senator do spółki z jakimś babsztylem?

- Powtarzam, na pewno jeszcze ktoś się załapie. Ostatnio niby moda na łapówki dla ludzi od ochrony środowiska, i w rządzie, i w przemyśle, ale kto by pomyślał, że trafi się aż taka śmierdząca afera? Hoskins faktycznie ma nosa. Ile razy sięgnie do kabury, zawsze zrobi sobie krzywdę, ale niuch ma pierwszorzędny. - Murray zatrzaskał teczkę personalną agenta. - No to dobrze, kazałeś mi się rozejrzeć i przedstawić propozycję. Propozycja jest taka, żebyś dał Hoskinsowi przeniesienie do Denver, chyba że wolisz go zwolnić ze służby. Mike Delaney z Denver ma zresztą ochotę wrócić do centrali. Jego dzieciak zaczyna studia na George Washington, a Mikę chce uczyć na naszej akademii. Mamy etat, jeden problem z głowy. Cicho, dyskretnie... Ale oczywiście jako szef zrobisz, co zechcesz.

- Dziękuję wam, Murray, za sugestię - odrzekł dyrektor FBI Bili Shaw z udawaną powagą, po czym wyszczerzył zęby. - Pamiętasz czasy, kiedy za całe zmartwienie mieliśmy łapanie rabusiów bankowych? Mów co chcesz, nienawidzę tego urzędolenia!

- Trzeba nam było mniej ich łapać - przytaknął Dań. - Siedzielibyśmy dalej w Filadelfii w starym komisariacie, po służbie poszłoby się z chłopakami na piwko... Dlaczego ludziom tak zależy na karierze? Kariera tylko rozwała życie.

- Zaczynamy gadać jak dwa stare pierniki.

- Bo jesteśmy dwa stare pierniki, Bili. Tyle dobrego, że za mną nie ugania się wszędzie gromada ochroniarzy.

- Niech cię diabli! - Shaw zarechotał, opryskując sobie przy tym kawą krawat. Wciąż śmiejąc się, wysapał: - Dan, odwal się z żartami, bo sam widzisz, co się dzieje!

- To podobno zły znak, kiedy mężczyzna zaczyna się moczyć.

- Za drzwiami! Wypisz mi rozkazy albo wyślę cię z powrotem na ulicę! - Murray nie śmiał się już i na chwilę spoważniał. - A jak tam Kenny?

- Został podwodniakiem. Dostał przydział na USS "Maine". Jego Bonnie w ciąży, zdrowa, poród będzie w grudniu. Aha, Dan...

- Co takiego?

- Z tym Hoskinsem miałeś dobry pomysł. Sam bym na to nie wpadł. Dzięki.

- Nie ma sprawy, Bili. Walt też się ucieszy. Żeby z każdą decyzją było tylko tyle problemu...

- Ciągniesz dalej śledztwo w sprawie Wojowników?

- Posadziłem nad tym Freda Wardera. Za parę miesięcy wyłapiemy ich lak wszy.

Dla obu policjantów stanowiło to miłą perspektywę. Choć w kraju przetrwało zaledwie kilka grup terrorystycznych, zmniejszenie ich liczby do końca roku o kolejną, stanowiłoby spory sukces.

Nad pustaciami Dakoty wstawał świt. Marvin Russell ukląkł na skórze bizona, twarzą do słońca. Miał na sobie jedynie dżinsy i był boso. Nie odznaczał się imponującym wzrostem, lecz trudno było nie zauważyć, jak silnej jest budowy. Zawdzięczał ją codziennym ćwiczeniom z hantlami w więzieniu, gdzie odsiadywał swój pierwszy i ostatni, jak dotąd, wyrok za włamanie. Zaczął ćwiczyć ot, tak sobie, dla rozładowania nadmiaru energii, lecz wkrótce się przekonał, że dobra kondycja fizyczna jest dla więźnia jedyną dostępną formą samoobrony, a kiedy został wojownikiem

Ludu Siuksów, uznał tężyznę za nieodłączną część światopoglądu. Przy wzroście ledwo przekraczającym metr siedemdziesiąt, jego muskularne ciało ważyło równe dziewięćdziesiąt kilogramów. Bicepsy miał grube jak u niejednego mężczyzny odo, talię baletnicy i bary zawodowego futbolisty z pierwszej ligi. Miał też poważną skazę psychiczną, ale oczywiście nie zdawał sobie z tego sprawy.

Życie nie pieściło ani Marvinina, ani jego brata. Ich ojciec, alkoholik, chwycił się dorywczych zajęć, przeważnie reperując samochody. Nawet to szło mu kiepsko, a ilekroć zdobył trochę gotówki, pędził do najbliższego sklepu monopolowego. Z dzieciństwa Marvin zachował same gorzkie wspomnienia: wstyd, że ojciec jest wiecznie zapity i jeszcze większy wstyd z powodu rzeczy, na które pozwalała sobie matka, kiedy ojciec zleżał pijany na kanapie. Gdy rodzina przeniosła się z Minnesoty z powrotem na tereny rezerwatu, dostawali jedzenie za darmo od rządu. Nauczyciele w miejscowej szkole wzdragali się na samą myśl o uczeniu czegokolwiek, a na osadę, gdzie mieszkali Russellowie, składała się porozrzucana kolekcja wzniesionych z pustaków chałup, które niczym widma majaczyły w chmurach wszechobecnego pyłu z prerii. Ani jeden z braci nie miał własnej rękawicy baseballowej, żadnemu też Boże Narodzenie nie kojarzyło się ze świętem - tyle że przez tydzień czy dwa nie musieli chodzić do szkoły. Bracia dorastali więc w pustce, zaniedbani i pozostawieni samym sobie. Od dziecka musieli się też nauczyć radzić sobie bez niczyjej pomocy.

Samodzielność, odwieczna cecha ich ludu, okazała się z początku właściwością pożyteczną. Dzieci potrzebują jednak przede wszystkim poczucia celu, a tego właśnie bracia nie mogli otrzymać od rodziców. Zanim jeszcze poznali abecadło, nauczyli się strzelać i polować. Czasem za cały obiad mieli własną zdobycz, podziurawioną kulami kalibru 5.6 mm, którą w dodatku sami musieli sobie często ugotować. Chociaż nie byli jedynymi obdartymi i zaniedbanymi dziećmi w osadzie, na pewno stali najniżej ze wszystkich i podczas kiedy innym udawało się przeważnie przerwać błędne koło, dla młodych Russellów przepaść między nędzą a jako taką zasobnością okazała się nie do przeskoczenia. Kiedy tylko nauczyli się prowadzić samochód - dużo wcześniej, niż zezwala na to prawo - co rusz, w chłodne, jasne wieczory wypuszczali się poobijaną furgonetką ojca do miast odległych o sto i więcej kilometrów, aby zdobyć wszystko, czego nie chcieli im dać rodzice. Może to dziwne, ale kiedy pierwszy raz ktoś ich przyłapał - tym kimś był zresztą inny Siuks ze strzelbą w ręku - mężnie znieśli otrzymane baty i mogli wrócić do domu, co prawda z posiniaczonym tyłkami i dobrą radą na pożegnanie. Posłuchali tej rady i od tej pory kradli tylko u białych.

Wkrótce przyłapano ich i na tym, w dodatku na gorącym uczynku w wiejskim sklepie, gdzie przyskrzylił ich policjant z wewnętrznego patrolu plemienia. Na swoje nieszczęście bracia próbowali coś zwędzić na terenie rezerwatu, a więc na obszarze podległym władzom federalnym, nie zaś stanowym. Co gorsza, nowy sędzia federalny miał w sobie więcej współczucia niż rozsądku. Gdyby dano wówczas Russellom po nosie, być może zeszliby z przestępczej ścieżki. Skończyło się jednak na ostrzeżeniu i opiece kuratora. Kuratorką zaś okazała się bardzo nobliwa dama z doktoratem z uniwersytetu Wisconsin, która całymi miesiącami tłumaczyła braciom, że jeżeli będą nadal kradli cudze mienie, nigdy nie zdołają wykształcić w sobie pozytywnego obrazu i szacunku do siebie samych. Powinni więc szukać godności osobistej w zajęciach wartościowych i kształcących. Po każdym spotkaniu z kuratorką bracia zastanawiali się głośno, jak to możliwe, że lud Siuksów dał się podbić takim idiotom, a nowe skoki planowali staranniejsze niż dotąd.

Staranność zawiodła ich jednak, jako że kuratorką nie mogła udostępnić im arkanów przestępczej wiedzy, które zdobyliby w porządnym więzieniu. Rok później znowu ich więc przyłapano na kradzieży, tym razem poza rezerwatem. Dostali po półtora roku w obostrzonym rygorze, głównie za to, że włamali się do sklepu z bronią.

Więzienie okazało się dla młodych Russellów najstraszniejszym doświadczeniem w życiu. Braciom, od dziecka nawykłym do otwartej przestrzeni i wysokiego nieba Zachodu, kazano mieszkać w klatce mniejszej od tej, jaka w myśl przepisów federalnych należy się borsukowi w miejskim zoo, otaczali ich zaś ludzie, których zatwardziałość wykraczała poza najśmielsze oczekiwania młodych więźniów. Pierwszej nocy pod celą usłyszeli wrzaski świadczące dobitnie o tym, że gwałtów nie popełnia się wyłącznie na kobietach. Ponieważ potrzebowali wsparcia, nic dziwnego, że bardzo prędko znaleźli je wśród innych indiańskich więźniów, członków Ruchu Indian Amerykańskich.

Dotychczas nie obchodziło ich na dobrą sprawę własne pochodzenie. Podświadomie wyczuwali zapewne, że zarówno im samym jak i rówieśnikom nie dostaje cech Indian oglądanych na ekranie telewizora w rzadkich chwilach, kiedy odbiornik nie był zepsuty. Wstydzili się też chyba trochę, że tak różnią się od filmowych Indian. Oczywiście głośno podśmiewali się z westernów, w których zresztą rolę “czerwonoskórych” grali zwykle ucharakteryzowani biali albo Meksykanie, wygłaszający kwestie świadczące o tym, że hollywoodzcy scenarzyści o Dzikim Zachodzie wiedzą mniej więcej tyle samo, ile o Antarktydzie. Nawet jednak te fałszywe obrazy wyrobiły w Russellach przeświadczenie o własnym gorszym pochodzeniu. Teraz jednak, pod wpływem Ruchu, nastąpiła w nich radykalna odmiana. Wszystko, co złe, było winą Białego Człowieka. Russellowie szybko przyswoili sobie te poglądy, będące mieszanką modnych na wschodnim wybrzeżu teorii antropologicznych, myśli Jeana Jacquesa Rousseau, obrazów zaczerpniętych prosto z westernów Johna Forda (gdzież zresztą, jeśli nie w nich, mogą Amerykanie szukać zapisu swojej kultury?) i przeinaczonych relacji historycznych. Bracia wysnuli z tego wszystkiego wiedzę, że ich przodkowie należeli do szlachetnej rasy wojowników i myśliwych, którzy żyli w harmonii z przyrodą i jej duchami. Nie docierała do nich prawda, że życie Indian było mniej więcej tak samo pokojowe jak dawniej życie w Europie, że słowo “Siuks” w dialekcie indiańskim oznacza węża i nie jest komplementem ani wreszcie fakt, że Indianie zamieszkali na terenie amerykańskich prerii dopiero w ostatniej dekadzie osiemnastego wieku. Nie padło także ani słowo o wojnach międzyplemiennych. Dawniej wszystko wyglądało o wiele lepiej. Indianie sami władali swoją ziemią, ścigali bizona, żyli zdrowo i radośnie pod kopułą gwiazd, a czasami staczali między sobą krótkie, bohaterskie pojedynki, podobne do rycerskich turniejów. Nawet torturowanie jeńców dawało się wytłumaczyć ochotą pojmanych wojowników do wykazania się stoicyzmem, którym imponowali swoim sadystycznym, lecz zdjętym podziwem oprawcom. Któż nie chciałby odnaleźć w sobie szlachetnego ducha? Cóż mógł Marvin Russell poradzić na to, że pierwsza po temu okazja nadarzyła mu się w więzieniu. Tam właśnie poznał wraz z bratem naukę o bóstwach ziemi i nieba, o wierzeniach, wytępionych okrutnie i zastąpionych fałszywą białą religią. Bracia usłyszeli także o braterstwie prerii, o tym, jak to biali wyzuli ich z własności, powybijali bizona, będące dla Indian podstawą egzystencji, podzielili plemiona, stłoczyli je, wymordowali i wreszcie uwięzili, rzucając czerwonoskórych na pastwę alkoholizmu i rozpacz. Skuteczność kłamstwa bierze się z odpowiednio dużej domieszki prawdy.

Marvin Russell przywitał pierwszy pomarańczowo gorejący skrawek słońca pieśnią, która zapewne była autentyczna. Nikt nie wiedział dokładnie, jak brzmiały dawne pieśni indiańskie, na pewno już zaś nie Marvin Russell. Więzienie jednak na coś się przydało. Kiedy Marvin trafił za kraty, czytał gorzej niż czwartoklasista, opuścił zaś kryminał z umiejętnościami na poziomie wczesnych klas amerykańskiej szkoły średniej. Na pewno nie był półgłówkiem, nie jego też wina, że jedyny dostępny mu system oświatowy z góry spisał go na straty. Marvin chętnie czytywał książki, zwłaszcza te o historii Indian. W tych ostatnich lekturach był jednak wybredny, zwracając baczną uwagę na ton komentarza. Jakakolwiek nieprzychylna wzmianka na temat Siuksów odzwierciedlała, oczywiście, rasowe uprzedzenia białych. Przed pojawieniem się białego człowieka Siuksowie nie

grzęźli w alkoholizmie, nie mieszkali w obskurnych osadach, a już na pewno dbali o własne dzieci. Dopiero biali sprowadzili na nich te wszystkie plagi.

W jaki jednak sposób coś zmienić? Marvin zadał to pytanie słońcu. Rozjarzona gazowa kula nabiegła czerwienią za sprawą rudego pyłu, wiszącego w powietrzu w to suche i gorące lato. Russell ujrzał naraz przed oczami twarz brata na zatrzymanej klatce z transmisji z oblężenia. Miejskowa stacja telewizyjna zaprezentowała taśmę w sposób, na który nie poważyła się sieć ogólnokrajowa. Każdą klatkę filmu pokazano telewidzom w szczegółach. Moment, w którym kula trafia Johna w głowę, dwie klatki, na których widać, jak twarz odrywa się od czaszki. Potem potworne skutki trafienia, potem strzał z rewolweru - cholerny czarnuch w panczernej kamizelce! - a potem ręce wyrzucone w górę jak na filmach Rogera Cormana. Marvin pięciokrotnie oglądał tę taśmę, a każdy barwny punkcik obrazu nieodwołalnie wrył mu się w pamięć.

Ot, jeszcze jeden martwy Indianin. "Dobry Indianin to martwy Indianin", zwykł powtarzać generał William Tecumseh (to też indiańskie imię) Sherman. John Russell stał się właśnie martwym Indianinem, zabitym jak tyłu innych podstępnie, bez szansy stanięcia do szlachetnej walki. Zastrzelili go jak zwierzę, bo też dla białych Indianie nie są wcale lepsi od zwierząt. Zastrzelili jednak brutalniej niż zwykle. Marvin był przekonany, że strzał starannie przygotowano, puszczone w ruch kamery, kazano kręcić dupą reporterce w najmodniejszych ciuchach. Dopraszała się o lekcję prawdziwego życia, więc mordercy z FBI poszli jej na rękę. Tacy sami mordercy jak dawniej kawalerzyści pod Sand Creek i pod Wounded Knee, i w tyłu jeszcze setkach innych bezimiennych, zapomnianych bitwach.

Marvin Russell klęczał więc twarzą do słońca, co jest wszak jednym z bóstw jego ludu, i szukał odpowiedzi. Nie tędy droga, odpowiedziało mu słońce. Nie można polegać na innych. John zapłacił życiem za tę naukę. Przemycać narkotyki dla zdobycia funduszy! Ćpać samemu, jakby nie dość już było whisky, którą biali ludzie podsunęli ludowi. Reszta "wojowników" okazała się wytworem białego świata: nie mieli pojęcia, że od początku noszą w sobie ten świat jak śmiertelną chorobę. Kazali się nazywać Siuksami i wojownikami, ale tak naprawdę była to tylko zgraja pijaków i drobnych złodziejasków, którzy bez powodzenia spróbowali szczęścia w tej przyziemnej sferze. W rzadkim przebłysku szczerości - jakże zdobyć się na nieszczerłość, stając twarzą w twarz z bóstwem? - Marvin uznał w duchu, że "wojownicy" nie dorastają mu do pięt. Podobnie jak brat. Co go podkusiło, żeby się tak głupio wplątać w narkotyki? W dodatku bez powodzenia. Cóż takiego udało im się zwojować? Zabili agenta FBI i szeryfa, ale to zdarzyło się już dawno. Od tamtej pory siedzieli tylko i gadali o tamtej chwili zwycięstwa. Tylko co to za zwycięstwo? Żadne. Rezerwat dalej trwał tam, gdzie przedtem. Gorzałka nie zniknęła. Beznadzieja nie chciała ustąpić. Czy w ogóle ktokolwiek zauważył ich zwycięstwo? Nikt. Udało im się co najwyżej rozgniewać siły, które ścigają grupę po dziś dzień, i dlatego Związek Wojowników musi się wciąż ukrywać, nawet w swoim własnym rezerwacie. Z wojowników zmienili się w tropione zwierzęta, a przecież to oni mieli tropić zwierzynę. Tak powiedziało słońce'.

Marvin był podekscytowany tą myślą. Tak, trzeba zostać myśliwym. Trzeba żyć tak, aby to jego obawiali się biali ludzie, nie odwrotnie. Podobnie było niegdyś, w dalekiej przeszłości. Powinien upodobnić się do wilka w owczarni, ale cóż, kiedy białe owieczki urosły w siłę i przez myśl im nie przejdzie, że istnieją jeszcze jakieś wilki. Owieczki skryły się pod ochroną potężnych psów, które, zamiast siedzieć tam, gdzie całe stado, same polują na drapieżniki. I dlatego wilki, a nie owce, muszą żyć w ciągłym popłochu i lęku, więźniowie swoich własnych terenów łowieckich.

Dlatego trzeba porzucić własne tereny.

Wiedział już, że musi odnaleźć innych wilczych braci. Odnaleźć wilki, które nie zapomniały

jeszcze, jak się poluje.

Nadszedł wreszcie ten dzień. Jego dzień. Kariera kapitana Beniamina Zadina stanowiła przykład jednego z najszybszych awansów w Izraelskiej Policji Państwowej. Był najmłodszym kapitanem w całym korpusie oficerskim. W domu był z kolei najmłodszym z trójki braci. Na ich cześć nadal swoim synom imiona Dawid i Mordechaj. Jeszcze niedawno kapitan stał o krok od samobójstwa. Zgon ukochanej matki nastąpił w tym samym tygodniu, w którym opuściła Zadina jego piękna, niewierna żona. Wszystko to stało się przed dwoma miesiącami. Choć kapitanowi udało się spełnić wszystkie swoje dawne marzenia, stanęła przed nim naraz perspektywa życia pustego i pozbawionego celu. Okazało się, że ani ranga oficerska, ani towarzyszące jej uposażenie, ani szacunek wśród podwładnych, ani powszechnie ceniona inteligencja i przytomność umysłu w sytuacjach kryzysowych, ani wreszcie zasługi podczas trudnych i niebezpiecznych lat w wojsku przy ochronie granicy nie potrafią wynagrodzić życia w pustym domu, gdzie w każdym kącie czekają gorzkie wspomnienia.

Choć sami mieszkańcy kraju często nazywają Izrael “państwem żydowskim”, nazwa taka jest myląca, gdyż jedynie ułamek obywateli rzeczywiście aktywnie praktykuje wiarę. Ben Zadin należał zawsze do niedowiarków, wbrew ciągłym przestrogom matki. Zamiast żyć w wierze, wolał cieszyć się życiem, jak przystało na nowoczesnego hedonistę, a w synagodze nie był od czasu swojej barmicwy, czyli dnia konfirmacji. Oczywiście mówił i pisał po hebrajsku, bo jeśli chodzi o korzystanie z urzędowego języka, nie miał żadnego wyboru, lecz tradycyjne zasady wydawały mu się zawsze staroświeckim dziwactwem, przeżytkiem, który jakimś trafem zachował się w jego kraju, jakże poza tym nowoczesnym. Wyborem żony Zadin podkreślił jeszcze swoją postawę i często żartował, że o religijnej żarliwości Izraela można się przekonać po liczbie kostiumów kąpielowych na licznych tutejszych plażach. Żona Zadina, Elin, pochodziła z Norwegii, była wysoką, wręcz chudą blondynką. Jak żartowała z mężem, Żydówkę przypominała mniej więcej tak samo, jak Ewa Braun, i mimo upływu lat wciąż uwielbiała wystawiać swoje ciało na pokaz w najbardziej skąpym kostiumie kąpielowym świata, a czasem wręcz tylko w połowie kostiumu. Małżeństwem od początku rządziły namiętności i gwałtowne uczucia. Zadin zdawał sobie naturalnie sprawę, że żona zerka także na innych mężczyzn, sam również pozwalał sobie czasami na jakiś odskok, lecz raptowne odejście Elin zdumiało go, ba, oszołomiło do tego stopnia, że nie potrafił nawet zapłakać czy błagać ją, by wróciła. Zaszył się więc w domu, w którym znajdowało się kilka sztuk nabitej broni, mogącej, jak przypuszczał, ukrócić mękę. Tylko myśl o obu synach powstrzymała kapitana od tej decyzji. Nie mógł przecież zdradzić ich w taki sposób, w jaki sam został zdradzony, na to nie pozwalała mu męska duma. Ból jednak nie dał się oszukać i nie ustępował; nie ustąpił jeszcze do tej pory.

Izrael jest krajem zbyt małym na to, by dało się w nim ukrywać tajemnice. W otoczeniu kapitana natychmiast zauważono, że Elin odeszła z innym mężczyzną, a plotka dotarła wkrótce nawet do komisariatu Zadina, gdzie podwładni po zapadniętych oczach komendanta poznali, jak bardzo musi cierpieć. Niektórzy zastanawiali się głośno, czy zdruzgotany szef w ogóle ma szansę jeszcze się z tego otrząsnąć. Widząc, co się dzieje, jeden z podległych Zadinowi posterunkowych postanowił wziąć sprawy w swoje ręce i w pewien czwartkowy wieczór stanął pod drzwiami swojego kapitana

w towarzystwie rabina imieniem Israel Kohn. Tego samego wieczora Beniamin Zadin odrodził się w Bogu. To mało powiedziane, myślał teraz, obserwując ruch na Ulicy Łańcucha w starej części Jerozolimy. Uświadomił sobie bowiem, że odkrył, co to znaczy być Żydem. Wszystkie nieszczęścia, jakie na niego dotąd spadły, okazały się ni mniej, ni więcej, tylko karą Bożą, karą za zlekceważenie matczynych przestróg, karą za pozamałżeńskie przygody, karą za rozbierane przyjęcia, które wydawali z żoną, karą za dwa dziesięciolecia złych myśli i uczynków, kiedy to Zadin skutecznie udawał przed policjantami i żołnierzami, jakim to jest dzielnym i nieustraszonym dowódcą. Dziś jednak wszystko miało się odmienić. Dziś Zadin miał złamać ludzkie prawa po to, by odkupić grzechy wymierzone w Słowo Boże. Był wczesny poranek, zapowiadał się skwarny dzień, bo ze wschodu wiał suchy wiatr znad Arabii. Za kapitanem stał szpaler czterdziestu podwładnych, uzbrojonych częściowo w karabinki automatyczne, a częściowo w miotacze gazu i pistolety na plastikowe kule. Plastikowe pociski, uformowane z miękkiego sztucznego tworzywa, zwalają dorosłego człowieka z nóg, a jeśli strzelec dobrze się przymierzy, na skutek szoku przy trafieniu mogą też spowodować zatrzymanie pracy serca. Obecność policji wydawała się w tym dniu niezbędna dlatego, by można było złamać prawo - choć nie takie intencje przyświecały zwierzchnikom Zadina - i ocalić dzięki temu jeszcze wyższe prawo przed zakusami przeciwników wiary. Tak właśnie wyłuszczył zagadnienie rebe Kohn. Kto podyktował prawo? To już pytanie metafizyczne, a więc o wiele za trudne dla zwykłego policjanta. Rebe tłumaczył jednak dalej, że o wiele prościej będzie zapytać, do kogo, jeśli nie do Żydów, należy teren dawnej świątyni Salomona, duchowej kolebki judaizmu i całego żydowskiego narodu. Sam Bóg obrał zbocze tego wzgórza za swój Syjon, siedlisko świątyni, i niewiele znaczyło, że temu i owemu ubrdało się kwestionować ten fakt. Najwyższa pora, by Żydzi odzyskali więc to, co sam Bóg im zesłał. Dziś właśnie grupa dziesięciu rabinów konserwatywnych i rabinów chasydzkich miała wygrodzić teren pod nową świątynię, która zostanie odbudowana ściśle według wskazówek świętej Księgi. Kapitan Zadin otrzymał rozkaz, by nie dopuścić do tego, zatrzymać rabinów w ich procesji od Bramy Łańcuchowej i ukrócić ich działania. Zadin wiedział jednak, że nie usłucha rozkazów, a jego ludzie wykonają polecenia, które sam wyda, kiedy przyjdzie pora usunąć z drogi Arabów, zapewne żywiących równie agresywne zamiary.

Zdziwił się jednak, kiedy stwierdził, że mimo tak wczesnej pory Arabowie już czekają. Gorszi niż zwierzęta, jeśli już o to chodzi. To oni w końcu zabili Dawida i Mottiego. Rodzice opowiadali w dzieciństwie całej trójce braci, jak wyglądało życie Żydów w Palestynie w latach trzydziestych, opisywali im napady, terror, arabską zawiść i otwartą nienawiść, bierność brytyjskiego wojska, które zamiast chronić swoich towarzyszy broni z północnej Afryki, wołało Arabów, choć ci hurmą zaprzędali się hitlerowcom, Żydzi mogli liczyć tylko na siebie samych i na łaskę boską. Jeśli jednak mają znaleźć ocalenie w wierze, muszą wpierw odbudować Dom Boży na tej samej skale, na której Abraham zawarł przymierze między swoim ludem a Panem. Izraelski rząd albo tego nie rozumiał, albo wolał prowadzić brudne gierki polityczne, igrając losem jedyne go kraju na ziemi, w którym Żydzi czują się bezpiecznie. Zadin wiedział, choć od bardzo niedawna, że jako prawdziwy Żyd musi sprzeciwić się takiej polityce.

Rebe Kohn ukazał się o zapowiedzianej porze. U jego boku stąpił rebe Eleazar Goldmark, który nosił na ciele tatuaż z Oświęcimia. Tam właśnie, w obliczu śmierci, Goldmark odkrył niezbędność wiary. Rabini nieśli drągi i taśmę mierniczą. Kiedy wytyczą fundament świątyni, specjalne sztafety czuwać będą dzień i noc, zmuszając wreszcie rząd kraju, aby zmiotł ze świątynnych gruntów gorszące arabskie śmieci. W całym kraju rozlegną się głosy poparcia, rzeka pieniędzy napłynie z Europy i Ameryki, a kiedy za pięć lat świątynia stanie gotowa, nikomu nie będzie się już śniło próbować odebrać tej ziemi ludziom, którym sam Bóg ją zechciał ofiarować.

- Kurwa - mruknął któryś z policjantów. Jedno spojrzenie Zadina na stojących z tyłu podwładnych uciszyło głosy bluźnierców, mącące ciszę opatrnościowej chwili.

Ben uklonił się obu rabinom, którzy pomaszerowali dalej. Policja ruszyła ich śladem w odległości pięćdziesięciu metrów. Zadin zaczął się modlić o bezpieczeństwo Konna i Goldmarka, choć zdawał sobie sprawę, że obaj z ochotą narażają życie, jak Abraham, który, aby wypełnić przykazanie Pańskie, pogodził się ze śmiercią syna.

Ta sama jednak wiara, która kazała Zadinowi strzec procesji, uczyniła go ślepym na fakt, że w kraju tak małym, rzeczywiście nie da się niczego utrzymać w tajemnicy. Co więcej, ci Żydzi, którzy uważali Konna i Goldmarka za miejscowy odpowiednik fundamentalistycznych mułłów i ajatollahów z Iranu, rozgłosili wszem i wobec o planowanym marszu. Na placu u stóp Ściany Płaczu czekały już więc ekipy telewizyjne, niektóre w kolorowych kaskach ochronnych, mających ustrzec przed spodziewanym gradem arabskich kamieni. Ha, może to nawet i lepiej, zastanowił się Zadin, wspinając się za rabinami na szczyt świątynnego wzgórza. Niech świat dowie się, co się dzieje. Kapitan bezwiednie przyspieszył kroku, doganiając Kohna i Goldmarka. Ich sprawa, jeśli chcą zostać męczennikami wiary - on, Zadin, ma jednak obowiązek ich ochraniać. Prawą ręką pomacał się po kaburze, upewniając się, że broń nie tkwi w niej zbyt ciasno. Pistolet miał się wkrótce okazać potrzebny.

Arabowie już czekali. Co za rozczarowanie, widzieć ich aż tyłu, rojących się jak pchły, jak szczury, które obsiadły nie swoje miejsce. Niech patrzą, byleby nie przeszkadzali. Zadin wiedział z góry, że będą mu przeszkadzali. Niewierni, którzy sprzeciwiają się Słowu - na swoje własne nieszczęście.

Radiotelefon Zadina zatrzeszczał naraz. To na pewno komendant, będzie się dopytywał, co Zadin właściwie wyrabia, do ciężkiej cholery, miał przecież zatrzymać pochód! Kapitan nie pofatygował się nawet odpowiedzieć. Kohn i Goldmark nieustraszenie kroczyli w stronę Arabów, zagradzających drogę procesji. Zadinowi płakać się chciało ze wzruszenia na widok tak wielkiej odwagi i wiary. Ciekawiło go, w jaki sposób Pan okaże im swoją przychylność. Oby tylko pozwolił rabinom wyjść z życiem. Zadin był pewien, że połowa podwładnych poprze go, cokolwiek teraz uczyni. Specjalnie pomanipulował zawczasu grafiką służb, żeby to osiągnąć. Nie oglądając się, wiedział, że zamiast wnieść przed sobą rząd plastikowych tarcz z leksanu, jego policjanci odbezpieczają broń, nie zdejmując jej jednak z ramienia. Oczekiwanie wlokło się w nieskończoność, napięcie wciąż narastało. Lada chwila, a polecą w ich stronę pierwszy huragan kamieni.

Boże Wszechmogący, ocal im życie, otocz ich miłosierdziem... Oszczędź rabinów, jak niegdyś oszczędziłeś Izaaka...

Mniej niż pięćdziesiąt metrów dzieliło teraz Zadina od pary odważnych rabinów, z których jeden urodził się w Polsce i przeżył lata w straszliwym obozie, gdzie zmarła jego żona i dziecko, lecz zamiast utracić ducha nauczył się tam właśnie, jak ważna jest wiara; drugi zaś, urodzony w Ameryce, powrócił jednak do Izraela i walczył za kraj w wielu wojnach, by później, jak niewiele dni temu Ben, zwrócić się ku Bogu.

Stało się to w chwili, kiedy najwyżej dziesięć metrów dzieliło rabinów od wściekłego, brudnego tłumu Arabów. Jedyne Arabowie widzieli teraz słodki spokój na twarzach Kohna i Goldmarka, ich pogodzenie się z losem. Również jedynie Arabowie dojrzelili złość i pomieszanie na twarzy polskiego Żyda i furię na obliczu Amerykanina, którzy zrozumieli nagle, co los ma dla nich w zanadrzu.

Na wydany rozkaz, pierwszy rząd Arabów, samych nastolatków z długim doświadczeniem w starciach z policją, usiadł na ziemi. Z tyłu uczyniły to samo kolejne setki młodych ludzi. Pierwszy

rząd zaczął klaskać i wyśpiewywać coś. Ben dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, co śpiewają Arabowie, choć porozumiewał się w ich języku nie gorzej od rodowitych Palestyńczyków.

We shall overcome

We shall overcome some day

Tuż za tyralierą policji posuwały się ekipy telewizyjne. Kilku dziennikarzy roześmiało się w głos na widok tak ironicznego odwrócenia ról. Jeden z korespondentów, Pete Franks z sieci CNN, podsumował powszechne odczucia w tamtej chwili, wykrzykując: "Kurwa, tego jeszcze nie grali!" Sprawozdawca rzeczywiście uświadomił sobie, że świat przeżywa oto kolejną, nieodwracalną przemianę. Niedługo przedtem mógł obserwować w Moskwie pierwsze demokratyczne posiedzenie Rady Najwyższej, w Managui przeżył noc, podczas której sandiniści przetrzęśli, zdawałoby się tak pewne wybory, w Pekinie widział Boginię Wolności miażdżoną gąsienicami. Ale to? Arabowie nareszcie zmądrzeli, pomyślał. Świat się kończy.

- Mam nadzieję, że kręcisz to wszystko, Mickey?

- Czy mnie uszy mylą, czy już gdzieś słyszałem tę pieśń?

- Chyba ją jednak słyszałeś. Chodźmy bliżej. Przywódcą arabskich manifestantów był dwudziestoletni student socjologii Haszemi Musa. Na jego ramieniu widniała trwała blizna od ciosu izraelskiej pałki, a połowę zębów wybiła mu plastikowa kula, wystrzelona przez rozżłoszczonego akurat policjanta. Nikt więc nie podawał w wątpliwość osobistej odwagi Musy, który udowodnił z nawiązką, że nie boi się niczego, i tuzin razy stawał oko w oko ze śmiercią. Teraz jednak, jako niekwestionowany przywódca cieszący się ogólnym posłuchem, mógł oto wcielić w życie pomysł obmyślany przez pięć jakże długich lat. Trzy dni zabrało mu, żeby do tej idei przekonać resztę, a organizację akcji Musa zawdzięczać mógł tylko niesamowicie szczęśliwemu trafowi w postaci żydowskiego kolegi, który pełen niesmaku wobec religijnego konserwatyzmu rodaków, chlapanął dwa słowa za dużo na temat procesji. Może sam los tak zechciał, pomyślał Musa, może taka była wola Allacha, a może to tylko przypadek. Niezależnie od przyczyn, na tę właśnie chwilę czekał Musa od piętnastego roku życia, czyli od czasu, gdy przeczytał o Gandhim i o Martinie Lutherze Kingu, siłom przemocy przeciwstawiającym uparty, bierny opór. Aby przekonać swoich, musiał zapomnieć o wszystkim, co jemu i innym podpowiadał żołnierski honor, zakodowany wręcz we krwi. Udało się to jednak. Teraz zaś nadeszła chwila próby.

Ben Zadin zrozumiał tylko, że ktoś zagradza drogę pochodu. Rebe Kohn powiedział coś do rebe Goldmarka, lecz ani jeden, ani drugi nie zawrócili do miejsca, w którym przystanęła policja. Odwrócić się oznaczałoby przyznać się do klęski. Zadin nigdy nie dowiedział się, czy scena zaskoczyła rabinów, czy też ich rozwścieczyła, bo w tej samej chwili wydał przez ramię krótki rozkaz: - Gaz!

Tę część akcji zaplanował starannie z góry. Wiedział, że czterech podkomendnych z miotaczami gazu to osoby wierzące. Policjanci jednocześnie przyłożyli broń do ramienia i wypalili w tłum. Naboje gazowe także są niebezpieczne i tylko przypadkiem nikogo tym razem nie zraniły. Po kilku sekundach masę siedzących Arabów spowił szary obłok łzawiącego dymu. Na kolejny rozkaz demonstranci wyciągnęli jednak maski gazowe i włożyli je pośpiesznie. Maski przeszkadzały wprawdzie w śpiewaniu, lecz tłum nadal klaskał w dłonie i nie miał zamiaru uciekać. Furia kapitana Zadina wzmogła się jeszcze bardziej, kiedy podmuch wschodniego wiatru zniósł kłęby gazu znad grupy Arabów w stronę policyjnej tyraliery. Demonstranci w grubych rękawicach podnieśli też gorące granaty gazowe i odrzucili je w stronę policjantów. Po kilku minutach Arabowie mogli już zdjąć maski i od nowa zacząć śpiewy. Na dodatek słychać było, jak się między sobą śmieją.

Zadin kazał użyć plastikowych kul. Szóstka policjantów z karabinami mogła z pięćdziesięciu metrów zmusić do ucieczki każdego przeciwnika. Pierwsza salwa była świetna i położyła sześciu

Arabów z pierwszego szeregu. Dwóch trafionych zakrzyczyło z bólu, a jeden przewrócił się. Nikt jednak z pozostałych nie opuścił szyku, rzucono się tylko opatrywać rannych. Następną salwą wymierzono nie w tułowia, lecz w głowy. Zadin z zadowoleniem ujrzał, jak twarz jednego z Arabów eksploduje krwią.

Przywódca (Zadin znał tę twarz z wcześniejszych starć) wstał i wydał rozkaz, którego izraelski policjant nie dosłyszał. Znaczenie słów Musy prędko się wyjaśniło, kiedy Arabowie zaczęli śpiewać znacznie głośniej niż dotąd. Nastąpiła kolejna salwa. Jeden z policyjnych snajperów musiał być już porządnie wściekły, bo kapitan ujrzał, że Arab trafiony przedtem w twarz dostał drugą kulę w wierzch głowy i bezwładnie zwałił się martwy na ziemię. Zadin nadal nie rozumiał, że utracił panowanie nad podwładnymi. Co gorsza, nie zdawał sobie sprawy, że traci panowanie nad sobą.

Haszemi Musa nie widział nawet, jak umiera jego kolega, zbyt przejęty atmosferą chwili. Z bliskiej odległości wyraźnie obserwował konsternację, malującą się na twarzach rabinów. Policjanci kryli twarze pod przyłbicami, lecz z ich ruchów i zachowania także można się było zorientować, co czują. W nagłym przeblysku Musa pojął, że zaczyna wygrywać, krzyknął więc na manifestantów, by zdwoili wysiłki. Widać było, że mimo kul i śmierci nie ustąpią na krok.

Kapitan Benjamin Zadin zerwał z głowy hełm i stanowczym krokiem ruszył w kierunku arabskiej grupy, mijając rabinów, owładniętych nagle niemożnością podjęcia decyzji. Czy wola Pana powinna ustąpić pierwszeństwa krzykliwemu zawodzeniu bandy brudasów?

- Ejże! - poderwał ekipę Pete Franks. Po gazowej salwie z oczu ciekły mu teraz rzęsiste łzy.

- Kręcę - uspokoił go kamerzysta, robiąc obiektywem najazd na maszerującego policjanta. - Chyba polecą pierze! Ten gość jest strasznie wpięprzony, Pete.

Boże, tylko nie to - przeszło dziennikarzowi przez głowę. Sam był żydowskiego pochodzenia i w tej skalistej, jałowej krainie czuł się dziwnie u siebie. Wiedział jednak, że po raz kolejny na jego oczach zaczyna dziać się historia, i w myślach układał już dwu- trzyminutowy komentarz, który towarzyszyć będzie materiałowi kręconemu przez kamerzystę na użytek potomności. Pete zastanawiał się, czy i tym razem spadnie mu za reportaż jedna z dorocznych nagród Emmy, w charakterze rewanżu za świetną robotę w arcytrudnych warunkach.

Kiedy jednak kapitan podszedł prosto do prowodyra Arabów, wszystko potoczyło się bardzo prędko, zbyt prędko. Haszemi zorientował się już, że jeden z przyjaciół zginął od kuli, która, choć wystrzelona z "bezpiecznej" broni, wgniotła czaszkę ofiary. W duchu zaczął zmawiać krótką modlitwę za duszę towarzysza, w nadziei, że Allah doceni, jak wielkiej odwagi trzeba, by zginąć bez walki. Allah potrafi to docenić, tego Haszemi Musa był najzupełniej pewny. Izraelczyk, który się do niego zbliżał, wyglądał znajomo. Zadin, tak brzmi jego nazwisko, zapamiętane z niejednej akcji, podczas której twarz kryła się za leksanową przyłbicą i karabinem. Zadin, jeszcze jeden z tych, którzy traktują Arabów jak podludzi, a słowo "muzułmanin" kojarzą wyłącznie z maszyną do miotania kamieni i butelek z benzyną. Ha, dziś kapitan się wreszcie przekona, że może być inaczej. Dziś, szepnął w myślach Haszemi, policjant ujrzy przed sobą ludzi zdecydowanych i odważnych.

Ben Zadin widział jednak tylko uparte zwierzę, coś w rodzaju opornego muła, albo... Zabrakło mu nagle porównań, dość na tym, że nie miał do czynienia z człowiekiem, z Izraelczykiem. Brudasy zmieniły taktykę, i tyle, zamiast walczyć, zawodzą jak baby. Może myślą sobie, że w ten sposób uda im się powstrzymać jego, kapitana Zadina? Upokorzyć go, jak uczyniła to żona, kiedy oświadczyła, że odchodzi do kogoś, kto jest lepszy w łóżku, i niech Ben nie odgraża się, że ją uderzy, bo to tylko słowa, wiadomo, że się nie ośmieli, ładny mi mężczyzna, który nie potrafi rządzić we własnym domu. Zadin znów ujrzał w myślach piękną, pozbawioną wyrazu twarz Elin i po raz kolejny zapytał sam siebie, czemu jej nie udzielił nauczki. Stała przecież niecały metr od niego i gapiała się z uśmiechem,

by wreszcie roześmiać się na widok męża, który nie umie podjąć męskiej decyzji. Tak to słabość i bierność przemogły siłę. Więcej się to nie powtórzy.

- Jazda stąd! - warknął Zadin po arabsku.

- Nie.

- Zabiję cię.

- Nie przejdziecie.

- Ben! - zakrzyczał któryś bardziej przytomny policjant. Było jednak za późno. Dla Beniamina Zadina, któremu Arabowie zamordowali obu braci, którego opuściła żona i który trząsł się z furii na sam widok manifestantów, przebrała się miara. Jednym płynnym ruchem podniósł do góry służbowy pistolet i strzelił Haszemiemu prosto w czoło. Arab zwałił się twarzą do ziemi, a śpiewy i klaskanie ucichły. Jeden z manifestantów zerwał się z miejsca, lecz dwaj inni pochwycili go mocno i zmusili, by znowu usiadł. Pozostali zaczęli odmawiać modlitwę za obu poległych. Zadin skierował lufę w kolejnego demonstranta, lecz choć już naciskał na spust, jego palce dziwnie osłabły. Może sprawiły to arabskie spojrzenia, odwaga siedzących i bijący z nich... Nie, na pewno nie upór, prędzej już stanowczość, a oprócz niej także litość, gdyż na twarzy Zadina malowała się teraz męka straszliwsza od najgorszego bólu. Policjant zrozumiał bowiem nagle, co takiego uczynił. Oto stracił panowanie nad własnymi uczynkami i z zimną krwią zabił człowieka. Zabił kogoś, kto ani przez chwilę nikomu nie zagrażał. Popęłił morderstwo. Zadin spojrzał na parę rabinów, jak gdyby szukał czegoś, sam nie wiedział czego. Jeśli jednak czegoś szukał, to nie znalazł, a kiedy się odwrócił, za jego plecami znów rozległy się śpiewy. Sierżant Mosze Lewin wyszedł przed szereg i odebrał kapitanowi pistolet.

- Chodźmy, Ben, nic tu już po nas.

- Co ja takiego zrobiłem?

- Już się stało, Ben. Chodź ze mną.

Lewin zaczął odprowadzać dowódcę, lecz nagle odwrócił się i spojrzał na dzieło poranka. Ciało Haszemiego zwiotczało w kałuży krwi, ciekącej między kamieniami bruku. Sierżant czuł, że powinien coś zrobić, powiedzieć coś. Wszystko miało być inaczej. Rozdziawił jednak tylko usta i pokręcił smutno głową. W tej właśnie chwili uczniowie Haszemiego Musy zrozumieli, że ich prowodyr zwyciężył.

Telefon w sypialni Ryanów zadzwonił trzy minuty po drugiej nad ranem czasu wschodniego USA. Jackowi udało się podnieść słuchawkę po drugim brzęczyku.

- Co tam?

- Mówi Saunders, z centrali operacyjnej. Proszę włączyć telewizor. Za cztery minuty CNN ma puścić sensacyjny materiał.

- Coś jeszcze? - Jack namacał pilota od telewizora i włączył odbiornik

- I tak mi pan nie uwierzy, szefie. Nagraliśmy sygnał prosto z łącza satelitarnego CNN, w Atlancie montują jeszcze nagranie przed emisją. Nie wiem, jakim cudem przepuścili to izraelscy cenzorzy. Chodzi o to...

- Dobra, już nadają. - Ryan w samą porę przetaił oczy. Nie włączył dźwięku, nie chcąc wyrywać żony ze snu, lecz żaden komentarz i tak nie był potrzebny. - Jezus Maria...

- Tyle właśnie można o tym powiedzieć - zgodził się dyżurujący oficer operacyjny.

- Natychmiast wyślijcie po mnie kierowcę. Proszę zaraz zadzwonić do dyrektora, niech też pędzi do centrali. A pan spróbuje złapać dyżurnego oficera w biurze transmisji w Białym Domu, niech zawiadomi ludzi po swojej stronie. Chcę natychmiast widzieć u mnie dyrektora pionu rozpoznania i kierowników działu izraelskiego, Jordanii... W ogóle wszystkich, calutenką sekcję

bliskowschodnią. Upewnijcie się jeszcze, czy wiedzą już w Departamencie Stanu...

- Mają swoje służby, więc pewnie...

- Wiem, że mają, i tak trzeba zadzwonić. W tej branży niczego się nie zakłada z góry, zgoda?

- Tak jest. Czy jeszcze coś?

- Tak, zorganizujcie mi cztery godziny snu - parsknął Jack i odłożył słuchawkę.

- Jack, czy to znaczy...? - Rozespana Cathy obejrzała właśnie powtórkę reportażu.

- Dokładnie tak znaczy.

- To znaczy jak?

- Znaczy to tyle, że Arabom udało się wreszcie znaleźć sposób, żeby zniszczyć Izrael. Chyba że uda się nam go jeszcze ocalić - dodał Jack już w myślach.

Dziewięćdziesiąt minut później Ryan pstryknął włącznikiem elektrycznego ekspresu do kawy obok swojego biurka i zaczął przeglądać raporty z nocnego dyżuru. Wyglądało, że kawa będzie miała swój dzień. Jack zdążył się ogolić w samochodzie, lecz jedno spojrzenie w lustro unaocniło mu, że udało mu się to tylko częściowo. Odczekał jeszcze, aż spod kawowego filtra nacieknie pełen kubek, po czym wmaszerował do gabinetu dyrektora. Cabot czekał tam w towarzystwie Charlesa Aldena.

- Dzień dobry - rzekł na widok Ryana doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa.

Wicedyrektor odmruknął chrypliwie coś w charakterze przywitania i dodał:

- Niewiele tu widzę dobrego. Czy prezydent już wie?

- Nie, nie chciałem go zrywać, zanim nie dowiemy się konkretów. Porozmawiam z nim, kiedy wstanie, koło szóstej. Marcus, jak sądzisz, co wymyślą teraz nasi izraelscy przyjaciele?

- Udało nam się coś już wykombinować, panie Ryan? - zapytał na to Cabot swojego zastępcę. - Po dystynkcjach poznaliśmy, że strzelał kapitan policji. Na razie nie znamy ani nazwiska, ani żadnych szczegółów. Izraelczycy trzymają go pod kluczem, a sami nabrali wody w usta. Na taśmie widać wyraźnie dwa trupy, paru innych z lekkimi obrażeniami. Szef naszej placówki wie tyle samo, co i my. Zawiadomił tylko, że to nie żaden pic, wszystko naprawdę tak było. Nagraliśmy jego oświadczenie. Ekipa telewizyjna CNN jakby się pod ziemię zapadła. Nie mieliśmy nikogo z naszych na miejscu wypadków, więc musimy polegać wyłącznie na materiałach z łączy. Po raz nie wiadomo który - dodał jeszcze Ryan w myśli. Nie powiedział nic na głos, żeby nie psuć i tak dość już złej atmosfery. - Wzgórze Syjon otoczone kordonem wojskowym, nikogo nie przepuszczają i nie wypuszczają, zamknęli także dojście do Ściany Płaczu. Na razie tyle. Nasza ambasada tam na miejscu nie wydała żadnego komunikatu, czekają na instrukcje Waszyngtonu. Inne ambasady tak samo. Brak jeszcze oficjalnych reakcji z Europy, ale za godzinę powinno już coś nadejść. Zaczęły się godziny urzędowania, poza tym w Sky News mogli sobie obejrzeć ten sam materiał.

- Już prawie czwarta. - Alden ze znużeniem spojrzął na zegarek. - Za trzy godziny i u nas ludzie stracą apetyt przy śniadaniu. Pomyśleć tylko, że człowiek zaraz rano musi oglądać takie draństwo. Panowie, myślę, że tym razem coś trzaśnie. Wykrakałeś, Jack. Pamiętam, co nam opowiadałeś w zeszłym miesiącu.

- Arabowie musieli zmyśleć, prędzej czy później - stwierdził zastępca dyrektora CIA, Alden zaś pokiwał głową, że się najzupełniej z tym zgadza. Jakże miło z jego strony, pomyślał Ryan. Dobrych parę lat temu napisał przecież dokładnie to samo w jednej ze swoich książek.

- Ja sądzę, że Izrael jakoś się z tego wyplącze, zawsze potrafili...

- Nic z tego - przerwał Jack swojemu szefowi. Ktoś musiał oświecić Cabota. - Proszę sobie przypomnieć, co mówił Napoleon o przewadze moralnej i fizycznej. Izrael w stu procentach zakłada, że racja moralna jest po jego stronie. Do znudzenia będą nam tam powtarzać, że są jedyną demokracją na Bliskim Wschodzie, i że tylko z nimi wypada trzymać. Koncepcja owszem, niegłupia,

tyle że się zawałiła równie trzy godziny temu. Teraz wyszli na takich samych oprawców jak nasi w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym roku w Alabamie, tyle że nasz Buli wołał armatki wodne od pistoletów. Obrońcy praw człowieka dostaną kota. - Jack przełknął nową porcję kawy. - Chodzi o zwyczajną sprawiedliwość. Kiedy Arabowie rzucali kamieniami i lali benzynę, policja mogła tłumaczyć, że przemocą odpowiada na przemoc. Ale teraz - koniec. Obaj ukatrupieni siedzieli na ziemi i nikomu nie zagrażali.

- Odosobniony przypadek, dzieło szaleńca! - ze złością zaoponował Cabot.

- Proszę wybaczyć, ale z tym się nie zgadzam. Co do strzału z pistoletu, owszem, może i tak, ale pierwsza ofiara zginęła od kul plastikowych wystrzelonych z odległości dobrych dwudziestu metrów - zginęła od dwóch strzałów, wymierzonych z tej samej broni. To nie żaden przypadek, lecz zabójstwo z zimną krwią.

- Skąd pewność, że ten Arab nie żyje? - powstrzymał Ryana Alden.

- Moja żona jest lekarzem i podziela tę opinię. Widać było, jak ciałem wstrząsają drgawki i jak zaraz potem wiotczeje, co mogłoby wskazywać na śmierć od urazu czaszki. Na dodatek tamci nie mogą nawet skłamać, że ten zabity potknął się i walnął głową w krawężnik, a to zmienia całą sytuację. Jeśli Palestyńczykom wystarczy sprytu, pójdą teraz na całość. Zastosują taką samą bierną taktykę i będą czekać, jak zareaguje świat. Mogą na tym tylko wygrać - zakończył Jack.

- Zgadzam się z Ryanem - wtrącił się Alden. - Do kolacji będziemy już mieli na ten temat rezolucję ONZ. Wypada nam uznać jej postanowienia, a to będzie świadczyć z kolei, że bierny opór okazał się dla Arabów lepszą bronią niż te ich kamienie. Co powie teraz Izrael? Jak zareaguje Tel Awiw?

Alden znał z góry odpowiedź na własne pytanie. Chodziło jednak o oświecenie dyrektora CIA, toteż Jack Ryan podjął kwestię:

- Najpierw nabiorą wody w usta. Pewnie od początku plują sobie w brodę, że nie przechwycili taśmy, ale co się stało, już się nie odstanie. Wygląda na to, że nikt nie zaplanował tego incydentu, a to znów oznacza, że władze Izraela dały się zaskoczyć tak samo jak my. Inaczej zaraz przymknęłyby tych kamerzystów. Zamknęli więc tymczasem policjanta i robią mu rentgena mózgu. Do obiadu wydadzą komunikat, że zabójca jest niepoczytalny i że był to odosobniony przypadek. Można z góry przewidzieć, w jaki sposób będą się tłumaczyć, ale...

- Nic im to nie pomoże - odezwał się Alden. - Do dziewiątej prezydent musi wydać oświadczenie, a nie wolno nam zwać wszystkiego na "tragiczny wypadek". To było morderstwo z zimną krwią, dokonane przez funkcjonariusza państwowego na bezbronnym uczestniku demonstracji.

- Zrozum, Charlie, że to naprawdę odosobniony przypadek - znów zwrócił się do Aldena dyrektor Cabot.

- Może i tak, ale ja dobre pięć lat temu wiedziałem, że musi nastąpić. - Doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego wstał i podszedł do okna. Przez trzydzieści ostatnich lat Izrael mógł się ostać jedynie dzięki arabskiej głupocie. Albo nie rozumieli, że prawo Izraela do bytu państwowego wypływa wyłącznie z przewagi moralnej, albo zabrakło im rozumu, żeby wyciągnąć stąd wnioski. Izrael staje więc dzisiaj nagle przed niemożliwym do rozstrzygnięcia dylematem moralnym. Jeżeli rzeczywiście jest demokratycznym państwem, które szanuje prawa obywatelskie, musi przyznać te prawa swoim Arabom. To jednak oznacza, że pęknie cała stabilność polityczna kraju, bądź co bądź oparta na kokietowaniu skrajnych ugrupowań religijnych, a wiadomo, że ci fanatycy mają gdzieś prawa obywatelskie Arabów, prawda? Jeżeli jednak władze ugną się przed fanatykami i będą udawać, że nie ma żadnej sprawy, jeżeli spróbują wszystko zagłaskać, wyjdzie na to, że w Izraelu nie ma demokracji. To znów zaszkodzi politycznej pomocy ze strony Ameryki, bez

której Izrael nie ma szans przetrwać ani pod względem gospodarczym, ani wojskowym. Dylemat dotyczy także i nas. Popieramy Izrael, dopóki jest to kraj demokratyczny, ale kiedy nagle przestaje być demokracją, kończy się nasze poparcie, jak właśnie w tej chwili. Marcus, kto zdecyduje się trzymać z krajem, którego policja morduje bezbronnych? Jeśli Izrael zaczyna wyprawiać takie historie, nie możemy go poprzeć, jak nie poparliśmy Somozy czy tuzina innych dyktatorków...

- Wielki Boże, Charlie, jest różnica między Izraelem a...

- Marcus, sam o tym wiem. Oczywiście, że istnieje ogromna różnica. Ale Izrael może to dziś udowodnić tylko w jeden sposób. Natychmiast zmienić kurs i urzeczywistnić wszystkie głoszone od zawsze hasła. Jeśli władze zwrócą się zamiast tego po pomoc do swoich zwolenników w Kongresie, przekonają się, że zwolenników nagle zabrakło. Może dojść nawet do tego, że Tel Awiw skompromituje nasze władze do reszty, a wtedy będziemy musieli pokazać mu plecy. Tego znów nie wolno nam uczynić z innych względów. Musimy przedstawić jakąś alternatywę. - Alden odwrócił się gwałtownie od okna. - Ryan, ten twój pomysł idzie natychmiast na warsztat. Sam będę naciskał na prezydenta i na Departament Stanu. Trzeba przedstawić jakiś nowy sensowny plan pokojowy, inaczej nie uda nam się wygrzebać Izraela z tej kabały. Proszę z łaski swojej zadzwonić do tego przyjaciela na Georgetown i powiedzieć mu, że nie chodzi już o przymiarki. Nazwiemy to operacją PIELGRZYMKA. Na jutro rano potrzebny mi wstępny szkic dotyczący zakresu naszych zamiarów i sposobów wprowadzenia ich w życie.

- Nie wiem, czy damy radę tak prędko - zauważył Jack.

- W takim razie nie będę cię dłużej zatrzymywał. Jeśli się nie pospieszymy, Bóg wie, co się może jeszcze porobić. Znasz Scotta Adlera z Departamentu Stanu?

- Rozmawiałem z nim parę razy.

- To najlepszy człowiek sekretarza Talbota. Radziłbym ci spotkać się z nim zaraz po telefonie do przyjaciół. Adler będzie cię krył ze strony Departamentu. To biurokraci, więc grzebaliby się z planem bez końca. I kup sobie ze dwie koszule, nie będzie teraz czasu jeździć do domu. Potrzebne mi wszystkie fakty, opinie i żelazna prognoza rozwoju wypadków, wszystko tak szybko, jak się tylko da. I ani pary z ust, ma tu być czarna dziura. Jeśli ma nam się udać, nie wolno ryzykować najmniejszych przecieków. - Ta ostatnia uwaga była wymierzona w Cabota.

- Rozumie się - odrzekł Ryan. Cabot pokiwał tylko głową.

Jack nigdy jeszcze nie zwiedzał profesorskich apartamentów uniwersytetu Georgetown. Świadomość ta zdziwiła go, ale odpędził ją od siebie i zajął się podanym śniadaniem. Ich stół stał przy oknie, wychodzącym na obszerny parking.

- Miałaś świętą rację, Jack - zaczął Riley. - Taki film to marny początek dnia.

- Czy słysząc już było coś z Rzymu?

- Podoba im się ten plan - odrzekł wprost rektor Georgetown.

- Podoba się, czy bardzo podoba?

- Pytasz poważnie?

- Dwie godziny temu Alden oświadczył mi, że sprawa idzie na warsztat. Riley skwitował tę wiadomość skinieniem głowy.

- Co, Jack, próbujecie zbawić Izrael?

Ryan nie wiedział, na ile pytanie stanowi żart, lecz własne samopoczucie nie nastrajało go do dowcipów.

- Ojczy, nie ja to wymyśliłem. Jestem tu, bo zlecono mi taką misję, rozumie mnie ojciec?

- Słowo "misja" nie jest mi obce. Miałaś świetny refleks, żeby w porę przedstawić ten twój

plan.

- Może i miałem, ale rozmowę o pokojowym Noblu zostawmy sobie na inną okazję.

- Rzeczywiście, zjedz najpierw śniadanie. Do lunchu zdążymy skontaktować się z kim trzeba, a ty coś mi marnie dziś wyglądasz.

- Faktycznie, bardzo marnie się czuję - przyznał Ryan.

- Po czterdziestce powinno się przestać pić - zawyrokował Riley. -Nie ten wiek, żeby się katować.

- Ojciec jednak nie przestał - zauważył Ryan.

- Jestem duchownym, więc muszę pić. A tak dokładnie, czego potrzebujesz?

- Jeśli uzyskamy wstępną zgodę od wszystkich liczących się stron, będziemy mogli od razu zacząć rokowania, z tym, że rozpoznanie trzeba zrobić nadzwyczaj dyskretnie. Prezydent chce się jak najszybciej dowiedzieć, która z opcji ma największe szansę. Mam się tym właśnie zająć.

- Wierzysz, że Izrael zgodzi się przystąpić do gry?

- Jeśli nie przystąpi, będzie miał przewalone. Przepraszam za wyrażenie, ale dokładnie tak sprawa wygląda.

- Naturalnie, masz rację, ale czy okażą się na tyle trzeźwi, żeby to zrozumieć?

- Ojczy, moja rola polega tylko na zbieraniu i ocenie informacji. Ludzie proszą mnie ciągle, żebym im wróżył z fusów, ale ja się na tym akurat nie znam. Wiem co najwyżej tyle, że to, cośmy oglądali w telewizji, ma szansę spowodować największy pożar od czasów Hiroszimy, a my musimy stanąć na głowie, żeby go ugasić, zanim strawi cały Bliski Wschód.

- Proszę cię, jedz. Muszę się parę minut zastanowić, a myślenie wychodzi mi najlepiej, kiedy coś żuję.

Ryan posłuchał i kilka minut później stwierdził, że nie żałuje tej dobrej rady. Śniadanie zneutralizowało kawowy kwas w żołądku, a kalorie dodały sił, tak potrzebnych tego długiego dnia. Nim upłynęła godzina, Ryan znów był w drodze, tym razem do Departamentu Stanu. Wczesnym popołudniem podjechał do domu, żeby spakować rzeczy. Na szczęście udało mu się zdrzemnąć podczas trzygodzinnej jazdy z Waszyngtonu do Annapolis i z powrotem. Później z kolei wpadł na naradę w biurze Aldena w Białym Domu i siedział na niej do późna w nocy. Alden jak nikt potrafił objąć nad wszystkim komendę, a burza mózgów w jego gabinecie przyniosła pewne konkretne wyniki. Przed świtem odwieziono Jacka do bazy lotniczej Andrews, skąd udało mu się z hali odlotów dodzwonić do Cathy. Jack łudził się, że w sobotę czy w niedzielę zabierze syna na mecz baseballowy, lecz okazało się to mrzonką. Tuż przed odlotem dopadł go jeszcze ostatni kurier z CIA, Departamentu Stanu i Białego Domu, wręczając dwustustronicową analizę do przejrzania podczas lotu przez Atlantyk.

ZIEMIA OBIECANA

Amerykańska baza lotnicza w Ramstein położona jest na dnie wąskiej doliny, co trochę wystraszyło Ryana. Jego własne wyobrażenie o tym, jak powinno wyglądać uczciwe lotnisko było zupełnie inne i choć zdawał sobie sprawę, że usytuowanie Ramstein nie jest takie ważne, dotychczasowe życie przyzwyczyliło go do łagodniejszych lotów. W bazie stacjonowało całe skrzydło myśliwców bombardujących typu F-16, każda maszyna w osobnym betonowym bunkrze, obsadzonym drzewami. Niemiecka mania na punkcie ochrony środowiska wprawiłaby w zazdrość niejednego z amerykańskich “zielonych”. W tym akurat przypadku potrzeby wojskowe spłoty się jak rzadko z pragnieniami miłośników przyrody. Wypatrzyć poszczególne bunkry z powietrza było praktycznie niemożliwością, zwłaszcza że część bunkrów (francuskiej produkcji) zamaskowano, sadząc drzewa na samych kopułach, dzięki czemu kamuflaż mógł zadowolić i wojskowych, i estetów. W bazie stacjonowało także kilka większych maszyn sztabowych, włącznie z boeingiem 707 z wypisanym wzdłuż boku napisem “United States of America”, zwiastującym samolot rządowy. Boeing przypominał większą maszynę prezydencką i stał do dyspozycji naczelnego dowódcy sił amerykańskich w Europie. Żołnierze nazywali między sobą ten samolot “Miss Piggy”. Ryan uśmiechnął się, kiedy mu to powiedziano. Oto lądował w bazie, w której siedemdziesiąt myśliwców ćwiczyło latami, jak zmieść z powierzchni ziemi odjeżdżające teraz do domu dywizje radzieckie, w której bunkry zachwycają obrońców środowiska, i w której największy samolot nazywa się “Miss Piggy”. Ten świat naprawdę zwariował.

Z drugiej strony jednak wojsko lepiej niż którakolwiek linia lotnicza umiało się zająć swoimi pasażerami, traktując ich rzeczywiście jak Bardzo Ważne Osobistości. Ryana na przykład goszczono w luksusowych wnętrzach budynku, zwanego hotelem Pod Armatą. Komendant bazy, pułkownik wojsk lotniczych, wyjechał na spotkanie lądującego gulfstreama VC-20B i przewiózł Ryana do apartamentów gościnnych, gdzie w specjalnej szufladzie znaleźć można było między innymi kolekcję butelek, w sam raz odpowiednich, by zwalczyć ich zawartością i snem skutki sześciogodzinnej różnicy czasu. Ryan nie obraził się na widok obfitego barku, zwłaszcza że telewizor w pokoju łapał tylko jeden program. Obudził się następnego dnia o szóstej rano, już prawie nie czując różnicy stref czasowych, obolały i głodny, lecz z poczuciem zwycięstwa nad szokiem po podróży.

Nie miał najmniejszej ochoty biegać. Powiedział to sobie na głos. Prawda była jednak taka, że nawet z lufą przystawioną do skroni Jack nie umiałby dziś przebiec ani kilometra. Zamiast biegać, zdecydował się na energiczny marsz. Wkrótce zaczęli go wyprzedzać maniacy porannego sportu, z których wielu musiało być pilotami myśliwców, sądząc po ich młodym wieku i braku tuszy. Między drzewami, zasadzonymi na samym skraju asfaltowych alejek, wisiała poranna mgła. W Niemczech było znacznie chłodniej niż w Waszyngtonie, a ciszę poranka co kilka minut przerywał ryk odrzutowych silników - słynny “odgłos wolności” - będący namacalnym symbolem obecności wojsk, które od czterdziestu lat gwarantowały Europie pokój, i których dzisiaj Niemcy nie mogli dłużej ścierpieć. Poglądy zmieniają się jeszcze szybciej niż historia. Amerykańskie wojska zrobiły swoje i, przynajmniej zdaniem Niemców, stały się reliktem przeszłości. Zniknęła granica między obydwojma państwami niemieckimi. Zburzono wieże wartownicze i zerwano druty kolczaste, rozminowano ziemię niczyją. Na zaoranym pasie granicznym, przez okres dwóch pokoleń nie tkniętym ludzką stopą

i bronowanym codziennie po to, by widać było tropy uciekinierów, rosły dziś kwiatki i trawa. Obiekty w Niemczech Wschodnich, znane dawniej wyłącznie ze zdjęć satelitarnych, te same, o których żeby dowiedzieć się czegokolwiek, zachodnie wywiady nie szczędziły pieniędzy czy wręcz krwi, dzisiaj stały otworem dla obławianych aparatami fotograficznymi turystów, zaś udający turystów oficerowie wywiadu nie mogli się otrząsnąć z wrażenia wobec przemian, jakie ogarnęły Europę niczym wiosenna powódź. "Jednak mieliśmy rację co do tego obiektu" myśleli agenci ze spóźnioną satysfakcją. "Jak mogliśmy palnąć takie głupstwo w ocenie?" zastanawiali się inni.

Ryan także kręcił głową w zdumieniu. Zdumienie to mało powiedziane. Dwa osobne państwa niemieckie istniały, odkąd sięgał pamięcią, nawet zanim się jeszcze urodził. Podział Niemiec stanowił, zdawało się, jedyny niewzruszony pewnik na tym niestałym świecie, a poświęcono mu tyle rządowych raportów, specjalnych ekspertyz CIA i artykułów w prasie, że uzyskaną z nich makulaturą można by zapchać cały Pentagon. Wszystkie te wysiłki, wszystkie drobiazgowo analizy szczegółów, wszystkie spory ekspertów poszły w błoto. Niedługo nikt już nie będzie ich pamiętał i nawet zawodowym historykom nie będzie się chciało przetrząsać wszystkich danych, które do niedawna wydawały się tak ważne - najważniejsze ze wszystkiego, na pewno aż tak, że wymagały ofiary życia - a które obecnie stanowiły już tylko obszerną głośną kronikę drugiej wojny światowej. Baza w Ramstein także stawała się podobnym zabytkiem. Założono ją jako punkt wypadowy dla myśliwców, które miały wymiatać z nieba rosyjskie maszyny i nękać radziecką szpicę pancerną.

Dziś jednak baza okazała się już tylko przeżytkiem, a do jej kwater mieszkalnych pewnie już wkrótce zaczną się wprowadzać niemieckie rodziny. Ryana ciekawiło, na co można przerobić bunkry takie jak te... Może na piwnice na wino. Miejscowe wino było całkiem niczego sobie.

- Stój! - usłyszał Ryan i zamarł, rozglądając się za źródłem głosu. Wartownik ze służby wewnętrznej okazał się kobietą, a właściwie młodą dziewczyną. Oczywiście przewieszonemu przez jej ramię M-16 było dokładnie wszystko jedno, jak siusia osoba naciskająca na spust.

- Czy coś przeszkobałem?

- Proszę dokumenty! - Młoda dama okazała się całkiem niebrzydka i bardzo sprawna jako wartownik. Poza tym spomiędzy drzew ubezpieczał ją drugi żołnierz. Ryan podsunął swoją delegację z CIA.

- Nigdy nie widziałam takich papierów w bazie.

- Przyleciałem wczoraj w nocy tamtym gulfstreamem. Kwateruję w hotelu bazy, pokój sto dziewięć. Można sprawdzić w biurze pułkownika Parkera.

- Mamy stan zaostrego pogotowia - wyjaśniła wartowniczką, sięgając po radiotelefon.

- Jasne, niech pani robi swoje. Przepraszam, niech sierżant robi swoje. I tak odlatuję dopiero o dziesiątej. - Korzystając z postoju, Jack oparł się o drzewo i zaczął wykonywać skłony kręgosłupa. Poranek był zbyt piękny, żeby się denerwować, nawet jeśli złapała człowieka dwójka uzbrojonych ludzi i podejrzewa go o najgorsze.

- Zrozumiałam. - Sierżant Becky Wilson pstryknęła wyłącznikiem. - Pułkownik wszędzie pana szuka.

- Stąd mam iść prosto i skręcić przy budce z hamburgerami, tak?

- Dokładnie tak. - Wartowniczką odwzajemniła uśmiech, zwracając Ryanowi dokumenty.

- Dziękuję, sierżancie. Przepraszam za zamieszanie.

- Może podwieźć pana? Pułkownik już czeka.

- Nie, pójdę piechotą. Jeszcze wcześniej, a pułkownik może poczekać - odpowiedział Ryan, po czym odwrócił się plecami do sierżanta. Wartowniczką zaś zaczęła snuć domysły na temat rangi faceta, który każe samemu pułkownikowi czekać na siebie na stopniach hoteliku. Szybki marsz zajął

aż dziesięć minut, lecz poczucie orientacji nie zawiodło Ryana nawet w obcej okolicy i przy sześciogodzinnej różnicy czasu.

- Dzień dobry, panie pułkowniku! - zawołał Ryan, przesadzając płot dzielący go od parkingu.

- Umówiłem nas na śniadanie ze sztabowcami z głównej kwatery naszych sił w Europie. Zależy nam na pańskiej ocenie sytuacji w tym teatrze działań.

- A to dopiero! - roześmiał się Jack. - To ja chciałem pana prosić o ocenę. - Po czym pomaszerował do pokoju, żeby się przebrać. Zastanawiał się po drodze, skąd bierze się w sztabowcach wiara, że w Waszyngtonie wiedzą więcej niż tutaj. W samej rzeczy, zanim jego samolot oderwał się od pasa startowego, Jack Ryan dowiedział się od oficerów kilku rzeczy, o których nie miał wcześniej pojęcia. Po pierwsze, okazało się, że radzieckie dywizje wycofywane z terenu byłej Niemieckiej Republiki Demokratycznej są rozgoryczone i wściekłe, zwłaszcza dlatego, że wobec braku baz i kwater, nie mają właściwie dokąd wrócić. Z kolei dawne wojska wschodniemieckie nie mogły się pogodzić z postępującą demobilizacją, a nastroje wśród nich okazały się dużo gorsze, niż się tego spodziewano w Waszyngtonie. Wojskowym z armii NRD sprzyjały ponadto ugrupowania złożone z dawnych policjantów z rozwiązanej tajnej policji, czyli Stasi. Wreszcie, choć po zjednoczeniu udało się na Wschodzie wyłapać równo tuzin członków terrorystycznej Frakcji Armii Czerwonej, co najmniej drugie tyle zorientowało się w porę i ulotniło, zanim do ich drzwi zapukali agenci Bundeskriminalamt. Jak powiedziano Ryanowi, stąd właśnie pogotowie w bazie w Ramstein.

VC-20B wzbił się z wojskowego lotniska tuż po dziesiątej rano, biorąc kurs na południe. Jackowi trochę było żal terrorystów, którzy w końcu całe życie i energię poświęcili czemuś, co rozwiało się we mgle jeszcze prędzej niż niemiecki pejzaż w okienku odrzutowca. Dzieci osierocone przez matkę. Żadnych przyjaciół. Terrorysty ukrywali się dotychczas w NRD i w Czechosłowacji, w błogiej nieświadomości, że już wkrótce oba komunistyczne państwa runą. Gdzie się teraz ukryć? W Rosji? Nie ma mowy. W Polsce? Dobry żart. Ziemia paliła im się pod nogami, tym bardziej, że zachodziły wciąż nowe przemiany. Ryan uśmiechnął się marzycielsko. Koledzy terrorysty zobaczą jeszcze niejedną przemianę. Może zobaczą - poprawił się w myśli. - Może...

- Witam, Sergiej Nikołajewiczu! - zawołał Ryan tydzień wcześniej na widok osoby, która stanęła na progu jego biura.

- Iwanie Jemietowiczu! - zrewanżował się Rosjanin, wyciągając dłoń na przywitanie. Ryan pamiętał dobrze ich ostatnie bliskie spotkanie, na pasie startowym moskiewskiego lotniska Szeremietiewo. Wówczas jednak Gołowko trzymał w prawej dłoni pistolet. Obaj zapamiętali tamten dzień jako pechowy, lecz zabawnym zrzędzeniem losu wszystko wyszło im tylko na dobre. Gołowko, któremu prawie, prawie udało się udaremnić najpoważniejszą szpiegowską dezercję w historii ZSRR, mianowany został w nagrodę pierwszym zastępcą przewodniczącego Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego. Gdyby udała mu się tamta akcja, awans byłby co najmniej wątpliwy. Że jednak Gołowko okazał się świetny w miarę, lecz nie do przesady, sam prezydent kraju zechciał go zauważyć i wynagrodzić szybkim kopem w górę. Oficer odpowiedzialny za gościa rozlokował się obok biurka Nancy, gdy tymczasem Ryan wprowadził Gołowkę do swojego gabinetu.

- Jakoś tu ubogo - zauważył gość, z dezaprobatą spoglądając na tandetne przepierzenie z płyty gipsowej. Za całą ozdobę gabinetu służyło niezłe skądinąd malowidło, wypożyczone z magazynów rządowych, oraz nie wymagana już regulaminem fotografia prezydenta Fowlera obok wieszaka, na którym Ryan wieszał swoją marynarkę.

- Za to u mnie ładniej za oknem, Sergiej Nikołajewiczu. Proszę mi powiedzieć, czy ktoś już usunął z waszego placu ten posąg Żelaznego Feliksa?

- Na razie nie. - Gołowko uśmiechnął się. - Wasz szef, zdaje się, w rozjazdach?

- Owszem, prezydent potrzebuje od niego pewnej porady.
- A na jaki temat? - zapytał znów Gołowko ze sprytnym uśmiechem.
- Żeby to ja wiedział - odparł wesoło Ryan. - Tematów jest mnóstwo - dodał już w myśli.
- Trudne czasy, prawda? I dla ciebie, i dla mnie. - Gołowko nie musiał dodawać, że nowy przewodniczący KGB, tak samo jak Cabot w CIA, nie wywodzi się z grona zawodowych szpiegów. Nie było to zresztą aż tak niezwykle. W przeszłości szefowie tej ponurej firmy byli mianowani przez partię, ale dziś, kiedy sama partia zaczęła przechodzić do historii, Narmonow wybrał na to stanowisko eksperta od komputerów, który miał wnieść do radzieckiej centrali wywiadowczej nowe idee. Komputery usprawnią pracę KGB. Ryan wiedział zresztą, że na moskiewskim biurku Gołowki stoi podręczny IBM. - Siergieju, zawsze powtarzam, że gdyby się udało poukładać świat sensownie, zostałbym bez pracy. Sam widzisz, co się dzieje. Może kawy?

- A, chętnie, Jack.

Za chwilę gość z uznaniem pochwalił napar.

- Nancy nastawia mi co rano ekspres. Ale do rzeczy. W czym ci mogę pomóc?

- Często słyszałem takie pytanie, ale nigdy jeszcze w podobnym gabinecie. - Gość Ryana roześmiał się swobodnie. - Boże święty, Jack, czy nie zdarza ci się przecierać oczu i myśleć, że to jakiś narkotyczny sen?

- Żaden sen. Wczoraj zaciąłem się przy goleniu i wcale się nie ocknąłem.

Gołowko mruknął po rosyjsku coś, czego Jack dobrze nie dosłyszał. Nie szkodzi, tłumacze sprawdzą później całą taśmę.

- Odpowiadam przed Radą Najwyższą za pracę naszego komitetu. Twój szef, Jack, zechciał przychylnie odpowiedzieć na naszą prośbę o wymianę doświadczeń w tej sprawie.

- Nie ma kłopotu, Siergieju. Możesz konsultować ze mną osobiście wszystko, co wiesz. - Ryan nie mógł powstrzymać się od kolejnego żartu.

- Wy tłumaczę ci dokładnie, ile z tego może trafić do deputowanych.

- Dziękuję, ale nie wiem, czy spodobałoby się to przewodniczącemu.

Gołowko mężnie zniósł cios. Żarty żartami, ale teraz czekała obu konkretna praca.

- Coś za coś - brzmiało pierwsze zdanie pojedynku.

- Za co mianowicie?

- Za informacje o tych terrorystach, których wspierało KGB.

- Nie ma mowy - odpowiedział natychmiast Gołowko.

- Dlaczego? Porozmawiajmy.

Teraz z kolei pokazał przynętę Gołowko:

- Służba wywiadowcza nie może bez szkody dla siebie nadużyć cudzego zaufania.

- Czyżby? - zdziwił się Ryan. - Powiedz to Fidelowi przy następnym spotkaniu.

- Strasznie się wyrobiłeś, Jack.

- Miło słyszeć, Siergieju. Faktem jest, że nasze władze mają wielki dług wdzięczności wobec waszego prezydenta za to ostatnie oświadczenie o terroryzmie. Powiem więcej, podoba mi się ten facet. Mamy razem szansę zmienić świat, uprzątnąć jeszcze trochę gnoju. Sam powiedz, przecież tobie też się nie podobało, że twoje władze popierają te wszystkie bandy.

- Skąd takie przypuszczenie? - zapytał pierwszy zastępca przewodniczącego KGB.

- To proste, Siergieju. Jako zawodowiec nie mógłbyś się pogodzić z działaniami przestępców, którzy nie znają na dodatek dyscypliny. Podzielałam w pełni te odczucia, chociaż u mnie ma to tło bardziej osobiste.

Ryan odchylił się z oparciem i spojrzał twardo na rozmówcę. Nie zapomniał nigdy tego, że Sean

Miller i inni członkowie Armii Wyzwolenia Ulsteru dwukrotnie usiłowali pozbawić życia jego i całą rodzinę. Trzy tygodnie przed wizytą Gołowki, po długoletnim procesie, trzech apelacjach do Sądu Najwyższego, demonstracjach i prośbach do prezydenta USA i do gubernatora stanu Maryland o ułaskawienie, Miller i jego koledzy wmaszerowali kolejno do komory gazowej więzienia w Baltimore i po pół godzinie zostali z niej wyniesieni zupełnie sztywni. - Niech Bóg ma ich dusze w piecie - pomyślał jeszcze Ryan. - O ile Bóg nie będzie się brzydził.

Przynajmniej ten rozdział w życiu udało mu się zamknąć na zawsze.

- A te wasze ostatnie wypadki...?

- Mówisz o tych Indianach? Najlepszy dowód, że wiem, co mówię. Ci "rewolucjoniści", żeby zdobyć pieniądze, wzięli się za narkotyki. Powtarzam, że ci sami ludzie, którzy byli na waszym garnuszku, zaczną was teraz kąsać. Za parę lat, Siergieju, staną się dla was jeszcze większą plagą niż w tej chwili dla nas.

Opinia ta była zupełnie uzasadniona, z czego obaj rozmówcy doskonale zdawali sobie sprawę. Związki terrorystów ze światem handlarzy narkotyków zaczynały coraz bardziej niepokoić służby radzieckie. Wolny rynek znalazł w ZSRR swoich pierwszych entuzjastów wśród świata przestępczego. Ryana niepokoiło to równie mocno, jak Gołowkę.

- No więc, co ty na to?

Gołowko przekrzywił głowę.

- Będę musiał przedyskutować to z przewodniczącym. A ten wyrazi zgodę.

- Pamiętasz, co ci parę lat temu powiedziałem w Moskwie? Po co pchać do negocjacji jakichś dyplomatów, kiedy normalni ludzie potrafią się dogadać jeszcze lepiej?

- Spodziewałem się, że zacytujesz Kiplinga albo inny poemat o Wschodzie i Zachodzie - zauważył cierpko Rosjanin. - Ale, ale: jak radzicie sobie z Kongresem?

Jack znowu się roześmiał.

- Oficjalna zasada brzmi: mówimy Kongresowi całą prawdę.

- Przeleciałem jedenaście tysięcy kilometrów tylko po to, żeby coś takiego usłyszeć?

- Wybierasz spośród deputowanych do parlamentu garść takich, którzy, twoim zdaniem, potrafią trzymać język za zębami i w których nieposzlakowaną uczciwość wierzy reszta posłów. Na tym ostatnim najłatwiej się zresztą wyłożyć. Tej grupie opowiadasz rzeczywiście wszystko, co sam wiesz. Oczywiście ustala się zasady boiska...

- Zasady boiska?

- Taki termin w baseballu, Siergieju. Oznacza, że do poszczególnych pozycji w polu odnoszą się osobne zasady gry.

- Pożyteczne określenie. - W oczach Gołowki błysnęło zainteresowanie.

- Wszyscy muszą się porozumieć co do tych zasad i nigdy, przenigdy ich nie łamać. - Ryan przerwał wywód. Znowu zaczynał wymądrzać się jak wykładowca, co nie było uprzejme w stosunku do takiego samego fachowca jak on.

Gołowko tymczasem zmarszczył czoło. Tak, to najtrudniejsza sprawa: nigdy, przenigdy nie łamać raz przyjętych zasad. W świecie wywiadu rzadko ma się do czynienia z tego typu żelaznymi regułami, zwłaszcza że mania spiskowa stanowi nierozdzielny element duszy rosyjskiej. - U nas przynajmniej zdało to egzamin - dodał Ryan, dopowiadając w myśli: - Zdało, albo nie zdało. O tym, jak jest naprawdę z naszym Kongresem trzeba by zapytać Siergieja. Nikt lepiej od niego nie zna ilości nowych, poważnych przecieków z Kapitolu od czasów afery Petera Hendersona. Ale oczywiście Siergiej nie ma złudzeń także co do tego, że mimo ruskiej manii na punkcie spisków i tajemnic, przeniknęliśmy w jakiś sposób do tyłu ich siatek. Nawet w ZSRR musiano to przyznać

publicznie po fali ucieczek oficerów KGB, która z roku na rok rujnowała coraz większą liczbę precyzyjnie przygotowanych operacji radzieckich na Zachodzie i w Ameryce. Tak samo jak w Stanach Zjednoczonych, w ZSRR tajemnica miała za zadanie maskować zarówno sukcesy, jak i klęski.

- Jeśli o zaufaniu mowa - odezwał się Jack Ryan po namyśle - wasi parlamentarzyści to przecież patrioci. Gdyby nie zależało im na losie kraju, dlaczego mieliby się chcieć babrać w polityce? W Stanach na pewno jest podobnie...

- Dlatego, że chcą władzy - przerwał mu Gołowko.

- Nie zgadzam się. Tym rozsądniejszym, z którymi będziesz miał do czynienia, nie zależy aż tak bardzo na władzy. Pewnie, zawsze znajdzie się paru idiotów, u nas ich też nie brakuje. Na pewno nie zagraża im wymarcie, ale powtarzam, zawsze będą oprócz nich także tacy, którzy rozumieją, że kiedy się pracuje w aparacie rządowym, wszelka władza jest mrzonką. Obowiązki, które się z tym wiążą, zawsze przerastają tę drugą stronę. Siergieju, sam się przekonasz, że w większości będziesz miał do czynienia z ludźmi tak samo zdolnymi i uczciwymi, jak ty sam.

Gołowko zadarł podbródek, słysząc ten komplement, wypowiedziany przez jednego fachowca pod adresem drugiego. Nie pomylił się w ocenie sprzed kilku minut: Ryan naprawdę szybko się uczył nowej roli. Gołowko pomyślał nawet, że nie widzi już w Ryanie wroga. Konkurenta w tej samej branży na pewno tak, ale nie wroga. Łączyło więc ich teraz coś więcej niż szacunek dla przeciwnika.

Ryan dobrotliwie spoglądał na gościa, ciesząc się w duchu, że udało mu się go zaskoczyć. Jednocześnie modlił się po cichu, żeby jednym z parlamentarzystów wybranych przez Gołowkę do komisji nadzoru nad działalnością KGB okazał się Oleg Kiriłowicz Kadyszew, noszący kryptonim ŻAGIEL. Gazety i telewizja fetowały Kadyszewa jako najzdolniejszego z radzieckich deputowanych do skróconej legislatury, usiłującej przebudować ZSRR. Fama osoby inteligentnej i uczciwej kłóciła się jednak z faktem, że od kilku lat Kadyszew był na żołdzie CIA i okazał się najlepszym ze wszystkich agentów zwerbowanych przez Mary Pat Foley. Mecz wcale się nie skończył - pomyślał Ryan. - Zmieniły się tylko przepisy. Zmienił się także świat, ale nie znaczy to, że już po meczu. Prawdopodobnie zawsze będą jakieś mecze. Ale czym tu się smucić, do diabła, skoro Ameryka ma szpiegów nawet w Izraelu (nazywano to "pilnowaniem interesu" i unikano jak ognia określenia "działalność wywiadowcza", gdyż kongresmeni z komisji nadzoru wypaplaliby wszystko w minutę). Ech, Siergieju, wiele będziesz się jeszcze musiał nauczyć.

Nadeszła pora posiłku. Ryan zaprosił swojego gościa do kantyny dyrekcji, gdzie, zdaniem Gołowki, karmili trochę lepiej niż w KGB. Ryanowi nie mogło się to pomieścić w głowie. Okazało się zaraz, że cała dyrekcja CIA chce się przywitać z gościem. Szefowie pionów i ich główni zastępcy ustawili się rzędkiem, by kolejno uścisnąć rosyjską prawicę i dać się sfotografować. Wreszcie ustawiono się do zbiorowego zdjęcia, po którym Gołowkę zwieziono dyrektorską windą do samochodu. Następnie ludzie z pionu naukowo-technicznego przepatrzyli każdy centymetr korytarza, którym przeszedł Gołowko w towarzystwie opiekuna. Niczego nie znaleźli, sprawdzili więc jeszcze raz. I jeszcze raz. I jeszcze, dopóki nie uznano, że gość rzeczywiście nie skorzystał z okazji, by spleść jakiegoś figła. Jeden z techników głośno wyraził żal, że skończyły się dawne zabawy.

Wspominając tamte słowa, Ryan uśmiechnął się, bo rzeczywiście, wszystko zmieniało się teraz w zabójczym tempie. Odchylił oparcie fotela i zaciągnął pas. VC-20 zbliżał się już do Alp, nad którymi mogło porządnie huścić.

- Może gazetę? - zapytała Jacka dziewczyna z personelu, tym razem dla odmiany przystojna, zamężna i w ciąży. Sierżant sztabowy w ciąży. Jack czuł się trochę nieswojo, obsługiwany przez

kogoś takiego.

- A co mogę dostać?

- "Heralda".

- Świetnie - ucieszył się Ryan, wziął gazetę i prawie się zachłysnął z wrażenia. Bęc, od razu na pierwszej stronie. Jakiś koszmarny idiota puścił zdjęcie w obieg. Proszę, Gołowko, Ryan, obok szefowie pionu technicznego, pion operacyjny, kadry, archiwum i wywiad, wszyscy pałaszują lunch. Oczywiście żadne z nazwisk po stronie amerykańskiej nie było utajnione, ale zawsze...

- Trochę źle pan wyszedł na tym zdjęciu - zauważyła pani sierżant z uśmiechem. Ryan nie miał nawet sił się na nią rozszłościć.

- Kiedy termin, sierżancie?

- Jeszcze pięć miesięcy, proszę pana.

- Wygląda, że przynajmniej dziecko pozna świat dużo lepszy niż mój czy pani. Proszę usiąść i sobie nie przeszkadzać. Nie przewróciło mi się w głowie na tyle, żeby dać się obsługiwać kobiecie w ciąży.

"International Herald Tribune" to wspólne przedsięwzięcie nowojorskiego "Timesa" i "Washington Post". Amerykanom podróżującym po Europie dziennik ten pozwala nie tracić z oczu wyników meczów futbolowych i nowych odcinków popularnych komiksów. Ostatnio jednak gazeta objęła dystrybucją także dawny blok wschodni, gdzie chętnie kupowali ją amerykańscy biznesmeni czy turyści, którzy ruszyli hurmą zwiedzać dawne kraje realnego socjalizmu. Mieszkańcy tych krajów także cenią "Heralda" jako materiał do ćwiczenia się w angielszczyźnie i źródło wiadomości o tym, co słychać w Ameryce, jeszcze bardziej niż dawniej kuszącej narody wychowywane przez lata w przymusowej nienawiści do USA. W dodatku "Herald" rzeczywiście stanowi najlepsze dostępne na Wschodzie źródło pisanej informacji, nic więc dziwnego, że wkrótce zaczęto dziennik powszechnie kupować, a redakcja, spodziewając się tysięcy nowych odbiorców, zaczęła planować nabór świeżego personelu. Jednym z regularnych czytelników tej gazety był Günther Bock. Mieszkał teraz w Sofii, jako że Niemcy - czy raczej, wschodnią część Niemiec - zmuszony był pośpiesznie opuścić kilka miesięcy wcześniej, ostrzeżony w porę przez przyjaciela z dawnego Stasi. Günther Bock był niegdyś, wraz z żoną Petrą, przywódcą jednej z komórek organizacji Baader-Meinhof, a po rozbięciu grupy przez zachodnioniemiecką policję wszedł w skład Frakcji Armii Czerwonej. Dwa cudem uniknięte aresztowania przez agentów Bundeskriminalamt kazały mu uciec przez granicę czeską i schronić się w NRD, gdzie Bock zaszył się i żył w zapomnieniu. Otrzymał nowe nazwisko, nowe papiery i stałe zatrudnienie, mógł więc wykazać w razie potrzeby, że w dokumentach ma całkowity ordnung, choć, oczywiście, nie chodził do pracy. Uznał zatem, że nic mu nie grozi. Ani on, ani też Petra, nie liczyli się z perspektywą ludowej rewolucji, która obaliła władze Deutsche Demokratische Republik, lecz kiedy to już nastąpiło, sądzili, że anonimowość pomoże im jakoś przetrwać. Nie przyszło im do głowy, że podczas kolejnych zamieszek tłum wedrze się do głównej komendy Stasi i zniszczy całe miliony dokumentów. Co gorsza, wiele spośród dokumentów wcale nie uległo zniszczeniu, bo wśród uczestników zajść znajdowali się liczni współpracownicy Bundesnachrichtendienst, czyli zachodnioniemieckiej służby wywiadowczej. Nie zabrakło ich także w pierwszych szeregach wdzierających się do komendy tajnej policji, a co więcej, wiedzieli oni dokładnie, które pokoje mają zdemolować. Niewiele dni później ukrywający się ludzie z Frakcji Armii Czerwonej zaczęli znikać. Niełatwo było to z początku stwierdzić, bo przy haniebnym systemie telefonicznym w NRD trudno się gdziekolwiek dodzwonić, a co więcej, w trosce o zasady konspiracji dawni współpracownicy rozproszyli się po różnych miastach. Kiedy jednak kolejne

małżeństwo nie pojawiło się na umówioną kolację, Günther i Petra zaczęli się niepokoić. Było jednak za późno. Kiedy mąż Petry wciąż gorączkowo szukał sposobu wyjazdu z kraju, pięciu uzbrojonych po zęby komandosów z oddziału GSG-9 wywaliło kopnięciem cienkie drzwi mieszkania Bocków w Berlinie Wschodnim. Znaleźli jedynie Petrę, karmiącą piersią dwójkę córeczek-bliźniaczek, lecz nie rozczuliło ich to specjalnie, jako że pamiętali trzy morderstwa, których aresztowana dopuściła się osobiście na obywatelach RFN. Jedno z morderstw było szczególnie brutalne. Petra wylądowała w pilnie strzeżonym więzieniu z dożywotnim wyrokiem, w kraju, gdzie "dożywocie" naprawdę oznacza, że poza mur wyjdzie się dopiero w trumnie. Obie córeczki zaadoptował kapitan policji z Monachium, którego żona cierpiała na bezpłodność.

Günther nigdy by nie przypuszczał, że tak mocno przeżyje ten cios. Ostatecznie był przecież rewolucjonistą, sam w przeszłości spiskował i mordował dla dobra sprawy. To absurdalne, tak gryźć się faktem aresztowania Petry... Albo utratą dziewczynek. Tyle że... Tyle, że obie dziewczynki miały taki sam nos i oczy jak Petra, i uśmiechały się do Günthera. Wiedział, że kiedy dorosną, nie będą nienawidzić ojca, zwłaszcza że nie dowiedzą się zapewne nigdy, kim byli ich rodzice. Günther Bock poświęcił się sprawie ważniejszej i wznioślejszej niż zwykła cielesna egzystencja. Wraz z kolegami podjął świadomą, przemyślaną decyzję, aby dla dobra zwykłych ludzi zacząć budować nowy, lepszy świat. Zarazem jednak wspólnie z Petrą równie świadomie zdecydowali się, że urodzi dzieci, którym mogliby przekazać doświadczenie, i które skorzystają z heroicznego wysiłku pary starszych Bocków. To, że nigdy już się to nie spełni, bolało Günthera najbardziej.

Najgorszy był jednak stan oszołomienia. Ostatecznie stała się rzecz zupełnie niemożliwa. Unmöglich. Unglaublich. Zwyczajni ludzie, szary zwyczajny Volk z NRD, powstałi nie gorzej od prawdziwych rewolucjonistów, sprzeniewierzył się państwu prawie już doskonałego socjalizmu i poszedł na lep systemu wyzysku, podsuniętego przez siły imperializmu. Wystarczyło zaświecić ludziom w oczy sprzętem domowym firmy Blaupunkt, błysnąć im mercedesem, a natychmiast... No właśnie, cóż się takiego stało? Günther Bock wciąż nie mógł tego pojąć, nie umiał, mimo wrodzonej inteligencji, złożyć toczących się wokół wypadków w sensowną całość. Zabrakło mu wyobraźni, by pojąć, w jaki sposób naród, wśród którego mieszkał, mógł przyjrzeć się jeszcze raz zasadom "naukowego socjalizmu" i dojść do wniosku, że system ten nie sprawdza się i nigdy się nie sprawdzi. Bock poświęcił marksizmowi tak znaczną część swojego życia, że wyrzec się tego oznaczało klęskę. Kim stałby się, gdyby zapomniał o nauce Marksa? Zwykłym kryminalistą, pospolitym mordercą. Jedynie heroiczny etos rewolucjonisty może wydzwignąć podobne uczynki na płaszczyznę wyższą niż ta dostępna przestępcom. Jednak naród, którego Bock, nie pytając o zdanie, obdarował swoim rewolucyjnym etosem, wyparł się go nagle. Nie, to wszystko niemożliwe. Unmöglich.

To okropne, żeby tyle nieprawdopodobnych rzeczy zbiegło się w czasie. Kiedy otworzył gazetę, kupioną przed dwudziestoma minutami w odległym o siedem przecznic kiosku, natychmiast spostrzegł fotografię na pierwszej stronie - dokładnie tak, jak przewidział to redaktor wydania.

CIA FETUJE KGB, brzmiał początek tytułu.

- Was ist das denn für Quatsch? - mruknął pod nosem Günther .

"Choć przedziwne czasy są najbardziej odpowiednią sceną dla przedziwnych wydarzeń, fakt, że Centralna Agencja Wywiadowcza gościła niedawno pierwszego zastępcę przewodniczącego KGB, mimo wszystko pozostaje zdumiewający. Radziecki gość odbył w Langley spotkanie w sprawach, jak podano, będących przedmiotem wspólnej troski dwóch największych imperiów wywiadowczych świata...", brzmiał pierwszy akapit.

"Kola dobrze poinformowane potwierdzają krążące od pewnego czasu pogłoski o nowych dziedzinach współpracy między

Wschodem a Zachodem, w tym wymiany informacji na temat bliskich związków terroryzmu międzynarodowego z handlarzami narkotyków. CIA i KGB mają więc podobno wspólnie zająć się...”

Bock odłożył gazetę i odwrócił się do okna. Wiedział, jak czuje się ścigane zwierzę. Znali to uczucie wszyscy rewolucjoniści. Tędy prowadziła ścieżka, na którą wstąpił i on sam, i Petra, i wszyscy ich koledzy. Cel nie budził jednak wątpliwości: muszą zmierzyć się sprytem i talentem z przeciwnikami sprawy. Siły światła muszą wystąpić przeciwko siłom ciemności. Rzecz jasna, fakt, że to właśnie siły światła i postępu muszą się kryć i umykać, stanowił marginesowe zagadnienie. Sytuacja odwróci się prędzej czy później, a lud przejrzy na oczy i przyłączy się do rewolucjonistów. Pozostawał tylko jeden szkopuł: lud postanowił nie tak dawno ruszyć wstecz, w stronę zupełnie przeciwną, siłom postępu i światła natomiast jedna po drugiej kończyły się kryjówki.

Terrorysta schronił się w Bułgarii z dwóch przyczyn. Spośród wszystkich państw dawnego bloku wschodniego właśnie Bułgaria była najbardziej zacofana, a przemiany demokratyczne nastąpiły tu w sposób niezbyt burzliwy, do tego stopnia, że krajem nadal faktycznie władali komuniści, choć zmieniły się ich nazwiska. Co więcej, pod względem politycznym Bułgaria wciąż pozostawała pewna czy przynajmniej neutralna. Tutejszy wywiad, spośród którego KGB rekrutowało niegdyś swoich zamachowców, nadal zatrudniał wielu przyjaciół. Wypróbowanych przyjaciół, co cieszyło Günthera. Z drugiej strony, Bułgarzy nadal szli na pasku rosyjskich mocodawców - czy obecnie sojuszników - a co za tym idzie, jeśli rzeczywiście KGB zwąchało się z CIA... Spośród bezpiecznych kryjówek ubywała oto nagle jeszcze jedna.

Bocka nie zmroziło jednak to nowe niebezpieczeństwo, przeciwnie, spurpurowiał na twarzy i zatrząsł się z wściekłości. Jako rewolucjonista przechwalał się często, że wszystkie moce świata uparły się, by go schwytać, lecz mówiąc to zdawał sobie sprawę, że zawsze będzie mógł liczyć na pomoc i oparcie. Teraz jednak przechwałka zaczynała się niebezpiecznie sprawdzać. Wprawdzie nadal miał zapas kryjówek i kontakty, którym mógł zaufać, ale ile ich jeszcze pozostało? Ile czasu upłynie do chwili, kiedy zaufani współpracownicy sami ruszą za falą światowych przemian? Rosjanie już zdradzili siebie samych i sprawę światowego socjalizmu. A Niemcy? A Polacy? Czesi, Węgrzy, Rumuni? Kto teraz?

Głupcy, ślepi na fakt, że wszystko to jest pułapką, jakimś niewiarygodnym spiskiem uknutym przez kontrrewolucję, a w dodatku kłamstwem. Kolejne kraje odrzucały to, co mogło, nie, co powinno stać się z czasem doskonałą strukturą społeczną, wolną od niedostatku, opartą na porządku, wydajności, równości i sprawiedliwości społecznej...

Czy wszystko to miałoby się okazać kłamstwem? Albo może jakąś monstrualną pomyłką? Czy więc na darmo zarzynali z Petrą tchórzliwych wyzyskiwaczy?

Nawet jeśli tak, to nieważne. Nie w tej chwili, nie dla Günthera Bocka. Wkrótce znowu ruszy nagonka, wkrótce kolejny bezpieczny rezerwat zmieni się dla wroga w teren łowów. Jeżeli Bułgarzy udostępnili Rosjanom kartoteki, albo jeśli Rosjanie mają paru swoich ludzi w odpowiednim pionie, ludzi zaufanych i z dostępem do akt, jego adres i nowe nazwisko mogły już powędrować do Waszyngtonu, a stamtąd do bońskiego biura BND. Może być i tak, że za tydzień będzie już siedział cela w celę z Petrą.

Z Petrą o ciemnoblonde włosach i roześmianych, niebieskich oczach. Petra, najdzielniejsza dziewczyna świata, tak z pozoru oziębła wobec swoich ofiar, tak ciepła i oddana wobec towarzyszy. Dla Eryki i Ursel okazała się też doskonałą matką, w wychowywaniu dzieci była równie świetna, jak we wszystkim innym. A teraz, zdradzona przez fałszywych przyjaciół, okradziona z własnych dzieci, siedzi uwięziona w klatce niby zwierzę. Ukochana Petra, towarzysząca, kochanka, żona i powiernica.

Odartą z życia. On sam musi oto uciekać od niej jeszcze dalej. Musi się znaleźć sposób, żeby odwrócić los.

Najpierw jednak trzeba się wydostać z matni.

Bock odłożył gazetę i sprzątnął kuchnię. Kiedy wszystko lśniło czystością, zapakował swoje rzeczy w jedną torbę i zamknął mieszkanie. Winda znowu była w naprawie, zbiegł więc cztery piętra po schodach i złapał tramwaj. Dziewięćdziesiąt minut później był już na lotnisku. Paszport, który trzymał w kieszeni, przedstawiał go jako dyplomatę. Oprócz tego miał jeszcze pięć innych, starannie zaszytych w wyściółce rosyjskiej walizki. Ponieważ Bock słynął z ostrożności, upewnił się przy wyrabianiu paszportów, że trzy spośród nich mają dokładnie takie same numery, co paszporty prawdziwych bułgarskich dyplomatów. Dział paszportów bułgarskiego MSZ nie miał o tym pojęcia, dokumenty zaś gwarantowały uciekinierowi swobodny dostęp do samolotu, największego sojusznika międzynarodowego terroryzmu. Bock ani się spostrzegł, kiedy koła oderwały się od pasa startowego, a bułgarski samolot pasażerski wziął kurs na południe.

Samolot Ryana wylądował tuż przed południem czasu miejscowego na wojskowym lotnisku pod Rzymem. Traf zechciał, że usiedli zaraz za kolejnym gulfstreamem VC-20B z 89 Skrzydła Lotnictwa Wojskowego, który parę minut wcześniej przyleciał z Moskwy. Zaparkowana na betonie czarna limuzyna czekała na obu pasażerów.

Zastępca sekretarza stanu Scott Adler pomachał Ryanowi i z lekkim uśmiechem zbiegł po schodkach.

- Jak tam? - zapytał go Jack, przekrzykując hałasy lotniska.

- Kupili pomysł.

- Bomba - ucieszył się Ryan i uścisnął dłoń Scotta. - Ciekawe, ile jeszcze cudów uda nam się dokonać w tym roku.

- A ilu cudów wypatrujesz? - Adler, jako zawodowy dyplomata z pionu do spraw ZSRR w Departamencie Stanu, płynnie władał rosyjskim, był świetnie obeznany z niuansami dawnej i obecnej polityki Moskwy, a radziecki charakter rozumiał jak mało który polityk, wliczając także tych z radzieckiego rządu. - Wiesz, do czego najtrudniej mi się przyzwyczaić?

- Pewnie do tego, że ciągle teraz słyszysz "da" zamiast "nie".

- Właśnie, nie ma już tej zabawy przy negocjacjach. O kant dupy potłuc taką dyplomację, kiedy obie strony prześcigają się w rozsądku. - Adler roześmiał się.

Samochód ruszył z lotniska.

- Obaj powinniśmy zyskać nowe doświadczenie - trzeźwo zauważył Jack. Odwrócił się teraz i stwierdził, że "jego" samolot kołuje już do startu. Pozostałą część podróży mieli odbyć wspólnie z Adlerem.

Limuzyna pędziła w kierunku centrum w asyście silnej eskorty. Czerwone Brygady, przed kilku laty wykrwawione, zdawało się, do reszty, znów zaczęły dawać o sobie znać, zresztą Włosi tak czy inaczej dbali o życie cudzoziemskich dygnitarzy. Z przodu, obok kierowcy, rozsiadł się wzbudzący respekt facet z rozpylaczem, automatyczną beretką. Limuzynę poprzedzały dwa radiowozy, z tyłu jechały jeszcze dwa, a eskorty na motocyklach wystarczyłoby, żeby urządzać spore wyścigi motocrossowe. Jazda na złamanie karku przez wąskie ulice Rzymu sprawiła, że Jack Ryan zatęsknił za samolotem. Wyglądało, że co drugi włoski kierowca marzy o zawodowych wyścigach Formuły Pierwszej. Bezpieczniej byłoby jechać sobie z Clarkiem, po krętej trasie i w wozie, który nie zwraca na siebie uwagi, lecz na obecnym stanowisku względy bezpieczeństwa łączyły się z etykietą. Dyskrecja byłaby lepsza także z innego względu...

- Ciężko będzie ukryć naszą wizytę - zauważył niegłośno Jack pod adresem Adlera.

- Nie pękaj mi tutaj. Ile razy jestem w Rzymie, urządzają taki sam cyrk. Ty co, pierwszy raz?

- Właśnie. W ogóle pierwszy raz jestem w Rzymie. Sam się dziwię, jak mi się to udało, zawsze przecież chciałem zobaczyć te wszystkie zabytki i całą resztę.

- Sporo tej reszty - przytaknął Adler. - Może i nam uda się tu coś zbudować?

Ryan odwrócił się na te słowa. Nie przyszło mu jakoś do głowy, że wykuwa oto historię. Nie była to zdrowa myśl.

- To już nie moje zmartwienie, Scott.

- Jeżeli się uda, sam wiesz, co będzie dalej.

- Nigdy się jakoś nad tym nie zastanawiałem.

- Powinieneś. Za dobre uczynki dostaje się kopa w siedzenie.

- Chcesz powiedzieć, że stary Talbot...?

- O, nie. Kto jak kto, ale nie mój szef.

Ryan dojrzał w porę, jak z trasy kolumny wozów umyka wielka ciężarówka. Włoski policjant na prawym skrzydle wachlarzyka motocyklistów nie zjechał w bok ani na milimetr.

- Nie chodzi mi o zasługę. Wpadłem na pomysł, i tyle, a teraz zwyczajnie przygotowuję grunt dla innych gości.

Adler pokręcił jedynie głową, siłąc się na spokój i myśląc sobie: Chryste Panie, jak ten człowiek utrzymał się jeszcze w rządzie?

Pasiaste stroje papieskiej gwardii szwajcarskiej zaprojektował jeszcze Michał Anioł. Podobnie jak czerwone kubraki gwardzistów brytyjskich, mundury te są pozostałością zamierzchłej ery, kiedy żołnierze woleli odróżniać się strojem. Również tak samo jak w Wielkiej Brytanii, gwardia watykańska nosiła staroświeckie mundury bardziej na użytek turystów niż ze względów praktycznych. Broń gwardzistów sprawiła na Jacku Ryanie wrażenie równie cudaczne, jak sami żołnierze. Szwajcarzy dźwigali w rękę halabardy, srogie tasaki na długich kijach, wymyślone niegdyś po to, by piechocie łatwiej było strącać ciężkozbrojnych rycerzy z siodła. Najczęściej udawało się to piechurowi przez zranienie wierzchowca, na którym siedział rycerz, jako że na wojnie przeważają względy praktyczne, konie zaś bronią się mniej zajadle niż rycerze. Z rycerzem, który zleciał z rumaka, można się było rozprawić tak samo łatwo, jak z homarem wyłupywanym z pancerza. Również litości rycerz mógł się spodziewać z podobnym skutkiem jak homar. Mimo to, uświadomił sobie Jack, ludzie darzą średniowieczną broń dziwnie lirycznym uczuciem, wbrew temu, że wymyślono oręż w celu zdecydowanie mało lirycznym. Nowoczesnym karabinem można wywiercić dziurkę w anatomii przeciwnika, podczas gdy halabardy służyły raczej do ćwiartowania. Wynik był oczywiście ten sam niezależnie od metody, lecz dzięki karabinom przynajmniej pogrzeb sprawia dużo mniej kłopotu.

Gwardia szwajcarska była także uzbrojona w broń palną, w tym wypadku w szwajcarskie karabiny marki SIG. Nie wszyscy też gwardziści mieli na sobie renesansowy strój, gdyż od czasu zamachu na Jana Pawła II wielu watykańskich strażników przeszło dodatkowe szkolenie; po cichu, naturalnie, gdyż zakres kursów kłócił się wyraźnie z tradycyjnym obrazem Watykanu. Ryana ciekawiło, co papieskie przepisy mówią na temat bezpośredniego użycia broni, i czy komendant gwardii wścieka się na niemożliwe wytyczne, dyktowane mu przez ludzi, którzy nie znają się i nie chcą się znać na zawiłościach walki wręcz i zakresu niezbędnej przemocy. Nawet jeśli istniały jakieś ograniczenia, na które sarkali gwardziści, znać było po nich, że w razie czego, chcąc nie chcąc, pokażą, co potrafią.

Na spotkanie limuzyny wyszedł biskup, Irlandczyk imieniem Shamus O'Toole, którego bujna

ruda czupryna klóciła się straszliwie ze świątobliwym strojem. Ryan wysiadł pierwszy, nękany kwestią, czy powinien teraz ucałować pierścień biskupa O'Toole'a. Może lepiej nie? Z prawdziwym biskupem nie miał przecież do czynienia od czasu pierwszej komunii, kiedy był jeszcze szóstoklasistą w katolickim Baltimore. O'Toole sam rozwiązał zρέcznie ten kłopot, potrząsając dłonią Ryana w niedźwiedzim uścisku.

- Irlandczyk zawsze pozna ziomka! - rzekł przy tym i szeroko się uśmiechnął.

- Gdyby nie my, Irlandczycy, ładnie by ten świat wyglądał, Wasza Ekscelencjo.

- Zgadzą się, zgadzają! - Teraz z kolei O'Toole przywitał się z Adlerem, który, jako Żyd, nie miał zamiaru całować nikogo w pierścień. - Proszę, panowie, pozwólcie ze mną.

Biskup O'Toole wprowadził gości do budynku, którego historia zapełniłaby trzy uczone tomy i spory album na temat architektury i sztuki. Jack prawie nie zauważył dwóch wykrywaczy metalu, między którymi przeszli w drodze na trzecie piętro. Ukryto je w futrynie tak zρέcznie, że lepiej by tego nie wykonał sam Leonardo da Vinci. Zupełnie jak w Białym Domu. Rzeczywiście, nie wszyscy szwajcarscy gwardziści paradowali w mundurach. Niektórzy z ludzi uwijających się w luźnych strojach na korytarzach byli niewątpliwie zbyt młodzi jak na biurokratów. W ogóle jednak miało się wrażenie wycieczki ni to przez klasztor, ni to przez staroświeckie muzeum. Księża byli wszyscy w sutannach, a licznie tu obecne zakonnice miały na sobie habity, nie zaś zwykłe ubrania, jak często ich amerykańskie koleżanki. Biskup przystanął na chwilę w poczekalni, zapewne tylko po to, by Ryan i Adler mogli podziwiać jej wystrój. Na przeciwległej ścianie ujrzeli Madonnę Tycjana, którą Jack zachwycał się w czasie, kiedy biskup O'Toole obwieszczał przybycie gości.

- Święty Boże, czy ten facet choć raz w życiu namalował jakiś mały obraz?

Adler zachichotał, słysząc uwagę Ryana i odrzekł:

- Prawda, nikt lepiej nie umie uchwycić przelotnej miny i spojrzenia. Uwaga. Gotowy?

- Gotowy - odpowiedział Jack, który poczuł się dziwnie pewny siebie. - Panowie! - obwieścił O'Toole, stając na progu. - Proszę z łaski swojej tędy!

Przemaszerowali przez kolejny przedpokój. Stały tam dwa sekretarskie biurka, oba puste. Następne odrzwia miały dobre pięć metrów wysokości.

Prywatny gabinet kardynała Giovanniego D'Antonio w Ameryce mógłby służyć jako sala balowa albo miejsce oficjalnych audiencji. Sufit pokrywały freski, ściany wybite były błękitnym jedwabiem, a zabytkowy drewniany parkiet zaścielały dywany wielkości przeciętnej jadalni. Najnowsze w całym pomieszczeniu były zapewne meble, a i te pochodziły sprzed dobrych dwustu lat. Brokatowe obicia harmonizowały ze złoceniami na giętych nogach od krzeseł. Obecność srebrnego serwisu do kawy podszeptnęła Ryanowi, gdzie powinien usiąść.

Kardynał wyszedł zza biurka na przywitanie, uśmiechając się równie łaskawie, jak monarcha pięć stuleci wcześniej podejmujący ulubionego ministra dworu. D'Antonio był mizernego wzrostu i najwyraźniej cenił sobie rozkosze podniebienia, wnosząc z dwudziestu kilogramów nadwagi. Atmosfera w gabinecie wskazywała, że właściciel jest osobą palącą, co nie jest rzeczą rozsądną, kiedy się raptownie dobiega siedemdziesiątki. Z sędziwej, pucółowatej twarzy biła chłopska godność. Kardynał D'Antonio był synem sycylijskiego rybaka. Wesołość w jego piwnych oczkach wskazywała na przewrotny lecz twardy charakter, którego nie ułagodziło do końca pięćdziesiąt lat stanu duchownego. Ryan zapoznał się z życiorysem dostojnika i znakomicie mógł go sobie wyobrazić, jak u boku ojca wyciąga sieci, dawno, dawno temu. Prostota rysów twarzy kardynała stanowiła dla niego również znakomitą maskę - D'Antonio był w końcu zawodowym dyplomatą, niezależnie od swojego powołania. Podobnie jak wielu watykańskich mężów stanu, D'Antonio zajmował się niegdyś językoznawstwem, któremu poświęcił trzydzieści lat. Ten sam niedostatek siły

wojskowej, który udaremnił kardynałowi dzieło odmienienia świata, nauczył go sztuki manewru. W języku wywiadu osobę w rodzaju D'Antonia nazwano by czynnikiem opiniotwórczym, jako że kardynał był mile widziany w rozmaitych kręgach, chętnie słuchał dobrych rad i sam gotów był służyć nimi innym. Kardynał oczywiście przywitał się najpierw z Adlerem.

- Jakże mi miło znowu pana oglądać.

- Eminencjo, jak zawsze jestem zaszczycony. - Adler ujął podaną dłoń i odwzajemnił dyplomatyczny uśmiech.

- Pan zaś to zapewne doktor Ryan. Niemało słyszeliśmy tu o panu.

- Miło mi się o tym dowiedzieć, Eminencjo.

- Proszę spocząć - D'Antonio podszedł wraz z gośćmi do kanapy tak pięknej, że Ryan z najwyższą niechęcią złożył na niej swoje kilogramy. - Zechcą panowie napić się kawy?

- Ależ tak, dziękujemy - odrzekł Adler, również w imieniu Ryana. Kawę nalewał biskup O'Toole, który następnie sporządzał notatki z rozmowy. - Jesteśmy niezmiernie wdzięczni, że Eminencja zechciał nas przyjąć w tak nagłym trybie.

- Nonsens - uspokoił Adlera kardynał, który ku zdumieniu Jacka wydobył gdzieś spod sutanny futerał na cygara i przyrządem, wyglądającym jak srebrny, lecz zapewne sporządzonym z nierdzewnej stali, przeprowadził zgrabną amputację brązowego liścia. Rozbłysła złota zapalniczka. Obyło się nawet bez zwyczajowych usprawiedliwień z powodu słabości grzesznego ciała, zupełnie tak, jak gdyby chcąc rozluźnić gości, kardynał wyłączył guzik z napisem "etykieta". Ryanowi przyszło jednak do głowy, że kardynałowi lepiej się pracuje z cygarem w ręku. Bismarck zgodziłby się z nim w zupełności.

- Zapewne orientuje się Eminencja w zarysach naszego planu - zagaił Adler.

- Si. Muszę przyznać, że jest on ogromnie interesujący. Panowie zdają sobie naturalnie sprawę, że jakiś czas temu Ojciec Święty wysunął podobną inicjatywę?

Ryan podniósł głowę na te słowa. O niczym takim nie słyszał.

- Pamiętam, że zaraz po jej ogłoszeniu przeanalizowałem ewentualność jej powodzenia - odrzekł Adler. - Słabym punktem tamtego pomysłu był brak odpowiedzi na pytania o bezpieczeństwo poszczególnych stron, lecz oczywiście dzisiaj, w wyniku tego, co się stało w Iraku, jest to już do przebrnięcia. Jego Eminencja z kolei powinien się orientować, że nasza idea...

- Wasza idea jest dla nas jak najbardziej do przyjęcia - D'Antonio uczynił władczy gest swoim cygarem. - Czyż inaczej moglibyśmy dzisiaj rozmawiać?

- To właśnie chcieliśmy od Jego Eminencji usłyszeć. - Adler podniósł wreszcie filiżankę do ust. - Watykan nie ma więc żadnych zastrzeżeń?

- Sami się panowie przekonają, do jak daleko idących ustępstw jesteśmy skłonni, o ile wszystkie strony przedsięwzięcia wykażą swoją dobrą wolę. Zgadzamy się bezwarunkowo i całkowicie na waszą propozycję, jeśli potraficie zagwarantować pełną równość wszystkich układających się stron. - Sędziwe oko nagle rozbłysło. - Ale czy aby potraficie to zagwarantować?

- Sądzę, że tak - odrzekł Adler z poważną miną.

- I ja myślę, że to możliwe, w przeciwnym razie wszyscy wyjdziemy na zwykłych szarlatanów. Tylko co z Sowietami?

- Strona radziecka na pewno nie będzie ingerować. Co więcej, możemy po cichu liczyć na otwarte poparcie z ich strony. Zresztą, jeśli wziąć pod uwagę ich obecne zmartwienia...

- Święta racja. Im także przyda się spadek napięcia w tym punkcie świata, a co za tym idzie, koniec huśtawki na rozmaitych rynkach i nowy klimat dobrej woli w stosunkach międzynarodowych...

Zadziwiająco - pomyślał naraz Jack Ryan - jak szybko ludzie przestają się podniecać

przemianami na światową skalę. Zupełnie jak gdyby dawno już wszystko przewidzieli. A przecież tak nie było. Nikt nie wiedział, co się wydarzy. Gdyby dziesięć lat temu ktoś zaczął opowiadać o naszych czasach, odwieźliby go do czubków.

- Zgadzą się w zupełności. - Zastępca sekretarza stanu odstawił filiżankę i przeszedł do kolejnego punktu. - Zastanówmy się może nad trybem, w jakim obwieścimy...

Kolejne machnięcie cygarem.

- Panom oczywiście zależy, żeby Ojciec Święty uczynił to osobiście. - Eminencja jest bardzo spostrzegawczy.

- Nie zgrzybiałem jeszcze do cna, panowie - odparł kardynał. - Co z przeciekami do prasy?

- Tych wolelibyśmy uniknąć.

- W naszym mieście nie będzie to trudne, ale w Waszyngtonie? Kto jeszcze wie o całej inicjatywie?

- Bardzo niewiele osób - odezwał się Ryan po raz pierwszy, odkąd usiedli. - Przynajmniej na razie.

- Owszem, ale kiedy przyjdzie pora na następny etap...? - D'Antonio oficjalnie nie wiedział, na czym miał polegać ten następny etap, lecz rozwiązanie narzucało się samo.

- Tak, wtedy mogą się zacząć kłopoty - ostrożnie przyznał Ryan. - Cóż, zobaczymy.

- Ojciec Święty będzie się wraz ze mną modlił za wasze powodzenie.

- Być może tym razem jego modły nie pozostaną bez echa - skwitował uwagę Adler.

Pięćdziesiąt minut później ich YC-20B znów wzbiał się w powietrze. Nad wybrzeżem Włoch nabralł wysokości, po czym zawrócił i zaczął przecinać Półwysep Apeniński w drodze do kolejnego celu.

- Chryste, ależ tempo - zauważył Jack, kiedy zgasł napis każący zapiąć pasy. Oczywiście nie rozpiął swojego. Siedzący przy przeciwległym okienku Adler zapalił papierosa i dmuchnął dymem na szybę.

- Jack, mamy akurat sytuację, kiedy można działać albo szybko, albo wcale. - Po czym dodał z uśmiechem: - Rzadko bo rzadko, ale się zdarzają i takie.

Wojskowy steward, tym razem mężczyzna, przeszedł na tył samolotu, wręczając obu pasażerom odbitki telefaksu odebranego właśnie na pokładzie.

- Ejże, a to co znowu? - skrzywił się niechętnie Ryan.

Mało kto w Waszyngtonie ma czas pilnie studiować gazety, a już na pewno nie każdy tytuł. W zorientowaniu się we wszystkim, co się pisze, dopomaga więc pracownikom rządowych instytucji specjalny serwis informacyjny, rozprowadzany co rano i dlatego nazywany "Rannym ptaszkiem". Wczesne, nocne wydania gazet z całych Stanów Zjednoczonych trafiają do Waszyngtonu na pokładach rejsowych samolotów i jeszcze przed świtem podlegają starannej obróbce stosownie do potrzeb najrozmaitszych urzędów. Najistotniejsze artykuły, wycięte i skopiowane w oryginalnej postaci, rozprowadza się w tysiącach egzemplarzy do rozmaitych biur, których personel powtarza procedurę, podkreślając kolorowym mazakiem co ciekawsze fragmenty na użytek swoich szefów. Cała operacja jest najtrudniejsza w przypadku Białego Domu, którego sztab z definicji interesuje się wszystkim bez wyjątku.

Doktor Elizabeth Elliot sprawowała przy prezydencie funkcję specjalnego doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego, innymi słowy podlegała bezpośrednio doktorowi Charlesowi Aldenowi, z którym dzieliła nawet tytuł, wzbogacony jedynie o słówko "specjalny". Tego dnia Liz, którą za plecami nazywano także, od jej inicjałów, "E-E", ubrana była w szykowny lniany kostium.

Dyktat aktualnej mody nakazywał kobietom ubierać się w sposób sugerujący władczość, nie męską jednak w charakterze, lecz właśnie kobiecą. Ponieważ chodziło o to, by nawet najbardziej tępy mężczyzna potrafił odróżnić jedną płęć od drugiej, ubranie nie miało na celu maskowania rzeczywistego stanu rzeczy. Co więcej, doktor Elliot nie była wcale najbrzydsza i lubiła podkreślać ten fakt swoim ubiorem. Mierzyła poza tym aż metr siedemdziesiąt trzy wzrostu, a szczupłą figurę zawdzięczała długim godzinom pracy i marnym posiłkom. Prócz tego nie podobało jej się wcale, że musi grać drugie skrzypce po Charlesie Aldenie, który na dodatek był, jej zdaniem, typowym picusiem z Yale, gdy tymczasem Elizabeth Elliot przeszła do Białego Domu z katedry nauk politycznych na Bennington i nie mogła przełknąć faktu, że w powszechnej opinii Yale, słusznie czy niesłusznie, uchodzi za dużo lepszą uczelnię.

Obecny rytm pracy w Białym Domu nie był tak wyczerpujący jak jeszcze kilka lat wcześniej, przynajmniej w biurze do spraw bezpieczeństwa narodowego. Prezydent Fowler nie uważał za niezbędne wysłuchiwać skoro świt raportu swoich służb wywiadowczych, tym bardziej, że sytuacja międzynarodowa była spokojniejsza, aniżeli za czasów któregośkolwiek z poprzedników. Fowler skupiał więc swoją uwagę na wewnętrznych problemach kraju. Na ten temat mógł uzyskać wyczerpujące informacje prostszym sposobem, a mianowicie, oglądając poranne dzienniki telewizyjne na kilku kanałach naraz. Zwyczaj jednoczesnego oglądania kilku programów doprowadzał niegdyś do furii żonę Fowlera i trochę śmieszył jego współpracowników. Oznaczało to jednak dla Aldena, że aby wysłuchać raportów, nie musi pojawiać się w swoim gabinecie przed ósmą rano, gdyż z prezydentem spotykał się dopiero o dziewiątej trzydzieści. Prezydent Fowler nie przepadał też za bezpośrednimi kontaktami z ludźmi z CIA. Skutek był taki, że E-E, która przychodziła tuż przed szóstą, jako że ktoś musiał jednak przejrzeć prasę i posegregować raporty, osobiście zbierała informacje od funkcjonariuszy CIA (za którymi sama też nie przepadała), ludzi z Departamentu Stanu i z Pentagonu. Do niej także natężyła staranna lektura "Rannego ptaszka", podczas której podkreślała co ciekawsze akapity na użytek szefa, nieocenionego doktora Charlesa Aldena.

Zupełnie jakbym była dla niego jakąś mazgajowatą, tępą sekretarką - przeszła jej przez głowę irytująca myśl.

Zdaniem Elizabeth Elliot, Alden stanowił wcielenie sprzecznych dążeń. Żywił liberalne poglądy, lecz słynął z wyrażania ostrych opinii, a oprócz tego, choć wciąż uganiał się za spódniczkami, znany był z profeministycznych zapatrywań. Z jednej strony był zawsze uprzejmy i miał wzgląd na podwładnych, z drugiej wysługiwał się z radością swoją zastępczynią. Mniejsza już to, że Alden jak nikt inny umiał ocenić sytuację międzynarodową i przewidzieć rozwój wypadków, czemu dał wyraz w tuzinie książek, jakie napisał - ważniejsze było to, że wykołegował Elizabeth Elliot ze stanowiska. To jej obiecano funkcję doradcy do spraw bezpieczeństwa, kiedy Fowler był jeszcze kolejnym, mało liczącym się kandydatem. Zawarty później kompromis, dzięki któremu Alden wylądował w gabinecie w zachodnim skrzydle Białego Domu, a ona sama w piwnicy, stanowił typowy postępek polityka, który wycofując się z danego słowa ani jednym słówkiem nie przeprosza poszkodowanych. Podczas walnego zjazdu partii obecny wiceprezydent zażądał kandydatury Aldena jako doradcy i doczekał się ustępstwa. To również wiceprezydent wydarł należny Elizabeth gabinet na parterze, oddając go jednemu ze swoich, a ją postawił przed wizją zesłania do najbardziej prestiżowego lochu Ameryki. W zamian za wszystkie te gesty obecny wiceprezydent sprzymierzył się z Fowlerem i, jak się uważało, dzięki intensywnej kampanii wyborczej umożliwił mu wygraną. Na wiceprezydenta oddała swoje głosy Kalifornia, bez Kalifornii zaś J. Robert Fowler nadal pozostawałby gubernatorem stanu Ohio. Stąd właśnie obecność Elizabeth Elliot w piwnicznym

pomieszczeniu o wymiarach cztery metry na pięć i konieczność zabaw w sekretarkę-administratorkę na użytek picusia z Yale, który raz na miesiąc występował w niedzielę w telewizyjnych dyskusjach i rozbijał się z szefami kancelarii, jej pozostawiając łaskawie funkcję dworki i służebnicy.

Kwaśny nastrój Elizabeth Elliot był u niej rankiem czymś normalnym, jeśli oczywiście coś jej nie rozzłościło. Zaświadczyć mógł o tym każdy funkcjonariusz w Białym Domu. Wyszła teraz ze swojego pomieszczenia i pomaszrowała do kantyny Białego Domu dolać sobie kawy. Mocna kawa jeszcze bardziej wzburzyła jej żółć, co z kolei kazało Elizabeth zatrzymać się i posłać sztuczny uśmiech strażnikom, wobec których oszczędzała sobie podobnych gestów, ilekroć każdego ranka sprawdzali jej przepustkę przy zachodniej bramie na parterze. Ostatecznie chodziło o zwyczajnych gliniarzy, którymi nie ma się co przejmować. Posiłki w kantynie podawali stewardzi z marynarki wojennej, a jedyne, co przemawiało na ich korzyść, to fakt, że większość z nich stanowili kolorowi. Najwięcej było wśród nich Filipińczyków, co zdaniem doktor Elliot było haniebnym przeżytkiem amerykańskiego okresu wyzysku kolonialnego. Zatrudniane na wiele kadencji sekretarki i reszta personelu pomocniczego nie mieszały się do polityki, można więc było traktować całą grupę jako część zwyczajnej biurokracji. W całym gmachu liczyli się jedynie politycy. To dla nich E-E przeznaczała ostatek wdzięków. Funkcjonariusze Tajnej Służby obserwowali jej poruszanie się po gmachu z takim samym zainteresowaniem, jak gdyby chodziło o prezydenckiego psa, choć obecny prezydent nie miał psa. Tajniacy, podobnie jak zwyczajni pracownicy, którzy dyrygowali Białym Domem, nie przejmowali się tym, że co pewien czas pojawia się pośród nich nowa zmiana nadętych, napuszonych manekinów. Dlatego Elizabeth Elliot traktowano jak kolejną osobę, którą polityka wyniosła do góry i którą polityka zmiecie za pewien czas, podczas kiedy oni sami, jako zawodowcy, pozostaną na swoich miejscach, wiernie wykonując wszystkie obowiązki, zgodnie ze złożoną przy angażu przysięgą. System kastowy miał w Białym Domu długą tradycję, a każdy z funkcjonariuszy nieodmiennie uważał całą resztę za gorszych od siebie.

Elizabeth powróciła na posterunek, odstawiła kawę i przeciągnęła się. Obrotowy fotel był całkiem wygodny, w ogóle nie można było narzekać na uciążliwość piwnicznej izby. o wiele wygodniejszej niż pokój w Bennington, lecz długie tygodnie wczesnych pobudek i zarwanych nocy zepsuły jej nie tylko humor, lecz i samopoczucie. Powtarzała więc sobie raz po raz, że powinna zacząć ćwiczenia fizyczne albo przynajmniej chodzić na spacer. Wiele osób ze sztabu korzystało z południowej przerwy, żeby wyrwać się na spacer po waszyngtońskich centralnych plantach. Ci bardziej energiczni biegali nawet wzdłuż żwirowej alei; sekretarki truchtały czasem u boku oficerów z wojskowej ochrony gmachu, szczególnie te niezamężne, którym bez wątpienia wpadły w oko nastroszone krótkie fryzury i nieskomplikowane charaktery, jakie chadzają w parze z zawodową służbą. E-E nie miała jednak czasu na to wszystko, przeciągnęła się więc tylko, a potem usiadła, mieląc w ustach przekleństwo. Dyrektorka wydziału na jednej z najlepszych żeńskich uczelni wyższych w Ameryce musi bawić się w sekretarkę jakiegoś skurwiela z Yale. Narzekaniem niewiele się jednak zmieni, Elizabeth zabrała się więc do pracy.

Przekopała się już przez połowę "Ptaszka" i przewróciła właśnie kolejną stronę, sięgając po żółty mazak. Kolumny druku umieszczono na stronicy krzywo, jedno trochę wyżej, drugie niżej, w sposób wzbudzający skrajną irytację. Elizabeth Elliot była osobą chorobliwie pedantyczną. Na samej górze strony jedenastej widniał niewielki wycinek z "Hartford Courant". Tytuł brzmiał po prostu: ALDEN OJCEM. Kubek z kawą zamarł w połowie drogi do ust.

- Co???

Jeszcze w tym tygodniu ma trafić na wokandę sądu w New Haven pozew, wnoszony przez pannę Marshę Blum w kwestii

ojcostwa jej niedawno narodzonej córki. Sprawa o ojcostwo dotyczy profesora Charlesa W. Aldena, byłego dyrektora Instytutu Historii na Yale, obecnie sprawującego funkcję doradcy do spraw bezpieczeństwa przy prezydencie Fowlerze. Panna Blum, która utrzymuje, że z profesorem Aldenem łączy ją dwuletni związek, pracuje nad doktoratem z dziedziny historii Rosji. Jej skarga dotyczy odmowy łożenia przez profesora Aldena na utrzymanie dziecka...

- Stary, obleśny cap - odezwała się do pustej ściany Elizabeth.

Artykuł nie kłamał. Tyle przynajmniej zrozumiała Elizabeth Elliot w przebłysku trzeźwości. Erotyczne podboje Aldena od pewnego czasu stały się tematem żartobliwych uwag felietonistów w "Washington Post". Charlie uganiał się za spódniczkami, kostiumikami, spodniami i całą resztą garderoby, jaką można zdjąć z kobiety.

Marsha Blum, tak? Żydówka? Prawdopodobnie. Nie dość, że ten kretyn rznął swoją doktorantkę, to jeszcze na dodatek zrobił jej bachora. Ciekawa jestem, czemu się nie wyskrobała, miałyby święty spokój. Pewnie, kiedy się na nią wypiał, uniosła się i...

Boże wielki, przecież Alden ma po południu lecieć z misją do Arabii Saudyjskiej...

Nie możemy do tego dopuścić...

Co za kretyn. Nikogo nie uprzedził, że ma jakieś kłopoty. Na pewno nie uprzedził, bo coś by się o tym usłyszało. Tego rodzaju tajemnice trwają tylko do chwili, kiedy ktoś szepnie komuś innemu słówko w toalecie. A jeżeli Alden sam nic o tym nie wie? Możliwe, że cała ta Blum chciała zrobić Charliemu koło pióra...

Elizabeth uśmiechnęła się. To ona robi Charliemu koło pióra. Podniosła słuchawkę i zawahała się przez chwilę. Nie niepokoi się prezydenta w jego sypialni. Przynajmniej nie z powodu takich głupstw, a już zwłaszcza nie wtedy, kiedy ma się zamiar skorzystać z powstałego zamieszania.

Z drugiej strony jednak...

Ciekawe, co pomyśli o tym wiceprezydent. To on wynalazł Aldena. Inna rzecz, że wiceprezydent sam jest dość purytański i osobiście przestrzegał Charliego, żeby ten dał sobie spokój z kobietkami. Dokładnie tak powiedział trzy miesiące temu. Najgorszy z grzechów polityka. Na domiar złego Alden dał się złapać. W dodatku nie chodziło o wyjadanie konfitur ze słoika.

Elizabeth zaśmiała się krótko. Patrzcie go, posuwać własną studentkę! Co za sierota z tego Aldena! I ta sierota ma dyktować prezydentowi całą politykę zagraniczną? Śmiechu warte. Wyciszyć sprawę.

Feministki dostaną kota. Nie będą nawet sarkać na tę Blum, że nie zrobiła z nie chcianą ciążą tego, co... tego, co proponują w takich wypadkach feministki. Przecież właśnie o to chodzi, kiedy się krzyczy o swobodzie wyboru? Blum uczyniła wybór, i kropka. Dla społeczności feministycznej będzie to więc tylko pierwszorzędnny przykład na to, jak męskie gównno potrafiło oszukać ich siostrę i otrzymać mimo to posadę u boku profeministycznego rzekomo prezydenta.

Także przeciwnikom przerywania ciąży nie spodoba się ta afera... Ci będą wrzeszczeć jeszcze głośniej od feministek. Niedawno zorganizowali wcale niegłupią akcję, która dla Elizabeth graniczyła z cudem. Dwóch konserwatywnych senatorów przedstawiło bowiem projekt ustawy, mającej zmusić "nieślubnych ojców" do łożenia pieniędzy na swoje nieślubne dzieci. Nawet takim dwóm prymitywom przyszło na myśl, że jeśli ma dojść do skutku całkowity zakaz aborcji w świetle prawa, trzeba będzie skądś wytrzasnąć środki na utrzymanie nie chcianego potomstwa. Konserwatyści wciąż trąbili na temat moralności, a co więcej, mieli już gotowych kilka innych haków na Fowlera i jego ekipę. Prawicowym czubkom Alden wyda się zwyczajnym, nieodpowiedzialnym rozpustnikiem, na dodatek białym (tym łatwiej będzie mu więc dołożyć), a jeszcze członkiem rządu, którego szczerze nie znosili.

E-E przez kilka minut rozpatrywała możliwe opcje, siłą zmuszając się do chłodnej analizy i

starając się wczuć w motywacje Aldena. Jak się zachowa? Czy wyprze się wszystkiego? Nie może, nie od parady wymyślono testy genetyczne, zresztą trzeba bezczelności, żeby łączyć w żywe oczy, a na tej akurat Charliemu zbywało. Jeżeli się przyzna, to co? Hmm, po pierwsze najwyraźniej nie może się ożenić z tą dziewczyną, w artykule napisano zresztą, że ma ona ledwo dwadzieścia cztery lata. Jeśli rzeczywiście postanowi łożyć na dziecko, uzna tym samym swoje ojcostwo, a to znów postawi go w konflikcie z uniwersyteckim kodeksem etycznym. Ostatecznie profesorom nie wolno rżnąć swoich studentek. To, że mimo wszystko jednak dochodziło do takich przypadków, zdaniem E-E było zupełnie nieistotne. Tak samo jak w polityce, w sferach akademickich rządzi zasada, by nie dać się przyłapać. To, co przy stole w uniwersyteckim klubie wydaje się pyszną anegdotką, po ujawnieniu przez prasę staje się straszliwą zmałą.

Charliego mam z głowy, i to w jakim świetnym momencie... E-E wystukała na klawiszach numer prezydenckiej sypialni.

- Proszę z prezydentem. Mówi Elizabeth Elliot.

Nastąpiła chwila oczekiwania, podczas której funkcjonariusz z Tajnej Służby pytał prezydenta, czy ten zechce odebrać telefon. "Boże, mam nadzieję, że nie poderwałam go ze sracza!" Na dręczenie się wątpliwościami było jednak za późno. Ktoś odjął dłoń od mikrofonu po drugiej stronie kabla. Elizabeth usłyszała najpierw bzyczenie prezydenckiej golarki elektrycznej, a potem opryskliwe słowa:

- O co chodzi, Elizabeth?

- Panie prezydencie, wynikł nam pewien kłopot. Muszę natychmiast się z panem zobaczyć.

- Rzeczywiście natychmiast?

- Absolutnie w tej chwili. Chodzi o opinię publiczną. Najlepiej proszę też wezwać Arniego.

- Nie chodzi o plan, który...

- Nie, nie, panie prezydencie, chodzi o coś innego. Nie żartuję, może z tego wyniknąć bardzo poważna sprawa.

- Dobrze, oczekuję cię za pięć minut. Możesz chwilę poczekać, żebyśmy zdążyli umyć zęby? - Fowler zaryzykował żart.

- Tak jest, będę za pięć minut.

W słuchawce rozległ się sygnał. Elizabeth Elliot powoli odłożyła ją na widełki. Pięć minut. Przydałoby się trochę więcej czasu. Pospiesznie wyjęła z szuflady kosmetyczkę i popędziła do najbliższej toalety. Prędko, lustro... Nie, najpierw się załatwi... Kurcze w żołądku podpowiedziały jej, że nie zaszkodzi także łyknąć sody. Zrobiła to wszystko, po czym poprawiła włosy i makijaż. Ujdzie, zdecydowała. Jeszcze raz musnąć różem po policzkach...

Doktor Elizabeth Elliot sztywnym krokiem wmaszerowała z powrotem do siebie i przez trzydzieści sekund starała się uspokoić, po czym podniosła z biurka "Rannego ptaszka" i ruszyła ku windzie. Kabina czekała już na jej piętrze, a obsługujący ją funkcjonariusz uśmiechnął się na dzień dobry do słynnej z arogancji klempy tylko dlatego, że nigdy nie okazywał złości, nawet wobec takich typów jak E-E.

- Dokąd?

Doktor Elliot nagle uśmiechnęła się prawie z wdziękiem i rzuciła dwa słowa pod adresem zaskoczonego tajniaka:

- Na górę.

PARADY I ROSZADY

Ryan tkwił nadal w najlepszym apartamencie ambasady, poganiając wzrokiem wskazówki zegara. Okazało się wprawdzie, że po przylocie do Rijadu ma zastąpić w misji samego doktora Aldena, lecz ponieważ audiencji miał udzielić osobiście książę, któremu nie w smak była nieoczekiwana zmiana w grafiku, Jack Ryan musiał odsiedzieć swoje w Tel Awiwie. Czekał więc, aż markujące międzykontynentalną podróż wskazówki dotrą wreszcie do miejsca, w którym Alden powinien zgodnie z planem wsiąść z samolotu. Po trzech godzinach miał już serdecznie dość satelitarnej telewizji, wyszedł więc na spacer, w asyście dyskretnego ochroniarza. Zwykle Ryan prosił w takich sytuacjach obstawę, by oprowadzała go jak turystę, lecz dziś nie wchodziło to w grę. Nie mógł zaprzętać sobie głowy byle czym. Był to dla niego pierwszy pobyt w Izraelu, i dlatego właśnie chciał na własne oczy ujrzeć miejsca z taśmy zapamiętanej nie tak dawno z telewizji.

Na ulicach Tel Awiwu można było uschnąć od skwaru, a tam, dokąd szedł Ryan panowała jeszcze większa spiekota. Chodniki roiły się od ludzi, pędzących na wszystkie strony albo zajętych handlem. Widać było sporo policji, lecz największe wrażenie sprawiali mijający Jacka co i rusz cywile z przewieszonymi przez ramię pistoletami maszynowymi Uzi, pewnie w drodze na ćwiczenia rezerwy. Widok taki mógł doprowadzić do szału amerykańskich przeciwników posiadania broni palnej (i uradować tych Amerykanów, którzy mieli fioła na punkcie posiadania broni). Ryanowi przeszło przez myśl, że przynajmniej dzięki takim widokom robią w gacie rozmaici kieszonkowcy i rabusie uliczni. Inna rzecz, że w Izraelu zwyczajne przestępstwa w tym stylu zdarzają się rzadko - co innego zamachy bombowe i reszta podobnych przyjemności. Na dodatek sprawy zamiast się polepszać, przybierają wciąż gorszy obrót. To także nie nowina.

Ziemia Święta, czczona przez chrześcijan, muzułmanów i Żydów. Zdaniem Jacka Ryana, historia spletała figla tym terenem, umieszczając je na skrzyżowaniu między szeregiem imperiów europejskich i afrykańskich - czyli Rzymem, Grecją i Egiptem - a cesarstwami azjatyckimi, takimi jak Babilon, Asyria i Persja. Historia wojen wykazuje zaś dobitnie, że skrzyżowaniami zawsze usiłuje ktoś zawładnąć. Powstanie chrześcijaństwa, a w siedem wieków później rozkwit islamu niewiele tu zmieniły, choć dawnych graczy zastąpili teraz nowi. Nowym czynnikiem było znaczenie religijne, jakie dodatkowo zyskało skrzyżowanie dróg, o które bito się od trzech tysiącleci. Religia dodała tylko wigoru wojnom.

Cyniczne uwagi nie były aż tak nie na miejscu. Ryan pamiętał, że pierwsza wyprawa krzyżowa, ta bodajże z roku tysiąc osiemdziesiątego szóstego, miała na celu głównie rozładowanie ciasnoty. Rycerze i wielmoża, targani wciąż namiętnościami, doczekali się takiej liczby potomstwa, że nie było już dla nowych pokoleń miejsca w rodowych zamkach i przypisanych im katedrach. Tymczasem potomkom szlacheckich rodów nie bardzo wypadało brać się za uprawę zagonów. Gdzie upchać tych wszystkich, którzy się wykaraskali z dziecięcych chorób? Kiedy więc papież Urban II rozesłał wici, że poganie zajęli ziemię Chrystusa, można było nareszcie rozpocząć zaborczą wojnę, odebrać niewiernym ziemię drogie sercu, a w dodatku jeszcze ustanowić na nich księstwa, którymi można władać, osadzić chłopów, a potem ich łupić, i zawładnąć szlakami handlowymi na Wschód, pobierając na nich kopytkowe. Zapewne jednym rycerzom droższa była święta wiara, innym zaś nowe włości, lecz na pewno wiedzieli oni wszyscy, że jedno idzie w parze z drugim. Jacka ciekawiło, ile miliardów par stóp deptało już te same uliczki, a także, w jaki sposób udawało się tym ludziom pogodzić prywatne ambicje polityczne i handlowe ze świętą sprawą, której rzekomo bronili. Z pewnością dokładnie to samo można było powiedzieć o muzułmanach, wśród których trzy stulecia

po śmierci Mahometa względy doczesne przemieszały się dokładnie z czystą wiarą, zupełnie jak w chrześcijaństwie. Pośrodku tego zamętu trwali Żydzi, czy raczej te ich resztki, których nie wypłoszyli Rzymianie, albo którzy raz wypędzeni znowu powrócili. W czasach krucjat Żydzi wycierpieli zapewne najwięcej ze strony chrześcijan. Później i to się zmieniło, może nawet parokrotnie.

Nie ziemia, lecz gnat, nieśmiertelny gnat, o który wciąż gryzą się watahy wygłodniałych psów.

Prawdziwą przyczyną, dla której gnat okazywał się niezniszczalny, a psy wciąż powracały w trakcie długich stuleci, była symbolika tej ziemi, zawarta w niej historia. Tuziny wielkich postaci przemierzały tę krainę, wśród nich sam Syn Boży - jak podszeptowała Ryanowi katolicka natura. Pomijając już geograficzne znaczenie wąskiego przesmyku lądowego między kontynentami i kulturami, równie istotne dla losów tej ziemi okazywały się ludzkie myśli, wizje i nadzieje. Wszystkie one w dziwny sposób wstąpiły w piasek i kamienie tego z pozoru jakże odpychającego miejsca, odpowiedniego w sam raz dla skorpionów. Zdaniem Jacka, spośród pięciu największych religii świata, jedynie trzem udało się wyjść poza swoją kulturową kolebkę. Każda z tych trzech religii miała swój ośrodek w promieniu kilku kilometrów od miejsca, w którym stał.

Dlatego trudno się dziwić, że właśnie tutaj wybuchają wojny.

Błuznierstwo to zabolalo Jacka Ryana. W tej krainie narodził się przecież monoteizm. Poczynając od Żydów, wierzących w jedyne Boga, poprzez chrześcijan i muzułmanów, w tym miejscu kultywowano nową wiarę. Tutaj właśnie Żydzi - słowo "Izraelczycy" zupełnie nie pasowało do sytuacji - przez tysiące lat zajadle bronili starozakonnego wyznania, odrzucając z pogardą narzucane im wierzenia pogan i animistycznych bałwochwalców, po to tylko, by doczekać się najcięższej próby w starciu z religiami wyrosłymi z idei, o którą walczyli. niesprawiedliwość losu, lecz los rzadko bywa sprawiedliwy, a wojny religijne odznaczają się większym stopniem barbarzyństwa niż inne. Wszystkie chwytysą dozwolone, kiedy wojuje się w imię jedyne Boga. Nasi wrogowie zwracają się bądź co bądź także przeciwko Bogu, co stanowi występne bluznierstwo; uwłaczają przykazaniu, i dlatego nawet zwyczajny żołnierz zmienia się w szermierza wiary. Kiedy sam Bóg nakazuje pomstę, o litości nie może być mowy. Cokolwiek złego uczyni się, by ukarać wroga-grzesznika, wiara to usprawiedliwi. Wiara przemienia gwałty, rabunki, rzezie i resztę pospolitych zbrodni w misję, w święte i wolne od grzechu posłannictwo. Morduje się więc nie dla żołdu, nie dlatego grzeszy się, że się zasmakowało w grzechu, lecz za sprawą przekonania, iż jeśli sam Wszechmogący jest po naszej stronie, wolno nam bezkarnie uczynić wszystko. Boga zabiera się nawet do grobu, o czym wiedzieli krzyżowcy. Ludzkie figury na ich grobowcach w Anglii rzeźbiono z nogami skrzyżowanymi, na znak, że zmarły brał udział w krucjacie, i aby po wsze czasy ogłosić, że rycerze służyli Panu, brukając ostrza krwią dzieci, gwałcąc, co napotkał ich wygłodniały wzrok i kradnąc, co dało się unieść. Rabowali zaś wszystkich. Ofiarami krzyżowców padali głównie Żydzi, lecz ponieważ ludzie są podobni w cnocie i w grzechu, Żydzi także przy sposobnej okazji nie wahali się chwycić za miecz.

- Faceci kochali ten sport - pomyślał Jack ponuro, obserwując, jak policjant z drogówki uśmierza kłótnię na zatłoczonym rogu ulicy. - Ale nawet wówczas na pewno znalazłoby się paru zwyczajnie dobrych ludzi. Jak im się wiodło? Co sobie myśleli? Ciekawe, co Bóg myślał o tym wszystkim?

Jack Ryan nie był jednak księdzem, rabinem czy imamem, lecz wysokim rangą oficerem wywiadu na usługach swojego kraju, zbieraczem informacji, obserwatorem. Znow zaczął się więc rozglądać wokół siebie, zapominając na chwilę o wyrokach historii.

Przechodnie ubrani byli stosownie do upalnej pogody, a ścisk na ulicach przywodził na myśl Manhattan. Bardzo wielu spacerujących miało przy sobie kieszonkowe radia. Mijając uliczne stoliki

restauracji, Jack ujrzał, jak tuzin rozmaitych osób zbija się w grupę, słuchając wiadomości dziennika. Wywołało to uśmiech u oficera wywiadu. Tacy sami wariaci jak on. Kiedy prowadził samochód, zawsze przełączał radio na waszyngtońską stację, która non-stop podawała doniesienia ze świata. Izraelcy przechodnie nerwowo rzucali wzrokiem na prawo i lewo. Udzielający się nastrój pogotowia był tak powszechny, że początkowo Jack w ogóle go nie odczuł. Podobnie rozglądali się ludzie z jego własnej ochrony, z góry wypatrując kłopotów. Trudno się dziwić tym Izraelczykom. Incydent na wzgórzu świątynnym nie wywołał wprawdzie eksplozji zamieszek, lecz mogły one wybuchnąć lada moment. Ryana nie zaskoczyło nawet, że ludzie wokół niego wciąż nie dostrzegają największego niebezpieczeństwa kryjącego się właśnie w braku gwałtownych zamieszek. Nietrudno było zrozumieć, skąd bierze się krótkowzroczność izraelskich poglądów. Bądź co bądź Izrael otaczały zewsząd kraje, które miały wszelkie powody dążyć do wypalenia Izraela żywym ogniem. Stąd właśnie miejscowa paranoja, urastająca już do rangi sztuki, i obsesja na punkcie bezpieczeństwa własnego narodu. Tysiąc dziewięćset lat po oblężeniu Masady i początku diaspyry Żydzi powrócili na uświęconą ziemię, chroniąc się na niej przed uciskiem i ludobójstwem... By wkrótce samemu zacząć uciskać. Różnica była taka, że dzisiaj to właśnie Izrael dzierżył miecz i doskonale wyuczył się nim posługiwać. Miecz jednakże prowadził w ślepy zaułek. Jeśli założyć, że prawdziwa wojna kończy się zawarciem pokoju, wszystkie izraelskie wojny toczyły się nadal. Przerywano je jedynie, zawierano rozejm. Dla Izraela pokój stanowił zawsze co najwyżej interludium, czas sposobny po temu, by pogrzebać umarłych i wyćwiczyć następną falangę wojowników. Żydzi, którym udało się uniknąć zagłady z rąk chrześcijan, swoją szansę na przeżycie zawdzięczali zdolności do pokonania muzułmanów - tych samych, którzy niegdyś poprzysięgli, że dokończą dzieło zaczęte przez Hitlera. Bóg zaś myślał o tym tak, jak w czasach wypraw krzyżowych. Pech tylko, że jedynie w Starym Testamencie Bóg umiał rozdzielić odmęty i zawiesić słoneczną lampę na nieboskłonie, dziś natomiast ludzie sami musieli naprawiać świat, a wiadomo, że rodzaj ten rzadko robi to, co mu przykazać. Kiedy Tomasz Morus opisywał daleką krainę, w której ludzie niezależnie od okoliczności postępują moralnie, nazwał opisywaną ziemię tak samo jak książkę. "Utopia" znaczy "nigdzie". Jack ze smutkiem pokiwał głową i skręcił w kolejną ulicę domów z bielonego stiuku.

- Dzień dobry, doktorze.

Mężczyzna, który go zatrzymał, był po pięćdziesiątce, trochę niższy niż Jack, a także silniejszej budowy. Rzucała się w oczy jego obfita broda, przystrzyżona elegancko, lecz pełna siwych pasm. Nie wyglądał jak Izraelita, prędzej już jak setnik w asyryjskiej armii Sennacheriba. Krzywy miecz lub pałka byłyby w jego łapskach zupełnie na miejscu. Gdyby nie sposób, w jaki mężczyzna się uśmiechał, Jack zatęskniłby za towarzystwem Johna Clarka.

- Witam cię, Awi. Cóż za nieoczekiwane spotkanie.

Generał Abraham Ben Jakob zajmował stanowisko równorzędne do Ryanowego i był zastępcą dyrektora Mossadu, czyli sekcji zagranicznej wywiadu izraelskiego. Szpiedzy całego świata znali go i cenili. Wiadomo było, że do tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku Awi służył w charakterze oficera wojska i jako spadochroniarz zdobył spore doświadczenie w operacjach specjalnych. Rafi Eitan wyłowił jego talent i dał Ben Jakobowi należne miejsce wśród swoich podopiecznych. Przez ostatnich parę lat Ryan kilkakrotnie napotykał generała na swej drodze, działało się to jednak nieodmiennie w Waszyngtonie. W sprawach zawodowych Ryan żywił wobec Awięgo ogromny respekt. Nie był pewien, czy szacunek ten jest odwzajemniany, tym bardziej, że generał Ben Jakob znakomicie potrafił maskować swoje prawdziwe myśli i uczucia.

- Co tam słyszać w Waszyngtonie, Jack?

- Tyle wiem, co zdążyłem obejrzeć w programie CNN w ambasadzie. Oficjalnie niczego jeszcze nie podano, a nawet gdyby podano, znasz lepiej ode mnie nasze zasady. Słuchaj, Awi, można tu w pobliżu coś zjeść?

Awi przygotował się i na taką ewentualność. Dwie minuty później, po przejściu stu metrów, zasiadali już w tylnej salce w małej rodzinnej knajpce, gdzie ochroniarze mogli mieć na wszystko oko. General Ben Jakob zamówił dwa piwa Heineken.

- Tam gdzie jedziesz, piwa raczej nie kupisz.

- Ostro się za mnie zabierasz, Awi - zauważył Ryan po pierwszym łyku.

- Rozumiem, że masz w Rijadzie zastąpić Aldena?

- Jakim cudem ktoś taki jak ja miałby szansę zastąpić w czymkolwiek profesora Aldena?

- Masz podobno przedstawić ten plan równocześnie z Adlerem. Ciekaw jestem, co od was usłyszymy.

- Cierpliwości, usłyszycie wszystko w swoim czasie.

- Żadnej premiery dla prasy? Może szepniesz mi coś po koleżeńsku?

- Koleżeństwo ma swoje granice. - Jack łyknął piwo wprost z butelki. Menu wypisane było po hebrajsku. - Chyba jednak będziesz musiał sam za mnie zamówić... Swoją drogą, co za skończony dureń - dorzucił Jack, myśląc w duchu, że choć miewał już rozmaite misje, jego dyplomacka nigdy jeszcze tak mu nie ciążyła.

- Alden - stwierdził raczej, niż zapytał generał. - Ha, ktoś, kto jest dokładnie w moim wieku, powinien zdawać sobie sprawę, że doświadczone kobiety górują nad młodymi wiedzą i dyskrecją.

Nawet w sprawach sercowych Awi wypowiadał się jak zawodowiec.

- Gdyby tak było, Aldenowi wystarczyłaby żona.

- Przepraszam, zapominam, że jesteś katolikiem - zauważył żartobliwie Ben Jakob.

- Nie o to chodzi, Awi. Jaki kretyn może chcieć w życiu dwóch kobiet naraz? - Mówiąc to, Ryan udał śmiertelną powagę.

- Alden poleci. Tak ocenia sprawę nasza ambasada.

- Poleci, ale co z tego może wyniknąć? - pomyślał Jack

- Może i poleci. Nikt nie pytał mnie na razie o zdanie. Sam bardzo go szanuję, przede wszystkim za to, że słucha, co mu mówimy, a jeżeli się nawet nie zgadza z Agencją, ma przeważnie swoje powody. Nawet mnie przyłapał na jakimś głupstwie, będzie z pół roku temu. Facet jest genialny, tyle że gania za babami jak jakiś... Nieważne, nikt z nas nie jest święty. Ale żeby polecieć ze stanowiska przez taką bzdurę... Lepiej by sobie zawiązał na supeł.

Jack gryzł się faktem, że afera wybucha w tak krytycznej chwili.

- Dla takich ludzi nie ma miejsca w rządzie. Zbyt łatwo można ich szantażować.

- Ale Rosjanie nie łapią już ostatnio na dziewczynki... Poza tym, ejże, tamta dziewczyna była Żydówką. Może wiesz coś o tym, Awi?

- Doktorze Ryan! Przez myśl by mi to nie przeszło!

Gdyby niedźwiedzie rechotały, ich gromki śmiech przypominałby z pewnością wesołość generała.

- Zresztą nie, odwołuję podejrzenie. Nie znaleźliśmy najmniejszych poszlak, że chodzi o szantaż.

- Mówiąc to otwarcie, Jack Ryan posuwał się za daleko. Generał zmrużył oczy i stwierdził:

- Nie, to nie nasza operacja. Myślisz, że upadliśmy na głowę? Przecież jeśli Alden padnie, zastąpi go Elizabeth Elliot.

Ryan poderwał wzrok znad butelki. To mu jakoś nie przyszło do głowy. Ależ gnój...

- Twoja i moja serdeczna przyjaciółka - dodał jeszcze generał.

- Z iloma ministrami z rządu pożarłeś się przez ostatnie dwadzieścia lat, Awi?

- Z nikim, rzecz jasna.

Ryan parsknął tylko i dopił heinekena. Po chwili zapytał:

- Pamiętasz, co mówiłeś wcześniej o koleżeńskich przysługach?

- Jesteśmy z tej samej branży. Od wielkiego dzwonu, jeśli akurat mamy szczęście, politycy łaskawie słuchają, co im mówimy.

- A czasami, nawet jeśli mamy szczęście zostać wysłuchani, mówimy im niechcący bzdury.

Generał Ben Jakob, choć odprężony, nie spuszczał oczu z twarzy Ryana. Słowa Jacka były jeszcze jedną oznaką świadcząca, że sprawdza się jako zastępca dyrektora Agencji. Generał w skrytości ducha lubił Ryana jako człowieka i jako profesjonalistę, lecz w świecie wywiadu fakt, że się kogoś lubi, bardzo niewiele znaczy. Działo się jednak coś monumentalnego. Scott Adler pomknął do Moskwy, a potem w towarzystwie Ryana rozmawiał z kardynałem D'Antonim. Zgodnie z początkowym planem, Ryan miał teraz wspierać Adlera podczas rozmów w izraelskim ministerstwie spraw zagranicznych, lecz zdumiewająca gafa Charlesa Aldena spowodowała zmianę zamiarów.

Nawet jak na zawodowego szpiega, Awi Ben Jakob był niezwykle dobrze poinformowany. Ryan nie chciał jasno odpowiedzieć na pytanie, czy Stany Zjednoczone nadal uważają Izrael za swojego najbliższego sojusznika na Bliskim Wschodzie. Takie wątpliwości to rzecz normalna u faceta, który jest z wykształcenia historykiem, ocenił rzecz generał. Niezależnie od prywatnych poglądów Ryana, większość Amerykanów uważała jednak Izrael za takiego sojusznika, a co za tym idzie, Tel Awiw dowiadywał się o sprawach Waszyngtonu więcej niż jakikolwiek inny kraj - wliczając tu nawet Wielką Brytanię, z którą Stany wiąże umowa o wymianie poufnych informacji.

Waszyngtońskie źródła powiadomiły więc podwładnych generała Ben Jakoba, że właśnie Ryan jest inicjatorem całego zamieszania. Niełatwo było jakoś w to uwierzyć, bo chociaż Jack słynął z bystrości, prawie dorównując w niej Aldenowi, skrupulatnie dotąd przestrzegał swojej służebnej roli, wykonując cudze decyzje, zamiast je podejmować. Oprócz tego wiadomo było, że nowy prezydent nie cierpi Ryana i nie ukrywa swoich odczuć przed gronem najbliższych współpracowników. Z doniesień wynikało, że szczerze nienawidzi go także Elizabeth Elliot. Poszło o jakiś zatarg jeszcze sprzed wyborów prezydenckich, Ryan palnął podobno coś niezręcznego albo popełnił inne uchybienie. Politycy z rządu słyną w końcu z przewrażliwienia na własnym punkcie, pomyślał generał. Nie tak jak ja czy Ryan. Jeśli coś łączyło obu oficerów, to fakt, że nie raz przyszło im narażać życie. Nie we wszystkim musieli się zgadzać, lecz potrafili szanować partnera.

Moskwa, Rzym, Tel Awiw, Rijad. Jaką kabałę układają ci Amerykanie?

Scott Adler był najbardziej zaufanym podwładnym sekretarza stanu Talbota, zręcznym, doświadczonym, zawodowym dyplomatą. Talbot z kolei słynął z inteligencji. Prezydent Fowler sam nie był może orłem, lecz umiejętnie dobrał sobie gabinet oraz grono doradców. Z wyjątkiem pani Elliot, poprawił się w myślach generał. Talbot wysyłał Adlera przodem, ilekroć szykował poważną kombinację, a kiedy przychodziła pora oficjalnych rokowań, sadzał Adlera po prawicy.

Najbardziej zaskakujące wydawało się oczywiście to, że ani jeden z agentów Mossadu nie ma zielonego pojęcia, co knują Amerykanie. "Jakaś grubsza sprawa z Bliskim Wschodem. Mówi się, że ma z tym coś wspólnego Jack Ryan z CIA". Koniec raportu. Normalny człowiek dostałby szału od takich doniesień, lecz życie przyzwyczyliło Ben Jakoba do faktu, że w branży szpiegowskiej nigdy nie zna się wszystkich kart. Brat Awiego, który był lekarzem pediatrą, miał podobne kłopoty. Chore dzieci niezmiernie rzadko umiały mu powiedzieć, co im dolega. Oczywiście brat zawsze mógł zapytać małych pacjentów, opukać, osłuchać...

- Jack, ja muszę pokazać tym z góry cokolwiek - rzekł więc błagalnie Ben Jakob.

- Wolne żarty, generale. - Jack machnął, by przyniesiono mu następne piwo. - Powiedz mi lepiej coś o tym burdelu ze świątynią.

- Policjant, cóż... Psychicznie nie zrównoważony. W szpitalu musieli go pilnować, żeby ze sobą nie skończył. Żona go rzuciła, fanatycy religijni namęcili mu w głowie, no i tak. - Ben Jakob wzruszył ramionami. - Okropnie to wyglądało.

- Pewnie, że okropnie. Zdajesz sobie sprawę, Awi, w jakie gówno wdepnął wasz rząd?

- Jack, ten sam problem mieliśmy od nie wiadomo kiedy...

- Tak właśnie myślałem. Awi, pies z ciebie pierwszorzędnny, ale tym razem nie masz pojęcia, co się dzieje. Błędne pojęcia.

- Może ty mi powiesz?

- Bez urazy, Awi, wiesz, że chciałem dobrze. Idzie o to, że nie wrócą już dla was czasy sprzed masakry na wzgórzu. Sam zdajesz sobie z tego sprawę.

- A jakie będą nowe czasy?

- Poczekaj, to sam zobaczysz. Nie wolno mi nic ujawnić.

- Czy Ameryka chce sięgnąć do pogroźek?

- Do pogroźek? Wiesz doskonale, że nigdy was nie skrzywdzimy, Awi. - Ryan zaklął w duchu, że za dużo powiedział, zreflektował się jednak, że ma do czynienia z fachowcem.

- Ale nie możecie nam przecież dyktować polityki. Jack Ryan ugryzł się w język i zaczął z innej beczki:

- Widzę, jak próbujesz mnie podejść, ale mam nie puszczać pary. Niestety, musisz poczekać. Przykro mi słyszeć, że twoja służba w Waszyngtonie też nic nie wie, ale nie mogę jej przecież wyręczać.

Ben Jakob postanowił spróbować jeszcze inaczej:

- No wiesz, ja ci tutaj funduję dobry obiad, chociaż mój kraj wcale nie jest tak bogaty, jak twój...

Jack roześmiał się, słysząc nowy ton.

- Piwo też nieźle. I rzeczywiście, nie ma Heinekena tam, gdzie teraz lecę. Jeżeli tam rzeczywiście lecę...

- Załoga przekazała już do kapitanatu lotniska, jaki jest port docelowy. Sprawdziłem.

- Diabli wzięli całą tajemnicę. - Jack uśmiechnął się na widok kelnera, który postawił przed nim kolejne piwo. - Awi, dajmy temu na razie spokój. Naprawdę pomyślałeś sobie, że chcemy wystawić Izrael na sztych?

Generał milczał, gdyż dokładnie to właśnie myślał. Nie mógł oczywiście się do tego przyznać. Ryan nie dał się jednak nabrać i, korzystając z chwili milczenia, zmienił temat.

- Słyszałem, że zostałeś dziadkiem.

- A tak, córka dba, żeby mi nie zabrakło siwych włosów w brodzie. Urodziła mi wnuczkę, Leę.

- Masz więc, Awi, moje słowo: Lea będzie dorastała w bezpiecznym kraju.

- Kto jej to niby zapewni?

- Ci sami ludzie, co zawsze - odrzekł Jack, w duchu gratulując sobie riposty. Żał mu było patrzeć, jak Awi wyłazi ze skóry, żeby się czegoś dowiedzieć. Widocznie nawet najlepszych z nas można zepchnąć do narożnika...

Ben Jakob zanotował sobie w myślach, że trzeba uaktualnić teczkę Ryana. Przy ich następnym spotkaniu musi dysponować lepszymi informacjami. Generał nie znosił porażek, niezależnie na jakim polu.

Profesor Charles Alden rozejrzał się w zadumie po gabinecie. Jeszcze nie myślał o wyprowadzce, skąd znowu. Zaszкодziłyby tylko ekipie Fowlera. Prośba o rezygnację, podpisana i złożona na zielonym suknie, nosiła datę z końca obecnego miesiąca. Szło jednak tylko o zachowanie pozorów, bo już dziś uwolniono go od obowiązków. Miał nadal pojawiać się w pracy, czytać sprawozdania i bazgrać notatki, ale codzienne raporty u prezydenta przejęła Elizabeth Elliot. Prezydent żałował tego co się stało, lecz jak zwykle przyjął wiadomość spokojnie. "Przykro mi, że odchodzisz, Charlie, zwłaszcza w takiej chwili, ale chyba rzeczywiście nie mamy wyboru..." Alden jednak, pomimo kipiącej w nim furii, zdołał w Owalnym Gabinetcie zachować spokój, podczas kiedy nawet Arnie Van Damm okazał ludzką słabość słowami: "Kurwa, szkoda." Chociaż Van Damm sam był wściekły z powodu nadszarpnięcia pozycji prezydenta przez aferę, gniew łączył się w nim z ludzkim współczuciem, pasującym już prędzej nastolatkom w szatni sali gimnastycznej. Inaczej jednak myślał Bob Fowler, obrońca wdów i sierot.

Najtrudniej było spojrzeć w oczy Liz. Arogancka pinda poczęstowała go milczeniem i jakże wymownym spojrzeniem. Alden wiedział, że Elizabeth Elliot przywłaszczy sobie teraz wszystkie jego zasługi. Wiedziała o tym również i ona, z góry rozkoszując się taką perspektywą.

Oficjalny komunikat miał się ukazać dopiero nazajutrz rano, lecz prasa dowiedziała się już w jakiś sposób o dymisji. Od kogo, można się było tylko domyślać. Od E-E, szukającej nowej okazji do triumfu? Od Arniego Van Damma, który usiłował ograniczyć rozmiary skandalu? Czy od tuzina innych?

W Waszyngtonie przeskok ze szczytów władzy w otchłań niepamięci następuje błyskawicznie. Zawstydzona mina własnej sekretarki. Wymuszone uśmiechy biurokratów z Zachodniego Skrzydła rezydencji. Zapomnienie następuje jednak dopiero wówczas, gdy ucichnie już prasowa wrzawa, eksplodująca niczym supernowa i oślepiającym ognistym pióropuszem zwiastująca polityczną śmierć. Na tym polega rola środków przekazu. Telefon urywał się, więc Alden nie odwieszał słuchawki. Rano ujrzał przed domem dobrą dwudziestkę reporterów, na wyścigi strzelających mu w twarz błyskami flesza, które oślepiały niby słońce. Wiedział, o co go zapytają, nim usłyszał jeszcze pierwsze słowa. Tak dać się zrobić jednej głupiej dziwce! Krowie oczy, krowie wymiona, szerokie krowie biodra! Jak mógł do tego stopnia zgłupieć? Profesor Charles Winston Alden znieruchomiał w swoim eleganckim fotelu i zapatrzył się w blat kosztownego biurka. Głowa pękała mu od migreny, wynikającej, jak przypuszczał, ze złości i napięcia nerwowego. Przypuszczenie było słuszne. Alden nie wziął jednak pod uwagę, że również ciśnienie krwi podskoczyło mu z powodu stresu odczuwanego przez organizm, dwukrotnie przekraczając normalny poziom. Podobnie nie przyszło Aldenowi do głowy, że od tygodnia nie wziął lekarstwa na nadciśnienie. Niczym typowy, roztargniony profesor, wiecznie zapominał o drobiazgach, metodycznie rozpracowując w myślach najbardziej zawile problemy.

Dlatego to, co nastąpiło później, zaskoczyło go. Najpierw poddała się osłabiona tkanka w żyłę obiegowej Williama, obwodnicy, przetaczającej krew wokół mózgu. Rola tej okężnicy polegała na tłoczeniu krwi do tych części mózgu, których nie dosięgały inne, pozatykane z biegiem lat naczynia krwionośne. Dwadzieścia lat podwyższonego ciśnienia, czasami tylko łagodzonego braniem tabletek (o których Alden przypominał sobie przeważnie dopiero przed kolejną wizytą u lekarza) w połączeniu z dodatkowym stresem z powodu nagłego i skandalicznego końca kariery spowodowały pęknięcie naczynia po prawej stronie czaszki. Pulsująca migrena okazała się nagle wcieleniem śmierci. Oczy Aldena rozwarły się szeroko, ręce jednym skokiem objęły czaszkę, jak gdyby ratowały ją przed pęknięciem, lecz nawet ręce nie mogły już tu pomóc. Pęknięta ścianka naczynia krwionośnego rozdarła się jeszcze bardziej, wypuszczając do mózgu potok krwi. Ustało tym samym

zasilanie tkanki mózgowej w tlen, a podwyższone jeszcze bardziej ciśnienie wewnątrzczaszkowe sprawiło, że komórki zaczęły coraz szybciej obumierać.

Sparaliżowany wylewem Alden przez dłuższy czas zachował jednak przytomność, precyzyjnie rejestrując we wspaniałej pamięci każdą upływającą sekundę. Stracił władzę w ciele i wiedział, że umrze. "A już się prawie się udało" nawoływały doń pospieszne myśli. Trzydzieści pięć lat piał się do tego fotela. Wszystkie jego książki, wszystkie seminaria z udziałem zdolnych, młodych studentów. Gościnne wykłady, dyskusje telewizyjne, kampanie polityczne. Wszystko po to, aby wspiąć się aż tutaj. "Byłem tak blisko czegoś naprawdę wielkiego. Boże, dlaczego już, dlaczego w ten sposób?" Zdawał sobie jednak sprawę, że śmierć nadchodzi i trzeba się z nią pogodzić. Żyła w nim jeszcze nadzieja, że inni mu wszystko wybaczą. Przecież nie zrobił w życiu nic złego? Próbował zaznaczyć własny trwały ślad, próbował naprawiać kulawą rzeczywistość, a teraz, kiedy się to prawie, prawie udało... O ileż bardziej ucieszyliby się wrogowie, gdyby dostał wylewu, rznąc tamtą gówniarę z krowimi oczami... O ileż lepiej byłoby, pomyślał jeszcze, gdyby pochłaniały go wyłącznie książki i nau...

Niełaska, w jaką popadł Alden i jego de facto dymisja sprawiły, że o zgonie dowiedziano się stosunkowo późno. Zamiast co kilka minut łączyć rozmowę, sekretarka zainteresowała się ciszą w gabinecie dopiero po dobrej godzinie. Do tej pory sama odbierała wszystkie telefony. Fakt ten nie miał zresztą znaczenia, choć wyrzuty sumienia gnębiły kobietę jeszcze przez długie tygodnie. Kiedy wreszcie zaczęła się zbierać do wyjścia, nacisnęła interkom, żeby powiedzieć szefowi do widzenia. Żadnej odpowiedzi. Sekretarka zmarszczyła czoło i zawahała się. Znowu nacisnęła sygnał. Cisza. Wstała od biurka i zapukała do drzwi, a nie doczekawszy się odzewu, otworzyła je i wrzasnęła tak przeraźliwie, że usłyszeli ją nawet tajniacy strzegący pomieszczeń prezydenta w drugim końcu Białego Domu. Pierwsza nadbiegła Helen D'Agustino z sześciuosobowej osobistej obstawy prezydenta, która spacerowała korytarzem, próbując się rozruszać po dniu spędzonym głównie w pozycji siedzącej.

- Ja pier... - wyrwało jej się, kiedy wyszarpywała służbowy rewolwer. Nigdy w życiu nie widziała jeszcze takiej ilości krwi. Struga wylewała się z ucha Aldena i ogarniała cały blat biurka. Trafienie w głowę z pistoletu. Helen błyskawicznie omiotła wzrokiem gabinet, zataczając półkole lufą smith & wesson, model 19. Okna nie naruszone. Przemknęła w drugi kąt pomieszczenia. Nikogo. Co jest grane?

Przerwała poszukiwania i lewą ręką namacała puls w nadgarstku Aldena. Oczywiście nic nie poczuła, lecz takie postępowanie dyktowały jej wpojone zasady. Tajna Służba zablokowała już wszystkie wyjścia z Białego Domu, a goście z zewnątrz zamarli w pół kroku, patrząc na tajniaków biegnących z odbezpieczoną bronią. Przeszukiwano teraz każdy kąt budynku.

- Jasna cholera! - Pete Connor wzdrygnął się, wkraczając do gabinetu.

- Przeszukanie zakończone! - usłyszała para agentów w miniaturowych słuchawkach. - Budynek czysty. JASTRZĄB, koniec zagrożenia.

JASTRZĄB był kryptonimem, którym w Tajnej Służbie określano prezydenta. Znać było w tym kodzie specyficzne poczucie humoru opiekunów ptasiego z urody prezydenta, a także ich ironiczny dystans do spraw polityki.

- Karetka będzie za dwie minuty! - dodał głos z centrum operacyjnego. Do Białego Domu karetka pogotowia mogła dotrzeć szybciej niż śmigłowiec.

- Opuść broń, Daga - zwrócił się Connor do koleżanki. - Wygląda, że gość dostał wylewu.

- Z drogi! - do pomieszczenia wpadł teraz prezydencki sanitariusz z marynarki wojennej. Agenci Tajnej Służby potrafili oczywiście udzielać pierwszej pomocy, lecz w Białym Domu i tak przez całą

dobę czuwała ekipa medyczna. Przybysz miał ze sobą brezentową torbę sanitarną, ale nie pofatygował się nawet jej rozpiąć. W mgnieniu oka zorientował się bowiem w ilości krwi na blacie biurka, krwi, która w dodatku zaczynała krzepnąć. Sanitariusz zdecydował, że lepiej będzie nie ruszać ciała, zwłaszcza że nadal nie można było wykluczyć zabójstwa, a tajniacy nieraz dokładnie instruowali go, co należy czynić. Większość krwi wylała się strugą z prawego ucha profesora Aldena. Mniejsza strużka kapłała także z lewego ucha, a na widocznej części twarzy wystąpiło zsinienie pośmiertne. Trudno o łatwiejszą diagnozę.

- Nie żyje, pewnie od godziny. Krwotok domózgowy. No, wylew. Facet miał nadciśnienie?

- Tak mi się wydaje - przypomniała sobie D'Agustino.

- Dla pewności trzeba będzie zrobić sekcję, ale trudno o pomyłkę. Naczynie mu strzeliło.

W drzwiach stanął z kolei lekarz, kapitan marynarki wojennej, który wkrótce potwierdził diagnozę sanitariusza.

- Mówi Connor, powiedzcie tym w karetce, że mogą się już nie spieszyć. PIELGRZYM nie żyje, wygląda na naturalną śmierć. Powtarzam, PIELGRZYM nie żyje - powiedział starszy agent do mikrofonu radiostacji.

Podczas sekcji zwłok poszukiwać się będzie, oczywiście, rozmaitych rzeczy: śladów trucizny, objawów spożycia skażonej wody lub żywności. Wodę i powietrze w Białym Domu kontrolowano jednak na bieżąco. D'Agustino i Connor spojrzeli na siebie bez słowa. Co tu gadać, zmarły cierpiał na nadciśnienie, a wypadki tego dnia nie poprawiły mu samopoczucia. Aldena miała prawo boleć głowa.

- Co z nim jest? - usłyszeli od progu i odwrócili głowy, by ujrzeć samego JASTRZĘBIA, prezydenta, w otoczeniu potrójnej obstawy. Za nim dreptała Elizabeth Elliot. D'Agustino odnotowała w pamięci, że dla E-E trzeba będzie teraz ukuć nowy kryptonim. Może wystarczy HARPIA? Agentka nie cierpiała tej baby, dzielając zresztą w pełni uczucia reszty ludzi z ochrony prezydenta. Nie za to jednak brała pensję, że lubi Elliot ani, jeśli już o tym mowa, samą głowę państwa.

- Nie żyje, panie prezydencie - poinformował lekarz. - Wygląda mi to na rozległy wylew krwi do mózgu.

Twarz prezydenta nawet nie drgnęła. Agenci ze Służby nie zdziwili się, mając w pamięci długie lata, kiedy żona Fowlera, wówczas jeszcze gubernatora Ohio, umierała powoli na stwardnienie rozsiane. Agenci łudzili się myślą, że przeszłe doświadczenie zahartowało szefa państwa, a nie wyprało go na resztę życia z ludzkich uczuć. Prezydent umiał zresztą wyrażać grę emocji. W tym wypadku cmoknął z dezaprobatą i skrzywił się. Potem potrząsnął głową i poszedł w swoją stronę.

Jego miejsce zajęła Liz Elliot, zerkając jednemu z tajniaków przez ramię. Helen D'Agustino obserwowała jej twarz. Rzeczywiście, tak jak mówiono, E-E nie bała się makijażu. Nawet przez jego warstwę przebijała jednak jej nagła bladość. Widok był rzeczywiście koszmarny, jak gdyby ktoś chlusnął na blat wiadrem czerwonej farby.

- O Boże! - szepnęła Elizabeth Elliot.

- Przejście, przejście proszę! - rozległ się jeszcze jeden głos. Przez drzwi zaczął się przeciskać ochroniarz z noszami, bezceremonialnie odpychając E-E. Ta zaś, jak zauważyła Helen, musiała być w zbyt wielkim szoku na to, by się rozżłościć. Jej twarz była wciąż przeraźliwie blada, a wzrok dziwnie błędny. Agentce D'Agustino przyszło nagle do głowy, że choć Elliot wyobraża sobie, że jest twarda, wcale nie musi mieć racji. Była to myśl bardzo kojąca.

Dostaliśmy miękki nóżek, Lizo? - pomyślała jeszcze Helen, która jakiś czas temu, w miesiąc po opuszczeniu murów szkoły dla agentów, dostała zadanie, by śledzić podejrzanego. Śledzony - fałszerz pieniędzy - zorientował się jednak, że ma kogoś na ogonie i z przyczyny niepojętej po dziś

dzień dla agentki wyszarpnął duży automatyczny pistolet. Udało mu się nawet oddać jeden strzał w jej kierunku, ale nic więcej. Agentka zapracowała w tamtej chwili na wzorową opinię w ten prosty sposób, że podrzuciła rewolwer do oka i z odległości trzynastu metrów wyrąbała trzy pociski "prosto w czarne kółko", kładąc klienta trupem jak kartonowy cel na strzelnicy. I z równą łatwością, bo ani razu nawet nie przyśniła jej się cała scena, Helen wkupiła się więc prędko w ścisłe grono ochroniarzy z Tajnej, a nawet w skład ich drużyny strzeleckiej podczas zawodów, w których pokonali reprezentację komandosów z elitarnych oddziałów Delta Force. D'Agustino, zwana Daga, nie bała się niczego, w odróżnieniu od Liz Elliot, która najwyraźniej próbowała nadrobić słabość arogancją. Boimy się, kotku? - Agentce Helen D'Agustino nie przyszło w tamtej chwili do głowy, że Liz Elliot jest już od kilku minut głównym doradcą Fowlera do spraw bezpieczeństwa.

Spotkanie było spokojne - pierwsze spokojne zgromadzenie tego typu od niepamiętnych czasów. Günther Bock nie usłyszał więc dziś natchnionych haseł, które tak uwielbiali jego rewolucyjni towarzysze. Nawet najwybitniejszy z nich, tak zazwyczaj rozpłomieniony Ismael Kati, władający pięcioma językami, okazał się dziwnie milkliwy. Bock przekonał się, że z twarzy niegdysiejszego towarzysza broni zniknął dawny uśmiech, a zamaszyste gesty, którymi Kati zaznaczał wagę swoich argumentów, straciły wigor. Chory ten Ismael, czy co? - przeszło mu przez głowę.

- Boleję, że straciłeś żonę - odezwał się do niego Kati, na chwilę powracając do spraw osobistych.

- Dziękuję i za to, przyjacielu. - Bock pomyślał, że dobrze będzie pokazać się Arabowi w korzystnym świetle. - Jej aresztowanie to głupstwo w porównaniu z ogromem cierpień, jakie przeżył twój naród. Zawsze bywają jakieś niepowodzenia.

W jego wypadku zdarzyło ich się co najmniej kilka, o czym obaj doskonale wiedzieli. W przeszłości ich najlepszą bronią była dokładna informacja. Teraz jednak wyschły wszystkie jej źródła dostępne Bockowi. Dawniej Frakcja Czerwonej Armii zbierała dane dosłownie zewsząd, w tym także od swoich ludzi w zachodnioniemieckich władzach. Użytecznymi kąskami karmił terrorystów wywiad NRD i wszystkie co do jednej wschodnioeuropejskie służby, wzorowane na ich matce i opiekunce, KGB. Trudno było wątpić, że znakomita część informacji pochodziła prosto z Moskwy i że jedynie z przyczyn natury politycznej, których Bock nigdy nie kwestionował, przekazywało się je za pośrednictwem mniejszych państw bloku. Wiadoma sprawa, na całym świecie siły socjalizmu muszą uciekać się do rozmaitych manewrów taktycznych. Czy raczej "musiały", poprawił się w myśli Bock.

Teraz jednak nie było się do kogo zwrócić o pomoc. Wywiady całego bloku wschodniego rzuciły się na swoich niegdysiejszych rewolucyjnych pupili jak wściekłe kundły. Czesi i Węgrzy posunęli się wręcz do tego, że dosłownie sprzedali Zachodowi informacje posiadane na temat Frakcji! Wywiad NRD dobrowolnie przekazał wszystkie dane w imię braterstwa i pomyślności Wielkich Niemiec. Niemiecka Republika Demokratyczna przestała istnieć, stając się zwyczajną przybudówką kapitalistycznej Bundesrepublik. Rosjanie zaś... Nawet owa mizerna pomoc, jaka płynęła kanałami z Moskwy, teraz urwała się, kto wie, czy nie na zawsze. Wraz z upadkiem socjalizmu w Europie Wschodniej wtyczki Frakcji wśród tamtejszych władz wpadły, poszły na współpracę albo po prostu zamilkły, utraciwszy nadzieję na świetlaną przyszłość systemu. Za jednym zamachem europejscy bojownicy utracili swoją najlepszą i najbardziej skuteczną broń.

Tutaj na szczęście wszystko wyglądało inaczej, o czym mógł zaświadczyć Kati. Głupota Izraelczyków nadal szła u nich w parze z brutalnością. Kati i Bock zgodnie twierdzili, że jedyną trwałą rzeczą na tym zmiennym świecie jest żydowska niemożność politycznego ułożenia się z

sąsiadami. Choć w starciu zbrojnym okazywali się niezmiernie groźni, Izraelczycy w żaden sposób nie potrafili dla siebie wygrać pokoju. Do tego dochodził jeszcze izraelski brak talentu do przekonywania mocodawców, iż narodowi naprawdę zależy na życiu w pokoju. Bock mało był obeznany z historią światową, ale i tak wątpił, czy którykolwiek inny naród mógł zachować się tak, jak Izrael. Trwającą wciąż wspólna rewolta arabskich mieszkańców Izraela i podbitych przez ten kraj Palestyńczyków przypominała ropiejący wrzód. Izraelska policja i służby wywiadowcze, które kiedyś od niechcenia penetrowały każdą arabską siatkę konspiracyjną, traciły swoje źródła, gdyż pośród ich wrogów coraz bardziej utrzymywało się powszechne poparcie dla powstania. Dzięki temu Kati mógł nadal skutecznie walczyć, czego Bock szczerze mu zazdrościł, niezależnie od marnej sytuacji taktycznej. Na rzecz Katego w paradoksalny sposób pracowała skuteczność działań jego izraelskich prześladowców. Dwa pokolenia przysły na świat od chwili, kiedy izraelski wywiad wydał milczącą wojnę arabskiej partyzantce. Przez cały ten czas od kul Mossadu ginęli wyłącznie głupcy. Przetrwali tacy jak Kati, najzdolniejsi, najsprawniejsi i najbardziej oddani - ci, którzy sprawdzili się w darwinowskim procesie doboru.

- A co robicie z kapusiami? - zaciekawiał się Bock.

- Złapaliśmy jednego w zeszłym tygodniu. - Kati uśmiechnął się okrutnie. - Zanim umarł, powiedział nam, który oficer zbierał od niego meldunki. Mamy teraz kogo śledzić.

Bock pokiwał głową. Dawniej próbowaliby zastrzelić tego oficera, lecz Kati prędko się uczył. Śledząc izraelskiego oficera - ostrożnie i w rozmaitych odstępach czasu - uda im się być może wykryć innych zdrajców.

- A jak Rosjanie?

- Jak świnie! Rzucają nam ochłapy. Musimy sobie radzić sami, jak zawsze. - Twarz Katego zdradzała niezwykle jak na niego ożywienie, które jednak zaraz ustąpiło, przechodząc w apatię.

- Wyglądasz na zmęczonego, przyjacielu.

- Miałem ciężki dzień. Ty, zdaje się, również. Bock pozwolił sobie na ziewnięcie i przeciągnął się.

- A zatem, do jutra?

Kati kiwnął głową i powstał, żeby zaprowadzić gościa na kwaterę. Przy pożegnaniu Bock uściśnął mu dłoń. Znali się prawie od dwudziestu lat. Kati wrócił do pokoju, w którym rozmawiali, a potem wyszedł przed dom. Wszystkie posterunki były na miejscu i czuwały. Kati zamienił kilka słów z wartownikami, jak to miał w zwyczaju, świadomy, iż lojalność zyskuje się tylko, rozumiejąc potrzeby podwładnych. Wreszcie sam udał się na spoczynek, nie zapominając, oczywiście, o wieczornych modłach. Trochę zmartwiła go myśl, że jego przyjaciel, Bock, należy do niewiernych. Odważny, bystry i oddany w walce - cóż z tego, kiedy niedowiarek. Kati nie był w stanie pojąć, jak można walczyć bez ochrony wiary.

Walczyć? Ale czy Bock jeszcze walczy? Kati położył się, pozwalając wreszcie odpocząć obolałym nogom i ramionom. Ból nie ustąpił wprawdzie, lecz odmienił postać. Co tu kryć, Bock jest skończony. Lepiej byłoby dla niego, gdyby jego żona zginęła od kul ludzi z GSG-9. Niemieccy komandosi z pewnością mieli zamiar ją zabić, lecz z krążącej pogłoski wynikało, że kiedy wpadli do mieszkania, znaleźli Petrę z dzieckiem przy każdej piersi, takiej zaś sceny nie przetnie morderstwem żaden mężczyzna. Sam Kati, choć nienawidził Izraelczyków, nie umiałby zabić w takiej sytuacji. Obraziłby tym przecież Najwyższego. Petra, pomyślał znów Kati, uśmiechając się w ciemnościach. Spał z nią kiedyś, dawno, kiedy Günther gdzieś wyjechał. Była taka samotna, a on rozpalony wspomnieniem udanej operacji w Libanie, kiedy udało się zgładzić izraelskiego instruktora szkolącego chrześcijańską milicję. Na dwie godziny złączył ich wówczas z Petrą rewolucyjny zapal.

Czy Günther o tym wie? Może nawet od samej Petry?

Jeśli nawet, nie ma to znaczenia. Bock nie należał do zazdrośników, a przecież dla Araba zdrada stanowiłaby śmiertelną zniewagę. Europejczycy traktowali te sprawy zdawkowo, czemu Kati nie mógł się wciąż nadziwić. Ha, w życiu w ogóle trafiają się dziwne rzeczy, za to w lojalność Bocka można wierzyć bez zastanowienia. Gorzał w nim ten sam jasny i gorący płomień, co w Katim. Smutne, że wydarzenia w Europie złamały przyjacielowi życie. Kobieta w klatce, dzieci ukradzione - na samą myśl o tym Araba przeszedł zimny dreszcz. Głupio zrobili, decydując się na dzieci. Kati nie chciał się żenić i niezmiernie rzadko zadawał się z kobietami. Pamiętał jednak czas sprzed dziesięciu lat, kiedy oglądał w Libanie europejskie dziewczęta, niektóre zupełnie jeszcze nastolatki... Uśmiechnął się na samo wspomnienie. Takich rzeczy nie zgodziłaby się robić żadna arabska dziewczyna. Gorące Europejki, które tak chciały wszystkim przekonać o swoim oddaniu sprawie. Owszem, Kati zdawał sobie sprawę, że tak, jak i on, dziewczęta miały w tym wszystkim swój interes, lecz wówczas był młodszy i chętniej poddawał się żądzom.

Żądze jednak same go opuściły. Zastanawiał się czasami, czy powrócą. Oby wróciły. Oznaczałoby to przede wszystkim, że jego organizm wydobrzał na tyle, by myśleć o czymś więcej niż o ocaleniu życia. Tymczasem trzeba się leczyć. Doktor twierdzi, że terapia skutkuje, i że Kati znosi ją dużo lepiej niż większość takich pacjentów. Wprawdzie nadal wiecznie odczuwał zmęczenie, a nawroty mdłości nękały go ciągle, ale nie wolno się załamywać. To normalne objawy - więcej, to znak, że organizm dochodzi do siebie. Zawsze jest nadzieja, doktor powtarzał to przy każdej wizycie. Mówił to poważnie, a nie po to, aby pocieszyć pacjenta. Chory rzeczywiście wyglądał coraz lepiej. Nadal istnieje więc szansa. Kati zdawał sobie sprawę, że w takim wypadku jedyny sposób, to znaleźć cel, dla którego warto nadal walczyć ze śmiercią. On sam miał taki cel, wystarczająco ważny, by trzymał go przy życiu.

- Jak tam rozgrywka?

- Walkower - odpowiedział dyrektor Cabot przez szyfrowe łącze satelitarne. - Charlie dostał w pracy okropnego wylewu. - Chwila ciszy. - Może nawet i lepiej dla tego drania.

- Kto go zastąpi, Liz Elliot?

- Zgadza się.

Ryan zacisnął usta i skrzywił się, jak gdyby łyknął okropnie gorzkie lekarstwo. Spojrzał na zegarek. Cabot zerwał się skoro świt, żeby przekazać mu instrukcje. Ryan i jego szef nie kochali się zbyt, lecz w tym wypadku powaga misji kazała zapomnieć o drobiazgach. Może z E-E uda się to samo? - zastanowił się Jack.

- W porządku, szefie. Startuję za półtorej godziny i jak w poprzednim planie, zaczynamy z Adlerem nasze spotkania jednocześnie, z zegarkiem w rękę.

- Powodzenia, chłopie.

- Dziękuję panu. - Ryan pstryknął klawiszem na konsoli, wyłączając szyfrowy telefon. Z pomieszczenia łączności powędrował z powrotem do swojego pokoju. Bagaż już spakowany. Pozostawało tylko zaciągnąć krawat. Płaszcz można przetrzucić przez ramię, za gorąco, żeby go na siebie wkładać. W miejscu, do którego zmierzał Ryan, było jeszcze goręcej, lecz właśnie tam płaszcz okaże się niezbędny. W myśl jednego z dziwactw protokołu dyplomatycznego, dopiero maksymalna niewygodność w postaci płaszcza zapewnia wizycie niezbędną oprawę. Ryan podniósł płaską torbę z garniturami i wyszedł za próg.

- Może zsynchronizujemy zegarki? - zażartował czekający przed drzwiami Adler.

- Odczep się, Scott, czy ja to wszystko wymyśliłem?

- Wiesz, miałyby to nawet jakiś sens.
 - Może i racja. Lecę, bo mi ucieknie samolot.
 - Bez ciebie nie wystartują - przypomniał mu Adler.
 - Przynajmniej człowiek wie, po co pracuje w rządzie, nie? - Ryan rozejrzał się po korytarzu.
- Nikt nie usłyszał tych słów, lecz zawsze była szansa, że Izraelczycy założyli podsłuch. Nawet jeśli tak, cicha muzyka z głośników ambasady zagłusza sygnał. - Myślisz, że się uda?
- Fifty fifty.
 - Dajesz nam aż taką szansę?
 - A co? - Adler uśmiechnął się szeroko. - Wóz albo przewóz, Jack. Miałeś cholernie dobry pomysł.
 - Nie tylko ja go miałem. Zresztą i tak nikt się nigdy nie dowie, że to ja.
 - Ważne, że my wiemy. No, do dzieła.
 - Daj mi znać, jaką miałeś reakcję. Powodzenia, stary.
 - Bardziej na miejscu byłoby tu "Mazel towl". - Adler uściśnął dłoń Ryana. Miłego lotu.

Reprezentacyjny wóz ambasady podwiózł Ryana pod same schodki maszyny, której pilot zapuścił już silniki. Zezwolono im przeskoczyć na początek kolejki do startu, dzięki czemu już po pięciu minutach oderwali się od ziemi. Gulfstream zakręcił zaraz na południe, lecąc wzdłuż podobnego z kształtu do klingi izraelskiego terytorium. Nad Akabą przecięli zatokę i wzięli kurs na wschód. Znajdowali się już w saudyjskiej przestrzeni powietrznej.

Zgodnie z przyzwyczajeniem Ryan gapił się przez okienko, błędząc myślami wokół czekającej go misji. Rozdrabniał jej szczegóły już od tygodnia, więc analiza przestała mu przeszkadzać w oglądaniu krajobrazu. Niebo było bezchmurne, powietrze tak czyste, że nawet z wysokości widać było każdy kontur jałowych połaci piasku i kamienia. Jedyłą barwę Arabii zawdzięczała karłowatym krzakom, z tej odległości zlewającym się w jedną smugę i nadającym tej ziemi podobieństwo do szczeciniastego policzka. Jack wiedział już, że zupełnie tak samo wygląda z góry większość ziem Izraela, a także Półwysep Synajski, gdzie toczono słynne bitwy pancerne. Ryana zdziwiło trochę, że ktokolwiek ma ochotę oddawać życie za taką krainę. Tak się jednak wciąż działo, odkąd tylko ludzie zasiedlili planetę. Właśnie na tych terenach stoczono pierwsze regularne wojny, które trwają po dziś dzień. Być może nareszcie ustaną.

Rijad, stolica Arabii Saudyjskiej, położony jest mniej więcej w centrum kraju, odpowiadającego obszarem części Stanów Zjednoczonych od Atlantyku do Missisipi. Mały odrzutowiec podchodził do lądowania po stromym torze, gdyż ruch nad lotniskiem był niewielki, a prądy powietrzne łagodne. Po kilku minutach Ryan lądował już, witany napisem "Rijad International". Gulfstream pokołował w kierunku hali towarowej, a steward otworzył przednie drzwi.

Po dwóch godzinach w chłodzie z klimatyzatora Jack poczuł się, jakby go wrzucono do hutniczego pieca. Temperatura w cieniu dochodziła do pięćdziesięciu stopni Celsjusza, a w dodatku próżno było szukać tego cienia. Co gorsza, nawierzchnia odbijała słoneczne promienie jak zwierciadło, promieniując takim żarem, że Ryana zaczęła piec twarz. Na spotkanie wyszedł mu zastępca szefa tutejszej delegatury CIA, w zwyczajowej asyście tajniaków. Po chwili Ryan pocił się już w kolejnej reprezentacyjnej limuzynie.

- Jak tam lot? - zapytał grzecznie zastępca rezydenta.
- Nie narzekam. Czy wszystko przygotowane?
- Według rozkazu.

Miło było usłyszeć ten ton.

- W takim razie nie ma na co czekać.
- Otrzymałem instrukcje, żeby odprowadzić pana aż pod same drzwi.
- To by się zgadzało.

- Pewnie zainteresuje pana, że nie zgłosił się do nas z pytaniami żaden dziennikarz. Widać, że Waszyngton trzyma wszystko pod pokrywką.

- To się zmieni już za jakieś pięć godzin.

Jak na arabskie miasto, Rijad był zadziwiająco czysty, choć zupełnie inny niż metropolie zachodnie. Wszystko lśniło nowością. Tylko dwie godziny drogi, ale samolotem. Dlatego Arabia nigdy nie stała się takim samym skrzyżowaniem dróg jak Palestyna. Dawne szlaki handlowe szerokim łukiem omijały arabski skwar, a choć rybackie i handlowe miasta nadmorskie od tysiącleci cieszyły się dostatkiem, nomadowie zamieszkujący wewnątrz półwyspu trwali w prymitywnych warunkach, powiązani ze sobą jedynie świętą wiarą islamską, promieniującą z dwóch ośrodków kultu, jakimi są Medyna i Mekka. Ten stan rzeczy uległ jednak zmianie, z dwóch przyczyn. Po pierwsze, podczas pierwszej wojny światowej Brytyjczycy związali w tym rejonie siły Imperium Ottomańskiego, zmuszając Turków do skierowania tu dywizji potrzebnych na innych odcinkach tureckim sojusznikom, to jest kajzerowskim Niemcom i Austro-Węgrom. Po drugie, w latach trzydziestych wytrysnęła w Arabii ropa naftowa w ilościach, wobec których Teksas okazywał się małym pryszczem. Dzięki temu najpierw uległ zmianie świat arabski, później zaś świat w ogóle.

Od samego początku stosunki między Saudyjczykami a Zachodem były bardzo kruche. Tutejsi Arabowie prezentowali sobą przedziwne połączenie prymitywu i wyrafinowania. Niektóre ludy Półwyspu raptem jedno czy dwa pokolenia dzieliły od włóczęgów z epoki kamiennej i od nomadów z epoki brązu. Zarazem jednak trwała tu świetna tradycja Koranu, a prawo surowe, lecz skrupulatne w wymierzaniu sprawiedliwości, blisko przypominało analogiczne wskazania Talmudu, nakazane przez judaizm. W krótkim czasie tutejsze ludy przywykły do bogactwa, przerastającego jakąkolwiek rachubę czy porównanie. Choć "cywilizowany" Zachód pogardzał Arabami za piramidalną rozrzutność, tutejsza kultura stanęła po prostu jako najmłodsza w szeregu nowobogackich, doganiając poprzedniego wielkiego nuworysza, czyli Amerykę. Ryan, który sam czuł się człowiekiem na dorobku, posyłał niektórym budynkom wyrozumiałe spojrzenia. Ci, którzy chwalą się, że odziedziczyli swoje pieniądze, choć dziedziczą je po chamowatych przodkach, których fatalne maniere na szczęście dawno odeszły w zapomnienie, przeważnie źle się czują w towarzystwie innych, co sami zapracowali na swoje splendory. Z narodami było tu podobnie jak z ludźmi. Saudyjczycy oraz ich arabscy bracia wciąż musieli się uczyć, jak zostać narodem, a od stania się narodem bogatym i wpływowym dzieliło ich jeszcze bardzo wiele. Proces ten był jednak dla nich prawdziwym upojeniem. Nauka jednych spraw przychodziła łatwiej, innych trudniej, czego przykładem mogło być ostatnie starcie Rijadu z sąsiadami z północy; na ogół jednak Arabowie okazywali się pojętymi uczniami i dlatego Ryan miał nadzieję, że następny krok okaże się nie taki trudny. Narodowi najłatwiej jest osiągnąć wielkość, dopomagając innym utrwalić pokój, nie zaś poprzez wykazanie się walecznością czy talentem handlowym. Nauczenie się tej prostej reguły zabrało Ameryce czas od jej powstania do prezydentury Theodore'a Roosevelta, którego dyplom Pokojowej Nagrody Nobla po dziś dzień zdobi w Białym Domu ścianę gabinetu noszącego jego imię. A więc ponad sto dwadzieścia lat, uświadomił sobie Jack, kiedy samochód zwalniał na podjeździe. Teddy zainkasował aż Nobla za wstawiennictwo w jakiejś drobnej aferze o przebieg granicy, podczas kiedy my zaledwie po pięćdziesięciu latach próbujemy właśnie namówić tutejszą ekipę, by nam dopomogła ugasić najgorszy punkt zapalny na całym świecie. Nie ma żadnego powodu, żeby zadzierać nosa przed tymi Arabami.

Wizyty wagi państwowej mają swoją choreografię, równie subtelną i dynamiczną jak baletowa. Najpierw przybywa limuzyna (dawniej karoca). Drzwiczki otwiera specjalny urzędnik, niegdyś nazywany lokajem. Na zewnątrz czeka już osobno i w wystudiowanej pozie Dostojnik, który przywita gościa. Gość, jeśli jest uprzejmy, tak jak Ryan, może nawet skinąć głową lokajowi. Drugi funkcjonariusz, starszy rangą, wita się z Gościem i prowadzi go ku Dostojnikowi. Po obu stronach przejścia stoi szpaler gwardzistów, w tym wypadku żołnierzy w mundurach i z bronią. Tym razem ze zrozumiałych względów zabrakło fotografów. Wizyty państwowe udają się wprawdzie lepiej przy temperaturach niższych niż pięćdziesiąt stopni, lecz na szczęście, kiedy Ryan kroczył ku Dostojnikowi, chroniła go swoim cieniem specjalna markiza:

- Witam w mojej ojczyźnie, doktorze Ryan. - Księżę Ali bin Szejk mocno uściśnął dłoń Jacka.
- Dziękuję, Wasza Wysokość.
- Czy pozwoli pan za mną?
- Z największą przyjemnością.

Zanim się roztopię, dodał Jack w duchu. Księżę Ali wprowadził Ryana i delegata ambasady do wnętrza, gdzie ścieżki ich się rozeszły. Budynek zwano wprawdzie pałacem - w Rijadzie stało ich całkiem sporo, ze względu na liczebność rodziny królewskiej - lecz zdaniem Jacka, bardziej pasowałoby do niego określenie "pałac biurowy". Budynek był mniejszy niż jego odpowiedniki, które Ryan zwiedzał w Anglii, a ponadto czystszy. Zapewne wynikało to z czystości tutejszego suchego powietrza, jakże różnego od wilgoci i sadzy Londynu. W pałacu księcia działała ponadto klimatyzacja, temperatura we wnętrzu nie przekraczała więc trzydziestu paru stopni, co Ryanowi wydawało się teraz miłym chłodem. Księżę miał na sobie powiewną szatę, a jego turban ścisnęła dwa okrągłe... dwie...? Jack nie znał nawet takiej nazwy. Powinien był i o to zapytać doradców. Za późno, żeby żałować, zresztą i tak wizytę miał przecież składać Alden. Charlie znał się na tutejszych obyczajach o wiele lepiej niż Jack, a oprócz tego... Oprócz tego Charlie Alden leżał w trumnie, a Jack musiał sam się teraz martwić.

O Alim bin Szejku wśród pracowników Departamentu Stanu i CIA mawiano się jako o księciu-bez-teki. Gospodarz był wyższy, szczuplejszy i młodszy niż Ryan, a na dworze królewskim zajmował się stosunkami międzynarodowymi i wywiadem. Niewykluczone, że jego rozkazom podlegały saudyjskie służby szpiegowskie (wyszkolone przez Brytyjczyków) ale rzecz nie była całkiem jasna, być może ze względu na brytyjską tradycję, każącą traktować tajemnice państwowe o wiele poważniej niż w Ameryce. Chociaż teczka księcia Alego w CIA miała pokaźne rozmiary, większość informacji dotyczyła życiorysu dostojnika, Po studiach w Cambridge został oficerem wojsk lądowych i zdobył dalsze wykształcenie w Leavenworth i w amerykańskich Koszarach Carlyle. W akademii w Carlyle Ali okazał się najmłodszym ze słuchaczy - dzięki przynależności do rodziny królewskiej udało mu się w wieku dwudziestu siedmiu lat zostać pułkownikiem - lecz kurs ukończył z trzecim wynikiem w grupie, w której dziesięciu najlepszych oficerów wkrótce potem dowodziło już dywizjami. Generał wojsk amerykańskich, który miał za zadanie opisać księcia na użytek Ryana, ciepło wspominał kumpla z grupy, umiającego, mimo młodego wieku, dobrze dowodzić i bystro rozumować. Właśnie Ali odegrał niepoślednią rolę. kiedy szło o przekonanie monarchy, by ten wpuścił Amerykanów do kraju podczas konfliktu z Irakiem. Uważano go za liczącego się gracza, który szybko podejmuje decyzje i mimo dwornych manier jeszcze szybciej wpada w złość, jeśli mu zawracać głowę.

Drzwi do gabinetu księcia łatwo było rozpoznać dzięki obecności dwóch oficerów, po jednym przy każdym skrzydle. Trzeci oficer otworzył je na oścież i zgiął się w ukłonie.

- Wiele o panu słyszałem - rzekł od niechcena Ali.

- Mam nadzieję, że nic złego - odrzekł Ryan, siląc się na lekki ton. Ali zwrócił się ku niemu i rzekł z przekornym uśmiechem:

- Mamy w Anglii kilku wspólnych przyjaciół, jak na przykład sir John. Nadal wprawia się pan w strzelaniu z broni krótkiej?

- Zupełnie brak mi na to czasu, Wasza Wysokość.

- Są sprawy, na które warto znaleźć czas. - Ali wskazał Jackowi fotel. Od chwili kiedy usiedli, spotkanie nabrało oficjalnego charakteru. Najpierw jednak zbliżył się służący ze srebrną tacą, nalał kawy do dwóch filiżanek i wycofał się dyskretnie.

- Niezmiernie mi przykro z powodu wieści o profesorze Aldenie. Szkoda, że tak wspaniałego dyplomata spotkał tak mało zręczny koniec... Oby Bóg miał litość nad jego duszą. Nie ukrywam jednak, doktorze Ryan, że od dłuższego czasu chciałem pana poznać.

Jack podniósł filiżankę do ust. Kawa była gęsta, gorzka i zabójczo mocna.

- Miło mi, Wasza Wysokość. Dziękuję także za to, że zgodził się pan spotkać ze mną zamiast wysłannikiem starszym rangą.

- Najskuteczniejsze wysiłki dyplomacji zaczynają się często mało oficjalnie. A zatem, czymże mogę służyć? - Ali uśmiechnął się i oparł wygodnie w fotelu, palcami lewej ręki muskając brodę. Chociaż jego smoliste oczy zdawały się łagodnie spoglądać na gościa, czuło się już w pomieszczeniu napięcie, jakie towarzyszy układom. Zdaniem Ryana, przejście do konkretów nastąpiło niezmiernie prędko.

- Mój kraj pragnąłby przedstawić sposób... Albo raczej, pragnąłby przedstawić zarys planu, dzięki któremu uda się, być może, złagodzić napięcie w tym rejonie świata.

- Planu z udziałem Izraela. Domyślam się, że Adler przedstawia jednocześnie ten sam projekt w Tel Awiwie?

- W istocie, Wasza Wysokość.

- Gest jakże dramatyczny - zauważył książę z rozbawieniem. - Proszę mówić dalej.

Jack zaczął więc swoją przemowę komiwojażera:

- Zacznę od tego, książę, iż naszą zasadniczą przesłanką musi być z konieczności fizyczne bezpieczeństwo państwa izraelskiego. Nie było nas obu na świecie, kiedy Ameryka i inne państwa z bronią u nogi przyglądały się biernie zagładzie sześciu milionów Żydów. Nad moim krajem wciąż wisi poczucie winy za tamtą hańbę.

Ali skinął poważnie głową, zanim przemówił.

- Nigdy nie potrafiłem tego pojąć. Zapewne Ameryka mogła uczynić dla Żydów więcej, ale wydaje mi się, że zarówno Roosevelt, jak i Churchill podejmowali wszystkie decyzje strategiczne w dobrej wierze. Nie mówię tu, oczywiście, o aferze ze statkiem pełnym niemieckich Żydów, których tuż przed wojną nie chciało wpuścić do siebie żadne państwo.

Rzeczywiście, dziwię się bardzo, że pański kraj nie zgodził się udzielić schronienia tym nieszczęsnym uchodźcom. Z drugiej jednak strony nikt ani spośród Żydów, ani gojów nie spodziewał się tego, co nastąpiło, a kiedy świat o wszystkim się wreszcie dowiedział, Hitler zdążył już zawładnąć całą Europą, udaremniając wszelką bezpośrednią interwencję z waszej strony. Wasi przywódcy postanowili zatem powstrzymać rzeź inaczej, to jest poprzez jak najszybsze zwycięstwo w wojnie. Rozwiązanie logiczne. Być może użyliby nawet kwestii Endloesung - zdaje się, że tak nazywali to Niemcy - jako argumentu politycznego, lecz zdecydowali, że z praktycznego punktu widzenia skutek będzie znikomy. To założenie mogę z perspektywy ocenić jako błędne, lecz rozumiem, że przez Amerykę nie przemawiała przewrotność... - Ali przerwał wywód, by dodać powagi faktom historii. - Koniec końców, wynika z tego, że i my pod pewnymi warunkami zgodzimy

się uznać zasadność waszego dążenia, by popierać istnienie Izraela. Rozumie pan jednak, że nasza zgoda zależy w sposób ścisły od zagwarantowania praw innym ludom, które zamieszkują ten obszar. Bliski Wschód nie dzieli się na Żydów i dzikusów.

- To właśnie leży u podstaw naszego planu - uspokoił go Ryan. - Jeżeli uda nam się znaleźć formułę uznającą prawa innych grup, czy wówczas zaakceptujecie projekt, w myśl którego Ameryka będzie gwarantem bezpieczeństwa dla Izraela?

- Naturalnie. Czyż nie wyraziłem się jasno? Któż inny, oprócz Ameryki, może stać się gwarantem pokoju? Nawet jeśli po to, by usmierzyć obawy Izraela, musicie wprowadzić tam swoje wojska, nawet jeśli podpiszecie oficjalny traktat w sprawie gwarancji wojskowych, możemy wyrazić swoją zgodę - ale co z prawami dla Arabów?

- A jakie jest, książę, pańskie zdanie na ten temat?

Książca Alego mocno zaskoczyło to pytanie. Przecież to Ryan miał przedstawić jakiś plan, nie odwrotnie. Książę prawie już wybuchnął, lecz przezornie powściągnął nerwy. Zrozumiał, że nie ma do czynienia z pułapką, lecz z fundamentalną zmianą całej polityki amerykańskiej.

- Doktorze Ryan, zadał mi pan to pytanie nie bez powodu, ale nadal jest to pytanie retoryczne. Myślę, że to pan powinien zaproponować odpowiedź.

Odpowiedź zajęła trzy minuty. Ali ze smutkiem pokręcił głową.

- Doktorze, zapewne bylibyśmy skłonni przyjąć podobny plan, ale nawet jeśli uczynimy to my, Izrael nigdy go nie zaakceptuje. Ścisłej rzecz biorąc, Izrael odrzuci ten plan właśnie z tego powodu, że Arabowie go przyjęli. Izrael powinien się, rzecz jasną, zgodzić, ale tego nie uczyni.

- Wnoszę z tego, że rząd Waszej Wysokości byłby go skłonny uznać?

- Musiałbym oczywiście przedstawić projekt pozostałym osobom, lecz sądzę, że nasza reakcja byłaby przychylna.

- Więc nie wysuwa książę żadnych obiekcji?

Ali, zamiast odpowiedzieć, dopił kawę i zapatrzył się na przeciwległą ścianę ponad głową Ryana. Potem odrzekł:

- Owszem, moglibyśmy zaproponować kilka poprawek, te jednak w niczym nie zmieniają głównej zasady pańskiego planu. Myślę nawet, że negocjacje w kwestii poprawek potoczyłyby się sprawnie i szybko, jako że ich treść dotyczy wszystkich zainteresowanych stron.

- No, a kogo widziałby książę jako przedstawiciela muzułmanów? Ali nachylił się do Ryana.

- To proste. Każdy powie panu to samo. Imam jerozolimskiego meczetu el-Aksa to wytrawny badacz pisma i językoznawca. Nazwisko jego brzmi Ahmed bin Jusif. Wszyscy teolodzy islamu zasięgają u Ahmeda opinii w sprawach wiary. Są kwestie, w których zarówno szyici, jak i sunnici, idą za jego głosem. Co więcej, Ahmed to rodowity Palestyńczyk.

- Aż tak to wszystko proste? - Ryan przymknął oczy i westchnął głęboko. Przynajmniej nie pomylił się, przewidując kandydaturę. Ahmed Jusif nie należał wprawdzie do liberałów islamu i osobiście wzywał do wykorzenia Izraela z zachodniego brzegu Jordanu, lecz zarazem z pobudek religijnych potępiał terrorizm jako taki. Nie był to doskonały kandydat, ale jeśli właśnie jego woleli muzułmanie, na pewno się nada.

- Jest pan bardzo pewny swego, doktorze. - Ali potrząsnął głową. - Wręcz nazbyt pewny. Sam chętnie przyznam, że pański plan uczciwością założeń bije na głowę wszystko, czego spodziewałem się ja sam i mój rząd, ale nigdy nie uda się go wprowadzić w życie. - Ali znów przerwał i wbił wzrok w Ryana. - Dlatego muszę zadać sobie pytanie, czy jest to poważna propozycja, czy jedynie plan mający roztoczyć pozory uczciwości.

- Wasza Wysokość, w przyszły czwartek prezydent Fowler wystąpi na forum Zgromadzenia

Ogólnego NZ. Przedstawi przy tej okazji ten sam plan, na żywo i w kolorze. Mam upoważnienie, by zaprosić rząd Waszej Wysokości do Watykanu, gdzie odbędą się oficjalne negocjacje nad traktatem.

Księżcia tak zaskoczyła ta wiadomość, że bezwiednie sięgnął po amerykański slang, pytając:

- Pan wierzy, że faktycznie uda wam się wyciąć taki numer?

- Wasza Wysokość, po to są numery, żeby je wycinać.

Ali wstał z fotela i podszedł do biurka, podniósł słuchawkę i po naciśnięciu guzika zaczął coś mówić, prędko i niezrozumiale. Jack złapał się nagle na tym, że stara się bezwiednie dociec, na ile ważny jest dla mózgu fakt, iż arabski, podobnie jak hebrajski, zapisuje się z prawej strony do lewej.

Kurczę blade, pomyślał też Jack. A może naprawdę się uda?

Ali odłożył słuchawkę i rzekł do swojego gościa:

- Myślę, że pora spotkać się z Jego Królewską Mością.

- Już, teraz?

- Nasza forma rządów ma tę zaletę, że kiedy jeden minister chce się skontaktować z innym, dzwoni po prostu do kuzyna albo do wuja. Arabia to rodzinny interes. Wierzę, że pański prezydent okaże się człowiekiem honoru.

- Przemówienie do Narodów Zjednoczonych jest już gotowe. Sam przeglądałem tekst. Prezydent wie także, jak zareaguje izraelskie lobby w Waszyngtonie, i zniesie to mężnie.

- Widziałem tych polityków w akcji, doktorze. Nawet kiedy ramię w ramię z marines walczyliśmy o życie, odmawiali nam dostaw broni. Myśli pan, że i to się zmieni?

- Radziecki komunizm dogorywa, z Układu Warszawskiego został tylko gruz. Tyle innych spraw, które określały kształt mojego świata przepadło, odeszło w zapomnienie. Najwyższa pora uspokoić świat do końca. Pyta mnie ksiązę, czy potrafimy tego dopiąć. Pewnie, dlaczego nie? Ostatecznie, jedynym pewnikiem w ludzkim życiu jest ciągła zmiana.

Jack zdawał sobie sprawę, że popada w straszliwie przedwczesny optymizm i niepokoił się o losy analogicznej misji Scotta Adlera w Jerozolimie. Adler nie należał do krzykaczy, ale umiał wyrażać się jasno. Z Izraelczykami nie rozmawiano jasno i dobitnie od tak dawna, że Jack sam nie pamiętał takiego przypadku. Na szczęście wiedział, że prezydent nie ustąpi. Jeśli Izraelczycy spróbują storpedować inicjatywę, przekonają się, jak samotnym miejscem bywa czasem świat.

- Nie wspominał pan nic o Bogu, doktorze.

Jack uśmiechnął się.

- Nie, Wasza Wysokość. Na tym przecież polega cały plan, prawda? Ksiązę Ali również prawie się uśmiechnął, lecz nie uczynił tego. Było jeszcze za wcześnie. Zamiast tego spojrzął na drzwi.

- Samochód już czeka.

Na terenie składów wojskowych w New Cumberland w Pensylwanii mieści się także magazyn sztandarów i proporców. Niektóre z nich powiewały jeszcze w czasach amerykańskiej wojny o niepodległość. Wewnątrz generał brygady i archiwista rozkładali właśnie na stole zakurzony płat, który niegdyś powiewał nad 10 Pułkiem Kawalerii. Generał bawił się myślą, czy piasek wbity między sploty płótna pochodzi jeszcze z kampanii pułkownika Johna Griersona przeciwko Apaczom. Sztandar miał oto znów powędrować do pułku. Używać się go będzie rzadko, najwyżej raz w roku, lecz obecnie chodziło o to, by na wzór starego sztandaru uszyć dla pułku nowe barwy. Zdumiewający był sam fakt, że do tego doszło. Oto w epoce rozformowywania coraz to innych związków taktycznych, powstaje nowa jednostka. Generał nie miał oczywiście nic przeciwko temu, tym bardziej że 10 Pułk odcisnął chlubny ślad w historii, choć nie doczekał się jakoś uwiecznienia jego dokonań przez Hollywood. W Ameryce nakręcono jeden, jedyny film na temat murzyńskich pułków. Dziesiąty

był bowiem obok 9 Pułku Kawalerii i 24 oraz 25 Pułku Piechoty jednym z czterech oddziałów murzyńskich, które odegrały ważną rolę podczas podboju Zachodu. Sztandar pułkowy uszyto jeszcze w roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym szóstym. Pośrodku płatu widniał wizerunek bizona, gdyż Indianie, przeciwko którym walczyli czarni kawalerzyści 10 Pułku twierdzili, że włosy ich przeciwników przypominają im szorstką sierść tych zwierząt. Murzyńscy kawalerzyści byli świadkami klęski słynnego Geronimo i wyratowali Ted-dy'ego Roosevelta z opałów podczas szarży na wzgórze San Juan w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym szóstym roku. Najwyższy czas, by formacja doczekała się oficjalnego uznania, i nie przeszkadzało w tym wcale, że prezydent rozkazał wskrzesić pułk z przyczyn czysto politycznych. Polityka polityką, ale 10 Pułk miał wspaniałą tradycję.

- Potrzebuję tygodnia. Zajmę się tym osobiście. - zapewnił generała archiwista. - Boże, wiele bym dał, żeby usłyszeć, co stary Grierson powiedziałby o nowym stanie etatowym swoich Bizonów.

- Będzie się czym pochwalić - przyznał generał. Kilka lat wcześniej dowodził 11 Pułkiem Kawalerii Pancерnej, "Czarnymi Końmi". Pułk ciągle jeszcze stacjonował w Niemczech, choć wyglądało na to, że pobyt nie potrwa długo. Historyk wypowiedział jednak słuszną uwagę: przy stanie pięciu tysięcy ludzi ze stu dwudziestoma dziewięcioma czołgami, dwustu dwudziestu ośmioma bojowymi wozami piechoty, dwudziestoma czterema haubicami samobieźnymi i osiemdziesięcioma trzema śmigłowcami, współczesny pułk kawalerii pancерnej stanowił na dobrą sprawę wzmocnioną brygadę, potrafiącą szybko manewrować i bić z całej siły.

- Gdzie mają was rozlokować?

- Formowanie wyznaczono w Fort Steward. Co będzie potem, sam dobrze nie wiem. Może zastąpią nami 18 Korpus Powietrzno-Desantowy,

- Malujemy się na piaskowo, tak?

- Pewnie tak. Ostatecznie, który pułk zna się lepiej na pustyniach? Generał pomacał płótno sztandaru. Rzeczywiście, w materiale wciąż tkwił piasek z Teksasu, Nowego Meksyku i Arizony. Ciekawe, czy duchy kawalerzystów, którzy podążali za sztandarem, wiedzą już o drugich narodzinach pułku. Może i tak.

Ceremonia przekazania dowództwa okrętu, prawie taka sama jak dwieście lat wcześniej w czasach Johna Paula Jonesa, zakończyła się punktualnie o jedenastej dwadzieścia cztery. Odbywała się jednak dwa tygodnie wcześniej niż zaplanowano, aby odchodzący dowódca okrętu mógł jak najszybciej przejść w Pentagonie stanowisko, na które wcale nie miał ochoty. Komandor Jim Rosselli przez osiemnaście miesięcy osobiście doglądał prac wykończeniowych na USS "Maine" w należącej do koncernu General Dynamic stoczni okrętów podwodnych Electric Boat w Groton na wybrzeżu Connecticut. Asystował przy wodowaniu i wyposażaniu jednostki, dowodził nią podczas prób morskich i prób przed odbiorem. Podpisał protokół odbioru, kierował wstępnym szkoleniem załogi i szkoleniem specjalistycznym, odbył jednodniowe ostre strzelanie rakietami balistycznymi na oceanie niedaleko Port Canaveral i przez Kanał Panamski poprowadził USS "Maine" do bazy atomowych okrętów podwodnych w Bangor w stanie Waszyngton. Jego ostatnim zadaniem było dowodzić łodzią - słowo "łódź podwodna" zupełnie nie pasowało do takiego kolosa jak "Maine", lecz tak się wciąż mówiło wśród podwodniaków - podczas pierwszego patrolu bojowego wzdłuż wybrzeża Alaski. Patrol zakończył się jednak, i już w cztery dni po zawinięciu do portu komandor żegnał się z jednostką, przekazując ster następcy, którym był komandor Harry Ricks. Operacja nie była wcale taka prosta. Od czasu dawno przerobionego na żyletki USS "George Washington", każdy z amerykańskich rakietowych okrętów podwodnych ma dwie kompletne załogi, tradycyjnie zwane "złotą" i "niebieską". Idea, która przyświecała takiemu rozwiązaniu, była prosta: dzięki szybkiej wymianie załóg okręty mogły spędzać więcej czasu na morzu. Chociaż pomnażało to koszty, pomysł znakomicie się sprawdzał. Na przykład flotylla atomowych okrętów typu Ohio z rakietami balistycznymi spędzała w rejsach przeciętnie dwie trzecie roku, a marynarze dostawali między każdym siedemdziesięciodniowym patrolem dwadzieścia pięć dni na wypoczynek. Dlatego Rosselli przekazywał w rzeczywistości Ricksowi tylko połowę władzy nad potężnym okrętem, to jest dowództwo załogi "złotej", opuszczającej właśnie pokład, aby zrobić miejsce "niebieskim", do których należał następny patrol.

Po skończonej ceremonii Rosselli po raz ostatni wszedł do swojej kajuty. Jako dowódca okrętu, odchodząc miał prawo do tak zwanej "dechy", specjalnej pamiątki w postaci wypolerowanego kawałka tekowego drewna ze specjalnymi otworami do gry w cribbage. Tradycja była silniejsza od faktu, że komandor grał dotąd w cribbage jeden raz w życiu i to bez większego powodzenia. Tej części tradycji nie znano zapewne na pokładzie okrętu Johna Paula Jonesa, lecz to nie miało zupełnie znaczenia. Do kolekcji komandora Rossellego miała dojść także czapka baseballowa z haftowanymi złotą nicią napisami SZEŃ, a z tyłu DECHA, pamiątkowa plakietka z nazwą okrętu, zbiorowa fotografia z podpisami całej załogi i rozmaite upominki od zakładów Electric Boat. - Boże, sam miałbym na to wszystko apetyt - zauważył Ricks, jego następcę.

- Rzeczywiście niebrzydkie, komandorze - odpowiedział Rosselli marzycielsko. Ależ się dał przerobić! Mało który oficer mógł się poszczycić równymi wynikami, co Rosselli. Najpierw komandor dowodził USS "Honolulu", podwodnym okrętem patrolowym, przez dwa i pół roku pomagając trwać przesądom, w myśl których był to szczęśliwy okręt. Następnie objął komendę nad

“złotą” zmianą na pokładzie USS “Tecumseh”, gdzie znów się wyróżnił. Trzeci okręt, którym dowodził, był najbardziej niezwykły, ale cała rzecz trwała dość krótko. Później odkomenderowano go do stoczni w Groton, by “dotarł” kolejną jednostkę na użytek stada jej późniejszych kapitanów. Dowodził więc ostatnią jednostką raptem ze sto dni. Czas w sam raz długi na to, żeby się z nią zaprzyjaźnić.

- Widzę, że dalej się gryziesz, Rosey - powiedział mu teraz zwierzchnik całej eskadry, komandor (na liście kandydatów do awansu na kontradmirała) Bart Mancuso.

- Ejże, Bart - Rosselli silił się na dobry humor. - Sam powiedz, jak jeden makaroniarz drugiemu. Jest mi chyba czego współczuć?

- Jasne, chłopie. Ale kto mówi, że ma nam być lekko? Rosselli odwrócił się z kolei do Ricksa ze słowami:

- Oddaję ci moją najlepszą załogę. Pierwszy oficer zapowiada się na geniusza. Okręt - lustro. Wszystkie śrubki na miejscu. Cały ten okresowy przegląd to strata czasu. Jedyne, z czym bywają przygody to instalacja w mesie oficerskiej. Któryś ze stocznioowych elektryków pozamieniał kable, więc bezpieczniki są źle oznakowane. Regulamin mówi, że zamiast zmienić oznakowania, musimy przeciągnąć nową instalację. Poza tym nic. Mucha nie siada.

- Jak tam siłownia?

- Dostali w czasie przeglądu pełne cztery punkty, obsługa i sprzęt. Widziałeś przecież wyniki KOZR-u?

Ricks tylko kiwnął głową. Cały okręt dostał świetną ocenę od ludzi z Kontroli Operacyjnych Zabezpieczeń Reaktora, kapłanów najwyższego wtajemniczenia w całej flocie atomowej.

- Sonar?

- Najlepszy sprzęt hydroakustyczny, jaki widziałem. Dostaliśmy najnowszy model jeszcze w stoczni, inne okręty takich nie mają. Dobiłem targu z facetami z GP2 tuż przed odbiorem jednostki. Jednego nawet znasz, Bart - Rona Jonesa. Zrobił doktorat i pracuje dla Sonosystems. Pływał nawet z nami cały tydzień. Analizator radiantu akustycznego - jak marzenie. Nad przedziałem torpedowym przydałoby się jeszcze trochę posiedzieć, ale dosłownie trochę. Na moje wyczucie obsługa, jeśli się spręży, może zejść jeszcze trzydzieści sekund poniżej normy. Mają młodego szefa sekcji, zresztą cała sekcja to szczeniaki. Jeszcze nie otrzaskany, ale jego ludzie nie są wcale dużo gorsi od mojej ekipy torpedowej z “Tecumseha”. Gdyby mi dano jeszcze trochę czasu, już ja bym ich doprowadził do formy.

- Sam się tym zajmę - wtrącił się zadowolony Ricks. - Zostawiłbyś innym też coś do roboty, Jim. Ile razy miałeś kontakt w ostatnim rejsie?

- Raz. Podwodny, rosyjska akula. Ci od analizy szumów dają głowę, że to “Admirał Łunin”. Namierzyliśmy tę akulę trzy razy, zawsze na sześćdziesiąt tysięcy metrów albo jeszcze dalej. Jeżeli nas zwąchała - ale gdzie tam, nigdy w życiu. Ani razu nie zawrócili w naszą stronę. Raz trzymaliśmy kontakt całe szesnaście godzin. Dobre warunki akustyczne, a poza tym... - Rosselli był wyraźnie z siebie zadowolony - Pomyślałem, że popłynę kawalek za nimi. Oczywiście daleko, daleko na ogonie, nie myślcie sobie.

- Ot, wyszła z ciebie myśliwska natura - skwitował te przechwałki Ricks. Sam całe życie dowodził boomerami, więc zgorszył się prawie, że Rosselli traktuje okręt z raketami balistycznymi jak podwodnego niszczyciela. Ale co tam. Będzie jeszcze czas krytykować poprzednika.

- Nieźle go namierzyłeś - odezwał się do Rossellego Mancuso, chcąc pokazać, że jemu samemu nie przeszkadza ułańska fantazja komandora. - Okręt jak malowanie, co?

- Akula? Owszem, dobry. Ale bez przesady - ocenił radziecki okręt Rosselli. - Zacznę się

martwić dopiero wtedy, kiedy nasze nasłuchy nauczą się namierzać ten mój boomer. Sam próbowałem tej sztuki, jeszcze kiedy dowodziłem "Honolulu". Richie Seitz, wtedy pływał na "Alabamie", kołował mnie jak chciał. Jeden raz w życiu zdarzyło się, że ktoś mnie wykołował pod wodą. Na mój rozum tylko Pan Bóg umiałby wykryć Ohio, a i to musiałby mieć dobry dzień.

Rosselli wcale nie był tak daleki od prawdy. Amerykańskie podwodne okręty typu Ohio były więcej niż cichobieżne: poziom hałasu, jaki emitowały, był niższy niż tło akustyczne wokół kadłuba. Ich szum w głębinie oceanu stawał się więc niczym szept na ryczącym stadionie. Żeby wykryć płynące w zanurzeniu Ohio, trzeba było podpłynąć niezmiernie blisko. Temu zaś zapobiegał najlepszy system sonarów, jaki wymyślono do tej pory. W wypadku okrętów typu Ohio, z nawiązką spełniły się wszystkie założenia sztabu marynarki wojennej. Początkowy kontrakt określał maksymalną prędkość tych jednostek na dwadzieścia sześć-dwadzieścia siedem węzłów. Prototyp robił spokojnie dwadzieścia osiem i pół. Ich okręt, "Maine", podczas prób morskich przekroczył dwadzieścia dziewięć i jedną dziesiątą, dzięki kadłubowi pokrytemu nową, supergładką farbą polimerową. Śruba o siedmiu łopatach pozwalała rozwinąć prawie dwadzieścia węzłów bez występowania w rozprężanym poszyciu trzasków kawitacyjnych, a prawie wszystkie obiegi cieczy w reaktorze pracowały w układzie konwekcyjnym, dzięki czemu nie trzeba było stosować hałaśliwych pomp. Okręty typu Ohio w każdym szczególe odpowiadały założeniom marynarki wojennej dotyczącym niewykrywalności floty podwodnej. Nawet noże miksera w kambuzie pokryto winylowym tworzywem, by zapobiec przypadkowym stuknięciom metalu o metal. Ohio reprezentował wśród okrętów podwodnych tę samą klasę, co Rolls-Royce wśród samochodów.

- No cóż, Harry. Bierz co twoje - rzekł wreszcie Rosselli,

- Nie mogłeś wszystkiego lepiej dograć, Jim. Chodźcie. Kasyno już otwarte, stawiam wszystkim piwo.

- Ano, chodźmy - ustępujący komandor miał dziwną chrypkę w głosie. Kiedy wspinali się do wjazdu, mijani członkowie załogi jeden za drugim po raz ostatni ściskali dowódcy dłoń. Pod samą drabinką Rosselli poczuł w oczach łzy, które, kiedy zszedł z kiosku na pokład, zaczęły mu cieknąć po policzkach. Mancuso dobrze to rozumiał, przecież musiał niegdyś przejść przez to samo. Dobry dowódca przywiązuje się jak nikt inny do swojego okrętu i do załogi. Rossellemu było tym trudniej, że w odróżnieniu od Mancuso kilkakrotnie obejmował dowództwo na różnych okrętach i ciężko mu było pogodzić się z myślą o tym, że ostatni raz schodzi z trapu. Mógł obecnie liczyć na sztabową posadkę, jaką dostał Mancuso, na dowodzenie biurkiem - nigdy nie poczuje się już pierwszym po Bogu - kapitanem na okręcie wojennym. Było też oczywiste, że choć nieraz jeszcze popłynie boomerami, chociażby podczas inspekcji i testów kadry albo po to, by wypróbować nowe pomysły i manewry taktyczne, na ich pokładach będzie odtąd zaledwie tolerowany jako gość, intruz z zewnątrz. Najgorsze było zaś to, że trudno mu będzie odwiedzać swoją dawną załogę, gdyż spotkania takie kończą się nieodmiennie serią uwag z jej strony na temat następcy dawnego kapitana, narażając na szwank autorytet nowego dowódcy. Mancuso pomyślał, że dokładnie tak samo musieli się czuć emigranci, którzy - podobnie jak jego przodkowie - ostatni raz spoglądali, na brzegi Italii, wiedząc, że nigdy do nich nie wrócą, a ich życie odmieni się bez reszty.

Trzej oficerowie trzasnęli drzwiczkami samochodu sztabowego, którym przybył Mancuso. W kasynie oficerskim już na nich czekano. Rosselli złożył na podłodze swoje pamiątki i pospiesznie wytarł oczy chusteczką. niesprawiedliwość, zwyczajna niesprawiedliwość. Każą człowiekowi rzucić taką ślicznotę jak "Maine", przenoszą do dowództwa połączonych rodzajów wojsk, żeby łączył telefony albo parzył zaszraną kawę dla dobra ojczystego kraju... Rosselli wydmuchał wreszcie nos i zamyślił się ponuro nad lądową karierą, czekającą go przez resztę służby.

Mancuso umiał uszanować to zamyślenie. Za to Ricks pokręcił głową z dezaprobatą. Nad czym tu się tak rozczulać? W myślach układał już plan działania na najbliższy okres. Powiadacie, że torpedyści to młode grzebuły? Jeszcze mi zatańczą. Pierwszy oficer ponoć chodzący talent? Przekonamy się. Który kapitan nie wychwala swojego pierwszego? Jeżeli o kimś mówią, że chętnie daliby mu samodzielne dowództwo, oznacza to zarazem, że i oficerowi, o którym mowa, pilno zostać kapitanem - na tyle pilno, że będzie pokazywać rogi i podgryzać zwierzchnika. Ricks spotykał już takich cwaniaków na swojej drodze. Niektórym oficerom trzeba czasem delikatnie przypomnieć, kto tu rządzi. Nowy dowódca miał w tym niezgorszą wprawę. Najważniejsza jednak i najbardziej pocieszająca okazała się informacja o reaktorze. Marynarka wojenna wykształciła w Ricksie obsesję na punkcie siłowni atomowych, spraw, do których Mancuso, zdaniem Ricksa podchodził zbyt lekko jako dowódca eskadry. To samo da się chyba powiedzieć o Rossellim. Co z tego, że zaliczyli KOZR? Na okrętach Ricksa załoga będzie się tak zwijać, jak gdyby co dzień musiała zaliczyć taką kontrolę. Największą wadą takich jednostek, jak ohio, jest ich doskonałość, która tylko rozleniwia załogę. Czegóż się dopiero spodziewać po załodze, która dostała najwyższą lokatę w trakcie KOZR-u. Fałszywa pewność to zaproszenie do katastrofy. Na dodatek jeszcze te nawyki rodem z akcji patrolowych! Trzeba durnia, żeby boomerem ścigać akulę. Nawet na sześćdziesiąt tysięcy, ktoś, kto tak robi, sam się doprasza o kłopot.

Ricks wziął sobie do serca naczelną dewizę boomersów, brzmiącą: W UCIECZCE SIŁA. Inni podwodniacy nazywali też swoich kolegów "cielęcina mórz", przedrzeźniając napis na konserwach rybnych z tuńczyka. Okręty dźwigające na pokładach rakiety strategiczne miały kryć się pod wodą i nie wyściubiać nosa, a w razie bliskiego kontaktu uciekać, a nie uganiać się za przeciwnikiem. Pod tym względem do podwodnej floty strategicznej zupełnie nie pasowało określenie "wojenna". To niesłychane, że Mancuso natychmiast nie obsztorcował Rossellego jak burą sukę.

Kto wie, może warto sobie zapamiętać, że nie obsztorcował? Że wręcz go pochwalił?

Mancuso był ostatecznie dowódcą całej eskadry i nosił na piersi baretki kilku medali za Wzorową Służbę. Nie Ricks wymyślił sobie taki układ, w którym on, boomers z krwi i kości, musiał służyć pod rozkazami głupiego myśliwego. Trudno, nie ma rady. Warto sobie zapamiętać myśliwską żyłkę szefa dywizjonu. Pewnie takiej samej agresywności spodziewa się od swoich kapitanów. Na dodatek właśnie do Mancuso należy sporządzenie raportu na temat pierwszego rejsu Ricksa. A to przecież główna niewiadoma w tym równaniu. Ricks wiedział, czym jest ambicja, widział już siebie jako dowódcę, najpierw dywizjonu, potem którejś z sekcji w Pentagonie, zanim przyjdzie czas na pojedynczą gwiazdkę komandora. Kolej następnie na dowództwo którejś z flotylli podwodnych, niezła byłaby na przykład ta w Pearl Harbor, na Hawajach jest tak przyjemnie. Potem znów tura w Pentagonie... Ricks jeszcze jako młodszy oficer rozrysował sobie kolejne szczeble kariery. Jeśli człowiek się nie wychyla tak jak inni i twardo trzyma się Wytycznych, kariera staje przed nim otworem.

Skąd mógł jednak przypuszczać, że jego zwierzchnikiem nie będzie inny boomers? Taki los, trzeba się przestawić. Żeby się wykazać, będzie musiał na przykład podczas pierwszego rejsu odszukać tamtą akulę i zrobić z nią to samo, co Rosselli, albo jeszcze lepiej. Nie ma rady. Takich wyczynów spodziewa się po nim Mancuso, który oprócz niego na pod sobą trzynastu innych dowódców atomowych okrętów podwodnych z balistycznymi raketami na pokładzie. Żeby awansować na miejsce zajmowane przez Mancusa należy się wysforować przed resztę czternastki, a do tego trzeba najpierw czymś zaimponować w sztabie dywizjonu. Po to, by ścieżka kariery nadał wiodła go równie prosto, jak przez ubiegłych dwadzieścia lat, warto się trochę pogimnastykować. Wprawdzie Ricks cierpł na samą myśl o podobnych manewrach, ale awanse nie spadają przecież z

nieba. Wiedział z góry, że w kącie jego gabinetu w Pentagonie będzie jeszcze kiedyś stał admirałski porporzec; może już wkrótce. Warto więc się dostosować. Jako admirał miałby własny sztab, szofera i prywatne miejsce do parkowania na hektarach asfaltu wokół Pentagonu. Jeśli dopisze mu szczęście, z Ministerstwa Obrony powędruje jeszcze wyżej, na szefa operacji morskich, albo jeszcze lepiej, na szefa służby technicznej reaktorów, który to etat teoretycznie ustępował admirałskim, lecz niósł ze sobą perspektywę rotacji dopiero po ośmiu latach. Ricks zdawał sobie sprawę, że właśnie na to stanowisko nadaje się najlepiej, tym bardziej, że służba dyktuje politykę całej atomistyce. To właśnie służba reaktorów sporządzała Wytyczne, zbiór wszystkich obowiązujących instrukcji i regulaminów. Wytyczne stanowiły we flocie takie samo proroctwo, jak Pismo Święte wśród Żydów i chrześcijan. Kto będzie posłuszny Wytycznym, ten wejdzie między szeregi admirałów. Ricks znał Wytyczne na pamięć, tym bardziej, że był znakomitym inżynierem.

Ryan przekonał się, że J. Robert Fowler jest takim samym człowiekiem jak wszyscy. Konferencję zwołano na pierwszym piętrze, tym, na którym mieści się prezydencka sypialnia, ponieważ w zachodnim skrzydle naprawiano właśnie klimatyzację, a słoneczny żar bijący przez szyby Owального Gabinetu uniemożliwiał tam wszelką pracę. Zaproszeni zgromadzili się więc na piętrze, w salonie, w którym na co dzień urzędza się w Białym Domu bufet podczas "nieoficjalnych", kameralnych przyjęć, tych raptem dla pięćdziesięciu osób. Antyczne krzeselka otaczały kręgiem sporych rozmiarów stół, a ściany pokrywał fresk przedstawiający słynne sceny z historii. Co istotniejsze, nie trzeba tu było zapinać marynarki. Fowlera krępowała etykieta i wymogi protokołu państwowego. Niegdyś pracował w prokuraturze i jako adwokat z urzędu niejednokrotnie bronił pospolitych przestępców, a kiedy wreszcie rzucił się na oślep w studnię polityki, pracował najczęściej w otoczeniu ludzi, którzy tak samo jak on natychmiast rozpinali kołnierzyk i zawijali rękawy koszuli. Dziwiło to mocno Ryana, który skądinąd nieraz musiał oglądać przejawy oschłej wyniosłości prezydenta w stosunku do podwładnych. Jeszcze bardziej zdziwiło Jacka to, że prezydent wmaszerował do sali trzymając w dłoni stronicę "Baltimore Sun", gazety, której dział sportowy, jego zdaniem, przewyższał waszyngtońskie. Prezydent Fowler miał kota na punkcie amerykańskiego futbolu. Próbné mecze Ligi Narodowej przed rozpoczęciem sezonu były już za nimi, co pozwalało prezydentowi wytypować pierwsze kandydatury do przyszłorocznego mistrzostwa. Wicedyrektor CIA wzruszył ramionami i postanowił nie zdejmować marynarki. Charakter prezydenta stanowił taką samą zagadkę jak u wszystkich, Jack zaś nie wiedział, czego się spodziewać po zagadkach.

Prezydent, unikając rozgłosu, przesunął część spotkań, zostawiając sobie na tę konferencję całe popołudnie. Zasiadł teraz u końca stołu, dokładnie pod kratką klimatyzatora, i uśmiechnął się blade do swoich gości. Po lewej ręce miał G. Dennisa Bunkera, sekretarza obrony. Bunker, w przeszłości dyrektor generalny Aerospace, Inc., służył niegdyś także jako pilot myśliwca i zaliczył w pierwszych latach wojny wietnamskiej ponad setkę akcji bojowych: Po rozstaniu się z lotnictwem Bunker założył własną firmę, rozbudowując ją stopniowo do rozmiarów miliardowego imperium przemysłowego, które rozciągało się na całą południową Kalifornię. Następnie sprzedał swoje udziały i resztę aktywów, aby przyjąć nominację ministerialną. Zatrzymał sobie tylko jedną rzecz - drużynę futbolową Szturmowców z San Diego. Było o to sporo szumu podczas przesłuchań przed obliczem komisji nominacyjnej Kongresu. Nie zabrakło też złośliwych plotek, że Fowler dał Bunkerowi kierownictwo Pentagonu tylko przez wzgląd na wspólną pasję do futbolu. W gabinecie Fowlera Bunker przedstawiał sobą rzadki przykład jastrzębia, który jest jak najdalszy od liberalizmu i który może liczyć na posłuch wśród wojskowych. Choć Bunker opuścił siły powietrzne zaledwie jako

kapitan, zdążył zdobyć trzy krzyże zasługi za odważne "spacery do miasteczka", czyli do centrum Hanoi za sterami myśliwca bombardującego F-105 Thunderchief. Hemingway powiedziałby, że Dennis Bunker należy do tych, którzy widzieli prawdziwego słonia. Umiał rozmawiać z kapitanami o taktyce, a z generałami o wielkiej strategii. Nieczęsto się zdarzało, by sekretarza obrony szanowali jednakowo tak wojskowi, jak i cywile.

Ramię w ramię z Bunkerem usiadł Brent Talbot, obecny sekretarz stanu, a w przeszłości profesor nauk politycznych na Northwestern University. Talbot był przyjacielem i sojusznikiem prezydenta od niepamiętnych czasów. Miał siedemdziesiąt lat, a jego bladą, inteligentną twarz okalała królewska siwizna. Talbota łatwo było wziąć nie za profesora lecz za arystokratę, ale nie z tych zniewieściałych - przeciwnie, lata uczestnictwa w pracach prezydenckiej Komisji Wywiadu Zagranicznego i bezlik innych obowiązków wykształciły w nim umiejętność wpływania na każdą sytuację. Znał więc Waszyngton od podszewki, lecz dopiero zwycięstwo Fowlera wyniosło go na szczyty władzy. Talbot potrafił także jak nikt inny nakreślać cele polityczne. Zmiany w stosunkach ze Wschodem oznaczały według niego historyczną szansę na odmienienie świata. Szansę także na utwalenie swojego imienia.

Po prawej ręce prezydenta zasiadł szef jego sztabu Arnold Van Damm. Konferencja dotyczyła bądź co bądź polityki, a co za tym idzie, nie mogło się obyć bez doradcy politycznego. Obok Van Damma zasiadła Elizabeth Elliot jako nowy doradca do spraw bezpieczeństwa. Biła od niej dziwna surowość, tak przynajmniej pomyślał Jack Ryan. Elizabeth miała dziś na sobie kosztowny kostium, a wokół smukłej szyi zawiązała szyfonowy fular. Za nią przysiadł Marcus Cabot, dyrektor CIA i bezpośredni zwierzchnik Ryana.

W dalszej odległości od ogniska władzy zasiadały naturalnie osoby pomniejsze rangą. Na samym końcu stołu znaleźli się Ryan i Adler, którzy rozmyślnie starli się nie pchać się w oczy prezydentowi i zapewnić sobie jak najliczniejszą widownię przy składaniu sprawozdań.

- Więc powiadasz, Dennis, że sezon twój? - zwrócił się prezydent do sekretarza obrony.

- Chcesz się założyć? - spytał Bunker. - Dostyc się już naczekałem. Ale teraz, kiedy dokupiłem do pierwszej linii tych dwóch skrzydłowych, jedziemy do Denver!

- A tam będą już czekali Wikingowie - zauważył Talbot. - Dennis, powiedz mi, dlaczego, mając prawo pierwokupu, pominąłeś Tony'ego Willsa?

- Mam trzech niezłych napastników. Potrzebowałem kimś wzmocnić pierwszą linię, zresztą tamten chłopak z Alabamy jest naprawdę klasa.

- Będziesz jeszcze żałował - obwieścił sekretarz stanu. Ciemnoskóry Tony Wills grał dotąd w uniwersyteckiej drużynie Northwestern. Oprócz tego znajdował się w czołówce młodych studentów, zdobył stypendium Rhodesa oraz wyróżnienie Heismana i na dobrą sprawę sam jeden wskrzesił na Northwestern tradycję futbolu. Był też ulubionym studentem Talbota. Rzeczywiście wyjątkowy talent. Niektórzy wróżyli mu świetną przyszłość w świecie polityki: zdaniem Ryana trochę na wyrost, pomimo zmian zachodzących na wewnętrznej scenie amerykańskiej.

- Wills nakopie wam w trzecim meczu kolejki. Najpierw w eliminacjach, a potem w Superpucharze, chociaż wątpię, czy ta twoja drużyna w ogóle się zakwalifikuje.

- Sam zobaczysz - parsknął Bunker.

Prezydent śmiejąc się rozłożył materiały. Nawet z odległości siedmiu metrów Jack dostrzegał oczywistą irytację Liz. Sama dawno uporządkowała każdy arkusz, odkręciła pióro i gotowa do sporządzania notatek czekała z niecierpliwością wypisaną na twarzy, aż panowie skończą rozmowę, która bardziej na miejscu byłaby w sportowej szatni. Proszę, nareszcie doczekała się posady, o którą się dopominała, nawet jeśli trzeba było do niej dojść po trupach. Ryan zdążył już poznać kulisy

śmierci Aldena.

- Proponuję, abyśmy zaczęli posiedzenie - odezwał się prezydent Fowler. Gwar w sali ucichł jak nożem uciął. - Panie Adler, czy będzie pan uprzejmy przedstawić nam szczegóły podróży?

- Dziękuję, panie prezydencie. Mówiąc w skrócie, wszystkie klocki z naszej układanki są już na stole. Watykan wyraża bezwarunkową zgodę na zasady naszego planu i jest gotów w każdej chwili stać się gospodarzem obrad.

- Jak wyglądała reakcja Izraela? - przerwała Liz Elliot, pokazując, że i ona ma coś do powiedzenia.

- Widziałem już żywsze - przyznał neutralnie Adler. - Wezmą udział w rokowaniach, ale niełatwo będzie ich zmusić do czegokolwiek.

- Co to znaczy, niełatwo?

- Ustąpią dokładnie na tyle, na ile będą zmuszeni ustąpić. W ogóle bardzo nerwowo reagują na cały nasz plan.

- Czemu trudno się na dobrą sprawę dziwić, panie prezydencie - dopowiedział Talbot.

- Jak tam strona saudyjska? - Fowler zwrócił się teraz do Ryana.

- Panie prezydencie, jeśli prawidłowo odczytuję ich reakcję, chcą wejść do gry. Książę Ali jest bardzo dobrej myśli. Później godzinę rozmawialiśmy z królem, który także okazał się ostrożnym optymistą. Saudyjczycy obawiają się, że Izrael zablokuje całą inicjatywę pomimo nacisku, jaki zechcemy wywrzeć na Tel Awiw, a wtedy Rijad będzie bity z dwóch stron. Wyłączając te właśnie obawy, Saudyjczycy są najwyraźniej skłonni zaakceptować plan w obecnej wersji i dopomóc wprowadzić go w życie. Zaproponowali wniesienie kilku poprawek, które wyszczególniam w pisemnym raporcie. Proszę spojrzeć, ani jedna z poprawek nie zwiąże nam rąk. Dwie mogą wręcz ulepszyć nasz plan.

- Strona radziecka?

- O to znów trzeba by zapytać Scotta - odpowiedział Talbot. - Wiemy na pewno, że Rosjanie piszą się na nasz plan. Twierdzą jednak zgodnie, że Izrael nigdy nie pójdzie na tak dalekie ustępstwa. Prezydent Narmonow przysłał nam przedwczoraj depezę, mówiącą, że projekt jest w stu procentach zgodny z założeniami polityki ZSRR. Moskwa jako układająca się strona jest wręcz skłonna ograniczyć dostawy broni do pozostałych krajów tamtego regionu i całkowicie zrezygnować z handlu bronią zaczepną.

- Czyżby? - wyrwało się Ryanowi.

- Co, diabli wzięli pańskie kolejne proroctwo? - ucieszył się dyrektor CIA.

- Jak to? - wtrącił się Fowler.

- Panie prezydencie, dla ZSRR Bliski Wschód to dojna krowa, jeśli chodzi o sprzedaż broni. Ograniczyć dostawy oznaczałoby dla nich pozbawienie się miliardowych dochodów, w dodatku płatnych w twardej walucie. - Jack aż gwizdnął. - To niebywałe!

- Rosjanie chcą także wysłać na rokowania kilkusobową delegację. Można się chyba na to zgodzić. Ustępy traktatu na temat handlu bronią - jeżeli uda nam się w ogóle dotrzeć do tej części rokowań - zawarte będą w osobnym protokole, który miałby podpisać ZSRR i my.

Liz Elliot uśmiechnęła się do Ryana. Tę reakcję Moskwy przewidziała bezbłędnie.

- W zamian za to Moskwa spodziewa się nowych dostaw naszego zboża i kilku kredytów handlowych - dodał Talbot. - Nie jest to wcale wygórowana cena. Nie wiem, czy bez wsparcia ze strony Rosji możemy w ogóle myśleć o sukcesie, im zaś z kolei zależy na udziale w całym przedsięwzięciu ze względów prestiżowych. Tak więc obie strony coś na tym zyskują. Poza tym rzeczywiście, pszenicy mamy tyle, że gnije na polu.

- Słowem, jedyną przeszkodą pozostaje Izrael? - zapytał zgromadzonych Fowler. Odpowiedziano mu twierdząco. - Na ile jest to zasadnicza przeszkoda?

- Panie Ryan - zwrócił się Cabot do swojego zastępcy. - Udało się przecież wysondować generała Ben Jakoba?

- Owszem, poszliśmy na obiad dzień przed moim odlotem do Rijadu. Ben Jakob był bardzo przygnębiony. Nie wiem, jak dalece orientował się w naszym planie. Nie powiedziałem mu zbyt wiele, więc nie mógł uprzedzić swojego rządu...

- "Zbyt wiele" to znaczy ile, panie Ryan? - zapytała ostro Liz Elliot z drugiego końca stołu.

- To znaczy nic - odciął się Jack. - Kazałem mu spokojnie poczekać. Ludzie z wywiadu nie znoszą takich tekstów. Na jego miejscu domyśliłbym się, że coś się szykuje, ale nie wiedziałbym dokładnie, co.

- Kiedy wyłuszczyłem sprawę, parę osób wyglądało na szczerze zaskoczonych - wtrącił Adler, chcąc dopomóc Ryanowi. - Usłyszeli ode mnie coś zupełnie innego, niż się spodziewali.

Sekretarz stanu nachylił się ponad blatem i zwrócił się bezpośrednio do prezydenta:

- Chodzi o to, że od dwóch długich pokoleń Izraelczycy karmią się fikcją, w myśl której tylko i jedynie oni sami mogą być odpowiedzialni za bezpieczeństwo własnego narodu. Stało się to u nich nieomal religijnym dogmatem. Dlatego, pomimo że rok w rok przekazujemy im potężne ilości broni i spore fundusze, władze Izraela same zaczęły uważać tę fikcję za rzeczywistość. Całą ich politykę cementuje lęk, że jeśli tylko w sprawie bezpieczeństwa postanowią zdać się na dobrą wolę innych, wystarczy, że tej dobrej woli zabraknie, a ich naród spotka zguba.

- Powtarzają to jak papugi - zauważyła chłodno Liz Elliot.

A ty byś nie powtarzała, gdyby to sześć milionów twoich bliskich przerobiono na sadzę? - zapytał ją w myśli Ryan. - Z jakiej racji mamy zapominać o czasach holocaustu?

- Myślę, że możemy się nie obawiać, że nasz dwustronny traktat z Izraelem na temat obrony utknie w Senacie - odezwał się po raz pierwszy Arnie Van Damm.

- Jak prędko możemy wysłać na terytorium Izraela nasze jednostki? - zainteresował się Fowler.

- Od chwili, kiedy naciśnie pan guzik, do zakończenia dyslokacji minie około pięciu tygodni - odrzekł szef Pentagonu. - Zaczęliśmy już formowanie 10 Pułku Kawalerii Pancерnej, w sile porządnej brygady. Taka jednostka bez problemu pokona, powiedzmy otwarcie: zniszczy każdą dywizję pancerną, jaką rzucą na nią Arabowie. Dla parady dodamy jeszcze oddział piechoty morskiej, a jeżeli uzyskamy bazę morską w Hajfie, marynarka będzie dysponowała na wschodzie Morza Śródziemnego prawie kompletną grupą uderzeniową. Dorzucimy jeszcze skrzydło myśliwców F-16 z Sycylii, a otrzymamy pokaźną siłę. Moim wojskowym też spodoba się taka wycieczka, bo nareszcie dostaną dzięki niej większy poligon. Baza na pustyni Negew będzie służyć do podobnych celów, jak teraz centralny ośrodek szkoleniowy w Fort Irwin. Najlepszy sposób, żeby dostać dobrą jednostkę, to wycisnąć z niej siódme poty na ćwiczeniach. Nie mówię, że będzie to tania impreza, ale...

- Ale zapłacimy co do dolara - delikatnie przerwał Bunkerowi prezydent. - Trudno się spierać co do opłacalności naszego przedsięwzięcia, zresztą jak sądzisz, Arnie, czy będą na Kapitolu kłopoty z zatwierdzeniem budżetu dla planu?

- Jeśli któryś kongresmen piśnie mi słowo sprzeciwu, pożegna się z fotel - rzekł pewnym tonem szef sztabu prezydenta.

- Chodzi więc już tylko o przełamanie uporu Izraela? - upewnił się Fowler.

- Tak jest, panie prezydencie - oświadczył Talbot za wszystkich zgromadzonych.

- Jak najlepiej się do tego zabrać? - Pytanie prezydenta było oczywiście retoryczne. Odpowiedź

znali już z grubsza wszyscy uczestnicy konferencji. Ostatecznie, podobnie jak przez całą ubiegłą dekadę, rząd Izraela stanowił tylko chwiejną koalicję skłóconych partii. Jedno zdecydowane pchnięcie ze strony Waszyngtonu, i po krzyku.

- Aha, jak tu wygląda nastawienie reszty świata?

- Z krajami NATO nie będzie najmniejszego problemu. Reszta państw ONZ będzie marudzić, ale przyłączy się, chcąc nie chcąc - Liz Elliot uprzedziła odpowiedź Talbota. - Jeżeli Saudyjczycy nie wycofają się chyłkiem, pogodzą się z planem także muzułmanie. Jeśli z kolei zaczną stawiać opór Izrael, spostrzeże bardzo prędko, że został na placu samiuteńki.

- Ja bym tam nie przesadzał z naciskami na Izrael - zauważył Ryan.

- Decyzja na ten temat nie należy do pana kompetencji - zauważyła słodko Elliot. Ten i ów ze zgromadzonych zrobił dziwną minę, lecz nikt nie przyszedł w sukurs Ryanowi.

- Ma pani oczywiście rację - odpowiedział Ryan, przerywając niezręczną ciszę. - Ja także mam rację twierdząc, że przesadne naciski mogą przynieść skutek odwrotny do zamierzonego przez prezydenta. Nie można też tracić z oczu moralnego wymiaru tej sprawy.

- Doktorze Ryan, cały plan dotyczy wyłącznie wymiaru moralnego - odezwał się nagle prezydent. - Moralność dyktuje nam zaś jasne stanowisko: na Bliskim Wschodzie zdarzyło się już dość wojen i pora im położyć kres. Nasz plan ma ten cel urzeczywistnić.

Nasz plan. Ryan nie wierzył własnym uszom. Van Damm przez chwilę miał dziwny błysk w oku, jak gdyby chciał coś powiedzieć, lecz milczał. Jack zrozumiał nagle, że w salonie Białego Domu jest równie osamotniony jak Izrael w intencji prezydenta Fowlera. Spojrzał więc na swoje notatki i postanowił się więcej nie odzywać. Wsadźcie sobie gdzieś wymiar moralny, myślał teraz ze złością. Zaraz usłyszymy coś o odcisku naszej stopy na piasku Historii albo o politycznych korzyściach, jakie płyną z roli Orędownika Pokoju. Nie był to jednak dobry moment na cynizm, bo chociaż przywłaszczono sobie plan Ryana, plan nie stracił przez to na wadze.

- Gdybyśmy chcieli ich przycisnąć, to z której strony? - zapytał lekkim tonem prezydent Fowler.

- Nic pochopnego, ot, znajdziemy jakąś dyskretną, ale czytelną aluzję...

- W przyszłym tygodniu mieliśmy wysłać do Izraela duży transport części zamiennych. Izrael musi wymienić systemy radarowe we wszystkich myśliwcach F-15 - przypomniał sobie Bunker. - Można ponaciskać ich rozmaicie, ale wiem, jak im zależy na tych systemach radarowych. Nowy model, sami montujemy go obecnie u siebie. Podobnie wygląda sprawa nowych rakiet dla F-16. Lotnictwo to dla Izraela oczko w głowie. Jeśli transport opóźni się, niestety, z przyczyn technicznych, naturalnie, Tel Awiw nie powinien mieć złudzeń, o co nam chodzi.

- Czy uda się to przeprowadzić bez rozgłosu? - zapytała Liz Elliot.

- Możemy im dać do zrozumienia, że jeśli zaczną robić raban, opóźnienie tylko się zwiększy - zauważył Van Damm. - Jeśli przemówienie spodoba się w ONZ, a przypuszczamy, że się spodoba, uda nam się pewnie wyciszyć ich grupy nacisku w Kongresie.

- Czy nie lepiej byłoby osłodzić im pigułkę, obiecując nowe dostawy broni, zamiast rozbierać Izrael z tego, co już otrzymał? - Jack Ryan zdecydował się na ostatni strzał. Liz Elliot natychmiast zatrzasnęła mu drzwi przed nosem, mówiąc:

- Na to brak nam środków.

- Nie wyciśniemy już z budżetu wojskowego ani dolara, nawet dla Izraela. W kasie kompletne pustki - poparł Liz Elliot szef sztabu.

- Osobiście wolałbym uprzedzić Tel Awiw w porę, jeśli rzeczywiście mamy im nadepnąć na ogon - orzekł sekretarz stanu.

Liz Elliot potrząsnęła głową na znak, że się nie zgadza.

- Nigdy. Jeżeli już trzeba ich popychać, nie będziemy się bawić w uprzejmości. Sami na tyle dobrze wiedzą, jak wygląda twarda gra, że powinni nas zrozumieć.

- Doskonale. - Prezydent nakreślił ostatnią uwagę w swoim notatniku. - Oczekamy jeszcze do przemówienia w ONZ. Ja sam dodam do tekstu oficjalne zaproszenie dla wszystkich stron do rozpoczęcia rokowań w Watykanie. Te powinny się zacząć za dwa tygodnie, licząc od wczorajszej daty. Naszym przyjaciółom z Izraela damy do zrozumienia, żeby przestali podskakiwać; bo poniosą gorzkie konsekwencje - tym razem to już nie żarty. Żeby ich w tym upewnić, wstrzymamy dostawy, jak proponuje sekretarz Bunker, i to bez uprzedniego ostrzeżenia. Czy o czymś zapomniałem?

- Przecieki? - rzucił w formie cichego pytania Van Damm.

- I jaka będzie reakcja Izraela? - zapytała Liz Elliot Scotta Adlera.

- Ostrzegłem ich, że cały plan wymaga delikatności, ale...

- Brent, dzwoni zaraz do ich ministra spraw zagranicznych, powiedz mu, że jeśli puszczą parę z gęby przed wystąpieniem w ONZ, urządzimy ich tak, że się nie pozbierają.

- Tak jest, panie prezydencie.

- Natomiast wam wszystkim powtarzam: żadnych przecieków. - Prezydent kierował to polecenie w stronę przeciwległego krańca stołu. - Koniec posiedzenia.

Ryan poskładał swoje papiery i wyszedł przed drzwi. Po chwili dołączył do niego Marcus Cabot.

- Jack, czy muszę panu specjalnie mówić, kiedy ma pan trzymać język za zębami?

- Ale proszę zrozumieć, jeżeli za mocno na nich naciśniemy...

- To i tak pójda nam na rękę.

- Myślę, że dokładnie odwrotnie, i że robimy głupstwo. Tak czy inaczej wyciśniemy z nich ustępstwa. Może potrwa to parę miesięcy dłużej, ale skutek będzie ten sam. Po co ich zaraz szantażować?

- Bo tak chce prezydent - uciał dyskusję Cabot i oddalił się.

- W porządku, wszystko jasne - zawołał za nim Jack.

Z sali posiedzeń wysypała się reszta uczestników. Talbot porozumiewawczo mrugnął do Ryana. Pozostali jednak, z wyjątkiem Adlera, unikali spojrzenia w oczy. Talbot szepnął coś Adlerowi, który zbliżył się w chwilę później ze słowami:

- Prawie ci się udało. Mówię, że przed paroma minutami prawie ci się udało wylecieć ze stanowiska.

Uwaga zaskoczyła Ryana. Czy nawet na temat traktatu nie może mówić tego, co myśli?

- Zrozum, Scott, jeżeli nie wolno mi nawet...

- Nie wolno ci mieszać szyków prezydentowi, przynajmniej nie temu, któremu właśnie służysz. Twoja ranga oznacza z definicji, że nikt nie będzie od ciebie wysłuchiwał poprzecznych opinii. Brent sam chciał powiedzieć to samo, co ty, ale ty się oczywiście wciąłeś w dyskusję i nie zostawiłeś mu żadnego pola do manewru. Następnym razem buźka na kłódkę, zgoda?

- Dziękuję ci za wsparcie - odrzekł z goryczą Jack.

- Spieprzyłeś sprawę, Jack. Powiedziałeś coś sensownego, ale w kompletnie bezsensowny sposób. Uczmy się na błędach, w porządku? - Adler zamilkł, po czym dodał jeszcze: - Mój szef kazał ci pogratulować misji w Rijadzie. Mówi, że jeśli zdołasz się jeszcze nauczyć, kiedy warto się zamknąć, będzie z ciebie polityk.

- No tak, dziękuję. - Jack wiedział, że Adler ma niewątpliwie świętą rację.

- Dokąd pędzisz?

- Prosto do domu. W biurze odwaliłem już wszystko na dzisiaj.

- Choć z nami. Brent chciałby z tobą pogadać. Przekąsimy coś u mnie. - Adler poprowadził Jacka w stronę windy.

- No i jak? - zapytał prezydent grupę, która pozostała w sali.

- Powiem od razu, że sprawa wygląda na załatwioną - ocenił powodzenie planu Van Damm. - Żeby jeszcze udało nam się wszystko dopracować przed wyborami...

- Nie zaszkodziłoby nam parę dodatkowych głosów - przytaknął Fowler. Dwa pierwsze lata jego kadencji nie należały do łatwych. Dziurawy budżet w połączeniu z chwiejną i niepewną gospodarką udaremniły wiele przedwyborczych obietnic i sprawiły, że w dyrektorskich przemówieniach prezydenta znaki zapytania zaczęły brać górę nad wykrzyknikami. Listopadowe wybory do Kongresu stanowiły dla elektoratu pierwszą prawdziwą okazję do oceny nowego prezydenta, a wyniki wstępnych ankiet nie dawały żadnych podstaw do optymizmu. Wprawdzie stanowiło żelazną regułę, iż rządząca partia traci mandaty w wyborach na półmetku kadencji, lecz Fowler nie mógł sobie pozwolić na utratę zbyt wielu zwolenników na Kapitolu. - Niedobrze, że musimy tak przycisnąć Izrael, ale...

- Politycznie tylko się to nam opłaci. Jeśli oczywiście cokolwiek wyjdzie z traktatu.

- Wyjdzie, wyjdzie - upewniła ich Liz Elliot, oparta o futrynę. - Jeśli ustalimy limit czasowy, dokumenty mogą trafić do Senatu jeszcze przed szesnastym października.

- Nie wiedziałem, że masz aż takie ambicje, Liz - skwitował to Van Damm. - Cóż, na mnie pora. Pozwolicie więc...

- Tak, tak. Do jutra, Arnie.

Fowler podszedł do okna wychodzącego na Pennsylvania Avenue. Żar zabójczego upału waszyngtońskiej pierwszej dekady sierpnia buchał od jezdni i chodników. Po drugiej stronie alei, na skwerze Lafayette'a, paru demonstrantów nadal wymachiwało transparentem z hasłami przeciwko broni atomowej. Widząc napisy, Fowler parsknął z pogardą. Czy nikt jeszcze nie powiedział tym durnym hippisom, że atomówki to odległa przeszłość? Odwrócił się od okna i nagle zapytał:

- Zjesz ze mną kolację, Elizabeth? Doktor Elliot uśmiechnęła się do szefa.

- Z największą przyjemnością, Bob.

Jedyną korzyść, jaką Marvin Russell wyciągnął z posiadania brata-handlarza narkotyków, stanowiła poobijana walizka, w której spoczywało sto tysięcy dolarów w używanych banknotach. Marvin zabrał ją ze sobą do Minneapolis, gdzie zostawił samochód, kupił sobie porządne ubranie, luksusowy bagaż podróżny i bilet. Jedną z wielu rzeczy, jakich wyuczył się w więzieniu, były sposoby zdobywania nowych dokumentów. Dzięki temu miał teraz trzy komplety papierów, łącznie z trzema paszportami, każdy na inne nazwisko, w dodatku nie odnotowane w żadnych kartotekach. Również w więzieniu Russell nauczył się nie rzucać ludziom w oczy. Jego nowe ubrania były eleganckie, lecz nie w sposób ostentacyjny. Bilet kupił w ostatniej chwili, bez uprzedniej rezerwacji, zakładając słusznie, że w tym akurat samolocie nie będzie kompletu pasażerów. Dzięki temu udało mu się zaoszczędzić ładnych kilkaset dolarów. Pozostałe dziewięćdziesiąt jeden tysięcy pięćset czterdzieści pięć musiało mu wystarczyć na nie wiadomo jak długo, a tam, dokąd jechał, życie kosztowało drogo. Czasami zaś bardzo tanio, o czym także wiedział. W takich sytuacjach pieniądze jednak niewiele pomogą. Mimo wszystko wojownik nie powinien się bać, to było dla Russella jasne od początku.

Po przesiadce we Frankfurcie leciał teraz na południe. Marvin Russell umiał myśleć i przewidywać, i dlatego cztery lata wcześniej wziął udział w, jak by to nazwać, czymś w rodzaju konferencji międzynarodowej. Poświęcił nawet wówczas specjalnie na ten cel cały komplet

dokumentów. Podczas obrad udało mu się nawiązać kilka kontaktów, a co najważniejsze, poznał właściwe sposoby ich nawiązywania. Międzynarodowa społeczność terrorystów składa się z ludzi ostrożnych. Nie ma zresztą innego wyjścia, biorąc pod uwagę tropiące ją siły. Marvin nie zdawał sobie nawet sprawy, jakie ma szczęście - spośród trzech osób, o których pamiętał jedna dawno przeszła na stronę policji, pociągając za sobą zgubę dwóch członków Czerwonych Brygad. Zadzwoił jednak pod inny z zapamiętanych numerów. O dziwo, udało się. Rozmówca umówił się z nim na przyjacielską kolacyjkę w Atenach, gdzie Russell miał zostać prześwietlony i dostać zezwolenie na dalszą podróż. Indianin pospiesznie wrócił do hotelu - miejscowe jedzenie rozstroiło mu żołądek - i cierpliwie czekał na dzwonek telefonu. Zdenerwowanie było zbyt łagodnym określeniem na to, co czuł. Ostrożność ostrożnością, lecz w tamtej chwili był zupełnie bezbronny. Nie miał nawet przy sobie scyzoryka, gdyż podróżowanie z bronią byłoby głupotą, więc byle policjant z pistoletem mógł z nim zrobić, co zechce. Co się stanie, jeżeli kontakt jest spalony? Wiadomo: Marvin zostanie na miejscu aresztowany albo zwabiony w starannie przygotowaną zasadzkę, z której tylko przy najwyższym szczęściu ujdzie z życiem. Europejscy gliniarze nie przejmowali się konstytucyjnymi prawami obywateli aż tak skrupulatnie, jak Amerykanie; tu jednak Russell skarcił się w myślach. Czy już zapomniał, co FBI zrobiło z jego bratem?

Dranie! Siuksa, wojownika zastrzelili jak psa. Nie miał nawet czasu, żeby zanucić Pieśń Śmierci. Zapłacą mu i za to. Jeśli uda się przeżyć następny dzień, znów poprawił się w myślach.

Zgasił światło w hotelowym pokoju i usiadł przy oknie, obserwując samochody, wypatrując wozów policyjnych, czekając na dzwonek telefonu. Zapłacą mu? Niby w jaki sposób? Im dłużej zadawał sobie to pytanie, tym mniej ważna stawała się dla niego odpowiedź. Wszystko jedno w jaki, byleby zapłacili. Żeby tylko trafiła się okazja do zemsty. Pas z pieniędzmi uciskał mu brzuch. Jedyną niedogodnością znakomitej formy było to, że Marvin nie mógł bardziej już zacisnąć pasa. Jakże jednak rozstać się z gotówką, bez której przecież... Denerwowała go ta ciągła konieczność liczenia się z forszą, wymiany... Marki w Niemczech, w Atenach te ich jakieś drachmy czy rachatlukum. Na szczęście żadna linia lotnicza nie gardzi dolarami, przynajmniej amerykańska. Z tego właśnie powodu Russell podróżował głównie macierzystymi liniami - na pewno zaś nie dlatego, że wzruszała go gwiazdzista flaga na ogonie samolotu. Nagle zadzwonił telefon. Russell podniósł słuchawkę.

- Słucham?

- Jutro, dziewiąta trzydzieści, z bagażami przed hotelem. Jasne?

- Dziewiąta trzydzieści. Jasne. - Zanim zdążył coś jeszcze dodać, rozmówca odłożył słuchawkę.

- Jasne - powtórzył sam do siebie. Podniósł się i podszedł do łóżka. Drzwi zaryglowane i zabezpieczone łańcuchem, klamka podparta krzesłem. Wystarczy? Jeśli ktoś chciał go wciągnąć w pułapkę, ustrzela go jak kaczkę, kiedy tylko wyjdzie przed hotel albo wciągną do samochodu i powiozą w ustronne miejsce... Pewnie tak właśnie zrobią. Na pewno jednak nie po to ktoś umawiał się z nim na spotkanie, żeby przedtem wywalać drzwi. Mało prawdopodobne, chociaż oczywiście kto może przewidzieć, co strzeli do głowy policjantom? Na wszelki wypadek spał tej nocy w dzinsach i w koszuli, z pasem z pieniędzy bezpiecznie owiniętym wokół talii. Oprócz policjantów istnieli jeszcze zwyczajni złodzieje.

Słońce wstało o tej samej wczesnej porze, co w rodzinnych stronach. Russell ocknął się o pierwszym, różowym brzasku. Wynajmując nocleg, upewnił się, że okna pokoju wychodzą na wschód. Odprawił modły do słońca i spakował swoje rzeczy. Śniadanie kazał sobie podać do pokoju, co kosztowało dodatkowo parę drachm, ale co tam. Wrzucił do walizki tych kilka drobiazków, które z niej w ogóle wyjmował i równo o dziewiątej stwierdził, że jest gotowy. Stwierdził także, iż trzęsie się ze zdenerwowania. Jeżeli rzeczywiście coś ma się stać, to na pewno w

ciągu najbliższych trzydziestu minut. Do obiadu mógł z niego zostać zimny trup, w obcym kraju, z dala od duchów przodków. Czy tamci pofatygują się, by odesłać jego ciało do Dakoty? Słaba nadzieja. Zniknie z powierzchni ziemi, i tyle. Metody działania, które Russell przypisywał policjantom, jemu samemu wydawałyby się na ich miejscu równie oczywiste, ale przecież co innego jest być wojownikiem, co innego zaś psem z policji. Krążył po pokoju, zerkając przez okno na samochody i ulicznych handlarzy. Każdy straganiarz, wpychający turystom błyskotki czy zimną Coca-colę mógł się okazać przebrany gliną. Może nawet wszyscy się przebrali? Dziesięciu? Gliniarze unikają przecież równej walki. Wolą strzelać zza węgła i atakować wszystkich na jednego.

Kwadrans po dziewiątej. Świecące cyfry na kwarcowym zegarku maszerowały naprzód, już to leniwie, już to pospiesznie, w zależności od tego, jak często Marvin sprawdzał godzinę. Pora. Podniósł bagaże i nie oglądając się wyszedł z pokoju. Do windy było zaledwie parę kroków, a kabina nadszła natychmiast, co jeszcze wzmogło podejrzliwość Russella. Minutę później był już na dole. Portier rzucił się ku walizkom, lecz Marvin odprawił go i podszedł do recepcji. Musiał tylko dopłacić za śniadanie. Oddał recepcjoniście pozostałe jeszcze drachmy. Nadal zostało mu parę minut czasu, przystanął więc przy kiosku z gazetami, szukając czegokolwiek po angielsku. Co tam słyhać w świecie? Zważywszy na okoliczności, ciekawość Marvina Russella była czymś zadziwiającym. Świat stanowił przecież dla niego co najwyżej źródło zagrożeń, wyzwania i nagonki. - Co mi do świata - zapytał sam siebie. Świat to najwyżej obszar, jaki ma się w zasięgu wzroku, nic więcej: tylko ta sfera przestrzeni, którą ogarniają bezpośrednie zmysły. W domu miał ponad sobą potężną kopułę nieba, a dookoła szeroki horyzont. Tu, gdzie znajdował się teraz, rzeczywistość ograniczały mury, a przeciwległe skraje horyzontu dzieliło od siebie raptem kilkaset metrów. Znowu poczuł przyływ paniki, wiedząc aż nazbyt dobrze, jak czuje się tropione zwierzę. Wziął się jednak w garść. Która godzina? Dwadzieścia osiem po dziewiątej. Już czas.

Russell wyszedł na podjazd przed hotelem, zastanawiając się, co teraz. Postawił na ziemi obie walizki i rozejrzał się, miał nadzieję, że spokojnie. Wiedział, że być może ktoś bierze jego głowę na celownik, że jedna chwila może go dzielić od takiej samej śmierci, jaka spotkała Johna. Kula w głowę, bez ostrzeżenia, bez cienia tej godności, która dana jest nawet trafionemu zwierzęciu? Nie chciał takiej śmierci i na samą myśl znowu poczuł mdłości. Na widok nadjeżdżającego samochodu zacisnął obie potężne dłonie w pięści, starając się opanować ich drżenie. Kierowca patrzył prosto na niego. Widocznie to ten. Russell podniósł walizki i podszedł do wozu.

- Pan Drake? - pod tym nazwiskiem podróżował obecnie Indianin. Kierowca nie był tym człowiekiem, który umówił się z Russellem w restauracji. Marvin poczuł natychmiast, że ma do czynienia z zawodowcami, którzy nie pokazują się dwa razy w tym samym miejscu. Dobry znak.

- To właśnie ja - Uśmiech Russella przypominał raczej grymas. Kierowca wysiadł i otworzył bagażnik. Marvin z wysiłkiem wrzucił walizki, podszedł do prawych drzwi i usadowił się na przednim siedzeniu. Jeśli to pułapka, może zdąży przed śmiercią udusić kierowcę. Przynajmniej tyle.

Pięćdziesiąt metrów dalej siedzący w starym oplu-taksówce sierżant Spiridion Papanicolau z Helleńskiej Policji Narodowej nadal pogryzał bułkę. Z powodu wspaniałego wąsa i mizernej postury niezbyt przypominał typowego policjanta. Jak większość swoich europejskich kolegów trzymał wprawdzie niewielki pistolet w schowku na desce rozdzielczej, lecz nie miał najmniejszej wprawy w strzelaniu. W tej sytuacji jego jedyną skuteczną bronią pozostawał aparat Nikon w tekturowej teczce pod fotelem. Zadaniem sierżanta była obserwacja, zlecona zresztą przez Ministerstwo Porządku Publicznego. Papanicolau miał fotograficzną pamięć do twarzy, aparaty zostawiał dla ludzi pozbawionych obserwacyjnego talentu, z którego sam był tak dumny. Jego metody pracy wymagały ogromnej cierpliwości, lecz na niej także mu nie zbywało. Ilekroć przełożeni dowiedzieli się o

przygotowywanej w Atenach i okolicy akcji terrorystycznej, wysyłali go na lustrację hoteli, lotniska i terenów portowych. Sierżant nie był oczywiście jedynym wywiadowcą, lecz inni nie dorównywali mu ani trochę. Miał nosa i wiedział, gdzie szukać podejrzanych z równą pewnością, jak jego ojciec, gdzie ma zarzucić rybacką sieć. Co więcej, terrorystów nienawidził o wiele bardziej niż zwyczajnych przestępców, których, swoją drogą, nie darzył ciepłym uczuciem. Nic dziwnego, że strzykał wciąż żółcią, widząc, jak rząd jego starożytnej i dumnej ojczyzny raz bierze się za tych bandytów, a raz udaje wręcz, że ich nie dostrzega na swoim terytorium. Tym razem poszukiwania szły pełną parą. Przed tygodniem nadszedł meldunek, że w pobliżu Partenonu mignął ktoś z Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny. Czterech ludzi z oddziału sierżanta czuwało na lotnisku, kilku innych przepatrywało nadbrzeża, Papanicolau jednak upodobał sobie hotele. Poszukiwani musieli gdzieś przecieź nocować. Na pewno nie w najdroższych hotelach, to byłoby zbyt ostentacyjne. Przenigdy też w najtańszych i najbardziej obskurnych - skurwiele cenili sobie wygody. Najchętniej zatrzymywali się więc w hotelach średniej klasy, rodzinnych pensjonatach w bocznych ulicach od centrum, gdzie kręciło się pełno studenckich globtroterów, wśród których łatwiej było ukryć twarz znaną policji. Papanicolau odziedziczył jednak oko po ojcu i w pół sekundy, na siedemdziesiąt metrów potrafił rozpoznać twarz z fotografii.

Na przykład tę, która należała do kierowcy błękitnego fiata. Papanicolau nie pamiętał, czy jej zdjęcie w rejestrze było opatrzone nazwiskiem. Raczej nie. Widział ją pewnie pośród setek fotografii w teczce opatrzonej napisem "do zidentyfikowania" i przysłanej im przez Interpol albo ludzi z wywiadu wojskowego, którzy terrorystów tropili z drapieżnością podsycaną tylko apatyczną postawą władz cywilnych. Hellada, myślał sobie sierżant, kraj, który zrodził Leonidasa i Ksenofonta, Odyseusza i Achilleasa, kolebka herosów, źródło wolności i demokracji... Cudzoziemskie szumowiny mordują tymczasem bezkarnie kogo chcą na ulicach Aten...

- Ale kim jest ten drugi? - zdziwił się Papanicolau. - Ubrany jak Amerykanin. Tylko te dziwne rysy... - Sierżant płynnym ruchem podniósł aparat do oka, przesunął pierścień teleobiektywu, by uzyskać jak największe zbliżenie i prędko pstryknął trzy zdjęcia, po czym odłożył aparat pod siedzenie. Fiat ruszał już w kierunku... Właśnie, sprawdźmy, w jakim. Sierżant wyłączył taksometr i opuścił rząd czekających taksówek, włączając się do ruchu.

Russell rozsiadł się wygodniej. Umyślnie nie zapiął pasa, żeby nie tracić cennych sekund, gdyby trzeba było wyskakiwać z samochodu. Kierowca znał się na rzeczy, co chwila zmieniał pas i manewrował, nie przejmując się sporym ruchem na ulicach. Dotąd nie wyrzekł jeszcze ani słowa, co nawet urzędzało Marviną. Amerykanin zwrócił głowę w bok i dyskretnie omiół wzrokiem jezdnię przed nimi, wypatrując zasadzki. Potem rozejrzał się po wnętrzu wozu. Nie dostrzegł żadnych miejsc, skąd łatwo było zniecka wyciągnąć broń, żadnych dyndających mikrofonów ani radiostacji. O niczym jeszcze to nie przesądzało, ale zawsze warto się rozejrzeć. Wreszcie uznał, że zaspokoił ciekawość. Mógł teraz jednocześnie spoglądać przed siebie i sprawdzać widok w prawym bocznym lusterku. Tego ranka instynkt łowcy dawał o sobie znać jak nigdy. Nic dziwnego: niebezpieczeństwo groziło zewsząd.

Kierowca najwyraźniej kluczył na chybił trafił, choć oczywiście Russellowi niełatwo było się w tym zorientować w obcym mieście. Ateńskie ulice istniały, zanim jeszcze wynaleziono rydwany, nie wspominając już o samochodach. Stąd, mimo późniejszych ustępstw na rzecz dwuśladów, jeśli chodzi o przepustowość jezdni Ateny mało przypominają Los Angeles i chociaż większość samochodów wydawała się Russellowi śmiesznie mała, ruch najbardziej przypominał wszechobecny, gigantyczny, ruchomy korek uliczny. Indianin chciał już zapytać, dokąd jada, ale uświadomił sobie, że nie warto. I tak nie będzie umiał odróżnić prawdziwej odpowiedzi od wykrętu,

a co więcej, nawet prawdziwa nazwa powie mu tyle co nic. Chcąc nie chcąc, musiał się pogodzić z takim stanem rzeczy. Nie czuł się przez to wcale bezpieczniej, lecz nie miał wyjścia. Twierdzić co innego oznaczało oszukiwać samego siebie, Russell zaś wolał zawsze patrzeć prawdzie w oczy. Teraz mógł co najwyżej czuwać. Czuwał więc.

Lotnisko, domyślił się Papanicolau. Jeśli fiat zmierzał właśnie tam, sierżant mógł liczyć na kolegów z sekcji i pomoc dwudziestu innych policjantów z pistoletami i bronią maszynową. Prosta sprawa. Wystarczy, że paru tajniaków zrobi sztuczny tłok, kiedy będzie ich mijać para uzbrojonych mundurowych, i po krzyku. Raz dwa trzy, capnie się obu pasażerów i poprowadzi do bocznej salki, gdzie będzie można sprawdzić, co to za jedni. Jeśli się nie pomylił, w porządku; jeśli zaś zaszło nieporozumienie, niech się kapitan tłumaczy. Zwykle w takich wypadkach mówiło się zatrzymanym, że pomyłka wynikała z ich przypadkowego podobieństwa do rysopisu otrzymanego od (tu wymieniało się kraj słynny z niezgułowatej policji, najlepiej nadawała się do tego Francja albo Wiochy) a sami panowie rozumieją, że w dzisiejszych czasach nadmiar ostrożności na lotniskach... Po czym bez gadania dopłaciliby się do biletów obu pasażerów, żeby w charakterze przeprosin mogli sobie polecieć pierwszą klasą. W ten sposób prawie zawsze udawało się uniknąć awantury.

Inna sprawa, że jeśli Papanicolau rzeczywiście trafnie rozpoznał twarz z kartoteki, miałby na rozkładzie trzeciego terrorystę w ciągu tego roku, a może i czwartego, zależnie od tego, kim okaże się "Amerykanin". Może to rzeczywiście Amerykanin. Schwytać czterech w osiem miesięcy, nie, w siedem z kawałkiem... Wcale niezłe, jak na znanego z dziwactw gliniarza, który uwielbiał działać w pojedynkę. Papanicolau zmniejszył dystans między swoim wozem a fiatem. Nie chciał w gęstniejącym ruchu zgubić zdobyczy.

Russell naliczył wśród samochodów sporo taksówek. Ich pasażerami byli, zdaje się, przeważnie turyści, bo kto z miejscowych płaciłby za kurs tylko po to, żeby stać w korku... Chwileczkę. Przez sekundę sam nie wiedział, co takiego zwróciło jego uwagę. Ależ tak, drugi raz mignęła mu taryfa z wyłączonym napisem na dachu. W środku tylko kierowca. Wszystkie pozostałe taksówki wiozły pasażerów, zresztą nawet te puste miały zapalony napis na dachu, oznaczający na pewno, że szukają kursu. Wszystkie, oprócz tej właśnie. Kierowca Russella już się rozpędzał, by skręcić w prawo i wjechać na coś, co nareszcie przypominało autostradę. Większość taksówek ominęła ten zjazd, jadąc, o czym nie wiedział Russell, w stronę muzeów i dzielnicy handlowej. Tylko jeden wóz, ten ze zgaszonym kogutem, skręcił w prawo i nadal podążał za nimi, trzymając się pięćdziesiąt metrów z tyłu.

- Ktoś nas śledzi - obwieścił ściszym głosem Marvin. - Czy jeden z twoich miał nas ubezpieczać?

- Nie - odrzekł natychmiast kierowca, strzelając wzrokiem w lusterko. - Wiesz, który to wóz?

- Mnie się pytasz, przyjacielu? Taksówka, pięćdziesiąt metrów za nami. na prawym pasie, brudnobiała. ta ze zgaszonym kogutem. Nie znam tej marki wozu. Już drugi raz skręcił za nami. Sam powinieneś uważać - dodał Russell, zastanawiając się znów, czy wszystko to jest zastawioną na niego pułapką. Z kierowcą dałby sobie w razie czego radę bez większych problemów. Zdechłak z ptasią szyjką, można by mu ją ukreć jak gołąbkowi. Nie, i tym nie byłoby kłopotu.

- Dzięki za to. Rzeczywiście, zagapiłem się - odrzekł kierowca, skupiając wzrok na taksówce i zastanawiając się, kim jest ich prześladowca. Śledzi nas? Zobaczmy.

Kiedy skręcili w boczną ulicę, taksówka uczyniła to samo.

- Rzeczywiście mamy ogon, przyjacielu - rzekł zamyślony kierowca.

- Jak na to wpadłeś?

- Nie gapiłem się.

- No, cóż. Trochę nam to zmienia plany - wyrzekł kierowca powoli, lecz w myślach gorączkowo przebierał w sposobach ucieczki. W odróżnieniu od Russella wiedział bowiem, że spotkanie nie jest prowokacją, a chociaż sam nie był w stanie stwierdzić, czy pasażer nie został mu podstawiony, żaden policjant ani człowiek z wywiadu nie ostrzegłby go przed "ogonem". Prawie żaden, poprawił się w myśli. Teraz nie było jak sprawdzić, kto jest kim. Kierowca był także zły na Greków. Nie tak dawno, bo w kwietniu, jeden z jego towarzyszy nieoczekiwanie zniknął na ulicach Pireusu, by w kilka dni później pojawić się w Wielkiej Brytanii. Obecnie przebywał w więzieniu Pankhurst na wyspie Wight. Dawniej organizacja mogła w Grecji działać zasadniczo bezkarnie, najczęściej używając tego kraju jako bezpiecznego punktu przelotowego. Zaczynanie tu bezpośrednich operacji stanowiło kosztowną pomyłkę, której rozmiary ocenić mógł tylko ktoś, kogo los nagle pozbawił bezpiecznej bazy. Nie umniejszało to jednak w niczym gniewu kierowcy na grecką policję.

- Musimy coś wykombinować.

Russell ponownie spojrzął w lusterko i rzekł:

- Nie mam broni.

- Ale ja mam. Wolałbym tylko nie robić hałasu. Jesteś silny? Zamiast odpowiedzi Russell ścisnął lewą dłońią prawe kolano kierowcy.

- Dobrze, dobrze, puszczaj - ton głosu kierowcy nie zmienił się wcale.

- Jeśli mnie okaleczysz, nie będę mógł prowadzić. - Ale jak by tu...? -Zabiłeś już kogoś?

- Pewnie - skłamał Russell, który wprawdzie nigdy w życiu nie zgładził innego człowieka, ale dostatecznie długo wprawiał się na zwierzętach. - Poradzę sobie.

Kierowca na te słowa skinął głową i dodał gazu, zmierzając ku przedmieściom. Trzeba teraz tylko znaleźć...

Papanicolau zmarszczył brwi. A więc jednak nie jadą na lotnisko. Niedobrze. Całe szczęście, że nie ostrzegł reszty sekcji przez radiotelefon. Co teraz? Zwolnił nieco, pozwalając innym samochodom zasłonić go przed wzrokiem tych z fiata. Błękitną karoserię widać było zresztą z daleka, a ponieważ ruch jak gdyby się zmniejszył, można było już się tak nie spieszyć. Może jadą do skrzynki kontaktowej. Jeśli tak, trzeba zachować jeszcze większą ostrożność, ale za to można uzyskać cenną informację. Odnalezienie meliny terrorystów stanowiło dla sierżanta największy sukces, o jakim mógł marzyć. Znając adres, można by było wezwać silnoręcznych albo wywiadowców, którzy dzień i noc obserwować będą obiekt, czekając ze szturmem na chwilę, kiedy w środku znajdzie się trzech albo i więcej skurwieli. Zwyczajny dzień na służbie może przynieść owoce w postaci odznaczenia albo i awansu. Sierżant znów pomyślał, że warto zawiadomić przez radio oficera operacyjnego, ale ostatecznie, czy w ogóle było o czym? Może dał się ponieść fantazji? W porządku, wydawało mu się, że rozpoznał twarz, do której brakuje nawet nazwiska, ale a nuż się pomylił? A nuż zna tę twarz z innej kartoteki? Może to zwykły kryminalista?

Spiridon Papanicolau rzucił grubym słowem, przeklinając los i własnego pecha. Nadal jednak nie spuszczał wzroku z fiata. Wjeżdżali teraz do starej części Aten, między wąskie uliczki, z dala od dzielnic uczęszczanych przez turystów. Robotnicze domki, zaułki, o tej porze przeważnie puste. Ci mieszkańcy, którzy uniknęli bezrobocia, byli teraz w pracy, ich żony na zakupach, dzieci bawiły się w parkach. Sporo ludzi wyjechało też na wakacje na wyspy, toteż na uliczkach nie widać było żywej duszy. Fiat zahamował nagle i skręcił w prawo, w jeden z wielu bezimiennych zaułków.

- Gotów.

- Tak.

Samochód zatrzymał się na mgnienie oka. Russell, który zdążył zdjąć z siebie marynarkę i krawat, wciąż zastanawiał się, czy nie wpada czasem w zasadzkę, ale właściwie było mu już

wszystko jedno. Co ma być, to będzie. Idąc w stronę wylotu ulicy, napiął i rozluźnił ramiona.

Zbliżając się do narożnika, sierżant Papanicolau dodał gazu, bo skoro śledzeni wjechali w labirynt wąskich uliczek, by nie stracić ich z oczu, musiał im usiąść na karku. Jeśli się zorientują, wezwie przez radio pomoc. Czasem trzeba improwizować, to także jedno z prawideł zawodu policjanta. Mijając narożnik, sierżant dostrzegł na chodniku mężczyznę studiującego gazetę. Nie jego śledził, tamten z hotelu był przecież w marynarce, choć oczywiście zza kierownicy sierżant nie widział twarzy, a cała scena przypominała mu obraz z jakiegoś filmu. Uśmiechnął się pod wąsem, uśmiech jednak zgasi w tejże sekundzie.

Zaledwie opel wziął zakręt i wjechał w zaułek, Papanicolau w odległości zaledwie dwudziestu metrów dostrzegł fiata, pędzącego na wstecznym biegu w jego kierunku. Nie pomogło wciśnięcie z całej siły hamulca, nie było też czasu, żeby wrzucić wsteczny. Zanim sierżant wykonał choć jeden ruch, potężne ramię sięgnęło przez okno, a grube palce objęły jego potylicę. Papanicolau puścił kierownicę i spróbował się wyswobodzić, lecz druga ręka złapała go za brodę. Instykt kazał sierżantowi zwrócić głowę w kierunku napastnika. Przyszło to tym łatwiej, że potężna ręka wykręcała już mu głowę w lewo. Papanicolau ujrzał twarz Amerykanina, lecz w tej samej chwili poczuł, że kręgi szyjne napinają mu się straszliwie i pękają z trzaskiem, który zwiastował śmierć równie nieodwołalnie jak huk wystrzału. O ocaleniu nie było mowy. Napastnik miał dziwne rysy twarzy, rzeczywiście trochę jak z filmu, ale jakiego filmu...

Russell zeskoczył z jezdni i machnął na swojego kierowcę. Fiat ruszył do przodu, zahamował i znowu na wstecznym biegu, całym pędem staranował taksówkę. Głowa „taksówkarza” zakręciła się bezwładnie wokół szyi. Wyglądało, że ich prześladowca nie żyje, ale dla Russella nie miało to znaczenia. A zresztą miało. Dla pewności namacał mu puls, a potem dotknięciem przekonał się, że kark tamtego rzeczywiście trzasnął. Następnie wskoczył do fiata, rozradowany, że tak łatwo poszło.

- Nie żyje. Wyrrywajmy stąd.

- Sprawdziłeś?

- Skręciłem mu kark jak zapałkę. Zimny trup, przyjacielu. Łatwizna. Ot, zdechłak z cienką szyjką...

- Taki jak ja, chcesz powiedzieć? - Kierowca wyszczerzył do Russella zęby, myśląc jednocześnie, że trzeba będzie gdzieś porzucić samochód. Na razie jednak cieszył się ucieczką i udanym morderstwem. Warto było się zaprzyjaźnić z tak dzielnym pasażerem.

- Jak ty masz właściwie na imię?

- Marvin.

- Aha. Mów mi Ibrahim.

Przemowa prezydenta Fowlera okazała się triumfem, tym bardziej, że mało kto potrafił lepiej od niego uderzyć we właściwą strunę. Takiego właśnie zdania był Ryan, kiedy kolejne fale oklasków zrywały się z audytorium Zgromadzenia Ogólnego NZ. Uprzejmym, choć chłodny uśmiechem prezydent skwitował oklaski delegatów ze stu sześćdziesięciu czy nawet więcej krajów. Kamery najechały teraz na delegację izraelską, która klaskała dużo mniej entuzjastycznie niż reprezentanci krajów arabskich. Najwyraźniej komuś zabrakło jednak czasu, aby przygotować ich na tę sytuację. Rosjanie przeszli sami siebie, klaszcząc na stojąco razem z innymi. Jack podniósł pilota i przełączył się na inny kanał, zanim komentator z sieci ABC zaczął streszczać w prostych słowach zakończoną właśnie przemowę prezydenta. Na biurku w domu Ryanów spoczywał jednak brudnopis przemówienia, a oprócz tego Jack bazgrał na bieżąco dodatkowe uwagi. Kilka minut wcześniej Watykan przesłał na ręce ministrów spraw zagranicznych zainteresowanych stron teleksy z

zaproszeniem na rokowania. Wszyscy mieli za dziesięć dni przybyć do Rzymu, gdzie czekał już na nich gotowy projekt traktatu. Dzięki sprawnym, zakulisowym konsultacjom kilku ambasadorów i zastępców sekretarza stanu, udało się zawczasu poinformować większość rządów, czego mogą się spodziewać i uzyskać ogólną aprobatę. Izraelczycy dobrze o tym wiedzieli. Zezwolono także na dyskretne przecieki informacji odpowiednimi kanałami. Na wypadek gdyby Izrael postanowił jednak udawać, że o niczym nie wie, Bunker wstrzymał dostawę sprzętu radarowego, a Tel Awiw okazał się tym zbyt zaskoczony, by w ogóle oficjalnie zareagować. Mówiąc ściślej, oznajmiono Izraelowi, że jeśli jego władze chcą jeszcze kiedyś ujrzeć zamówione radary, nie powinny wychylać się z jakąkolwiek oficjalną reakcją. Waszyngtońskie lobby Izraela, które miało swoich informatorów w rządzie, zaczynało już kipieć i dyskretnie interweniować wśród kongresmenów, lecz przewidując to Fowler dwa dni wcześniej przekazał przywódcom obu partii w Kongresie szczegóły swojego planu, uzyskując od nich bardzo pochlebny wstępny ocenę. Zarówno przewodniczący senackiej Komisji Stosunków Międzynarodowych, jak i jeden z jej najbardziej doświadczonych członków obiecali prezydentowi, że oba projektowane traktaty zostaną przegłosowane w tydzień. Wyglądało na to, że się uda. Tak przynajmniej powtarzał sobie Jack Ryan. Chyba się uda, a już na pewno nie zaszkodzi spróbować. Stawką była cała dobra wola, jaką Ameryka zaskarbiła sobie na świecie podczas wojny w Zatoce Perskiej. Arabowie doszukiwali się w planie fundamentalnej zmiany amerykańskiej doktryny politycznej - zresztą najzupełniej słusznie - i nie mogli wyjść z podziwu, że Waszyngton zdecydował się dać nauczkę Izraelowi. Izrael odczytywał ten zwrot identycznie, lecz mylił się w swojej ocenie. Pokój dało się zagwarantować tylko w jeden sposób, mianowicie rzucając na szalę polityczny i wojskowy autorytet USA. Jednakże tylko dzięki zakończeniu konfrontacji ze Wschodem Ameryka mogła w porozumieniu z innymi mocarstwami podyktować warunki sprawiedliwego pokoju. Czy raczej tego, co sama uważa za sprawiedliwy pokój, zreflektował się Ryan. Boże, spraw, żeby coś z tego wyszło.

Na modlitwy było rzecz jasna za późno. Co gorsza, Ryan był bezpośrednim autorem całej koncepcji, zwanej od dziś Planem Fowlera. Ktoś musiał wreszcie przerwać zakłęty krąg, pomóc innym odnaleźć wyjście z matni. Ameryka była ponadto jedynym krajem, któremu ufały obie strony bliskowschodniego konfliktu. Zawdzięczała to krwi przelanej w przeszłości, a także swoim potężnym zasobom finansowym. Dlatego tylko Ameryka mogła zagwarantować pokój, oparty w dodatku na zasadach, które wszystkie bez wyjątku strony uznają za mniej więcej sprawiedliwe. Równanie było zarazem proste i nieskończenie skomplikowane. Główne zasady porozumienia dawało się streścić w kilku zdaniach, natomiast na szczegółowe przepisy wykonawcze zabrakłoby miejsca w książce. Koszty finansowe całego przedsięwzięcia, cóż - niezależnie od ich wysokości Kongres był skłonny bez kłopotu przegłosować odpowiednią poprawkę do budżetu. Dwadzieścia pięć procent nakładów zgodziła się zresztą pokryć Arabia Saudyjska, co zaledwie przed czterema dniami wywalczył sekretarz stanu Talbot. W zamian za to Saudyjczycy mieli otrzymać nowe partie najnowocześniejszej broni, którą im obiecał Dennis Bunker. Jack podziwiał sposób, w jaki Bunker i Talbot radzą sobie z całą sytuacją. Niezależnie od głupstw, popełnianych przez prezydenta, dwóch najważniejszych rangą ludzi z jego gabinetu - dwóch bliskich przyjaciół - okazało się najlepszym tandemem ministerialnym, jaki zdarzyło się Ryanowi oglądać. Przez ubiegły tydzień Bunker i Talbot nieźle się więc przysłużyli prezydentowi i Ameryce.

- Na pewno się uda - rzeki sam do siebie Jack w zaciszu domowego gabinetu. - Może i na pewno. Może.

Spojrzał na zegarek. Za trzy godziny powinny na ten temat napłynąć pierwsze poufne meldunki.

Kati nadal spoglądał z ponurą miną na ekran. Jak to możliwe? Historia uczy czegoś przeciwnego, ale...

Pozostawało faktem, że Saudyjczycy odcięli dla nich dopływ funduszy, idąc za podszeptem Ameryki, która wcześniej ocaliła Rijad przed Irakijczykami. Okazało się, że tym razem organizacja Katiego postawiła na złego konia. Finansowe tarapaty dawały się już odczuć w szeregach, choć ugrupowanie przeczornie ulokowało w bezpieczny sposób środki odziedziczone po poprzedniej generacji. Dzięki Szwajcarom i innym europejskim bankierom zyski nadal napływały regularnie, a niedostatek miał na razie więcej wspólnego z psychologią niż z realiami, lecz dla Arabów wyobraźnia był równie ważna jak rzeczywistość, z czym zresztą zgodziłby się każdy doświadczony polityk.

Zdaniem Katiego, o wszystkim miało rozstrzygnąć to, czy Amerykanie naprawdę wywrą nacisk na syjonistów. Do tej pory nigdy się na to nie odważyli. Pozwolili wręcz, by Izraelczycy zaatakowali amerykański okręt i zabili jankeskich marynarzy, po czym puścili wszystko w niepamięć, zanim jeszcze zaschła krew, zanim zmarła ostatnia ofiara. Podczas gdy amerykańskie wojsko musiało się kłócić z własnym parlamentem o każdego dolara, te same waszyngtońskie polityczne kurwy stawały na głowie, byleby tylko załatwić Żydom dowolną broń. Ameryka nigdy jeszcze w żaden znaczący sposób nie wywarła nacisku na Izrael. I tylko dlatego Kati miał po co żyć. Dopóki na Bliskim Wschodzie wrzała wojna, jego życiową misją było zniszczyć żydowskie państwo. Gdyby jednak miał nadejść koniec wojny...

Konflikty rozdzierały Bliski Wschód, kiedy Katiego nie było jeszcze na świecie. Owszem, nawet one mogłyby ucichnąć, lecz najpierw...

Czas powiedzieć sobie wreszcie prawdę, zdecydował Kati, prostując obolałe, zmęczone ramiona i nogi. Jakie są widoki na zniszczenie Izraela? Od środka nie da się rozsadzić żydowskiego państwa, przynajmniej dopóty, dopóki Ameryka wspiera Żydów i dopóki państwa arabskie rozdziela niezgoda...

A Rosjanie? Przekłęci Rosjanie, którzy na zakończenie mowy Fowlera tańczyli przed nim jak psy na tylnych łapkach.

Mimo wszystko, mogło im się udać. Myśl taka była dla Katiego równie groźna, jak pierwsza diagnoza na temat nowotworu. Oparł się na krzesło i zamknął oczy. Co się zatem stanie, jeśli Stany Zjednoczone naprawdę zmuszą Żydów do ustępstw? Jeżeli Rosjanie poprą cały ten absurdalny plan? Jeżeli Izrael rzeczywiście ustąpi wobec nacisków albo wręcz jeżeli sami Palestyńczycy pójdą na lep i uwierzą w izraelskie ustępstwa? Wszystko to mogło się udać, a tym samym, nadal istniałoby syjonistyczne państwo, z którym Palestyńczycy nauczyliby się zapewne sąsiedować na swoich odzyskanych ziemiach. Nowy modus vivendi stałby się wówczas całkiem prawdopodobny...

To zaś oznaczałoby dla Katiego koniec. Oznaczałoby też dla niego ruinę wszystkich dążeń, daremność całego poświęcenia i wyrzeczeń. Jego bojownicy od pokolenia walczyli i ginęli za sprawę, która... która być może właśnie przegrała ostatecznie.

Zdradzeni przez braci Arabów, którzy gotówką i bronią wspomagali jego ruch od kolebki.

Zdradzeni przez Rosjan, którzy politycznie i zbrojnie popierali ten ruch od zarania Zdradzeni przez Amerykanów, co stanowiło największą perwersję całej sytuacji. Amerykanie odebrali im bowiem wroga.

Zdradzeni przez Izrael, który gotów rzeczywiście ustąpić i zawrzeć ten fałszywy pokój. Pokój jakże daleki od sprawiedliwości. Dopóki po arabskiej ziemi stąpał choćby jeden syjonista, o sprawiedliwości nie mogło być mowy.

Czy i Palestyńczycy zdradzą? Co będzie, jeśli zaakceptują nowe warunki? Gdzie wtedy znajdzie

nowych, oddanych bojowników?

A więc wszyscy zdradzili?

Nie; Najwyższy nie pozwoliłby na to. Najwyższy jest pełen miłosierdzia i zsyła swoim wiernym światło.

Wszystko to nie może być prawdą. Nie mogło do tego dojść. Zbyt wiele przeszkód stało przed diabelskim planem, by miał szansę stać się rzeczywistością. Mało to już było podobnych planów na użytek Bliskiego Wschodu? Mało to szlachetnych wizji? I co, dokąd poprowadziły tę krainę wszystkie co do jednej? Nawet amerykańskie rozmowy w Camp David, między Carterem, Beginem a Sadatem, kiedy to Amerykanie zmusili swoich opornych sojuszników do poważnych ustępstw - nawet wówczas wszystko spaliło na panewce, gdy Izrael sprzeciwił się jakimkolwiek ugodom z Palestyńczykami. Nic z tego nie wyjdzie, Kati miał co do tego całkowitą pewność. Jeżeli nawet nie mógł liczyć w tej chwili na Rosjan, jeżeli nawet nie mógł się zwrócić do Saudyjczyków ani, naturalnie, do Amerykanów, zawsze mógł liczyć na jeszcze jedno państwo: Izrael. Miał pewność, że i tym razem Żydzi okażą się za głupi, zbyt aroganccy i zbyt krótkowzroczni, by zrozumieć, że na dłuższą metę jedyną nadzieją na zapewnienie im bezpieczeństwa jest pokój na równorzędnych warunkach. Ironia takiej sytuacji uderzała Katiego do tego stopnia, że nie mógł powstrzymać uśmiechu. Widać w tym było palec Najwyższego: to, że ruch będzie walczył dalej, zawdzięczał wyłącznie swoim najbardziej zniechęconemu wrogom. Żydowski upór, żydowska niechęć do zginania karku i dziś nie pozwolą na zawarcie pokoju. Skoro nie było innego sposobu, by kontynuować świętą wojnę, przewrotność całej sytuacji trzeba było rozumieć jako znak od Boga, który mówił tym sposobem Katiemu i jego ludziom, że naprawdę walczą za Świętą Sprawę, w którą tak wierzyli.

- Nigdy, przenigdy! Nie zmusicie mnie, abym zgiał kark przed taką hańbą! - wykrzyknął jeszcze raz minister obrony. Nawet jak na niego był to wirtuozerski występ: od uderzeń pięścią w stół przewróciła się karafka z wodą, a powstała na blacie kałuża groziła wylaniem mu się na podolek. Minister, choć co rusz to zerkał na kałużę, nie cofał się ani na krok, omiatając niebieskimi oczami salę posiedzeń rządu.

- A jeżeli pogrożki Fowlera są prawdziwe?

- Złamiemy mu karierę! - wybuchnął po raz kolejny minister obrony. - Stać nas w końcu na to. Mało razy dawaliśmy ich politykom po uszach?

- Bo też mieliśmy po temu lepszą sposobność niż dzisiaj - słodkim głosem przypomniał siedzący obok przedmówcy minister spraw zagranicznych.

- Że co proszę?

- Powiedziałem tylko, że w obecnych okolicznościach może nam się to nie udać, Rafi. - Dawid Aszkenazi sam łyknął wody i ciągnął swoją kwestię: - Nasz ambasador w Waszyngtonie donosi, że na Kapitolu rzeczywiście gremialnie popierają plan Fowlera. W ubiegłą sobotę saudyjski ambasador wydał wielki bankiet dla przywódców Kongresu, z dużym powodzeniem, jak usłyszeliśmy z naszych własnych źródeł. Czy nie tak, Awi?

- Dokładnie tak, panie ministrze - odpowiedział generał Ben Jakob. Uczestniczył w posiedzeniu rządu z ramienia Mossadu, gdyż jego szef musiał wyjechać nagle za granicę. - Saudyjczycy i reszta tak zwanych umiarkowanych państw Zatoki Perskiej chcą całkiem serio odwołać stan permanentnej wojny z Izraelem, ustanowić na naszym terenie misje dyplomatyczne w nadziei na pełne nawiązanie stosunków w późniejszym terminie, a co więcej, chcą pokryć część kosztów bazowania amerykańskich żołnierzy i samolotów na naszym terytorium. Niech mi będzie wolno dodać, że oferują także całkowite pokrycie kosztów utrzymania sił pokojowych i odbudują gospodarczo tereny

przeznaczone dla Palestyńczyków.

- Podobna oferta nie trafia się co dzień - zauważył z sarkazmem minister spraw zagranicznych. -

Trudno się dziwić, że Kongres wykrzesał z siebie tyle entuzjazmu.

- To przecież podstęp! - upierał się minister obrony.

- Jeżeli tak, to szatańsko sprytny - zauważył Ben Jakob.

- Uwierzyłeś więc w te brednie? Nawet ty, Awi? - Minister Rafi Mandel wiele lat wcześniej poznał Bena Jakoba jako najlepszego dowódcę batalionu na całym Synaju.

- Sam nie wiem, Rafi. - Zastępca szefa Mossadu nigdy jeszcze dobitniej nie zdawał sobie sprawy, że jest tylko zastępcą. Wypowiadanie się w imieniu swego przełożonego przychodziło mu z trudem.

- A jaka jest pańska ocena? - grzecznie zapytał go premier, który zreflektował się w porę, że przynajmniej jeden ze zgromadzonych powinien zachować spokój.

- Amerykanie działają w jak najlepszej wierze - odparł Awi. - Świadczy o tym ich gotowość do udzielenia nam fizycznych gwarancji, czy to w postaci dwustronnego traktatu obronnego, czy to postaci samych wojsk. Ze ściśle wojskowego punktu widzenia...

- Od spraw obrony Izraela jestem ja! - warknął Mandel.

Ben Jakob zmierzył swojego dawnego dowódcę zimnym spojrzeniem.

- Rafi, zawsze byłeś ode mnie wyższy rangą, ale i ja zabiłem swoją porcję wrogów i dobrze o tym wiesz. - Awi zamilkł na chwilę, chcąc, by jego słowa wryły się ministrom w pamięć. Kiedy się znów odezwał, mówił cicho, spokojnie i bez emocji, choć w duchu denerwował się jeszcze bardziej niż Mandel. - Amerykańska obecność wojskowa to z ich strony poważne zobowiązanie. Jeśli przyjmujemy ofertę, siła uderzeniowa naszego lotnictwa wzrośnie o dwadzieścia pięć procent, a ich pułk pancerny jest w istocie silniejszy od którejkolwiek z naszych brygad. Ponadto nie potrafię sobie wyobrazić, w jaki sposób Ameryka mogłaby się wycofać z tego rodzaju zobowiązań. Żeby się wycofać... Nie, nasi przyjaciele w Ameryce nie dopuszczają, by się wycofała. - Nieraz już zostawiano nas na pastwę losu - przypomniał chłodnym tonem Mandel. - Obrony musimy szukać tylko w sobie.

- Rafi, przyjacielu - przerwał mu minister spraw zagranicznych. - Sam zobacz, do czego nas doprowadziła ta zasada. Walczyliśmy przecież nieraz, ty i ja, i to nie tylko przy ministerialnym stole. Czy ta wojna ma się nigdy nie skończyć?

- Lepszy już żaden traktat niż zły traktat!

- Zgadza się - powiedział nagle premier. - Ale czy ten traktat będzie rzeczywiście zły?

- Wszyscy czytaliśmy projekt. Mam zamiar wnieść do niego kilka drobnych poprawek, ale myślę, przyjaciele, że dojrzeliliśmy do decyzji - rzekł z kolei minister spraw zagranicznych. - Stawiam wniosek, by przyjąć plan prezydenta Fowlera, pod pewnymi warunkami.

Przez kilka minut minister wyliczał swoje zastrzeżenia.

- Czy Amerykanie pójdą na to, Awi?

- Będą narzekać, że podnosimy im koszty, ale nasi przyjaciele w Kongresie zgodzą się tak czy inaczej, niezależnie od osobistej opinii prezydenta Fowlera. Będą w stanie zrozumieć historyczne znaczenie naszych warunków, tak jak będą dążyć do tego, abyśmy się czuli bezpieczni w naszych granicach.

- W takim razie składam dymisję! - wykrzyknął Rafi Mandel.

- Ależ nic podobnego, Rafi - powściągnął go premier, którego zaczynały nużyć popisy Mandla. - Jeżeli teraz zrezygnujesz, wypadasz całkowicie z gry. Sam chciałbyś kiedyś zasiąść na moim fotelu, prawda? Jeśli teraz opuścisz rząd, utracisz tę szansę.

Mandel oblał się krwistym rumieńcem. Premier natomiast rozejrzał się wokół stołu.

- A zatem, chciałbym poznać teraz opinię mojego rządu.

Czterdzieści minut później zadzwonił telefon Ryana. Spojrzenie na aparat uzmysłowiło Jackowi, że rozmowa będzie się odbywać przez najbezpieczniejszy kabel, omijający nawet biurko Nancy Cummings.

- Mówi Ryan - rzekł w słuchawkę. Przez minutę słuchał tylko, skrobiąc po papierze. - Dziękuję.

Następnie wicedyrektor CIA powstał, przemaszerował przez pokój sekretarki, skręcił w lewo i wszedł do przestronniejszego skądinąd gabinetu Marcusa Cabota. Cabot polegiwał na kanapie w drugim końcu pomieszczenia. Podobnie jak jego poprzednik, którym był sędzia Arthur Moore, Cabot lubił sobie czasem zapalić cygarko. Zrzucił też buty i na leżąco czytał materiały z teczki o brzegach oblepionych pasiastą taśmą. Ot, jeszcze jedna tajna kartoteka w budynku, który nie zawierał niczego innego. Na widok podchodzącego Ryana szef CIA, który z cygarem wyglądał jak pulchny i różowy wulkan, opuścił teczkę.

- O co chodzi, panie Ryan?

- Dzwonił jeden z naszych przyjaciół z Izraela. Przyjadą do Watykanu, a z kolei gabinet w głosowaniu zaakceptował warunki traktatu, z kilkoma poprawkami.

- Mianowicie jakimi?

Ryan wręczył zwierzchnikowi notatki. Cabot przebiegł je wzrokiem:

- Mieliście z Talbotem rację.

- Tak, szkoda tylko, że się wtrącałem, zamiast dać mu to rozegrać samemu.

- Niezły wynik. Przewidział pan wszystkie, oprócz jednej. - Cabot wstał, wzuł miękkie półbuty i powrócił za biurko. Potem podniósł słuchawkę.

- Proszę zawiadomić prezydenta, że chcę się z nim spotkać w Białym Domu, kiedy tylko wróci z Nowego Jorku. Chciałbym też, żeby byli przy tym Bunker i Talbot. I proszę mu powtórzyć, że załatwione.

Cabot odłożył słuchawkę i wyszczerzył zęby, nie wyjmując spomiędzy nich cygara. Najwyraźniej próbował się upozować na George'a Pattona, który jednak, o ile Jacka Ryana nie myliła pamięć, nie palił.

- I co pan na to?

- Ciekawe, ile czasu zabierze dogranie szczegółów.

- Biorąc pod uwagę, że Adlerowi i panu udało się już to i owo załatwić i że i Bunker z Talbotem też coś tam osiągnęli... Hmm. Powiedzmy, dwa tygodnie. Nie pójdzie nam tak szybko, jak Carterowi w Camp David, bo za dużo będzie nad tym siedzieć zawodowych dyplomatów, ale za czternaście dni prezydent może na cały tydzień lecieć do Rzymu i złożyć podpis na dokumencie.

- Chce pan, żebym pojechał z panem do Białego Domu?

- Nie, nie. Najlepiej będzie, jeśli sam się tym zajmę.

- Nie ma sprawy. - Ryan, który spodziewał się to usłyszeć, opuścił gabinet tą samą drogą, którą przyszedł.

Kamery były już na swoich miejscach. Sforę najnowocześniejszych wozów transmisyjnych załadowano dzień wcześniej w bazie lotniczej Andrews do brzucha gigantycznego wojskowego transportowca C-5B Galaxy i przerzucono do rzymskiego portu lotniczego Leonardo Da Vinci. Wozy były potrzebne nie tyle do uwiecznienia ceremonii podpisania traktatu - do której, czego obawiali się komentatorzy, mogło w ogóle nie dojść - ile do pokazywania telewizzom scenerii (czyli "orkiestr dętych", jak mawiali cyniczni sprawozdawcy). Zdaniem realizatorów, najnowszy skomputeryzowany sprzęt elektroniczny o podwyższonej rozdzielczości obrazu jak żaden inny odda barwy i kształty dzieł sztuki, zaśmiecających Watykan w takiej samej liczbie w jakiej drzewa porastają park narodowy. Miejscowi cieśle, wspomagani przez fachowców z Nowego Jorku i Atlanty, dwadzieścia cztery godziny na dobę mozolili się przy wznoszeniu specjalnych baraczków, w których mieli na ten tydzień zasiąść słynni prezenterzy telewizyjni. Każda z trzech największych sieci amerykańskich rozpoczynała poranny program od transmisji na żywo z Watykanu. Oprócz nich na miejsce ściągnął już hufiec ludzi z CNN, NHL i BBC, a poza tym hurma sprawozdawców ze wszystkich telewizji świata. Każda ekipa biła się desperacko o miejsce na obrzeżu wspaniałego placu, który rozciąga się przed świątynią. Bazylikę zaprojektował w tysiąc pięćset trzecim roku Bramante, a po nim kontynuowali jej budowę Rafael, Michał Anioł i Bernini. Krótka, lecz gwałtowna wichura uniosła pył wodny z fontanny pośrodku placu i spryskała dokładnie stanowisko Deutsche Welle, uszkadzając sprzęt wartości stu tysięcy marek. Watykańscy dostojnicy zaczęli protestować przeciwko obecności takiej liczby ekip, wywodząc, że na plac nie będą się mogli wcisnąć zwykli ludzie, chcący stać się świadkami wydarzenia, za które modlił się cały Watykan, lecz na naprawienie tej sytuacji było już za późno. Ktoś inny przypomniał sobie, że w czasach starożytnych w miejscu placu mieścił się Circus Maximus. Zgodnie stwierdzono, że w samej rzeczy, podobnego cyrku jak tutaj nie oglądano od lat. Mało kto pamiętał, że rzymski "circus" służył głównie do wyścigów konnych zaprzęgów.

Ekipom telewizyjnym bardzo podobało się w Rzymie. Najbardziej cieszyła się obsada porannych programów Today i Good Morning, America, która ze względu na różnicę czasu mogła wysypiać się do południa, zamiast zrywać się jeszcze przed mleczarzem. Co więcej, pierwszą transmisję realizatorzy zaczęli dopiero po południowej przekąsce, a później mieli dość czasu, by włóczyć się po sklepach i penetrować co lepsze z rzymskich restauracji. Eksperci zatrudnieni przez sieci telewizyjne wertowali uczone tomy w poszukiwaniu informacji o miejscowych dziwacznych budowlach, takich jak chociażby Koloseum, które, jak odkrył przypadkowo jeden z moli książkowych, właściwie nazywa się Amfiteatrem Flawiusza. Prezenterzy mówiąc o Koloseum rozwodzili się nad starożytnym odpowiednikiem pierwszej ligi futbolu amerykańskiego, w postaci walki na śmierć i życie pomiędzy człowiekiem a człowiekiem, człowiekiem a dziką bestią, dziką bestią a chrześcijanami, chrześcijanami a... Kombinacji było jeszcze mnóstwo. Charakterystycznym symbolem obecnego pobytu w Rzymie było jednak dla nich Forum, ruiny centrum życia miejskiego w stolicy imperium, kędy przechadzali się ongiś ramię w ramię Cyceron i Scypion, rozprawiając z przyjaciółmi i z oponentami - miejsce odwiedzane przez przybyszów od długich stuleci. Wieczny Rzym, twierdzili prezenterzy, kolebka potężnego cesarstwa, wkracza oto znowu na światową scenę. W środku Wiecznego Miasta trwał zaś Watykan, zajmujący raptem parę hektarów, lecz mimo to

będący suwerennym państwem. "Ile dywizji ma papież?" zacytował jeden z korespondentów słynne pytanie Stalina, po czym wdał się w nieskładny wywód o tym, że nauka Kościoła i głoszone przez nią wartości skutecznie przetrwały napór marksizmu-leninizmu, i to do tego wręcz stopnia, że ZSRR zdecydował się wreszcie nawiązać stosunki dyplomatyczne ze Stolicą Apostolską, a dziennik wieczorny Wriemia usadowił swojego sprawozdawcę w sąsiednim boksie.

Dodatkową uwagę skupiały na sobie dwie religie, których przedstawiciele również przybyli na rokowania. Podczas ceremonii powitalnej papież przytoczył wydarzenie z najwcześniejszych dni islamu: oto do Arabii wyruszyła pielgrzymka biskupów katolickich, w oczywistej misji wywiadowczej, która miała stwierdzić, kim właściwie jest rzekomy prorok Mahomet. Po pierwszym, przyjacielskim spotkaniu, najstarszy z biskupów zapytał, gdzie przybysze mogliby odprawić swoją mszę, na co Mahomet bez wahania użyczył im meczetu, w którym się znajdowali. Czyż nie jest prawdą - zauważył Prorok - że i ten dom poświęcony jest Bogu? Ojciec Święty uczynił więc obecnie ten sam gest wobec Izraelitów. W obu wypadkach nie obyło się zapewne bez szemrania wśród konserwatywnej części kleru, lecz papież oddalił te zarzuty w homilii, wygłoszonej, jak to miał w zwyczaju, w trzech językach.

- W Imię Boga, którego czcimy pod różnymi imionami, lecz który wciąż tym samym Bogiem pozostaje dla wszystkich wiernych, ofiarowujemy oto nasze miasto na usługi ludzi dobrej woli. Patrzcie, jak wiele podzielamy zasad wiary. Wierzmy bez różnicy w Boga łaski i miłości. Wierzmy wszyscy w duchową naturę człowieka. Wierzmy wszyscy w najwyższą wartość wiary i w objawienie tejże wiary w postaci ludzkiego miłosierdzia i braterstwa. Naszym braciom z dalekich krain zasyłamy dziś słowo pozdrowienia i zanosimy modlitwę, prosząc aby także i ich wiara odnalazła drogę sprawiedliwości i pokoju Bożego, którą sami dziś postępujemy.

- Ale wygarnął! - zauważył sprawozdawca porannego programu z USA, upewniwszy się, że wyłączył mikrofon. - Zaczynam już myśleć, że cały ten cyrk jest na serio.

Sprawozdawcy nie ograniczali się, oczywiście, do wiernej transmisji słów papieża. Chcąc ukazać telewizjom równowagę opinii, równy dostęp do mikrofonu, przeciwne poglądy, naukowo udokumentowane tło obecnych wydarzeń i bezlik reklam w trzydziestosekundowych przerwach między materiałami, realizatorzy dopuścili do głosu przywódcę żydowskiej organizacji paramilitarnej. Bojownik w mało oględnych słowach przywołał wspomnienie Ferdynanda i Izabeli Hiszpańskiej, którzy wygnali Żydów z Półwyspu Iberyjskiego, carskich Czarnych Sotni, oraz, naturalnie, hitlerowskiego programu zagłady (mówca nawiązał w tym miejscu do trwającego nadal procesu jednoczenia się Niemiec). Wniosek, jaki usłyszeli widzowie, brzmiał: Żydzi wykażą głupotę, jeżeli zawierzą komukolwiek oprócz samych siebie i siły własnej armii. Z miasta Kom przemówił z kolei ajatollah Daryei, nowy religijny przywódca Iranu i od dawien dawna zaprzysięgły wróg wszystkiego, co amerykańskie. Ajatollah potępił wrogów islamu, skazując wszystkich razem i każdego z osobna na karę w bardzo plastycznie nakreślonym przez siebie piekle, lecz niestety przekład nie nadążał za potokiem jego wymowy, co denerwowało widzów. Może dlatego przerwano mu w pół słowa. Potem wystąpił samozwańczy "charyzmatyczny chrześcijanin" z południa USA, który przemawiał najdłużej. Najpierw potępił Kościół rzymskokatolicki jako tradycyjne wcielenie antychrysta, a następnie powtórzył swoją sławną opinię, że Bóg nie jest taki głupi, żeby wysłuchiwać modlitw Żydów, nie mówiąc już o poganach w rodzaju muzułmanów (których nazywał mahometanami, dopełniając miary obrazy).

Rzecz ciekawa, ale widzowie zignorowali wszystkich tych demagogów, czy raczej z miejsca odrzucili ich poglądy. Stacje telewizyjne odebrały natychmiast tysiące telefonów od widzów, wściekłej na to, że kiedy dzieją się ważne rzeczy, na antenie udziela się głosu jakimś fanatykom.

Telefony uradowały oczywiście dyrekcję każdej sieci, oznaczały bowiem, że widzowie mając wybór, znów włączą ten sam kanał, spodziewając się nowego kamienia obrazy. Amerykański fanatyk z kolei prędko zauważył, że chudną przesyłane mu zewsząd fundusze. Żydowski nacjonałiści z B'nai B'rith w szybkim tempie potępił szalonego rabina. Przywódca Ligi Państw Islamskich, który sam był szanowanym mułłą, nazwał ajatollaha heretykiem, co sprzeniewierza się słowu Proroka i dla dodania wagi swej ocenie zacytował z pamięci długi ustęp z Koranu. Stacje telewizyjne ze swej strony przedstawiły obszerny komentarz do wszystkich wypowiedzi, co uspokoiło jednych widzów, a innych doprowadziło do szewskiej pasji.

Nim minął dzień, jedna z gazet opisujących watykańską konferencję nazwała całe wydarzenie Amfiteatrem Pokoju, pewnie z uwagi na kolistą architekturę arkad placu św. Piotra. Bardziej spostrzegawczy czytelnicy uznali ten chwyt za objaw rozpacz, naturalny u reportera, który znalazł się na miejscu po to tylko, by stwierdzić, że nie ma nic do zakomunikowania. Specjalne służby i policja hermetycznie odizolowały Watykan od świata. Przybywający i opuszczający obrady uczestnicy korzystali z wojskowych samolotów startujących z wojskowych baz lotniczych. Reporterów i fotografów z długachnymi teleobiektywami starano się utrzymać jak najdalej od limuzyn, opuszczających Watykan głównie pod osłoną nocy. Mysz nie prześliznęłaby się poza szpaler gwardii szwajcarskiej, choć ta ostatnia nadal paradowała w renesansowych pasiastych kostiumach. Co śmieszniejsze, kiedy rzeczywiście zachodziło coś ważnego - jak wówczas, gdy przez boczną bramę dyskretnie wkroczył do budynku szwajcarski minister obrony - nikt nawet tego nie zauważał.

Badania opinii publicznej w niezliczonych krajach wskazywały na powszechną nadzieję, że być może tym razem uda się coś osiągnąć. Świat, wymęczony niezgodą i skacowany wciąż po euforii przemian w stosunkach Wschód-Zachód, w sobie tylko wiadomy sposób zwęszył, że zmiana jest możliwa. Komentatorzy ostrzegali wprawdzie, że historia nowożytna nie zna drugiej równie zagmatwanej kwestii, lecz setki milionów ludzi modliły się w świątyniach całego świata za powodzenie najtrudniejszych rokowań w skali planety. Sprawozdawcy telewizyjni powtarzali te same słowa, co można im poczytać za zasługę.

Zawodowi dyplomaci, z których wielu zasługiwało swoim cynizmem na specjalny dyplom i dawno zapomniało, jak wygląda wnętrze kościoła, również wyczuwali niezmierną, niespotykaną do tej pory wagę toczących się rozmów. Szcątkowe relacje posłów akredytowanych przy Stolicy Apostolskiej informowały o samotnych spacerach par dyplomatów o dwunastej w nocy wzdłuż głównej nawy bazyliki św. Piotra, o rozgwieżdżonym niebie i długich dysputach toczonych przez uczestników rokowań z Ojcem Świętym. I tylko o tym. Zarabiający miliony popularni korespondenci telewizji popatrywali jeden na drugiego wśród niezręcznej ciszy. Dziennikarze z prasy walczyli o każdy strzęp informacji, który pozwoliłby im dopisać coś nowego do sprawozdania. Podobna cisza w eterze nie spowijała ważnych negocjacji od czasów Carterowskiego maratonu w Camp David.

Świat wstrzymał więc oddech.

Stary wieśniak jako jeden z nielicznych nosił jeszcze na głowie tradycyjny czerwony fez z białą lamówką. Druzyjska tradycja kazała szanować obyczaje przodków, a religia, którą wieśniak wyznawał przez wszystkie sześćdziesiąt sześć lat żywota, stanowiła jedyne źródło pociechy w niełatwej wegetacji.

Druzowie należą do tych spośród bliskowschodnich sekt religijnych, którym udało się połączyć elementy islamu, chrześcijaństwa i judaizmu. Założycielem sekty został w XI wieku kalif Egiptu al-Hakim Biamrillahi, który obwołał się nowym wcieleniem Wszchemogącego. Większość Druzów zamieszkuje Liban, Syrię oraz Izrael, a wyznanie naraża ich wciąż na szykany wszystkich pozostałych

grup religijnych. Druzom wolno jednak służyć w izraelskich siłach zbrojnych (co zabronione jest ich muzułmańskim kuzynom), co oczywiście sprawia, że władze syryjskie wykazują skrajną nieufność wobec tej grupy swych obywateli. Wprawdzie pewna liczba Druzów dosłużyła się stopni oficerskich w syryjskiej armii, lecz nie zatarło pamięci incydentu z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku, kiedy to druzyjski pułkownik został skazany na śmierć za opuszczenie bronionego skrzyżowania dróg. Z czysto wojskowego punktu widzenia pułkownik bił się dzielnie i umiejętnie bronił pozycji, a co więcej, udało mu się szczęśliwie i bez zbytecznych strat przeprowadzić odwrót, lecz utrata skrzyżowania pociągnęła za sobą klęskę kilku syryjskich brygad pancernych, więc pułkownik trafił natychmiast pod ścianę. Głównie za to, że miał pecha, a już na pewno za to, że był Druzem.

Stary wieśniak nie znał, oczywiście, wszystkich szczegółów tamtej historii, ale wiedział swoje. Syryjscy muzułmanie zabili oto kolejnego porządnego Druza, i to nie po raz ostatni. Wieśniak nie dowierzał więc absolutnie żadnemu z syryjskich urzędników czy żołnierzy. Nie oznaczało to, żeby cieplejszymi uczuciami darzył Izrael: w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku salwa z dalekosiężnych armat izraelskich kalibru 175 mm, wymacujących położenie syryjskich składów amunicji, rozerwała się na polu wieśniaka, a odłamki jednego z pocisków śmiertelnie zraniły jego żonę, z którą przeżył czterdzieści lat. Oprócz nędzy skazany był więc odtąd na samotność. Ten sam stan, który Izrael traktował jako historyczną konieczność, dla wieśniaka stał się nagle bolesnym i dotkliwym faktem. Los zdecydował, że Druz przyszedł na świat na ziemi niczyjej między dwiema armiami, z których każda traktowała jego obecność jako niepotrzebną komplikację. Stary człowiek przyzwyczał się nie żądać od życia zbyt wiele. Chciał tylko uprawiać spokojnie swój kawałek ziemi, hodować parę owiec i kóz, mieszkać nadal w chatce wymurowanej z kamieni pozbieranych na skalistych polach. Chciał po prostu żyć. Dawniej myślał sobie, że prosi los o bardzo niewiele, lecz każde z sześćdziesięciu sześciu przeżytych lat wyprowadzało go z błędu. Prosił swego Boga o zmiłowanie, o jaką taką sprawiedliwość, o pociechę w życiu - o majątek nie śmiał nawet błagać - aby jemu i żonie zaczęło się wreszcie lepiej wszystko układać. Nigdy się to jednak nie spełniło. Spośród pięciorga dzieci, tylko jeden chłopak dożył siedemnastego roku życia, w samą porę, by w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku zabrano go do syryjskiego wojska. Syn miał jednak więcej szczęścia niż ktokolwiek z rodziny: kiedy izraelski czołg trafił pociskiem transporter BTR-60, w którym się znajdował, siła eksplozji wyrzuciła go przez górny właz desantu, urywając mu tylko rękę i raniąc w oko. Syn uszedł więc z życiem, choć został na wpółślepy kaleką. Ożenił się następnie, pozwalając wieśniakowi cieszyć się gromadką wnuków, i zajął się kupiectwem oraz lichwą. Choć takiemu życiu daleko było do błogosławieństwa, w porównaniu z dolą starego wieśniaka wydawało się ono szczytem marzeń.

Wieśniak uprawiał więc swoje zagony i wypasał kilka sztuk inwentarza na skalistym spłachciu tuż pod granicą Syrii z Libanem. Nie szło mu w życiu o sukces, o wybicie się ani nawet o zwykłe przetrwanie. Żył niby z przyzwyczajenia, którego nie można się wyzbyć, w korowodzie wciąż takich samych mozolnych dni. Każdej wiosny, gdy jego owce rodziły jagnięta, stary modlił się, by nie dane mu było oglądać ich rzezi, lecz przecież niechętnie godził się z myślą, że tym potulnym i głupim stworzeniom być może uda się przeżyć dłużej niż jemu samemu.

Nastał nowy świt. Wieśniak nie potrzebował budzika, ani go zresztą nie miał. Kiedy na niebie pojaśniało, owce i kozy zaczęły potrząsać swoimi dzwonkami. Brzęczenie sprawiło, że stary człowiek rozwarł powieki i natychmiast poczuł, jak obolałe ma ręce i nogi. Przeciągnął się, a potem zwlókł z posłania. Obmył twarz i zeszkrobał z niej żyłką siwą szczecinę, przegryzł kawałkiem czerstwego chleba, popił go mocną, słodką kawą i rozpoczął kolejny dzień mordęgi. Wczesnym

rankiem, zanim zaczynał się największy upał, grzebał przy swoich zagonach. Były wcale rozległe, gdyż dzięki sprzedaży zieleniny na pobliskim targu łatwiej przychodziło zdobycie gotówki na rozmaite luksusy. Nad zagonami trzeba się jednak było napocić, w czym nie pomagał łupiący w ramionach artretyzm. Kolejne przekleństwo stanowiło odganianie inwentarza od młodych pędów. Kozy i owce można było jednak sprzedać; gdyby nie te przypadkowe dochody, wieśniak dawno umarłby z głodu. Co tu dużo gadać, tylko swojej pracy zawdzięczał, że ma co do garnka włożyć. Gdyby nie samotność, jadłby nawet obficie, lecz samotność nauczyła go sknerstwa. Nawet narzędzia ogrodnicze miał stare i byle jakie. W łagodnym słońcu podreptał w stronę zagonów pielic chwasty, których wciąż nowe zastępy wyrastały co dzień pomiędzy pędami. Wspominając marzenia swojego dziadka i ojca, wieśniak także westchnął na myśl, że niestety, nie da się wytresować kozy, by zjadała chwasty a sadzonki zostawiała w spokoju. Koza pieląca grządki, to dopiero byłby wynalazek! Ale cóż, kozy są głupsze od cepa, chyba że chodzi o czynienie szkody. Wieśniak stanął w kącie warzywnika i przez trzy godziny podnosił tylko i opuszczał motyczkę, postępując wzdłuż kolejnych grządek w miarowym tempie, w którym nie znać było starości i niemocy.

BRZDEK

A to co? Starzec wyprostował grzbiet i otarł pot z czoła. Poranna robota za półmetkiem, niedługo będzie można zacząć myśleć o chwili wypoczynku, potem obrządzi się owce... Nie, to nie kamień. Odgrzebał motyczką jeszcze trochę ziemi - och. Znów tamto.

Ludzie zastanawiają się często, na czym owo zjawisko polega, a rolnicy na całym świecie żartują, odkąd tylko zaczęto uprawiać rolę, że ich ziemia rodzi kamienie. Ilustracji tego, od jak dawna znane jest to niby tajemnicze zjawisko, dostarczają ułożone z polnych kamieni murki wzdłuż gościńców Nowej Anglii. Winna jest woda. Deszczówka przesącza się przez glebę, a zimą zwiększa objętość, zamarzając w lód. Tężejąca w lód woda wywiera jednak dużo silniejszy nacisk do góry, nie do dołu, wytwarzając siłę, która stopniowo wypycha dolne warstwy gleby na powierzchnię. Dlatego właśnie mawia się, że na polach rodzą się kamienie, co zresztą doskonale oddaje charakter terenu syryjskich Wzgórz Golan, których wulkaniczna gleba jest stosunkowo młoda, a zimy bywają zaskakująco mroźne.

Nie był to jednak kamień.

Przedmiot był metalowy, piaskowej barwy. Wieśniak odkopał jeszcze trochę ziemi. No, tak. Pamiętał przecież tamten dzień. Ten sam dzień, w którym jego syn...

- Co tu począć z tym diabelstwem? - zapytywał sam siebie stary Druz, który wiedział, że znalazł bombę lotniczą. Nie jemu tłumaczyć, jak taka bomba wygląda. Zagadką było jedynie to, w jaki sposób wylądowała na polu. Podczas wojny nie zauważył przecież nad swoim polem żadnych bombardujących maszyn, czy to izraelskich, czy syryjskich. Z drugiej strony trudno było zaprzeczyć istnieniu bomby, chociaż dla wieśniaka w niczym nie była ona lepsza od dużego brązowego głazu, za dużego, żeby go wykopać i zwieźć na miedzę. Dwie grzędy marchewek diabli wzięli. Wieśniak nie bał się wybuchu, pewien, że jeżeli bomba nie wypaliła przy upadku, na pewno jest zepsuta. Dobre bomby wybuchają, dotykając ziemi; ta jednak wyryła jedynie krater, który Druz zasypał zaraz na następny dzień, nieświadom wtedy jeszcze, co przydarzyło się jego synowi.

- Czemuś nie usiadła dwa metry pod ziemią, gdzie jest twoje miejsce - zwrócił się w myśli do znaleźnika. Ba, jeżeli ktoś ma w życiu pecha, to do końca. Wieśniak nie wiedział zupełnie, dlaczego Bóg bywa aż tak okrutny. Przecież docierały do niego codzienne modły, przecież Wszechmogący wiedział, jak ściśle jego druzyjski syn przestrzega postów? Czy o to zanosili z żoną błagania? Za co kazano im cierpieć?

Ech, za późno na takie pytania. Na razie trzeba się brać do roboty. Na powrót zajął się

pieleniem zagonów, dla wygody wspinając się nawet na wystający szpic bomby. Za parę dni przyjedzie z wizytą syn, ucieszy sędziego rodziciela wizytą wnuków. Jedyne promienie radości, jakie jeszcze pozostały wieśniakowi. Syn będzie już wiedział, co robić. Sam był w końcu w wojsku i zna się na tych sprawach.

Tydzień należał do tych, które budzą odrazę w pracownikach wszystkich rządów świata. W odległej strefie czasowej działo się coś ważnego, co sprawiało, że mimo sześciogodzinnej różnicy czasu trzeba było czuwać. Jack miał z początku siłę żartować, że nie wychodząc z biura, czuje się niewyspany, jak gdyby przeskoczył samolotem na inny kontynent.

- Jak im idą rozmowy? - zapytał go Clark zza kierownicy.

- Pierwszorzędnie - odmruknął, przerzucając stronicę raportów. - Wczoraj doszło wręcz do tego, że Izrael i Saudyjczycy mieli to samo zdanie na jakiś temat. Obie delegacje chciały coś zmienić w traktacie, a skutek był taki, że zaproponowały identyczną poprawkę.

Jack znowu się roześmiał na samo wspomnienie sytuacji. Kompletny przypadek, bo gdyby jedna strona wiedziała o pomysle drugiej, zmieniłaby własny wniosek.

- Ktoś musiał na tym strasznie popłynąć! - zawtórował mu śmiechem Clark, który również sądził, że to przypadek. Było jeszcze ciemno. Jediną zaletą tak wczesnej pory są puste szosy. - Pan, zdaje się, lubi tych Saudyjczyków?

- Byłeś tam kiedyś, John?

- Myśli pan, po cywilnemu? Jasne, wiele razy. Skakałem stamtąd do Iranu w siedemdziesiątym dziewiątym i osiemdziesiątym roku, mieszkałem tam trochę, uczyłem się języka.

- I jak ci się widzi to miejsce?

- W porządku. Poznałem tam nawet jednego faceta, majora w ich wojsku. Major, nie major, taki sam szpieg jak ja. W akcji to on za często nie bywał, ale teorię miał wykutą na blachę. W ogóle był na tyle niegłupi, że sam rozumiał, ile ma jeszcze do nauczenia się, więc słuchał, co się mu mówiło, jak rzadko który. Dwa czy trzy razy zaprosił mnie nawet do domu, pokazał mi obu synów, fajne chłopaki. Jeden lata teraz na myśliwcach. Nie mogłem tylko przełknąć, jak oni wszyscy traktują swoje baby. Mojej Sandy nigdy bym nie namówił na taki układ. - Clark zamilkł, gdyż wyprzedzał ciężarówkę. - Pod względem zawodowym jedli nam tam z rączki. Może nie widziałem wszystkiego, ale na ogół mi się tam podobało. Pewnie, inaczej niż u nas, ale co z tego? Świat nie kończy się na Ameryce.

- A Izraelczyków znasz?

- Pracowałem z nimi raz i drugi. Nawet jeszcze częściej, przeważnie to w Libanie. Wywiad mają naprawdę fachowy, nie dziwię się, że strugają takich ważniaków, bo też mają się czym chwalić. Tylko że... Zachowują się wszyscy jak w oblężonej twierdzy. To też nietrudno zrozumieć... - Clark odwrócił się nagle do Ryana i zapytał: - Bo przecież o to się wszystko rozbija?

- O co niby?

- Żeby się porozumieć, trzeba ich oduczyć życia w twierdzy. A to nie będzie takie łatwe.

- Pewnie, że nie. Sam chciałbym, żeby ktoś nimi potrząsnął i pokazał, że świat wygląda trochę inaczej, niż myślą - zgodził się Ryan.

- Ja tam ich rozumiem, doktorze. Mentalność frontowca. Czego od nich zresztą chcieć? Cały kraj jak strzelnica na uciechę Arabom. Sam tak myślałem, kiedy jeszcze nadstawiałem tyłka w Wietnamie. Są tylko dwa rodzaje ludzi: nasi i cała reszta. - John Clark pokręcił głową. - Ileż razy próbowałem to wytłumaczyć dzieciakom z naszej oślej łączki. Myśli się tylko o tym, żeby przetrwać. Izraelczycy są tacy, jacy są, boinni być nie potrafią. Kiedy Hitler mordował miliony Żydów, nie ruszyliśmy dupą.

W porządku, może nie było jak, może się akurat nie dało nic poradzić. Ale zastanawiam się z drugiej strony, czy tak ciężko by nam przyszło sprzątnąć tego Hitlera, gdyby się faktycznie postarać. Więc dobrze, zgadzam się, że Izrael musi przejrzeć na oczy, ale niech nikt sobie nie wyobraża, że będzie z tym łatwo.

- Cholera, mogłem cię wtedy wziąć ze sobą na spotkanie z Awim - zauważył Ryan i ziewnął.

- Z generałem Ben Jakobem? Mówią o nim, że surowy jak mało który. Nie usłyszysz o nim złego słowa od podwładnych, a to już coś znaczy. Przepraszam, że mnie przy tym nie było, szefie, ale naprawdę musiałem już urwać się na dwa tygodnie, na rybki. Frontowcy też jeżdżą czasem na wakacje.

- Wyjaśnienie przyjęte, panie Clark.

- O kurczę, muszę po południu skoczyć do Quantico, mam zaległy sprawdzian z pistoletu. Przepraszam, że się wtrącam, ale może i pan by się wybrał, wyżył się trochę? Może jednak? Znajdę dla pana kapitalną beretę.

Jack zastanowił się. Wycieczka na strzelnicę kusiała, ale... Ale właśnie. Za dużo zaległej roboty.

- Nie mam czasu, John.

- Wyjaśnienie przyjęte. Przestał pan o sobie dbać, trąbi pan bez przerwy, za to wygląda pan jak półtora nieszczęścia. Taka jest moja fachowa opinia.

To samo powiedziała mi wczoraj wieczór Cathy, uświadomił sobie Jack Ryan. - Z tym, że Clark nawet nie wie, jak już ze mną niedobrze. - Jack zapatrzył się na mijane domy, których mieszkańcy, urzędnicy z ministerstw, dopiero zapalali światło.

- Co racja to racja. Muszę się kiedyś z tobą wybrać, ale dziś naprawdę mam urwanie głowy.

- A może przebiegniemy się jutro, w czasie południowej przerwy?

- Umówiłem się na lunch z szefami pionów.

Clark zaprzestał namów i zajął się jazdą, zastanawiając się, kiedy ten tępy sukinsyn Ryan zmądrzeje. Niby mądry, a tak daje się zeżreć obowiązkom.

Gdy prezydent Fowler otworzył jedno oko, ujrzał okrywającą mu klatkę piersiową burzę blond włosów, a tuż przy niej szczupłe damskie ramię. Znał już gorsze poranne widoki. W duchu zastanawiał się teraz, dlaczego w ogóle tak długo zwlekał. Mógł to zrobić już dawno - święty Boże, ładnych parę lat temu. Niby po czterdziestce, ale szczupła i urodziwa; mogła się podobać każdemu mężczyźnie, więc i prezydentowi, który miał normalne męskie upodobania. Marianna, jego zmarła żona, długie lata żegnała się z życiem, dzielnie walcząc ze stwardnieniem rozsianym, co zabrało ją spomiędzy żywych dopiero wówczas, gdy zgniotło do reszty osobę tak niegdyś czarującą, energiczną, inteligentną i pełną życia. Fowler dobrze wiedział, że jeśli udało mu się zostać w życiu kimś, zawdzięczał to prawie wyłącznie Mariannie. Wraz z jej powolną śmiercią i z niego zaczęło więc uchodzić życie. Owszem, zwyczajny mechanizm obronny. Nie kończące się miesiące konania. Musiał pokazać umierającej, że się nie rozkleja, musiał być dla niej ostoją stoicyzmu, ośrodkiem życiowej energii, gdyż inaczej skróciłby jej życie. Tamten trudny czas zmienił jednak Boba Fowlera w rodzaj robota, tak niewiele zostało w nim własnej osobowości, siły charakteru i odwagi. Umierając, Marianna zabrała wszystko to ze sobą - jej śmierć odebrała mężowi człowieczeństwo. Może nawet coś jeszcze więcej, Fowler sam obawiał się takiej myśli.

Jak na ironię, tragiczny cios zmienił go w lepszego polityka. Swoje najlepsze lata jako gubernator i kandydat na prezydenta Fowler zawdzięczał umiejętności chłodnej, intelektualnej kalkulacji. Za to właśnie nagrodzili go głosami wyborcy, ku zaskoczeniu mędrków i mądrali - czy jak ich tam nazwać - którzy w swoich komentarzach udają, że wszystko wiedzą, choć nie mają pojęcia,

jak jest naprawdę. Sukces zawdzięczał Fowler także przeraźliwie i niewybaczalnie głupiej kampanii wyborczej swojego kontrkandydata, lecz we własnym odczuciu tak czy inaczej odniósłby zwycięstwo.

Zwycięstwo, w listopadzie, już prawie dwa lata temu, uczyniło z niego pierwszego prezydenta-wdowca od czasów... właśnie, kogo? Chyba od czasów Clevelanda. A także pierwszego prezydenta-kukłę. Felietoniści nazywali go Roboprezydentem. Nikt nie zwracał uwagi na jego dawną karierę adwokacką: kiedy już raz Fowler zyskał sobie opinię technokraty, powtarzano ją niezależnie od tego, czy odpowiadała rzeczywistości. Robot.

Szkoda, że Marianna tego wszystkiego nie dożyła. Ona jedna wiedziała, że Fowler nie jest zimnym robotem. Z drugiej strony wciąż nie brakowało takich, którzy pamiętali Boba Fowlera jako adwokata, obrońcę praw obywatelskich, młot na szefów mafii - człowieka, który oczyścił Cleveland. Raz zaprowadzony porządek nie trwał długo, jak zawsze przy takich zwycięstwach. W policji, jak i w polityce, sukces jest rzeczą chwilową. Fowler na zawsze zapamiętał z tamtych czasów narodziny każdego z dzieci, własną dumę z ojcostwa, miłość żony i dwójki szkrabów, kolacje przy świecach w eleganckich restauracjach. Pamiętał też, jak spotkał Mariannę w szkole średniej, na meczu futbolu; ona jedna podziwiała widowisko z równym entuzjazmem, jak on sam. Wzięli ślub jeszcze podczas studiów i przez trzydzieści lat trwali razem, choć trzy ostatnie zmieniły się w koszmar, kiedy choroba, która pierwszy raz dała znać o sobie, gdy Marianna dobiegała czterdziestki, dziesięć lat później powaliła ją zniecka, by wreszcie uśmiercić po długich, stanowczo za długich męczarniach. Na pogrzebie Fowler był zbyt wyczerpany, by uronić choćby łzę. Później zaś przyszły lata samotności.

Ha, to się jeszcze może odmienić.

Dzięki Bogu, że wynaleziono Tajną Służbę, snuł dalej myśl prezydent. Gdyby spróbował takich manewrów w rezydencji gubernatorskiej w Columbus, wszystko wyszłoby na jaw natychmiast. Nie w Białym Domu jednak. Tuż za drzwiami sypialni czuwała para uzbrojonych agentów, a niedaleko niej siedział chorąży z wojsk lądowych, pilnując specjalnej skórzanej teczki-dyplomacki, powszechnie nazywanej Piłką. Nazwa nie przypadła prezydentowi do gustu, lecz nawet on nie był w stanie wykorzenić tradycji. Nie było to istotne - istotne, że może przespać się z własnym doradcą do spraw bezpieczeństwa i nie obawiać się, że wieść o tym wyjdzie poza Biały Dom. Już samo w sobie wydawało mu się to dość niewiarygodne.

Fowler raz jeszcze spojrzął na Elizabeth. Trudno odmówić jej urody. Cera wprawdzie bardzo blada, lecz tylko dlatego, że nadmiar obowiązków nie pozwalał korzystać ze słońca. Prócz tego prezydent naprawdę wołał kobiety o bladej, jasnej cerze. Ponieważ kołdra obsunęła się podczas nocnych wyczynów, Fowler mógł spokojnie podziwiać plecy Elizabeth, jej gładziusięnką, delikatną skórę... Na piersi czuł także jej spokojny oddech. W geście, w jakim go obejmowała, było tyle ufności! Poglądził kobietę wzdłuż pleców. Wynagrodziło go przeciągłe "mmmm" i nowy uścisk sennego ramienia.

Rozległo się dyskretne pukanie do drzwi. Prezydent podciągnął kołdrę pod brodę i odkasznął. Po kilku odmierzonych sekundach drzwi sypialni otworzyły się. Dyżurujący agent wniósł tacę z kawą i kilka komputerowych wydruków, po czym wycofał się. Fowler wiedział, że nikomu z najbliższych nawet współpracowników nie mógł zawierzyć aż tak dalece, lecz agenci z Tajnej Służby pod względem lojalności stanowili amerykański odpowiednik gwardii pretoriańskiej cesarów. Nigdy też nie zdradzali się z uczuciami, pozwalając sobie jedynie na poranne "dzień dobry" pod adresem szefa (jak mówili agenci o swoim prezydencie). Byli mu więc oddani prawie jak niewolnicy i chociaż nie brakowało wśród nich osób wykształconych, przeważnie traktowali świat bardzo po prostu, co,

zdaniem Fowlera, miało ogromny sens. Ktoś musiał, ostatecznie, niezależnie od swego wykształcenia, co do joty wykonywać rozkazy i polecenia przełożonych. Uzbrojeni po zęby agenci przysięgali, że będą chronić prezydenta, do tego wręcz stopnia, że własnym ciałem będą go zasłaniać przed zamachowcami (nazywali ten manewr między sobą "połykaniem kuli"), lecz i tak Fowler nie mógł wyjść z podziwu, iż młodzi, inteligentni ludzie dobrowolnie i z oddaniem zgadzają się na los równie głupi. Sam jednak mógł się tylko cieszyć oddaniem agentów, a w tym wypadku, ich dyskrecją. Dowcipni powiadali przecież, że w obecnych czasach coraz trudniej o dobrą służbę. Rzeczywiście: trzeba było zostać aż prezydentem, żeby zyskać podobną, w dodatku jeszcze Tajną.

Fowler wolną ręką sięgnął po kawę. Nie uznawał mleka. Po pierwszym łyku pstryknął też pilotem telewizora, nastawionego na wiadomości z CNN. Kolejny dzień mowa była, oczywiście, o Rzymie, gdzie dochodziła druga po południu.

- Mmmmmmm - zamruczała znów Elizabeth, podnosząc się i omiatając włosami tors prezydenta. I tym razem zbudziła się wolniej od niego. Fowler przeciągnął palcem po kręgosłupie śpiącej, która znów go objęła, po czym nagle otworzyła oczy i w przerażeniu poderwała głowę.

- Bob!

- Tak?

- Ktoś wchodził do sypialni! - Elizabeth wskazała na tacę z filiżankami. Było jasne, że Fowler nie przyniósł jej sam.

- Może kawy?

- Bob!

- Uspokój się, Elizabeth, przecież ci ludzie za drzwiami doskonale wiedzą, że tu jesteś. Przed kim mamy się chować? Przed nimi? I tak założyli tu na pewno swoje mikrofony! - Nigdy dotąd prezydent nie wypowiadał się w ten sposób. Nie miał pewności co do mikrofonów, starannie unikał okazji, by o to zapytać, lecz podejrzenie narzucało się samo przez się. Paranoja instytucji w rodzaju Tajnej Służby sięga tak daleko, że jej agenci, oprócz prezydenta, nie ufają nikomu ani niczemu - Elizabeth także nie. Powiedzmy, że umyśliła sobie go zabić... Agenci muszą wiedzieć, co się dzieje w sypialni, by w odpowiedniej chwili wdrzeć się do środka i celnym ogniem uwolnić JASTRZĘBIA od kochanki. Mikrofony, tak? A może nawet kamery? Chyba jednak nie, ale co do mikrofonów, Fowler mógł iść o zakład. Odkrył przy tym, że taka myśl może być nawet podniecająca, choć felietoniści nigdy by w to nie uwierzyli. Ich Robot i coś takiego?!

- O, Boże! - obecność mikrofonów nie przysłała dotąd Elizabeth do głowy. Poderwała się z pościeli, przez sekundę pozwalając Fowlerowi podziwiać kołyszący się biust. Prezydent nie uznawał jednak porannych zabaw. Szkoda dnia.

- Elizabeth! Ja tu rządzę, nie oni. - Widocznie pani doradca także obawiała się kamer, bo szczerze otuliła się kołdrą. Fowler na widok tych głupstw tylko się uśmiechnął.

- Naprawdę nie chcesz kawy?

Przerażona Elizabeth nareszcie poweselała. Rzeczywiście, co z tego, że siedzi nagusieńka w łóżku prezydenta, kiedy za drzwiami czuwają uzbrojeni strażnicy? Ale zaraz, przecież Bob... wpuścił kogoś do środka! Cóż za bezmyślność z jego strony. Czy przynajmniej zakrył ją kołdrą? Chciała o to najpierw zapytać, lecz postanowiła zamilczeć w obawie, że znów zaczęłyby się jakieś niesmaczne żarciki. Fowler rozkwitał cały, gdy miał się nad kim poznęcać. Choć z drugiej strony... Jeszcze nigdy w życiu nie trafił jej się facet lepszy w łóżku od Fowlera. Od Boba. Kochała się pierwszy raz od lat, lecz Bob okazał się tak cierpliwy, tak... pełen szacunku? Nie, tak ustępliwy. Elizabeth Elliot uśmiechnęła się sama do siebie tajemniczo. Fowler robił wszystko, czego tylko zechciała i kiedy tylko zechciała, a co więcej, oddawał się temu bez reszty, gdyż uwielbiał sprawiać kobiecie

przyjemność. Skąd się to u niego wzięło? - zastanawiała się Liz. Może chciał, by i kobiety sobie go zapamiętały. Ostatecznie jako polityk na pewno pragnął, by historycy poświęcili mu choć linijkę. Na pewno poświęcą, co do tego Liz Elliot nie miała wątpliwości. Do historii przechodził każdy prezydent bez wyjątku, nawet tak beznadziejny jak Grant czy Harding, a biorąc pod uwagę to, co się teraz dzieje... Proszę, nawet w łóżku Fowler chciał okazać się godny wspomnienia, i dlatego zrobi wszystko, czego zażąda kobieta - kobieta, która nie boi się żądać.

- Nastaw trochę głośniejsze - zażyczyła sobie. Zauważyła z satysfakcją, że Fowler natychmiast usłuchał. Nawet tutaj chce się wykazać. Tak? W takim razie jakim prawem wpuścił do pokoju jakiegoś pikolaka z kawą?! Ciężko jej było pojąć, co siedzi w tym człowieku, który właśnie zaczytał się po uszy w telefaksach z Rzymu.

- Kochanie, wygląda na to, że się nam uda. Mam nadzieję, że spakowałaś walizki?

- Jak to?

- Wczoraj wieczorem Saudyjczycy i Izraelczycy dogadali się wreszcie co do jednej z podstawowych spraw... tak pisze mi Brent. Boże, to chyba niemożliwe! Odbył z każdą z delegacji osobne tajne konsultacje i przekonał się, że obie chcą wysunąć identyczny wniosek... Zamiast im o tym powiedzieć, zaczął kursować między delegacjami i powtarzał jednym i drugim, że ta druga strona prawdopodobnie się zgodzi... A po kolejnej rundzie zapewniał ich już o tym na sto procent! To dopiero! - Fowler klepnął dłonią w wydrukowaną stronicę. - Mało kto się tak sprawdził, jak Brent, może jeszcze ten cały Ryan. Oczywiście woda sodowa, ale to on poddał pomysł, żeby...

- Co ty wygadujesz, Bob? Przecież nie Ryan to wymyślił. Wyczytał to gdzieś, poskładał jedynie do kupy wszystko, co masa ludzi powtarzała przez ostatnie lata. Arnie dał się na to nabrać tylko dlatego, że nie wychyla nosa za bramę Białego Domu. Przypisywać Ryanowi jakąś zasługę? Równie dobrze możesz mu dziękować, że zorganizował dla ciebie wspaniały zachód słońca.

- Może masz rację - powstrzymał wywód Liz prezydent, który myślał raczej o zasadności kontrproponcji Ryana podczas posiedzenia, ale machnął ręką. Po co ma się drażnić z Elizabeth. - Za to Ryan spisał się u Saudyjczyków. Pamiętasz?

- Spisywałyby się jeszcze lepiej, gdyby tyle nie trzaskał dziobem. Co z tego, że namącił w głowie Saudyjczykom? Daleko jeszcze od tego do globalnej polityki Stanów Zjednoczonych, nieprawda? Ryan to tylko chłopiec na posyłki, a tak naprawdę, pomogli ci Brent i Dennis.

- Czy ja wiem? Pewnie znowu masz rację. Ostatecznie to Brent i Dennis uzyskali od wszystkich ostateczną zgodę na konferencję... Brent pisze, że potrzebne mu jeszcze trzy dni, góra cztery. - Prezydent podał Elizabeth wydruki. Pora była już wstawać i brać się za toaletę, lecz jeszcze na sekundę sięgnął pod kołdrę i przesunął dłonią po wypukłości, by w ten sposób przekazać swoją...

- Przestań! - wrzasnęła Elizabeth i roześmiała się, obracając swoją reakcję w żart. Oczywiście, przestał. Żeby osłodzić Fowlerowi ten cios, pozwoliła mu się pocałować tak jak tego chciał, choć wolałaby szczerze, by najpierw umył jednak zęby.

- Co dają? - zapytał jeden z kierowców na rampie tartaku. Na placu stały cztery ogromne naczepy do przewozu dźwigów, czekając na transport do portu - Skąd ja znam te platformy?

- Budulec do Japonii - burknął dyspozytor, przebiegając wzrokiem wręczony mu list przewozowy.

- Wielkie rzeczy, stąd wszystko idzie do Japonii.

- Ale to specjalne zamówienie. Płacą ekstra, żeby im nie ciąć tych pni, wynajmują naczepy, wszystko. Z tego drewna mają być jakieś słupy albo dźwigary do świątyni czy inne cuda. Przypatrz się z bliska, wszystkie pnie spięli ze sobą łańcuchami. Przewiązali je też jedwabnym sznurem,

łańcuchy dodali dla pewności, żeby się im to wszystko nie rozsypało. Mówią, że tak chce tradycja świątyni albo coś. Chłopaki dobrze się napocą, żeby załadować taką wiązkę na pokład.

- Specjalnie wynajęli te wozy, żeby nie rozdzielać pni? Spięli łańcuchami? Do końca im odbiło! Nie wystarczy mieć pełno forsy, trzeba jeszcze myśleć.

- Ty myśl lepiej o sobie - przerwał kierowcy dyspozytor, wściekły, że ilekroć podpisuje obcemu list przewozowy, zaczynają się te same pytania.

Potężne pnie spoczywały jeszcze na placu. Dyspozytor domyślał się, że firma chce je trochę przesezonować, z tym tylko, że ktokolwiek wpadł na ten genialny pomysł, miał nie po kolei we łbie. Obecne lato było najwilgotniejsze w historii regionu słynącego tak czy inaczej z obfitych opadów. Pnie, porządnie mokre kiedy je spiłowano, teraz chłoneły na placu dodatkowe tony wody. Wprawdzie pni nie okorowano, lecz i tak piły wodę w miejscach, gdzie odrąbano konary. Deszcz wnikał w odsłonięte naczynia włoskowate i mościł się w drzewnych słojach. Zamiast przeschnąć, drewno nabierało dodatkowego ciężaru. Dyspozytor pomyślał, że warto by zakryć pnie brezentem, ale co to da? I tak będą piły wilgoć z powietrza, a polecenie z dyrekcji mówiło wyraźnie, żeby nie zdejmować pni z naczep. Padało w najlepsze. Plac zmieniał się w trzęsawisko, przegarniane kołami kolejnych ciężarówek i ładowarek. Co tam, Japończycy na pewno już ułożyli dokładny plan, jak przesezonować i obrobić drewniane bele. Polecenia skutecznie uniemożliwiały sezonowanie transportu po tej stronie Pacyfiku. Ba, nawet na statku pnie miały jechać na pokładzie, nie w ładowni, załadowane jako ostatnia partia frachtu na wypływający do Japonii motorowiec MV "George McReady". Zapłacili, ich sprawa. Kłopot będą za to mieli dokerzy, pomyślał dyspozytor. Jeśli pnie jeszcze trochę nasiąkną, to gdy ktoś je upuści przypadkiem do rzeki, natychmiast pójdą pod wodę.

Wieśniak wolał nie krępować swoich wnucząt, sarkających wciąż na jego zacofanie. Nie chciały dawać się ścisnąć i całować, na pewno też skarżyły się ojcu, że nie mają ochoty jechać do dziadzi. Wieśniak nie przejmował się tym wcale. W dzisiejszych czasach dzieci nie potrafią tak uszanować starszych, jak on sam w ich wieku. Może taka jest właśnie cena, jaką płacą za swą niespotykaną szansę życiową. Mechanizm zmiany pokoleń zaczął ostatnio zgrzytać. Stary Druz żył wprawdzie prawie tak samo jak dziesięć poprzednich generacji, lecz jego syn, choć kaleka, radził sobie coraz lepiej, a jego dzieciom niczego już chyba nie zabraknie. Obaj chłopcy byli dumni z ojca. Jeśli koledzy szkolni zaczęli wydrwiwać ich drużyjską religię, mogli krzyczeć głośno, że ich tato przelewał krew, walcząc przeciwko izraelskim psom, ba, osobiście zabił paru syjonistów. Rząd Syrii umiał się po swojemu odwdzińczyć weteranom wojennym. Syn wieśniaka mógł więc spokojnie prowadzić interes, nie niepokoiony przez władze, czego nie mogło o sobie powiedzieć wielu innych Druzów. Ożenił się późno, co w tej okolicy stanowiło ewenement, za to żonę wziął sobie niebrzydką i posłuszną. Synowa dbała o samotnego teścia, być może powodowana wdzięcznością, że nie chciał wcale się sprowadzać do jej skromnego gospodarstwa. Wieśniak był niesłychanie dumny ze swych wnuków, silnych, zdrowych chłopaków, upartych i nieposłusznych dokładnie tak, jak trzeba. Z ojcowską dumą nie krył się także syn wieśniaka, któremu zaczynało już się powodzić całkiem nieźle. Kiedy stary ojciec i syn zjedli południowy posiłek, wyszli z chatki. Syn spojrzał na zagony, które niegdyś sam pielął, i poczuł się winny, że jego własny ojciec wciąż musi się co dzień mozolić. Może jednak znów poprosić ojca, by z nimi zamieszkał? Albo któryś już raz zaofiarować mu wsparcie pieniężne? Ojciec zawsze dotąd odmawiał. Nie miał wiele dobytku, lecz nie zbywało mu na upartej dumie.

- Warzywnik wygląda w tym roku pierwszorzędnie, ojcze.

- Tante deszcze mu pomogły - zgodził się wieśniak. - Nie uwierzysz, jakie mam zatrzęsienie

jagniąt. Rok owszem, nie mogę narzekać. Ale co u ciebie?

- Mam najlepszy rok w życiu, ojczu. Żal mi tylko, że musisz się tu mordować.

- Iii tam! - Wieśniak machnął dłonią. - A bo to ja znam inne życie? Tutaj mam swoje miejsce.

Co tu mówić, odważny ten ojciec, przeszło synowi przez myśl. W samej rzeczy, ojciec potrafił się nie bać, tak samo jak umiał, mimo wszystko, znosić swój los. Może nie przekazał synowi majątku, lecz na pewno wpoił mu ten sam stoicyzm i odwagę. Przecież ocknął się z kontuzji na Wzgórzach Golan, dwadzieścia metrów od dymiącego wraku transportera, mógł zamknąć oczy i umrzeć: wiedział już, że stracił oko, a jego lewa ręka zmieniła się w miazgę, amputowaną później przez lekarzy. Mógł zlec na ziemi, by skonać. Wiedział jednak, że ojciec postąpiłby inaczej. Dźwignął się więc na nogi i przemaszerował sześć kilometrów do batalionowego punktu opatrunkowego, do którego doniósł nawet swój automat i pozwolił się opatrzyć dopiero, kiedy powiadomił personel o kolegach. Otrzymał za ten czyn odznaczenie, a po demobilizacji dowódca jego dawnego batalionu ułatwił mu życie, pożyczając gotówkę na założenie sklepiku i uprzedzając miejscowych funkcjonariuszy, że tego kalekę mają uszanować. Pieniądze pochodziły więc od pułkownika, odwagę jednak dał mu tylko ojciec. Wielka szkoda, że tak uparcie odmawia pomocy.

- Synu, potrzebuję twojej porady.

Oho, coś nowego.

- Słucham cię, ojczu.

- Chodź, to coś ci pokażę. - Wieśniak poprowadził syna między zagony, w stronę grządek marchwi. Potem odgarnął stopą ziemię z... - Nie rusz! - Syn prawie wpadł w histerię. Wziął ojca pod ramię i odciągnął go jak najdalej. - Wielki Boże! Od dawna tak to leży?

- Od dnia, kiedy cię ranili - odparł wieśniak.

Ręka syna odruchowo dotknęła przepaski na oku. Na mgnienie powrócił do niego horror tamtej chwili. Oślepiający błysk, szybowanie w powietrzu, krzyk palących się żywcem kolegów. A wszystko to robota Izraela. Izrael wycelował armatą w matkę... Teraz zaś...to.

Właśnie, co to takiego? Nakazując ojcu trzymać się z daleka, syn zbliżył się do grządki. Stawiał każdy krok tak ostrożnie, jak gdyby stąpał po polu minowym. W wojsku służył w kompanii saperskiej i chociaż podczas bitwy szli jako drugi rzut za piechotę, wyszkolono ich do stawiania pól minowych. Pocisk był ogromny, wyglądał jak jednotonowa bomba. Na pewno izraelska, łatwo to było poznać po kolorze pancerza. Syn odwrócił się i zawołał:

- Naprawdę tyle lat tu leży?

- Naprawdę. Zrobiła dziurę w ziemi, więc ją zasypałem. Pewno mrozy wypchały na powierzchnię. Myślisz, że może wybuchnąć? Przecież na pewno zepsuta?

- Ojczu, takie coś zawsze może wybuchnąć. Taka tonówka, jak rąbnie, zrówna z ziemią dom i resztę okolicy.

Wieśniak machnął ręką z lekceważeniem i zauważył:

- Gdyby chciała, to by już rąbnęła przy upadku.

- Nieprawda, ojczu! Musisz mi uwierzyć. Nie wolno ci się nawet zbliżać do tego diabelstwa!

- Ale co będzie z ogródkiem?

- Już ja znajdę sposób, żeby się tego pozbyć. Dopiero wtedy będziesz mógł wrócić na zagon.

Syn zamyślił się teraz. Kłopot, wielki kłopot. Syryjska armia nie dysponowała saperami, którzy umieli rozbijać niewypały. Kiedy znajdowano bombę, wysadzano ją w powietrze na miejscu, co było oczywiście rozsądne... Ojciec nie przeżyje utraty domu. Żona z kolei będzie krzywo patrzeć na obecność starca u siebie. Odbudowa domu przez niego, kalekę, też nie wchodzi w rachubę. Trzeba więc wywieźć bombę, tylko kto się tego podejmie?

- Masz mi w tej chwili przyrzec, że nie wejdiesz między zagony! - obwieścił surowo syn.

- Będzie, jak sobie życzysz - odparł wieśniak. Nie miał najmniejszego zamiaru zastosować się do polecenia. - Powiadasz, że kiedy da się to usunąć?

- Jeszcze nie wiem. Daj mi parę dni, to się rozpytam.

Wieśniak pokiwał głową. Może nawet zastosuje się do synowskiej przestrogi, o tyle, że nie będzie podchodził do bomby. Inna rzecz, że ta na pewno jest zepsuta. Stary poznał okrucieństwo losu. Gdyby bomba chciała go zabić, zrobiłaby to dawno. W końcu tyle innych nieszczęść spadło już na ich dom.

Dziennikarze dopadli wreszcie tematu na następny dzień. Na oczach wszystkich specjalny samochód przywiózł pod bazylikę patriarchę Konstantynopola Dimitriosa Stawarkosa, który uparcie odmawiał latania helikopterem.

- Zakonnica z brodą? - nie wierzył własnym oczom amerykański kamerzysta, najeżdżając teleobiektywem na postać. Zapomniał nawet, że mówi do mikrofonu. Gwardia szwajcarska u wrót sprezentowała broń, a biskup O'Toole wprowadził dostojnego gościa za próg. Tyle go widziano.

- Kościół grecki - zauważył natychmiast sprawozdawca. - Ktoś z greckiej Cerkwi prawosławnej, na pewno biskup albo inny dostojnik. Ale skąd się tu wziął?

- Co wiemy o tej całej Cerkwi greckiej? - zapytał natychmiast redaktor programu.

- Nie uznają papieża. Księżom wolno się żenić. Izraelczycy zamknęli kogoś od nich do pudła za szmugiel broni dla Arabów - przypomniał jeden z członków ekipy na drugim końcu przewodu.

- Grecy, którzy lubią Arabów i nie kochają papieża? A co na to wszystko Izrael?

- Nie mam bladego pojęcia - przyznał redaktor. - Może warto się trochę popytać?

- Jednym słowem, rokowania objęły już cztery różne wyznania?

- Zaraz, czy Watykan jest stroną w rozmowach, czy tylko udzielił neutralnego terytorium dla delegacji? - zapytał prezenter, bożyszczce telewidzów Ameryki. Jak większość kolegów po fachu, najlepiej czuł się recytując gotowe zdania z czytnika za kamerą.

- Nie wiem, tego jeszcze nie grali. Dawniej, jak słyszałeś "neutralny", waliłeś prosto do Genewy - zauważył kamerzysta. W Genewie zawsze mu się podobało.

- Co dają? - Do boksu ekipy wpadła redaktorka zatrudniona jako konsultant. Prędko powiedziano jej o nowej postaci.

- No, gdzie ten cholerny konsultant...! - zamruczał złowrogo prezenter.

- Możecie cofnąć taśmę? - zapytała redaktorka. Gdy koledzy spełnili jej prośbę, zatrzymała klatkę na monitorze.

- Dimitrios Stawarkos. Patriarcha ekumeniczny Konstantynopola. No tak, dla ciebie, Rick, trzeba mówić Istambuł. Głowa wszystkich Kościołów prawosławnych, coś jak papież. Cerkwie grecka, rosyjska i bułgarska mają każda swojego patriarchę, ale ci także uznają zwierzchnictwo Konstantynopola. Tak to mniej więcej wygląda.

- Co to za gadanie, że księżom wolno się żenić?

- Popom rzeczywiście wolno... Ale przypominam sobie, że powyżej godności biskupa trzeba żyć w celibacie.

- Dupa blada - skwitował informację Rick.

- To właśnie Stawarkos w zeszłym roku pożarł się z katolikami o prawo do pasterki w Betlejem. Porządnie wkurzył paru biskupów. Skąd się tu wziął, do cholery?

- Od ciebie chcielibyśmy to usłyszeć, Angie! - napomniął ją prezenter.

- Nie sraj w gacie, Rick. - Angie Miriles miała serdecznie dosyć nadętej primadonny programu.

Przez minutę czy dwie popijała kawę, po czym obwieściła: - Chyba wiem.

- To może... może się z nami podzielisz?

- Witaj mi! - Kardynał D'Antonio ucałował Stawarkosa w oba policzki. Dotyk bujnej brody napawał go odrazą, lecz cóż było począć. Kardynał wprowadził patriarchę do sali posiedzeń. Wzdłuż stołu siedziało tam szesnaście osób, wpatrzonych w pusty fotel przy krótszym boku mebla. Tam też zasiadł Stawarkos.

- Dziękujemy za przybycie do naszego grona - odezwał się sekretarz stanu Talbot.

- Nie lekceważy się podobnych zaproszeń - odparł patriarcha.

- Ufam, że możemy rozmawiać o konkretach? - padło następne pytanie. Umysłny posłaniec zawczasu dostarczył patriarsze komplet materiałów.

- Plan jest niezmiernie ambitny - ostrożnie odpowiedział Stawarkos.

- Czy jednak Cerkiew akceptuje swoją rolę w porozumieniu?

Za prędko, za prędko, pomyślał patriarcha. Cóż miał jednak odpowiedzieć.

- Owszem - rzekł więc po prostu. - Domagam się tylko pełnomocnej zwierzchności nad wszystkimi przybytkami chrześcijaństwa w całej Ziemi Świętej. Jeśli uzyskam zgodę na tenże warunek, z radością przyłączę się do porozumienia.

D'Antonio zdołał zachować neutralny wyraz twarzy. Wziął głęboki oddech i zmówił w duchu modlitwę o Boże wstawiennictwo. Nie wiedział później, czy nie pomogła właśnie modlitwa.

- Bardzo to poważny warunek jak na obecny etap rozmów. - Wszystkie głowy zwróciły się w stronę Dmitrija Popowa, pierwszego zastępcy ministra spraw zagranicznych ZSRR. - Nie jest też rzeczą rozważną domagać się jednostronnych ustępstw w sytuacji, kiedy inne strony same zgodziły się pójść na ustępstwa. Czy tylko z tego powodu Cerkiew ma storpedować plan?

Patriarcha nie nawykł do bezpośrednich napaści.

- Kwestia praw do przybytków chrześcijańskich nie dotyczy bezpośrednio żadnego z punktów planu, Wasza Eminencjo - wtrącił z kolei Talbot. - Uważamy stawianie tego rodzaju warunków za nieporozumienie.

- Być może źle odczytałem materiały, które mi dostarczono - zgodził się z nim Stawarkos, maskując odwrót. - Czy byłby pan w takim razie skłonny opisać zakres mojej przyszłej jurysdykcji?

- Nigdy w życiu - upierał się prezydent.

- Niby dlaczego? - Angela Miriles nie ustępowała. - A masz jakieś lepsze wytłumaczenie?

- Co ty, nigdy na to wszystko nie pójda.

- Pewnie, idzie o całość. - zgodziła się Miriles. - Tylko znajdź mi lepsze wytłumaczenie.

- Uwierzę ci, jak sam zobaczę.

- Zobaczysz albo nie zobaczysz. Stawarkos nie przepada za Rzymem. W ostatnie Boże Narodzenia naprawdę wzięli się za łby.

- Jak to się stało, że nie podawaliśmy o tym?

- Normalnie, za dużo było roboty z tym gwiazdkowym materiałem o słabych wynikach w handlu. "Ty dupo" dodała jeszcze w myśli redaktorka.

- Mielibyśmy więc ustanowić osobną komisję? - Stawarkosowi nie w smak była ta koncepcja.

- Metropolita życzy sobie wysłać własną delegację - powtórzył Popow, który nadal bardziej wierzył w Marksa niż w Boga, lecz poza tym był święcie przekonany, że rosyjska Cerkiew prawosławna, właśnie z racji, że jest rosyjska, musi znaleźć sobie odpowiednie miejsce w

porozumieniu, jeśli to ostatnie ma cokolwiek oznaczać. Problem był drobny, lecz istotny. - Przyznam się szczerze, iż nie pojmuję zagadnienia. Czy zebraliśmy się po to, by ustalić, który z Kościołów chrześcijańskich jest ważniejszy? Kiedy postanowiliśmy ostatecznie rozwiązać rozjątrzony konflikt między Żydami a muzułmanami, ma się oto okazać, że na przeszkodzie do takiego celu staje nie kto inny, jak chrześcijanie?

Popow trochę przesadza z aktorstwem, podnosząc wzrok ku sklepieniu, pomyślał kardynał D'Antonio. Po namyśle zmienił swoją dotychczasową koncepcję i rzekł:

- Aby rozstrzygnąć to poboczne zagadnienie, najlepiej będzie powołać komisję spośród duchowieństwa obu wyznań. - Po czym wbrew sobie odważył się dodać: - Przysięgam wam przed Bogiem, panowie, że oznaczać to będzie koniec tych sekciarskich sporów!

Już to kiedyś słyszałem, pomyślał z kolei Stawarkos. A przecież, w istocie... Nie najlepszy to czas na marne swary. Duchowny przypomniał sobie nagle słowa Pisma, w które wierzył przecież całą duszą. "Nie dość, że robię z siebie durnia, to jeszcze na oczach katolików i Rosjan!" powiedział w duchu. W dodatku Turcy coraz gorzej znosili jego obecność w Istambule - w Konstantynopolu! - a tym samym porozumienie i pod tym względem zjednałoby Metropolii ogromny prestiż i poważanie.

- Proszę wybaczyć mi chwile słabości. Niedobrze, gdy pamięć o pożałowania godnych incydentach każe nam zamknąć uszy na to, co podszeptuje rozsądek. Owszem, moja Cerkiew poprzez warunki traktatu. Tuszę jednak, że moi bracia w Chrystusie dotrzymają raz danego słowa.

Sekretarz stanu Talbot nieznacznie osunął się w fotelu i wymamrotał cichą modlitwę dziękczynną. Jako polityk nie miał zwyczaju się modlić, lecz w tym otoczeniu trudno było o bardziej naturalną reakcję.

- W takim razie nie pomyłę się, stwierdzając, że doszliśmy do porozumienia. - Talbot rozejrzał się wokół stołu, patrząc, jak zebrani kolejno potakują jego słowom, jedni entuzjastycznie, inni znów z rezygnacją. Wszyscy jednak przytaknęli. Porozumienie stało się faktem.

- Panie Adler, jak prędko będziemy gotowi do parafowania dokumentu? - zapytał D'Antonio.

- Za dwie godziny, Wasza Eminencjo.

- Wasza Świątobliwość - rzekł Talbot, podnosząc się z fotela - Wasza Eminencjo, Wasza Czcigodność, Wasza Wysokość, panowie ministrowie... Doszliśmy do zgody!

Dziwna rzecz, ale zgromadzeni nadal nie pojmowali, co ma teraz nastąpić. Korowody dyplomatyczne trwały od dłuższego czasu, lecz oto rozmowy wydały wreszcie owoc, jakże niepodobny w swojej realności do poprzednich planów. Fakt, że wszyscy zgromadzeni znaleźli się nagle w punkcie, do którego tak długo dążyli, dziwił ich niepomiernie i wbrew doświadczeniu dyplomatycznemu i wiedzy każdego z uczestników, nadawał spotkaniu posmak fantazji. W ślad za Talbotem obecni jeden po drugim wstali z miejsc. Ruch ten otrzeźwił ich wreszcie. Zaczynali już powoli ogarniać całość dzieła, którego stali się współautorami. Niemożliwość stała się faktem.

Dawid Aszkenazi podszedł do siedzącego naprzeciw księcia Alego, który reprezentował Rijad podczas rozmów, i pierwszy wyciągnął dłoń. Za mało: książę odwzajemnił się ministrowi mocnym uściskiem.

- Bóg niech zaświadczy, Dawidzie, że odtąd zapanuje między nami pokój.

- Po tylu latach, Ali - odpowiedział na to niegdysiejszy izraelski czołgista. Aszkenazi był porucznikiem podczas wojny o Suez w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku, jako kapitan znów walczył na Synaju w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym, a batalion rezerwy, w którym służył w siedemdziesiątym trzecim rzucono do obrony Wzgórz Golan. Obu polityków zaskoczyły powszechne oklaski. Izraelczyk zawstydził się zaraz jeszcze bardziej, bo nieoczekiwanie zalał się łzami.

- Proszę się nie wstydzic, ministrze. Wszyscy znamy twoją odwagę - powiedział taktownie Ali.
- Powiem ci, Dawidzie, że słusznie nam, żołnierzom zostawiono zawarcie pokoju.
- Tylu ludzi zginęło. Tylu młodych... Po obu stronach, Ali. Tylu chłopców...
- Nie będą już ginąć.
- Dmitrij, twój wkład był nadzwyczajny - oznajmił Talbot radzieckiemu delegatowi przy drugim końcu stołu.
- Prawda, jak dobrze się dzieje, kiedy idziemy ręka w rękę? Talbotowi dopiero teraz zaświtała myśl, którą podzielił się już Aszkenazi.
- Patrz, Dmitrij, dwa pokolenia poszły tymczasem na marne. Tyle lat wyrzuciliśmy w błoto.
- Straconego czasu nie wrócisz - odrzekł Popów. - Odtąd możemy najwyżej przestać go marnować. - Po namyśle uśmiechnął się nagle i zauważył: - W takich chwilach powinna się znaleźć wódka!
- Nie wszyscy tutaj piją - Talbot ruchem podbródka wskazał na księcia Alego.
- Nie piją i żyją? - zarechotał Popow.
- Jeszcze jedna zagadka życia, Dmitrij. Pora nam wysłać depesze.
- Pora najwyższa, przyjacielu.

Furia zgromadzonych w Rzymie korespondentów sięgnęła zenitu, kiedy się okazało, że jako pierwsza podała wiadomość o porozumieniu reporterka "Washington Post", która na dodatek nie ruszyła się nawet ze Stanów. Inaczej być jednak nie mogło, gdyż dziennikarka miała własną wtyczkę, w postaci koleżanki-sierżanta lotnictwa, zajmującej się konserwacją urządzeń elektronicznych na pokładzie VC-25A, czyli nowej prezydenckiej wersji boeinga 747. O tym, że prezydent poleci do Rzymu, wiedzieli wszyscy; nikt nie miał jednak pojęcia, kiedy to dokładnie nastąpi. Dziennikarka z góry ustaliła z koleżanką sposób przekazania tej informacji: po otrzymaniu daty i godziny wylotu pani sierżant zadzwoniła więc do domu, pytając, czy jej drugi mundur wrócił już z pralni. Nie jej wina, że dzwoniąc za pierwszym razem pomyliła numer telefonu. Tak przynajmniej miała się tłumaczyć, gdyby ją przyłapano. Nie przyłapano jej jednak, ani tym razem, ani przy różnych późniejszych okazjach.

Godzinę później, podczas codziennej konferencji z udziałem rzecznika prezydenta, akredytowany przy Białym Domu korespondent "Washington Post" oznajmił, że ponieważ z "nie potwierdzonych doniesień" wynika, że Fowler wyrusza do Rzymu, chciałby zapytać, czy oznacza to sukces rokowań, czy też ich kompletny impas? Osobisty rzecznik prezydenta nie miał pojęcia, jak powinna brzmieć odpowiedź, gdyż o rychłym wylocie do Rzymu sam dowiedział się raptem dziesięć minut wcześniej i normalną koleją rzeczy obiecał traktować tę informację jako ściśle poufną, a z obietnicami tego rodzaju nie było żartów. Rzecznik nie zdołał nawet ukryć swojego zaskoczenia pytaniem, a to z kolei wprawiło w zakłopotanie korespondenta. W "Washington Post" planowano nadać przeciekowi rozgłos dopiero po zakończeniu południowej konferencji prasowej. Jednak wątle "Bez komentarza", jakie padło z ust rzecznika, nie zaspokoilo pozostałych korespondentów, którzy zwęszyli krew. Każdy z nich miał w ręku odbitkę grafiku zapowiedzianych spotkań głowy państwa i łatwo mógł sprawdzić, które z nich odwołano.

Personel sztabu prezydenta właśnie odwoływał wszystkie spotkania i wystąpienia publiczne, dzwoniąc do poszczególnych polityków i instytucji. Nawet prezydent Stanów Zjednoczonych nie może sobie pozwolić na zrywanie spotkań z ważnymi osobistościami bez uprzedzenia; jednak o ile same osobistości potrafiły zachować to dla siebie, nie zawsze można było powiedzieć to o ich sekretarzach czy asystentach. Całość okazała się klasyczną powtórką z zasady, na której opiera się

mechanizm wolnej prasy, głoszącej, że ktokolwiek o czymkolwiek wie, natychmiast podzieli się tą wiedzą z innymi - a już szczególnie, jeżeli rzecz powinna pozostać tajemnicą. Dlatego zanim upłynęła godzina, z czterech rozmaitych źródeł nadeszło potwierdzenie: prezydent Fowler odwołał wszystkie spotkania na następne cztery dni. Oznaczało to, że prezydent wyrusza w podróż, w dodatku na pewno nie do Milwaukee. Fakt ten kazał kierownictwu sieci telewizyjnych przerwać całą masę wieczornych teleturniejów pospiesznie napisanymi komunikatami o podróży głowy państwa do Rzymu, po których zaraz nadano reklamy. Telewizyjna widownia nie dowiedziała się więc, jak prawidłowo nazywa się rodzina ssaków zamieszkujących Australię, lecz przynajmniej mogła poznać nazwę i-d-e-a-l-n-e-g-o wybielacza do tkanin, pomagającego gospodyniom zwalczyć najbardziej uparte plamy.

W Rzymie dzień był upalny i wilgotny. Miało się dobrze pod wieczór, kiedy do centrum prasowego nadeszła wiadomość, że na miejsce obrad, przez tyle tygodni oglądane jedynie od zewnątrz, zostaną dopuszczone trzy albo cztery ekipy filmowe, choć bez towarzyszących im korespondentów. W przewoźnych garderobach zaparkowanych na placu kosmetyczki nakładały roboczy makijaż sprawozdawcom, którzy ze słuchawkami na uszach czekali już na polecenia z realizatorni.

Obraz, jaki pojawił się jednocześnie na monitorach wozów transmisyjnych i na ekranach telewizorów na całym świecie, ukazywał salę posiedzeń. Stał w niej duży stół, a wokół niego zasiadało mnóstwo osób. U szczytu stołu zajmował miejsce sam papież, dzierżąc wielostronicowy dokument formatu folio, oprawny w czerwoną cielejącą skórę. Reporterom nie dane było poznać rozmiarów paniki, jaka wybuchła w ostatniej chwili, kiedy się okazało, że nie wiadomo dokładnie, z jakiego zwierzęcia pochodziła skóra na oprawę. Na szczęście wiedział to introligator, a żadna ze stron nie miała nic przeciwko cielętom.

Zawczasu ustalono, że obędzie się bez końcowego komunikatu o konferencji. Każde z państw uczestniczących w spotkaniu miało po powrocie delegacji do poszczególnych stolic wydać własne oświadczenie, przy założeniu, iż na szczególnie kwieciste mowy przyjdzie pora podczas oficjalnego podpisania traktatu. Rzecznik Watykanu udostępnił dziennikarzom krótki materiał na temat wyników obrad. Dowiedziano się więc, że uczestnicy konferencji wspólnie wypracowali projekt traktatu, który w sposób ostateczny zakończy konflikt bliskowschodni, a obecna wersja zostanie parafowana przez obecnych w Rzymie przedstawicieli zainteresowanych stron. Za kilka dni natomiast oficjalny tekst ma zostać podpisany przez głowy poszczególnych państw lub przez ministrów spraw zagranicznych. Do tego czasu nie pada się do wiadomości publicznej ani tekstu traktatu, ani ogólnego brzmienia jego postanowień. Ta ostatnia wiadomość nie zachwyciła korespondentów, przede wszystkim dlatego, że w wyniku tej decyzji o brzmieniu szczegółów mieli dowiedzieć się najpierw dziennikarze w poszczególnych stolicach od swoich ludzi w ministerstwach spraw zagranicznych.

Czerwony tom wędrował od fotela do fotela. Porządek, w jakim parafowano dokument, ustalono w drodze losowania - co podkreślał watykański komunikat dla prasy. Okazało się więc, że pierwszy nakreślił swoje inicjały minister spraw zagranicznych Izraela, po nim szef dyplomacji radzieckiej, Szwajcar, Amerykanin, Saudyjczyk i wreszcie przedstawiciele Watykanu. Każdemu wręczano kolejno wieczne pióro i półokrągły bibularz. Zajmował się tym ksiądz, kroczący od fotela do fotela. Ceremonia odbyła się szybko i sprawnie. Potem nastąpiła wymiana uścisków dłoni i ogólne, długotrwałe oklaski. I już.

- Święty Boże - odezwał się wreszcie Jack Ryan, przyklejony do telewizora. Otrzymany telefaksem zarys głównych punktów traktatu niewiele się różnił od jego pierwotnego pomysłu sprzed kilku miesięcy. Saudyjczycy wnieśli swoje poprawki, podobnie jak Izraelczycy, Rosjanie,

Szwajcarzy i oczywiście Departament Stanu, lecz w dokumencie wciąż dało się poznać Ryanową koncepcję - choć o tyle nieoryginalną, że zapożyczoną z mnóstwa innych planów pokojowych. Niewiele pomysłów może chlubić się całkowitą oryginalnością. Jack Ryan w rzeczywistości uporządkował więc cudze koncepcje i przedstawił swoją kompilację w sprzyjającym momencie historii, to wszystko. Nie umniejszało to wcale dumy, jaką czuł w owej chwili. Jaka szkoda, że nie miał mu nawet kto pogratulować.

W Białym Domu najlepsza autorka wystąpień w sztabie Fowlera męczyła się już nad brudnopisem rzymskiej przemowy. Amerykańskiemu prezydentowi przypadała główna rola podczas nadchodzącej uroczystości, jako że to właśnie on był autorem nowego planu, przedstawionego w ONZ, z jego też inicjatywy doszło do rzymskiej konferencji. Oczywiście miał też przemówić papież... Kurczę blade, wszyscy mają przemawiać, pomyślała autorka mowy Fowlera, to zaś oznaczało kłopoty, bo trudno będzie uniknąć powtórzeń i mimowolnego podkradania sobie zwrotów. Przyjdzie pewnie stukać w klawiaturę mikrokomputera, już lecąc nad Atlantykiem na pokładzie 25A... Autorka pocieszała się myślą, że za to bierze w końcu pieniądze. Poza tym, na pokładzie Air Force One znajdzie się przecież drukarka laserowa.

Na górze, w Owalnym Gabinetcie, prezydent zapoznawał się z pospiesznie zmienionym grafikiem. Trudno, sprawi zawód delegacji skautów-przodowników, podobnie jak nowej Królowej Sera Na Stan Wisconsin (oj, chyba przekręcił tytuł tej czarującej młodej osoby). Zawiedzeni będą także ludzie interesu, którzy, choć ważni na swoim podwórku, po wejściu przez boczne drzwi do prezydenckiego gabinetu bledli przy głowie państwa dosłownie i w przenośni. Sekretarz odpowiedzialny za grafik odwoływał jedno spotkanie za drugim. Kilka szczególnie ważnych spotkań trzeba było wcisnąć w nieliczne wolne chwile podczas następných trzydziestu sześciu godzin, co oznaczało półtora dnia na wściekłych obrotach. Dla prezydenta nie była to zresztą nowina.

- I co tam? - Fowler podniósł głowę i ujrzał Elizabeth Elliot szczerzącą ku niemu zęby w uśmiechu przez otwarte drzwi gabinetu.

- Sam tego przecież chciałeś, prawda? Chciałeś, żeby pamiętano twoją kadencję jako czas ostatecznego i po wsze czasy zakońzonego bliskowschodniego sporu. Jeżeli uda się go zakończyć - dodała w myślach Liz Elliot w rzadkim przyływie obiektywizmu. W takich sporach jak ten nie ma stuprocentowych gwarancji.

- Wyświadczyliśmy przysługę całemu światu, Elizabeth - odezwał się Fowler. Elizabeth wiedziała, że "my" oznacza w tym wypadku "ja sam wyświadczyłem", ale trudno. Ostatecznie to Bob Fowler przez długie miesiące prowadził kampanię wyborczą, sprawując zarazem obowiązki gubernatora w Columbus, wygłaszał niezliczone mowy, całował niemowlęta w czółko i polityków zupełnie gdzie indziej, gładził po główkach zastępy dziennikarzy, których twarze zmieniały się dużo prędzej niż ostre, wciąż te same pytania... Fowler wygrał wyścig na wytrzymałość i otrzymał w nagrodę ten oto, niewielki gabinet, ośrodek władzy wykonawczej. Nawet tak twardy wyścig nie łamał jednak mężczyzn - zdaniem Liz, wstyd, że wciąż liczą się tu tylko mężczyźni - którzy ukończyli go zwycięsko. Nagrodą za wysiłek, za nie kończącą się wyborczą torturę było to, że każdy prezydent mógł poczytać sobie za osobistą zasługę, co tylko zechciał. Utarta tradycja kazała ludziom sądzić, że to prezydent dyryguje wszystkim i decyduje w każdej sprawie, a tym samym, jemu osobiście należą się oklaski bądź zgniłe pomidory. Jeśli coś się udało, to dzięki prezydentowi, jeśli coś poszło źle, to także przez niego. Dotyczyło to zwłaszcza wewnętrznych spraw kraju, migających wciąż wskaźników bezrobocia, podstawowej stopy procentowej w bankach, inflacji (ogólnej i w cenach detalicznych), a zwłaszcza przemożnych zbiorczych raportów o stanie gospodarki. Czasem jednak, kiedy w świecie

wydarzyło się coś naprawdę ważnego, Amerykanie obciążali prezydenta i za to. Elizabeth sama skłonna była przyznać, że świat zapamiętał Reagana głównie jako faceta, który zaplątał się przypadkiem na salę światowego kasyna w chwili, gdy Rosjanie zdecydowali się wreszcie zamienić marksistowskie żetony na gotówkę. Zasługę zgarnął jednak dla siebie jego następca Bush. To Nixon otworzył Ameryce wrota do Chin, to Carter w czarodziejski sposób osiągnął nieomal to, za co pamięta się będzie Fowlera. Nawet jeśli amerykańscy wyborcy stawiają na tego czy innego kandydata, kierując się podszeptami portfela, historia rządzi się innymi prawami. Kilkuwierszowych wzmianek w podręcznikach szkolnych i grubych uczonych tomów na swój temat doczekać się mogą tylko ci, którym udało się odmienić postać świata. Tylko to się naprawdę liczy. Historycy pamiętają tylko o autorach zmian politycznych - Bismarck jest więc dla nich kimś bliższym niż Edison. Z ich punktu widzenia, technologiczne zmiany w obrębie społeczeństwa są pochodną zmian politycznych, a nie odwrotnie (choć Elizabeth skłaniała się do przeciwnej opinii). Historiografia rządzi się własnymi prawami i zasadami, które niewiele mają wspólnego z rzeczywistością, przede wszystkim chyba dlatego, że nawet naukowcom spisującym kroniki po latach trudno jest ogarnąć rzeczywistość w jej rozlicznych przejawach. Politycy stosowali się do tych praw, podporządkowując się im bez szemrania w nadziei, że jeśli wydarzy się coś wiekopomnego, historycy zapamiętają właśnie ich nazwisko.

- Przysługę światu? - powtórzyła Elizabeth po dłuższej chwili. - Masz rację, o "służeniu światu" można mówić głośno. Wilsona nazywano człowiekiem, który ocalił nasz kraj od wojny. O tobie będzie się mówiło, że położyłeś kres wojnom.

Fowler równie dobrze jak Elizabeth pamiętał, że w kilka miesięcy po powtórny wyborze pod hasłami pacyfizmu, Wilson poprowadził Amerykę na wojnę, w dodatku światową i taką, która miała zakończyć wszystkie wojny. Tak nazywali pierwszą wojnę światową optymiści na długie lata przed zagładą Żydów i atomowym koszmarem. Obydwoje pomyśleli jednak, że tym razem mogą się ustrzec niewczesnego optymizmu. Wilsonowska wizja świata bez wojen dotarła oto wreszcie do polityków, którzy doprowadzili świat do obecnego stanu.

Chodziło wprawdzie o Druza, a więc niewiernego, lecz temu akurat człowiekowi należał się szacunek: bił się przecież sam z syjonizmem, nosił na ciele ślady owej walki i dostał nawet odznaczenie za dzielność. Nieludzka broń Izraela zabiła mu matkę, a co więcej, Druz gotów był zawsze spełnić każdą prośbę bojowników z ruchu. Kati wyznawał zasadę, że bojownikowi nie wolno odrywać się od mas. Już jako chłopiec przeczytał czerwoną książeczkę Mao, i nie miał tu oczywiście znaczenia fakt, że Mao, który prześladował religię i wyparł się samej idei Boga, był najgorszym spośród niewiernych psów. Rewolucjonista jak ryba pływa w oceanie nie uświadomionego chłopstwa, jeśli więc chce odnieść sukces w walce, musi zaskarbić sobie jego przychyłność - w tym wypadku przychyłność druzyjskiego sklepikarza. Druz, ilekroć mógł, wspomagał ruch pieniędzmi, a raz zgodził się przechować ранego bojownika we własnych progach. Nie zapomina się o takich długach. Kati wstał więc zza biurka, by ucisnąć dłoń i ostentacyjnie ucałować przybysza.

- Witaj, przyjacielu.

- Dziękuję, że zgodził się pan mnie przyjąć, komendancie. Sklepikarz był czemuś nerwowy. Kati zastanawiał się już, o co chodzi.

- Proszę, usiądźmy i pogadajmy. Abdullah, kawy dla gościa!

- Ależ proszę sobie nie robić...

- Głupstwo. Znamy cię jako towarzysza. Nigdy w nas nie zwątpiłeś, przez ile to lat?

Sklepikarz wzruszył ramionami, w duchu zacierając ręce na myśl, że inwestycja zaczyna oto

przynosić zyski. Bał się Katiego i jego ludzi, i tylko dlatego starał się żyć z nimi w zgodzie. Prócz tego skrupulatnie donosił syryjskim władzom o każdej swojej przysłudze, bo przed władzą także należało się mieć na baczności. W tej części świata zwykle utrzymanie się przy życiu stanowiło zawiłą formę sztuki, rodzaj gry hazardowej.

- Przychodzę po radę - odezwał się sklepikarz po pierwszym łyku kawy.

- Naturalnie. - Kati nachylił się ku niemu. - To dla mnie zaszczyt, że mogę ci się przysłużyć. W czym rzecz, przyjacielu?

- Idzie o mojego ojca.

- Wiele lat liczy sobie ojciec? - zapytał Kati. Wieśniak także obdarzał jego grupę prezentami, najczęściej w postaci ubitych jagniąt. Niby nikt ważny, ot, chłop, w dodatku niewierny, którego jednak łączył z grupą Katiego wspólny wróg.

- Sześćdziesiąt sześć. Ojciec na taki ogródek...

- Pamiętam, sam tam byłem, niedługo po tym, jak syjoniści zamordowali ci matkę - przypomniał Kati.

- Na grządce leży izraelska bomba.

- Bomba? Chciałeś powiedzieć, pocisk?

- Nie, komendancie, prawdziwa bomba. Widać, że ma z pół metra średnicy.

- Już rozumiem. Jeśli dowiedzą się o tym Syryjczycy...

- Właśnie, wysadzą ją w powietrze razem z domem. Ojciec straci schronienie, a ja... - gość wyciągnął przed siebie kikut lewej ręki - ja nie pomogę mu się odbudować. Ojciec też jest już na to za stary. Przychodzę, bo tylko pan, komendancie, może pomóc mi się pozbyć tego draństwa.

- Trafiłeś między właściwych ludzi. Od jak dawna bomba leży w ogrodzie?

- Ojciec powiada, że od dnia, kiedy mnie zranili. - Sklepikarz znów machnął kikutem ramienia.

- Poznać, że Allah uśmiechnął się w ten dzień do twej rodziny.

Ładny mi uśmiech, pomyślał z goryczą sklepikarz, lecz grzecznie przytaknął.

- Znamy cię jako najwierniejszego z przyjaciół, więc oczywiście możesz na nas liczyć. Mam u siebie kogoś, kto świetnie potrafi rozbijać i usuwać izraelskie bomby. Patroszy je i przerabia na ładunki na nasz użytek. - Tu Kati pogroził palem i dodał: - Ale tego nie wolno ci nikomu powtarzać.

Gość aż podskoczył na krześle.

- Komendancie, dla mnie możesz ich wszystkich pozabijać, jeśli taka twoja wola. A jeżeli jeszcze zdołasz zrobić użytek z tego, co te świny zrzuciły na ojcowski ogród, będę się modlił za ciebie i twoją walkę.

- Wybacz, przyjacielu, nie miałem zamiaru cię urazić. Sam rozumiesz, dlaczego muszę udzielać takich przestróg.

Sklepikarz rozumiał aluzję Katiego aż za dobrze.

- Nigdy was nie zdradzę - oświadczył więc z całą mocą.

- Wiem o tym doskonale - odrzekł Kati. - Jutro z samego rana wyślę kogoś do twojego ojca. Insz Allah - "jeśli Bóg pozwoli" - dodał Kati.

- Jestem waszym dłużnikiem, komendancie - skłonił się sklepikarz z cichą nadzieją, że do nowego roku może ktoś się rzeczywiście zjawi u ojca.

PUSZKA PANDORY

Specjalnie przebudowany boeing 747 tuż przed zachodem słońca potoczył się po pasie startowym bazy Andrews. Za prezydentem Fowlerem pozostało półtora dnia kiepskich spotkań, których nie dało się odwołać. Wiedział, że czekające go dwa dni będą jeszcze gorsze. Nawet kiedy się jest prezydentem, nie uwalnia to od zwykłych ludzkich słabości, a w tym wypadku od zmęczenia spowodowanego ośmioma godzinami lotu do Rzymu przy sześciogodzinnej różnicy czasu. Fowler był doświadczonym podróżnikiem i wiedział, że tak duża zmiana powali go z nóg, więc aby nie zmęczyć się do reszty, poprzedniego dnia poszedł spać o innej porze niż zwykle. Zamierzał także zdrzemnąć się w samolocie. Prezydencki VC-25A miał na pokładzie luksusową sypialnię, wynik zgodnego wysiłku boeinga i lotnictwa wojskowego, by uprzyjemnić podróże głowie państwa. 25A służył z równego lotu, a sypialnia mieściła się na samym przodzie kadłuba. Łóżko, czy też raczej rozkładana kanapa, miało spore rozmiary. Fowler sam wybrał wzór obicia. Samolot był również na tyle duży, że udało się całkowicie odseparować część rządową od tylnej sekcji, w której lecieli dziennikarze. Tych ostatnich dzieliło od prezydenckiej kanapy ponad sześćdziesiąt metrów. Kiedy więc prasa w dalszym ciągu nękała pytaniami rzecznika Białego Domu, Fowler dyskretnie wymknął się do pokładowej sypialni w towarzystwie swojej doradczynie do spraw bezpieczeństwa. Widząc to Pete Connor i Helen D'Agustino wymienili spojrzenie, które postronnym mogło się wydać zupełnie obojętne, lecz w zamkniętym środowisku Tajnej Służby wystarczało za całą perorę. Strzegący drzwi oficer żandarmerii z sił lotniczych również wbił oczy w ściankę działową, próbując zachować powagę.

- Co powiesz o naszym gościu, Ibrahimie? - zapytał Kati.

- Cóż, jest silny, sprytny, niczego się nie boi... Nie wiem tylko, czy się nam do czegokolwiek przyda - odrzekł Ibrahim Hosni. Był to odpowiedni moment, by powtórzyć historię o greckim policjancie.

- Skręcił mu kark? - Dzięki temu wiadomo było przynajmniej, że Amerykanin nie jest podstawiony... O ile policjant naprawdę zginął, o ile wszystko to nie było spiskiem, starannie przygotowanym przez Amerykanów, Greków, Izraelczyków i Bóg wie kogo jeszcze.

- Jakby szmatę wyżywał.

- Ma jakieś kontakty w Ameryce?

- Niewiele. Ściga go tam cała policja. Mówił mi, że jego grupa zabiła trzech mundurowych. Dodał też, że niedawno zginął w policyjnej zasadzce jego brat.

- Widać, że ambitnie wybiera sobie wrogów. Wykształcony?

- Szkoły to on nie powąchał, ale inteligentny.

- Umiejętności?

- Pod tym względem właściwie dla nas nieprzydatny.

- Za to jest rdzennym Amerykaninem - przypomniał Kati. - Ilu mieliśmy takich jak on? - To fakt, komendancie - przytaknął Hosni.

- Jaka szansa, że go nam podstawiono?

- Moim zdaniem, mało prawdopodobne. Ale ostrożność nie zawadzi.

- Nieważne zresztą. Mam dla ciebie pewne zadanie. - Kati wyłuszczył Hosniemu historię druzyjskiego wieśniaka.

- Znow bomba? - Hosni był w tej branży prawdziwym ekspertem, ale nie uśmiechało mu się rozbrajanie kolejnego niewybuchu. - Znam to miejsce. Taki stary, głupi wieśniak? Wiem, wiem. Jego syn walczył z Izraelem, jest kaleką i dobrze z nami żyje.

- Ten kaleka ocalił życie naszego towarzysza. Gdyby Fazi nie znalazł schronienia w tym sklepiku, wykrwawiłby się na śmierć. Ten Druz wcale nie musiał go ukrywać, a przecież się zgodził, chociaż Syryjczycy akurat krzywo na nas patrzyli.

- Dobrze więc. I tak nie mam już dziś nic do roboty. Potrzebna mi ciężarówka i paru ludzi.

- Powiadasz, że nowy przyjaciel taki silny? Weź go ze sobą.

- Rozkaz, komendancie.

- I bądź ostrożny.

- Insz Allah.

Hosni w swoim czasie prawie ukończył Uniwersytet Amerykański w Bejrucie - prawie, gdyż jednego z jego wykładowców uprowadzili porywacze, a dwaj inni profesorowie dowiedziawszy się o tym, sami umknęli chyłkiem za granicę. Hosni nie mógł więc uzyskać trzech zaliczeń dzielących go od dyplomu inżyniera. Nie dbał zresztą o dyplom jako taki, wystarczała mu świadomość, że był najlepszy na całym roku i uczył się z podręczników z taką łatwością, iż nie potrzebował słuchać wykładów. Dużo czasu poświęcał pracy w laboratoriach, które sam sobie majstrował w zależności od potrzeby. Wśród bojowników nigdy nie pchał się na pierwszą linię i chociaż umiał posługiwać się bronią palną, jego talent do elektroniki i zapalników był rzeczą zbyt cenną, by ryzykować wysyłanie młodego inżyniera na akcję. Hosni rzeczywiście wyglądał bardzo młodo, był przystojny i jasnej karnacji, dzięki czemu często podróżował. Należał do niego rekonesans, oględziny miejsca przyszłych akcji. Wykorzystując swoją wzrokową pamięć inżyniera, sporządzał szkice terenu, opracowywał listę potrzebnego sprzętu i służył poradami technicznymi ludziom, którzy mieli przeprowadzić daną operację. Wśród bojowników cieszył się zaskakującym szacunkiem. Nikt nie wątpił też w jego odwagę, której dał dowód przy niejednej okazji, rozbrajając w Libanie niewybuchy izraelskich bomb i pocisków. Rozbrojone ładunki znow przerabiał na bomby, z taką wprawą, że tuzin organizacji na całym świecie natychmiast przyjąłby go w swoje szeregi. Ibrahim Hosni był nie tylko zdolnym inżynierem (choć raczej samoukiem); był także Palestyńczykiem, którego rodzina musiała uchodzić z terenów obecnego Izraela i przez długie lata czekała, aż arabskie zastępy wytępią wrogów, umożliwiając powrót do domu. Nigdy to jednak nie nastąpiło i dlatego Hosni zachował z dzieciństwa jedynie wspomnienie brudnych, zatłoczonych obozów, gdzie od kołyski wpajano dzieciom islam i nienawiść do Izraela. Inaczej być nie mogło. Żydzi pogardzali Palestyńczykami jako ludźmi, co dobrowolnie opuścili własną ziemię; Arabowie zaś zamiast pomóc wygnańcom, odwrócili się od nich. Hosni i jego pobratymcy okazali się pionkami w grze, której uczestnicy nie potrafili się nawet dogadać w sprawie zasad. Nienawiść do Izraela i jego sojuszników okazywała się więc czymś równie naturalnym jak oddychanie. Życiową dewizą Hosniego stało się pozbawienie życia możliwie największą liczbę wrogów. Ani razu nie przyszło mu do głowy pytanie, dlaczego musi zabijać.

Hosni pobrał więc kluczyki od czeskiego GAZ-a-66, który psuł się częściej niż furgony Mercedesa i dlatego łatwiej go było zdobyć - w tym wypadku od armii syryjskiej, która kilka lat wcześniej sprezentowała wóz bojownikom. Z tyłu GAZ-a, nad skrzynią, zamontowano stalową ramę z blokami i hakiem. Hosni wcisnął się do szoferki w ślad za kierowcą i Amerykaninem. Dwaj inni

żołnierze wskoczyli na skrzynię, po czym wóz wyjechał poza teren obozu.

Marvin Russell obserwował mijaną okolicę z zainteresowaniem myśliwego, który trafił na nowe tereny łowieckie. Upał dawał się mocno we znaki, choć nie był gorszy od skwaru na prerioowych zgorzeliskach, kiedy od gór wiał gorący chinook. Również roślinność, czy też jej nędzne resztki, nie różniła się wiele od zieleni na obszarze rezerwatu. Innym ludziom okolica mogła się wydawać ponura, lecz dla Amerykanina, wychowanego w podobnym miejscu, miejscowy kurz nie różnił się niczym od domowego - z tą różnicą, że na Bliskim Wschodzie nie znano wypiętrzonych frontów burzowych, miotających tornada przez prerie. Również wzgórza były tu wyższe niż sfalowane jałowizny zachodnich stanów. Russell nigdy dotąd nie widział prawdziwych gór, takich jak te, wysokich, wysuszonych, rozprażonych słońcem tak, że wspinacz błyskawicznie tracił oddech. Przeciętny wspinacz, poprawił się Amerykanin w myślach. Sam z łatwością dałby radę wejść na sam szczyt. Był w dobrej formie, na pewną lepszej niż te Arabusy.

Arabowie z kolei pokładali największą wiarę w swojej broni. Wszędzie rzucała się w oczy obfitość żelastwa, przeważnie rosyjskich AK-47, choć wkrótce Marvin ujrzał też baterie działek przeciwlotniczych, stanowiska rakiet ziemia-powietrze, czołgi i haubice samobieżne, należące do syryjskiej armii. Hosni zauważył ciekawość gościa i pospieszył z wyjaśnieniami.

- Syryjczycy pilnują, żeby nie wdarł się tu Izrael - tłumaczył więc, a raczej przedstawiał własne poglądy. - Twój kraj zbroi Izraelczyków, a Rosjanie nas.

Hosni nie dodał, że rosyjska pomoc zaczynała powoli wysychać.

- Czy atakowali wasz obóz?

- Wiele razy, Marvin. Rzucali na nas bomby, nasyłali grupy komandosów, zabili tysiące moich rodaków. Wypędzili nas, Palestyńczyków, z ojczyzny. Dlatego musimy się gnieździć w obozach i...

- Wiem, wiem. W moich stronach mówi się na nie "rezerwaty".

O tym nie miał z kolei pojęcia Hosni.

- Przyszli, zagarnęli ziemię naszych przodków, wybili wszystkie bizony i wysłali wojska, żeby nas wymordować. Atakowali głównie kobiety i dzieci w obozach. Próbowaliśmy walki, raz nawet w miejscu, które się nazywa Little Big Horn - to taka rzeka - rozbiliśmy cały pułk generała Custer, ale nie powstrzymaliśmy najazdu. Tamtych było po prostu za dużo. Mnóstwo żołnierzy, mnóstwo armat, no więc zabrali nam ziemię i zostawili gówna, zrobili z nas żebraków. Nie, jeszcze gorzej, bo zrobili z nas zwierzęta. Traktują nas jak zwierzęta, bo inaczej wyglądamy, inaczej mówimy, mamy inną religię. A wszystko dlatego, że zajmowali im miejsce, które sobie upatrzyli. Wypędzili nas, jakby wymiatali śmieci.

- Nie miałem pojęcia, że... - zaczął Hosni, któremu nie mieściło się w głowie, że nie tylko jego naród potraktowali w ten sposób Amerykanie i ich izraelscy lokaje. - Dawno się to stało?

- Sto lat temu. Wszystko zaczęło się około tysiąc osiemset sześćdziesiątego piątego roku. Pewno, walczyliśmy, robiliśmy co się dało, ale nie mieliśmy szans. Rozumiesz, byliśmy sami jedni. Wy macie chociaż przyjaciół, a nam nikt nie przysyła armat ani czołgów. Dlatego zginęli najlepsi wojownicy. Amerykanie szykowali zasadzki i mordowali wodzów, tak właśnie zabili Szalonego Konia i Siedzącego Byka, a potem stłoczyli nas, zagłodzili, więc musieliśmy się poddać. Zostawili nam byle jaką ziemię, sam piach, podsyłają jedzenie, tyle żebyśmy z głodu nie zdechli, ale za mało, żebyśmy porośli w siłę, a kiedy tylko ktoś z naszych postawi się im jak mężczyzna, zaraz... Mówiłem ci, co zrobili mojemu bratu. Zastrzelili go zza węgła, z ukrycia, jak jakiegoś drapieżnika. Wszyscy mogli to sobie obejrzeć w telewizji, żeby było jasne, co się robi z Indianinem, który zaczyna się stawiać.

Hosni zrozumiał nagle, że przybysz jest ich towarzyszem walki. Nie, to nie szpicel.

Doświadczył w życiu dokładnie tego samego, co Palestyńczycy. Niestłychane.

- Ale dlaczego zawitałeś między nas?

- Musiałem zwiewać, zanim mnie dopadną. Człowieku, pewno że nie ma się czym chwalić, ale co miałem robić? Czekać aż mnie drapną? - Marvin Russell wzruszył ramionami. - Kombinowałem, dokąd by tu zwiać, żeby spotkać ludzi podobnych do mnie, a potem znaleźć sposób na powrót. Może jeszcze kiedyś nauczę swoich, jak mają walczyć. - Smętnie potrząsnął głową i dodał: - Czasem, kurwa, sam tracę nadzieję, ale nie dam się, nie dam. Rozumiesz?

- Rozumiem, dobrze to rozumiem, przyjacielu. Z moim ludem działo się podobnie, zanim się jeszcze urodziłem. Ale ty też musisz coś zrozumieć: ta walka nie jest beznadziejna.. Dopóki masz siłę, żeby wstać i bić się cios za cios, jest nadzieja. Dlatego na ciebie polują. Boją się ciebie!

- Chciałbym, żeby tak było - westchnął Marvin, czując że pył z otwartego okienka kabiny drapie go w oczy. Do domu jedenaście tysięcy kilometrów. - No więc, co robimy?

- Kiedy twój lud walczył z Amerykanami, w jaki sposób zdobywaliście broń?

- Na wrogu.

- Dokładnie tak samo jak my, Marvin.

Fowler przebudził się gdzieś nad Atlantykiem, gratulując sobie w myślach pierwszego numeru w powietrzu. Dawniej nigdy nie umiał się zdobyć na erotyczne wyczyny w samolocie. Zastanowił się nawet, czy pozwolił sobie na podobne osiągnięcie którykolwiek inny prezydent w drodze na spotkanie z papieżem. Nikt jeszcze przed nim nie obracał własnego doradcy do spraw bezpieczeństwa! Fowler spojrział przez okienko. Pod tą północną szerokością - samolot mijał pewnie Grenlandię - przestwór wciąż pozostawał jasny, nie pozwalając się domyślić, czy to już poranek, czy na razie jeszcze noc. W samolocie, mijającym strefy czasowe szybciej, niż podpowiada to zegarek, pytania takie graniczą z metafizyką.

Podróż do Rzymu również zatracąca o metafizykę. Będzie się o niej pamiętać. Fowler orientował się w historii na tyle, by wiedzieć, że dzieje ludzkości nie znają podobnego precedensu. Może chodzi tylko o początek długiego procesu, może o jego zakończenie, lecz tak czy inaczej, mówiąc po prostu, udało mu się położyć kres wojnie. Od tej pory nazwisko J. Roberta Fowlera będzie się kojarzyć z rzymskim traktatem, podpisanym z inicjatywy rządu amerykańskiego. To dzięki przemówieniu Fowlera w ONZ delegacje zjechały do Watykanu, to podwładni Fowlera kierowali rokowaniami, to Fowler pierwszy złożył podpis pod dokumentem. To jego wojska zagwarantują trwałość pokoju. Fowler osobiście zaskarbił więc sobie pamięć wśród potomności. Tego rodzaju nieśmiertelności pożąda każdy polityk, lecz tylko niewielu dane jest ją osiągnąć. Czy tak trudno zrozumieć gorączkę tej chwili? Fowler zadawał sobie wciąż to pytanie, siłąc się na beznamiętną refleksję.

Nareszcie odstąpi od niego największa z prezydenckich trwóg. Od pierwszej chwili bowiem, odkąd tylko zaczął myśleć o prezydenturze - kiedy był jeszcze zwyczajnym prokuratorem, ścigającym capo z clevelandzkiej gałęzi Cosa Nostry - zadawał sobie wciąż to samo pytanie: "Co będzie, jeśli się okaże, że musisz nacisnąć guzik?" Czy odważyłby się na to? Czy potrafiłby uznać, że gwoli bezpieczeństwa własnego narodu trzeba poświęcić życie tysięcy, ba, milionów innych ludzi? Fowler uznał sam, że prawdopodobnie nie: nie pozwoliłaby mu na to wrodzona dobroć. Wykształcono go po to, by kierował ludźmi, by prowadził ich ścieżką ku poprawie. Ludzie nie zawsze rozumieli, że kara się ich dla ich własnego dobra, za to Fowler rozumiał doskonale, że zarówno racja moralna, jak i logika leżą po jego stronie. Wierzył, że ponieważ nigdy nie kieruje się emocjami, o pomyłce z jego strony nie może być mowy. Co do tego miał całkowitą pewność. Pewności takiej wymagała zresztą

jego rola i funkcja. Gdyby się okazało, że zasady, jakimi się kieruje, są nieważne, cała dotychczasowa pewność zmieniłaby się w pospolitą arogancję. Arogancję zaś zarzucano Fowlerowi niejednokrotnie. Jednego nie był więc pewien: czy potrafi spojrzeć w twarz groźbie wojny atomowej. - Na szczęście problem rozwiązał się sam. Chociaż Fowler nigdy nie przyznawał tego publicznie, uważał, że Reagan i Bush usunęli groźbę takiej wojny w sposób ostateczny. Zmusili Moskwę do tego, by przyjrzała się własnym sprzecznościom i poznawszy je, zmieniła dotychczasową politykę. W dodatku zmusili ją do tego drogą pokojową, ponieważ w odróżnieniu od zwierząt, ludzie potrafią rozumować logicznie. Oczywiście pozostało na świecie wiele ognisk zapalnych, lecz jeśli tylko nie pozwoliło się sytuacji wymknąć spod kontroli, zadanie obecnego prezydenta USA było proste. Obecna podróż zapowiadała rozwiązanie najniebezpieczniejszego z pozostałych jeszcze światowych konfliktów, w dodatku takiego, z którym nie umiał sobie poradzić żaden z dotychczasowych szefów państwa. To, co nie udało się Nixonowi i Kissingerowi, to, co oparło się dzielnym wysiłkom Cartera, niepewnym gestom Reagana czy wreszcie szczerym sztuczkom Busha i jego następcy, uda się teraz Bobowi Fowlerowi. Sama myśl o tym przyprawiała go o zawrót głowy. Nie dość, że trafi do podręczników historii, to jeszcze ułatwi sobie zadanie przed czekającą go drugą częścią kadencji, zapewniając sobie na dodatek reelekcję, przewagę nad rywalem w czterdziestu pięciu stanach, przemożny wpływ na opinie Kongresu i wprowadzenie w życie swojego bogatego programu pomocy społecznej. Osiągnięciem na skalę historii towarzyszy prestiż międzynarodowy i klaka na domowym podwórku. Nie ma lepszego, szlachetniejszego sposobu na umocnienie się przy władzy i wykorzystanie tej władzy. Jednym pociągnięciem pióra, a właściwie, jak każe zwyczaj, kilku piór, Fowler osiągnął wielkość, stając się olbrzymem pośród ludzi dobrych i dobrym człowiekiem pośród mocarzy. Nikomu z jego pokolenia nie udało się podobny wyczyn. Nikomu w całym stuleciu. Nikt i nic nie odbierze mu tej satysfakcji.

Boeing utrzymywał wysokość piętnastu tysięcy metrów, lecąc z prędkością podróżną sześciuset trzydziestu trzech węzłów, czyli tysiąc stu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Dzięki usytuowaniu sypialni prezydent mógł spoglądać daleko w przód, jak przystało na głowę państwa, a także w dół, na świat, którym tak sprawnie rządził. Boeing leciał gładko jak po stole. Bob Fowler wiedział już, że trafi do historii. Spojrzał znów na śpiącą na wznak Elizabeth, na jej prawą rękę, podkurczoną pod głowę, na kołdrę, która zsunęła się aż do pasa, odsłaniając piękny biust... Kiedy inni pasażerowie wiercili się w fotelach, usiłując zasnąć, prezydent sycił się widokami. Nie miał już ochoty spać. Nigdy jeszcze nie czuł się bardziej mężczyzną; oczywiście był także mężem stanu, lecz przede wszystkim mężczyzną. Wyciągnął rękę i pogładził piersi Elizabeth, która otworzyła oczy i uśmiechnęła się, zupełnie jak gdyby przez sen czytała w myślach prezydenta.

- Całkiem jak w domu - pomyślał Russell, patrząc na chałupę. Postawiono ją wprawdzie z kamienia, nie zaś z pustaków, a dach był płaski, nie stromy, lecz kurz i rachityczny ogródek były takie same jak w rezerwacie. Wieśniaka też łatwo było wziąć za Siuksa: miał w oczach podobne udręczenie, garbił się i wykręcał sękaty dłoń jak ktoś, kogo spotkała klęska.

- To pewnie tutaj - odezwał się więc Marvin, kiedy się zatrzymali.
- Syn starego walczył z Izraelczykami, został kaleką na całe życie. To nasi przyjaciele.
- O przyjaciół trzeba dbać - zgodził się Marvin. Musiał wyskoczyć pierwszy, by Hosni mógł wsiąść z szoferki.

- No, chodź, przedstawię cię gospodarzowi.

Ceremonialność spotkania stanowiła zaskoczenie dla Amerykanina, który oczywiście nie rozumiał ani słowa, lecz doskonale mógł się zorientować, z jakim szacunkiem Hosni odnosi się do

starego. Po kilku słowach wieśniak zwrócił się ku Russellowi i skłonił głowę, co zawstydziło przybysza. Marvin delikatnie uściśnął podaną mu dłoń i potrząsnął nią zwyczajem swojego ludu. Hosni przetłumaczył kilka słów, jakie przy tym padły. Potem wieśniak zaprowadził ich do ogródka.

- O, cholera - Russell aż cofnął się na widok bomby.

- Amerykańska, typu Mark 84, dwa tysiące funtów. Tak mi się wydaje... - rzucił tonem znawcy Hosni, choć zorientował się już, że coś tu nie gra. Mark 84 ma przecież inny nos... Pewnie, mógł się odkształcić przy uderzeniu, ale i tak...

Hosni podziękował wieśniakowi i kazał mu poczekać przy samochodzie.

- Najpierw musimy ją odkopać. Tylko ostrożnie, bardzo ostrożnie.

- Ja się tym zajmę - zgłosił się Russell. Podeszedł do ciężarówki i wziął z kabiny wojskową saperkę.

- Nie po to brałem ludzi...

- Sam to zrobię - przerwał Hosniemu Amerykanin. - Będę uważał.

- Staraj się jej nie dotykać. Okop bombę ze wszystkich stron saperką, ale ziemię przy samym kadłubie odgarniaj rękami. Ostrzegam cię, to naprawdę niebezpieczne.

- Cofnij się w takim razie - uśmiechnął się tylko Russell. Nareszcie mógł dowieść swojej odwagi. Zabić gliniarza to głupstwo, nawet się przy tym nie spocił. Co innego bomba.

- Kazesz mi opuścić towarzysza? - zadał Hosni retoryczne pytanie. Wiedział, że dokładnie to należy uczynić, i że gdyby nie było z nimi Indianina, kazałby wykopywać bombę któremuś z pozostałych żołnierzy. Nie można głupio ryzykować utraty doświadczonego минера. Z drugiej strony jakże tu okazać słabość przed obcym? Zostając, mógł się też przyjrzeć i stwierdzić ostatecznie, czy przybysz jest rzeczywiście taki odważny.

Russell nie zawiódł oczekiwań Hosniego. Rozebrał się do pasa, uklęknął przy bombie i zaczął kopać. Starał się nawet nie zrujnować innych grządek, co nie przyszłoby do głowy ludziom Hosniego. W ciągu godziny wygrzebał płytką jamę wokół pocisku, usypując wykopaną ziemię w cztery równe kupki. Hosni zdążył się już zorientować, że coś jest zdecydowanie nie tak. To na pewno nie mark 84, bo choć wielkość pocisku była podobna, zupełnie się nie zgadzał kształt i rodzaj obudowy. Zwłaszcza to ostatnie... Powłokę mark 84 stanowiła gruba skorupa, odlana za stali, którą eksplozja ładunku we wnętrzu zamieniała na miliony ostrych odłamków, szatkujących ludzi na strzępki. Ta bomba była inna. W dwóch miejscach, w których powłoka pękła przy uderzeniu w ziemię, widać było, że jej grubość jest mniejsza niż powinna. Cóż za dziwadło znaleźli?

Russell zbliżył się teraz i gołymi rękami zaczął odgarniać ziemię z pancerza bomby. Pracował starannie i z uwagą, a choć spocił się solidnie, ani na chwilę nie przerwał wysiłków. Hosni podziwiał grę mięśni w potężnych ramionach. Nigdy w życiu nie widział podobnego siłacza, ba, nawet izraelscy spadochroniarze byli mizerniejszej postury. Indianin przerzucił już dwie albo i trzy tony ziemi, a mimo to prawie nie znać po nim było wysiłku. Pracował miarowo jak potężna maszyna.

- Odpocznij chwilę - powiedział wreszcie Hosni. - Muszę przynieść swoje narzędzia.

- Okay - rzeki od razu Russell: przysiadł i zaczął się przyglądać bombie. Hosni powrócił zaraz z plecakiem i manierką, którą podał Amerykaninowi. - Dzięki, chłopie. Trochę tu gorąco. - Russell wychylił dobre pół litra wody, zanim zapytał: - A co teraz?

Hosni wygrzebał z plecaka pędzel i zaczął nim odmiatać z kadłuba pozostałe jeszcze grudki ziemi.

- Teraz lepiej odstęp - ostrzegł Russella.

- Nie ma sprawy, Ibrahim. A może pozwolisz mi popatrzeć?

- Teraz pora na najtrudniejszą fazę.

- Sam zostałeś, kiedy odkopywałem - przypomniał Russell.
- Jak sobie chcesz. Muszę znaleźć zapalnik.
- Nie z przodu? - Indianin wskazał na nos bomby.
- Tam go nie ma. Z przodu, tam gdzie powinien być zawsze zapalnik, jest tylko puste miejsce, zabezpieczone pokrywką. Drugi zapalnik będzie pośrodku, a trzeci z tyłu.
- Jak to się stało, że nie ma tych, no, płetw? - zaniepokoił się Russell. - Przecież bomby mają takie skrzydełka, coś jak na końcu strzały?
- Stateczniki musiały odpaść przy uderzeniu w ziemię. Często właśnie w ten sposób możemy poznać miejsce, gdzie upadła bomba, po statecznikach, które leżą obok leja.
- Jak chcesz, to odkopię tył.
- Zgoda, Marvin, ale bardzo, bardzo ostrożnie.
- Już się robi, chłopie. - Russell obszedł Ibrahima i znów zaczął odgarniać ziemię, tym razem z tylnej części bomby. Odnotował przy tym w myślach, że skurwiel Hosni ma nerwy jak postronki. On sam pierwszy raz widział bombę i miał pełne portki, kiedy klęczał tuż obok tony zasranego trotylu. Za nic w świecie nie chciał jednak pokazać po sobie emocji, którą Hosni odczytałby jako strach. Ibrahim mógł sobie być mizerotą z cienką szyjką, ale faceta, który podobnie jak on pogrywa sobie najspokojniej z niewybuchem bomby, trudno oskarżać o brak jaj. Russell zauważył, że Hosni manewruje pędzelkiem tak ostrożnie, jak gdyby gładził nim dziewczę po cycku, sam więc także zwolnił i starał się pracować ostrożnie. Dziesięć minut później udało mu się odkopać cały tył.

- Ibrahim?
- Co takiego? - Hosni nie podniósł nawet głowy.
- Tu nic nie ma. Puste miejsce, chłopie.

Hosni oderwał pędzel od pancerza i przekręcił się tak, że mógł spojrzeć na wskazane miejsce. To rzeczywiście dziwne, ale nie pora na filozofowanie.

- Dzięki, Marvin. Jesteś wolny. Na razie nie znalazłem tego zapalnika. Russell odstąpił parę kroków, usiadł na piramidzie wykopanej ziemi i opróżnił manierkę do końca. Po namyśle powędrował jednak do samochodu, obok którego czekała trójka ludzi Hosniego i wieśniak. Wieśniak śmiało spoglądał na bombę w ogródku, pozostała trójka wołała zerkać z bezpiecznego ukrycia za węglem domu. Russell cisnął żołnierzom pustą manierkę i czekał, aż odrzucą mu inną, pełną wody. Później wyciągnął ku nim kciuk i pomaszerował z powrotem do ogrodu.

- Zrób sobie przerwę i napij się - doradził.
- Dobry pomysł - zgodził się Hosni i odłożył pędzel na ziemię.
- Znalazłeś coś?
- Gniazdko połączeniowe, nic poza tym - odpowiedział Palestyńczyk, który odkręcając manierkę głowił się nadal nad znaleziskiem. Na pancerzu nie było żadnych napisów ani znaków, oprócz czerwono-srebrnej etykiety przy samym nosie bomby. Bomby często oznaczano kolorami stosownie do rodzaju - Hosni nie spotkał jednak dotąd takiego symbolu. Co to za diabelstwo? Może bomba paliwowo-powietrzna czy rozpryskowa? Albo coś jeszcze innego, zabytek z czasów, których inżynier nawet nie pamięta? Bomba spadła w końcu w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku. Typ mógł zostać dawno wycofany z uzbrojenia, to zaś oznaczało kłopoty. Jeśli Hosni nie majstrował dotąd przy podobnej bombie, tym samym mógł nie znać się na jej zapalniku. Podręcznik, którego się zawsze trzymał, pochodził z Rosji, choć przetłumaczono go na arabski. Hosni mógł recytować z pamięci każdą stronicę, tym bardziej więc nie przypominał sobie opisu niczego podobnego. Pociągnął z manierki duży haust i przetarł sobie wodą twarz.

- Nie denerwuj się, chłopie. - Russell zauważył napięcie inżyniera.

- Nigdy nie idzie łatwo, a strach to przy bombach zwyczajna sprawa.

- Mnie tam nie wyglądasz na przestraszonego, Ibrahim. - Mówiąc to, Russell nie kłamał.

Omiatający pędzlem kadłub bomby Hosni przypominał doktora, owszem doktora podczas trudnej operacji, ale i tak... Russell znów musiał przyznać, że mały arabski wypierdek ma jaja.

- To tylko pozory, przyjacielu. Tak naprawdę, trzęsę się ze strachu. Nie znoszę tej pracy.

- Masz jaja jak z mosiądzu, pierwszy to powiem.

- Dzięki. No, wezmę się za to, dopóki jeszcze mogę. Naprawdę wolałbym, żebyś odszedł dalej od tej bomby.

- Pieprzę bombę. - Russell splunął na ziemię.

- Nie byłoby to proste, przyjacielu. - Hosni wyszczerzył zęby. - A gdybyś ją pobudził, mogłoby być niewesoło.

- Mów co chcesz, trzeba dopiero bomby, żeby się ziemia trzęsła przy pieprzeniu.

Hosni znał amerykańskie wyrażenia na tyle, że docenił humor Russella. Podnosząc się z ziemi i wciąż jeszcze rechocząc, poprosił błagalnie:

- Marvin, nie gadaj mi takich rzeczy przy pracy...

Uświadomił sobie, że coraz bardziej lubi Amerykanina. Palestyńczycy są tacy poważni... Dopiero po kilku minutach odzyskał równowagę na tyle, że mógł zająć się pracą.

Następna godzina z pędzlem w ręku nie przyniosła owoców. Owszem, powłoka przypominała pancierz bomby, znalazł się nawet rodzaj klapy... Takiego zamknięcia Hosni też nigdy nie widział. Zapalnika jednak ani śladu. Chyba że pod spodem. Na prośbę Hosniego Russell wygarnął spod kadłuba jeszcze trochę ziemi, lecz nowe oględziny przyniosły ten sam wynik. Nic. A gdyby tak zajrzeć od tyłu?

- Tam w plecaku jest latarka...

- Łap - Russell podał mu ją natychmiast.

Hosni położył się na ziemi i wykręcając tułów, zajrzał do otworu. Oczywiście ciemno. Błysnął latarką... W jej świetle widać było jakieś przewody elektryczne, i coś jeszcze, rodzaj metalowej kratownicy albo raczej kosza. Komora miała na oko z osiemdziesiąt centymetrów długości. W żadnej prawdziwej bombie nie znalazłoby się tyle wolnego miejsca. No, tak. Właśnie. Hosni rzucił Amerykaninowi latarkę i obwieścił:

- Całe pięć godzin na marne.

- Jak to?

- Nie wiem, co to za dziwo, ale na pewno nie bomba. - Inżynier przykucnął i przez chwilę trząsnął się spazmatycznie. Zaraz mu to jednak przeszło.

- Jeżeli nie bomba, to co?

- Może jakiś czujnik elektroniczny, wykrywacz albo system ostrzegania. A może gondola kamery, obiektyw jest pewnie pod spodem. Nieważne. Najważniejsze, że to nie bomba.

- To co z tym zrobimy?

- Załadujemy i zawieziemy do siebie. Może się przydać. Syryjczycy i Rosjanie chętnie kupują takie znaleziska.

- Chcesz powiedzieć, że ten stary tyle się bał niepotrzebnie?

- Dokładnie tak. - Hosni podniósł się z ziemi i razem z Indianinem podszedł do ciężarówki. - Rozbrojona - oświadczył wieśniakowi, chcąc oszczędzić sobie długich wyjaśnień i uspokoić starego. Wieśniak rzucił się całować brudne dłonie Palestyńczyka i Amerykanina, który spieszył się do reszty.

Kierowca nawrócił i na wstecznym biegu wjechał między zagony, starając się jednak nie rozjeżdżać grządek. Russell przyglądał się, jak dwaj żołnierze napełniają ziemią pół tuzina worków i

wrzucają je na skrzynię. Następnie ludzie Hosniego założyli pętlę wokół metalowego kadłuba i za pomocą bloku z korbą zaczęli windować "bombę" do góry. "Bomba" - czy jakkolwiek nazwać znalezisko - okazała się cięższa niż przypuszczali. Russell musiał sam chwycić za korbę, ponownie prezentując swoją krzepę. Sam jeden dźwignął znalezisko w górę, a Arabowie przesunęli pałąk z kątowników nad skrzynię i ostrożnie złożyli ważący tonę przedmiot na workach z ziemią. Potem zabezpieczyli jeszcze metalowy kadłub sznurami, i po krzyku.

Wieśniak nie chciał puścić ich w drogę bez gościńca. Wydobył ze spizarki herbatę i chleb, usilnie namawiając na poczęstunek. Hosni zgodnie z zasadami grzeczności bronił się, lecz ostatecznie przyjął zaproszenie. Nim odjechali, na skrzynię ciężarówki trafiły jeszcze cztery świeżo ubite jagnięta.

- Zrobiłeś dobry uczynek, chłopie - zauważył Russell, kiedy odjeżdżali.

- Może i tak - odrzekł Hosni ze znużeniem w głosie. Napięcie nerwowe wyczerpało go o wiele bardziej niż sam fizyczny wysiłek. Za to po Amerykaninie nie było znać najmniejszego zmęczenia. Dwie godziny później znów znajdowali się w dolinie Bekaa. Bombę - inżynier uznał, że nie warto szukać lepszej nazwy - zrzucano bezceremonialnie przed warsztatem, a cała piątka ruszyła delektować się świeżą jagnięciną. Hosni nie mógł wręcz uwierzyć, że Amerykanin nigdy jeszcze nie skosztował baraniego mięsa. Udało się więc wtajemniczyć go w smak kolejnego arabskiego specjału.

- Mam tu coś ciekawego, Bili - obwieścił Murray, wchodząc do gabinetu dyrektora.

- O co chodzi, Danny? - Shaw podniósł wzrok znad grafiku spotkań.

- W Atenach jeden gliniarz dał sobie ukłucie łeb. Grecy twierdzą, że to robota Amerykanina. - Przez chwilę Murray zapoznawał Shawa ze szczegółami sprawy.

- Skręcił mu kark gołymi rękami? - nie dowierzał Bili.

- Właśnie. Zresztą ten policjant był bardzo chudy - dodał Murray. - Ale i tak...

- Chryste Panie. Dobra, zobaczmy. - Murray wręczył dyrektorowi greckie zdjęcie. - Skąd my znamy tego gościa, Dan? Coś niewyraźnie nam tu wyszedł.

- Al Denton twierdzi, że to Marvin Russell. W laboratorium wsadzili kliszę na komputer, pobawią się jeszcze. Brak odcisków palców lub innych śladów. Samochód był zarejestrowany na inne nazwisko, właściciel zniknął albo w ogóle nigdy nie istniał. Kierowcy też nie udało się zidentyfikować. Człowiek z opisu odpowiada jednak rysopisowi tego Russella: niski, barczysty, odcień cery i kości policzkowe też jak u Indianina. Ubrany zdecydowanie po amerykańsku. Walizka też amerykańska.

- Chcesz powiedzieć, że wymknął się z kraju, kiedy daliśmy w czapę jego bratu... Sprytnie - ocenił rzecz Shaw. - Marvin to ten mądrzejszy z braci?

- Na tyle mądry, żeby się zwąchać z Arabami.

- Myślisz? - Shaw przyjrzał się drugiej twarzy na zdjęciu. - Równie dobrze może to być Grek czy w ogóle ktoś z Lewantu. Coś za jasną ma skórę jak na Araba. Twarz przeciętna, sam mówisz, że nie udało się go zidentyfikować. Palnąłeś o tych Arabach ot, tak sobie, Danny?

- Owszem - przytaknął Murray. - A potem sprawdziłem kartotekę. Z poufnych źródeł wiemy, że kilka lat temu Marvin Russell zrobił sobie wycieczkę na wschód i nawiązał kontakty w Ludowym Froncie Wyzwolenia Palestyny. Ateny to w sam raz miejsce, żeby odnowić znajomość. Neutralne terytorium.

- Tak samo dobre na to, żeby dobić targu co do narkotyków - zaoponował Shaw. - Czy przyszło coś nowego na temat brata Marvina?

- Nie za wiele. Nasze najlepsze ucho na tamym terenie znowu wylądowało w pierdłu.

Biedaczek, wplątał się w dyskusję z paroma policjantami z rezerwatu i dał im się przekonać.

Shaw tylko odchrząknął. Nie było tajemnicą, że największą wadą "uszu", czyli poufnych informatorów FBI, jest ich kryminalna kariera, która co rusz prowadzi ich z powrotem do więzienia. Z jednej strony czyniło to ucholi osobami godnymi zaufania w świecie przestępczym, z drugiej pozbawiało FBI źródła informacji. Trudno, tak kręci się ten świat.

- Dobrze - oświadczył więc dyrektor FBI. - Wiem, że masz jakiś pomysł. Wal.

- Powinniśmy zadzwonić gdzie trzeba i uzyskać zwolnienie tego uchola, za dobre sprawowanie. Niech wraca do Związku Wojowników i niech nam powie, czy rzeczywiście zwąchali się z terrorystami. To samo dotyczy narkotyków. Interpol sprawdził kartotekę kierowcy z Aten, zero. Żadnych powiązań z terrorystami ani z aptekarzami. Grecy też walnęli głową w mur: o samochodzie nadal nic nie wiadomo, sierżant nie żyje, jedyna poszlaka to zdjęcie dwóch twarzy, których na dodatek nie da się zidentyfikować. Dlatego zdecydowali się na ostateczność i przysłali nam zdjęcie. Pomyśleli, że skoro to Amerykanin...

- Co w hotelu? - zapytał dyrektor, który nie zapomniał jeszcze, jak się prowadzi śledztwo.

- Właśnie, Grecy zidentyfikowali parking na zdjęciu, kłopot w tym, że stoją tam dwa hotele, tuż koło siebie. Tego dnia wymeldowało się dziesięciu facetów, każdy z amerykańskim paszportem. W obu hotelikach wiecznie jest nich, w dodatku policja nie mogła podać konkretnego rysopisu. Obsługa ma krótką pamięć, takie to miejsce. Skąd zresztą wiadomo, że nasz przyjaciel w ogóle tam nocował? Grecy chcą, żebyśmy sprawdzili wszystkie nazwiska z obu ksiąg meldunkowych.

Bili Shaw oddał Murrayowi zdjęcie.

- To chyba nie kłopot. Zrób im przysługę.

- Już zacząłem.

- Trzeba najpierw założyć, że para ze zdjęcia maczała palce w zabójstwie tego sierżanta. W braku lepszego pomysłu, zgoda, zawiadom prokuratora generalnego USA, że to nasze ucho spłaciło już swój dług wobec społeczeństwa. Trzeba się wreszcie wziąć za tych "wojowników".

Shaw zdobył ostrogi jako specjalista od zwalczania terroryzmu i w dalszym ciągu darzył ten rodzaj przestępców szczególną nienawiścią.

- Jasne, wyniucham, czy nie zaczęli znów kręcić z narkotykami. Kapucha powinien wyjść za jakieś dwa tygodnie.

- To chciałem usłyszeć, Dan.

- Kiedy prezydent ma przylecieć do Rzymu? - zapytał jeszcze Murray.

- Lada chwila. Grubsza sprawa, co?

- Sam to mówię. Twój Kenny powinien sobie poszukać nowej posady. Po tylu latach nagle, zamiast wojny, pokój.

- Kto by pomyślał? - przytaknął Shaw z uśmiechem. - A o młodego się nie martw. Zawsze możemy mu dać uczciwe zajęcie, dołożymy mu jeszcze gratis pałkę i gwizdek.

Bezpieczeństwa prezydenckiego samolotu strzegł także klucz czterech myśliwców Tomcat z lotnictwa marynarki wojennej, dyskretnie trzymających się pięć mil za VC-25A i samolot radarowy wczesnego ostrzegania, który pilnował, by żaden intruz nie zbliżył się do boeinga. Samoloty cywilne skierowano innymi korytarzami, a rejon lotniska wojskowego, gdzie miał wylądować gość, nie tyle przeczesano, ile wręcz precedzono przez sito. Na betonie czekała już opancerzona limuzyna Fowlera, dostarczona kilka godzin wcześniej na pokładzie wojskowego transportowca typu C-141B, a otaczającego ją włoskiego wojska i policji wystarczyłoby na odstraszenie całego pułku terrorystów. Prezydent Fowler wychynął z prywatnej łazienki ogolony i odświeżony przysznicem.

Również uśmiech nad nieskazitelnym węzłem krawata miał tak promienny, że Pete i Daga dawno go nie widzieli w podobnym nastroju. - Ma powody, żeby się cieszyć, pomyślał Connor, który rzadko pozwalał sobie tak, jak Daga, na refleksje na temat moralności. Prezydent był normalnym facetem, jak większość prezydentów, w dodatku samotnym - cóż, dopiero po utracie żony. Wprawdzie Liz Elliot była zwykłą, arogancką zdziwą, lecz niewątpliwie atrakcyjną, jeśli więc w ten właśnie sposób prezydent mógł się odprężyć i odsapnąć, nie ma o czym mówić. Gdyby szef nie pozwalał sobie na chwile odpoczynku, bardzo prędko wypaliłby się na tym stanowisku, jak tyłu jego poprzedników, a to nie wróżyłoby dla kraju nic dobrego. Connor i Daga mieli za zadanie strzec prywatnego życia i prywatnych rozrywek JASTRZĘBIA i pozwalać mu na wszystko, w granicach określonych z grubsza przez prawo. Pete rozumiał więc swojego szefa, Daga zaś milczała, choć wolałaby u podopiecznego lepszy gust. E-E opuściła sypialnię pokładową nieco wcześniej, i tuż przed lądowaniem, ubrana w szczególnie piękną kreację, usiadła wraz z prezydentem przy kawie i pączkach. Trudno było odmówić Elliot urody, szczególnie tego poranka. Kto wie, może w łóżku wstępuję w nią diabeł, przyszło do głowy specjalnej agentce D'Agustino. Jeden rzut oka upewniał, że prezydent i jego doradczyni stanowili najbardziej wypoczętą parę na pokładzie. Zastrani dziennikarze - agenci Tajnej Służby czuli instynktowną odrazę do reporterów - przez osiem godzin kręcili się i wiercili w fotelach, a co za tym idzie, mimo dziarskich min wyglądali na szarych i wymiętych. Najbardziej zmordowana była autorka przemówień prezydenckich, która całą noc nie zmrużyła oka, robiąc sobie jedynie przerwy na kawę i wycieczkę do toalety. Wreszcie jednak i ona dwadzieścia minut przed lądowaniem wręczyła Arniemu Van Dammowi gotowy maszynopis. Fowler przerzucił tekst, jedząc śniadanie i zakochał się w swoich sformułowaniach.

- Callie, to coś wspaniałego! - Prezydent uśmiechnął się promiennie do podwładnej, która umiała wykrzesać z przemówień prawdziwą poezję, i ku ogólnemu zaskoczeniu uściskał młodą damę (Callie Weston zaledwie przekroczyła trzydziestkę). Autorka rozplakała się natychmiast. - Odpocznij sobie teraz i spokojnie zwiedzaj Rzym.

- Tak mi miło, panie prezydencie.

Samolot zatrzymał się na wyznaczonym miejscu. Natychmiast podjechały ruchome schodki, przed którymi rozłożono malinowy chodnik, prowadzący do okrytego dywanem podium. Do ustalonego wcześniej punktu podeszli teraz prezydent i premier Włoch, którym towarzyszył ambasador Stanów Zjednoczonych i reszta świty, w tym wyczerpani urzędnicy protokołu, którzy dosłownie w locie musieli planować przebieg uroczystości. Sierżant amerykańskiego lotnictwa otworzył drzwi boeinga. Wyjrzeli zza nich podejrzliwie agenci Tajnej Służby, którzy wymienili spojrzenia z czekającymi na schodkach partnerami z grupy przygotowawczej. Kiedy u szczytu schodów pojawił się wreszcie prezydent, orkiestra włoskiego lotnictwa zagrała fanfarę powitalną, inną od tradycyjnego capstrzyku amerykańskiego.

Prezydent zszedł po schodkach sam jeden, jak gdyby kroczył przez most wiodący z krainy rzeczywistości w nieśmiertelność. Uwagi dziennikarskich oczu nie uszedł zamaszty, energiczny krok głowy państwa. Jeśli mu czegoś zazdrościli, to właśnie możliwości wyspania się w królewskim zaciszu pokładowej sypialni. Sen jest jedynym lekarstwem na różnicę czasu. Prezydent najwyraźniej zrobił podczas lotu użytek z tej wiedzy. Tradycyjnego kroju garnitur z firmy Brooks Brothers był świeżo wyprasowany (w prezydenckim samolocie nie zabrakło oczywiście żelazka), buty lśniły, a fryzura stanowiła obraz doskonałości. Fowler podszedł do ambasadora USA i jego małżonki, którzy poprowadzili go następnie w stronę prezydenta Włoch. Orkiestra zaczęła grać "Gwiazdzisty sztandar", po hymnie zaś nastąpił tradycyjny przegląd kompanii honorowej i krótkie przemówienie powitalne, dające przedsmak oratorskich delikcji, jakie miały nastąpić. Dopiero po dwudziestu

minutach Fowler znalazł się w samochodzie, w towarzystwie ambasadora, doktor Elliot i swojej osobistej ochrony.

- Pierwszy raz podobały mi się te korowody - ocenił Fowler ceremonię powitalną. Współpasażerowie byli zgodni co do tego, że Włosi błysnęli elegancją.

- Elizabeth, wolałbym, żebyś trzymała się w pobliżu. Powinniśmy jeszcze omówić kilka szczegółów porozumienia. Aha, muszę też porozmawiać z Brentem. Właśnie, jak tam Brent? - zwrócił się prezydent do ambasadora.

- Zmęczony, ale zadowolony jak rzadko - odparł ambasador Coates. - Ostatnia runda rokowań trwała bite dwadzieścia godzin.

- A co piszą w tutejszej prasie? - zasięgnęła wiedzy E-E.

- Gazety szaleją. Ogólna euforia. To wielkie święto dla całego świata - dodał Jed Coates, mrużąc w myśli: - A co ważniejsze, mogę to oglądać na własne oczy, na swoim podwórku. Nie co dzień widzi się historię.

- Ha, jakoś poszło.

Narodowy Ośrodek Dowodzenia mieści się w ciągu D budynków Pentagonu, w pobliżu wschodniego wejścia do gmachu i jako jeden z nielicznych przybytków rządowych rzeczywiście wygląda jak wizja scenografa z Hollywood. Sala robi imponujące wrażenie swoją przestronnością i rozmiarami. Nie zmienia to faktu, że NOD jest po prostu gigantyczną centralą telefoniczną dla armii, marynarki i lotnictwa; nie jedyną zresztą. Najbliższa analogiczna placówka mieści się w Fort Ritchie na wzgórzach Marylandu. Ośrodek łatwo byłoby zniszczyć, lecz spośród innych wyróżniało go dogodne położenie, cenione zwłaszcza przez osobistości zwiedzające co bardziej pikantne zakamarki Pentagonu. Ciągłe wizyty denerwowały sztabowców, którzy chcieli po prostu robić w tym wnętrzu swoje.

Do pomieszczeń ośrodka przylega mniejsza sala, w której ujrzyć można rząd starych komputerów IBM PC/AT, tych jeszcze ze szczeliną na pięciocalowe dyskietki. Komputery te tworzą część gorącej linii, czyli bezpośredniego połączenia między przywódcami USA i ZSRR. Końcówka linii w pentagońskim ośrodku dowodzenia również nie była jedyną - choć była tą najważniejszą. W Ameryce nie chwalono się zbytnio tym ostatnim faktem, rozgłoszono go za to powszechnie w ZSRR. Nawet podczas trwającej wojny atomowej niezbędne jest pewne połączenie między obydwojma mocarstwami. Zgodnie z teorią wyrażoną trzydzieści lat wcześniej przez ekspertów, fakt, że właśnie w Pentagonie mieści się główna końcówka gorącej linii, mógł uchronić okolicę przed pewną zagładą.

Zdaniem komandora Jamesa Rossellego ze sztabu połączonych rodzajów wojsk, autorzy podobnych teorii mogli je sobie wsadzić do dupy. Jego zdaniem również fakt, że przez całe lata nikt nie podał w wątpliwość zasadności takich przemyśleń, także dowodził niezbicie, ile gówna osadziło się w Waszyngtonie w ogóle, a w Pentagonie w szczególności. Biorąc pod uwagę cały ogrom nonsensów, jakie rodzą się w obrębie autostrady międzystanowej 495, czyli waszyngtońskiej obwodnicy, trudno się dziwić, że i tę teorię zaczęto z czasem traktować jak objawienie, mimo że nie było w niej grama sensu. Dla Rossellego (koledzy i tu zaczęli już go nazywać "Rosey") Waszyngton wraz z Dystryktem Columbii stanowił trzysta kilometrów kwadratowych otoczonych przez rzeczywistość. Czasem nie wiedział nawet, czy w obrębie obwodnicy obowiązują te same prawa fizyki. Co do logiki, Rosselli dawno stracił wszelką nadzieję.

- Połączone dowództwo - zamruczał sam do siebie. Najnowsza próba zreformowania sił zbrojnych, jaką uczynił Kongres (który, zdaniem Rossellego, lepiej sam by się zreformował), sprawiła, że członkowie korpusu oficerskiego aspirujący do stopni generalskich i admirałskich -

komandor mało znał takich, którzy nie "aspirowali" - muszą odsłużyć swoje, współpracując ściśle z oficerami z innych rodzajów broni. Rosselli nie dowiedział się nigdy, w jaki sposób wspólne pogawędki z artylerzystą polowym zrobią z niego lepszego podwodniaka, ale widocznie nikogo poza nim nie dręczyły podobne problemy. Przyjęto na wiarę, że zapyłanie krzyżowe służy oficerom równie dobrze jak roślinom, i konsekwentnie odrywano najlepszych specjalistów od zajęć, które znali, i kazano im robić rzeczy, o których nie mieli zielonego pojęcia. W dodatku nie było mowy, by aspiranci nauczyli się czegoś nowego; mogli najwyżej coś popsuć, tracąc przy okazji zdobyte dawniej umiejętności. Taką to reformę wyszykował siłom zbrojnym Kongres.

- Kawy, panie komandorze? - zapytał kapral z sił lądowych.

- Ale bez kofeiny - zgodził się Rosey, przekonany, że przy obecnym stanie nerwów wkrótce kogoś pobije.

Praca w Pentagonie wybitnie dopomagała w karierze. Rosselli wiedział o tym doskonale, podobnie jak zdawał sobie sprawę, że sam jest sobie winien. Przez wszystkie lata służby jego specjalnością były okręty podwodne i rozpoznanie. Odsłużył w przeszłości swoje w centralnym ośrodku wywiadu marynarki wojennej w Suitland w stanie Maryland, niedaleko bazy lotniczej Andrews. Teraz miał przynajmniej lepszy dojazd, bo zakwaterowano go w bazie lotniczej Bolling, więc od zarezerwowanego kwadratu na parkingu Pentagonu dzieliło go paręnaście kilometrów autostradą 1-295/395. Zarezerwowany parking stanowił jeszcze jedną zaletę służby w ośrodku dowodzenia. Są sprawy, za które warto przelewać krew.

Służba w Narodowym Ośrodku Dowodzenia w przeszłości bywała zajmująca. Rosselli pamiętał czasy zestrzelenia przez Rosjan koreańskiego jumbo-jeta i inne wydarzenia. Podczas wojny z Irakiem musiał tu panować cudowny chaos, jeśli oczywiście oficer dyżurny nie był zajęty odpowiadaniem na niezliczone „no i co tam?” osób, które jakimś cudem zdobyły telefon do Ośrodka. Ale teraz? Rosselli poprawił antenę przenośnego telewizora na swoim biurku. Teraz, cóż, prezydent Stanów Zjednoczonych zabrał się właśnie do rozbijania największej dyplomatycznej bomby wszechczasów. Niedługo do obowiązków Rossellego należeć będzie wyłącznie odbieranie sygnałów o kolizjach na morzu, o katastrofach lotniczych czy o przypadkach rozjechania gapowatego żołnierza przez czołg. Wszystko to ważne sprawy, lecz z zawodowego punktu widzenia kompletne bzdury. Tak czy siak, siedział za biurkiem. Uwinął już się na ten dzień z papierami. Tego jednego przynajmniej nauczył się Jim Rosselli w marynarce wojennej: przekładania papierów. Prócz tego miał w Pentagonie do pomocy spory sztab. Przez resztę dnia mógł więc spokojnie siedzieć i czekać, aż coś się wydarzy. Nieszczęście polegało na tym, że Rosselli był człowiekiem czynu, a czekanie doprowadzało go do pasji. Zresztą kto to widział czekać z utęsknieniem na katastrofę?

- Znowu będzie spokojny dzień - zauważył zastępca Rossellego, pilot myśliwca F-15, podpułkownik Richard Barnes.

- Pewno masz rację, Rocky - odrzekł komandor i z irytacją spojrzął na zegarek. Z dwunastu godzin dyżuru zostało jeszcze pięć. - Na świecie tak spokojnie, że zdechnąć można.

- Co racja to racja. - Barnes odwrócił się w stronę ekranu nad głowami, gratulując sobie w myślach, że cokolwiek się teraz wydarzy, sam przynajmniej nie zmarnował okazji, by stracić dwa migi do Zatoki Perskiej.

Rosselli przeciągnął się i podniósł, by rozprostować kości. Dyżurujący oficerowie pomyśleli z kolei, że szef zmiany wstał; by sprawdzić, co robią albo wręcz upewnić się, że mają cokolwiek do roboty. Tylko jeden z czuwających cywilów nadal ostentacyjnie rozwiązywał krzyżówkę w "Washington Post". Miał właśnie przerwę obiadową, lecz wolał jeść kanapkę przy biurku, zamiast iść do pustej o tej porze kantyny. W głównej sali można było przynajmniej oglądać telewizję.

Rosselli przeszedł między biurkami do sali gorącej linii. Tu doczekał się wreszcie jakiejś rozrywki: elektroniczny dzwonek obwieścił nadejście nowej depechy. Tekst na ekranie wyglądał jak rozsypane abecadło, lecz maszyna deszyfrująca zmieniła go w stronicę rosyjskiego czystopisu, tłumaczonego w lot przez dyżurującego oficera z piechoty morskiej:

Myślisz pewnie, że poznałeś, co strach? Że nie dziwna ci trwoga? Nieprawda. Kiedy bomby ci wałą w strop schronu, I gorzej jak pochodnie budynki, Owszem, czujesz przerażenie i lek, które jednak po odboju przechodzą. Bierzesz oddech, lęk mija bez śladu. Choć strach wciąż jak kamień tkwi w piersi. Słyszysz mnie? Właśnie tak tkwi: jak kamień.

- Ilia Sielwinski - dodał kapitan piechoty morskiej.

- Jak?

- Ilia Sielwinski, rosyjski poeta, napisał wiele słynnych wierszy podczas drugiej wojny. Ten akurat znam, tytuł brzmi po rosyjsku "Strach". Bardzo dobry tytuł - dodał oficer z uśmiechem. - Mój partner po drugiej stronie zna się na literaturze. Trzeba odpisać...

WIADOMOŚĆ OTRZYMANA. RESZTA WIERSZA JEST JESZCZE LEPSZA, ALEKSIEJU, wystukał na ekranie kapitan. CZEKAJ NA ODPOWIEDŹ.

- Co wyślemy mu w odpowiedzi? - zaciekawił się Rosselli.

- Dzisiaj może... Na przykład jakiś kawałek Emily Dickinson. Wprawdzie to makabryczna zdzira, wiecznie tylko pisała o śmierci i podobnych sprawach, więc... Nie, lepiej posłać im coś z Edgara Allana Poe'go. Co by tu wybrać? - kapitan wydobył z jednej z szuflad tom poezji.

- Nie przygotowujecie depech na zapas? - zdziwił się Rosselli.

- Nie, panie komandorze - odrzekł z uśmiechem kapitan. - To byłoby szachrajstwo. Dawniej wszystkie depeche szły według schematu, ale będzie już ze dwa lata, jak po odprężeniu zmieniliśmy system. Teraz mamy nową grę: on wybiera wiersz, przesyła, a ja odpowiadam podobnym wierszem amerykańskiego autora. Przynajmniej mamy obaj jakieś zajęcie, a poza tym szlifujemy język. Tłumaczenie poezji to parszywa robota, więc człowiek może sobie solidnie poćwiczyć.

Strona radziecka przesyłała depeche po rosyjsku, Amerykanie zaś po angielsku, na obu krańcach gorącej linii potrzebni więc byli tłumacze.

- Czy dużo się wam trafia prawdziwych depech?

- Panie komandorze, odkąd tu siedzę, widziałem prawie wyłącznie teksty ćwiczebne. Czasem, kiedy sekretarz stanu ma lecieć do Rosji, wymieniamy informacje o pogodzie. Raz nawet, w sierpniu zeszłego roku, pisaliśmy do siebie o hokeju, kiedy ich reprezentacja narodowa jechała do Stanów na mecz z naszą pierwszą ligą, ale przeważnie straszne nudy, więc się ratujemy poezją. Żeby nie wiersze, dawno byśmy wszyscy zwariowali. Szkoda, że nie możemy pogadać przez radio, na GB, ale takie mamy przepisy.

- Których warto się trzymać. Czy Rosjanie mówią coś o traktacie rzymskim?

- Ani słówka. Zresztą nie plotkujemy, panie komandorze.

- Jasne - skwitował rzecz Rosselli, patrząc jak kapitan wybiera strofę z "Annabel Lee" Poe'go. Niespodzianka. Komandor oczekiwał raczej linijek z "Kruka". *Never more...*

Dzień przylotu prezydenta upłynął pod znakiem odpoczynku, pompy, a także tajemnicy. Nadal nie ujawniono żadnych szczegółów traktatu, co przyprawiało o desperację agencje prasowe, żadne informacji o "historycznym wydarzeniu", o którym wciąż trąbiły. Informacji jednak nie było. Przywódcy Izraela, Arabii Saudyjskiej, Szwajcarii, ZSRR, Stanów Zjednoczonych i ich gospodarze, Włosi, zgromadzili się wokół ogromnego, piętnastowiecznego stołu, przy którym zasiedli także szefowie dyplomacji wszystkich państw, przedstawiciele Watykanu i wysłannicy greckiej Cerkwi

prawosławnej. By uszanować zwyczaje Saudyjczyków, końcowy toast wychylnono sokiem pomarańczowym. Było to jedyne tego wieczora odejście od protokołu. Szczególnie wylewny okazał się prezydent ZSRR Andriej Iljicz Narmonow, dla którego fakt udziału Moskwy w konferencji miał ogromne znaczenie, a obecność Cerkwi rosyjskiej wśród członków Komisji Przybytków Świętych dodatkowo mogła poprawić jego sytuację na Kremlu. Bankiet trwał trzy godziny. Następnie goście udali się na drugi kraniec alei, a kręcący ich pochód filmowcy po raz kolejny stwierdzili z zaskoczeniem, że z dawnego chłodu nie pozostało ani śladu. Narmonow udał się wraz z wesołym Fowlerem do apartamentu tego i ostatniego, by odbyć drugie, nieoficjalne spotkanie na temat "problemów leżących w sferze wzajemnych zainteresowań".

- Spóźniacie się z rozbrajaniem strategicznych sil rakietowych - zauważył Fowler, kiedy po wymianie grzeczności przyszedł czas na konkrety. Amerykanin załagodził jednak ostry ton, podając gościowi kieliszek wina.

- Dziękuję, panie prezydencie. Zgodnie z tym, co powiedziałem waszej delegacji tydzień temu, okazało się, że nasze zakłady rozbiórki rakiet nie funkcjonują tak jak trzeba. Dlatego nie nadążamy z demontażem rakiet, a obrońcy przyrody w naszym parlamencie co rusz zgłaszają sprzeciw wobec naszych metod pozbywania się paliwa rakietowego.

- Problem ten nie jest mi obcy. - Fowler uśmiechnął się współczująco. Kiedy poprzedniej wiosny wybuchnął w ZSRR z nieoczekiwaną siłą ruch ekologiczny, radziecka Rada Najwyższa uchwaliła pakiet ustaw o ochronie środowiska, wzorowanych na amerykańskich, lecz znacznie od nich surowszych. Dla Fowlera najbardziej zaskakujące było to, że władze na Kremlu rzeczywiście zaczęły się stosować do nowych przepisów. Tego jednak nie można było powiedzieć dziś głośno. Trzeba nie tylko ustaw, lecz całych pokoleń, by naprawić ekologiczny koszmar, jaki zesłało na kraj Narmonowa siedemdziesiąt lat marksizmu. - Czy oznacza to, że wykroczycie poza datę nałożoną przez warunki porozumienia?

- Robercie - rzekł na to z powagą Narmonow - Masz moje słowo, że do pierwszego marca rakiety zostaną zniszczone, nawet jeśli będę musiał osobiście wysadzić je w powietrze.

- Wierzę, że tak będzie, Andrieju.

Traktat o redukcji strategicznych sil rakietowych, odziedziczony po poprzedniej ekipie, nakazywał zniszczyć do wiosny pięćdziesiąt procent pocisków międzykontynentalnych. Na złom miały więc pójść wszystkie amerykańskie rakiety Minuteman H. Stany Zjednoczone wywiązywały się z tego warunku w terminie. Podobnie jak w przypadku traktatu o redukcji rakiet jądrowych średniego zasięgu, skasowane pociski rozmontowywano na części, które następnie zgniatano bądź niszczone w inny sposób na oczach świadków. Telewizja transmitowała kilka pierwszych "rozbiórek", lecz temat wkrótce się opatrzył. Z kolei z silosów rakietowych trzeba było usunąć całą instalację elektroniczną. Amerykanie sprzedali już pierwszą piętnastkę betonowych studni. W czterech wypadkach zakupili je farmerzy, przekształcając w prawdziwe silosy do kiszzonek. Rozległe tereny dawnej bazy rakietowej w Dakocie południowej zakupił japoński koncern, który wpadł na pomysł, aby bunkier dowodzenia przerobić na piwnicę z winami, na użytek gości pałacyku myśliwskiego dla dyrektorów firmy.

Amerykańscy inspektorzy w ZSRR donosili ze swej strony, że Rosjanie czynią co tylko w ich mocy, aby wywiązać się z postanowień traktatu, lecz ponieważ sknócili projekt zakładów rozbiórkowych, zniszczyli do tej pory o trzydzieści procent rakiet mniej niż Amerykanie. Na placu przed zakładami czekała na platformach transportowych kolejna setka pocisków, których silosy wysadzono tymczasem w powietrze. Chociaż w każdym przypadku radzieccy rakietowcy na oczach

Amerykanów wymontowali i spalili układ sterowania lotem, wywiad wciąż nosił się z podejrzeniem, że cała akcja została sfingowana. Niektórzy specjaliści uważali, że również hydrauliczne platformy transportowe mogą służyć jako wyrzutnie. Podejrliwość w stosunku do Moskwy okazała się dla amerykańskich służb nawykiem nie do przełamania. Fowler nie zdziwiłby się zresztą, gdyby usłyszał to samo na temat służb radzieckich.

- Traktat oznacza ogromny krok naprzód, Robercie - odezwał się Narmonow, kosztując wina. Nareszcie obaj możemy się rozluźnić jak dwaj dżentelmeni, przyszła mu do głowy złośliwa myśl. - Tobie i twoim współpracownikom należą się gratulacje.

- Bez twojej pomocy, Andrieju, nie byłoby mowy o sukcesie - odparł uprzejmie Fowler. Kłamał wprawdzie, lecz dyktowała mu to polityka, co obaj rozmówcy świetnie rozumieli. Z drugiej strony to, co powiedział, nie było zupełnym kłamstwem, lecz ten fakt nie docierał jakoś do żadnego z dwójki prezydentów.

- Jeden punkt zapalny na mapie mniej. Jacy jednak byliśmy ślepi!

- Zgadza się najzupełniej... Na szczęście wszystko to już przeszłość. Jak wasi podwładni radzą sobie z Niemcami?

- Armia nie jest zachwycona, jak sam się domyślasz...

- Moja też nie - przerwał delikatnie Fowler. - Żołnierze są zupełnie jak psy. Oczywiście, przydają się, ale zawsze muszą znać pana. Lubią zapominać, kto tu naprawdę rządzi, więc od czasu do czasu trzeba im o tym przypomnieć.

Słyszając, co powtarza mu tłumacz, Narmonow w zamyśleniu pokiwał głową. Arogancja Fowlera była wprost zadziwiająca. Dokładnie to samo Narmonow przeczytał niedawno w raporcie wywiadu. Arogancja, protekcyjny ton... Cóż, Andrieju, pomyślał Narmonow, Amerykanin ma przynajmniej za sobą stabilny system polityczny, może więc pozwolić sobie na zadufanie, podczas gdy ty sam dzień w dzień musisz borykać się z ustrojem zbudowanym na ruchomych piaskach. Albo wręcz na bagnie, smętnie dodał Rosjanin w myśli. Można tylko pozazdrościć, że prezydent uczy swoich żołnierzy moresu jak psy. A może po prostu nie wie, że psy mają ostre zęby? Dziwny naród, ci Amerykanie. Podczas dziesięcioleci komunistycznych rządów na Kremlu niepokoił się wciąż o polityczną rolę Armii Czerwonej, chociaż już Stalin, mordując Tuchaczewskiego, położył kres podobnym ambicjom wojskowych. Teraz dla odmiany przestali wierzyć we wpływ wojska, choć przecież upadek doktryny marksizmu-leninizmu podsuwa dziś żołnierzom pomysły, za które jeszcze parę lat temu poszliby pod mur. Trudno, nie pora ani miejsce na to, by leczyć Amerykanina z iluzji.

- Powiedz mi, proszę, Robercie... Skąd właściwie wzięła się koncepcja traktatu rzymskiego? - zapytał Narmonow, który znał prawdziwą odpowiedź, lecz chciał się przekonać, czy Fowler potrafi kłamać.

- Jak zawsze w podobnych sprawach, autorów było wielu - rzekł od niechcienia prezydent. - Najbardziej przysłużył się tej idei nieboszczyk Charles Alden. Kiedy w Izraelu zdarzył się tamten straszny wypadek, Alden odkurzył cały plan, rozpropagował... Udało mu się, jak widzisz.

Rosjanin znów przytaknął, notując w myśli, że Fowler kłamie z dużą wprawą, omijając sedno pytania w taki sposób, by odpowiedź, choć wymijająca, była zgodna z prawdą. Narmonow przekonał się już, jak słuszne są słowa Chruszczowa, że politycy na całym świecie są zupełnie tacy sami. Warto sobie zapamiętać tę cechę Fowlera. Amerykanin nie lubi dzielić się zasługami, potrafi za to łącać w żywe oczy komuś równemu mu rangą, nawet w tak trywialnej sprawie. Narmonow poczuł się dziwnie rozczarowany. Spodziewał się oczywiście czegoś podobnego, lecz mimo wszystko, Fowlerowi przydałoby się nieco więcej wdzięku i ludzkiego ciepła. Nie poniósłby przez to w końcu uszczerbku na honorze. Ale nie, amerykański prezydent trwał w małostkowości godnej pierwszego lepszego

aparaczyka z prowincji. Powiedź mi, Robercie, co z ciebie właściwie za człowiek? - brzmiało pytanie obracane w myślach przez Rosjanina, który ze swoją pokerową twarzą zrobiłby karierę nawet w Las Vegas.

- Robi się późno, przyjacielu - zauważył jednak tylko Narmonow. - A zatem jutro po południu?

- Jutro po południu - potwierdził Fowler, wstając na pożegnanie. Odprowadził gościa aż do drzwi budynku, po czym powrócił do apartamentu, gdzie wyciągnął z kieszeni listę pytań i pospiesznie sprawdził, czy podczas rozmowy nie zapomniał o żadnej ze spraw.

- I co?

- Hmm. Na temat rozbiórki rakiet powiedział mi dokładnie to samo, co nasi inspektorzy. Może to uspokoi wreszcie departament analiz strategicznych. - Fowler skrzywił się, bo wiedział, że tak się nie stanie. - Zdaje się, że niepokoi go postawa własnego wojska.

- Coś jeszcze? - zapytała Liz Elliot, siadając. Prezydent nalał i jej kieliszek wina, usiadł i stwierdził:

- Normalna wymiana grzeczności. Narmonow jest bardzo zajęty i bardzo czymś zdenerwowany. Ale to wiemy nie od dziś, prawda?

Liz zakręciła kieliszkiem i powąchała winny bukiet. Nie przepadała za włoskimi winami, lecz to było akurat niezłe.

- Przyszło mi do głowy, Robercie...

- Tak, Elizabeth?

- Po tym, co stało się z Charliem Aldenem... Powinniśmy coś zrobić, żeby go pamiętano. Byłaby szkoda, gdyby zniknął z pamięci. W końcu to on wystąpił z pomysłem traktatu.

- Co racja to racja - zgodził się Fowler, który również sobie dolał wina. - To on przyczynił się najbardziej do zawarcia porozumienia.

- Powinniśmy to chyba rozgłosić. Oczywiście dyskretnie. Albo przynajmniej...

- Zgoda, Charlie powinien zostać w pamięci nie tylko jako autor ciąży u swojej studentki. Ładnie z twojej strony, że tak ci na tym zależy. - Fowler i Elizabeth tręcili się kieliszkami. - Dobrze, zajmij się prasą. Jutro około południa masz im podać szczegóły traktatu, prawda?

- Tak, nawet wcześniej. Około dziewiątej rano.

- Kiedy skończysz, poproś kilku dziennikarzy na stronę i wtajemnicz ich bez podania źródła. Może Charliemu weselej będzie leżeć w grobie.

- Rozkaz, panie prezydencie - przytaknęła Liz, dziwiąc się, jak łatwo przyszło jej wygnać z Fowlera kolejnego demona. Czy jest taka sprawa, do której nie umiałaby nakłonić prezydenta?

- Jutro będzie wielki dzień.

- Największy z największych, Bob. - Elizabeth wyciągnęła się w fotelu i rozluźniła węzeł apaszki pod szyją. - Nigdy nie przypuszczałam, że będę świadkiem takich chwil.

- A ja wiedziałem to zawsze - Fowler mrugnął do Elizabeth, czując jednak przez mgnienie wyrzut sumienia. Przecież to z kimś innym u swe go boku miał dokonać wielkich rzeczy. Los jednak zechciał inaczej. Świat rządzi się dziwnymi prawami, na które człowiek nie ma żadnego wpływu. Los sprawił, że Fowler mógł być dzisiaj w Rzymie razem z Elizabeth. Co mógł na to poradzić? Dlatego, pomyślał nagle, trudno mówić o czyjejkolwiek winie. O jakiej znów winie? Trudno winić kogoś za to, że zmienia świat, czyni go bezpieczniejszym i lepszym. Któż mógłby mnie za to winić?

Czując na odsłoniętej szyi dotyk palców Fowlera, Elizabeth przymknęła oczy. O podobnej chwili nie myślała w najśmielszych marzeniach.

Włosi zarezerwowali całe piętro hotelu dla prezydenta i jego świty, opróżnili też dwa piętra bezpośrednio poniżej. Wszystkich wejść pilno wali uzbrojeni włoscy i amerykańscy strażnicy,

rozmieszczeni także na ulicy i w sąsiedztwie hotelu. Korytarzem bezpośrednio przylegającym do apartamentu Fowlera władali jednak niepodzielnie agenci osobiste ochrony prezydenta. Connor i D'Agustino przed udaniem się na spoczynek po raz ostatni sprawdzili, czy wszystko jest w porządku. W korytarzu mogli naliczyć równo dziesięciu agentów, druga dziesiątka czuwała za zamkniętymi drzwiami. Trzech spośród tajniaków w korytarzu ścisnęło przy piersi teczkę-dyplomatkę, zwane pieszczotliwie rozpiędnymi, o skrót RPD, Ręczny Pakiet Dyspozycyjny. W każdej dyplomacie spoczywał pistolet maszynowy Uzi, z którego można było otworzyć ogień w ciągu półtorej sekundy. Ktokolwiek dostałby się aż tutaj, mógł liczyć na ciepłe przyjęcie.

- Zdaje się, że JASTRZĄB i HARPIA roztrząsają sprawy wagi państwowej - zauważyła niegłęboko Daga.

- Nigdy nie posądzałem cię o purytanizm, Helen - wykrzywił się do niej Pete Connor.

- Może nie powinnam wściubiać nosa, ale dawniej przed drzwiami sypialni obowiązkowo stawiało się eunuchów, albo coś...

- Gadaj tak, gadaj, to Święty Mikołaj przyniesie ci różgę.

- Wolalabym ten nowy pistolet, który dostało FBI - zaśmiała się Daga - Sam popatrz, gorzej niż para nastolatków. To po prostu nie uchodzi...

- Daga!

- Ja wiem, to on jest tu szefem, ma swoje lata, a nam powiedziano, że ani mru-mru. Opamiętaj się, Pete, naprawdę myślisz, że polecę z tym do dziennikarzy? - Daga uchyliła drzwi na schody pożarowe i ujrzała trzech kolejnych agentów, z których dwóch sięgnęło natychmiast po "rozpiędną".

- A już miałem cię zaprosić na kielicha - zażartował z kamieni twarzą Pete. Ani on, ani Daga nigdy nie pili na służbie, pełnili ją z prawie bez przerwy. Connorowi przeszło oczywiście nieraz przez głowę, żeby przespać się z koleżanką. Podobnie jak ona był po rozwodzie, a wiedział doskonale, że nic z tego nie wyjdzie. Daga myślała dokładnie samo, odwzajemniła więc uśmiech. - Jasne, sama bym się napiła. Takim winem, jak tutejsze, pojono mnie jeszcze w kołysce. Do dupy z tym naszym zajęciem! - D'Agustino raz jeszcze omiotła wzrokiem korytarz. - Wszyscy na stanowiskach, Pete. Prawie świt, możemy iść spać.

- Naprawdę tak ci się podoba ta dziesiątka FBI?

- Pukałam z niej w zeszłym tygodniu w Greenbelt. Miałam denata po pierwszych trzech strzałach. Lepiej nie można, kochanie.

Connor zamarł w pół kroku i parsknął:

- Daga, przestań, do cholery!

- A co, ludzie wezmą nas na języki? - D'Agustino zatrzepotała ku Connorowi rękami. - Sam widzisz, jak to się zaczyna, Pete.

- Boże, brakowało mi tu jeszcze makaroniary-purytanki.

Helen D'Agustino trąciła Connora łokciem w żebra i wezwała windę. Jej partner miał rację: rzeczywiście zamienia się we wstydliwą starą pannę. Helen nigdy siebie takiej nie знаła, przeciwnie, własna namiętność rozwalila jej poprzednie, krótkie małżeństwo, za ciasne dla dwóch zaborczych charakterów, obu w dodatku podszytych włoskim temperamentem. Zdawała więc sobie sprawę, że własne uprzedzenia wykrzywają jej osąd na temat prezydenta, co nie było rzeczą zdrową, a w dodatku niepotrzebnie przeszkadzało w pracy. Nie jej interes, czym zajmuje się JASTRZĄB w wolnych chwilach, chociaż wyraz, jaki Fowler miał w oczach... Nic, tylko zakochał się w tej szmacie. Daga nie wiedziała, czy którykolwiek poprzedni prezydent pozwolił sobie na coś podobnego. Może i tak, w końcu byli to normalni mężczyźni, czyli zdaniem Dagi ludzie, którym od

czasu do czasu sperma rzuca się na mózg. Niesłychane jednak, żeby prezydent stał się sługą takiej durnej wywłoki - sama myśl napawała Dagę odrazą. Złapała się zaraz na niekonsekwencji, bo skoro sama uważała się zawsze za kobietę wyzwoloną, nie powinny jej drażnić wyczyny E-E. Drażniły jednak. Dlaczego? Lepiej iść spać, zamiast się nad tym głowić, dzień i bez tego był męczący. Helen mogła liczyć ledwie na pięć czy sześć godzin snu przed kolejnym dniem służby. Niech szlag trafi te zamorskie wizyty...

- W takim razie, co to takiego? - zapytał znów Kati. Właśnie wstawał świt. Poprzedniego dnia komendanta nie było w obozie, pojechał na spotkanie z innymi przywódcami ruchu, odbył też kolejną wizytę u doktora. Hosni wiedział o wszystkim, choć nie śmiałyby zapytać głośno o cokolwiek.

- Nie jestem pewien - odparł na pytanie. - Myślę, że gondola z aparaturą zagłuszającą albo coś takiego.

- Cenna rzecz - zgodził się natychmiast dowódca. Mimo "odprężenia", czy jak je zwać, interesy między Wschodem a Zachodem wciąż kwitły. Rosjanie nie zrezygnowali przecież z wojska, wojsko zaś nie zrezygnowało z broni. Środki obronne przeciwnika znajdowały się więc nadal w centrum uwagi. Szczególnie zaś ceniono w Moskwie sprzęt izraelski, kopiowany bądź co bądź nawet przez Amerykanów. Również stare urządzenia mogły wiele powiedzieć o izraelskich rozwiązaniach technicznych i zasadach, na których działają nowsze odmiany sprzętu.

- Świetnie, pewnie uda nam się to sprzedać rosyjskim kolegom.

- Jak się spisał ten twój Amerykanin? - zapytał z kolei Kati.

- Bardzo dobrze. Wiesz, Ismaelu, zaczynam się do niego przekonywać i chyba go lepiej rozumiem. - Inżynier powtórzył pokrótce historię opowiedzianą przez Indianina. Kati kiwnął głową, po czym zasięgnął rady Hosniego, pytając:

- Co mam z nim zrobić?

- Może posłać go na szkolenie taktyczne? - Hosni wzruszył ramionami. - Zobaczymy, czy się wkupi między chłopaków.

- Dobry pomysł. Zaraz rano wyślę go, niech pokaże, czy potrafi strzelać. A co do tego znaleziska, kiedy chcesz je rozmontować?

- Myślałem, żeby dzisiaj.

- Doskonale. Nie będę cię zatrzymywał.

- A jak zdrowie komendanta?

Kati nachmurzył się. Czuł się po prostu fatalnie, ale wmawiał sobie, że bierze się to przede wszystkim z lęku, iż świat rzeczywiście zawrze jakiś pakt z Izraelem. I co wtedy? Czy to w ogóle możliwe? Historia podszeptowała, że nie, lecz świat widział ostatnio tyle różnych zmian... Więc jeśli Saudyjczycy dogadają się z syjonistami...? Po aferze z Irakiem jest to prawdopodobne. Amerykanie zrobili swoje, a teraz naciskają, żeby zawrzeć oficjalną ugodę. Pewnie, że to wielki zawód, tym bardziej, że cokolwiek wymyślą Amerykanie, odwróci to uwagę od najnowszych zbrodni Izraela. Ludzie, którzy nie zasługują na miano Arabów, pokornie, niczym baby, znoszą kule i śmierć... Kati potrząsnął głową. Nie wolno walczyć w ten sposób. Amerykanie zrobią więc coś, co zneutralizuje polityczne skutki masakry na jerozolimskim wzgórzu, widać już, że Saudyjczycy będą im jedli z ręki, te kundle... Cokolwiek ma w zanadrzu los, Palestyńczycy nadal będą walczyć. Myśl ta uspokoiła Katiego.

- Zdrowie to głupstwo. Daj mi znać, kiedy się tylko zorientujesz, co znalazłeś.

Hosni skinął głową i wyszedł. Naprawdę martwił się o komendanta, który był bardzo chory. Hosni usłyszał o tym od szwagra, choć nie miał pojęcia, czy ta choroba to coś poważnego. Trudno,

trzeba się brać do pracy.

Warsztat mieścił się w walącej się, drewnianej szopie, krytej falistym blaszanym dachem. Pewniejsza budowla dawno stałaby się celem dla pilotów izraelskich F-16.

Bomba - Hosni postanowił trwać przy tej nazwie - spoczywała wewnątrz, na klepisku, pod rozkraczonym rusztowaniem podobnym do tego na ciężarówce. W razie potrzeby można ją więc było podnieść łańcuchami. Poprzedniego dnia dwóch żołnierzy przemieściło ją zgodnie ze wskazówkami Hosniego, który włączył światło (nie cierpiał pracy w półmroku) i jeszcze raz przyjrzał się... bombie.

- Dlaczego myślę ciągle "bomba"? - zapytał sam siebie i pokręcił głową. Oczywiście miejscem, od którego należało zacząć, była kłapa w korpusie. Otworzyć ją nie będzie łatwo, bo przy uderzeniu o ziemię cała powłoka zgięła się w harmonijkę, od czego na pewno uszkodziły się wewnętrzne zawiasy... Hosni miał jednak mnóstwo czasu.

Wygrzebał teraz ze skrzynki narzędziowej śrubokręt i zabrał się do dzieła.

Prezydent Fowler spał do późna. Wciąż dokuczało mu zmęczenie po locie przez Atlantyki, a oprócz tego... Na widok swojej miny w lustrze sam się prawie roześmiał. Wielki Boże, trzeci raz w ciągu niecałych dwudziestu czterech godzin... Czy to możliwe? Znowu porachował w myślach godziny, lecz dał temu spokój, gdyż wniesiono kawę. Wszystko jedno, przespał się z kobietą trzy razy pod rząd w krótkich odstępach czasu - taki wyczyn nie przytrafił mu się od dawna! Udało mu się jednak odpocząć. Poranny prysznic dodatkowo wzmocnił Fowlera, a maszynka do golenia, zgarniając pianę z twarzy, odsłaniała stopniowo oblicze młodsze i szczuplejsze niż jeszcze poprzedniego dnia. Oczy w zwierciadle błyszczały wesołym ożywieniem. Trzy minuty później prezydent wybierał już krawat w paski do szarego garnituru i białej koszuli. Strój poważny, lecz nie śmiertelnie poważny, tak brzmiała zasada na dzień dzisiejszy. Niech książęta Kościoła pchają przed obiektyw swoje purpurowe jedwabie. Przemówienie prezydenta Stanów Zjednoczonych zrobi tym większe wrażenie, jeżeli wygłosi je skromnie ubrany człowiek interesu. Fowler starał się w ten właśnie sposób ukazać siebie jako polityka, choć oczywiście nigdy w życiu nie zajmował się prywatnym biznesem. Bob Fowler, poważny facet, trochę może plebejusz lecz na pewno godzien zaufania. Człowiek, który robi Co Do Niego Należy.

- Dziś przynajmniej wszystkim wam to udowodnię - mruknął do siebie prezydent, przeglądając się w kolejnym lustrze i poprawiając krawat. Na odgłos pukania odwrócił głowę do drzwi:

- Proszę!

- Dzień dobry, panie prezydencie - przywitał go agent Connor.

- Jak się masz, Pete. - Prezydent znowu odwrócił się do lustra... Nie, ten węzeł trzeba jednak koniecznie poprawić...

- Dziękuję, w porządku. Mamy dziś naprawdę piękną pogodę.

- Nie zazdrozczę wam tej służby. Ani się nie wyśpicie, ani sobie nie pozwiedzacie. Wszystko przeze mnie, co? - zagadnął Fowler, podciągając węzeł i przyglądając mu się z satysfakcją.

- Nie narzekam, panie prezydencie. Służymy przecież wszyscy ochotniczo. Kiedy każe pan podać śniadanie?

- Dzień dobry, prezydencie! - Za plecami Connora stała teraz Liz Elliot - A więc dziś!

- Dziś, niech to diabli! - Fowler odwrócił się do niej z uśmiechem. - Usiądziesz ze mną przy śniadaniu, Elizabeth?

- Z miłą chęcią. Przyniosłam poranny raport. Nareszcie zrobiły się krótsze.

- Pete, śniadanie na dwie osoby... Tylko nie żałuj, bo naprawdę zgłodniałem.

- Dla mnie tylko kawa - sprostowała Elizabeth. Connor wychwycił dziwny ton w jej głosie, lecz skinął tylko głową i wyszedł. - Bob, wyglądasz świetnie!

- Ty także, Liz.

Komplement był uzasadniony, jako że Elizabeth miała dziś na sobie najdroższy ze swych kostiumów, poważny, lecz bardzo kobiecy. Usiadła przy stole i złożyła Fowlerowi raport o sytuacji międzynarodowej.

- Z CIA donoszą, że Japończycy coś nam szykują - dodała na zakończenie.

- Ale co takiego?

- Dokładnie nie wiadomo, ale Ryan twierdzi, że chodzi o następną rundę negocjacji handlowych. Ich premier powiedział coś bardzo niemiłego na nasz temat.

- Mianowicie?

- Powiedział, że po raz ostatni dają się zepchnąć z należnego im miejsca na światowej scenie, i że Ameryka zapłaci im za tę hańbę. Ryan bardzo się tym przejął.

- A ty sama co myślisz?

- Myślę, że Ryan wpada w kolejną paranoję. Nie dopuszczono go do rzymskich rokowań, więc próbuje nam pokazać, jaki jest niezastąpiony. Marcus jest tego samego zdania, ale zawodowa uczciwość kazała mu jednak przesłać ten materiał - dodała Liz głosem ciężkim od ironii.

- Cabot coś się nam rzeczywiście nie spisuje, nie uważasz? - zauważył Fowler, przerzucając stronicie raportów.

- Nie potrafi zupełnie pokazać swoim ludziom, że to on jest szefem. Daje sobie chodzić po głowie różnym biurokratom, ot, choćby Ryanowi.

- Nie przepadasz za Ryanem, co? - zorientował się prezydent.

- Jest taki arogancki. I w dodatku...

- Elizabeth, Ryan ma wspaniałą przeszłość. Mogę myśleć o nim różne rzeczy jako o człowieku, ale jako oficer wywiadu zasłużył się nam tak, że trudno lepiej.

- Właśnie, przeszłość. Ryan to zabytek, relikw z epoki Jamesa Bonda - sprzeciwiła się Liz Elliot.

- Nie przeczę, że dokonał tego czy owego, ale to wszystko historia. Potrzebny nam jest ktoś o szerszych horyzontach.

- Kongres nigdy na to nie pójdzie - przypomniał prezydent. Do pokoju wtoczono wózek barowy ze śniadaniem. Jedzenie sprawdzono uprzednio licznikiem Geigera, zbadano, czy nie ma w nim urządzeń podsłuchowych i dano do powąchania psom wyszkolonym w wykrywaniu materiałów wybuchowych. Prezydent uważał tę ostatnią metodę za nieludzką wobec psów, które jak i on sam lubiły kielbasę. - Poradzimy sobie sami, dziękuję - rzucił prezydent do stewarda z marynarki wojennej, po czym ciągnął myśl: - Kongres przepada za Ryanem, diabli wiedzą dlaczego.

Fowler zapomniał dodać, że jako wicedyrektor CIA, Ryan nie należy do ekipy mianowanej bezpośrednio przez Biały Dom, a ponadto z pomyślnym wynikiem odbył przesłuchanie przed komisją senacką. Niełatwo będzie się go zatem pozbyć. Trzeba znaleźć dobry pretekst.

- Ja też nigdy nie mogłam tego pojąć. Nawet Trent lubi Ryana. Co on w nim takiego widzi?

- Sama go o to zapytaj - zaproponował Fowler, smarując masłem naleśniki.

- Już pytałam. Rumienił się i wił się jak primabalerina opery nowojorskiej, ale nic mi nie powiedział.

Prezydent roześmiał się gromko na te słowa.

- Uważaj, Elizabeth, żeby nie mówić tego głośno przy ludziach. Niech ktokolwiek usłyszy...

- Ależ Bob, obydwójce wyznajemy zasadę tolerancji wobec seksualnych upodobań czcigodnego sekretarza Trenta, tak samo jak obydwójce wiemy, że to kawał zarozumiałego sukinsyna.

- Niby racja - przytaknął Fowler. - Co mi w takim razie proponujesz, Elizabeth?

- Najwyższa pora, żeby Cabot usadził tego Ryana.

- Na ile przemawia przez ciebie zawiść o udział w traktacie, Elizabeth?

Liz Elliot spiorunowała prezydenta wzrokiem, lecz ten nawet tego nie zauważył, wpatrzony we własny talerz. Wzięła więc głęboki oddech, usiłując się zorientować, czy Fowler mówi poważnie, czy też jej tylko dokucza. Nawet jeśli mówi poważnie, to przecież we własnych sądach nigdy nie daje się powodować emocjom...

- Bob, tyle razy rozmawialiśmy już na ten temat. Ryan pozbierał kilka pomysłów, które różni ludzie wysuwali na długo przed nim. To zwykły szpieg, na miłość boską! Potrafi tylko donosić o tym, co robią inni.

- Ryan dowiódł, że potrafi coś więcej - wtrącił Fowler, który zorientował się, do czego zmierza Liz, lecz chciał się z nią jeszcze podrażnić.

- Właśnie, potrafi jeszcze zabijać! Czy to taka zasługa? Znalazł się mały Bondek! Sam pozwoliłeś mu nawet zabić tych, którzy...

- Którzy zgładzili siedmiu agentów mojej ochrony. Chodziło o terrorystów, Elizabeth. Od ochrony zależy moje życie, więc trudno mi było ułaskawić skazańców, którzy zabili kolegów moich ochroniarzy.

Mówiąc to prezydent spochmurniał, gdyż przyłapał samego siebie na niekonsekwencji. Nawet dla niego istnieją więc małe kompromisy? Opanował się jednak.

- I właśnie dlatego nie możesz już nikogo ułaskawić od śmierci, bo ludzie powiedzą, że przedtem działałeś z chęci osobistej zemsty. Dałeś się wciągnąć w pułapkę, wyrolować! - dodała Elizabeth, wściekła, że prezydent pozwala sobie z nią na żarty. Taki dowcipny? Niech lepiej uważa! Fowler nie dał się jednak podejść.

- Zdaję sobie sprawę, Liz, że jestem jedynym byłym prokuratorem w całych Stanach Zjednoczonych, który nie pochwała kary śmierci, ale z drugiej strony... Żyjemy w demokratycznym kraju, a ogół popiera takie wyroki. Poza tym chodziło o terrorystów. Nie powiem, że skazanie ich sprawiło mi przyjemność, ale przynajmniej mam świadomość, że należała im się taka kara. W dodatku okoliczności nie pozwalały na zasadniczą zmianę polityki. Może teraz, kiedy mnie wybiorą na następną kadencję... Musimy tylko poczekać, aż trafi się odpowiednia sprawa. Polityka to sztuka korzystania z istniejących możliwości, Liz. Czyli trzeba działać po kolei, powoli. Wiesz o tym lepiej ode mnie.

- Jeżeli natychmiast nie podejmiesz jakiejś decyzji, jutro okaże się, że Ryan rządzi całą CIA! Zgoda, stać go na to, ale powtarzam ci, że Ryan to zabytek. W ogóle się nie nadaje do naszych nowych czasów.

Boże, ależ z niej zazdrośnica - jęknął Fowler w duchu. - Trudno, wszyscy mamy swoje wady. Pora chyba przestać jej dokuczać. Nie chciał przecież ranić uczuć swojego doradcy do spraw bezpieczeństwa.

- Co mi na przykład proponujesz?

- Możemy go odsunąć gdzieś na boczny tor.

- Zastanowię się nad tym. W ogóle, Elizabeth, nie psujmy sobie dnia podobnymi dyskusjami, dobrze? Powiedz mi lepiej, jak chcesz rozegrać tę konferencję prasową na temat szczegółów traktatu.

Elizabeth rozsiadła się wygodniej i sięgnęła po kawę, karcąc się w duchu za brak umiaru i wyrachowania w dążeniu do celu. Wprawdzie szczerze nie znosiła Ryana, lecz rzeczywiście musiała przyznać Bobowi rację co do niepomyślnych okoliczności. Nie teraz, nie na łapu capu. Miała dość czasu, by rozegrać wszystko tak, jak chciała. Wiedziała też, że rozgrywka wymagać będzie talentu.

- Rozdam im chyba po prostu tekst traktatu.

- Sądziś, że potrafią tak szybko czytać? - Fowler roześmiał się, gdyż w jego opinii wśród dziennikarzy roiło się od analfabetów.

- Szkoda, że nie rzuciłeś okiem na to, co wypisują. Przed godziną dostałam telefaksem artykuł wstępny z "New York Timesa", same domysły. Prasa wychodzi ze skóry. Będą mi jedli z ręki. Poza tym przygotowałam dla nich ściągę.

- Rób, co tylko uznasz za stosowne - powiedział prezydent, dogryzając ostatni plasterek kielbasy, po czym spojrzął na zegarek. Najbardziej liczy się czas. Między Rzymem a Waszyngtonem jest sześć godzin różnicy, co oznacza, że nie można podpisać traktatu wcześniej niż o drugiej po południu, żeby wcelować transmisją w poranne programy amerykańskie. Amerykańską publiczność trzeba było jednak odpowiednio rozgrzać, a to oznaczało, że stacje telewizyjne muszą poznać wszystkie szczegóły do trzeciej nad ranem czasu waszyngtońskiego, żeby odpowiednio rozpisać scenariusze programów. Liz ma wystąpić o dziewiątej rano, czyli za dwadzieścia minut. Fowler zmarszczył brwi.

- Pamiętasz, że chcesz podkreślić rolę Charliego Aldena?

- Pamiętam. Komu, jeśli nie jemu, można przypisać największą zasługę?

Na tym kończy się więc rola Ryana, pomyślał prezydent, lecz nie wyrzekł ani słowa. Co tu kryć, to przecież Charlie puścił w ruch całą maszynę, któż by inny?

Prezydent współczuł trochę Ryanowi, bo choć podobnie jak Liz Elliot uważał zastępcę dyrektora CIA za weterana z innej epoki, znał dobrze listę jego sukcesów i był dla niego pełen uznania. Ryana cenił także Arnie Van Damm, który słynął jako najlepszy znawca ludzkiego charakteru w całym rządzie. Elizabeth była jednak doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego, nie można więc było pozwolić, by żarła się nadal z Ryanem. Prawda, jakie to oczywiste?

- Masz ich oszołomić, Elizabeth.

- Prosta sprawa. - Liz uśmiechnęła się jeszcze na pożegnanie.

Zadanie okazało się trudniejsze, niż przypuszczał. W pewnej chwili Hosni chciał nawet poprosić o pomoc, ale postanowił sam dokończyć dzieła. Mir, jakim cieszył się w organizacji, brał się między innymi z tego, że w pojedynkę rozbierał bomby, prosząc o pomoc tylko wtedy, gdy potrzebował kilku par krzepkich rąk.

Bomba, czy też urządzenie, czy może gondola, miała znacznie solidniejszą konstrukcję, niż myślał. W świetle mocnych lamp inżynier obmył metalowy kadłub, odkrywając przy tym trochę zagadkowych szczegółów. Po pierwsze, w kadłubie widniało kilka gwintowanych otworów, zabezpieczonych zaślepkami. Hosni wykręcił jedną z nich i ujrzał gniazdo kolejnego przewodu elektrycznego. Co dziwniejsze, pancierz okazał się znacznie grubszy, niż można by przypuszczać. Arab rozmontowywał już kiedyś izraelski zasobnik lotniczy z zagłuszaczem i pamiętał, że aluminiowa powłoka gondoli była cienka i w paru miejscach zastąpiona pleksiglasem i tworzywem sztucznym, które przepuszczają promieniowanie elektromagnetyczne.

Hosni zaczął próby od klapy, ale ta w żaden sposób nie dawała się otworzyć. Poszukał więc innego, łatwiejszego miejsca. Nic z tego. Znow zajął się więc klapą, wściekły, że zmarnował już tyle godzin.

W końcu przysiadł na boku i zapalił papierosa, pytając w myślach swoje znalezisko: - Coś ty za jedno?

Uświadomił sobie bowiem, że naprawdę może chodzić o bombę. Wskazywał na to gruby pancierz pocisku, nadający mu duży ciężar. Oczywiście, gdzieżby tam ukrywano elektronikę pod takim

pancerzem... Ale przecież nie mogła to być bomba, bo jakże? A gdzie zapalniki, a gdzie detonator? A ta dostrzeżona wewnątrz instalacja elektryczna, połączenia? Nie, to na pewno urządzenie elektroniczne. Hosni zdeptał niedopałek i podszedł do swojego warsztatu.

Przez ostatnie lata zgromadził mnóstwo narzędzi, w tym tarczę karborundową z napędem spalinowym, specjalnie do cięcia stali. Tarczą najwygodniej było operować w dwie osoby, lecz Hosni pomyślał, że sam jakoś da radę, zwłaszcza jeśli będzie ciął metal kłapy, z pewnością cieńszy od reszty pancerza. Nastawił więc głębokość bruzdy na dziewięć milimetrów i zapuścił motorek, opuszczając piłę nad metalową klapą. Jazgot tarczy przewiercał uszy, zwłaszcza kiedy twarda jak diament krawędź dotknęła powłoki, lecz przygniatana własnym ciężarem tarcza nie odskoczyła od metalu. Hosni powoli prowadził ostrze wzdłuż krawędzi kłapy. Wypiłowanie pierwszej szczeliny zajęło mu dwadzieścia minut. Zatrzymał piłę, odstawił ją i zaczął sondować otwór kawałkiem cienkiego drutu.

Nareszcie, pogratulował sobie w myśli. Tarcza przeszła metal kłapy na wylot. Reszta powłoki miała... Hmm, ze cztery centymetry grubości, czyli cztery razy tyle, co blacha zabezpieczająca otwór. Hosni był tak zadowolony z sukcesu, choćby połowicznego, że nie zadał sobie nawet pytania, jaki sens ma urządzenie elektroniczne w pancerzu z centymetra hartowanej stali. Zanim znów zapuścił motor tarczy, zatkał sobie uszy. Dzwoniło mu jeszcze pod czaszką po pierwszym cięciu, a ból głowy utrudniłby mu dodatkowo tę i tak ciężką robotę.

Napis "Wiadomość nadzwyczajna" w ciągu kilku sekund wykwitł kolejno na ekranach wszystkich sieci telewizyjnych. Sprawozdawcy, którzy zerwali się tego dnia wcześniej - przynajmniej jak na to, do czego przyzwyczaił ich pobyt w Rzymie - by wysłuchać wystąpienia doktor Elliot, co tchu pogalopowali do swoich wozów transmisyjnych i pospiesznie wręczyli notatki redaktorom wydania.

- A nie mówiłam? - ucieszyła się Angela Miriles. - Pamiętasz, co ci powiedziałam, Rick?
- Angie, stawiam ci kawę, kolację, a może nawet śniadanie w dowolnej restauracji.
- Trzymam cię za słowo - ucieszyła się kierowniczka grupy ekspertów, świadoma, że Rick przy swoich apanażach może sobie pozwolić na niejedno.
- Jak mam to kręcić? - zapytał Ricka redaktor wydania.
- Będę walił z sufitu. Daj mi dwie minuty, a potem jazda.
- Świat się kończy - szepnęła sama do siebie Angie. Rick nie znosił improwizacji, uwielbiał jednak pokazywać, że jest szybszy od facetów z prasy. Dziś mógł nareszcie zagrać im na nosie. A kuku, "New York Timesie"! Przysiadł więc na chwilę przed lustrem charakteryzatora, a potem w towarzystwie zaproszonego eksperta - dupy na kaczych nogach, nie eksperta, przynajmniej zdaniem Angeli Miriles - zasiadł w zaimprovizowanym studio.

- Pięc - zaczął odliczanie realizator. - Cztery! Trzy! Dwa! Jeden! - Machnął ręką Rickowi.
- To nie sen - obwieścił Rick telewidzom, - Proszę państwa, za cztery godziny prezydent Stanów Zjednoczonych, a wraz z nim prezydent ZSRR, król Arabii Saudyjskiej, premierzy Izraela i Szwajcarii, a także przedstawiciele dwóch wielkich ugrupowań religijnych podpiszą traktat, który w zamyśle na szansę położyć kres wszystkim sporom, jakie trwają na Bliskim Wschodzie. Szczegóły porozumienia są po prostu oszałamiające... - Rick klekotał przez trzy minuty bez przerwy, jak gdyby ściagał się o pierwszeństwo z kolegami z innych sieci telewizyjnych. - Ludzkość nie pamięta równie brzemiennego w skutki wydarzenia. Oto na naszych oczach wydarzył się kolejny cud, który przybliży czasy pokoju na całym świecie. A co ty na to, Dick? - zwrócił się prezenter do gościa programu, byłego ambasadora USA w Izraelu.

- Rick, powiem od razu, że od pół godziny czytam zasady traktatu i nadal nie wierzę własnym oczom. Jeżeli to cud, muszę przyznać, że dobrze wybraliśmy na niego miejsce. Zakres ustępstw, na jakie zgodził się rząd Izraela, przyprawia o zawrót głowy, ale to samo trzeba powiedzieć o amerykańskich gwarancjach bezpieczeństwa dla Tel Awiwu. Nie sposób też nie zwrócić uwagi na dyskrecję, jaką otoczono rokowania. Gdyby jeszcze dwa dni temu ujawniono choć kilka szczegółów porozumienia, konferencja zawałiłaby się na naszych oczach. Tak się jednak nie stało, Rick, i dlatego powtórzę za tobą z tego miejsca: to nie sen. Dokładnie tak, jak powiedziałeś: to nie sen. Wszystko zdarzyło się naprawdę, na naszych oczach. Za kilka godzin będziemy świadkami kolejnej wielkiej przemiany w dziejach świata. Dodam, że nie doszłoby to tego przełomu, gdyby nie współpraca ZSRR. Niewątpliwie ciąży na nas odtąd olbrzymi dług wdzięczności wobec bohaterstwo borykającego się z chaosem prezydenta ZSRR Andrieja Narmonowa.

- A co sądzisz w takim razie o zmianie postawy ze strony poszczególnych ugrupowań religijnych?

- Rick, to także nie mieści mi się po prostu w głowie. Porozumienie dotyczy rejonu, w którym wojny religijne toczą się od zarania cywilizacji. Powinniśmy tu jednak zaznaczyć, że głównym architektem porozumienia był zmarły niedawno profesor Charles Alden. Jedną z osobistości zbliżonych do prezydenta nie szczędziła słów pochwały wobec człowieka, który zmarł zaledwie kilka tygodni temu, a co więcej, odszedł w niełascie. Ironia losu sprawiła więc, że ten sam myśliciel, który tak trafnie wykazał, iż korzenie konfliktów na Bliskim Wschodzie, w kolebce wielkich religii, tkwią w sztucznie podtrzymywanych podziałach religijnych, nie doczekał chwili, kiedy jego wizja stała się rzeczywistością. Słyszysz się, że to Alden był autorem obecnego planu i jego głównym wykonawcą. Można tylko mieć nadzieję, że mimo jego niewczesnej śmierci i towarzyszących jej okoliczności, historia wynagrodzi profesora Charlesa Aldena z uniwersytetu Yale, człowieka, który sprawił, że stał się cud.

Były ambasador również ukończył Yale, a nawet studiował z Aldenem na tym samym roku.

- Czy wiemy coś o pozostałych autorach tej inicjatywy? - zapytał znów Rick.

- Muszę od razu powiedzieć, że w wydarzeniach na tak epokową skalę, w dodatku tak niesłychanie rzadkich, dopomaga zawsze ogromna rzesza ludzi, z których każdy odgrywa istotną rolę. Tak więc Traktat Watykański jest również dziełem sekretarza Brenta Talbota, wspartego talentami swojego zastępcy Scotta Adlera, znakomitego, nawiasem mówiąc, praktyka zmagani dyplomatycznych i prawej ręki Talbota. Nie sposób też nie wspomnieć o roli, jaką odegrał sam prezydent Fowler, który przede wszystkim poparł całą inicjatywę, pomógł jej zdobyć grunt i nadał jej bieg po zgonie Charliego Aldena. Żaden z poprzedników prezydenta Fowlera nie wykazał się podobną odwagą i równie szerokimi horyzontami umysłowymi, żaden też nie postawił na tę jedną niepewną kartę swojego autorytetu jako polityka. Gdyby nasza inicjatywa poniosła fiasko, trudno sobie nawet wyobrazić wszystkie możliwe konsekwencje. Fowlerowi udało się jednak. Dlatego dzisiejszy dzień jest wielkim świętem dla amerykańskiej dyplomacji, wielkim świętem nowych stosunków między Zachodem a Wschodem, być może wręcz największym świętem światowego pokoju w całej historii ludzkości.

- Sam nie ująłbym tego lepiej, Dick. Proszę cię jeszcze o komentarz na temat postawy Senatu, który musi przecież ratyfikować Traktat Watykański, a także amerykańsko-izraelski dwustronny traktat obronny.

Komentator uśmiechnął się łobuzersko i potrząsając głową odrzekł:

- Senat podpisze traktat oburącz, i to tak prędko, że prezydent gotów sobie poplamić ręce świeżym atramentem. Jedyne, co może przyhamować ratyfikację, to kwieciste przemówienia na forum

odpowiedniej komisji i w sali posiedzeń.

- Mimo wszystko, jeżeli zważyć na koszty stacjonowania naszych wojsk...

- Rick, utrzymujemy naszą armię właśnie po to, by strzegła pokoju. Wojsko ma bronić pokoju, więc jeżeli trzeba w tym celu jechać do Izraela, Ameryka musi też ponieść koszty. Dla naszych podatników nie będzie to jakimś nadzwyczajnym poświęceniem, lecz zaszczytem, historyczną zasługą, dzięki której amerykańska potęga militarna przypieczętuje los pokoju na całym świecie. Rick, kiedy pomyślimy o ideałach, które dały podwaliny współczesnej Ameryce, zrozumiemy od razu, że Ameryka spełni i ten obowiązek.

- Na razie tyle, proszę państwa. - Rick odwrócił się do pierwszej kamery. - Za dwie i pół godziny zaczynamy transmisję na żywo z podpisania Traktatu Watykańskiego. Tymczasem oddaję mikrofon kolegom ze studia w Nowym Jorku. Z Watykanu mówił dla państwa Rick Cousins.

- Ależ skurwysyństwo! - Jack Ryan aż się zachłysnął. Niestety, tym razem głosy z telewizora obudziły jego żonę, która z ciekawością chłonęła teraz program.

- A ty, Jack, na ile byłeś w to wszystko...? - Cathy urwała i poszła do kuchni, żeby zaparzyć poranną kawę. - Sam wiesz, jeździłeś tam i w ogóle...

- Kochanie, oczywiście, że siedziałem nad tym wszystkim. Nawet ci nie powiem, jak bardzo. - Chociaż Jack wiedział, że powinien odczuwać złość, iż ukradziono mu autorstwo całego pomysłu i przyznano je Aldenowi, jakoś nie potrafił się zdenerwować. Z Charliego był taki fajny facet, nawet jeśli miał swoje słabostki. Co więcej, Alden popychał całe przedsięwzięcie nawet w najtrudniejszym okresie. A zresztą, dodał jeszcze Jack w myślach, historia i tak pokaże, kto się przyczynił, a kto nie - normalna kolej rzeczy. Ktokolwiek wiedział o początkach inicjatywy, znał rolę Jacka. On sam też o niej pamiętał, poza tym przyzwyczał się już pozostawać w cieniu, gdzie mógł robić to, czego nie wolno było innym, albo wręcz to, o czym inni nigdy się nie dowiedzą. Odwrócił się więc do żony i spojrzał na nią z uśmiechem.

Cathy rozumiała w mig całą sprawę. Na własne uszy słyszała kilka miesięcy wcześniej spekulacje męża na temat, co by było, gdyby... Jack nie miał pojęcia, że przy goleniu pomrukuje sam do siebie, poza tym był przekonany, że chociaż wstaje tak wcześnie, jego żona śpi kamiennym snem. Cathy jednak co rano odprowadzała Jacka spojrzeniem, nawet przez sen. Lubiła też jego poranne pocałunki, gdy był przekonany, że śpi, i nie chciała dodatkowo płoszyć męża, o którym wiedziała, że i tak ma dość kłopotów na głowie. Jack należał do niej, ona też najlepiej wiedziała, jaki jest pocziwy.

Niesprawiedliwość, pomyślała więc doktor Cathy Ryan, patrząc w telewizor. Przecież Jack sam obmyślił to wszystko, a przynajmniej większą część. O ilu jeszcze podobnych planach męża nie miała pojęcia? Caroline Muller Ryan, doktor medycyny i członkini Amerykańskiego Stowarzyszenia Chirurgów, niezmiernie rzadko zadawała sobie takie pytania. Nie mogła jednak udawać przed sobą, że nocne koszmary Jacka to jej urojenie. Jack rzeczywiście coraz gorzej spał, za dużo pił, a kiedy już zasnął, znów przeżywał koszmary, o które Cathy nie mogła nawet zapytać. Trochę ją to przerażało. Cóż takiego uczynił jej mąż? Dlaczego dręczy go wina?

- Wina? - Cathy zaskoczyła jej własna refleksja. Skąd nagle myśl o winie?

Hosni odgiął metalową klapę dopiero po trzech godzinach. Musiał założyć nową tarczę korundową na oś, lecz zabrało to tyle czasu przede wszystkim dlatego, że w swojej dumie nie chciał poprosić nikogo o pomoc. Nieważne, liczy się to, że dał sobie radę, choć pod koniec odgiął metal grubym łomem. Wreszcie mógł wziąć do ręki latarkę i zajrzeć do środka. Czekala tam na inżyniera

kolejna zagadka.

Wnętrze pancerza wypełniała ni to siatka, ni to kratownica z lekkiego metalu - może z tytanu? Metalowe rusztowanie podtrzymywało z kolei jakiś duży cylinder, przyśrubowany mocno do reszty konstrukcji. Hosni ujrzał też w świetle latarki wybiegające z cylindra grube pęki przewodów. Widać było również kant płyty sporego układu elektronicznego, który wyglądał na przekaźnik radarowy. Aha, więc jednak! Ale zaraz, jak to? Hosni zrozumiał nagle, że przegapił coś ważnego. Bardzo ważnego. Tylko co? Napisy na cylindrze wewnątrz kadłuba były po hebrajsku, lecz Arab znał tylko jeden język semicki, swój własny, i nie rozumiał, co znaczą. Wewnętrzne rusztowanie z metalu miało służyć cylindrowi jako amortyzator, tyle przynajmniej dało się zrozumieć. Rzeczywiście, spełniło swoje zadanie. Wprawdzie powyginało się w okropny sposób, lecz sam cylinder przetrwał upadek bez szwanku. Uszkodzony, to fakt, ale nie rozpadł się przecież... Oznaczało to, że tajemnicza zawartość cylindra jest wrażliwa na wstrząsy. Delikatne urządzenie, delikatne, więc na pewno elektroniczne. Hosni znów pomyślał, że ma przed sobą zagłuszacz fal radarowych. Tak pochłoneła go praca nad rozbieraniem znaleziska, że nie pomyślał nawet o innych możliwych rozwiązaniach zagadki. Mózg inżyniera skutecznie głuszył docierające co rusz sygnały alarmowe. Czymkolwiek było to coś, trzeba najpierw wydobyć cylinder ze środka. Hosni dobrał odpowiedni klucz nasadowy i zabrał się za odkręcanie śrub mocujących cylinder do kratownicy.

Fowler siedział w szesnastowiecznym fotelu, patrząc, jak szefowie protokołu uwijają się dookoła niczym stadko bażantów, niepewnych, czy zostać, czy odfrunąć. W powszechnym przekonaniu oficjalne ceremonie, takie jak ta, toczą się bezszelestnie pod czujnym okiem wytrawnych dyplomatów, którzy przemyśleli zawczasu każdy szczegół. Fowler znał jednak prawdę. Oczywiście, jeśli było dość czasu na przygotowania, powiedzmy kilka miesięcy, można było dopieścić każdy szczegół. Rzymską uroczystość zapowiedziano jednak z dnia na dzień, w trybie tak nagłym, że tuzin obecnych specjalistów od protokołu nie zdołał nawet jeszcze ustalić starszeństwa w obrębie własnej grupy. Co najdziwniejsze, najspokojniej spośród mistrzów ceremonii zachowywali się Rosjanin i Szwajcar. Prezydent ujrzał ze zdziwieniem, że właśnie ta dwójka pierwsza ustaliła, co należy czynić, prędko utworzyła sojusz i zaproponowała pozostałym dyplomatom własny plan, który oczywiście pospiesznie przyjęto. Taktyka jak w porządnym meczu amerykańskiego futbolu, pomyślał prezydent. Watykański szef protokołu, w randze biskupa czy może monsignora - Fowler nie znał się na tym - był zbyt sędziwy, by wytrzymać podobne tempo. Dawno stuknął mu szósty krzyżyk, a całe zamieszanie przepełniało go zgrozą. Rosjanin zabrał go wreszcie na dwuminutową pogawędkę, zakończoną ukłonem i uściskiem dłoni. Następnie cała grupa zabrała się dziarsko do pracy, złączona wspólnym celem. Fowler przyrzekł sobie, że dowie się nazwiska Rosjanina, który podczas przygotowań sprawiał wrażenie prawdziwego zawodowca, a co więcej, wyczyniał przy tym mnóstwo komicznych rzeczy. W tym dniu prezydent potrzebował chwili odprężenia jak rzadko kiedy.

Ceremonia rozpoczęła się wreszcie, z pięciominutowym zaledwie opóźnieniem, co w opinii złośliwego Fowlera stanowiło kolejny cud. Zgromadzeni przywódcy państw powstali z miejsc, niczym goście weselni zaproszeni do stołu przez konającą z emocji przyszłą teściową. Pokazano im następnie, wzdłuż której linii na posadzce mają się ustawić. Po raz kolejny wymieniano zdawkowe uściski dłoni i przerzucano się dowcipami, które jednak wiele straciły z powodu nieobecności tłumaczy. Opóźnienie bardzo poirytowało króla Arabii Saudyjskiej. Fowler właściwie mu się nie dziwił. Król ma ostatecznie wystarczająco zmartwień. Po wiadomości o podpisaniu traktatu zaczęły się mnożyć pogrożki o zamachach na życie monarchy, choć nikt nie domyśliłby się tego z jego twarzy. Królowi brakowało może poczucia humoru, lecz miał on aż nadto odwagi i władczej postawy, a

także, co musiał przyznać sam prezydent Fowler, klasę na miarę monarszego tytułu. To właśnie on pierwszy zgodził się na rokowania po dwugodzinnej dyskusji z Ryanem. Pechowy zbieg okoliczności, co tu kryć. Ryan w biegu przejął obowiązki po Charliem Aldenie i znakomicie wywiązał się z misji, jak gdyby specjalnie się do niej przygotowywał. Prezydent rozeźlił się w duchu za taką myśl. Sam siebie przyłapał na tym, że nie pamięta, jak nerwowe były pierwsze manewry w sprawie traktatu. Scott Adler w Moskwie, Rzymie i Jerozolimie, Jack Ryan w Rzymie i w Rijadzie. Obaj się świetnie spisali, choć oczywiście nic im to nie pomoże. Takie są prawa historii, zakończył wewnętrzny wywód prezydent Fowler. Jeżeli obaj politycy chcą sławy, powinni od razu zacząć się przymierzać do fotela w Białym Domu.

Dwóch żołnierzy gwardii szwajcarskiej w barwnych mundurach rozwarło ogromne wrota z brązu, odsłaniając korpulentną postać Giovanniego kardynała D'Antonio. Jaśniejsze od słońca halogeny telewizji spowijały dyplomatę aureolą, która szczerze rozbawiła prezydenta Stanów Zjednoczonych. Rozpoczęła się procesja do głównej sali.

Ktokolwiek wyprodukował to świństwo, pomyślał Hosni, nie żałował metalu. Dziwne, prawda? Izraelskie urządzenia słynęły przecież z delikatności. Nie, to źle powiedziane. Izraelscy inżynierowie pracowali w sposób subtelny, oszczędny i elegancki. Ich konstrukcje były akurat na tyle mocne, na ile trzeba - nie bardziej i nie mniej. Nawet kiedy musieli improwizować coś w pośpiechu, znać było w ich wynalazkach sztukę przewidywania i znakomity warsztat. Tutaj jednak... Od razu widać, że wszystkiego dano za dużo. Za dużo wzmocnień, za to mnóstwo oznak, że konstruktorzy nie mieli czasu dopracować projektu i dopilnować staranności wykonania. Co tu kryć, konstrukcja wydawała się inżynierowi po prostu prymitywna. Hosni był za to w pewien sposób wdzięczny losowi, bo tym łatwiej przychodził mu teraz demontaż. Konstruktorom nie przyszło nawet do głowy, żeby wmontować do środka minę-pułapkę, nad którą Arab musiałby się pogłowić, a przecież syjoniści znali się jak mało kto na podłych sztuczkiach! Jedno z ich urządzeń samoniszczących omal nie zabiło Hosniego, i to raptem pięć miesięcy temu. Tutaj zaś nic. Śruby mocujące cylinder okazały się zabezpieczone, lecz nie wygięły się przy uderzeniu, co oznaczało, że trzeba tylko dobrać właściwy klucz. Hosni spryskał każdy gwint olejem penetrującym, odczekał kwadrans, wypalając dwa papierosy, i przyłożył końcówkę klucza do łba śruby. Z początku szło ciężko, lecz wkrótce miał już pierwszą śrubę w ręku. Zostało ich jeszcze pięć.

Popołudnie ciągnęło się w nieskończoność. Najpierw przyszła kolej na przemówienia. Rozpoczął je papież, jako gospodarz konferencji. Słuchaczy zaskoczył spokojny ton wystąpienia, opartego na wersetach Pisma i przyrównującego do siebie trzy wielkie religie. Słuchawki pozwalały głowom Kościołów i przywódcom państw słuchać słów papieża w przekładzie, zupełnie zresztą bez potrzeby, jako że każdy z polityków otrzymał wydruk tekstu wystąpienia. Przemówienia brzmiały zawsze tak samo, nic więc dziwnego, że politycy siedzący wokół wielkiego stołu z trudem opanowywali ziewanie i nie mogli się nijak skupić na słowach mówców, nawet jeśli chodziło o głowy innych państw. Najbardziej męczył się Fowler, który miał przemawiać jako ostatni. Ukradkiem zerknął na zegarek, próbując zachować obojętny wyraz twarzy, kiedy się okazało, że musi czekać jeszcze półtorej godziny.

Zabrało to następne czterdzieści minut, lecz nareszcie udało się wykręcić wszystkie śruby: grube, ciężkie, z nierdzewnej stali. Hosni podziwiał zapobiegliwość konstruktorów, która jednak ułatwiała mu teraz zadanie. Mógł już wydobyć cylinder ze środka. Raz jeszcze uważnie sprawdził,

czy wewnątrz pancerza nie ukryto żadnej miny-pułapki, jako że ostrożność nie zawadzi. Potem sięgnął przez otwór do wnętrza gondoli. Kable prowadziły jedynie do przekaźnika radarowego, choć przed sobą inżynier ujrzał jeszcze trzy gniazda połączeniowe, puste. Był tak zmęczony, że nie zastanowił go nawet fakt, iż tak łatwo mógł ich dosięgnąć. Przy uderzeniu centralny cylinder zaklinował się w swoim rusztowaniu, lecz kiedy raz udało się pozbyć śrub, wyszarpnięcie go siłą nie powinno sprawić większego kłopotu.

Andriej Iljicz Narmonow przemawiał krótko. Zdaniem Fowlera, wystąpienie było inne na głowę swoją prostotą i godnością. Skromność radzieckiego przywódcy z pewnością nie ujdzie uwagi sprawozdawców.

Hosni założył na poprzeczną belkę rusztowania jeszcze jeden bloczek. Jak na zamówienie, na jednym z końców cylindra znajdowało się metalowe ucho, o które można było zaczepić hak. Izraelczycy okazali się na szczęście równie leniwi jak inżynier. Wprawdzie reszta pancerza okazała się lżejsza, niż myślał, lecz już po minucie cała "bomba" zaczęła się podnosić z klepiska w ślad za podciągającym w górę cylindrem. Zaraz pójdzie... Hosni spryskał wewnętrzną kratownicę dodatkową porcją oleju maszynowego i czekał, aż siła ciężenia zrobi swoje. Nie doczekał się, więc po minucie namacał w zniecierpliwieniu łom i zaczął nim podważać cylinder w miejscu, gdzie ścianka odstawała od podtrzymującego ją rusztowania. Szło opornie, ułamek za ułamkiem milimetra, lecz po czterech minutach metal zazgrzytał przeraźliwie, a pusty już pancerz opadł na ziemię. Pozostawało tylko za pomocą bloczka wyciągnąć cylinder do końca.

Ścianki cylindra pokrywała zielona farba. Hosniego nie zdziwiło, że i tutaj w metalowej powłoce widniała kłapa. Dopasował klucz i wziął się za cztery śruby zabezpieczające otwór. Dokrecono je na siłę, lecz szybko ustąpiły. Hosni pracował coraz prędzej. Jak zawsze przy końcu zadania dał się ponieść gorączce, nie zważając na głos rozsądku, podszeptujący mu, aby zwolnić.

Wreszcie przyszła kolej i na Fowlera.

Prezydent Stanów Zjednoczonych zbliżył się do mównicy, niosąc w ręku brązową, skórzaną teczkę. Nakrochmalona na sztywno koszula zaczynała go już drapać w kark, lecz Fowler nie przejął się tym. Do takiej chwili przygotowywał się przez całe życie. Spojrzał prosto w obiektyw kamery, nadając twarzy wyraz skupiony, lecz daleki od śmiertelnej powagi. Znać było po nim radość, wolną jednak od euforii, a także dumę, która nie miała nic wspólnego z arogancją. Prezydent uklonił się przedmówcom.

- Wasza Świątobliwość, Wasza Królewska Mość, panie prezydencie, i wy, panowie premierzy - zaczął. - Mieszkańcy świata, w którym niepokój graniczy nareszcie z nadzieją! Spotykamy się dziś w starożytnym mieście, mieście, które przez trzy tysiące lat poznawało smak pokoju i wojny. W mieście, które stworzyła jedna z największych cywilizacji w historii świata, a które dzisiaj stało się domem religii potężniejszej niż starożytny Rzym. Przybyliśmy tu z dalekich stron, z pustyń i z gór, z rozległych równin Europy i z innego miasta, leżącego nad szeroką rzeką. W przeciwieństwie do tylu innych przybyszy, którzy stawali u bram Rzymu, przybyliśmy tu, niosąc pokój. Złączył nas bowiem wspólny cel: chęć, aby położyć kres wojnie i ludzkim cierpieniom, chęć, by obdarzyć błogosławieństwem pokoju inną część świata: krainę, która wynurza się dopiero z krwawej łaźni historii, lecz której także przyświeca idea wyróżniająca ludzkość spośród reszty natury, idea Bożego wcielenia.

Fowler potrafił przemawiać, a ze słuchaczy spuszczał wzrok tylko wtedy, kiedy musiał

przewrócić kartkę. Przez ostatnie trzydzieści lat miał czas, żeby nabrać wprawy. Przemawiał więc dziś równie stanowczo i pewnie, jak podczas setek wystąpień przed obliczem sądu, odmierzając słowa i modulując zdania tak wymownie, że trudno było w nim poznać prezydenta-robota, którego wyśmiewała prasa. Fowler zmienił głos w muzyczny instrument, w posłuszne narzędzie własnej, nieposkromionej woli.

- Owo miasto, a z nim suwerenne państwo Watykan, poświęciło się bez reszty służbie Bogu i służbie ludzkości. Dziś żarliwiej jeszcze niż kiedykolwiek może ono pełnić swoją służbę. Dziś bowiem, współmieszkańcy świata, udało nam się ziścić kolejne marzenie, podzielane przez nas wszystkich od zarania dziejów. Dzięki waszym modlitwom, dzięki Słowu przekazanemu nam przed wiekami, zrozumieliśmy nareszcie, że pokój jest lepszy niż wojna. Więcej jeszcze, że pokój jest celem, który wymaga większej odwagi i większych poświęceń, niżli ich potrzeba, by rozlewać ludzką krew. Właśnie to, że potrafimy dzisiaj zarzucić wojnę i szukać pokoju, jest miarą naszej siły.

Stało się więc dzisiaj moim zaszczytnym obowiązkiem i przywilejem dla nas wszystkich móc obwieścić światu, że zawarliśmy ugodę, co kładzie tamę niezgodzie uwłaczającej świętości ziemi. Za sprawą traktatu, który podpisujemy, udało nam się znaleźć rozwiązanie oparte na zasadzie sprawiedliwości, wiary i na przykazaniach Boga, którego czcimy pod różnymi imionami, lecz czcimy wszyscy podobnie.

Traktat uznaje i nakazuje szanować prawo wszystkich mieszkańców Bliskiego Wschodu do życia w pokoju. Ustanawia on swobodę wyznania, wolność słowa i sumienia, a także prawo do życia w godności, wynikające jasno z wiedzy, że jesteśmy dziećmi Boga i chociaż różnimy się pomiędzy sobą, w jego oczach wszyscy jesteśmy sobie równi...

Nareszcie udało się otworzyć kolejną klapę, tym razem w ścianie zielonego cylindra. Hosni zamknął oczy i zmęczonym szeptem odmówił modlitwę dziękczynną. Mozolił się nad zadaniem od samego rana, nie zrobił nawet przerwy na obiad. Starannie odłożył blaszane wieko i na jego wklęsłej powierzchni położył cztery śruby. Inżynierska natura wpoila Hosniemu zamiłowanie do ładu i dokładności. Pod blachą natrafił na plastikową osłonę, zabezpieczającą wnętrze przed wilgocią. Z podziwem stwierdził, że mimo upływu lat, osłona zachowała szczelność. Nie miał już wątpliwości, co do tego, że ma przed sobą urządzenie elektroniczne. Ostrożnie dotknął plastiku i przekonał się, że zabezpieczenie nie jest hermetyczne. Nożykiem rozciął więc plastik i wykroił otwór. Po raz pierwszy mógł wreszcie zajrzeć do wnętrza cylindra. Poczul nagle, że za serce ściska go lodowata dłoń. Miał przed sobą zniekształconą żółtoszarą kulę, jak ulepioną z brudnego ciasta. Więc jednak bomba.

A przynajmniej urządzenie samoniszące, wyjątkowo potężne. Pięćdziesiąt kilo materiału wybuchowego...

Hosni cofnął się o kilka kroków. Czuł raptowny ucisk w pęcherzu. Wygrzebał z kieszeni papierosa i zapalił go po dwóch nieudanych próbach. Jakże mógł przegapić... Ale właściwie co? Co takiego uszło jego uwagi? Nic. Pracował równie ostrożnie, jak zwykle. Izraelczykom i tym razem nie udało się go zgładzić. Mieli sprytnych inżynierów, lecz on nie ustępował im sprytem.

- Cierpliwości - rzekł sam do siebie i ponownie omiół wzrokiem wydobyty z osłony cylinder. Przewód elektryczny, wciąż podłączony do przekaźnika radarowego. Trzy puste gniazdko.

Co przypomina to znalezisko?

Przekaźnik radarowy, gruby pancerz, specjalna klapa obsługowa... Sferyczny ładunek wybuchowy z instalacją, która...

Hosni poderwał się i bacznie przyjrzał ładunkowi we wnętrzu cylindra. Na powierzchni brudnożółtej kuli w równych, symetrycznych odstępach umieszczono detonatory- Prowadzące od nich

druty były...

Niemożliwe. Wszystko możliwe, ale nie to!

Hosni kolejno wyskubał detonatory z powierzchni miękkiego materiału wybuchowego i ułożył je w równym rzędzie na kocu. Pracował powoli i uważnie, gdyż detonatory i spłonki to najbardziej kapryśne z ludzkich wynalazków. Za to materiał wybuchowy był tak bezpieczny, że można było podpalić jego kęs i zagotować na tym ogniu wodę. Materiał nie okazał się jednak aż tak miękki: Hosni musiał użyć noża, by obłuzować kolejne, wklęsło-wypukłe kostki.

- Znamy wszyscy starożytne podanie o Pandorze, kobiecie, którą mitologia obdarzyła puszką. Pandorze nakazano surowo, by nie otwierała naczyń, lecz obdarowana w swej głupocie uczyniła to, pozwalając wojnie i śmierci rozpełznąć się po całej ziemi. Pandora długo rozpaczała, lecz wreszcie odkryła, że do samego dna pustej puszeki przywarła nadzieja. Widzieliśmy w przeszłości dosyć wojny i śmierci, teraz jednak przyszedł czas nadziei. Droga, którą tutaj szliśmy była długa, jakże często też krwawa i znaczone rozpaczą. Nieodmiennie wiodła jednak ku lepszym czasom, jako że nadzieja pozwala ludzkości dostrzec inny, jaśniejszy świat niż obecnie. To właśnie nadzieja zaprowadziła nas aż do tego miejsca.

Starożytny świat wyrasta, być może, z tradycji pogańskiej, lecz dziś także w nim odkrywamy prawdę. Dziś bowiem chcemy na powrót uwięzić w puszcze wojnę, przemoc i niepotrzebną śmierć. Zatrzaskujemy oto wieko wojnom, zostawiając przy sobie jedynie nadzieję, największy i najcenniejszy dar, jaki Pandora przyniosła ludzkości. Dziś właśnie spełniają się marzenia całego świata. Dziś bowiem przyjmujemy z rąk Boga dar pokoju. Dziękuję.

Prezydent uśmiechnął się ciepło do kamer i wrócił na swoje miejsce, żegnany oklaskami, które nie brały się wyłącznie z uprzejmości. Wybiła godzina podpisania traktatu. Fowler, ostatni z mówców, miał jako pierwszy złożyć podpis pod dokumentem. Stało się to bardzo prędko. Nim minęła chwila, postać J. Roberta Fowlera przeszła do historii.

Hosni pracował coraz wolniej. Jedną po drugiej zdejmował kostki materiału wybuchowego, choć wiedział, że niszczy w ten sposób całe precyzyjne urządzenie. Wiedział już, wiedział prawie na pewno, co takiego ma przed sobą.

Wreszcie spod materiału wybuchowego wyłoniła się srebrzysta metalowa kula o niklowanych ściankach. Nietknięta, nie nadjeżdżona rdzą mimo długich lat w ogródku wieśniaka, osłonięta przez izraelskich konstruktorów plastikową powłoką. Kula była niewielka, niewiele większa od dziecięcej piłki. Hosni wiedział, co powinien teraz zrobić. Sięgnął ręką jak najdalej mógł do wnętrza cylindra, między rozrzucone kostki materiału wybuchowego i dotknął błyszczącej powierzchni.

Czubki palców Hosniego musnęły kulę. Była ciepła w dotyku.

- Allah akbar.

POSTANOWIENIE

- Rzeczywiście, interesujące.

- Trudno sobie wyobrazić lepszą okazję - dodał Ryan.

- Na ile godny zaufania jest ten człowiek? - dopytywał się jednak Cabot.

Ryan uśmiechnął się do przełożonego.

- Sam pan wie, jak to jest. Nie można zapominać o zasadach tej gry. Nigdy nie wiemy niczego na pewno, czy raczej, całkowitą pewność możemy uzyskać dopiero po wielu latach. Gra ma raptem parę zasad, a poza tym żadna ze stron nie wie, jaki jest akurat wynik. Powiem jednak od razu, że mamy do czynienia z czymś ważniejszym niż dezercja.

Nowym informatorem, o czym Cabot nadal nie wiedział, był Oleg Jurijewicz Lialin, "nielegalny" agent KGB, który działał bez ochrony immunitetu dyplomatycznego i podawał się za przedstawiciela radzieckiej centrali eksportowej. Największym osiągnięciem Lialina było nie to, że stworzył siatkę agentów o kryptonimie OSET, lecz fakt, że siatka działała na terenie Japonii.

- To naprawdę rasowy niuchacz. Siatkę ma sto razy lepszą niż główny rezydent KGB w Tokio, a na dodatek znalazł, dojście do japońskiego rządu.

- Co dalej?

- Dalej zaofiarował nam dostęp do zebranych informacji.

- A więc naprawdę może to się okazać takie ważne? - zapytał dyrektor CIA zastępcę.

- Szefie, dawno nie mieliśmy podobnej szansy, tym bardziej, że nasze operacje w Japonii zwyczajnie leżą. Zawsze nam brakowało osób ze znajomością języka, nawet u siebie, do tłumaczenia dokumentów. Inne sprawy stale okazywały się ważniejsze, a tu potrzeba długich lat, żeby rozwinąć siatkę na nowym terenie. Tymczasem Rosjanie działają w Japonii od czasów rewolucji październikowej. Dlaczego? Z przyczyn historycznych. Ruscy i Japończycy wojowali ze sobą od dawna, prócz tego Moskwa zawsze uważała Japonię za rywala w skali globu, nic więc dziwnego, że rozpracowali teren, jeszcze zanim zaczęli się na dobre zajmować japońską technologią. Agent proponuje nam za bezcen te same informacje, które przekazuje do swojej centrali, oraz daje nam do dyspozycji agentów, sprzęt, rachunki, i co tylko zechcemy. Nie spotkałem jeszcze takiej okazji.

- Ale zaśpiewał sobie za to...

- Że aż tyle? Co z tego? Jego informacje są dla naszego kraju warte tysiąc razy więcej - zauważył Jack.

- Mowa o milionie dolarów miesięcznie! - sprzeciwił się Cabot. Nie miał nawet siły zażartować, że kwota jest wolna od podatków.

Ryan natomiast z trudem powstrzymał śmiech.

- Prawda, jaki sukinsyn zachłanny? Ale zaraz, ile według najnowszych danych wynosi nasz deficyt w handlu z Japonią? - Jack uniósł pytająco brew. - Ten człowiek oferuje nam dowolne informacje na każde skinienie. W zamian chce tylko, żebyśmy w razie potrzeby przetrucili go razem z rodziną za granicę. Jakoś mu niespieszno do emerytury w Moskwie. Za pięć lat stuknie mu pięćdziesiątka, faceci w tym wieku na ogół zaczynają pękać. Za dziesięć lat przyjdzie koniec tury, czas wracać do domu - i po co? Od dobrych trzynastu lat mieszka w Japonii, lubi kupować sobie to i owo, podobają mu się samochody, wideo... A tu, człowieku, maszeruj stać w kolejce po ziemniaki!

Na dodatek lubi nas, Amerykanów. W ogóle lubi ludzi, oprócz Japończyków. Tych szczerze nie znosi. Wymyślił sobie, że w ten sposób wcale nie zdradza ojczyzny, bo odsprzedaje nam te same informacje, które idą do centrali, zresztą specjalnie zastrzegł sobie, że nie każemy mu krzywdzić mateczki-Rosji. Zgoda, mogę mu pójść na rękę. - Ryan zaśmiał się i dokończył: - Kapitalizm ma swoje prawa. Nasz biznesmen otwiera nowe centrum informacyjne i oferuje nam pierwszorzędny towar, właśnie taki, jakiego szukamy.

- Dyktując słoną cenę.

- Dyrektorze, jego towar wart jest swojej ceny. Dzięki tym informacjom zaoszczędzimy miliardy dolarów podczas negocjacji handlowych i następne miliardy z tytułu podatków federalnych. Sam byłem w swoim czasie inwestorem, właśnie tą drogą doszedłem do wszystkiego, i wiem, że okazja do podobnej inwestycji trafia się raz na dziesięć lat. W pionie operacyjnym aż się pała do tej oferty. Ja też jestem za. Musielibyśmy upaść na głowę, żeby w takiej sytuacji odmówić. To, co ten Rosjanin przysłał nam na zachętę... Sam pan to przecież czytał, prawda?

Na zachętę agent przekazał CIA stenogram z posiedzenia japońskiego gabinetu, łącznie z każdym słowem, kasznięciem i syknięciem. Nawet gdyby nie mówiono o niczym ważnym, materiał mógł oddać nieocenione usługi w psychologicznym rozpracowaniu polityków z Tokio. Prócz tego charakter obrad rządu mógł wyjaśnić amerykańskim specjalistom rozmaite kwestie, w tym najważniejszą, to jest, w jakim trybie zapadają w Tokio decyzje. Podobnych rzeczy trzeba się było zawsze domyślać. Teraz jednak CIA miało w ręku fakty.

- Materiał w samej rzeczy kształcący, zwłaszcza te ich epitety pod adresem naszego prezydenta! Oczywiście nie ma sensu go teraz denerwować. Zgoda, Jack, zatwierdzam operację. W jaki sposób chce pan poprowadzić agenta?

- Znalazłem dla niego kryptonim MUSASZI, od imienia słynnego samuraja, mistrza pojedynków, nawiasem mówiąc. Całej operacji nadamy kryptonim NITAKA. Japońskie nazwy to konieczność, z oczywistych względów... - Jack postanowił wytłumaczyć to jednak Cabotowi, który, choć bystry, był w wywiadzie nowicjuszem. - W razie wpadki albo jakiegoś przecieku chcemy sprawić wrażenie, że za wszystkim stoją Japończycy, a nie Rosjanie. Oba kryptonimy obowiązują wyłącznie w murach naszego budynku. Na zewnątrz będziemy używać innych nazw, jeśli zajdzie potrzeba, by wtajemniczyć jeszcze kogoś. Te dodatkowe kryptonimy wybierze losowo komputer, będziemy je zmieniać co miesiąc.

- Jak się nazywa naprawdę ten agent?

- Dyrektorze, proszę się samemu zdecydować. Ma pan oczywiście prawo poznać nazwisko, ale umyślnie go do tej pory nie wymieniałem, bo chciałem najpierw nakreślić całą sytuację. Żelazne prawo w naszej branży głosi, że im mniej ludzi o czymkolwiek wie, tym mniejsza możliwość przecieku. Admirał Greer wbił mi do głowy pierwszą zasadę działań szpiegowskich: ryzyko wpadki rośnie wraz z kwadratem liczby osób wtajemniczonych w szczegóły. Chce pan pytać dalej, dyrektorze?

Cabot pokiwał głową w zamyśleniu. Postanowił odwlec jeszcze decyzję, zapytał więc Jacka:

- Zdaje się, że lubiliście się z nieboszczykiem Greerem?

- Był dla mnie jak ojciec, naprawdę. Sam straciłem ojca w katastrofie lotniczej, a Greer wówczas mnie po prostu przygarnął. - Ryan stwierdził w myślach, że wyglądało to w rzeczywistości odwrotnie, ale niech tam. - Co do MUSASZIEGO, pewnie potrzebuje pan trochę czasu do namysłu?

- A jeżeli w Białym Domu będą chcieli poznać szczegóły?

- Dyrektorze, niezależnie od tego, co twierdzi na swój temat MUSASZI, jego firma potraktuje całą transakcję jako zdradę stanu, a w Moskwie jest tylko jedna kara za zdradę. Narmonow to fajny

facet, tere fere, ale nie zmienia to faktu, że Rosjanie rozwalili za szpiegostwo dobrą czterdziestkę naszych znajomych. Tak polecili CYLINDER, KOMIWOJAŻER i facet, który się nazywał Tołkaczew. Jedni z naszych najlepszych agentów. We wszystkich trzech sprawach chcieliśmy pójść na wymianę, ale faceci trafili pod mur, zanim w ogóle zaczęliśmy negocjacje. W ZSRR sądy apelacyjne mają na ogół mało czasu na rewizję procesu - tłumaczył cierpliwie Ryan. - Sprawa polega na tym, że jeśli ten nasz wpadnie, dostanie natychmiast kulkę w głowę, i dlatego nie wolno nam rozgłaszać jego tożsamości. Ilekroć coś sknocimy, giną ludzie, a głośność niewiele tu zmienia. Prezydenci z zasady potrafią to zrozumieć. Aha, jeszcze jedno.

- Tak?

- MUSASZI prosił nas także o to, by wszystkie jego raporty szły przez posłańca, a nie telefonicznie. Jeśli się nie zgodzimy, zrywa umowę. Technicznie to dla nas żaden kłopot, przeważnie tak postępujemy z agentami jego kalibru, poza tym przy tego rodzaju informacjach odpada pośpiech. Do Tokio lata masa linii, zaraz, United, Northwest, nawet Ali Nippon Airways ma bezpośrednie połączenie z Dulles w Waszyngtonie.

- Ale zaraz... - Cabot skrzywił się okropnie.

- Właśnie - przytaknął mu Jack. - MUSASZI nie wierzy, że nasze połączenia są szczelne. Niedobrze.

- Nie sądzi pan chyba...

- Nie wiem, co mam o tym sądzić. Od kilku dobrych lat mamy kłopoty z łamaniem radzieckich szyfrów. W Narodowej Agencji Bezpieczeństwa zakładają, że mechanizm działa także w drugą stronę, ale to bardzo niebezpieczne założenie. Mielśmy już sygnały, że nasze łącza nie są zupełnie szczelne. Teraz potwierdza to ktoś z wierzchołków ich hierarchii. Moim zdaniem, powinniśmy to potraktować serio.

- Niepokoi pana taka możliwość?

- Przeraza - sprostował Jack Ryan. - Dyrektorze, z oczywistych względów utrzymujemy całą masę systemów łączności. Na dole, w tym samym budynku, stoi MERKURY, do naszego wyłącznego użytku. Reszta instytucji rządowych woli maszyny szyfrujące z Narodowej Agencji Bezpieczeństwa, chociaż Walker i Pelton dawno temu przekazali, ile mogli, o tych systemach. Generał Olson z Fort Meade zapewniał mnie, że to już przeszłość, że poprawili szyfry, ale faktem jest, że z braku funduszy Agencja nie wprowadziła jakoś systemu KANKAN, nad którym się pocili. System każdorazowo zmienia klucz do szyfru. Możemy posłać Agencji kolejny sygnał ostrzegawczy, pewnie znowu go zlekceważą, ale posiać musimy. Myślę, że sami też musimy zacząć działać. Na początek, panie dyrektorze, proponuję przeanalizować szczelność MERKUREGO.

Za nazwą MERKURY krył się osobny system łączności dla CIA, którego centrala znajdowała się kilka pięter pod gabinetem dyrektora. CIA miała swoje własne urządzenia szyfrujące.

- Znów wydatki - Cabot pokiwał głową. - Przy obecnym stanie budżetu...

- Nie wiem, czy bardziej oplaca nam się stale narażać całą łączność. Dyrektorze, przecież wszyscy wisimy na łączności. Bez bezpiecznych połączeń możemy sobie od razu dać spokój z całą resztą. Nasze biuro opracowało własny, nowy system z natychmiastową zmianą szyfru. Żeby go wprowadzić, potrzeba tylko pieniędzy.

- To dla mnie coś nowego. Co to za system?

- W założeniu jest to nasza wersja KANKANA. Maszyna szyfrująca pobiera transpozycje kodu z czytnika laserowego, jednym słowem z normalnej płyty kompaktowej. Jako podstawę poszczególnych transpozycji wzięliśmy radiowe szumy atmosferyczne. Szumy na płytce zakrywamy innymi szumami, z późniejszej godziny. Trudno o lepsze źródło chaosu. No więc, bierzemy te dwa zapisy szumów i

mieszamy je dodatkowo w komputerze. Matematycy mówili mi, że bardziej losowych zdarzeń po prostu nie ma. Transpozycje wytworzone przez komputer zapisujemy na płycie kompaktowej. Na każdy dzień roku przypada inna płytka. Każdy z tych dysków laserowych istnieje tylko w dwóch egzemplarzach, po jednym w MERKURYM i u nadawcy. Żadnych taśm w archiwum, oczywiście. Płytki, których używamy, wyglądają zupełnie normalnie, ale laser w czytniku otrzymał poczwórne wzmocnienie wiązki i odczytując sygnał, wypala go równocześnie razem z plastikiem. Kiedy zużyjemy płytkę albo kiedy dobiegnie północ - prędzej to drugie, bo na jednej płytce mieszczą się miliardy znaków - szyfrant pali stary dysk w piecyku mikrofalowym, co zabiera mu dwie minuty. Nie wyobrażam sobie bezpieczniejszej metody. Złamać szyfr można tylko w trzech miejscach: po pierwsze, przy produkcji płytek. Po drugie, wykradając dyski z naszej centrali. Po trzecie, wykradając dyski nadawcy. Ponieważ każdy nadawca będzie używał innego kompletu, nie narazi pozostałych stacji. Próbowaliśmy zaprojektować płytki na samozniszczenie, gdyby dostały się w niepowołane ręce, ale za drogo to wychodzi, tak samo jak za łatwo byłoby je przypadkowo uszkodzić. Przedsięwzięcie ma jedną wadę, mianowicie to, że musielibyśmy zatrudnić i wyszkolić ze dwadzieścia osób dodatkowego personelu. System jest dosyć rozbudowany, więc potrzeba nowych operatorów, a to szczególnie obciąża kosztorys. Nasi ludzie w terenie wolą ten system od poprzednich, bo łatwo się go nauczyć.

- Ile potrzebujemy na wdrożenie?

- Pięćdziesiąt milionów dolarów. Musimy rozbudować MERKUREGO, uruchomić produkcję płytek... Miejsce się znajdzie, ale urządzenia są cholernie drogie. Za to system może działać już trzy miesiące po zatwierdzeniu kosztorysu.

- Rozumiem, co chce mi pan powiedzieć. Warto by rzeczywiście spróbować, tylko ten budżet...

- Jeśli wyrazi pan zgodę, dyrektorze, mogę pójść z tą sprawą do Trenta.

- Hmm - Cabot zapatrzył się w blat biurka. - No, dobrze. Proszę go delikatnie wysondować, a ja z kolei porozmawiam z prezydentem po jego powrocie z Rzymu. MUSASZIEGO zostawiam pańskiemu uznaniu. Kto jeszcze oprócz pana zna jego nazwisko?

- Szef pionu operacyjnego, kierownik placówki w Tokio i oficer, który go prowadzi.

Pionem operacyjnym zarządzał Harry Wren, który nie należał może do przyjaciół Cabota, lecz został przez tego ostatniego osobiście mianowany na stanowisko. Wren był już jednak w drodze do Europy. Rok temu Jack uważał jego wybór za pomyłkę, lecz Wren umiał sobie znakomicie poradzić. Co więcej, znalazł dla siebie wspaniałego zastępcę, a właściwie parę zastępców, w osobach Eda i Mary Pat Foleyów. Gdyby zależało to od Ryana, właśnie jedno z małżonków - Jack nie potrafił zdecydować, które - zasiadałoby w fotelu operacyjnego. Ed miał w małym palcu sprawy kadrowe, podczas gdy Mary Pat wolała bezpośrednie akcje. We dwójkę stanowili najlepszy rodzinny duet szpiegów w historii CIA. Gdyby Mary Pat została kiedyś dyrektorem, ustanowiłaby precedens w skali światowej i zyskałaby dla CIA kilka przychylnych głosów w Kongresie. Mary Pat chodziła właśnie po raz trzeci w ciąży, lecz nikt nie myślał nawet, że ten przyziemny stan powstrzyma Kowbojkę przed czymkolwiek. Agencja posiadała własny żłobek i przedszkole, naturalnie z szyfrowymi zamkami u wejścia, dodatkową opieką w postaci uzbrojonej po zęby brygady specjalnej i z najlepszym zestawem zabawek, jaki zdarzyło się Jackowi oglądać.

- Myślę, że tak właśnie zrobimy. Szkoda tylko, że posłałem prezydentowi ten telefaks bez konsultacji z panem. Mogłem przecież poczekać.

- Nic się nie stało, panie dyrektorze. Zadbaliśmy, żeby trochę poprawić treść.

- I proszę mnie zawiadomić, czy Trent znajdzie jakieś pieniądze.

- Natychmiast - przyrzekł Cabotowi Jack i opuścił gabinet. Był święcie przekonany, że coraz

lepiej daje sobie radę. Zresztą Cabota nietrudno było owinać sobie wokół palca.

Hosni nie spieszył się z decyzją. Nie była to chwila na emocje ani na pospieszne postanowienia. Dlatego usiadł w kącie warsztatu i przez kilka godzin palił papierosa za papierosem, wpatrzony w błyszczącą metalową kulę na klepisku. "Ciekawe, na ile jest radioaktywna?" krążyła w głowie uparta myśl. Za późno na podobne zmartwienia. Ostatecznie dobrze wiedział, że jeśli kula rozsyłała twarde promieniowanie gamma, na dobrą sprawę jest już nieboszczykiem. Spokojnie, trzeba się zastanowić i ocenić sytuację. Hosni całą siłą woli zmuszał się do pozostania w warsztacie, i jak dotąd mu się to udało.

Po raz pierwszy od wielu lat wstydził się własnego nieuctwa. Wprawdzie świetnie się znał na mechanice i układach elektronicznych, lecz nigdy nie przyszło mu nawet do głowy grzebać się w książkach z dziedziny atomistyki. Na co miałyby mu się przydać taka wiedza? Kiedy się nad tym czasem zastanawiał podczas studiów, przyznawał, że na nic. Rozmyślnie ograniczał się do zgłębiania bardziej interesujących go działów: był ekspertem, gdy chodziło o detonatory mechaniczne i elektroniczne, elektroniczne urządzenia zagłuszające, fizyczne właściwości materiałów wybuchowych, budowę wykrywaczy bomb. W tej ostatniej dziedzinie osiągnął prawdziwe mistrzostwo, a już na temat wykrywania materiałów wybuchowych na lotniskach i w podobnych obiektach przeczytał dosłownie wszystko.

Po pierwsze, recytował w myślach, zapalając pięćdziesiątego czwartego w tym dniu papierosa, trzeba znaleźć wszystkie dostępne książki na temat materiałów rozszczepialnych, ich własności fizycznych i chemicznych, na temat budowy bomb, fizycznych zasad działania broni jądrowej, składu izotopowego i metod jego badania... Hosni zdumiał się na myśl, że Izraelczycy szukają swojej bomby od... Od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku! Jak to? Ależ tak! Wzgórza Golan są pochodzenia wulkanicznego. Skały i gleba, w której wieśniacy usiłują sadzić rachityczne warzywa, składają się głównie z bazaltu, bazalt zaś ma wysokie promieniowanie tła... Najwrażliwsze czujniki nie mogły więc wykryć bomby zagrzebanej pod dwu- albo i trzymetrową warstwą skalistej gleby, gdyż promieniowanie głowicy ginęło w tle...

Hosni zrozumiał nagle, że ocalał.

Oczywiście! Gdyby głowica rozsyłała groźne promieniowanie, otoczono by ją lepszym pancerzem! Dzięki niech będą Allahowi!

A czy ja... Czy umiałbym...?

Dlaczego nie?

- Dlaczego nie? - powtórzył na głos Hosni. - Dlaczego nie? Mam wszystkie części, wprawdzie uszkodzone, ale...

Rozdusił butem kolejny niedopałek i wstał. Wstrząsnął nim atak kaszlu. Wiedział, że papierosy zabijają go powoli... Powoli, lecz szybciej niż ta... Papierosy pomagały mu jednak w myśleniu.

Inżynier podniósł ciepłą metalową kulę. Co z nią zrobić? Na razie położył ją w ciemnym kącie i nakrył skrzynką narzędziową. Potem zamknął szopę i wszedł do gazika. Jazda do dowództwa zajęła mu piętnaście minut.

- Muszę natychmiast widzieć się z komendantem - oświadczył dowódcy warty.

- Dopiero co położył się spać - usłyszał od wartownika. Cały oddział coraz bardziej się troszczył o szefa.

- Mnie przyjmie i tak. - Hosni wyminął żołnierza i wszedł do budynku. Kati kwaterował na piętrze. Hosni wspiął się po schodach, minął kolejnego strażnika i otworzył drzwi pomieszczenia. Z sąsiedniej łazienki dobiegł go odgłos wymiotów, a po nim zły głos:

- Co za diabeł się tu kręci? Powiedziałem, że nie wolno przeszkadzać!

- To ja, Hosni. Musimy porozmawiać.

- To rzeczywiście pilne? - Kati stanął w oświetlonych drzwiach. Jego twarz miała barwę popiołu. Pytanie nie miało formy rozkazu, a jego ton powiedział Ibrahimowi nadspodziewanie wiele na temat stanu zdrowia dowódcy. Może pocieszy go przynajmniej nowina?

- Komendancie, muszę ci coś pokazać. Muszę teraz, zaraz. - Hosni na próżno starał się mówić powoli i spokojnie.

- Coś ważnego? - Głos komendanta graniczył z jękiem.

- Bardzo.

- Powiedz mi najpierw, o co chodzi.

Hosni potrząsnął jednak głową i znacząco poskrobał się w ucho. Dopiero wtedy odrzekł:

- Znalazłem coś ciekawego. W tej izraelskiej bombie są zupełnie nowe zapalniki. Mało życia nie straciłem. Musimy ostrzec wszystkich naszych kolegów.

- W bombie? Myślałem, że to... - Kati urwał w pół słowa. Przez chwilę na jego twarzy zawitał spokój. Potem padło pytanie: - Mówisz, jeszcze dziś wieczór?

- Sam cię zawiozę, komendancie.

Siła woli Katego wzięła górę nad bólem.

- Zgoda. Daj mi się tylko ubrać. Hosni zszedł na dół i oświadczył:

- Musimy jechać z komendantem, natychmiast.

- Mohammed! - krzyknął dowódca warty na kierowcę, lecz Hosni przerwał mu prędko:

- Sam zawiozę dowódcę. W moim warsztacie nic mu nie grozi.

- Ale...

- Przestań mi się tu trząść jak stara baba! Gdyby Izraelczycy mieli trochę oleju w głowie, dawno wachałbyś kwiatki razem z komendantem!

W ciemnościach nie widać było wyrazu twarzy wartownika, lecz Hosni całym sobą czuł jego wściekłość. Wartownik był ostatecznie ostrzelanym frontowcem.

- Zobaczymy, co powie komendant!

- O co znów chodzi? - Przekraczając próg, Kati zatykał jeszcze koszulę do spodni.

- Sam cię zawiozę, szefie. Nie potrzeba żadnej obstawy.

- Jak wolisz, Ibrahimie.

Kati wsiadł do gazika. Hosni ruszył z kopyta, omijając zaskoczonych wartowników.

- Więc w końcu co się dzieje?

- To jednak bomba, a nie żaden zagłuszacz radarów - odparł inżynier.

- I co z tego? Mało to ich rozbroiliśmy? Jaki cię diabeł opętał?!

- Łatwiej mi pokazać, niż wytłumaczyć.

Hosni jechał prędko, uważnie obserwując drogę.

- Jeśli uznasz, że marnuję twój czas, możesz mnie zastrzelić na miejscu. - Kati spojrzał prędko na Hosniego. Owszem, myśl ta powstała mu w głowie, lecz był zbyt dobrym dowódcą, by jej posłuchać. Inżynier nie nadawał się może na bojownika, lecz jako ekspert wyświadczał organizacji nieocenione usługi. Komendant zniósł więc resztę jazdy w milczeniu, marząc o chwili, kiedy zażywane lekarstwa pozwolą mu jeść - nie, kiedy pozwolą mu zatrzymać posiłek w żołądku.

Po piętnastu minutach Hosni zaparkował gazik pięćdziesiąt metrów od szopy i okrężną drogą poprowadził komendanta do warsztatu. Kati, który nie wiedział, gdzie inżynier go prowadzi, był już porządnie wściekły. Kiedy zajaśniały lampy, ujrzał rozbebeszoną powłokę.

- Więc o to chodzi, tak?

- Pozwól tutaj. - Hosni poprowadził dowódcę do kąta, schylił się i podniósł metalową skrzynkę.

- Patrz i podziwiaj!

- Co to takiego? - Kati miał przed sobą niewielką kulę armatnią, sferę ze srebrzystego metalu.

Hosni ubawił się na widok jego miny. Komendant gniewa się, ale zaraz mu to przejdzie.

- Pluton.

Komendant raptownie szarpnął głową, która skoczyła jak na sprężynie.

- Co?! Skąd tu...

Hosni przerwał mu ruchem dłoni, po czym spokojnie, lecz pewnie stwierdził:

- Komendancie, wiem tylko, że mamy przed sobą głowicę wybuchową bomby atomowej.

Izraelskiej bomby atomowej.

- Niemożliwe! - wyszeptał Kati.

- Dotknij.

Komendant pochylił się i ostrożnie dotknął kuli palcem.

- Ciepła. Dlaczego?

- Przy rozpadzie powstają cząsteczki alfa. Promieniowanie, ale niezbyt szkodliwe. Przynajmniej tutaj. Mamy przed sobą ni mniej, ni więcej tylko pluton, materiał rozszczepialny z bomby atomowej.

- Jesteś pewien?

- Najzupełniej. Nie może to być nic innego. - Hosni podszedł do kadłuba bomby i wskazał na elektroniczny osprzęt. - Te tutaj wyglądają jak szklane pajęczki, co? Są to przełączniki krytonowe, tak się je fachowo nazywa. Przepuszczają prąd w określonym momencie, z wielką dokładnością. Tylko jeden rodzaj bomby wymaga takiej dokładności. Dalej widzisz kostki materiału wybuchowego, część jest nienaruszona. Sześciokąty przeplatane pięciokątami, prawda? Dokładnie takich potrzeba, żeby z materiału wybuchowego zbudować sferyczną powierzchnię. Normalny ładunek kumulacyjny, taki jak w ręcznym granatniku przeciwpancernym, tyle że cały zwrócony do wewnątrz. Te kostki mają za zadanie zgnieść metalową kulę do rozmiarów włoskiego orzecha.

- Ale sam mówisz, że to metal! Niemożliwe!

- Komendancie, nie znam się może za dokładnie na tych sprawach, ale wiem swoje. Przy eksplozji tej ilości materiału siła wybuchu ściśnie metal jak gumę. Sam wiesz, że to możliwe, widziałeś, co pocisk z RPG robi z pancerzem czołgu, nie? W tej bombie siedzi dosyć materiału na setkę pocisków do granatnika przeciwpancernego. Każdy metal musi ustąpić. Kiedy wybuch ściśnie kulę, atomy znajdą się blisko siebie i zaczną się reakcja łańcuchowa.

Sam pomyśl, komendancie: bomba spadła wieśniakowi do ogródka w pierwszym dniu wojny październikowej, kiedy Izraelczycy myśleli, że już po nich. Syryjczycy zaskoczyli ich wtedy, zwłaszcza że mieli te swoje skuteczne rosyjskie rakiety. Zestrzelili samolot, od którego odpadła bomba. Nieistotne, jak to wyglądało w szczegółach. Ważne, że mamy w ręku części składowe prawdziwej bomby atomowej. Hosni skończył i zapalił kolejnego papierosa.

- Potrafiłbyś...

- Niewykluczone - odparł inżynier. Z twarzy Katego zniknął nagle grymas bólu, który gościł na niej od miesiąca.

- Allach zaprawdę jest nam zbawcą.

- Zaprawdę, komendancie. Musimy jednak wszystko przemyśleć, bardzo ostrożnie i bardzo starannie. Bezpieczeństwo przede wszystkim.

- Właśnie - pokiwał głową Kati. - Dobrze zrobiłeś, że przywiozłeś mnie tu samego. W tej sprawie nie wolno nam ufać nikomu, ale to nikomu... - Dowódca urwał, po czym odwrócił się do podwładnego. - Czego ci potrzeba?

- Przede wszystkim informacji, komendancie. Książek. Wiesz, dokąd muszę jechać, żeby je znaleźć?

- Do Rosji?

Hosni zaprzeczył ruchem głowy.

- Do Izraela, komendancie. To przecież oczywiste.

Deputowany do Izby Reprezentantów Alan Trent spotkał się z Ryanem w sali przesłuchań Kongresu. Ponieważ obrady miały tu najczęściej charakter poufny, co dzień sprawdzano, czy nikt nie założył w sali podsłuchu.

- Jak cię rozpieszcza życie, Jack? - zapytał kongresmen.

- Nie narzekam, Al. Prezydent musi być dziś w siódmym niebie.

- Cały świat jest dziś w siódmym niebie. Tobie też należy się od ojczyzny podziękowanie.

Jack uśmiechnął się i rzekł z gryzącą ironią:

- Ale nikomu o tym ani słówka, dobrze? Trent wzruszył ramionami.

- Takie już twoje zajęcie. Dawno powinienes się być przyzwyczaić. Co cię sprowadza tak nagle?

- Wzięliśmy się za nową akcję. Kryptonim NITAKA.

Przez kilka minut zastępca dyrektora CIA wyjawiał kongresmenowi szczegóły planu. Za kilka dni będzie musiał przedstawić też dokumentację. Na razie jednak miał tylko powiadomić odnośną komisję Kongresu o założeniach akcji, a także o jej celu.

- Milion dolarów miesięcznie. Na pewno nie poprosił o więcej? - Trent roześmiał się głośno.

- Dyrektor mojej firmy spadł z krzesła - poinformował go Jack.

- Zawsze lubiłem Marcusa, ale rzeczywiście, skapiradło z niego przeraźliwe. W komisji, która was nadzoruje, Jack, siedzi dwóch gości strasznie ciętych na Japonię. Będzie ich trzeba siłą odpędzać od tych materiałów.

- Trzech, doliczając ciebie, Al.

- Co, ja nie kocham Japonii? - Trent zrobił minę skrzywdzonej ofiary. - Posądzasz mnie tylko dlatego, że w moim okręgu wyborczym zbankrutowały dwie fabryki telewizorów, a wielki zakład części zamiennych musiał zwolnić połowę ludzi? O co niby miałbym się gniewać na naszych skośnookich przyjaciół? Pozwól, niech zerknę na ten stenogram posiedzenia rządu - zażyczył sobie Trent. Ryan otworzył teczkę, przestrzegając:

- Nie wolno ci tego skopiować, nie wolno ci się powoływać na ten materiał. W ogóle, Al, to jeśli mamy dłużej prowadzić tę operację, najlepiej będzie...

- Opamiętaj się, Jack, nie spadłem na ten fotel prosto od wideł i gnoju. W ogóle przestałeś poznawać się na żartach, kolego. Co cię gryzie?

- Za dużo pracuję - bąknął Jack, wręczając Trentowi papiery. Al Trent błyskawicznie przerzucił maszynopis, przewracając kartki w nieprzyzwoitym tempie. Jego twarz straciła wszelki wyraz: jej właściciel niepostrzeżenie przemienił się w tego kim był naprawdę - w zimnego, wyrachowanego polityka. Trent sympatyzował raczej z lewicą, lecz inaczej niż reszta tego towarzystwa, potrafił trzymać na wodzy ideologię. Emocjom dawał upust na mównicy Izby Reprezentantów i w domowym łóżku, na co dzień jednak wołał chłodną kalkulację.

- Fowler kopnie w kalendarz, kiedy to zobaczy. Nie ma większych zarozumialców niż Japończycy! Jack, zdarzyło ci się brać udział w posiedzeniach rządu. Słyszałeś u nas takie wyrażenia?

- Tylko w charakterze komentarzy politycznych. Fakt, mnie też zaskoczyło ich słownictwo, ale

może to po prostu kwestia różnic kulturowych, bo ja wiem?

- Prawda. - Kongresmen podniósł wzrok znad tekstu. - Okazuje się, że pod skorupą wykwinnych manier czają się dzikusy, wariaci... Anglicy są trochę podobni pod tym względem, ale gdzie im tam do tego zoologu... Boże, Jack, to cholernie niebezpieczny materiał. Kto zwerbował tego faceta?

- Sam się zwerbował, normalną koleją rzeczy. Pokazał się kilka razy na rozmaitych przyjęciach, szef naszej placówki w Tokio szybko się w tym połapał, odczekał parę tygodni i przeszedł do rzeczy. Rosjanin wręczył mu wtedy reklamówkę i warunki kontraktu.

- A skąd ta nazwa, NITAKA? Gdzieś ją już chyba słyszałem...

- Sam wybrałem. Kiedy japońska flota uderzeniowa zbliżała się do Pearl Harbor, hasłem do bombardowania było: "Wspiąć się na górę Nitaka". Ale pamiętaj, że tylko ty jeden znasz ten kryptonim. Oficjalną nazwę będziemy zmieniać co miesiąc. Agent zasługuje, żeby traktować go po królewsku.

- Jasne - przytaknął Trent. - Tylko co będzie, jak się okaże, że to prowokator?

- Zastanawialiśmy się nad tym. Jest oczywiście taka możliwość, choć mało prawdopodobna. Taki numer ze strony KGB... Nie, to wbrew zasadom, przynajmniej tym, które zaczęliśmy wyznawać.

- Zaraz! - Trent powtórnie przeczytał ostatnią stronicę materiału. - Co to za hece z łącznością?

- Ładne mi hece! To koszmar.

Ryan przedstawił swoje podejrzenia i plan, jak zapobiec przeciekom.

- Pięćdziesiąt milionów? Aby na pewno? - Tyle należy wyłożyć jednorazowo na wdrożenie systemu. Potem trzeba jeszcze płacić tym nowym łącznościowcom. Bieżące koszty po wdrożeniu to piętnaście milionów rocznie.

- Właściwie wcale nie tak drogo. - Trent pokręcił głową. - Dlaczego w takim razie Narodowa Agencja Bezpieczeństwa zaśpiewała sobie tak wysoką cenę za swoje systemy?

- Obsługują znacznie więcej klientów. Moje dane oddają rzeczywiste potrzeby. MERKURY to dość niewielki system.

- Jak prędko potrzebne ci są te pieniądze? - Trent wiedział, że Jack Ryan nie wziął proponowanych kwot z sufitu. Był w końcu, o czym wszyscy wiedzieli, doświadczonym biznesmenem, co wśród ludzi z rządu zdarzało się niezmiernie rzadko.

- Najlepiej byłoby na zeszły tydzień. Trent skinął głową.

- Zobaczą, co się da zrobić. Cel kosztorysu oczywiście utajniamy? Czarna dziura?

- Czarna jak w pochmurną noc.

- Cholera, niepotrzebnie mówiłem o tym twoim systemie Olsonowi - przypomniał sobie Trent. - Wiesz, co to za facet. Wystarczy, że technicy odtańczą przed nim tego czy innego kankana, a już kupuje pomysł. No więc, co będzie, jeśli...

- Właśnie, jeżeli tamci złamali nasze szyfry. - Jack stwierdził to bardziej, niż zapytał. - Możemy się tylko modlić, że mamy głośność, co?

- Czy Marcus rozumie, co to wszystko znaczy?

- Próbowałem mu to dzisiaj rano wyjaśnić. Owszem, rozumie. Słuchaj, Al, Cabot nie ma może takiego doświadczenia, jak byśmy chcieli, ale prędko się uczy. Miewałem już gorszych szefów.

- Zgubi cię ta lojalność. Musiała ci zostać z czasów służby w piechocie morskiej - zauważył Trent. - Z ciebie to dopiero byłby dyrektor.

- Wypluj te słowa.

- Święta racja. Odkąd Liz Elliot została doradcą do spraw bezpieczeństwa, musisz kryć dupę. Zresztą, co ci będę mówił.

- Sam wiem.
 - Czym właściwie tak jej zalazłeś za skórę? Inna rzecz, że z nią wystarczy byle głupstwo...
 - To było zaraz po walnym zjeździe partii - wyjaśnił Jack. - Pojechałem do Chicago, żeby wtajemniczyć Fowlera, jako kandydata, w parę spraw. Elliot natknęła się na mnie akurat, kiedy miałem za sobą parę zarwanych nocy i wbiła mi jakąś szpilę. Oczywiście nie byłem dłużny.
 - Naucz się żyć z nią w zgodzie - doradził Trent.
 - To samo radził mi admirał Greer.
 - Trudna sprawa, co? - zapytał Trent, oddając Ryanowi maszynopis.
 - Nie powiem.
 - Nie ma rady, spróbuj. Nie znam innego sposobu - dodał Trent, który zdawał sobie świetnie sprawę, że z nauki będą i tak nici.
 - Rozkaz.
 - Przy okazji, miałeś dobry refleks z tym kosztorysem. Reszta mojej komisji będzie oczarowana nową operacją. Ci dwaj, którzy nie lubią Japończyków, szepną słówko kolegom z komisji budżetowej, na przykład, że CIA wzięła się wreszcie za coś pożytecznego, i za dwa tygodnie pieniądze twoje. O co zresztą chodzi, pięćdziesiąt milionów? Miedziaki. Dzięki, że tutaj wpadłeś.
- Ryan zatrzasnął zamki u teczki i wstał:
- Jak zawsze, bardzo było miło. Trent uściśnił wyciągnięta dłoń.
 - Z ciebie jest naprawdę porządny facet, Jack. Jaka szkoda, że wolisz baby.
- Jack roześmiał się na te słowa.
- Wszyscy mamy jakieś drobne wady, Al.

Ryan wrócił do Langley i umieścił materiały NITAKI z powrotem w sejfie. Na tym kończyły się jego obowiązki w tym dniu. Przywołał Clarka i zjechał razem z nim do garażu, opuszczając centralę godzinę wcześniej niż zwykle. Clark i Ryan robili tak mniej więcej co dwa tygodnie. Czterdzieści minut później byli już na parkingu przed sklepikiem "7-11" między Waszyngtonem i Annapolis.

- Oj, pan doktor Ryan! - zawołała zza kasy Carol Zimmer. Zastąpił ją na tym miejscu jeden z synów, Carol natomiast poprowadziła Jacka do części mieszkalnej. John Clark zlustrował wnętrze sklepu. Nie obawiał się tu zupełnie o szefa, chciał natomiast rozwiać swój niepokój co do stosunków Zimmerów z miejscowymi osiłkami. Sam wraz z Dingiem Cha-vezem odbył już jedną rozmowę z prowodyrem miejscowego gangu nastolatków. Rozmowa toczyła się w obecności trzech jego kompanów, z których jeden próbował włączyć się do dyskusji. Chavez potraktował go na tyle łagodnie, że już następnego dnia wypisano go ze szpitala. Zdaniem Clarka, stanowiło to oznakę, że Ding dorośleje w oczach.

- Jak interesik? - zapytał tymczasem Jack.

- Obroty mamy od zeszły rok dwadzieścia i sześć procentów w górę - odpowiedziała Carol Zimmer. Urodziła się przed niespełna czterdziestu laty w Laosie. Śmigłowiec amerykańskich sił specjalnych uratował ją, unosząc z dachu leśnej fortecy, ostatniego ośrodka amerykańskiego oporu na północy tego kraju. Carol miała w tamtej chwili szesnaście lat i była ostatnim żyjącym dzieckiem starosty ludu Hmong. Starosta współpracował z Amerykanami, z wzajemną korzyścią, służąc im odważnie, walecznie i, jak się okazało, dozgonnie. Uratowana dziewczyna poślubiła sierżanta amerykańskiego lotnictwa Bucka Zimmera, który zginął wiele lat później w innym helikopterze, w wyniku kolejnej zdrady. Wówczas laotańskiej wdowie dopomógł Jack Ryan, który nie stracił zmysłu do interesów, mimo wieloletniej pracy w rządzie. Wybrał więc dla Carol sklep w dobrym punkcie i ustanowił dla ośmiorga dzieci fundusz edukacyjny. Los oszczędził mu jednak wydatków, bo

najstarsze z dzieci dostało się właśnie na studia. Co więcej, dzięki wstawiennictwu Ryana u ojca Tima Riley'a, Zimmer junior dostał od władz uniwersytetu Georgetown pełne stypendium i znalazł się na liście kandydatów na kursy przygotowawcze przed medycyną. Jak większość Azjatów, Carol darzyła wykształcenie szacunkiem graniczącym z fanatyzmem religijnym i umiała zaszcześcić to uczucie swoim dzieciom. Sklep prowadziła z tą samą mechaniczną precyzją, jakiej pruski sierżant domagałby się od swojego plutonu. Cathy Ryan mogłaby spokojnie użyć nieskazitelnego kontuaru jako stołu operacyjnego. Jacka rozbawił ten pomysł. Może Laurence Alvin Zimmer junior zdecyduje się za parę lat na taki wyczyn?

Ryan przerzucił księgi rachunkowe. Wprawdzie upłynęła już data ważności na jego karcie dyplomowanego księgowego, ale potrafił jeszcze odróżnić "winien" od "ma".

- Zjecie z nami, tak?

- Nie, Carol, niestety nie mogę. Muszę pędzić do domu. Drużyna syna ma dzisiaj mecz międzyszkolny. Tak w ogóle, wszystko w porządku? Nie nachodziły was już te bandziory?

- Nie, nie przychodzą. Pan Clark tak ich nastraszył!

- Gdyby się pokazali, masz zaraz do mnie zadzwonić - przykazał Jack.

- Tak, tak. Teraz to wiem, co robić - uspokoiła go Carol.

- No, to dobrze. Trzymajcie się. - Ryan podniósł się z miejsca.

- Doktorze?

- Tak?

- Ci z lotniska mówili mi, że Buck to zginął w wypadku. Nie pytałam, bo wiadomo, ale pana pytam: wypadek czy nie wypadek?

- Carol, Buck stracił życie podczas służby, ratując innych. Sam przy tym byłem. Ja i Clark.

- A ci, przez których Buck nie żyje?

- Nic ci z ich strony nie grozi - zapewnił ją spokojnym tonem Jack. - Nic a nic.

W oczach Carol błysnęło zrozumienie. Chociaż nadal kiepsko radziła sobie z angielskim, pojęła w mig, co chciał jej przez to powiedzieć.

- Dziękuję, doktorze. Już więcej nie będę pytać, ale ten raz to musiałam.

- Nie ma sprawy - uciął Jack, dziwiąc się w duchu, że Carol tak długo zwlekała z pytaniem.

- Centrala, tu sonar - zatrzeszczał głos hydroakustyka w głośniku umieszczonym na grodzi. - Złapałem namiar, szum na kursie zero cztery siedem, numer echa Sierra-5. Brak innych informacji. Jestem w pogotowiu.

- Dziękuję. - Komandor Ricks podszedł do stołu nawigacyjnego. - Namiarowcy pokażcie teraz, co potraficie.

Rozejrzał się po wnętrzu centrali. Instrumenty wskazywały prędkość siedmiu węzłów, głębokość stu trzydziestu metrów i kurs trzy zero trzy. Ich kontakt płynął daleko z przodu, po prawej burcie.

Podporucznik dowodzący sekcją namiaru natychmiast zasiadł nad klawiaturą minikomputera Hewlett-Packard w prawym narożniku centrali.

- Mam - oznajmił po chwili. - Złapałem namiar... Trochę się zaciera... Zaczynam przeliczanie. - Operacja zabrała komputerowi dwie sekundy. - Mam widełki odległości. Namiar na granicy warstw, odległość między trzydziestoma pięcioma i czterdziestymi pięcioma tysiącami metrów w warstwie powierzchniowej, pięćdziesiąt trzy do pięćdziesięciu dziewięciu tysięcy w, warstwie głębinowej.

- Idzie jak z płatką - zauważył pod adresem dowódcy oficer wachtowy.

- Też tak myślę. Wyłączyć komputer! - dał komendę Ricks.

Komandor podporucznik Wally Claggett, oficer wachtowy załogi "złotej" na USS "Maine" podszedł do maszyny i wyłączył prąd.

- Uszkodzenie komputera! - oznajmił. - Naprawa może potrwać kilka godzin. Co za pech!

- Dziękuję bardzo - szepnął porucznik Ken Shaw pod adresem bosmana, siedzącego przy stole nawigacyjnym.

- Spokojna głowa, panie Shaw - odpowiedział również szeptem bosman. - Już my zadbamy, żeby wszystko grało. Komputer i tak nam teraz niepotrzebny.

- Cisza w centrali! - przerwał mu głos komandora.

Kurs okrętu podwodnego prowadził na północny zachód. Obsługa hydrolokatora przez cały czas podawała do centrali kolejne meldunki. Po dziesięciu minutach sekcja namiaru znalazła odpowiedź.

- Panie komandorze - obwieścił porucznik Shaw. - Ocena: kontakt Sierra-5 w warstwie powierzchniowej, odległość mniej więcej trzydzieści sześć tysięcy metrów, kurs południowy, prędkość osiem do dziesięciu węzłów.

- Mało! Za mało! - przerwał mu ostro dowódca.

- Centrala, tu sonar. Namiar Sierra-5 to chyba radziecka patrolowa akula, wstępna analiza celu mówi, że to ich akula numer 6, "Admirał Łunin". Zaraz... - na chwilę zapanowała cisza. - Zmiana profilu echa Sierra-5, tamten robi zwrot. Centrala, obiekt ma teraz wąską sylwetkę. Sierra-5 prosto przed dziobem.

- Komandorze - ucieszył się oficer wachtowy. - Nareszcie możemy zrobić pełny użytek z pławy sonarowej.

- Właśnie. Sonar, tu centrala. Sprawdzić jak wyglądają nasze szумы.

- Tak jest, centrala. - Znow kilkusekundowa cisza. - Centrala, hałasujemy! Słyszę od nas jakiś grzechot, jakby coś latało w zbiorniku balastowym. Przedtem tego nie było, komandorze. Gdzieś na rufie... Metaliczny grzechot.

- Centrala, tu przedział manewrowy, coś się tu dzieje dziwnego. Coś hałasuje, chyba w rufowym zbiorniku balastowym.

- Komandorze - odezwał się z kolei Shaw. - Sierra-5 przed dziobem, zbliża się w naszą stronę. Obiekt zmienił kurs na południowo-wschodni, mniej więcej zero trzy zero.

- Mógł nas usłyszeć - zdenerwował się Ricks. - Wynurzymy się nad warstwę głębinową. Podnieść okręt na trzydzieści metrów!

- Trzydzieści metrów - potwierdził natychmiast operator zbiorników balastowych. - Sternik, pięć stopni w górę na dziobowych!

- Pięć stopni na plus na dziobowych! Dałem pięć plus na dziobowe, wychodzimy na trzydzieści metrów.

- Centrala, tu przedział manewrowy, grzechotanie ucichło. Urwało się zaraz, kiedy zaczęliśmy iść skosem do góry.

- Co za diabeł? - stęknął oficer wachtowy.

- Powiem panu, co za diabeł... - w głosie Ricksa pobrzmiwała prawdziwa pasja. Jeśli jednak musiało się przytrafić takie nieszczęście, dobrze, że właśnie teraz. - Nic, tylko jakiś zasrany remontowiec ze stoczni zostawił w zbiorniku balastowym skrzynkę z narzędziami. Mojemu koledze zdarzyło się dokładnie to samo. Zaraz jak wyjdziemy nad zimną warstwę, zmieniam kurs na północ, żeby sprawdzić to echo.

- Ja bym zaczekał, komandorze. Teraz, kiedy wiemy, gdzie zaczyna się warstwa styku, spróbujemy zacząć się nad nią i zaczekamy, aż okuła też się podniesie. Niech myśli, że ma nas w garści, zanim zaczniemy się z nią bawić. Wyobraża sobie pewnie, że nie złapaliśmy jej echa. Jeśli

będziemy manewrować, damy jej cynk.

Ricks zastanawiał się chwilę.

- Nie. Pozbyliśmy się tego hałasu na rufie, poza tym na pewno akula straciła nasz zamiar. Kiedy wyjdziemy nad termoklinę, nasze echo zniknie w szumach powierzchniowych, będziemy wtedy mogli manewrować do woli. Te rosyjskie sonary to tandeta. Ich kapitan jeszcze nawet nie wie, kogo spotkał. Ot, węszy, bo coś usłyszał. Mamy szansę trochę od nich odskoczyć.

- Tak jest - odpowiedział bez przekonania oficer wachtowy. "Maine" wyrównał przegłębienie na trzydziestu metrach, wysoko nad termokliną, czyli warstwą styku ciepłych wód powierzchniowych i zimnej wody głębinowej. Warunki akustyczne w obu warstwach różniły się radykalnie, co, zdaniem Ricksa, wykluczało wszelkie szanse wykrycia "Maine" przez akulę.

- Centrala, tu sonar, zgubiłem echo Sierra-5.

- Dobrze, przejmuję stery - oznajmił Ricks.

- Komandor przejmuje stery - potwierdził oficer wachtowy w centrali.

- Ster dziesięć stopni w lewo, nowy kurs trzy pięć zero.

- Ster dziesięć w lewo, nowy kurs trzy pięć zero. Komandorze, ster przełożony dziesięć w lewo.

- Doskonale. Maszynownia, tu centrala, zwiększyć obroty do dziesięciu węzłów.

- Maszynownia, zwiększam do dziesięciu węzłów. Mała naprzód. "Maine" wziął teraz kurs prawie dokładnie na północ i zwiększył prędkość. Dopiero po kilku minutach hol rufowej pławy z hydrolokatorom wyprostował się na tyle, by sonar mógł wznowić pracę. Przez krótki czas amerykański okręt podwodny był więc ślepy i głuchy.

- Centrala, tu manewrowy, znów hałasujemy! - zachrzęścił głośnik.

- Zwolnić do pięciu węzłów. Naprzód na jednej trzeciej mocy.

- Naprzód na jednej trzeciej mocy. Maszynownia potwierdzam, jedna trzecia.

- W porządku. Manewrowy, tu centrala, co z tym hałasem?

- Dalej słyszać.

Odczekamy minutę - postanowił Ricks. - Sonar, złapaliście to Sierra-5?

- Nie, echa brak. Zero kontaktów.

Ricks przełknął kawę i przez trzy minuty śledził dużą wskazówkę zegara na grodzi.

- Manewrowy, jak hałas?

- Bez zmian. Nie chce ucichnąć.

- Cholera! Oficer wachtowy, zwolnić o jeden węzeł.

Claggett posłuchał, zdając już sobie sprawę, że dowódca powoli przegrywa pojedynek z własnym okrętem. Niedobrze. Minęło następne dziesięć minut. Dręczące klekotanie na rufie przycichło trochę, lecz nie zniknęło.

- Centrala, tu sonar! Zamiar, kurs zero jeden pięć, pojawił się zupełnie nagle, identyfikuję Sierra-5. Okręt podwodny, typ akula. Ten sam, "Admirał Łunin". Kurs na zbliżenie, idzie prosto na nas. Musiał teraz wyjść nad warstwę styku!

- Słyszają nas? - zapytał jeszcze Ricks.

- Prawdopodobnie tak - zameldował hydroakustyk.

- Maszyny stop! - rozległ się nowy głos. Do pomieszczenia wszedł Bart Mancuso. - Dość, w tym momencie przerywamy ćwiczenie. Panowie oficerowie pozwolą za mną.

Kiedy zapłonęły światła, wszyscy odetchnęli z ulgą. Centrala mieściła się nie na okręcie podwodnym, lecz w masywnym budynku na suchym lądzie. Inne pomieszczenia również naśladowały do złudzenia wnętrza poszczególnych przedziałów atomowego okrętu podwodnego typu Ohio. Mancuso zaprowadzał obsługę centrali bojowej do sali konferencyjnej i zamknął drzwi.

- Fatalna taktyka, komandorze - zaczął z miejsca. Bart Mancuso słynął zresztą z braku dyplomacji. - Pierwszy oficer! Co doradzał pan dowódcy okrętu?

Claggett słowo w słowo wyrecytował swoją poradę.

- Dlaczego nie poszedł pan za tą wskazówką, komandorze?

- Uznałem, że przy naszej cichobieżności mogę sobie pozwolić na oderwanie się od przeciwnika tak, jak to zrobiłem.

- Co o tym sądzisz, Wally? - zwrócił się Mancuso do dowódcy dywizjonu "czerwonego", komandora porucznika Wally'ego Chambersa, który miał wkrótce objąć dowództwo na pokładzie USS "Key West". Chambers pływał wraz z Mancuso na USS "Dallas" i rokował wielkie nadzieje jako dowódca podwodnego okrętu patrolowego. W przeszłości dał zresztą dowód swoich zdolności.

- Moim zdaniem, manewr komandora był zbyt schematyczny. W dodatku, zachowując poprzedni kurs przy zmianie głębokości pozwolił im spokojnie łapać przez pławę hydrolokacyjną szumy i trzaski kawitacyjne kadłuba. Mogłem je natychmiast zidentyfikować jako echo okrętu. Trzeba było, komandorze, zachować wąski profil akustyczny, zwolnić i utrzymać głębokość. Łapałem bardzo niewyraźny namiar, więc gdyby pan zwolnił, straciłbym kontakt do reszty. Nie zrobił pan tego, mogłem się więc zorientować, że wychodzi pan nad termoklinę i wtedy natychmiast poszedłem w dół, pod warstwę styku, i wsunąłem się pod pański okręt. Jednym słowem, komandorze, nie miałem pojęcia, że złapałem pana na sonarze, dopóki sam mi pan tego głośno i wyraźnie nie potwierdził. Nie dość na tym, pozwolił mi pan zbliżyć się do siebie. Siedziałem pod warstwą styku z przegłębieniem na dziób, trzymając rufę nad termokliną. Warunki akustyczne były akurat świetne, więc słyszałem pana wyraźnie z dwudziestu ośmiu tysięcy metrów. Słyszałem pana, podczas gdy pan mnie nie słyszał. Potem musiałem już tylko dać susa do przodu, żeby wyjść na pewną pozycję do strzału. Miałem pana w rękę.

- Celem ćwiczenia było unaocznic panu, co może się wydarzyć, jeśli pana jednostka utraci przewagę akustyczną. - Mancuso przerwał dla dodania wagi swoim słowom. - Naturalnie, że cały scenariusz był niesprawiedliwy, ale kto powiedział, że w życiu wszystko ma być sprawiedliwie?

- Akula to może i porządny okręt, a radziecki sonar?

- Oceniamy, że ich hydrolokatory są na poziomie naszego zapasowego namiernika na okrętach typu 688.

Nigdy w życiu, pomyślał Ricks i zapytał:

- Czy mam się spodziewać jeszcze jakichś niespodzianek?

- Dobrze pytanie. Odpowiedź brzmi: nie wiemy. A jeżeli nie wiemy, musimy założyć, że Rosjanie potrafią tyle samo, co my.

Nigdy w życiu, powtórzył w myślach Ricks.

Tyle samo albo i więcej, pomyślał z kolei Mancuso, wydając załodze centrali bojowej kolejne polecenie.

- Przystudiujcie zapisy całego ćwiczenia, za pół godziny przelecimy wszystko po kolei.

Ricks odprowadził wzrokiem Mancusa, który już w drzwiach wymienił z Chambersem jakąś zabawną uwagę. Owszem, Mancuso to bystry, sprawny kapitan, tyle że przyzwyczał się powozić szybkim okrętem patrolowym, podwodnym niszczycielem, więc guzik się zna na dowodzeniu dywizjonem strategicznych boomerów. Ma zupełnie nieprawidłowe nawyki myślowe, i tyle. Co gorsza, sprowadził sobie na ćwiczenia kumpla, z którym pływali razem we Flocie Atlantyckiej, drugiego kowboja-patrolowca... Owszem, takie są zwyczaje, ale do kurwy nędzy...! Ricks był przekonany, że wszystkie decyzje podjął słusznie.

Czego się zresztą spodziewać przy tak nieprawdopodobnym scenariuszu ćwiczenia? Przecież

Rosselli powiedział wyraźnie, że "Maine" jest cichy jak grób! Jasna cholera. Ricks żałował, że tak zawałił pierwszą okazję, żeby zdobyć punkty u dowódcy dywizjonu. Zamiast się zasłużyć, najadł się tymczasem wstydu, tylko dlatego, że ktoś wydumał sobie nierealistyczny scenariusz, i dlatego, że załoga marnie się spisała - ta sama załoga, którą tak wychwalał Rosselli.

- Panie Shaw, chcę zobaczyć wydruk pracy urzędzeń!

- Już przynoszę, panie komandorze.

Shaw przed niespełna dwoma miesiącami ukończył szkołę oficerską podwodniaków w Groton. Przystanął teraz w kącie, nerwowo zaciskając w ręku mapę i swoje notatki. Rick prawie wyrwał mu papiery i rozłożył je na stole, po czym przebiegł wzrokiem stronicę.

- Niechłujny zapis. Poza tym stać pana, żeby uwinąć się minutę szybciej.

- Tak jest - odrzekł Shaw, który nie wiedział, jakim cudem mógłby szybciej wykreślić kursy, lecz ponieważ tak powiedział sam dowódca, widocznie tak było. Kapitan ma zawsze rację.

- Ta minuta zmieniałaby naszą sytuację - dodał pod jego adresem Ricks, głosem spokojnym, lecz bardzo napastliwym.

- Przepraszam, panie komandorze!

Była to pierwszy poważny błąd, jaką palnął porucznik Shaw. Ricks wyprężył się jak struna, choć nadal musiał zadzierać głowę, by patrzeć podwładnemu w oczy. Fakt ten również nie poprawił mu humoru.

- "Przepraszam" zda się psu na budę, poruczniku! "Przepraszam" naraża nasz okręt i jego zadanie! Od takich "przepraszam" giną ludzie. Każdy niekompetentny oficer mówi później "przepraszam". Czy wyrażam się jasno, panie Shaw?

- Tak, panie komandorze.

- Świetnie! - W ustach Ricksa zabrzmiało to jak przekleństwo. - Niech się pan postara, żebyśmy rozmawiali w ten sposób ostatni raz.

Pozostałe z wyznaczonych minut upłynęły na analizie zapisów z przebiegu ćwiczenia. Oficerowie przeszli do większej sali, gdzie mieli przedyskutować akcję minuta po minucie, dowiadując się przy tym, co w tym samym czasie robił i co wykrył "czerwony", czyli przeciwnik. Komandor podporucznik Claggett mitygował przełożonego.

- Trochę za mocno objechał pan tego Shawa.

- Niby dlaczego? - zdziwił się nieprzyjemnie Ricks.

- Shaw nie zrobił żadnego błędu. Sam bym wykreślił ten kurs najwyżej trzydzieści sekund szybciej od niego. Bosman, który przy nim siedział, kreślił namiary od pięciu lat, prowadził z tego przedmiotu zajęcia w ich szkole. Patrzyłem, jak sobie radzą i wydawało mi się, że dobrze.

- Chce pan powiedzieć, że to ja się omyliłem? - zapytał Ricks zwodniczo uprzejmym głosem.

- Tak jest. - Claggettowi wpojono w marynarce, że nie wolno kłamać.

- Czyżby? - rzucił Ricks i bez słowa ruszył do drzwi.

Powiedzieć, że Petra Hassler-Bock jest nieszczęśliwa, byłoby monstrualnym eufemizmem. Petra, która dobiegała czterdziestki, piętnaście lat żyła w ukryciu, tropiona przez zachodniemiecką policję, by wreszcie, kiedy zrobiło się naprawdę niebezpiecznie, schronić się w strefie wschodniej. Dawnej strefie wschodniej, ucieszył się znów w myślach oficer śledczy. Petrze w zadziwiający sposób odpowiadało takie życie. Nawet ze zdjęcia w grubych policyjnych aktach uśmiechała się pełna życia, atrakcyjna kobieta o dziewczęcej urodzie i pięknych kasztanowych włosach. Ta sama twarz obserwowała chłodno, jak umierają kolejno trzy osoby. Jedną z ofiar torturowano nożem przez trzy dni, przypomniał sobie śledczy. Morderstwo miało w zamierzeniu wstrząsnąć opinią publiczną -

w owym czasie trwały w Niemczech dyskusje nad tym, czy pozwolić Amerykanom na rozmieszczenie rakiet Pershing-2 i Cruise. Frakcja Czerwonej Armii chciała tą metodą przekonać ogół do swojego zdania w tej kwestii. Ponieważ nic z tego, oczywiście, nie wyszło, średniowieczne tortury, jakim poddano ofiarę, okazały się daremne.

- Podobało ci się, że możesz zadźgać samego Wilhelma Mansteina, co, Petra? - zapytał śledczy.

- Manstein był świnią - padła zacięta odpowiedź. - Tłustą, spoconą, oblesną świnią.

Śledczy wiedział, w jaki sposób terroryści zwabili wówczas ofiarę. Porwanie przygotowała Petra, która wkradła się najpierw w łaski Mansteina i nawiązała z nim krótki, lecz burzliwy romans. Mansteina trudno było wprawdzie wziąć za wzór niemieckiej męskiej urody, lecz poglądy Petry na wyzwolenie seksualne również wykraczały poza zachodnią normę w tym względzie. Kobiety należały do najokrutniejszych członków grupy Baader-Meinhof i Frakcji Czerwonej Armii. Niektórzy psychologowie dopatrywali się w tym reakcji na tradycyjną zasadę Kinder-Kuche-Kirche, głoszoną przez niemieckich mężczyzn. Teorie teoriami, oficer śledczy miał przed sobą najperfidniejszą morderczynię, jaką kiedykolwiek spotkał. Pierwszą częścią ciała, którą otrzymała drogą pocztową rodzina porwanego, były te same narządy, którymi porwany znieważył cześć Petry Bock. Sekcja zwłok wykazała, że nawet po tym okaleczeniu Manstein dogorywał jeszcze przez dziesięć dni, dostarczając młodej damie hałaśliwych, krwawych rozrywek.

- Na szczęście przerobiłaś go na wieprzka, prawda? Ciekawe, co powiedział Günther na wasze igraszki. Ostatecznie spędziłaś z Herr Mansteinem, ile to? Pięć nocy? Pięć nocy przed porwaniem. Ta część zadania najbardziej ci się podobała, co, mein Schatz?

Detektyw z przyjemnością stwierdził, że cios trafił na czuły punkt. Petra mogła się niegdyś podobać mężczyznom, lecz należało to już do przeszłości. Więzienie nadało jej wygląd kwiatu na drugi dzień po ścięciu. Terrorystka coraz mniej przypominała żywą istotę. Cerę miała ziemistą, podkrążone matowe oczy, straciła też przynajmniej osiem kilo. Wciąż bił od niej desperacki bunt, coraz rzadziej jednak.

- Nie, na pewno musiało ci się podobać z Mansteinem w łóżku, poszłaś z nim w końcu aż tyle razy. Musiało ci się podobać, skoro pozwoliłaś mu robić z tobą, co tylko zechciał. Niby po to, żeby go zwabić, ale jak było naprawdę? Nie powiesz mi, że tylko udawałaś. Herr Manstein był wybrednym lowelasem. Przy jego doświadczeniu chodzi się tylko na najlepsze dziewczynki. Skąd u ciebie, Petra, tyle talentu? Pewnie specjalnie ćwiczyłaś przed akcją, z Güntherem albo i z innymi, co? A wszystko w imię sprawiedliwości rewolucyjnej, rzecz jasna. Albo w imię Kameradschaft, jak przystało między bojownikami, nicht wahr? Wychodzi więc na to, że jesteś zwykłą kurwą, Petra. Kimś gorszym od kurwy, bo kurwy mają przynajmniej swoje zasady.

A co się tyczy twojej ukochanej rewolucji, sama popatrz - roześmiał się śledczy pogardliwie. - Doch! Ładna mi rewolucja! Pewnie ci niemiło, że cały niemiecki Volk odwrócił się od was tyłkiem?

Petra poruszyła się na krześle, lecz nie zdecydowała się na to, by...

- No, co jest, Petra? Zabrakło nam nagle wielkich słów? Tyle się zawsze wygadywało o ideałach, o wolności, o demokracji, co? Pewnie ci łyso, że kiedy rzeczywiście przyszła prawdziwa demokracja, ludzie nienawidzą was wszystkich jak psów? Jak to jest, Petra, kiedy wszyscy odwrócą się od człowieka plecami? Wszyscy, zupełnie wszyscy? Wiesz przecież, że tak to właśnie wygląda. Nie muszę ci mówić, że to nie żarty. Sama widziałaś przez okno pochody, demonstracje na ulicy, ty i Günther. Pamiętasz jeszcze tę manifestację tuż pod waszymi oknami, prawda? Ciekawe, co sobie wtedy myślałaś. Ciekawe, co mówiliście do siebie z Güntherem. Może wmawialiście sobie, że to wszystko podstęp kontrrewolucjonistów?

Oficer śledczy pokręcił głową i nachylił się w stronę przesłuchiwanej, wbijając wzrok w jej

puste, martwe oczy. Lubił to, co robi - jak lubiła swoją działalność Petra.

- No więc, Petra, jak mi wytłumaczysz wyniki wyborów w NRD? Nie powiesz mi, że nie były to wolne wybory; sama wiesz, że nikt nikogo nie zmuszał. Tyle lat, tyle wysiłku, tyle morderstw - i nagle okazuje się, że to pomyłka, że wszystko na marne! Ale coś tam zawsze zostaje, prawda? W twoim wypadku, zostało ci przynajmniej wspomnienie romansu z Wilhelmem Mansteinem. - Oficer rozsiadł się wygodniej i zapalił cygaretkę, po czym, dmuchając dymem w sufit, dodał: - Ale co teraz, Petra? Mam nadzieję, mein Schatz, że udał ci się tamten romans, bo widzisz, z tego więzienia już nie wyjdiesz żywa. Nie wyjdiesz. Nikt nie będzie cię żałował, nie wypuszczą cię nawet, kiedy już będziesz jeździć na wózku inwalidzkim. Nie, nie. Wszyscy dobrze pamiętają, co zrobiłaś, więc zadbają już o to, żebyś tu gniła razem z resztą zwyrodnialców. Nie ma nadziei, Petra. Przyjdzie ci zdechnąć w tych murach.

Petra Hassler-Bock zadrżała, słysząc te słowa. Jej źrenice rozszerzyły się nagle. Walczyła ze sobą, żeby odpowiedzieć śledczemu, lecz zawahała się. Śledczy zaś ciągnął w najlepsze:

- Tak przy okazji, zgubiliśmy trop Günthera. Prawie go dopadliśmy w Bułgarii, rozminęliśmy się z nim dokładnie o trzydzieści godzin. Widzisz, Rosjanie przekazali nam wszystkie akta na temat ciebie i twoich przyjaciół. I po to tyle miesięcy męczyłaś się w tych ich obozach szkoleniowych... No, nieważne. Günther nadal jest na wolności, przypuszczamy że w Libanie, w towarzystwie waszych dawnych kumpli. Na nich też przyjdzie kolej - zapewnił Petrę śledczy. - Nie słyszałaś, że Amerykanie, Rosjanie i Izrael nawiązali współpracę i w tej branży? Tak wynika z warunków traktatu. Prawda, jaka wspaniała nowina? Niedługo będziemy mieli i Günthera. Przy odrobinie szczęścia zaczniesz jakąś nową akcję albo palnie inne głupstwo, a wtedy będziemy ci mogli nawet pokazać na zdjęciu jego zwłoki... Właśnie, byłbym zapomniał, mam nawet coś lepszego niż zdjęcia! Pokażę ci, chcesz?

Śledczy włożył wideokasetę do odtwarzacza i pstryknął wyłącznikiem telewizora. Po krótkiej chwili obraz przestał migotać. Film nakręcono po amatorsku, z ręki. Na ekranie Petra ujrzała dwie dziewczynki, bliźniaczki, ubrane w identyczne różowe sukieneczki, bawarskie dirindl. Dziewczynki siedziały koło siebie na typowym dywanie w typowym niemieckim mieszkaniu. We wnętrzu panował wzorowy Ordnung, nawet ilustrowane magazyny na stoliku ułożono jak pod linijkę. Potem na ekranie zaczął się ruch.

- Komm, Erika! Komm, Ursel! - rozległ się z boku kobiety głos. Obie dziewczynki podniosły się z dywanu, chwytając się blatu stolika i podreptały w tamtą stronę. Kamera uchwyciła ich niepewne, drobne kroczki ku wyciągniętym ramionom tamtej kobiety.

- Mutti, Mutti! - zawołały bliźniaczki jedna przez drugą. Oficer śledczy zgasił nagle telewizor.

- Widzisz, mówią już i chodzą. Ist das nicht wunderbar? Ich nowa mama bardzo je kocha. Myślałem, Petro, że chętnie obejrzysz ten kawałek. Na dzisiaj tyle.

Oficer śledczy przycisnął guzik. W drzwiach stanął strażnik i zaprowadził skutą kajdankami więźniarkę z powrotem do celi. Czworokątna celka miała nagie ściany z pociągniętej na biało cegły. W pomieszczeniu nie było okna, a w drzwiach z pancernej blachy widniał tylko otwór judasza i klapka, przez którą wsuwano posiłki. Petra nie wiedziała, że przez cały czas obserwuje ją kamera telewizji przemysłowej, której ukryta pod sufitem soczewka udawała jedną z klinkierowych cegieł, lecz w rzeczywistości przepuszczała czerwone widmo światła i promieniowanie podczerwone. W korytarzu Petra Hassler-Bock zdołała jeszcze zachować niewzruszoną minę. Potem zatrzęsły się pancerne drzwi.

Załamaniem przyszło nagle.

Najpierw Petra wpatrywała się pustym wzrokiem w podłogę, także pomalowaną na biało, z

początku nawet zbyt nieobecna i przerażona, by zdobyć się na płacz. Rozważała w myślach koszmar, w jaki zmieniło się jej życie. Jeden z wewnętrznych głosów powtarzał jej uparcie, z maniackim przeświadczeniem, że wszystko to nie może być prawdą. Niemożliwe, żeby zawaliło się wszystko, czym Petra żyła, wszystko, co robiła. Günther - stracony. Bliźniaczki - stracone. Sprawa - stracona. Stracone życie.

Oficerowie śledczy z Bundeskriminalamt przesłuchiwali ją właściwie tylko dla własnej rozrywki, Petra wiedziała o tym aż za dobrze. Nie mogła im przecież wyjawiać żadnych istotnych informacji. Pokazano jej zresztą odbitkę jej teczek z tajnych akt wschodniemieckiej Stasi. W ręce zachodniej policji trafił prawie cały, nieoczekiwanie obszerny materiał, jaki zebrały na jej temat bratnie służby NRD. Wszystko - nazwiska, adresy, telefony, notatki o wydarzeniach sprzed dwudziestu lat, fakty, o których sama dawno zapomniała, fakty na temat Günthera, o których nie miała nawet pojęcia. Wszystko w rękach ludzi z BKA. Koniec. Wszystko stracone.

Petra zadławiła się nagłym szlochem. Wszystko stracone, nawet Erika i Ursel, bliźniaczki, dzieci, które wyszły z jej ciała, namacalny dowód nadziei na lepszą przyszłość, dowód miłości do Günthera. Dziewczynki uczą się chodzić w obcym pokoju, u obcych ludzi, obcą osobą nazywając Mutti, mamusia. Żonę jakiegoś kapitana służby kryminalnej, tyle powiedziano więźniarce. Przez pół godziny Petra płakała, bezgłośnie, gdyż wiedziała, że w celi, tej przeklętej białej skrzyni odbierającej sen, ukryto mikrofon.

Wszystko stracone.

Jak żyć - żyć tutaj? Kiedy pierwszy i ostatni raz wyprowadzono ją na spacer, strażnicy musieli siłą odrywać dwie więźniarki, które rzuciły się na Petrę. Zapamiętała ich dziki wrzask, który rozbrzmiewał w uszach jeszcze, kiedy prowadzono ją na opatrunek: "Ty kurwo, morderczyni, ty bestio!" Żyć w tym miejscu jeszcze czterdzieści albo i więcej lat, w samotności, w zupełnej samotności, usiłując tylko zwariować, modląc się o to, by ciało rozpadło się wreszcie i zetlało? Dla Petry dożywocie naprawdę oznaczało więzienie do śmierci, tego mogła być pewna. Nikt nie skorzysta wobec niej z prawa łaski. Śledczy powiedział jej to aż nadto wyraźnie. Żadnej litości. Żadnych przyjaciół. Uwięziona, zapomniana... nadal jednak nienawidzona.

Petra podjęła chłodną decyzję. Dawno temu, obyczajem więźniów na całym świecie, zdobyła i ukryła ostry skrawek metalu, w tym wypadku kawałek żyletkowego ostrza z golarki, którą raz w miesiącu pozwalano jej golić łydki. Wydobyła małe ostrze ze skrytki i zdarła z materaca prześcieradło, białe jak wszystko inne. Materac był tradycyjny, gruby na dziesięć centymetrów i obszyty grubą pasiastą tkaniną, zaobrubioną wzdłuż krawędzi i wzmocnioną od spodu płótna usztywniaczem, podobnym do sznura. Odłamkiem żyletki Petra zaczęła odcinać usztywnienie od materaca. Kosztowało ją to trzy godziny i sporo krwi, gdyż mikroskopijne ostrze co chwila kaleczyło jej palce, lecz wreszcie miała w ręku dwa metry czegoś, co mogło posłużyć jako sznur. Petra zawiązała teraz na jednym końcu pętlę, a drugi koniec przerzuciła nad pancerną lampą w ścianie ponad drzwiami. Musiała w tym celu wspiąć się na stołek, który tak czy inaczej był jej niezbędny. Dopiero za trzecim razem zdołała zasupłać węzeł w taki sposób, aby sznur zrobił się możliwie krótki.

Zadowolona z efektu Petra bez chwili przerwy zrzuciła z siebie fartuch i biustonosz, uklękła na precyzyjnie ustawionym stołku plecami do drzwi, zarzuciła sobie pętlę na szyję i zacisnęła ją. Następnie podwinęła nogi do tyłu, plecami starając się przycisnąć stopy do powierzchni drzwi i krępiąc je w tej pozycji biustonoszem. Nie chciała, by w ostatniej chwili zawiodły ją nerwy. Musi jeszcze ten jeden raz okazać odwagę i poświęcenie! Bez jednej łzy czy modlitwy wypchnęła spod siebie stołek, opadając o pięć centymetrów, zanim zaimprovizowany stryczek zahamował upadek.

Dopiero teraz ciało instynktownie spróbowało wydać walkę decyzji: podwinięte nogi konwulsyjnie szamotały się z biustonozem, krępującym je w górze, lecz ich rozpaczliwe ruchy odepchnęły tylko tułów Petry od drzwi, co dodatkowo zacisnęło pętlę.

Zdziwiła się, że ból jest aż tak okropny. Stryczek zgniótł jej tchawicę i wcisnął się daleko pod brodę. Petra szeroko otwartymi oczami patrzyła na białą ścianę w głębi celi. Dopiero teraz zdjął ją dziki strach. Ideologia także przestaje w pewnej chwili obowiązywać. Kobieta nie chciała umierać, nie mogła, nie...

Wyciągnęła rękę ku szyi, chwytając za stryczek, co okazało się błędem. Cienkie obszycie materaca wrzynało się jej w ciało tak głęboko, że nie mogła już wcisnąć nawet palca. Nie ustawała jednak w wysiłku, wiedząc, że jeszcze kilka sekund, a niedokrwiony mózg... Powoli zaczęły jej odpływać myśli, zmętniał wzrok. Nie widziała już zaprawy murarskiej między niemieckimi cegłami na przeciwległej ścianie. Jej ręce nadal szarpały stryczek, rozdrapując naczynia krwionośne na szyi. Śliski od krwi sznur zaczął wrzynać się jeszcze bardziej! dodatkowo tamując krążenie w arteriach szyjnych. Petra otworzyła usta, próbując krzyknąć, zawołać pomocy, zawołać, że nie chce umrzeć. Czy ktoś usłyszy? Czy nikt jej nie pomoże? Za późno, bo zostały jej jeszcze dwie sekundy, nie, już tylko sekunda, albo mniej... Nie zdążyła więc posłuchać tego, co podpowiedziała jej resztką świadomości i rozwiązać supła biustonosza, uwolnić nóg, stanąć i...

Oficer śledczy widział na swoim ekranie wyraźnie, jak ręce więźniarki przez chwilę zmagają się z supłem, po czym opadają bezwładnie i wstrząsane przez kilka sekund drgawkami zamierają bez ruchu. Prawie się jej udało, pomyślał. Prawie ocalała własną skórę. Smutna historia. Szkoda, że taka ładna dziewczyna wybrała tortury i morderstwa, by na koniec wybrać także śmierć. Co z tego, że w ostatniej chwili rozmyśliła się, chciała żyć? Wszyscy tak reagują. Nie, może nie wszyscy. Jeszcze jeden dowód, że najbrutalniejsi oprawcy okazują się największymi tchórzami, nicht wahr? Aber natürlich.

- Monitor się zepsuł - powiedział głośno śledczy, pstrykając wyłącznikiem. - Załatwcie mi nowy, bo nie mam jak obserwować więźniarki Hassler-Bock.

- To potrwa z godzinę - uprzedził dowódca warty.

- Nie pali się. - Śledczy wyjął kasetę z tego samego odtwarzacza, którego użył, by pokazać Petrze wruszające obrazki z życia rodziny. Kasetą powędrowała do aktówki, gdzie spoczęła obok poprzedniej. Oficer zatrzasnął zamek i powstał. Nie uśmiechał się wprawdzie, lecz miał na twarzy wyraz satysfakcji. Nie jego wina, że Bundestag z Bundesratem nie potrafią uchwalić prostej ustawy na temat kary śmierci. Niechęć brała się oczywiście z obawy przed powrotem do hitlerowskich obyczajów, rzeczywiście barbarzyńskich. Choć nawet barbarzyńcy nie są tacy głupi, pomyślał śledczy. Co, może po wojnie rozebrano też i zaorano autostrady? Pewnie, że nie. Co z tego, że za Hitlera zabijano ludzi; część tych egzekucji dotyczyła przecież morderców, czemu i dziś przyklasnąłby rząd każdego cywilizowanego państwa. Jeśli ktoś zasługiwał na egzekucję, to właśnie Petra Hassler-Bock, która mordowała torturami. Tortury, stryczek - równa miara, tak przynajmniej sądził oficer śledczy. Sprawę Wilhelma Mansteina prowadził od samego początku, był też na miejscu, kiedy rodzinie przysłano pocztą genitalia porwanego. Asystował patologom przy sekcji zwłok, wziął udział w pogrzebie ofiary, pamiętał też swoje bezsenne noce, kiedy nie potrafił wymazać z pamięci tamtych potwornych obrazów. Może teraz się to wreszcie uda. Sprawiedliwość, choć nierychliwa, dopełnia się jednak. Jeśli dobrze pójdzie, obie śliczne dziewczynki wyrosną na dobre obywatelki i nikt się nigdy nie dowie, kim była i co robiła ich rodzona matka.

Oficer śledczy przekroczył bramę więzienia i wsiadł do samochodu. Nie chciał kręcić się w pobliżu w chwili, gdy strażnicy znajdą ciało. Sprawa zamknięta.

- Cześć, stary!

- Marvin! Słyszałem, że świetnie sobie radzisz z bronią - pochwalił Hosni amerykańskiego przyjaciela.

- Żadna nowina, chłopie. Strzelać to się nauczyłem jako mały gówniarz. Inaczej wiecznie chodziłbym głodny.

- Strzelasz lepiej od najlepszego z instruktorów.

- Te wasze tarcze są dużo większe od zasranego królika, a na dodatek stoją w miejscu. Z mojego 5.6 umiałem trafiać szaraki w pełnym biegu. Kiedy musisz sam sobie upolować obiad, nauka przychodzi łatwo. Aha, jak ci poszło z tą całą bombą?

- Dużo pracy, mało korzyści - odparł Hosni.

- Może chociaż poskładasz sobie radio z tych tranzystorów w środku - zaproponował Amerykanin.

- Albo coś równie pożytecznego.

OSTATNIE POJEDYNKI

Lot na zachód jest zawsze łatwiejszy do zniesienia niż lot w odwrotnym kierunku, gdyż organizm lepiej znosi dłuższy dzień niż krótszy. Zbawienny wpływ dobrego jedzenia i dobrego wina dodatkowo łagodzi uciążliwości podróży. Sala konferencyjna na pokładzie Air Force One w razie potrzeby zmieniała się w znakomitą jadalnię, a w tym wypadku salę bankietową na użytek elity rządowej i specjalnie wybranych dziennikarzy. Menu było, jak zwykle, znakomite. Air Force One to jedyny boeing na świecie, w którym nie podaje się wcześniej przygotowanego jedzenia, zapakowanego w plastikowe tacki z przegródkami. Obsługa kuchni codziennie zwozi świeże artykuły, które na wysokości dwunastu kilometrów i przy szybkości tysiąca dwustu kilometrów na godzinę zmieniają się w obiad. Niejeden kucharz pokładowy po zwolnieniu z wojska bez trudu znalazł pracę jako kuchmistrz w ekskluzywnym klubie lub wykwintnej restauracji. Fakt gotowania dla samego prezydenta Stanów Zjednoczonych jest sam w sobie najlepszą rekomendacją.

Wino pochodziło tym razem ze stanu Nowy Jork: znakomite różowawe chablis, które prezydent uwielbiał, jeśli akurat oderwał się od piwa. W ładowni przebudowanego 747 znajdowały się trzy pełne skrzynki tego rocznika. Dwóch sierzantów w śnieżnobiałych kitlach pilnowało, by kieliszki nie stały puste, kiedy na stół wjeżdżało jedno danie za drugim. Atmosfera była swobodna, wszystkie rozmowy poufne i nie dla czytelników, lub tylko przy zachowaniu najściślejszej anonimowości. Gdyby któryś z dziennikarzy za dużo chlapanął, wiedział, że więcej nie trafi na podobny bankiet.

- Cóż, panie prezydencie - zaczął wysłannik "New York Timesa" - Jak prędko, pańskim zdaniem, postanowienia traktatu wejdą w życie?

- Już zaczęto je wprowadzać w życie. Delegacja armii szwajcarskiej wylądowała właśnie w Jerozolimie w celu pierwszych oględzin. Sekretarz Bunker ma się spotkać z rządem Izraela i ustalić harmonogram lądowania wojsk amerykańskich w tym kraju. Za dwa tygodnie powinniśmy ruszyć pełną parą.

- A co się stanie z ludźmi, którzy muszą opuścić swoje domy? - podjął pytanie korespondent "Chicago Tribune".

- Sytuacja będzie dla nich ogromnie uciążliwa, ale z naszą pomocą budowa nowych osiedli powinna zająć bardzo niewiele czasu. Izraelczycy poprosili już nas o kredyty za zakup w Ameryce osiedli z prefabrykatów i kredyty te otrzymają. Wyłożymy też pieniądze na zakup dla Izraela osobnej fabryki prefabrykowanych domów. Będziemy musieli przesiedlić wiele tysięcy ludzi, co jest oczywiście bolesne. Postaramy się jednak maksymalnie ułatwić im ten krok.

- Panowie, nie zapominajmy - wtrąciła Liz Elliot - że o jakości życia decyduje nie tylko dach nad głową. Pokój ma swoją cenę, ale ma też oczywiste zalety. Przesiedleńcy po raz pierwszy w życiu będą mogli czuć się zupełnie bezpieczni. - Proszę mi wybaczyć, panie prezydencie - korespondent z "Chicago" podniósł kieliszek. - Nie było moim zamiarem nikogo krytykować. Myślę, że wszyscy jesteśmy zgodni co do tego, że traktat spadł nam jak z nieba. - Siedzący wokół stołu pokiwali zgodnie głowami. - Jednak sposób wprowadzenia dokumentu w życie bardzo interesuje naszych czytelników, którzy chcą poznać wszystkie fakty.

- Rzeczywiście, przesiedlenia będą najtrudniejszą częścią planu - odrzekł spokojnie prezydent Fowler. - Rządowi Izraela należy się szacunek za tak odważną decyzję. Musimy więc dołożyć

wszelkich starań, aby odbyło się to możliwie szybko i bezboleśnie.

- Które amerykańskie jednostki zostaną rozlokowane do obrony Izraela? - padło następne pytanie.

- Cieszę się, że mogę poruszyć ten temat. - Fowler nie wypowiedział tych słów przez uprzejmość. Poprzedni korespondent nie zapytał przecież o najważniejszą przeszkodę na drodze do wypełnienia traktatu, to jest o to, czy izraelski Kneset ratyfikuje porozumienie. - Może słyszeli już państwo, że ponownie formujemy dawny związek taktyczny, to jest Dziesiąty Pułk Kawalerii Stanów Zjednoczonych. Formowanie toczy się w Fort Stewart w stanie Georgia, a na moje osobiste polecenie ponownie weszły do służby liniowej statki transportowe z rezerwy Floty Transportu Wojskowego, które w jak najszybszym czasie przewiozą pułk do Izraela. Dziesiąty jest sławnym związkiem o świetnej historii - był to jedyny murzyński oddział, który całkowicie zlekceważyli twórcy filmowych westernów. Zrządzeniem losu - los nie miał z tym nic wspólnego - pierwszym dowódcą wskrzeszonego pułku również będzie osoba ciemnoskóra, to jest pułkownik Marion Diggs, zasłużony żołnierz, absolwent West Point i tak dalej. Tyle, jeśli chodzi o siły lądowe. Z lotnictwa kierujemy do Izraela pełne skrzydło myśliwców bombardujących F-16 oraz klucz samolotów wczesnego ostrzegania AWACS z personelem pomocniczym. Izrael udostępnia nam także bazę morską w porcie Hajfa, a ponieważ we wschodniej części Morza Śródziemnego i tak trzymamy grupę uderzeniową z lotniskowcem i oddział desantowy piechoty morskiej, posłużą one jako wsparcie sił ekspedycyjnych.

- Ale jak się to wszystko ma do rozbrojenia...

- Z inicjatywą, by wskrzesić Dziesiąty Pułk Kawalerii wystąpił Dennis Bunker. Osobiście żałuję, że nie zdążyłem sam wyjść z podobnym pomysłem, powiem to szczerze. Co do reszty naszych sił, spróbujemy jakoś upchać nowe wydatki w budżecie Pentagonu.

- Czy to wszystko jest naprawdę niezbędne, panie prezydencie? Teraz, kiedy Kongres bije się o każdego dolara, szczególnie gdy idzie o wydatki na obronność, czy naprawdę musimy...

- Oczywiście, że musimy. - Głos doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego ściał z nóg wścibskiego reportera. Elizabeth Elliot miała w tym momencie wypisane na twarzy słowa "milcz, gówniarzu". - Izrael nie od dziś obawia się całkiem słusznie o własne bezpieczeństwo, tak więc nasze zobowiązanie, że będziemy stać na straży ich bezpieczeństwa stanowi *sine qua non* porozumienia!

- Opamiętaj się, Marty - mruknął pod adresem pytającego inny dziennikarz.

- Nadprogramowe wydatki zrekompensujemy sobie cięciami w innych dziedzinach - oświadczył prezydent. - Zdaję sobie sprawę, że czeka mnie po powrocie kolejne starcie z Republikanami o sposób utrzymywania rządu, lecz, moim zdaniem, ostatnie dni pokazały, jak prędko zwraca się każdy dolar wydany na rząd. Nawet jeśli będziemy musieli dla dobra światowego pokoju odrobinę podnieść podatki, wszyscy Amerykanie zrozumieją tę konieczność i poprą plan - dokończył Fowler zasadniczym tonem.

Jego słowa nie uszły uwagi dziennikarzy. Oho, prezydent szykuje nam kolejną podwyżkę podatków. Kongres bił się nie tak dawno o pierwszą i drugą falę dywidend pokojowych po redukcjach stanu wojsk. Teraz, pomyślała z krzywym uśmiechem jedna z korespondentek, kolej widocznie na podatek pokoju. Kongres bez gadania zatwierdzi podwyżkę wraz z resztą pakietu nowych ustaw, to nie ulegało wątpliwości. Uśmieszek dziennikarki miał jeszcze inną przyczynę: pojęła aż nadto dobrze wyraz, z jakim prezydent spoglądał na swojego doradcę do spraw bezpieczeństwa. Ciekawe, pomyślała korespondentka, która przed podróżą do Rzymu, dwukrotnie dzwoniła na zastrzeżony domowy numer Liz Elliot i za każdym razem łączyła się z automatyczną

sekretarką. Może warto sprawdzić, co się tu dzieje? Wystarczy ustawić kogoś na czujce pod szeregowym domkiem Elliot niedaleko Kalorama Road i sprawdzić, jak często nocuje ona w domu. Z drugiej strony... Z drugiej strony, co obchodzą innych intymne sprawy prezydenta? Nic. Prezydent jest wdowcem, osobą stanu wolnego, a jego życie osobiste nie ma żadnego wpływu na społeczeństwo, przynajmniej dopóki prezydent stara się unikać ostentacji i dopóki romanse nie przeszkadzają mu w sprawowaniu obowiązków. Dziennikarka dałaby sobie głowę uciąć, że poza nią nikt nie zorientował się w sytuacji. Ale też nie ma się czym podniecać, pomyślała korespondentka. Może to i dobrze, że prezydent i jego podwładna mają się ku sobie? Wystarczy spojrzeć, jak gładko im poszło z Traktatem Watykańskim...

Generał brygady Abraham Ben Jakob studiował tekst traktatu w zaciszu swojego gabinetu. Obracanie własnych przemyśleń w słowa przychodziło mu nadzwyczaj łatwo; umiejętność ta, z czego zdawał sobie sprawę, wynikała z wieloletniej zawodowej paranoi. Przez całe dorosłe życie - w przypadku Ben Jakoba lata, jakie upłynęły od jego szesnastych urodzin, kiedy pierwszy raz musiał z bronią w rękę walczyć za swój kraj - generał znał kilka prostych reguł rządzących światem. Ludzie dzielili się na Izraelczyków i na obcych. Większość obcych była wrogami lub potencjalnymi wrogami. Nieliczną grupkę obcych można było uznać za partnerów czy nawet przyjaciół, choć przyjaźń wobec Izraela działała zwykle tylko w jedną stronę. Awi przeprowadził na terenie Stanów Zjednoczonych pięć operacji, wymierzonych co do jednej w Amerykę. "Wymierzonych" oczywiście nie po to, by zaszkodzić Ameryce, skądże znowu. Generał chciał jedynie za każdym razem zdobyć pewne niezbędne Izraelowi informacje, będące w posiadaniu rządu amerykańskiego. Informacje te przenigdy nie zostałyby użyte przeciwko USA, podobnie jak wykradzione modele sprzętu wojskowego. Amerykanom jednak nie podobało się to podkradanie tajemnic, czemu trudno się nawet dziwić. Generał Ben Jakob nie przejmował się tym, co myślą o nim w Ameryce. Jego misją życiową było czuwać nad bezpieczeństwem własnego narodu, choćby nawet kosztem dobrych manier. Amerykanie rozumieli tę zasadę i czasami przedstawiali nawet Mossadowi posiadane informacje. Odbywało się to z reguły w sposób nieformalny. Mossad odwzajemniał się, choć niezmiernie rzadko. Współpraca obu wywiadów toczyła się według skomplikowanej etykiety i wcale blisko przypominała działania dwóch konkurencyjnych firm, które mają tych samych przeciwników i dzielą ten sam rynek współpracując więc od czasu do czasu, lecz mimo to niezbyt sobie ufają.

Współpraca miała odtąd zmienić charakter. Tak dyktowała sytuacja. Ameryka poświęciła własne wojska do obrony Izraela, biorąc na siebie w ten sposób część odpowiedzialności za bezpieczeństwo tego kraju. Izrael zobowiązywał się tym samym strzec bezpieczeństwa amerykańskich żołnierzy. Tego faktu nie wychwycili jeszcze amerykańscy dziennikarze. Bezpieczeństwa miał zaś pilnować Mossad. Wymiana informacji przybierała odtąd znacznie szerszy charakter. Zdaniem Awięgo, nawet zbyt szeroki. Euforia euforią, nie wolno jednak zapominać, że Ameryka jest ostatnim krajem, któremu można powierzyć tajemnice, zwłaszcza te uzyskane za cenę wysiłku, a nierzadko i krwi oficerów Mossadu. Amerykanie mieli wkrótce przysłać kogoś z kierownictwa swoich służb w celu omówienia wszystkich szczegółów. Oczywiście wyślą Ryana. Awi zaczął sporządzać notatki. Przede wszystkim trzeba uzyskać na temat Ryana jak najwięcej informacji, wtedy będzie można go zażyć i wywalczyć dla strony izraelskiej jak najkorzystniejsze warunki.

Właśnie, Ryan... Czy to prawda, że to on wpadł na cały pomysł? Dobre pytanie, pomyślał Ben Jakob. Rząd amerykański zaprzeczał takiej wersji, lecz nie od dziś wiadomo było, że Ryan nie należy do ulubieńców Fowlera i tej jego Wydry do spraw bezpieczeństwa Elizabeth Elliot. Informacje na

temat tej ostatniej nie pozostawiały cienia wątpliwości. Kiedy Elliot była profesorem nauk politycznych na Bennington, zaprosiła z wykładami na temat Bliskiego Wschodu wysłanników Organizacji Wyzwolenia Palestyny - w imię równowagi poglądów i wolności słowa! Niby nic takiego, oczywiście, Elliot mogła przecież, jak Yanessa Redgrave, tańczyć wymachując nad głową kałasznikowem. W oczach Awięgo jednak "obiektywne" stanowisko Elizabeth Elliot polegało na czuleniu się z członkami organizacji, która zmasakrowała izraelskie dzieci w Maalot i izraelskich sportowców w Monachium. Elliot, jak wielu innych członków władz USA, zapomniała, jakie są uczciwe zasady. Ale Ryan jest inny...

Tak, to rzeczywiście on wymyślił Traktat Watykański. Informatorzy nie mogli się mylić. Fowler i Elliot nigdy nie wpadliby na podobny pomysł. Nie pomieściliby im się w głowach, że jako spoiwa pokoju można użyć religii.

Właśnie, traktat. Awi znów pochylił się nad stronicami i chwycił pióro. Jakim cudem rząd dał się wmanewrować w taką kabałę?

Jakim? We shall overcome... Po prostu. Lawina panicznych depeesz i telefonów od przyjaciół Izraela w Ameryce, nasilające się dezercje, pustka...

Zresztą, czy można było odrzucić propozycję? Co się stało, to się stało, pomyślał Awi. Albo stanie się wkrótce. Ludność kraju zaczynała się już burzyć, następne dni zapowiadały się gorące. Nie trzeba było długo szukać przyczyn tego wzburzenia.

Izrael musiał oto opuścić zachodni brzeg Jordanu. Na okupowanych dotąd ziemiach miały pozostać jedynie oddziały wojskowe, na tej samej zasadzie, na jakiej Amerykanie stacjonują wojska w Niemczech i w Japonii. Cały zachodni brzeg Jordanu miał zostać przekształcony w państwo palestyńskie, zdemilitaryzowane, o granicach gwarantowanych kartą NZ - zapewne w postaci estetycznego, pergaminowego dokumentu. Tyle właśnie warte gwarancje ONZ, dokończył myśl Ben Jakob. Rzeczywistych gwarancji miały Palestyńczykom udzielić Izrael oraz Ameryka. Arabia Saudyjska i stowarzyszone państwa Zatoki Perskiej miały pokryć koszty odbudowy gospodarczej w Palestynie. Wszystkim stronom zagwarantowano dostęp do Jerozolimy. Tam także miała stacjonować lwią część wojsk izraelskich, w dużych, łatwo strzeżonych bazach i z pełnym prawem do patrolowania terenu. Miasto Jerozolima stawało się odtąd terytorium powierniczym Watykanu. Wybrany w powszechnym głosowaniu burmistrz będzie zarządzał miastem... Ciekawe, czy obecny izraelski burmistrz zachowa dotychczasowy fotel? Właściwie dlaczego nie, przecież to rozgarnięty facet. O sprawach religii oraz stosunków międzynarodowych decydować będzie jednak wyznaczona przez Watykan rada trzech duchownych. Bezpieczeństwa na ulicach Jerozolimy miał pilnować szwajcarski pułk zmotoryzowany. Awi miał powody, żeby się na to zżymać, lecz armia szwajcarska stanowiła w swoim czasie model dla izraelskiej, a ponadto szwajcarscy gwardziści mieli ćwiczyć razem z Amerykanami. Amerykański 10 Pułk Kawalerii był autentyczną, elitarną jednostką liniową. Na papierze wszystko się więc zgadzało.

Jak to na papierze.

Mniej zgodna atmosfera panowała na izraelskich ulicach, gdzie rozpoczęły się już wściekłe zamieszki. Izraelczycy poturbowali już dwóch policjantów - rodaków! - i jednego żołnierza. Arabowie starali się nie wyściubiać nosa z domów. Osobna komisja, pod przewodnictwem Saudyjczyka, miała ustalić przynależność poszczególnych kawałków gruntu do poszczególnych arabskich rodzin. Zadanie skutecznie zamąciła dotychczasowa polityka Izraela, który zagarniał ziemię za Jordanem bez względu na narodowość i osobę prawowitego właściciela, ale tym przynajmniej Awi nie musiał się już martwić, i dzięki Bogu. Miał w końcu na imię Abraham, a nie Salomon.

- Czy się uda? - zaniepokoił się nagle generał.

- Nigdy im się nie uda - powtarzał sobie Kati. Wieść o podpisaniu traktatu przyprawiła go o dziesięciogodzinny atak mdłości. Teraz, kiedy przeczytał szczegółowy tekst dokumentu, pragnął już tylko śmierci.

A więc pokój? A mimo to Izrael wciąż będzie istniał? Po co zatem były wszystkie poświęcenia, w imię czego izraelskie bomby i kule odebrały życie setkom i tysiącom bojowników? Więc ich śmierć była nadaremna? Więc Kati na próżno narażał życie? Lepiej było już umrzeć. Komendant przypomniał sobie nagle wszystkie wyrzeczenia. Mógł przecież wybrać normalne życie, mógł się ożenić, doczekać się synów, wybudować dom, zostać doktorem, inżynierem, bankierem albo kupcem. Przy swojej inteligencji udałoby mu się osiągnąć, co tylko uznałby za zajęcie godne siebie - lecz nie, poszedł najtrudniejszą ze ścieżek. Chciał stworzyć od postaw nowy naród, zbudować dom dla swojego ludu, wywalczyć dla ludu zasłużoną godność, poprowadzić lud do walki, na pohybel najeźdźcom.

Chciał, by go pamiętano.

Tak naprawdę tego tylko pożądał. niesprawiedliwość świata widzi każdy, nie każdy jednak jest zdecydowany zapisać się wśród potomności jako ten, który odwrócił bieg historii, choćby na niewielką skalę, na skalę małego narodu...

To nie tak, zreflektował się Kati. Wywalczyć wolność dla małego narodu oznaczało w tym wypadku pokonać mocarzy tego świata, Amerykanów, Zachód, który zaraził swoimi uprzedzeniami starożytną ojczyznę komendanta. Zwycięzców w takiej walce pamięta się na wieki. Gdyby mu się udało, trafiłby do panteonu bohaterów, bo wielkość osobista bierze się z wielkich czynów, a historia pamięta tylko wielkie postaci. Lecz teraz - co takiego zapamięta historia? Kto kogo pokonał, jeśli w ogóle pokonał?

- Niemożliwe, niemożliwe - wciąż powtarzał w myślach komendant. Kiedy pochylał się na powrót nad suchymi, precyzyjnymi sformułowaniami traktatu, żołądek podpowiadał mu jednak, że niemożliwe jest możliwe. Palestyński naród, jego szlachetny, nieustraszony naród miałby usłuchać głosu namawiającego do hańby?

Kati podniósł się powoli, poszedł do łazienki i znów zwymiotował. Kiedy schylał się nad muszlą, przez sekundę przyszło mu do głowy, że to najlepsza odpowiedź na dręczące pytanie. Po pewnym czasie wyprostował się i wypił szklankę wody, spłukując z ust nienawistny smak. Inny ohydny posmak nie dawał się usunąć tak łatwo.

Po drugiej stronie uliczki, w mieszkaniu-melinie, Günther Bock słuchał audycji zagranicznej rozgłośni Deutsche Welle. Mimo wyznawanych poglądów i krainy, w której się znalazł, Bock nadal uważał się przede wszystkim za Niemca. Dokładniej mówiąc, za niemieckiego rewolucjonistę, socjalistę, ale z akcentem na "niemieckiego". W jego prawdziwej ojczyźnie dzień wstał ciepły, bezchmurne niebo zachęcało do spaceru nad Renem, pod rękę z Petrą, lecz przecież...

Następna wiadomość zmroziła go zupełnie. "Dziś po południu znaleziono powieszoną w celi Petrę Hassler-Bock, terrorystkę skazaną za liczne morderstwa. Policja podała, że było to samobójstwo. Petra Hassler-Bock, żona zbiegłego terrorysty Günthera Bocka, po aresztowaniu w Berlinie została skazana na dożywotnie więzienie za brutalne morderstwo, dokonane na Wilhelmie Mansteinie. Samobójczyni miała trzydzieści osiem lat.

Wielu obserwatorów zaskoczyła zwyżkująca forma drużyny Dynamo Dresden, której czołowy napastnik Willi Scheer..."

Nawet w ciemnym pokoju źrenice Bocka rozszerzyły się nagle. Nie mógł patrzeć bez bólu na oświetloną skalę radiodbiornika, spojrzął więc w otwarte okno, na rozgwieżdżone niebo.

Petra - martwa?

Nie łudził się, że to nieprawda, nie starał się sobie wmawiać, że Petra żyje... Tak się musiało stać, w gruncie rzeczy. Policja twierdzi, że samobójstwo... Jakże by inaczej, przecież wszyscy członkowie Baader-Meinhof rzekomo popełnili w więzieniu samobójstwo. Jeden z więźniów, jak podano, strzelił sobie w głowę, trzykrotnie naciskając spust! "Palec kurczowo zaciśnięty na spuście", mrugali do siebie później zachodnioniemieccy policjanci.

Bock wiedział, że Petrę zamordowała policja. Nie ma już pięknej Petry. Nie ma przyjaciela, kochanki, towarzyski. Zamordowana. Sam zdziwił się, że wiadomość aż tak nim wstrząsnęła. Ostatecznie, czego innego mógł się spodziewać? Było jasne, że ją zabiją. Petra kojarzyła się niebezpiecznie z przeszłością, a także z rewolucyjną przyszłością Niemiec. Zabójstwo przypieczętowało więc polityczną stabilność nowych Niemiec, wielkiej Czwartej Rzeszy.

- Petra - szepnął Bock. Zabito nie tylko bojowniczkę, nie tylko rewolucjonistkę. Pamiętał najdrobniejszy rys jej twarzy, każdą krzywiznę dziewczęcego ciała. Pamiętał, jak oczekiwali narodzin swoich córeczek, i uśmiech Petry, kiedy pierwszy raz pokazywała mu Erikę i Ursel. Ich także zabrakło. Dziewczynki zniknęły ze świata Bocka, jak gdyby i one umarły.

Niedobrze w takiej chwili siedzieć samemu. Bock ubrał się i przeszedł na drugą stronę ulicy. Ucieszył się, że Kati jeszcze nie śpi, choć zauważył, że komendant wygląda fatalnie.

- Co się stało, przyjacielu? - zapytał go Kati.

- Petra nie żyje.

Na twarzy komendanta zawitał nieklamany ból. - Jak to?

- Usłyszałem w radio, że znaleźli ją w celi, powieszoną. Powieszoną, za smukłą szyję - jego Petrę. Bock uświadomił to sobie w pełni dopiero teraz. Nie chciał nawet myśleć o scenie w celi, bo widział już w życiu śmierć przez powieszenie. Wraz z Petrą zgładzili niegdyś w ten sposób wroga klasowego i widzieli wyraźnie, jak jego twarz najpierw blednie, później sinieje, a później... Obraz dręczył go po dziś dzień. Nie wolno mu wyobrazić sobie, jak wyglądała Petra... Kati ze smutkiem skłonił przed nim głowę.

- Oby Allah zlitował się nad ukochaną towarzyszką.

Bock z trudem powstrzymał gniewny grymas. Ani on, ani Petra nie uznawali wiary w Boga, lecz modlitwie Katego, choć marnował tylko oddech, przyświecała dobra intencja. Przynajmniej w ten sposób chciał wyrazić współczucie, dobrą wolę i - przyjaźń? Bock bardzo potrzebował wszystkich trzech uczuć, więc zamiast obruszać się na niepotrzebne gesty, wziął głęboki oddech i zmilczał.

- Zły dzień dla naszej sprawy, Ismaelu.

- Gorszy niż ci się wydaje. Ten przeklęty traktat...

- Wiem - przytaknął Bock. - Wiem, wiem.

- Ale co o tym myślisz? - Kati wiedział, że na uczciwości Bocka może polegać w stu procentach. Günther w każdej sprawie potrafił zachować obiektywność.

Niemiec wziął papierosa z biurka komendanta i zapalił go od stołowej zapalniczki. Zamiast usiąść, chodził wciąż po pokoju. Chciał przynajmniej w ten sposób, przez ruch, udowodnić samemu sobie, że żyje. Zmusił też umysł do logicznego rozumowania.

- Trzeba spojrzeć na ten cały traktat w szerszym kontekście. Kiedy Rosjanie zdradzili sprawę światowego socjalizmu, spowodowali tym serię wydarzeń, które miały na celu umożliwić klasie wyzyskiwaczy ostateczne opanowanie większości świata. Sądziłem z początku, że Moskwa zastosowała taką strategię dla sprytnego zmylenia przeciwnika, żeby wyłudzić dla siebie pomoc

gospodarczą. Musisz pamiętać, Ismaelu, że Rosjanie to naród zacofany. Nawet komunizm potrafili sknocić. Komunizm wymyślił oczywiście Niemiec - dodał Bock z ironią. Dyplomatycznie nie wspominał o tym, że Marks był niemieckim Żydem. Po chwili namysłu Bock ciągnął dalej swój wywód chłodnym, analitycznym tonem. W myśli dziękował losowi za sposobność odcięcia się od emocji i przemawiania, jak przystało na rewolucjonistę z dawnych dni.

- Myliłem się. Manewr Moskwy nie był taktycznym ustępstwem, lecz całkowitą zdradą idei. Postępowe siły w ZSRR dały się wymanewrować jeszcze bardziej niż te same siły w NRD. Obecne odprężenie między Rosją i Ameryką jest jak najbardziej autentyczne. Kreml przefrymarczył czystość ideologiczną w zamian za tymczasowy dobrobyt, a w dodatku nie planuje powrotu między kraje obozu socjalistycznego.

Co do Ameryki, zaferowała ona Moskwie pomoc, choć nie za darmo. Zmusiła więc, na przykład, Moskwę do neutralności w sprawie Iraku, do ograniczenia pomocy na rzecz ciebie i twoich arabskich braci, i wreszcie do podpisania się pod planem umacniającym na wieki państwo izraelskie. Jest jasne, że tak zwane "lobby izraelskie" w USA od dłuższego czasu planowało taką sztuczkę. Nowa jakość wypływa właśnie z postawy Moskwy. Naszym przeciwnikiem jest dziś nie sama Ameryka, lecz spisek o światowym zasięgu. Koniec dawnych przyjaźni, Ismaelu. Możemy dziś liczyć wyłącznie na siebie.

- Chcesz powiedzieć, że ponieśliśmy klęskę?

- Nie! - Bock skarcił komendanta wzrokiem. - Nie wolno nam teraz zrezygnować, zwłaszcza że tamci i tak mają już nad nami przewagę. W obecnych warunkach nasza bierność pozwoli im wyłapać nas do reszty. Z Rosjanami dawno nie mieliście równie złych stosunków, a będzie jeszcze gorzej, kiedy Rosjanie zaczną kolaborować z Amerykanami i syjonizmem.

- Kto by w ogóle pomyślał, że Amerykanie i Rosjanie będą mogli...

- Nikt, i o to właśnie chodzi. Nikt tak nie myślał, oprócz autorów spisku: elity rządzącej Ameryki i jej piesków, Narmonowa z resztą lokajstwa. Do spółki okazali się zadziwiająco sprytni. Powinniśmy to byli przewidzieć, ale się nie udało. I wy tutaj, i my w Europie daliśmy się kompletnie zaskoczyć. To był nasz błąd.

Kati chłonał te słowa, powtarzając sobie, że to właśnie chciał usłyszeć. Żołądek podpowiadał mu jednak co innego.

- Czy przychodzi ci do głowy jakikolwiek plan zaradzenia temu wszystkiemu? - zapytał Niemca.

- Mamy do czynienia z zaskakującym przymierzem dwóch dawnych wrogów i ich świty. Trzeba więc rozbić ten sojusz. Historia uczy, że kiedy rozpada się przymierze, jego strony nie ufają sobie dużo silniej niż przed zawiązaniem koalicji. Jak to zrobić? - Bock wzruszył ramionami. - Nie mam pojęcia. Na to potrzeba czasu. Okazja już się znajdzie. Powinna się znaleźć - poprawił się. - Zawsze łatwo o jakąś kość niezgody. Są jeszcze ludzie, którzy widzą świat po naszymu, znam w Niemczech bardzo wielu takich jak ja.

- Powiadasz, że trzeba wbić klin między Amerykę a Rosję? - zapytał Kati, jak zawsze pochłonięty dywagacjami przyjaciela.

- Do tego trzeba dążyć. Gdyby znalazł się sposób, żeby podważyć sojusz, wszystko potoczy się samo, ale ja nie widzę takiego sposobu.

- Może nawet łatwiej go znaleźć niż ci się wydaje, Günther - pomyślał na głos Kati.

- Co mówisz?

- Nic, nic. Porozmawiamy o tym kiedy indziej. Teraz muszę iść spać.

- Wybacz, że cię tak długo męczyłem, Ismaelu.

- Pomścimy Petrę, pamiętaj. Zapłacą za wszystko - pocieszył Günthera Kati.

- Dziękuję. - Dwie minuty później Bock wrócił do swojego pokoju. Radio tym razem nadawało muzykę ludową. Dopiero teraz na Bocka zwała się prawda o tym, co się stało. Nie umiał jednak zdobyć się na łzy. Czuł jedynie wściekłość. Śmierć Petry stanowiła straszliwą osobistą tragedię, lecz zdrada idei bolała Bocka tak samo dotkliwie. Śmierć żony odbierał jako jeszcze jeden symptom tej samej zabójczej choroby. Świat zapłaci mu jeszcze za Petrę, pomyślał. Zapłaci w imię rewolucyjnej sprawiedliwości.

Kati nie mógł zasnąć. Co dziwniejsze, przyczyną był nie tyle ból, ile wyrzuty sumienia. Komendant także pamiętał Petrę Hassler - wówczas nie wyszła jeszcze za Bocka - i jej szczupłe ciało. Myślał teraz o jej zwłokach, kołyszących się na sznurze w niemieckim więzieniu... Jak to się stało, że umarła? Samobójstwo, jak podano w radio? Katiemu nietrudno było w to uwierzyć. Europejczycy byli tacy wąpli... Owszem, sprytni, lecz nieodporni nerwowo. Umieli się sprawdzić w ogniu walki, lecz znacznie gorzej znosili długi marsz. Ich przewaga wynikała z szerszych horyzontów, a te z kolei z kosmopolitycznego środowiska i ogólnie lepszego wykształcenia. Kati i jego ziomkowie woleli skupiać się na problemie, który mieli tuż przed nosem, podczas gdy europejscy towarzysze zbaczali zaraz na ogólne prawdy. Precyzyjność własnego spostrzeżenia zaskoczyła Katiego. Podobnie jak inni Arabowie, Europejczyków uważał zawsze za gorszego gatunku towarzyszy broni, za dyletantów w walce. Był to błąd. Zadanie rewolucjonistów z Europy przedstawiało się zawsze trudniej niż walka Palestyńczyków, z których niezadowolenia i goryczy czerpał siły i rekruta Kati i jemu podobni. Brak większych sukcesów u kolegów z Europy wynikał z obiektywnych warunków ich działalności, nie świadczył zaś o brakach w inteligencji czy oddaniu sprawie.

Bock nadawałby się świetnie na dowódcę, właśnie dlatego, że posiada jasność widzenia.

Ale co teraz? Kati wciąż zadawał sobie to pytanie. Odpowiedź będzie wymagała długiego namysłu. Takich decyzji nie podejmuje się w biegu. Trzeba porozmyślać spokojnie przez kilka dni... Może nawet przez cały tydzień. Zасыpiając, komendant dal sobie tydzień na podjęcie decyzji.

- ... Mam dzisiaj zaszczyt udzielić głosu prezydentowi Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Zgromadzeni członkowie połączonych izb Kongresu wstali jak jeden mąż. Sala posiedzeń Izby Reprezentantów była nabita po brzegi. W pierwszym rzędzie siedzieli członkowie rządu, generałowie Połączonego Sztabu Sił Zbrojnych i sędziowie Sądu Najwyższego, którzy także się podnieśli. Z balkonu spoglądali goście zagraniczni, w tym ambasadorowie Izraela i Arabii Saudyjskiej, pierwszy raz w historii zasiadający ramię w ramię. Kamery telewizji omiały sławną salę, gdzie rodziła się niejednokroć historia i niesława. Zgromadzonym puchły ręce od oklasków.

Prezydent Fowler położył notatki na mównicy i odwrócił się, by uścisnąć prawicę przewodniczącego Izby Reprezentantów, przewodniczącego (pro tempore) Senatu i wiceprezydenta kraju - Rogera Durlinga. Wśród powszechnych emocji mało kto zauważył, że z Durlingiem prezydent przywitał się na samym końcu. Z uśmiechem pomachał teraz wiwatującej widowni. Aplauz wzmógł się jeszcze. Fowler nie oszczędził widzom żadnego gestu ze swego repertuaru. Pomachał jedną ręką, potem oburącz, rozłożył szeroko ramiona, wznosił ręce nad głowę... Z niezmiernym zadowoleniem stwierdził też, że klaszczą deputowani obu partii, nawet jego najbardziej zajadli wrogowie z Izby i z Senatu dziś nie posiadali się z radości. Entuzjazm był autentyczny. Ku ogólnemu zdumieniu Kongres potrafił się jeszcze zdobyć na prawdziwy patriotyzm. Wreszcie prezydent gestem nakazał ciszę. Z wolna i opornie oklaski umilkły.

- Moi amerykańscy rodacy. Przekroczyłem progi tego budynku, by podzielić się z wami wieścią o doniosłych wydarzeniach w Europie i na Bliskim Wschodzie, a także w tym celu, by przed oblicze

Senatu Stanów Zjednoczonych przedłożyć dwa dokumenty, które, jak mniemam, zechcecie zatwierdzić z całym pośpiechem i entuzjazmem.

Rozległy się nowe oklaski.

- Traktaty, które niniejszym przedkładam, zobowiązują Stany Zjednoczone, by w ścisłej współpracy z innymi państwami - z wypróbowanymi przyjaciółmi i z sojusznikami zupełnie nowymi - dopomogły zaprowadzić pokój w krainie, która choć zesłała ludzkości znak pokoju, sama pokoju nie zaznała prawie wcale.

Jeśli prześledzimy koleje ludzkiej historii, jeśli raz jeszcze spojrzymy na ewolucję ducha ludzkiego, ta właśnie, dzisiejsza chwila, której przyświecają postęp i idee, jakie wyprowadziły ludzkość ze stanu barbarzyństwa, jawi się jako kulminacja, jako punkt zwrotny, jako ostatnia karta w kronice ludzkich konfliktów - jako to wszystko, o co modlili się i o czym śnili ludzie dobrej woli na całym świecie. Dziś osiągnęliśmy więc nie tyle początek, ile właśnie koniec: osiągnęliśmy...

Nowe oklaski przerwały wystąpienie. Zirytowało to odrobinę prezydenta, gdyż akurat w tym miejscu nie przewidywał pauzy na aplauz. Uśmiechnął się jednak szeroko i gestem nakazał znów ciszę.

- Osiągnęliśmy punkt, w którym kończą się wojny. Mam honor zakomunikować zgromadzonym, że to Ameryka poprowadziła świat drogą sprawiedliwości i pokoju. - Oklaski. - Nie stało się tak przez przypadek...

- Trochę przegina, nie uważasz? - zapytała Cathy Ryan.

- Troszeczkę - mruknął ze swojego fotela Jack i sięgnął po wino. - Takie są zasady gry, kochanie. W przemówieniach obowiązuje ta sama dramaturgia co w ariach operowych. Musisz się trzymać recepty. Zresztą, mów co chcesz, to naprawdę epokowe, ba, kolosalne wydarzenie. Zamiast wojny wybuchł nam pokój.

- Kiedy jedziesz? - zapytała znów żona.

- Niedługo.

- Triumf ten ma oczywiście swoją cenę, lecz historia zawsze nakłada na swoich twórców trudne obowiązki - prawil Fowler na ekranie telewizora. - Naszym zadaniem jest zagwarantować trwałość pokoju. Musimy zatem wysłać żołnierzy, by stali na straży Izraela. Poprzysięgliśmy bowiem bronić tego małego, walecznego państwa przed zakusami wrogów.

- O jakich wrogów chodzi? - zaciekała się Cathy.

- Chociażby o Syrię, mocno jej nie w smak cały traktat. Podobnie Iran. Jeśli chodzi o Liban... Liban to właściwie złe określenie, takie państwo istnieje już tylko na mapie, choć nadal giną za nie ludzie. Dalej, Libia, wszyscy ci terroryści... Sama widzisz, że jest się kogo obawiać. - Ryan dopił wino i poszedł do kuchni nalać sobie kolejny kieliszek, karcąc się w duchu, że trąbi doskonały rocznik jak wodę. W ten sposób mógł równie dobrze pić płyn do chłodnicy. Z ekranu przywitały go słowa Fowlera:

- Nie obejdzie się także bez nakładów pieniężnych.

- Chcą znowu podnieść podatki - zdenerwowała się Cathy.

- A czego tyś się spodziewała? - Ryan oszczędził żonie informacji, że pięćdziesiąt milionów wśród nowych nakładów zawdzięcza osobiście mężowi. Miliard tu, miliard tam...

- Myślisz, że to coś pomoże?

- Powinno. Przekonamy się zresztą, czy ci wszyscy przywódcy religijni sami wierzą w to, co głoszą, czy to zwyczajni picerzy. Kazaliśmy im wypić całe piwo, które nawarzyli. Z tym, że chodzi nie o piwo, lecz o zasady - dodał Jack po krótkim zastanowieniu. - Albo, albo. Albo okaże się, że wszystko toczy się zgodnie z przykazaniami, albo kapłani wyjdą na szarlatanów.

- A jeżeli...?

- Osobiście nie uważam ich za szarlatanów. Dam głowę, że postąpią zgodnie z zasadami, które głoszą całe życie. Nie mają wyjścia.

- Powiedz mi jeszcze, że już niedługo przestaniesz mieć w pracy cokolwiek do roboty.

Jack usłyszał w tym głosie więcej nadziei niż ironii.

- Tego nie byłbym taki pewny.

Po skończonym przemówieniu nastąpiły komentarze. Głosy przeciwne porozumieniu reprezentował rabin Salomon Mendelew, sędziwy nowojorczyk, który słynął jako zaciekły - powiadano nawet "wściekły" - zwolennik Izraela. Co dziwniejsze, sam nigdy nawet tam nie był. Jack nie wiedział, dlaczego tak się działo, i postanowił nazajutrz to na wszelki wypadek sprawdzić. Mendelew wraz ze swym otoczeniem stanowił niewielką, lecz wpływową część izraelskiej grupy nacisku na Kongres. Jako nieomalże jedyny poparł on - "wyraził zrozumienie" - dla masakry policyjnej na Wzgórzu Mori. Jak przystało na rabina, Mendelew miał brodę i czarną jarmułkę, a ubrany był w mocno sfatygowany garnitur.

- Mamy do czynienia ze zdradą Izraela - brzmiała odpowiedź rebe Mendelewa na pierwsze pytanie. Ryanów zaskoczył jego rzeczowy, spokojny ton. - Zmuszając Izrael, by wyrzekł się swojej prawowitej własności, Stany Zjednoczone łamią historyczne prawo ludu izraelskiego do ziemi swoich przodków i narażają na szwank bezpieczeństwo całego kraju. Obywateli Izraela znów będzie się pod groźbą karabinu wyrzucać z ich domów, tak samo jak pięćdziesiąt lat temu - dokończył złowroźnie rabin.

- Ejże, chwileczkę! - sprzeciwił się głośno inny z gości programu.

- Rany boskie, jakie to nerwusy - zauważył Jack.

- W latach zagłady straciłem obydwójce rodziców - Mendelew powiedział to wciąż spokojnym głosem. - Państwo Izrael powstało właśnie po to, by Żydzi znaleźli dla siebie spokojne miejsce na ziemi.

- Przecież prezydent obiecał wysłać amerykańskie wojsko...

- Do Wietnamu także wysyłaliśmy wojsko - sprzeciwił się Mendelew. - Obiecywaliśmy cuda, podpisaliśmy wówczas nawet specjalny traktat. Bezpieczeństwo może Izraelowi zagwarantować jedynie własna armia, i to w granicach możliwych do obrony. Ameryka krzykiem zmusiła ten kraj, by zgodził się na wszystkie warunki. Fowler odciął dostawy sprzętu wojskowego, pewnie po to, aby podkreślić "wagę zagadnienia". W Izraelu rozumiano, co chciał powiedzieć: zgódźcie się, bo zostawimy was na pastwę losu. Cóż miał począć Izrael? Mogę udowodnić, że tak właśnie było. Mogę złożyć odpowiednie zeznanie przed senacką komisją stosunków międzynarodowych.

- Oho - zdziwił się nieprzyjemnie Jack.

- Wiem na przykład, że Scott Adler, zastępca sekretarza stanu, osobiście wygrażał Izraelowi, podczas gdy John Ryan, wicedyrektor CIA, składał swoją ofertę Saudyjczykom, obiecując wziąć Izrael za twarz. To oczywiście okropne, lecz jeszcze gorszy okazał się Adler, który przecież jako Żyd... - Mendelew smętnie pokręcił głową.

- Widać, że facet ma pierwszorzędne źródła.

- Czy to wszystko prawda, Jack? - zapytała Cathy.

- Niezupełnie prawda, poza tym nasze misje miały charakter ściśle poufny. Nikt nie miał prawa wiedzieć, że znajdują się poza krajem.

- Przecież ja też wiedziałam, że cię nie ma...

- Ale nie wiedziałaś, gdzie jestem. Nieważne. Mendelew może sobie krzyczeć, ale niczego już nie zmieni.

Następnego dnia rozpoczęły się demonstracje. Wszystko miało się rozstrzygnąć na ulicach. Przeciwnicy traktatu zdecydowali się na rozpacziwą próbę powrotu do starego porządku. Na czele manifestacji stanęli dwaj Żydzi rosyjscy, którzy dopiero niedawno otrzymali zgodę na opuszczenie tak ich nienawidzącego imperium. Kiedy obaj wygnańcy przybyli do swojego prawdziwego domu, pozwolono im osiedlić się na zachodnim brzegu Jordanu, czyli na ziemiach siłą odebranych Jordanii w wyniku wojny sześciodniowej z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku. Domki z prefabrykatów, ciasne jak na amerykańskie przyzwyczajenia lecz w oczach przybyszów z Rosji niewyobrażalnie luksusowe, stanęły na jednym z setek skalistych wzgórz regionu. Okolica wydawała się dziwna i obca, ale to właśnie ona była domem. Domu zaś broni się przed intruzami. Syn Anatolija, który po przybyciu zmienił imię na Natan, został zawodowym oficerem w wojsku izraelskim, podobnie jak córka Dawida, drugiego z Rosjan. Jeszcze nie tak dawno przybycie do Izraela równało się w ich oczach zbawieniu. Teraz nagle kazano im się wynosić. Znowu? Dostyc już w życiu wycierpieli podobnych rozkazów! Przebrała się miara.

Cały ich blok mieszkalny zajęty był przez uchodźców z Rosji, dzięki czemu Anatolij i Dawid szybko zorganizowali kolektyw i rozpoczęli przygotowania. Udało im się znaleźć ortodoksyjnego rabina, którego mimo wszystko brakowało wśród członków ich małej, lecz różnorodnej społeczności, i pod jego duchową opieką, w huraganie flag i ze świętą Torą, rozpoczęli marsz na Kneset. Nawet w tak małym kraju marsz zabrał sporo czasu, lecz z powodu swego hasła mógł liczyć na natychmiastowe zainteresowanie prasy i telewizji. W chwili, kiedy spoceni i utrudzeni manifestanci dotarli pod gmach parlamentu, cały świat znał już cel ich wędrówki.

Izraelski Kneset trudno zaliczyć do najbardziej statecznych zgromadzeń narodowych. Deputowani płci obojga wywodzą się z najrozmaitszych partii, od skrajnej prawicy do skrajnej lewicy, przy czym umiarkowany środek liczy sobie najmniej zwolenników. Dlatego nie należą tu do rzadkości podniesione głosy, wymachiwanie pięściami czy walenie nimi w twardą powierzchnię, wszystko to pod wzrokiem Teodora Herzla z czarno-białego portretu, który przedstawia austriackiego twórcę dziewiętnastowiecznej idei syjonizmu, idei stworzenia bezpiecznego domu dla prześladowanego, udręczonego narodu. Zagraniczni świadkowie tych zajadłych bojów nie mogą wyjść z podziwu, jakim cudem w kraju, w którym prawie każdy, niezależnie od płci, jest rezerwistą i trzyma w szafie pistolet maszynowy, członkowie Knesetu wychodzą z życiem z zacieklej debaty, zamiast zmienić się w stertę dymiących szczątków. Można się tylko domyślać, co powiedziałby o tym wszystkim Teodor Herzl. Kłótnie parlamentarne były plagą dla Izraela, którego rząd kłócił się wciąż między sobą na temat polityki i religii. Prawie każda, najmniejsza nawet sekta, zamieszkująca dany obszar, miała z tego tytułu swojego posła do parlamentu. Związek religii z państwem we Francji dopomagał jakże często skłóconemu Zgromadzeniu Narodowemu zachować pozory jedności, lecz w Izraelu już od pokolenia pozbawiał kraj stabilnych rządów i konsekwentnej polityki międzynarodowej.

Manifestanci, do których dołączyło wielu innych, przybyli pod parlament na godzinę przed rozpoczęciem debaty na temat obu traktatów. Upadek rządu był całkiem prawdopodobny - ba, zupełnie możliwy. Przybyła grupa zawczasu rozesłała swoich ludzi do wszystkich członków Knesetu, do których znalazła dostęp. Ci spośród deputowanych, którzy także sprzeciwiali się porozumieniu, wyszli na plac przed parlamentem i jeden po drugim wygłaszali płomienne przemówienia, potępiając traktaty.

- Bardzo mi się to nie podoba - zauważyła Liz Elliot, nie odrywając wzroku od telewizora w swoim gabinecie. Polityczna ruchawka w Izraelu okazała się znacznie groźniejsza, niż ktokolwiek

przypuszczał. Właśnie dlatego Elliot wezwała Ryana, który miał na jej użytek dokonać oceny sytuacji.

- Na to jedno akurat nic nie możemy poradzić - zgodził się zastępca dyrektora CIA.

- Widzę, że mam w panu wielkie oparcie, Ryan.

Na biurku Elizabeth Elliot spoczywały wyniki badań izraelskiej opinii publicznej, dokonane przez najbardziej wiarygodny z tamtejszych instytutów na próbce pięciu tysięcy osób. Okazało się, że trzydzieści osiem procent opowiada się za ratyfikacją traktatu, czterdzieści jeden procent jest przeciw, natomiast dwadzieścia jeden procent nie może się zdecydować. Proporcje te odpowiadały mniej więcej rozkładowi głosów w Knesecie, gdzie prawica nieznacznie górowała liczbą mandatów nad lewicą, natomiast centrum pozostawało wiecznie rozbite na grupki, które usiłowały korzystnie dobić targu to z jednym, to z drugim skrzydłem i w ten sposób wzmocnić swą polityczną rolę.

- Scott Adler omawiał ten problem ładnych parę tygodni temu. Wiedzieliśmy z góry, że izraelski rząd może się nie utrzymać. Na litość boską, proszę mi pokazać jeden tydzień w ciągu ostatnich dwudziestu lat, kiedy izraelski rząd nie groził rozpadnięciem.

- Ale jeżeli ich premierowi nie uda się...

- Wtedy pozostaje nam plan B. Chciała pani, zdaje się, naciskać na Tel Awiw? Będzie dobra okazja - obiecał Ryan, który w głębi ducha obawiał się konsekwencji takiego obrotu spraw. Planując przedsięwzięcie, nie przemyśleli do końca, co zrobią, jeśli Kneset stanie okoniem, lecz nawet najgłębsza refleksja niewiele mogła im pomóc. Od dwudziestu lat rząd Izraela mógł służyć jako pokazowy model anarchii w działaniu. Dlatego podczas prac nad traktatem założono po prostu z góry, że kiedy porozumienie stanie się faktem dokonany, Kneset ratyfikuje dokument Ryana nie pytano zresztą o zdanie w tej kwestii, choć nawet dziś uważał swoją opinię za wcale trafną.

- Sekretarz polityczny ambasady powiadomił nas, że języczkiem u wagi może okazać się to małe stronnictwo z naszym przyjacielem Mendelewem na czele - powiedziała Liz Elliot siląc się na spokojny ton.

- Może i tak - zgodził się łaskawie Jack Ryan.

- To przecież absurdalne! - wrzasnęła Elliot. - Ten stary piernik sam nawet nosa nie wyściubił poza Amerykę...

- Religia mu zabrania. Specjalnie sprawdziłem. Mendelew nie wróci do Izraela, dopóki nie zjawi się tam Mesjasz.

- Jezus! - wykrzyknęła w złości Liz Elliot

- Onże sam. Trafiła pani - zażartował Ryan, lecz Liz zamiast się roześmiać, posłała mu złe spojrzenie. Zmienił więc ton: - Trudno, tak się składa, że człowiek jest wierzący. Możemy się z tego śmiać, lecz konstytucja nakazuje nam tolerować i szanować jego wierzenia. Pamięta pani jeszcze zasady, na których zbudowano Amerykę?

Liz Elliot pogroziła pięścią postaciom na ekranie.

- Ten stuknięty rabin wpięprza się w nie swoje sprawy! Czy naprawdę nic się nie da z nim zrobić?

- Na przykład co? - zapytał Jack niezbyt głośno. Okazało się, że przez Liz Elliot przemawia nie tylko panika.

- A skąd ja mam wiedzieć? No, coś... - Elliot urwała, zostawiając inicjatywę w rękach rozmówcy.

Ryan nachylił się ku niej i odczekał moment chcąc by Liz Elliot wyraźnie usłyszała to, co powie.

- Pani Elliot historia zna już takie słowa, a zanotowała je w postaci zdania: "Niktze mnie więc nie uwolni od uporczywego kapłana?" Dlatego, jeśli chce mi pani coś zaproponować, proszę to

powiedzieć głośno i wyraźnie, dobrze? Czy proponuje mi pani, żebyśmy wtręcili się w pracę parlamentu w zaprzyjaźnionym, demokratycznym kraju, czy też żebyśmy dokonali nielegalnej akcji na terenie Stanów Zjednoczonych? - zapadła chwilowa cisza, podczas której Liz Elliot wbiła oczy w Ryana. - Nie doczeka się pani ani jednego, ani drugiego, doktor Elliot. Pozwolimy, by Izrael sam podjął decyzję. Nawet jeśli przyszło pani do głowy proponować mi, żebym ustawił tamtejszą demokrację. Jeśli wyjdzie pani z takim pomysłem, prezydent zobaczy na biurku moją rezygnację za piętnaście minut, akurat tyle, ile mi zabierze jazda do Białego Domu. Jeżeli roi sobie pani na głos, że warto by dać w czapę temu rabinowi z Nowego Jorku, proszę pamiętać, że takie rojenia podpadają co najmniej pod dwa paragrafy o spisku. Moim obowiązkiem jako obywatela i członka rządu, choć mniejsza z tym ostatnim, jest poinformować odpowiednie służby o domniemanych naruszeniach obowiązującego prawa.

Odpowiedzią na recytację Ryana było mordercze spojrzenie Liz Elliot.

- Że co proszę?! Do cholery, czy kiedykolwiek mówiłam...

- Zdaje się, że poddała się pani najniebezpieczniejszej z pułapek władzy. Zaczęło się pani wydawać, że pani pragnienie naprawy świata jest ważniejsze od zasad, na których teoretycznie opiera się nasz rząd. Nic nie poradzę na to, że nachodzą panią takie fantazje, ale moja agencja nie będzie w tym maczać palców, przynajmniej dopóki tam pracuję!

Zabrzmiało to niczym wykład, lecz w odczuciu Ryana właśnie dobry wykład przydałby się Liz Elliot. Przez takie pomysły zdarzają się rozmaite nieszczęścia.

- Nie powiedziałaś przecież, że... Gówno prawda.

- W porządku, nic takiego pani nie mówiła, nie ma sprawy, pomyliłem się. Przepraszam najmocniej. Pozostawmy Izraelowi decyzję co do ratyfikacji traktatu. Bądź co bądź istnieje tam demokracja. Niech sami decydują, mają do tego prawo. My znów mamy prawo popchnąć Izrael we właściwą stronę, na przykład oznajmiając im, że wysokość naszej pomocy gospodarczej zależy od ich zgody na porozumienie, ale nie wolno nam się wtrącać bezpośrednio w to, co robi ich rząd. Nawet rządowi Stanów Zjednoczonych pewnych rzeczy po prostu nie wolno.

Na twarzy doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego zawitał wymuszony uśmiech.

- Doktorze Ryan, dziękuję za przedstawienie poglądów na temat prawidłowego funkcjonowania rządu. Jest pan wolny. - Nie, to ja pani dziękuję, doktor Elliot. Tak na marginesie, w mojej ocenie powinniśmy zostawić wszystko swojemu biegowi. Cokolwiek nam pokazują w telewizji, Izrael ratyfikuje traktat

- Dlaczegoż to? - prawie syknęła Liz Elliot.

- Dlatego, że postanowienia traktatów działają na rzecz Izraela, jakkolwiek by na to patrzeć. Ludność zrozumie to za kilka dni, kiedy przetrawi wszystkie informacje i zapozna z tym poglądem swoich posłów. Izrael jest w końcu państwem demokracji, a każda demokracja z reguły wybiera to, co dla niej dobre. Nauki historii, i tak dalej. Świat zaakceptował demokrację, ponieważ tylko ten system się sprawdza. Kiedy panikujemy i puszczamy wszystko na żywioł, możemy tylko popsuć sprawę. Lepiej zostawić wszystko własnemu biegowi, wtedy być może się uda.

- Być może?

- W życiu nie ma pewników, są tylko prawdopodobieństwa - rzucił Ryan tytułem odpowiedzi, dziwiąc się, że musi tłumaczyć takie oczywistości. - W tym wypadku nasza ingerencja rokuje mniejsze szansę powodzenia niż nasza bezczynność. Bezczynność to bardzo często najwłaściwsza postawa. Dokładnie jak w tym wypadku. Zostawmy kłopot Izraelowi, a wszystko potoczy się jak trzeba. Tak uważam.

- Dziękuję za ocenę sytuacji. -Liz Elliot pokazała mu plecy.

- Zawsze do usług.

Dopiero kiedy za Ryanem zamknęły się drzwi, Liz Elliot odwróciła się w tamtą stronę i wycedziła:

- Ty nadęty kutasie, zapłacisz mi za to!

Ryan znalazł swój samochód w zachodniej alejce. W myślach wciąż powtarzał sobie słowa: Przesadziłeś, kolego.

- Nie, nie przesadziłem. Elliot naprawdę zaczynała coś knuć. Jedyne sposobem to zatrzęsnać jej drzwi przed nosem.

Myśl o spisku była najniebezpieczniejszą rzeczą dla członka rządu. Ryan znał już podobne przypadki. Waszyngton bywał widownią okropnych historii. Pełni ideałów politycy przybywali do stolicy, gdzie w mgnieniu oka szlachetne słowa ulatniały się bez śladu, może za sprawą gorącego, wilgotnego klimatu. Niektórzy nazywali tę przypadłość uczeniem się od systemu. Ryanowi problem przypominał kwestie ochrony środowiska. Trujące powietrze Waszyngtonu przeżerało ludzkie dusze.

- A ty, Jack, skąd się wziąłeś, sprawiedliwy w Sodomie?

Ryan zastanawiał się nad odpowiedzią, nie zważając na minę Clarka w lusterku, kiedy jechali ku rzece. Dotychczas Jacka odróżniał od innych członków aparatu rządowego fakt, że nigdy nie poddał się takiej pokusie, nigdy jeszcze... A może? Sam przypominał sobie kilka starych spraw, które mógł rozegrać inaczej. I kilka innych spraw, które się potoczyły nie po jego myśli.

Jesteś taki sam, jak oni wszyscy. Łudzisz się tylko.

Ale przynajmniej, dopóki nie unikam takich pytań, nic mi nie grozi.

Pewnie, pewnie.

- No, więc jak?

- No, więc mogę działać to i tamto - odpowiedział Hosni. - Ale nie sam. Potrzebna mi pomoc.

- Co będzie z bezpieczeństwem operacji?

- Istotna kwestia. Muszę najpierw dokładnie rozważyć, jakie są nasze możliwości. Potem będę już dokładnie wiedział, czego potrzebuję. Już dziś mogę powiedzieć, że w niektórych sprawach będzie mi potrzebna pomoc.

- Na przykład w jakich? - padło pytanie komendanta.

- Chodzi o materiały wybuchowe.

- Przecież to ty jesteś ekspertem od tych spraw - sprzeciwił się Kati.

- Komendancie, zadanie wymaga precyzji, jakiej nigdyśmy się nie dopracowali. Nie możemy, na przykład, użyć jako ładunku "plastiku" właśnie dlatego, że ta grupa materiałów jest plastyczna, czyli zmienia kształt. Kostki materiału wybuchowego, jakich potrzebuję, muszą być twarde jak skała i dopasowane co do tysięcznej części milimetra. Kształt trzeba wyliczyć matematycznie. Potrafię niby dokonać wszystkich obliczeń teoretycznych, ale zabierze mi to miesiące. Wolałbym poświęcić ten czas na pracę nad materiałem rozszczepialnym. Poza tym...

- Tak?

- Pomyślałem, że mogę ulepszyć tę bombę, komendancie.

- Jak to, ulepszyć?

- Jeżeli się nie pomyliłem w ocenie, taki ładunek, jak nasz, można z bomby przerobić na zapalnik.

- Zapalnik do czego? - zdziwił się Kati.

- Do bomby termojądrowej, Ismaelu. Do bomby wodorowej. Siłę wybuchu będzie można

pomnożyć dziesięć, albo i sto razy. Możemy zniszczyć cały Izrael, a już na pewno większość jego terytorium.

Komendant przez chwilę oddychał głęboko, rozważając nowe informacje. Kiedy się odezwał, jego głos był cichy i łagodny.

- Mówisz, że potrzebna ci pomoc. Gdzie ją najłatwiej znaleźć?

- Günther ma w Niemczech bardzo cenne kontakty. O ile można mu zaufać - dodał Hosni.

- Myślałem o tym. Güntherowi można zaufać. - Kati wyjaśnił przyczynę.

- Skąd wiadomo, że nie zmyślił tej historii? - zapytał Hosni. - Nie wierzę w przypadki, ty też nie, komendancie.

- Sam widziałem w niemieckiej gazecie fotografię. Wyglądała na autentyk.

Rzeczywiście, niemiecka popołudniówka zdołała zamieścić plastyczne, czarno-białe zdjęcie, które w całej okazałości przedstawiało efekty śmierci przez powieszenie. Fakt, że Petra była naga od pasa w górę zapewnił zdjęciu miejsce na pierwszej stronie. Taki kres żywota dla terrorystki-morderczynie musiał się spodobać niemieckim mężczyznom, pomnym faktu, że jednego z nich ta sama kobieta wykastrowała jak wieprza.

- Chodzi po prostu o to, że musimy jak najbardziej ograniczyć liczbę tych, którzy o czymkolwiek wiedzą. Przepraszam, że się wtrącam, Ismaelu.

- Wiem, ale nie obejdziemy się bez pomocy. Wszystko rozumiem, masz rację - Kati uśmiechnął się. - Pora jednak przedyskutować plan z naszym przyjacielem. Proponujesz, żeby odpalić bombę w Izraelu?

- No, a gdzie? Nie moja rzecz, w którym miejscu ustali się wybuch, ale myślałem... - Nie zastanawiałem się nad tą sprawą. Po kolei, Ibrahimie, po kolei. Kiedy wyruszasz do Izraela?

- Chciałem w przyszłym tygodniu, albo coś koło tego.

- Lepiej zaczekajmy, aż ścichnie to zamieszanie wokół traktatu - zaproponował Kati. - Zajmij się książkami. W tej sprawie nie wolno się spieszyć. Musisz najpierw wiedzieć dokładnie, czego ci będzie trzeba, a wtedy postaramy się zgromadzić wszystko w jakimś bardzo bezpiecznym miejscu.

Wydawało się, że trwa to całą wieczność, lecz w polityce wieczność trwa od pięciu minut najwyżej do pięciu lat. W tym wypadku rozstrzygnięcie przyszło już po trzech dniach. Przed Knesetem przedefilowało nowych pięćdziesiąt tysięcy demonstrantów, prowadzonych przez weteranów wojen za Izrael. Przybysze manifestowali poparcie dla traktatów. Oba tłumy wykrzykiwały obelgi i wygrażały sobie pięściami, lecz obyło się bez przemocy, gdyż policja zdołała jakoś odseparować od siebie obie rozwrzeszczane grupy. Nie mogąc użyć pięści, oba pochody obrzucały się obelgami.

Rząd ponownie spotkał się na posiedzeniu, udając, że ignoruje nie milknącą wrzawę za oknami. Podczas dyskusji minister obrony zachowywał wymowne milczenie. Kiedy zapytano go o zdanie, powiedział tylko, że dodatkowa broń przyznana przez Amerykanów bardzo się przyda. Chodziło o czterdzieści osiem sztuk myśliwców bombardujących F-16 i partię bojowych wozów piechoty M-2/3 Bradley, pierwszą jaką widziano w Izraelu, a ponadto o rakiety przeciwczołgowe Hellfire i rewolucyjną licencję na nową armatę przeciwpancerną zaprojektowaną w Ameryce. Amerykanie mieli pokryć większość kosztów budowy wojskowego ośrodka szkoleniowego na pustyni Negew, podobnego do ich własnego Narodowego Centrum Szkolenia w Fort Irwin w Kalifornii. W nowym ośrodku Dziesiąty Pułk Kawalerii miał nieustannie ćwiczyć jako "npl" czyli nieprzyjaciel jednostek izraelskich. Minister obrony doskonale wiedział, że efektem ćwiczeń w kalifornijskim ośrodku było stworzenie najdoskonalszej armii od czasów drugiej wojny światowej. Z nowym sprzętem i na

nowym poligonie zdolność bojowa jednostek izraelskich wzrosłaby, w jego ocenie, o pięćdziesiąt procent. Zdaniem ministra, dodatkowy czynnik stanowiły amerykańskie dywizjony myśliwców F-16 i pułk pancerny, które, jak przewidywał tajny protokół do traktatu o współpracy wojskowej, w razie potrzeby miały przejść pod bezpośrednie dowództwo izraelskie. Minister spraw zagranicznych dodał, że tak zażyczył sobie Izrael, choć nie miało to absolutnie precedensu w historii amerykańskich sił zbrojnych.

- Koniec końców, czy pod względem bezpieczeństwa tracimy czy zyskujemy na tych traktatach?

- zapytał premier.

- Na dobrą sprawę zyskujemy - przyznał minister obrony.

- Czy powiesz to samo głośno?

Minister obrony zastanawiał się przez chwilę, wpatrując się uporczywie w mężczyznę przy końcu stołu. W oczach miał zaś pytanie: "Czy, kiedy przyjdzie pora, poprosz moją kandydaturę na premiera?"

Premier nieznacznie skinął głową.

- Dobrze, przemówię do tych demonstrantów.

Przemówienie nie uspokoiło do końca nastrojów, lecz wystarczyło, by skłonić do opuszczenia placu jedną trzecią przeciwników traktatu. Wypadki te pilnie obserwowało parlamentarne centrum, które w zgodzie z własnym sumieniem podjęło następnie decyzję. Traktaty ratyfikowano nieznaczną przewagą głosów. Zanim więc jeszcze strona amerykańska zakończyła pracę nad dokumentami w senackich komisjach sił zbrojnych i spraw zagranicznych, oba traktaty zaczęły wchodzić w życie.

Żołnierze z założenia nie przypominali ludzi. Przepisowy wzrost członków gwardii szwajcarskiej wynosił od stu osiemdziesięciu pięciu centymetrów wzwyż, również ani jeden gwardzista nie ważył mniej niż osiemdziesiąt kilo (“sto osiemdziesiąt funtów”, powtarzali między sobą z podziwem amerykańscy turyści). Sprawność fizyczna gwardzistów rzucała się w oczy. Na terenie ich koszar, które jeszcze przed dwoma tygodniami były izraelskim osiedlem, znajdowała się sala gimnastyczna z mnóstwem najnowszego sprzętu. Żołnierzy “zachęcano” usilnie do ćwiczeń z ciężarami, od czego ich napakowane mięśniami ciała napinały się do ostateczności. Ręce szwajcarskich blondasów pod zawiniętymi rękawami koszul były grubsze niż niejedna męska łydka i opalone na brązowo. Niebieskie z reguły oczy oficerów spoglądały zza ciemnych okularów, podczas gdy zwykli żołnierze chronili wzrok za przyłbicami z leksanu.

Mundury gwardzistów pokrywał maskujący wzór stosowany do walk w mieście, przeplatanka czarnych, białych i szarych plam, który pozwalał żołnierzom wtopić się bez reszty między kamienie i bielony stiuk Jerozolimy. Kamuflaż był niesamowicie skuteczny, zwłaszcza w nocy. Żołnierskie buty pokrywał ten sam wzór, Szwajcarzy nie musieli więc pucować ich jak na defiladę. Również hełmy z kevlaru okryte były maskującymi pokrowcami o wzorze identycznym jak widniejący na amerykańskich kamizelkach kuloodpornych, które jeszcze bardziej przydawały gwardzistom masy. Na kamizelki gwardziści zakładali uprząż z czterema granatami odłamkowymi i dwoma dymnymi oraz litrową manierką wody, pakietem opatrunkowym i ładownicami. Obciążenie pojedynczego żołnierza wynosiło więc łącznie dobre dwanaście kilogramów.

Gwardziści patrolowali miasto w pięcioosobowych grupach, składających się z podoficera i czterech szeregowców. Na każdy sektor miasta przypadało dwanaście takich grup. Żołnierze dźwigali karabinki automatyczne SIG, spośród których dwa na pięć miały pod lufą umocowany granatnik. Podoficer był uzbrojony prócz tego w pistolet, każda piątka miała też dwie radiostacje. Patrolujące grupy komunikowały się bez przerwy i wciąż uczyły się osłaniać wzajemnie w miejskim terenie.

Kiedy połowa grup patrolowych przemierzała ulice piechotą, druga połowa krążyła powoli w amerykańskich lekkich transporterach HMMWV. Każdy z “homarów”, opancerzonych łazików na grubych oponach, uzbrojony był w karabin maszynowy na obrotowym trójnogu, choć niektóre wozy miały zamiast nich sześciolufowe działa małego kalibru i kevlarowe osłony, dodatkowo chroniące załogę przed pociskami. Na dźwięk potężnych syren, ruch uliczny rozstępował się, przepuszczając patrol.

Obok stanowiska dowodzenia czekały w pogotowiu inne samochody pancerne, angielskie, które jednak ledwo się mogły poruszać w wąskich zaułkach zabytkowej Jerozolimy. W centrali czuwał też zawsze rezerwowy pluton pod dowództwem kapitana, służący jako ruchomy odwód. W skład uzbrojenia żołnierzy odwodu wchodziły także ciężkie wyrzutnie raketowe Carl Gustaw M-2 produkcji szwedzkiej, w sam raz odpowiednie do tego, żeby wywalić dziurę w budynku o dowolnych rozmiarach. Pluton odwodu mógł z kolei liczyć na wsparcie drużyny saperskiej z obfitym zapasem skutecznych materiałów wybuchowych. “Minerzy” ostentacyjnie ćwiczyli się w wysadzaniu

budynków na terenie opuszczanych przez Izrael osiedli na zachodnim brzegu. Opustoszałe osiedla służyły jako poligon wszystkim szwajcarskim pododdziałom, a gapie mogli z odległości kilkuset metrów obserwować tę coraz popularniejszą atrakcję turystyczną, jaką były ćwiczenia. Arabscy kupcy zachwalali już koszulki z wizerunkiem Szwajcarów i napisami typu MARSJANIE i ROBOARMIA. Zmysł handlowy i tym razem nie zawiódł Arabów.

Szwajcarscy gwardziści nie uśmiechali się, nie odpowiadali też na pytania przechodniów, co zresztą przychodziło im bez trudu. Dziennikarzom zezwolono jedynie na spotkanie z dowódcą kontyngentu pułkownikiem Jacquesem Schwindlerem i na okazjonalne rozmowy z niższymi szarżami na terenie koszar czy poligonów, lecz w żadnym wypadku nie na ulicy. Kontakty z miejscową ludnością okazywały się czasem nieuniknione, żołnierze wyuczyli się więc niezbędnych zwrotów arabskich, a z resztą przechodniów dogadywali się po angielsku. Czasami dawali nawet mandaty za wykroczenia drogowe, choć leżało to zasadniczo w gestii policji municypalnej, którą dopiero formowano przy udziale specjalistów z rozwiązywanej policji izraelskiej. Bardzo rzadko szwajcarski gwardzista musiał rozdzielać uczestników bójki ulicznej. Najczęściej na sam widok pięcioosobowego patrolu mieszkańcy milkli i stawali się dziwnie posłuszni. Patrole miały na celu zastraszyć burzycieli porządku. Bardzo prędko Jerozolima przekonała się, jak skutecznie wywiązują się gwardziści z tego zadania. Z drugiej strony ich skuteczność zależała od czegoś więcej niż tylko siły fizycznej.

Na prawym rękawie każdego gwardzisty widniała naszywka w kształcie tarczy. Na środku tarczy znajdował się biały krzyż w czerwonym polu, znak szwajcarskiego rodowodu gwardzistów. Wokół znaku widniał islamski półksiężyc z gwiazdą, sześcioramienna gwiazda Dawida i krucyfiks. Istniały trzy wersje naszywki, tak aby emblematy każdej z trzech religii miały równą szansę znaleźć się u wierzchołka. Wszyscy mieszkańcy wiedzieli, że żołnierze losują swoje naszywki, których symbolika miała oznaczać, że szwajcarska flaga w ten sam sposób chroni wszystkie trzy religie.

Żołnierze salutowali także duchownym, niezależnie od ich wyznania. Pułkownik Schwindler co dzień spotykał również z "trojką" kapłanów rządzących świętym miastem. Kapłani mieli wyłączne prawo decyzji, lecz Schwindler okazał się człowiekiem na tyle rozgarniętym i bywałym, że zarówno imam, jak też rabin i patriarcha, chętnie dawali posłuch jego propozycjom. Schwindler podróżował także często do stolic Bliskiego Wschodu. Szwajcaria dobrze wybrała kandydata, skądinąd najlepszego pułkownika w całej armii. Schwindler słynął z uczciwości i dbałości o uczciwą grę, można więc mu było tylko zazdrościć nowej sławy. Na ścianie jego kancelarii wisiał już pozłaczany miecz, dar od króla Arabii Saudyjskiej. Na terenie koszar gwardii skubał słano drugi podarunek, w postaci ogiera pełnej krwi. Niestety, Schwindler nie umiał jeździć konno.

"Trojka" duchownych sama decydowała, jak rządzić miastem, a skuteczność ich wspólnych decyzji przerosła najśmielsze oczekiwania. Kapłanów powołano do nowej godności, kierując się ich mocną wiarą i wiedzą teologiczną. Nic dziwnego, że każdy z nich miał czym zaimponować pozostałej dwójce. Kapłani ustalili, że co tydzień jeden z nich będzie odprawiał publiczne nabożeństwo według własnego obrządku, a dwaj pozostali będą je obserwować, choć nie uczestniczyć w nim, wspólnie dając dowód szacunku i tolerancji. Wspólne nabożeństwa były pomysłem imama i nieoczekiwanie okazały się najskuteczniejszym sposobem łagodzenia sporów w łonie całej trójki. Wspólna modlitwa stanowiła też dobry przykład dla mieszkańców miasta. Nie oznaczało to, że trzech kapłanów żyło w całkowitej zgodzie, lecz spory wywiązywały się zawsze między dwoma z nich, dzięki czemu trzeci duchowny mógł podjąć się mediacji. Osiągnięcie szybkiego i trwałego kompromisu leżało w interesie ich wszystkich. Kapłani wiedzieli, że sam Najwyższy (każdy z nich mógł się podpisać pod tym mianem bez względu na wyznanie) żąda od nich dobrej woli, dobra wola zaczęła więc

przeważać po kilku pierwszych sporach proceduralnych. Po skończonej dyspucie na temat dostępu wyznawców do tego czy innego przybytku grecki patriarcha żartobliwie zauważył przy kawie, że nowy porządek to pierwszy cud, jaki zdarzyło mu się widzieć.

- To nie cud - sprzeciwił się rabin. - Dlaczego zaraz musi być cud, żeby dzieci Boże zaczęły się słuchać zasad swojego wyznania?

- Wszystkie naraz? - zapytał go z uśmiechem imam. - Nawet jeśli to nie cud, trzeba było czekać na to tysiąc lat.

- Nie wszczynajmy nowej dysputy - roześmiał się głośno Grek. - Ledwie udało nam się skończyć poprzednią! Pomóżcie mi lepiej znaleźć jakiś sposób na te moje chrześcijańskie owieczki!

Na ulicach miasta duchowni pozdrawiali kapłanów innych wyznań, dając wszystkim dobry przykład. Również gwardia szwajcarska salutowała patriarchom, imamom i rabinom, a kiedy gwardziści spotykali kapłana wysokiej rangi, na znak szacunku zdejmowali hełmy i ciemne okulary. Był to jedyny ludzki odruch, na jaki pozwalali sobie Szwajcarzy. Powiadano o nich, że nie potrafią się nawet pocić.

- Strach bierze, jakie to bydlaki - zauważył Ryan, który stał na rogu w koszulce z krótkimi rękawami. Amerykańscy turyści trzaskali pamiątkowe zdjęcia, Żydzi wyglądali tak, jak gdyby coś komuś mieli za złe, Arabowie uśmiechali się. Chrześcijanie, wypłoszeni z Jerozolimy nasilającymi się w ostatnich latach aktami przemocy, zaczęli dopiero ściągać do miasta. Kiedy pięciu mężczyzn zatupało butami o bruk, posuwając się swobodnym krokiem naprzód i kręcąc hełmami na prawo i lewo, wszyscy pospiesznie zaczęli im schodzić z drogi. - Rzeczywiście wyglądają jak Marsjanie.

- A wiesz? - zagadnął go Awi. - Od pierwszego tygodnia nie zdarzył się na nich ani jeden napad. Ani jeden.

- Nie chciałbym się dostać w ich łapy - zauważył cicho Clark. Zrządzenie samej Opatrzności zechciało, że w pierwszym tygodniu nowych porządków arabski wyrostek zakłuł nożem Izraelitkę. Nie był to czyn terrorystyczny, lecz zwykły napad rabunkowy. Wyrostek nie zauważył, że dzieje się to na oczach szwajcarskiego szeregowca, który natychmiast doścignął napastnika i unieszkodliwił serią ciosów rodem z filmu.

Arab stanął następnie przed obliczem trójki kapłanów, którzy pozwolili mu wybrać między kodeksem izraelskim i islamskim. W swej głupocie Arab wybrał sąd islamski. Zostawiono go na tydzień w izraelskim szpitalu, by wylizał się z obrażeń, po czym osądzono zgodnie ze wskazówkami Koranu. Sądowi przewodniczył imam Ahmed bin Jusif. Dzień po procesie przewieziono skazańca samolotem do Rijadu w Arabii Saudyjskiej, gdzie na placu z pręgierzem pozwolono mu wyrazić żal za swój uczynek, po czym publicznie ścięto go zakrzywionym mieczem. Ryan zastanawiał się, jak po hebrajsku, grecku i arabsku mówi się pour encourager les autres. Izraelczyków w każdym razie oszołomiło tempo i surowość kary, lecz muzułmanie wruszali tylko ramionami, powtarzając, że Koran ma własny surowy kodeks, który z biegiem lat dowiódł swojej skuteczności.

- Wasi ludzie ciągle nie mogą się pozbierać, co?

Awi spochmurniał. Ryan swoim pytaniem zmuszał go do przedstawienia prywatnej opinii czy wręcz do powiedzenia prawdy.

- Na pewno czują się bezpieczniejsi z tymi komandosami... Naprawdę chcesz wiedzieć, Jack? - W Awim znów zwyciężyła szczerłość.

- Jasne.

- Nauczą się. Potrwa to jeszcze długie tygodnie, ale się nauczą. Arabowie lubią Szwajcarów, a nastroje Arabów to klucz do wszystkiego, co się dzieje na ulicy. A ty, czy też mi coś wytłumaczysz?

Clark na te słowa nieznacznie odwrócił głowę.

- Może - odrzekł Ryan, zapatrzony w ruch uliczny.

- Ile miałeś wspólnego z tym planem?

- Nic a nic - odpowiedział Jack chłodnym tonem, który współbrzmiał z postawą gwardzistów. -

Zapomniałeś, że to Charlie Alden wpadł na taki pomysł? Ja byłem tylko gońcem.

- To samo powiada na prawo i lewo Elizabeth Elliot... - Awi nie musiał kończyć swojej kwestii.

- Nie zapytałbyś mnie o to, gdybyś nie znał odpowiedzi, Awi, więc dlaczego pytasz?

- Piękna robota - rzekł tylko generał Ben Jakob i skinął na kelnera. Zamówił dwa piwa. Milczeli przez chwilę. Clark i drugi ochroniarz oczywiście nie pili. - Trochę za mocno naciskał na nas ten twój prezydent. Żeby grozić odcięciem dostaw broni...

- Mnie się też wydaje, że niepotrzebnie się tak denerwował, ale to nie ja dyktuję mu politykę, Awi. Twój naród sam jest sobie winien, po co było strzelać do tych demonstrantów? Wróciliście do rozdziału historii, o którym lepiej zapomnieć. Masakra odebrała jakiegokolwiek argumenty waszemu lobby w Kongresie. Pamiętaj, że większość tych polityków trzyma z nami, jeśli chodzi o prawa człowieka. Sami zmusiliście nas do nacisków, Awi, dobrze wiesz. Poza tym... - Ryan przerwał nagle.

- Co, poza tym?

- Awi, rozejrzyj się tylko! To wszystko może się udać! - zawołał Jack, kiedy na stół wjechało piwo. Był tak spragniony, że w sekundę osuszył jedną trzecią butelki.

- Jest i taka możliwość, choć niewielka - przyznał generał. - Macie w Syrii lepszą siatkę niż nasza - przypomniał Ryan. - Słyszałem, że nawet tam pojawiają się przychylny głosy na temat porozumienia. W zaciszu gabinetów, oczywiście. Dobrze słyszałem, co?

- Jeżeli to prawda - mruknął Awi.

- Wiesz, w jakie informacje najtrudniej uwierzyć?

Generał wbił oczy w odległy mur, jak gdyby nad czymś rozmyślał.

- Wiem. Najtrudniej uwierzyć, że ktoś chce pokoju, nie wojny. Jack przytaknął i zauważył:

- I tu właśnie mamy wreszcie nad wami przewagę. Sami musieliśmy się już raz przestawić.

- Jest jednak różnica. Przecież Moskwa nie powtarza głośno ani nie oświadcza oficjalnie, jak od dwudziestu lat Arabowie, że zmiecie was z powierzchni ziemi. Możesz powtórzyć szanownemu prezydentowi Fowlerowi, że z takich lęków niełatwo się wyleczyć.

- Ja się wyleczyłem. - Jack westchnął. - Naprawdę, Awi. Nie traktuj mnie więc jak wroga.

- Sojusznikiem też nie jesteś.

- Sojusznikiem? Oczywiście, że jesteśmy sojusznikami, generale. Tak postanawiają traktaty. Moje zadanie, generale, to dostarczać mojemu rządowi informacji i analiz. Polityką niech się zajmują ludzie starsi rangą i mądrzejsi ode mnie - dodał Jack z ironicznym patosem.

- Co ty powiesz? Kogo masz mianowicie na myśli? - Generał Ben Jakob uśmiechnął się do młodszego rozmówcy i zniżył głos. - Pracujesz w firmie od dziesięciu lat, Jack, nawet krócej, a przecież to, co pokazałeś... Ta historia z okrętem podwodnym, ten numer w Moskwie, twoja rola w poprzednich wyborach...

Ryan bezskutecznie próbował ukryć zaskoczenie.

- Awi, wielki Boże! - Skąd on się tego wszystkiego dowiedział, do cholery!?

- Nie wzywajmy imienia Bożego nadaremno, doktorze Ryan - dociął Jackowi zastępca szefa Mossadu. - Ostatecznie jesteśmy w świętym mieście. Jedno słówko, a te szwajcarskie osiłki poślą w ciebie kulę. Możesz powtórzyć ode mnie pannie Elizabeth, że jeśli dalej będzie nas tak męczyć, damy znać naszym ludziom w prasie i telewizji, a ci wezmą się za historię o wyborach... - Awi uśmiechnął

się marzycielsko.

- Awi, czy pomyślałeś, że kiedy twoi ludzie szepną słowo na ten temat, Liz może nie zrozumieć, o co im chodzi?

- Bzdura!

- Daję ci moje słowo, że Elliot o niczym nie wie. Tym razem generał Ben Jakob dał się zaskoczyć.

- Trudno mi w to uwierzyć!

- Awi, powiedziałem ci, ile mogłem - oświadczył Jack, dopijając piwo. - Nie przyszło ci nigdy do głowy, że twój informator może się okazać niezbyt wiarygodny? Powiem ci tak osobiście: nie mam pojęcia, do czego pijesz. Jeżeli nawet ktoś poszedł z kimkolwiek na układy, nikt mnie w to nie wtajemniczał. Zgoda, mam pewne podstawy przypuszczać, że parę osób się dogadało, mogę się też domyślać, na jaki temat, lecz gdybym miał stanąć przed obliczem sądu i zeznawać, mógłbym spokojnie oświadczyć, że tak naprawdę o niczym nie wiem. Tobie też, przyjacielu, niełatwo będzie szantażować kogokolwiek tajemnicami, o których ten ktoś nie ma pojęcia. Musiałbyś się dobrze napocić, żeby przekonać swoją ofiarę, że w ogóle jest o czym mówić.

- Boże, gdzież eleganckie czasy Moore'a i Rittnera?

Ryan odstawił szkło i zauważył:

- Takie rzeczy zdarzają się tylko na filmach, generale. Życie ma inne prawa. Pomyśl, Awi, że w tych twoich informacjach może być cienko z faktami. Tak często bywa z sensacyjnym materiałem. Rzeczywistość nie dorasta sztuce do pięt, daję ci słowo.

Ryanowi podobała się ta rozmowa. Prawie mrugnął, by zaznaczyć pointę.

- Słuchaj, Jack, w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku grupa Czarny Wrzesień z Organizacji Wyzwolenia Palestyny namówiła Japońską Armię Czerwoną do masakry na lotnisku Ben Guriona, co się zresztą stało. Wśród ofiar najwięcej było zresztą waszych protestanckich pielgrzymów z wyspy Puerto Rico. Siłom bezpieczeństwa udało się wziąć żywcem tylko jednego terrorystę. Podczas przesłuchania człowiek ten oświadczył, że jego polegli towarzysze wraz ofiarami poszli do nieba zamienieni w gwiazdy i utworzyli na nim nową konstelację. W więzieniu ten sam terrorysta nawrócił się podobno na judaizm, a nawet osobiście się obrzezał, za pomocą własnych zębów, co mówi chyba dostatecznie wiele o sile jego nowej wiary - dodał generał rzeczowym głosem. -Dlatego nie opowiadaj mi, że życie nie zna nieprawdopodobnych historii. Pracuję w wywiadzie od dwudziestu lat i wiem na pewno tylko jedno, czyli to, że niejedno jeszcze zobaczę.

- Awi, nawet moja paranoja nie sięga tak daleko.

- Bo nigdy nie przeżyłeś holocaustu, tak jak my.

- Czyżby? A masakry Cromwella? A zaraza ziemniaczana w tysiąc osiemset czterdziestym siódmym roku? Przestańmy wiecznie się podpierać zagładą Żydów, generale. Tym razem Ameryka wysyła swoje wojsko i jeśli przyjdzie co do czego, będzie przelewać krew na Golanie, na pustyni Negew i gdzie tam jeszcze.

- Dobrze, ale co będzie, jeśli...

- Awi, pytasz, co będzie? Będzie tak, że jeśli coś się jednak zacznie, sam przylecę bronić Izraela. Byłem przecież w piechocie morskiej, sam wiesz, że niejednym raz strzelano do mnie, tak samo jak wiesz, że czas zagłady już się nie powtórzy. Nie za mojego życia, generale. Mój kraj nie pozwoli na nowy holocaust. Ani mój rząd, ani zwyczajni Amerykanie. Nie pozwolimy na to, i tyle. Jeśli trzeba będzie umierać za twój kraj, trudno, Amerykanie będą umierać.

- To samo mówiliście w Wietnamie - oświadczył Ben Jakob, zauważając nagły błysk w oczach Clarka. Odwrócił się więc ku niemu i zapytał:

- Chce pan coś powiedzieć?

- Tak, panie generale. Nie jestem żadną szyszką tylko ochroniarzem, który się mądrzy, ale na wojnie byłem dłużej niż ktokolwiek w całym tym pana kraiku. Dlatego powiem panu, że sram w gacie, kiedy widzę, jak brniecie u siebie w takie samo szambo, jak my w Wietnamie. My przynajmniej nauczyliśmy się czegoś, a wy nie. Doktor Ryan ma świętą rację. W razie czego naprawdę tu przyjedzie, a ja razem z nim, jeśli będzie trzeba. Nie mnie uczyć, jak się strzela do ludzi - oświadczył Clark cichym, beznamiętnym głosem.

- Też z piechoty morskiej? - zapytał Awi od niechcienia, chociaż znał prawdziwą odpowiedź.

- Powiedzmy - uciał Clark, dodając z uśmiechem: - Jakoś mnie nigdy nie odesłali do rezerwy.

- A pański partner? - Awi wskazał na Chaveza, który stał sobie na rogu i obserwował ulicę.

- Umie tyle samo, co ja w jego wieku. Podobnie jak chłopaki z Dziesiątego Pułku. Co tu gadać o wojnie, obaj panowie dajecie się nabierać na takie pieprzenie. Chce pan bezpieczeństwa, niech pan najpierw pozałatwia wszystkie sprawy na własnym podwórku, a pokój sam się pokaże, jak zasrana tęcza po burzy.

- Czegoś was nauczyły wasze błędy...

- Owszem, ale my mieliśmy za plecami sześć tysięcy kilometrów terenu do rejterady, generale. Was zepchną do Morza Śródziemnego natychmiast. Pan też może wyciągnąć naukę z naszych błędów. Na szczęście lepiej się tu nadajecie na apostołów pokoju niż my tam.

- Tylko co to za narzucony pokój...

- Narzucony, nie narzucony, ale jest. Jest nam za co dziękować. Jeśli coś pójdzie nie tak, masa ludzi będzie stała w pogotowiu, żeby was wyciągać z gówna... - Clark przerwał, gdyż Chavez opuścił posterunek po drugiej stronie ulicy i zaczął niespiesznie iść ku nim, trochę jak zagubiony turysta...

- Siebie też pan wlicza?

- A nie? - odrzekł Clark, sprężając się i uważnie przyglądając twarzom przechodniów. Kogo spostrzegł Chavez? Kogo przegapił?

Ciekawe, kto to? - zastanawiał się tymczasem Hosni. Po sekundzie przypomniał sobie tę twarz. Generał brygady Abraham Ben Jakob, zastępca szefa Mossadu, podpowiedziało mu pamięciowe archiwum fotograficzne. Rozmawia z jakimś Amerykaninem. Warto się dowiedzieć, z kim...

Hosni nieznacznie odwrócił głowę w stronę stolika. Amerykanin ma na pewno obstawę... Ten drugi facet przy stoliku to goryl, oczywista sprawa. Poważny, starszy facet, pod pięćdziesiątkę. Widać, że goryl, nie chodzi nawet o kanciastą sylwetkę, lecz o czujność... Można zapanować nad twarzą, ale oczy to inna sprawa. Oho, ochroniarz wkłada ciemne okulary. Gdzie drugi? Ochrony jest na pewno więcej, nie licząc Izraelczyków. Hosni zdawał sobie sprawę, że trochę za długo zerkał na towarzystwo przy stoliku, ale...

- Sorry! - usłyszał nad uchem, gdyż wpadł na niego jeden z przechodniów, odrobinę niższy i węższy nawet od Hosniego. Ciemna cera, może to nawet brat Arab, choć przeprosił po angielsku. Przechodzień ulotnił się z kolejnym "Sorry", zanim Hosni zrozumiał, że wprawna para rąk obszukała go błyskawicznie. Inżynier nie był pewien, czy było to przypadkowe zderzenie, czy też naprawdę obszukał go amerykański czy izraelski goryl z obstawy. Jeśli nawet, nie szkodzi, Hosni nie miał przy sobie broni ani nawet scyzoryka, a jedynie torbę pełną książek.

Clark zobaczył, jak Ding daje mu sygnał, że horyzont czysty, klepiąc się po szyi jakby odpędzał komara. Skąd jednak dziwny wyraz w oczach obiektu - każdy, kto zagrażał zwierzchnikowi, przemieniał się w obiekt - na widok generała? Dlaczego przechodzień przystanął wpół kroku? Clark

spojrzał za siebie. Owszem, dwa stoliki od nich siedziała niebrzydka dziewczyna, nie Izraelitka i nie Arabka, chyba z Europy. Do kelnera zwróciła się przedtem z północnym akcentem, może to jakaś Holenderka. Naprawdę ładna, a kto nie lubi się pogapić na ładną dziewczynę? Może tak się akurat złożyło, że przechodzeń patrzył ponad ich głowami na dziewczynę? Może. Dla funkcjonariusza ochrony granica między czujnością a manią prześladowczą była trudna do ustalenia, nawet jeśli się znało scenę taktyczną. Na obcym terenie Clark nie żywił żadnych złudzeń. Z drugiej strony wybrali tę restaurację na chybił trafił, krążąc po ulicach, nikt też nie rozgłaszał faktu, że Ryan będzie w Izraelu, a Ben Jakob umówi się z nim w mieście... Nikt nie dysponował tak skutecznym wywiadem i taką liczbą agentów, by obstawić całe miasto; oprócz może Rosjan, a i to tylko w Moskwie. Trudno się było obawiać realnej groźby zamachu. Skąd wziął się w takim razie ten wyraz oczu Araba?

Clark dobrze sobie zapamiętał twarz przechodnia i włączył pamięciowy obraz między setki innych.

Hosni nadal krążył po mieście. Kupił już wszystkie potrzebne książki i przyglądał się teraz szwajcarskim gwardzistom, ich groźnym minom i sposobowi, w jaki się poruszali. Sam Ben Jakob, pomyślał z żalem. Zmarnowana okazja. Nie co dzień trafia się taki cel. Hosni poszedł dalej brukowaną kocimi łbami uliczką, pozornie nieuważnym wzrokiem omiatając teren. Skręcił w prawo, przyspieszył i spróbował wyprzedzić Szwajcarów, którzy szli równoległą ulicą. Podziwiał ich, a jednocześnie nie mógł przeżyć ich widoku.

- Bardzo zręcznie - pochwalił Ben Jakob Clarka. - Nieźle wyszkolony ten pański partner.

- Dobrze się zapowiada - bąknął Clark. Ding powrócił tymczasem okrężną drogą na stanowisko po drugiej stronie ulicy. - Wie pan, co to był za jeden?

- Nie wiem. W biurze znajdzie się na pewno fotografia. Oczywiście sprawdzimy, ale myślę sobie, że to zwykły młody człowiek pełen zwykłych popędów - tu generał wskazał ruchem głowy na ich niby-Holenderkę.

Clarka zdziwiło, że Izraelczycy nie skorzystali z okazji. W torbie można było ukryć wszystko, a w jego fachu słowo "wszystko" wzbudzało bardzo złe skojarzenia. Jezu, jakie głupie zajęcie. Co innego pilnować własnej skóry, można wtedy stosować uniki, losowo zmieniać trasy, raz iść, raz biec, dbając by zostawić sobie drogę ucieczki albo okazję do zasadzki. Gorzej, kiedy się miało pod opieką Ryana, który, choć zdaniem Clarka, miał niezły refleks, trochę za bardzo się zdawał na obu swoich ochroniarzy.

- Co poza tym, Awi?

- Co poza tym? Pierwszy rzut waszych kawalerzystów dotarł już na miejsce. Nasi czołgiści mówią, że ten pułkownik Diggs to świetny facet. Co do mnie, nie podoba mi się jakoś emblemat pułkowy. Przecież bizon to po prostu zdziczała krowa - zachichotał Awi.

- Z bizonem jest jak z czołgiem, generale, lepiej mu nie stawać na drodze - odrzekł Ryan, który z góry cieszył się na myśl o skutkach manewrów Dziesiątego Pułku Kawalerii przeciwko czołgom izraelskim. W wojsku amerykańskim panowało przekonanie, że izraelska armia jest przereklamowana, prócz tego Diggs słynął z agresywnej taktyki działania. - Mogę już chyba meldować prezydentowi, że sytuacja tu, na miejscu, wygląda naprawdę obiecująco.

- Będą trudności.

- Gdzie ich nie ma, Awi? Królestwo Boże nastanie dopiero za ładnych parę lat - zgodził się Jack z generałem. - Sam powiedz, czy myślałeś, że wszystko pójdzie tak gładko i tak szybko?

- Skądże znowu - przyznał Awi. Wysupłał z kieszeni gotówkę, żeby zapłacić, po czym obaj

wicedyrektorzy wstali. Clark zrozumiał, że ma się usunąć, podszedł więc do Chaveza.

- I co?

- Tylko ten jeden, nikt inny się nie kręcił. Miał ciężką torbę, ale w środku, zdaje się, same książki - podręczniki albo coś. Nowe, z tej na wierzchu wystawał paragon. Książki o fizyce jądrowej, niezłe, co? Przynajmniej ta z wierzchu była o fizyce. Po byku gruba i ciężka. Pewno to jakiś student czy doktorant, zresztą co się dziwić, że się zagapił na tę laskę.

- Nie roztkliwiajmy się, panie Chavez.

- Tamta nie jest w moim typie, panie Clark.

- A jak ci się podobają Szwajcarzy?

- Chłopcy jak malowanie, szkoda ich do szlifowania bruków. Ja tam bym do nich nie podskakiwał, chyba że u siebie i bez uprzedzenia. - Chavez urwał na chwilę. - Ty, widziałeś, jak ten Arab świdrował ich wzrokiem?

- Nie.

- Mówię ci... Patrzył na tych gwardzistów, jakby się znał na rzeczy. - Po namyśle Domingo Chavez dodał: - Fakt, że miejscowi naoglądali się w życiu rozmaitych żołnierzy, ale ten akurat patrzył, no wiesz, fachowym okiem. Przez to go przywazyłem, nie dlatego, że gapił się na ciebie i doktora. Klient miał taki badawczy wzrok, wiesz o co mi chodzi?

- Tylko tyle?

- Ruszał się zręcznie, widać, że jest w formie. Tylko ręce jakieś takie miękkie, nie sęcate, jak u żołnierza. Za stary na studenta, więc może to jakiś doktorant - Chavez zebrał myśli. - Jesucristo, faktycznie żyjemy w paranoi. Facet nie miał przy sobie broni, łapki też nie jak u mistrza karate, idzie sobie ulicą, patrzy na tych szwajcarskich Marsjan, potem rzuca okiem na doktora, potem idzie dalej, ot i cała historia.

Chavez żałował czasem, że nie został w wojsku. Dawno dostałyby awans i nowy przydział, zamiast wkuwać na wieczorowych kursach na George Mason University i bawić się w ochroniarza Ryana. Tyle pociechy, że doktor to porządny facet, a praca z Clarkiem była... powiedzmy, interesująca. Ale mówcie co chcecie, w wywiadzie nie ma życia.

- Pora się zbierać - stwierdził Clark.

- Mów mi jeszcze. - Ding klepnął się po pistolecie ukrytym pod luźną koszulą. Izraelska ochrona wmieszała się już między przechodniów.

Hosni obejrzał sobie patrol z bliska, tak jak zaplanował. Dopomogli mu sami Szwajcarzy, których zatrzymał sędziwy duchowny muzułmański, chcąc o coś zapytać. Ponieważ imam nie mówił po angielsku, a żołnierze ledwie dukali po arabsku, Hosniemu nadarzała się świetna okazja.

- Przepraszam - odezwał się po arabsku do imania. -Może dopomogę w tłumaczeniu?

Cierpliwie wysłuchał szybkiej serii słów w ojczystym języku i odwrócił się do sierżanta z patrolu.

- Imam jest z Arabii Saudyjskiej. Ostatni raz był w Jerozolimie jako mały chłopiec i chciałby trafić do kancelarii "Trójki".

Sierżant zdjął hełm, gdyż zorientował się w wysokiej randze duchownego, i skłaniając głowę odpowiedział:

- Proszę mu powiedzieć, że będziemy zaszczyceni, mogąc go tam zaprowadzić.

- A, tuś mi się zgubił! - rozległ się inny głos, po arabsku, lecz z silnym hebrajskim akcentem. Mimo to słowa dawały się zrozumieć. - Dzień dobry, sierżancie - dodał nowy rozmówca po angielsku.

- Witam, rebe Rawenstein. Zna pan tego imama? - zapytał sierżant.
- To imam Mohammed al Fajsal, znakomity teolog i historyk z Medyny.
- Co o mnie mówią? - zwrócił się al Fajsal prosto do Rawensteina.
- Co mówią, to mówią! - odparł rabin.
- Że co proszę? - nie wytrzymał Hosni.
- A pan kto? - zdziwił się Rawenstein.
- Eee, student. Próbowiałem przydać się jako tłumacz.

- Ach, tak. Bardzo ładnie z pana strony - odrzekł Rawenstein. - Mohammed przyjechał obejrzyć rękopis, który znaleźliśmy podczas wykopalisk. Teologiczny komentarz muzułmański do bardzo starej Tory, z dziesiątego wieku. Niebywałe znalezisko. Sierżancie, poradzimy już sobie. Panu, młody człowieku, także dziękuję.

- Czy potrzebujesz eskorty, rebe? - zapytał jeszcze sierżant. - Będziemy szli w stronę urzędu.

- Nie, dziękuję, za starzyśmy, żeby za wami nadażyć.

- Rozumiem - odrzekł sierżant i zasalutował. - Miłego dnia. Szwajcarzy odmaszerowali. Garstka gapiów, która spostrzegła całą krótką scenę, uśmiechała się i pokazywała palcami na parę duchownych.

- Komentarz spisał sam Al Kalda, w dodatku cytuje w nim dzieła Nuchema z Akry - wrócił do przerwanej wątku Rawenstein. - Rękopis zachował się w niezwykle świetnym stanie.

- Muszę go zobaczyć! - Imam i rabin ruszyli ulicą w tempie, które dla ich starych nóg musiało oznaczać bieg, niepomini na otoczenie i przechodniów.

Hosni zachował obojętny wyraz twarzy. Zaskoczenie i zachwyt udawał tylko na użytek szwajcarskich gwardzistów, którzy w asyście zgrai dzieciaków dotarli już prawie do następnej przecznicy. Wpojona przez lata dyscyplina pozwoliła Hosniemu odejść najspokojniej na stronę, skrócić za róg i zniknąć w wąskim zaułku. Oglądana dopiero co scena prawie go jednak załamała.

Mohammed al Fajsal był jednym z pięciu najznamienszych teologów islamu i powszechnie szanowanym historykiem, a ponadto - choć nie obnosił się z tym - dalekim krewnym saudyjskiej rodziny królewskiej. Dobiegał już osiemdziesiątki i tylko ze względu na wiek nie znalazł się w składzie trójki duchownych, którzy rządzą teraz w Jerozolimie (jeśli nie uwzględnić faktu, że z przyczyn politycznych lepiej nadawał się na ten urząd duchowny pochodzenia palestyńskiego). Imam nie należał do przyjaciół Izraela i był w Arabii Saudyjskiej jednym z najbardziej konserwatywnych członków hierarchii. Czyżby i on dał się oszołomić traktatom?

Najgorszy był uniżony szacunek, z jakim odnosili się do duchownego Szwajcarzy. Nie, jeszcze gorszy okazał się szacunek ze strony rabina. Przechodnie na ulicach, w większości Palestyńczycy, przyglądali się całej scenie wesoło i swobodnie, zupełnie jak gdyby... tolerowali to wszystko? Zupełnie tak, jakby się na to wszystko zgadzali i traktowali podobne schadzki jak rzecz najzwyczajszą w świecie. Izraelska propaganda od dawna trąbiła o szacunku należnym arabskim sąsiadom, lecz słowa te, wbrew ich wadze, pisano patykiem na lotnych piaskach

Rawenstein nie był, oczywiście, propagandystą, lecz rabinem, mędrce zamkniętym w małym światku idei i rupieci z zamierzchłych czasów. Doradzał więc w przeszłości, by okazywać umiar w stosunkach z Arabami i nieodmiennie konsultował się z muzułmanami podczas swoich wykopalisk. Teraz mógł więc...

Teraz mógł więc przerzucić most porozumienia między światem żydowskim i arabskim. Tacy ludzie, jak on, istnieli co prawda od zawsze, lecz w nowej sytuacji przestawali być wybrykiem natury. No, właśnie.

Pokój. Pokój stawał się realną możliwością. Zgoda mogła nastąpić, przestawała być szaloną

nrzonką, narzuconą całej krainie przez obce potęgi. Przedziwne, jak szybko ludzie przyzwyczaili się do nowej sytuacji. Izraelczycy rzeczywiście opuszczali domy, Szwajcarzy zajęli już dla siebie jedno osiedle i wysadzili w powietrze kilka innych. Na zachodnim brzegu Jordanu działała już saudyjska komisja, która rozdzieliła pierwsze działki między prawowitych właścicieli. Za pieniądze z Rijadu miał powstać na przedmieściach Jerozolimy wielki arabski uniwersytet. Wszystko działo się tak prędko! Izraelczycy stawiali opór, lecz był on słabszy niż ktokolwiek przypuszczał. Dwudziestka przygodnych rozmówców opowiadała Hosniemu, że lada tydzień miasto zaleją turyści z zagranicy. Hotele ledwie nadały z przyjmowaniem rezerwacji zza oceanu przez satelitarne łącza. Falanga turystów zmusiła inwestorów do rozpoczęcia budowy dwóch potężnych hoteli. Sam tylko wzmożony ruch turystyczny miał więc napędzić Palestyńczykom mnóstwo pieniędzy. Palestyńczycy ze swej strony ogłosili całkowite zwycięstwo nad Izraelem i zgodnie postanowili, że w obliczu triumfu wykażą się wielkodusznością. Tak dyktowały im względy finansowe. Palestyńczycy zawsze należeli do najobrotniejszych kupców w całym świecie arabskim.

Izrael istniał zaś w najlepsze.

Hosni przysiadł w ulicznej kawiarni, położył na ziemi ciężką torbę i zamówił szklanekę soku. Oczekiwanie skracał sobie obserwacją przechodniów. Na ulicy widział Żydów i muzułmanów. Wkrótce dojdą do nich turyści, których pierwsza fala lądowała już na pobliskich lotniskach. Do Jerozolimy przybędą muzułmanie, by modlić się przy świętej skale w miejscu wniebowzięcia Mahometa. Przybędą Amerykanie z dolarami i Japończycy, ciekawi krainy jeszcze dawniejszej niż ich własna. Palestyna miała wkrótce poznać smak dostatku.

Dostatek jest sługą pokoju i katem niezgody.

Ibrahim Hosni nie pragnął jednak dla swoich pobratymców dostatku. Owszem, może kiedyś, w odległej przyszłości, lecz tylko pod warunkiem, że spełnią się wszystkie wstępne warunki. Hosni odszedł, zapłaciwszy za sok amerykańską walutą, i wkrótce złapał taksówkę. Do Izraela wjechał przez Egipt, natomiast z Jerozolimy chciał przedostać się do Jordanii, a stamtąd z powrotem do Libanu. Czekala go ogromna praca. Miał nadzieję, że w zakupionych książkach znajdzie wszystkie niezbędne informacje.

Ben Goodley niedługo po doktoracie został stypendystą Szkoły Kadr Rządowych imienia Kennedy'ego na Harvardzie. Miał dwadzieścia siedem lat, był inteligentny, przystojny, lecz obdarzony nieprzyzwoitą, jak na naukowca, ambicją - taką, że mógłby nią szczerze obdzielić cały klan, którego imię nosiła jego Alma Mater. W pracy doktorskiej przeanalizował w szczególności szaleństwo wojny wietnamskiej z punktu widzenia wywiadu, a jego dzieło okazało się na tyle kontrowersyjne, że promotor przesłał je do wglądu samej Liz Elliot Doradczynie prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego nie mogła ścierpieć tylko jednego, a mianowicie, że Goodley to mężczyzna. Trudno, nikt nie jest doskonały.

- Proszę mi więc powiedzieć, jakiego typu badania pana interesują - zapytała kandydata nauk.

- Liczę na to, że uda mi się zgłębić proces podejmowania przez nasz wywiad decyzji w kontekście ostatnich zmian w Europie i na Bliskim Wschodzie. Do tego jednak potrzebne mi upoważnienie, bo większość materiału jest utajniona.

- Czym się pan kieruje, podejmując te badania? - zapytała znów Liz Elliot. - Czy chodzi panu o dydaktykę, o napisanie czegoś czy o przepustkę do rządu?

- O przepustkę do rządu, oczywiście. Okoliczności historyczne wymagają, moim zdaniem, by na właściwych stanowiskach znaleźli się właściwi ludzie. Może zauważyła pani, że w pracy doktorskiej postawiłem jasno problem szkód, jakie wywiad wyrządza nam prawie bez przerwy od lat

sześciodziesiątych. Typ myślenia wśród kierownictwa tych służb prowadzi nas od dawna w niewłaściwą stronę. - Tu Goodley zawahał się, lecz z dzielną miną dodał: - Tak może się przynajmniej wydawać osobom nie wtajemniczonym.

- Jak by pan określił przyczyny takiego zjawiska?

- Po pierwsze, źle dobiera się ludzi. W CIA, na przykład, tryb rekrutacji z góry określa sposób, w jaki późniejsi pracownicy będą zbierać i analizować dane. Nagradza się ich tylko za przedstawianie faktów zgodnych z oczekiwaniami. Gdzie się podziała obiektywność, gdzie zdolność przewidywania wypadków? Czy CIA udało się przewidzieć jesień tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku? Gdzie tam. Czy i dziś pozostają ślepi na wiele spraw? Na pewno tak. Przydałoby się, moim zdaniem - ciągnął Goodley - znaleźć dostęp do zasadniczych faktów, zanim złe decyzje spowodują nowy kryzys.

- Podzielim pańską opinię - Elliot z zadowoleniem spostrzegła, że ambitny młody człowiek, słysząc te słowa, odetchnął z ulgą. Postanowiła podpuścić go jeszcze odrobinę, ot, żeby nie miał wątpliwości, dla kogo będzie pracował. Zawiesiła wzrok na ścianie i nie spiesząc się powiedziała: - Nie wiem tylko, jak możemy panu pomóc... Marcus Cabot ma wprawdzie wolny etat asystenta-archiwisty, ale najpierw CIA musi pana sprawdzić, będzie też pan musiał podpisać bardzo ściśle zobowiązanie do nieujawniania tajemnic państwowych. Nie wolno panu będzie nic opublikować bez skonsultowania tekstu z kim trzeba.

- To brzmi jak cenzura - zauważył Goodley. - Jak się ma ten wymóg do konstytucyjnej wolności słowa?

- Rząd musi trzymać część spraw w tajemnicy, żeby w ogóle móc sprawować władzę. W pana ręce mogą trafić rozmaite sensacyjne informacje. Ale zaraz, powiedział pan, że zależy panu na publikacjach czy na tym drugim? Służba w rządzie wymaga pewnych poświęceń.

- Sam nie wiem...

- W ciągu najbliższych kilku lat w CIA znajdzie się sporo interesujących etatów - dodała Liz Elliot tonem obietnicy.

- Rozumiem - oświadczył Goodley, nie kryjąc już swoich intencji. - Proszę nie myśleć, że przeszłoby mi przez myśl publikować poufne informacje.

- Naturalnie, że nie - ucieszyła się Liz Elliot - Myślę, że moja kancelaria uzyska dla pana ten etat. Pański doktorat jest ogromnie zajmujący. Dla osoby o takich horyzontach zawsze znajdę miejsce w rządzie. Pod warunkiem, że nagnie się pan do niezbędnych przepisów.

- Jeśli tak stawia pani sprawę, to oczywiście zgoda.

- Znakomicie - Elliot uśmiechnęła się po raz pierwszy. - Zostaje pan więc stypendystą Białego Domu. Mój sekretarz zaprowadzi pana na drugą stronę ulicy, do kancelarii przepustek. Musi pan wypełnić całą masę formularzy.

- Mam już przepustkę z klauzulą "tajne".

- To za mało. Potrzebna panu będzie specjalna przepustka SD/PM. Skrót oznacza specjalny dostęp do poufnych materiałów. Zwykle trzeba na nią czekać parę miesięcy...

- Miesiące? - zdziwił się Goodley.

- Powiedziałam "zwykle". Możemy trochę przyspieszyć procedurę. Najlepiej, jeśli zacznie się pan rozglądać za mieszkaniem. Wystarcza panu obecna wysokość stypendium?

- Ach, spokojnie.

- Doskonale. Zaraz zadzwonię do Langley i porozmawiam z Marcusem. Dobrze będzie, jeśli pan go pozna. - W tym miejscu Goodley posłał Liz Elliot uradowany uśmiech. - Miło mi pana widzieć w moich szeregach.

Świeżo upieczony stypendysta Białego Domu wstał, jak wymagała tego sytuacja.

- Postaram się nie zawieść oczekiwań.

Elliot odprowadziła go wzrokiem do drzwi. Raz jeszcze przekonała się, jak łatwo jest zniewalać ludzi. Seks oddaje tu nieocenione usługi, lecz jeszcze lepiej nadają się do tego władza i ambicja. Któż wiedział o tym lepiej od niej? Liz Elliot uśmiechnęła się zwycięsko.

- Bomba atomowa? - Bock nie wierzył własnym uszom.

- Na to wygląda - skwitował pytanie Kati.

- Kto o tym wie, oprócz nas?

- Hosni. To on ją znalazł. Tylko on.

- Ale czy da się ją odpalić? - zapytał Niemiec, głowiąc się, dlaczego właśnie jemu powierzono sekret.

- Znaleźliśmy ją poważnie uszkodzoną. Trzeba się zająć naprawą. Ibrahim zaczął już zbierać potrzebne informacje. Twierdzi, że da radę ponaprawiać.

- Czy to aby na pewno nie prowokacja? - Bock opadł na oparcie i snuł niespokojną myśl. - Może Izraelczycy wszystko uknuli albo Amerykanie?

- Jeżeli coś uknuli, musieli być bardzo, bardzo sprytni - przerwał Kati, po czym streścił Bockowi dzieje znalezienia bomby.

- Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty trzeci rok. Wszystko by się zgadzało. Pamiętam, że Syryjczycy wjeżdżali już do Izraela... - Bock zamilkł i potrząsnął głową. - Tylko co się robi z taką bombą?

- Dobre pytanie, Günther.

- Za wcześnie, żeby je zadawać. Najpierw trzeba sprawdzić, czy da się naprawić bombę. Później musimy obliczyć siłę wybuchu. Nie, najpierw musimy znać wagę bomby, wymiary i możliwości jej ukrycia. To najważniejsze względy. Potem siła wybuchu, można założyć ją z grubsza... Ale jak, z grubsza? Nie mam pojęcia o bombach atomowych. Na pewno nie są bardzo ciężkie, istnieją przecież pociski atomowe do dział, kaliber mniejszy niż dwieście trzy milimetry, więc chyba...

- Ta bomba była dużo większa, przyjacielu.

- Niepotrzebnie mi powiedziałeś o tym wszystkim. W takich sprawach bezpieczeństwo przede wszystkim. Nikomu nie można powierzyć takiej tajemnicy, nikomu. Ludzie lubią gadać różne rzeczy, przechwalać się... Nawet w twojej organizacji mogli się znaleźć agenci.

- Musiałem ci powiedzieć. Hosni twierdzi, że będzie mu potrzebna pomoc. Zostały ci jeszcze jakieś stare kontakty w NRD?

- Niby jakie?

Kati wyjaśnił, kogo potrzebuje.

- Owszem, znam kilku inżynierów, pracowali później w atomistyce NRD... Wiesz, że wszystkie ich elektrownie idą do rozbiórki?

- Jak to?

- Honecker kazał zbudować kilka reaktorów, według radzieckich projektów. Po zjednoczeniu Niemiec obrońcy środowiska spojrzeli na to, co się dzieje, i... Możesz sobie dośpiewać resztę. Rosyjskie konstrukcje nie cieszą się najlepszą sławą, delikatnie mówiąc. - Günther odchrząknął. - Powtarzałem ci zresztą ze sto razy, że Rosjanie to zacofany naród. Mówił mi ktoś, że ich reaktory wymyślono głównie do produkcji materiału rozszczepialnego do bomb.

- Ach, tak?

- Właśnie. Można się domyślać, że w NRD także trwały prace nad bronią atomową. Ciekawe...

Nigdy nie przyszło mi to jakoś do głowy. Ale zaraz, co właściwie mam dla ciebie zrobić?

- Musisz pojechać do Niemiec i znaleźć specjalistów. Najlepiej tylko jednego, z oczywistych względów. Sami nie damy rady.

Znów do Niemiec?, przeraził się w duchu Bock, lecz powiedział tylko:

- Do tego potrzebne będą...

- Masz - Kati rzucił mu na podłokę grubą kopertę. - Bejrut to od stuleci skrzyżowanie gościńców. Te dokumenty są lepsze od prawdziwych.

- Musisz też natychmiast przenieść obóz - dodał Bock. - Jeżeli mnie złapią, załóż z góry, że wyśpiewałem wszystko, co wiem. Złamali Petrę, więc równie łatwo mogą złamać mnie czy kogokolwiek.

- Będę się modlił za twoje bezpieczeństwo. W kopercie znajdziesz numer telefonu. Kiedy wrócisz, będziemy już gdzie indziej.

- Kiedy mam wyruszyć?

- Jutro.

MAJSTERKOWICZE

- Wchodzę za dziesięć centów - zaliczył Ryan na widok kart.

- Blefuje pan, i tyle. - Chavez pociągnął łyk piwa.

- Nigdy nie blefuję - odparł Jack.

- Nie wchodzę. - Clark złożył karty.

- Z ludźmi tak zawsze - zauważył sierżant lotnictwa. - Jak tylko zobaczą dychę, zaczynają się trząść o swoje centy.

- Sprawdzam - przerwał Chavez.

- Trzy walety.

- Moje ósemki na drzewo - zafrasował się sierżant.

- Ale strit i tak bierze, doktorze - oświadczył Chavez, dopijając piwo. - Kurczę, jestem już pięć doliców do przodu.

- Synku, nigdy nie licz wygranej przy stole - pouczył go Clark słowami znanej piosenki.

- Nie przepadam za tą melodią - wykrzywił się ku niemu Chavez. - Ale za to lubię grać.

- Myślałem, że z was, zajęcy, marni pokerzyści - zdziwił się nieprzyjemnie lotnik. Stracił już trzy dolary, mimo że w pokerze uważał się za zawodowca. Podczas długich lotów musiał ćwiczyć przy jednym stoliku z politykami, którym potrzebny był ktoś, kto będzie trzymał bank.

- Pierwsza rzecz, jakiej cię uczą w CIA, to jak znaczyć karty - oświecił go Clark i poszedł przynieść wszystkim kolejne piwo.

- Zawsze żałowałem, że nie byłem na tym szkoleniu w "cielętniku" - stwierdził Ryan, który wyszedł mniej więcej na czysto, choć karta szła mu świetnie. Chavezowi szła wyraźnie jeszcze lepiej. - Następnym razem dam wam zagrać z moją żoną.

- Taka karciara? - zapytał Chavez.

- Nie, chirurg. Rozdaje podwójną kartę tak zręcznie, że zmyli zawodowego szulera. - Bawi się kartami, żeby ćwiczyć zręczność dłoni - dodał Ryan i zażartował: - Dlatego ma u mnie zakaz rozdawania.

- Nie wierzę, żeby pani Ryan oszukiwała w karty - sprzeciwił się Clark, który powrócił tymczasem do stolika.

- Rozdajesz - trącił go Ding Chavez.

Clark potasował karty, na czym również znał się niezgorzej.

- I co na to wszystko nasz doktor?

- Chodzi o Jerozolimę? Wszystko lepiej niż przypuszczałem. A wam jak się podobało?

- Ostatni raz byłem tam, kiedy? Chyba w osiemdziesiątym czwartym roku. Mieli wtedy taki sam burdel, jak my w Olongapo. Czuło się w powietrzu, że zaraz coś pierdolnie. A jeszcze ci ludzie, którzy patrzyli się na ciebie... A teraz? Wszystkim jakby trochę przeszło. To co, po pięć?

- Bank decyduje - zgodził się sierżant.

Clark rozdał karty z kupki i dołożył do rozdania otwarte karty ze stolika.

- Dziewiątka pik dla asa lotnictwa. Piątka karo dla latynoskiej młodzieży. Królowa trefl dla doktora, a dla banku... O, proszę. Bank dostaje asa. As wchodzi za dwadzieścia pięć centów. - No więc, co sądzisz, John? - zapytał Ryan po pierwszej rundzie licytacji.

- Strasznie pan ufa moim przeczuciom. Pewność będziemy mieli dopiero za parę miesięcy, ale,

moim zdaniem, wszystko gra. - Clark rozdał cztery następne karty. - Chyba widzę strita. Ejże, widzę strita w kolorze u asa lotnictwa. Co na to lotnictwo?

- Dokładam dwadzieścia pięć - sierżant wierzył w swoją dobrą passę. - Faktycznie, nawet te psy z izraelskiej bezpieki trochę jakby zmiękły.

- Naprawdę?

- Doktorze, kto jak kto, ale Izraelczycy wiedzą, jak mieć oko na wszystko. Ile razy tam latałem, stawiali mur wokół maszyny, nie? Tak samo i tym razem, ale mur był trochę niższy niż zwykle. Znaczą się, dało się z tymi strażnikami porozmawiać, pożartować. Nie żeby oficjalnie, ale tak, prywatnie. Dawniej nawet gęby nie otworzył taki do człowieka. Dla mnie to już jest wielka różnica.

Ryan uśmiechnął się, składając karty. Mógł się schować ze swoją ósemką, damą i waletem. Dowiedział się jednak, czego chciał. Sierżanci zawsze dostarczali lepszych informacji niż generałowie.

- Mamy więc przed sobą - Hosni przerzucił kartki, szukając właściwej strony -izraelską kopię amerykańskiej bomby atomowej Mark-12. Model z podwyższoną mocą rażenia.

- Co to znaczy?

- Znaczą tyle, że w chwili, kiedy rozpoczyna się reakcja łańcuchowa, do rdzenia bomby wstrzykuje się tryt. Dzięki temu wzrasta liczba neutronów, a tym samym ogromnie zwiększa się szybkość reakcji. W ten sposób można wprawdzie uzyskać dużą moc wybuchu z małej ilości materiału rozszczepialnego, ale...

- Ale? - nie wytrzymał Kati.

Hosni odchylił się do tyłu i spojrzał na ładunek rozszczepialny.

- Przy upadku roztrzaskał się mechanizm wstrzykiwania trytu. To samo dotyczy przełączników krytonowych, które pośredniczą przy odpaleniu ładunku konwencjonalnego. Trzeba je wszystkie wymienić. Kostek materiału wybuchowego zostało nam na szczęście dostatecznie wiele, żeby odtworzyć odpowiednią konfigurację, ale to nie znaczy, że nowe kostki tak łatwo wyprodukować. Niestety nie uda nam się odtworzyć pierwotnej bomby kawałek po kawałku. Najpierw musiałbym poznać teoretyczne zasady działania tego modelu, upewnić się, na co można z nim liczyć, a na co nie można, potem odtworzyć proces produkcyjny. Macie wy chociaż pojęcie, ile kosztowały prace nad pierwszą bombą?

- Nie - przyznał Kati, przekonany, że zaraz pozna potrzebną kwotę.

- Więcej niż pochłonął cały program lotów na Księżyc. Nad bombą pracowali najwięksi geniusze stulecia - Einstein, Fermi, Bohr, Oppenheimer, Teller, Alvarez, von Neumann, Lawrence i całe setki innych! Giganci współczesnej fizyki! Giganci!

- Chcesz powiedzieć, że nic tu nie wskórasz?

- Cierpliwości, komendancie - uśmiechnął się Hosni. - Przeciwnie, chcę powiedzieć, że dam sobie radę. To, do czego za pierwszym razem potrzeba geniusza, następnym razem robi zwykły majsterkowicz. Geniusz potrzebny jest tylko na początku, właśnie dlatego, że chodzi o pierwsze kroki, w dodatku przy prymitywnej technologii. Przecież ci fizycy musieli obliczać wszystko na papierze albo na wielkich kalkulatorach mechanicznych. Do prac nad pierwszą bombą wodorową wynaleziono komputer, nazywał się bodaj Eniac. Ale dziś? - Myśl była tak absurdalna, że Hosni nie mógł opanować śmiechu. - Zwykła gra komputerowa ma większą moc obliczeniową niż cały Eniac. To, na co Einstein potrzebował miesięcy, mogę w parę sekund obliczyć na porządnym komputerze osobistym. Ale najważniejsze, że tamci fizycy nie wiedzieli, czy zadanie jest wykonalne. A my? My wiemy, że jest! Poza tym istnieją dokładne zapisy tamtych prac, a my na dokładkę mamy przed sobą

działający egzemplarz, który mógłbym skopiować, chociaż lepiej będzie użyć go jako podstawy do obliczeń. Dajcie mi dwa, trzy lata, a sam jeden zbuduję taką bombę.

- Kto ci powiedział, że mamy aż tyle czasu?

Hosni potrząsnął głową. Sam przecież opowiadał niedawno komendantowi, co widział w Jerozolimie.

- Wiem, komendancie. Nie mamy czasu.

Kati streścił Hosniemu polecenie, które wydał Niemcowi.

- Świetnie. Dokąd przenosimy bazę?

Berlin był niegdyś stolicą Niemiec. Podobną rolę przewidział dla tego miasta Bock w świetlanej przyszłości, choć zupełnie inaczej wyobrażał sobie zjednoczone Niemcy. Przyleciał do Berlina z Włoch, z przesiadkami w Syrii i w Grecji. Celnicy nawet nie chcieli spojrzeć na jego paszport. Najspokojniej w świecie wynajął więc samochód i autostradą E-74 ruszył na północ, w kierunku Greifswaldu.

Günther wynajął mercedesa. Usprawiedliwiał się sam przed sobą, że rozmyślnie wybrał drogą markę, jaka przystoi podróżującemu człowiekowi interesu. Mercedes nie był poza tym największym wozem w wypożyczalni. Teraz zastanawiał się chwilami, czy nie lepiej było wynająć sobie rower. Ponieważ władze NRD doszczętnie zaniedbały autostradę, obecnie jej wstęga na całej długości zmieniła się w plac budowy. Jak na złość pasy wiodące w kierunku Berlina dawno zostały naprawione. Kątem oka Günther dostrzegał olbrzymie merce i BMW, które mknęły na południe, wioząc kapitalistów walczących o schedę po kraju - ofierze zdrady politycznej.

Bock zjechał z autostrady na przedmieściach Greifswaldu i skręcił na wschód, przejeżdżając przez Chemnitz. Brygady asfalcjarzy nie dotarły jeszcze do szos drugiej klasy. Po zaliczeniu szóstej dziury w jezdni Günther zjechał na pobocze i sprawdził mapę. Ujechał jeszcze trzy kilometry, kilkakrotnie zakręcił i dotarł nareszcie do luksusowego niegdyś osiedla dla inżynierów. Przed domem, którego szukał, ujrzał zaparkowanego trabanta. Bocka nie zaskoczył widok przystrzyżonego trawnika ani idealny porządek wokół domku, łącznie z odciągniętymi pod sznurek firanami. Ostatecznie znajdował się w Niemczech. W całym osiedlu wyczuwało się jednak nastrój opuszczenia i ruiny. Zaparkował samochód spory kawałek dalej i pieszo, okrężną drogą, powrócił pod dom.

- Chciałbym widzieć się z panem doktorem Frommem - oświadczył kobiecie w drzwiach, prawdopodobnie samej Frau Fromm.

- Z kim mam przyjemność, jeśli wolno zapytać? - usłyszał w odpowiedzi. Siłaca się na uprzejmość pani Fromm była po czterdziestce, miała zapadłe policzki i wyschniętą cerę, za dużo zmarszczek wokół bladoniebieskich oczu i wąskie, bezkrwiste wargi. Na człowieka, który stał na progu, spoglądała z ciekawością, może nawet z nadzieją. Bock nie miał pojęcia, skąd bierze się w niej takie nastawienie, lecz postanowił wykorzystać tę sposobność.

- Jesteśmy starymi przyjaciółmi - odrzekł z uśmiechem, który miał wystarczyć za odpowiedź. - Czy mogę zrobić mężowi niespodziankę?

Frau Fromm zawahała się przez moment. Zebrała się jednak w sobie i przywołała na pomoc dobre maniery.

- Ależ proszę.

Bock, oczekując Fromma w dużym pokoju, zdał sobie sprawę, że trafnie ocenił nastawienie pani Fromm, choć wciąż zachodził w głowę, skąd się brało. Wnętrze przypomniało mu ich własne mieszkanie w Berlinie. Te same robione na specjalne zamówienie meble, które niegdyś odbijały się korzystnie na tle masowej tandety na użytek obywateli NRD, dziś wydawały się byle jakie. Wszystko

przez tę jazdę mercedesem, pomyślał, lecz zreflektował się w ostatniej chwili. Wrażenie wywoływał po prostu kurz. Frau Fromm zaniedbywała się w obowiązkach wzorowej niemieckiej gospodyni. Nieomylny znak, że w domostwie trwa kryzys.

- Słucham? - zapytał stając w drzwiach doktor Manfred Fromm. Nagle jednak wytrzeszczył oczy, poznając, kim jest gość. - Nareszcie! Szmata czasu, co?

- Zastanawiałem się, czy poznasz starego kumpla Hansa - zarechotał Bock i wyciągnął prawicę. - Rzeczywiście, Manfred, szmata czasu.

- Tyle lat, popatrz, popatrz, Junge! Chodź do mojej gawry! - Ruszyli na górę, odprowadzani ciekawym wzrokiem pani Fromm. Na górze gospodarz starannie zamknął drzwi i oświadczył:

- To straszne, co stało się z twoją żoną. Moje wyrazy współczucia.

- To już przeszłość. Jakże się miewasz?

- Nic nie wiesz? "Zieloni" usiedli nam na karku. Mamy zamknąć wszystkie reaktory.

Oficjalnie doktor Manfred Fromm pełnił funkcję zastępcy wicedyrektora elektrowni jądrowej Lubmin/Nord, zbudowanej dwadzieścia lat wcześniej. Radzieckie reaktory WWER typu 230, choć prymitywne, nie sprawiały kłopotu wyszkolonej niemieckiej obsłudze. Jak wszystkie radzieckie reaktory z tamtego okresu, także i te, czynne jeszcze w Greifswaldzie, wytwarzały pluton i choć, jak to udowodnił Czarnobyl, nie były ani wydajne, ani szczególnie bezpieczne, miały tę zaletę, że oprócz ośmiuset szesnastu megawatów energii elektrycznej dostarczały materiału rozszczepialnego zdolnego do produkcji bomb atomowych.

- "Zieloni" - rzekł w zamyśleniu Bock. - Więc to ich sprawa.

Ruch "zielonych" był naturalnym wytworem niemieckiego ducha narodowego, który nakazywał z jednej strony czcić wszystko, co żyje, z drugiej zaś dążyć do tego, by pozabijać, co się da. "Zieloni" stanowili początkowo skrajny (albo może jedyny konsekwentny) odłam ruchu obrońców środowiska, lecz ich walka przyczyniła się do upadku ustroju realnego socjalizmu. Wprawdzie nie udało się "zielonym" zapobiec rozmieszczeniu na Zachodzie pocisków atomowych średniego zasięgu, wyeliminowanych dopiero po obu stronach w wyniku traktatu INF, lecz teraz skutecznie doprowadzali do rozpaczki polityków byłej Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Pola do działania dostarczało ochroniarzom makabryczne zatrucie środowiska w całych Niemczech Wschodnich. Listę przeciwników ruchu otwierała energetyka atomowa, określana jako "koszmarnie niebezpieczna". Bock przypominał sobie także, iż "zieloni" nigdy nie chcieli się podporządkować innym siłom politycznym, przez co skazywali się na marginesową rolę i dawali się oszukiwać rządowi, któremu niegdyś tak skutecznie grali na nosie. Dawniej "zieloni" podnosili krzyk, że Krupp zatruwa Ren i Zagłębie Ruhry i demaskowali NATO, wmuszające Niemcom broń jądrową, podczas gdy dziś podbijali Wschód z zaciekłością jeszcze większą od zapału, z jakim Fryderyk Barbarossa łupił Ziemię Świętą.

Fromm i Bock zetknęli się pięć lat wcześniej, kiedy Frakcja Armii Czerwonej wpadła na pomysł, by wysadzić w powietrze zachodniemiecki reaktor i potrzebowała wskazówek technicznych, jak najłatwiej tego dokonać. Choć nigdy nie ujawniono tego publicznie, plan udało się udaremnić dosłownie w ostatniej chwili. Rozgłos wokół sukcesów wywiadu, czyli BND, miałby dokładnie odwrotne skutki dla zachodniemieckiej energetyki atomowej.

- Jeszcze tylko rok i złączą rozbiórkę elektrowni. Już teraz chodzę do pracy ledwie na trzy dni w tygodniu. Przyjęli na moje miejsce "eksperta technicznego" z Zachodu, oczywiście. Łaskawie pozwala sobie jeszcze coś doradzić - opowiadał Fromm.

- Nie powiesz mi, że to już wszystko, co, Manfred? - zagadnął Bock. Fromm był przecież także naczelnym inżynierem w ulubionym wojskowym zespole badawczym Ericha Honeckera. Choć łączyła

ich przynależność do braterskiego obozu socjalistycznego, Niemcy z NRD i Rosjanie nie przepadali za sobą. Oba narody psuły sobie krew od tysiąca lat i o ile Niemcy spróbowali przynajmniej stworzyć jaki taki socjalizm, radziecka wersja tego systemu okazała się parodią. Nieufność sprawiła, że Ludowa Armia NRD nigdy nie była równorzędnym przeciwnikiem dla Bundeswehry. Rosjanie do ostatka bali się Niemców, nawet tych oswojonych, a potem bez najmniejszej przyczyny zezwolili na połączenie się obu państw. Erich Honecker zdawał sobie sprawę, że nieufność Moskwy może przynieść fatalne skutki strategiczne i dlatego nakazał, by zatrzymać w NRD część plutonu z reaktorów powielających w Greifswaldzie i innych miejscach. Manfred Fromm znał się więc na produkcji bomb atomowych równie dobrze, jak Amerykanie czy Rosjanie, choć nigdy nie było mu dane wykorzystać tej wiedzy w praktyce. Zapas plutonu, odkładany w najgłębszej tajemnicy przez dziesięć lat, w ostatniej chwili oddano w ręce Moskwy w geście marksistowskiego poddaństwa, licząc, że w ten sposób materiał nie trafi przynajmniej w ręce zachodnich współbraci. Honorowa decyzja wywołała falę wściekłych oskarżeń; na tyle bolesnych, że w ich wyniku na wschód nie dojechała ostatnia partia materiału. Dawne kontakty Fromma i jego kolegów z fizykami z Rosji urwały się zupełnie.

- Ach, nie. Dostałem ciekawą propozycję, z Argentyny - Fromm podniósł z biurka żółtą kopertę.

- Wyobraź sobie, że zapraszają mnie do pracy. Paru moich kolegów z RFN siedzi tam już od lat, razem z resztą znajomych.

- Ile ci proponują?

Fromm nie był zachwycony pytaniem, lecz odrzekł bezbarwnym tonem:

- Milion marek zachodnich rocznie, do chwili zakończenia prac. Żadnych kłopotów z podatkami - anonimowe konto w banku i wszystko, czym się normalnie zachęca takich jak ja.

Obaj wiedzieli, że Fromm nigdy nie skorzysta z propozycji. Praca dla faszystów była w jego przypadku taką samą niemożliwością, jak oddychanie pod wodą. Dziadek Fromma, jeden z założycieli Związku Spartakusa, zginął w którymś z pierwszych obozów pracy tuż po dojściu Hitlera do władzy. Ojciec działał w komunistycznej konspiracji i zajmował się szpiegostwem. Jakimś cudem udało mu się przetrwać wojnę, mimo systematycznych polowań ze strony gestapo i Sicherheitdienst. W chwili śmierci był szanowanym emerytem, członkiem Niemieckiej Partii Jedności. Fromm poznał więc podstawy marksizmu-leninizmu, zanim nauczył się chodzić. Również grożąca mu obecnie redukcja nie rozbudzała w nim entuzjazmu do nowego ustroju, do którego wpojono mu nienawiść. Stracił pracę, nie udało mu się spełnić największej życiowej ambicji, a teraz musiał znosić, że pomijał nim jak kancelistą pyzaty inżynierek z Getyngi. Co najgorsze, żona dowiedziała się o argentyńskiej ofercie i zmieniła życie rodzinne w piekło, domagając się, by Manfred przyjął propozycję.

- Powiedz mi lepiej, Günther, co cię tu sprowadza. Szukają cię w całym kraju! Przebranie przebraniem, ale sam wiesz, że to niebezpieczne.

- Prawda, jakie cuda mogą działać peruka i okulary? - zapytał pewnym siebie tonem Bock.

- Nie odpowiedziałeś mi na pytanie.

- Mam przyjaciół, którzy liczą na twoje talenty.

- Jakich znów przyjaciół? - zapytał nieufnie Fromm.

- Politycznie jak najbardziej do przyjęcia. I dla ciebie, i dla mnie. Ja też nie zapominałem o Petrze - odparł Bock.

- Pamiętasz tamten nasz plan? Mógł się udać. Co się takiego stało?

- Mieli wśród nas kapusia. Kobietę. Podszeptała im, żeby zmienili system straży wokół elektrowni na trzy dni przed akcją.

- Pewnie "zielona"?

- Zgadłeś - Günther pozwolił sobie na uśmiech, podszyły goryczą. - Ja, w ostatniej chwili ruszyło ją sumienie. A co będzie z ofiarami wśród ludności, a co będzie ze środowiskiem.. Ma czego chciała, pomogliśmy jej złączyć się ze środowiskiem.

Bock pamiętał, że Petra osobiście pociągnęła za spust. Nie ma nic gorszego od kapusia, w dodatku kobiety. Petra uważała, że to własne ona powinna wykonać wyrok.

- Złączyć się ze środowiskiem? Ileż w tym poezji. - Był to pierwszy żart Fromma. Udał mu się mniej więcej tak samo, jak wszystkie żarty. Manfred Fromm słynął z braku poczucia humoru.

- Nie mogę ci zaproponować pieniędzy. Nie mogę ci nawet powiedzieć nic ponadto, co usłyszałeś. Musisz to rozważyć i sam zdecydować.

Bock nie miał przy sobie pistoletu, lecz w kieszeni trzymał nóż. Ciekawiło go, czy Manfred zdaje sobie sprawę, przed jakim wyborem stanął.

Pewnie nie. Mimo ideologicznej czystości, Fromm był technokratą i niewiele do niego docierało.

- Kiedy wyruszamy?

- Jesteś pod obserwacją?

- Nie. Musiałem pojechać do Szwajcarii na rozmowę w sprawie tamtej "oferty". O takich rzeczach nie można rozmawiać nawet w naszych zjednoczonych, radosnych granicach. Sam załatwiałem sobie bilety i rezerwacje. Nie przypuszczam, żeby mnie ktoś śledził.

- W takim razie możemy wyruszyć natychmiast. Niczego nie zabieraj - przestrzegł Bock.

- Ale co powiem żonie? - zapytał Fromm, dziwiąc się, że w ogóle go to obchodzi. Jego małżeństwo nie należało do udanych.

- To już twoja sprawa.

- Wolę się trochę spakować. Tak będzie mi łatwiej. Jak długo...?

- Tego nie wiem.

Pakowanie zabrało pół godziny. Fromm wyjaśnił żonie, że musi wyjechać na parę dni, żeby odbyć następną rundę pertraktacji. Żona ucałowała go z nadzieją. W Argentynie może być tak pięknie, a jeszcze piękniej byłoby przestać żyć w takiej nędzy. Może ten dziwny przyjaciel przemówi mężowi do rozumu. Podjechał po walizki mercedesem, to o czymś świadczy. Może to właśnie on trzyma klucz do przyszłości?

Trzy godziny później Bock i Fromm odlatywali do Rzymu, gdzie po godzinnym postoju wsiedli w samolot do Turcji. Z Turcji polecieeli do Damaszku, znaleźli tam hotel i zdołali wreszcie trochę odsapnąć.

Zamiast znaleźć w oczach Hosniego, Marvin Russel urósł do rangi prawdziwego olbrzyma. Indianin wypocił z siebie w gorącym klimacie resztki sadła, a codzienne ćwiczenia z bojownikami organizacji wzmocniły go jeszcze. Przy obecnej opaleniznie łatwo można go było wziąć za Araba. Jedyne, co denerwowało Hosniego, to zabobony Marvina. Żołnierze donieśli komu trzeba, że Amerykanin to autentyczny niewierny, bałwochwalca, który na domiar złego modli się do słońca. Muzułmanie kręcili nosem na takie zwyczaje, lecz powoli i delikatnie wtajemniczali Marvina w swoją religię, czekając, aż oświeci go blask prawdziwej wiary. - z meldunków wynikało, że Indianin słucha tych słów z szacunkiem. Ponadto Russell umiał trafić z każdej broni w dowolny cel, w walce wręcz był prawdziwym postrachem -omal nie uczynił kaleką instruktora karate, a w polu potrafił się skradać niczym lis. Według zgodnej oceny, Russell był przebiegłym, bystrym, urodzonym wojownikiem. Gdyby nie jego ekscentryczne wierzenia, wszyscy lubiliby go i podziwiali jeszcze

bardziej. - Marvin, jak tak dalej pójdzie, będę uciekał na sam twój widok! - zażartował Hosni, zwracając się do swego amerykańskiego przyjaciela.

- Kiedy tu przyjechałem, zrobiłem najmądrzejszą rzecz w życiu. Wiedziałem, że znajdę tu paru ludzi, których naród zrobiono w człona tak samo jak mój, ale, słowo daję, nikt lepiej od was nie potrafi się odgryźć. Jesteście ludzie z jajami, tyle ci powiem. - Hosni zamrugał w zaskoczeniu, słysząc taką pochwałę od człowieka, który gołymi dłońmi ukręcił głowę policjantowi. - Chciałbym się wam na coś przydać, kapujesz? - Dla prawdziwego bojownika zawsze znajdzie się miejsce. - Hosni uważał, że gdyby Indianin podksztąpił się trochę w arabskim, byłby z niego świetny instruktor. - Ale, ale. Muszę lecieć.

- Masz coś pilnego?

- Muszę gdzieś podjechać, na wschód od tego miejsca. - W rzeczywistości nowa kryjówka leżała na północy. - Dostałem zadanie specjalne.

- Siedzisz nad tą bombą, cośmy wykopali? - zapytał najspokojniej Indianin. Może tylko udawał lekki ton? Hosni skarcił się za takie podejrzenia. Czujność czujnością, ale nie można wpadać w paranoję.

- Nie, to inna sprawa. Przepraszam, że ci nie opowiem, ale lepiej za dużo nie chlapać.

- Zupełna racja - Marvin kiwnął głową. - Morda w kubek. Mój brat powędrował między sztywnych, bo nie uważał. Trzeba ostrożnie, nie? To na razie.

Hosni podszedł do samochodu i wyjechał z obozu. Przez godzinę włókł się szosą w kierunku Damaszku. Cudzoziemcy zapominali często, jak niewielki jest Bliski Wschód, a przynajmniej jego najważniejsze okolice. Z Jerozolimy do Damaszku, na przykład, dobrą autostradą jechałoby się ledwo dwie godziny, choć politycznie oba miasta leżały na różnych planetach... Przynajmniej do tej pory, uświadomił sobie Hosni. Z Syrii zaczęły ostatnio dochodzić bardzo złe wieści. Czyżby i tam rząd zmęczył się walką? Łatwo mówić, że to niemożliwe... Niemożliwości coś za często zmieniały się ostatnio w rzeczywistość.

Pięć kilometrów przed Damaszkiem Hosni znalazł w umówionym punkcie drugi samochód. Minął go i przejechał jeszcze dwa kilometry, rozglądając się, czy nikt go nie śledzi. Kiedy uspokoił te obawy, zawrócił i podjechał do czekającego auta, którego pasażerowie wysiedli zgodnie ze wskazówkami. Kierowca, również członek organizacji, odjechał, zostawiając ich w polu.

- Dzień dobry, Günther.

- Cześć, Ibrahimie. To mój przyjaciel, Manfred.

Nowi pasażerowie usadowili się z tyłu. Inżynier natychmiast nacisnął na gaz i ruszył, oglądając sobie w lusterku nowego przybysza. Starszy niż Bock, szczuplejszy, z głęboko zapadniętymi oczami. Źle ubrany, jak na ten upał, nic dziwnego, że poci się jak potępieniec. Ibrahim wręczył pasażerom plastikową manierkę z wodą. Nowy, zanim upił choć łyk, starannie wytarł szyjkę chusteczką. "Brzydzimy się brudnych Arabów?" zapytał w duchu Hosni. Zresztą, nie jego zmartwienie, te złe maniery gościa.

Jazda na nowe miejsce zabrała dwie godziny. Hosni rozmyślnie wybrał okrężną trasę, nie zważając na fakt, że uważny obserwator mógł z wnętrza samochodu zorientować się w kierunku według słońca. Inżynier nie wiedział, jakiego rodzaju specjalistą jest cały ten Manfred i choć należało założyć, że zna się na rzeczy, wypadało także zastosować wszystkie sztuczki z repertuaru. Kiedy wreszcie dotarli na miejsce, tylko wyszkolony zwiadowca potrafiłby odtworzyć przebytą trasę.

Kati dobrze wybrał nową bazę. Jeszcze kilka miesięcy temu mieściło się tu stanowisko dowodzenia bojowników z Hezbollah, Partii Boga. Pomieszczenia wkopano w stok stromej

wzgórza, a blaszany dach pokryto ziemią i zasadzono tutejsze wątłe krzaczki. Kryjówkę mógł wypatrzeć tylko obserwator, który dokładnie wiedział, czego szuka, lecz Kati miał zapewnioną dyskrecję poprzednich lokatorów. Sposoby likwidowania szpicli wśród Partii Boga zyskały sobie groźną sławę. Obok kryjówki przebiegała polna droga, wiodąca do opuszczonej chłopskiej zagrody. Wyjałowiona ziemia okolicy nie pozwalała nawet na uprawę opium i haszyszu, głównych płodów rolnych tej krainy. Kryjówka w stoku wzgórza miała może ze sto metrów kwadratowych, betonowe posadzki, a nawet garaż na kilka pojazdów. Za to w wypadku trzęsienia ziemi z całą pewnością zamieniłaby się w grobowiec dla swoich mieszkańców. Hosni nic nie powiedział, choć trzęsienia ziemi zdarzały się nie tak rzadko. Zaparkował samochód między dwiema podporami, na uboczu, a kiedy wysiadł, narzucił na słupki i dach wozu siatkę maskującą. Rzeczywiście, Kati dobrze wybrał bazę.

Największy kłopot sprawiało, jak zawsze, bezpieczeństwo. Z jednej strony im więcej ludzi orientowało się w zadaniu, tym bardziej wzrastało ryzyko. Z drugiej, trzeba było wtajemniczyć pewną ich grupę, chociażby po to, by miał kto pilnować kryjówki. Kati przywiózł ze sobą większość osobistej ochrony - dziesiątkę żołnierzy, na których oddanie i dzielność mógł zawsze liczyć. Żołnierze rozpoznali Bocka i Hosniego. Ich dowódca wyszedł przed szereg, żeby wylegitymować Manfreda.

- To właśnie nasz nowy przyjaciel - oświadczył Hosni dowódcy, który bacznie przyjrzał się twarzy Niemca i oddalił się.

- Was gibt's hier? - zapytał po niemiecku przestraszony Fromm.

- Chcemy panu pokazać coś bardzo ciekawego - odpowiedział Hosni po angielsku.

Manfred przełknął pigułkę.

- Kommen Sie mit, bitte. - Hosni wskazał im drzwi w murze, obok których stał żołnierz z automatem. Broń maszynowa bywa czasem skuteczniejsza od kłódek. Inżynier skinął strażnikowi głową, ten zaś odklonił się niezbyt uprzejmie. Hosni wprowadził gości do pomieszczenia i pociągnął za sznurek, włączając światłówki. Na środku stał metalowy stół zakryty brezentem. Bez słowa wyjaśnienia Hosni odchylił płachtę. Znudziły go już teatralne sceny. Pora naprawdę zabrać się do pracy.

- Gott im Himmel!

- Ja też widzę ją pierwszy raz - przyznał Bock. - Więc tak to naprawdę wygląda?

Fromm nasadził na nos okulary i przez minutę studiował mechanizm.

- Amerykański model, ale produkcja nie amerykańska - zauważył, podnosząc wreszcie głowę. - Nieprawidłowa instalacja. Prymitywne obwody, sprzed dobrych trzydziestu lat... Zrobione później, ale projekt jest stary. Sami popatrzcie, płytki obwodów z lat sześćdziesiątych, najwyżej z wczesnych siedemdziesiątych. Radziecka? Może z tych składów w Azerbejdżanie? - Hosni potrząsnął tylko głową.

- Izraelska? Ist das möglich? Odpowiedziało mu przytaknięcie.

- Nie tylko możliwe, przyjacielu. Masz ją w rękach.

- Bomba lotnicza. Tryt wstrzykiwany do komory rdzenia, żeby zwiększyć siłę wybuchu. Równoważnik trotylowy oceniam na pięćdziesiąt do siedemdziesiąt kiloton. Detonator radarowy i uderzeniowy. Widać, że ją zrzuciono, ale nie wybuchła. Dlaczego?

- Wygląda na to, że ktoś zapomniał wkręcić zapalniki. Ma pan przed sobą wszystko, cośmy znaleźli - wyjaśnił Hosni, który zaczynał już czuć podziw dla Fromma.

Niemiec obmacywał wnętrze pancerza bomby, szukając kabli połączeniowych.

- Racja. Bardzo ciekawe - orzekł, po czym zamilkł. - Wiecie chyba, że można by ją naprawić, a

nawet...

- A nawet co? - zapytał Hosni, który znał odpowiedź.
- Można by tę bombę przerobić na detonator.
- Detonator do czego? - zdziwił się Bock.
- Do bomby wodorowej - pospieszył z odpowiedzią Hosni. - Tak też myślałem.
- Straszny grat, daleko jej do nowych, lekkich modeli. Jak to się mówi, prymitywna, ale pewna...

- Fromm wyprostował się. - Chcecie, żebym ją pomógł naprawić, tak?

- Pomoże pan? - ucieszył się Hosni.
- Dziesięć, nie... Dwadzieścia lat czekałem, uczyłem się... Co z nią chcecie zrobić?
- To dla ciebie takie ważne?
- Nie odpalicie jej w Niemczech?
- Oczywiście, że nie - odrzekł Hosni z irytacją w głosie. Organizacja miała przecież podobne cele co Niemcy.

Bock zwrócił jednak uwagę na to pytanie. Zrozumiał nagle coś, co uszło dotąd jego uwagi, i dobrze to sobie zapamiętał.

- W takim razie pomogę.
- Dobrze zapłacimy - obiecał Hosni. Natychmiast zorientował się, że palnął gafę. Trudno, nie miało to już znaczenia.
- Nie pracuję dla pieniędzy. Bierzecie mnie za najemnika? - oburzył się Fromm.
- Proszę wybaczyć, naprawdę nie chciałem pana urazić. Przywykliśmy, że za dobrą robotę majstrowi należy się zapłata. Niech pan nie myśli, że jesteśmy żebrakami.

Ja też nie jestem żebrakiem - chciał już powiedzieć Fromm, lecz przemógł w nim rozsądek. Ostatecznie nie miał przed sobą Argentyńczyków. To Arabowie, nie żadni faszyci ani kapitaliści. To bracia rewolucjoniści, którym w nowej epoce wiodło się równie marnie, jak komunistom z Niemiec... Inna rzecz, że pieniędzy na pewno im nie brakuje. Nawet Rosjanie nigdy nie dawali Arabom całej tej broni za darmo. Zarówno Breżniew, jak i Andropow sprzedawali ją za ciężkie pieniądze. Jeśli więc mogli inkasować walutę Rosjanie, nawet w czasach, kiedy jeszcze nie zbłądzili, może i...

- Ja też przepraszam. Stwierdziłem tylko fakt, więc bez obrazy. Wiem, że nie jesteście żebrakami, przeciwnie, jesteście żołnierzami rewolucji, bojownikami o wolność. Będę zaszczycony, mogąc wam pomóc w walce. Oczywiście, nie będę się sprzeciwiał, jeśli zapłacicie mi, ile uznacie za stosowne. - Kwota, o której myślał Fromm znacznie przewyższała głupi milion marek. - Lecz proszę pamiętać, Manfreda Fromma nie można kupić.

- Przyjemnie jest spotkać człowieka honoru - skwitował te słowa zadowolony Hosni.

Bock w skrytości uważał, że obaj rozmówcy targują się w sposób bardzo mało subtelny, lecz nie wtrącał się. Zaczynał już podejrzewać, jak będzie wyglądała zapłata dla Fromma.

- A zatem - oznajmił Hosni - od czegoś musimy zacząć.
- Najpierw pomyślmy. Potrzebny mi papier i ołówek.

- A pan co za jeden? - zapytał Ryan.
- Ben Goodley, proszę pana.
- Z Bostonu? - Akcent nie pozostawiał Ryanowi wątpliwości.

- Tak, proszę pana, ze szkoły imienia Kennedy'ego. Jestem na stypendium podoktoranckim, no i od niedawna stypendystą Białego Domu.

- Nancy? - Ryan odwrócił się do sekretarki.

- Dyrektor Cabot polecił wpisać to spotkanie do grafiku.
- W takim razie chodźmy, panie Goodley - uśmiechnął się z rezygnacją Ryan. Clark zmierzył przybysza spojrzeniem i zasiadł na poprzednim miejscu.

- Może kawy?
- A znajdzie się bez kofeiny? - zaniepokoił się Goodley.
- Jeśli chce pan u nas pracować, lepiej od razu się przyzwyczaić do prawdziwej. Siadaj, kolego. Naprawdę nie?

- Nie, nie, dziękuję.
- Żaden kłopot. - Ryan nalał sobie kawy do ulubionego kubka i usiadł za biurkiem. - Co pana zatem sprowadza do naszego zamku tajemnic?

- Jeśli mam się streszczać, to szukam pracy. Pisałem pracę doktorską na temat działalności wywiadu, historii i przyszłości służb. Żeby skończyć mój kolejny artykuł, muszę znaleźć pewne materiały... Ale tak naprawdę chcę się przekonać, czy się w ogóle nadaję.

Jack pokiwał głową. Znał już podobne historie.

- Upoważnienia?

- Dostałem. Mam dostęp do tajnych akt, a teraz jeszcze SD/PM. Pierwszy raz musieli mnie sprawdzić jeszcze w szkole, bo chciałem pogrzebać w archiwach prezydenckich. Większość spoczywa w Waszyngtonie, ale nawet w tych bostońskich znajdzie się sporo poufnego materiału. Byłem nawet w tej grupie, która dostała zgodę na przejrzenie dokumentów z kryzysu kubańskiego.

- W grupie profesora Bledsoe?

- Tak jest.

- Pamiętam to opracowanie. Nick Bledsoe wyciągnął, moim zdaniem, złe wnioski, ale materiał opracował po prostu pierwszorzędnie. - Zamiast uchylić kapelusza, Jack zaznaczył toast kubkiem kawy.

Goodley, który napisał więcej niż połowę tamtej monografii, łącznie z wnioskami końcowymi, zapytał niespokojnie:

- Mógłbym wiedzieć, z czym się pan nie zgadzał?

- Moim zdaniem, ówczesna decyzja Chruszczowa była całkowicie irracjonalna. Istnieją dowody, że kazał rozmieścić na Kubie te rakiety, kierując się impulsem, a nie logiką.

- Ależ skąd. W pracy jest napisane wyraźnie, że Moskwa obawiała się najbardziej naszych rakiet balistycznych średniego zasięgu w Europie, a zwłaszcza tych w Turcji. Decyzja Chruszczowa logicznie wynika z dążenia, żeby utrzymać globalną równowagę sił.

- Wasz artykuł nie powiedział wszystkiego - zaznaczył Jack.

- Na przykład czego? - Goodley z trudem ukrył złość.

- Nie wspomnieliście, na przykład, o informacjach, jakie mieliśmy od Pienkowskiego i innych. Ich raporty nadal są utajnione i pozostaną przez następne dwadzieścia lat.

- Pięćdziesiąt lat to strasznie długo, prawda?

- Pewnie, że długo - zgodził się Ryan. - Istnieją jednak dobre powody. Część z tych informacji... Całość wprawdzie się zestarzała, ale pewnych fragmentów tak czy siak nie chcemy ujawniać.

- Trochę w tym przesady - zauważył Goodley tak dyplomatycznie, jak tylko potrafił.

- Wcale nie. Powiedzmy, że w tamtych czasach pracował dla nas agent BANAN. W porządku, BANAN dawno nie żyje, powiedzmy, że umarł ze starości, nie ma sprawy. Ale przecież nadal pracuje dla nas agent GRUSZKA, którego BANAN zwerbował w swoim czasie. Jeżeli Ruscy dowiedzą się, kim był BANAN, dojdą po nitce do kłębka, że nie wspomnę nawet o sposobach przekazywania informacji. Ludzie grają w brydża od stu lat, ale licytacja wciąż wygląda mniej

więcej tak samo. Ja też myślałem podobnie jak pan, Ben. Prędko okazuje się, że procedura nie przypadkiem wygląda tak, jak wygląda.

Kolejny niewolnik systemu - pomyślał Goodley.

- Tak przy okazji, czy zwrócił pan uwagę, że ostatnia partia taśm z pamiętnikami Chruszczowa dokładnie zaprzecza temu, co pisał Nick Bledsoe? Aha, i jeszcze jedno.

- Słucham?

- Powiedzmy, że wiosną tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku John Kennedy dostał meldunek, z pewnego źródła i tak dalej, że Chruszczow chce przebudować cały ustrój. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym roku rozpędził całą Armię Czerwoną, później wziął się do reformowania partii. Powiedzmy zatem, że Kennedy wiedział o takim planie. Dobra wróżka powiedziała mu na przykład, że jeśli popuści trochę Rosjanom, może jeszcze w latach sześćdziesiątych doczeka się odprężenia. Strach pomyśleć, głośność trzydzieści lat przed faktem. Przypuśćmy, że naprawdę tak było, i że nasz prezydent wszystko sknocił, bo uznał, że z przyczyn politycznych nie popuści ani trochę Nikicie... Taki scenariusz oznaczałby, że całe lata sześćdziesiąte były jedną wielką pomyłką, razem z Wietnamem i całą resztą burdelu.

- Nie wierzę. Przeszukałem dokładnie archiwa. Taka wersja nie ma pokrycia, nie zgadza się z linią...

- Spodziewa się pan konsekwentnej linii u polityka? - przerwał Ryan. - To bardzo nowatorski pomysł.

- Jeśli chce mi pan powiedzieć, że naprawdę tak było...

- Wysnułem jedynie taką hipotezę. - Jack podniósł brew, irytując się w duchu na niezgułów, którzy nie potrafią pozbierać do kupy oczywistych przesłanek i informacji. Brak podobnej analizy dowodził po raz nie wiadomo który, że w firmie nie dzieje się najlepiej. Firma w Langley obchodziła Jacka najbardziej ze wszystkiego. Historię można pozostawić historykom. Chyba że pewnego dnia uda się Jackowi wstąpić w ich szeregi. Kiedy tak się wreszcie stanie, chłopie?

- Nikt by w to nie uwierzył.

- Nikt? Większość ludzi i tak jest przekonana, że Lyndon Johnson zawdzięcza przegraną z Eugenem McCarthym w prawyborach w New Hampshire wietnamskiej ofensywie Tet. Witamy w świecie wywiadu, doktorze Goodley. Wie pan, dlaczego tak trudno jest poznać prawdę?

- Nie, dlaczego?

- Dlatego, że musimy się zwykle przyznać sami przed sobą, że dawaliśmy się dotąd robić w jajo. Nie tak łatwo się przyznać.

- A co pan powie na rozpad Układu Warszawskiego?

- Dokładnie taka sama historia - przytaknął Ryan. - Mieliśmy wszystkie objawy przed nosem, ale pozostaliśmy ślepi na to, co się stanie. No, może nie do końca ślepi. Młodzi z PR, pionu rozpoznania - dodał Jack niepotrzebnie, urażając Goodleya - w porę podnieśli krzyk, tylko co z tego, kiedy ich zwierzchnicy wyciszili te meldunki.

- A pan jak sobie radził?

- Jeżeli dyrektor wyrazi zgodę, pokażemy panu trochę tamtych materiałów. Nawet większość, czemu nie? Zobacz pan, jaka masa agentów, rezydentów i kogo tam jeszcze wykołegowała się z gry. Jasne, że zawaliliśmy wtedy sprawę wszyscy, ze mną włącznie. Moją wadą na tym stanowisku jest taktyczny punkt widzenia, zamiast globalnego.

- Widzi pan drzewa, ale nie widzi lasu?

- Dokładnie - przytaknął Ryan. - W tym budynku to powszechna przypadłość. Nawet jeśli człowiek zdaje sobie z niej sprawę, taka świadomość niewiele pomaga.

- Pewnie tego mam się tutaj nauczyć - domyślił się Goodley.

- Sam zaczynałem podobnie, a co? Witamy na pokładzie. Od czego chce pan zacząć, doktorze Goodley?

Ben doskonale wiedział, od czego chce zacząć. Jeśli Jack Ryan nie domyślił się, o co chodzi, sam był sobie winien.

- Dobrze, tylko gdzie kupić te komputery - zapytał Bock. Fromm zamknął się na osobności z zapasem papieru i ołówków.

- Najlepiej w Izraelu, a jeśli nie, to w Jordanii albo w Turcji.

- To będzie kosztowało niezły pieniądz - przestrzegł Fromm.

- Dowiedziałem się już o te obrabiarki numeryczne. Faktycznie, drogie jak piorun.

Ale nie za drogie, pomyślał Hosni. Miał przecież dostęp do kwot, od których temu niewiernemu zakręciłoby się w głowie.

- Dowiedzmy się najpierw, czego potrzebuje twój przyjaciel. Spokojnie, kupimy wszystko, co trzeba.

NA WARSZTACIE

- Co mnie podkusiło do tego stołka?

Roger Durling był człowiekiem próżnym. Udało mu się najpierw wyprzedzić stuprocentowego faworyta w wyścigu o fotel w Senacie, później został najmłodszym gubernatorem w dziejach Kalifornii. Słyszał oczywiście, że zarozumialstwo jej wadą, lecz, jego zdaniem, było ono w tym przypadku całkowicie uzasadnione.

- Trzeba było odczekać parę lat - myślał teraz. - Trzeba było wrócić do Senatu i samemu pchać się do prezydentury, zamiast wchodzić w układy, iść Fowlerowi na rękę... Ładnie mi się odpłacił!

Durlingowi nie podobał się zwłaszcza samolot, którym leciał, Air Force Two. O ile Air Force One oznaczać może tylko jedno, to jest prezydenckiego boeinga, Air Force Two to kryptonim jakiegokolwiek maszyny, w której akurat znajduje się wiceprezydent kraju. Żart, a nie samolot. Podobnym żartem okazało się stanowisko wiceprezydenta, choć Durling nie do końca zgadzał się z Johnem Nancem Garnerem, który twierdził, że sprawować tę godność, "to jak pić kufel ciepłej plwociny." Ojcowie Założyciele, którzy wymyślili Amerykę, zdaniem Durlinga, od samego początku mieli pecha do wiceprezydentury. W przeszłości stanowisko to było jeszcze gorsze, gdyż początkowo wiceprezydentem zostawał przegrany rywal zwycięzcy wyborów, który jako patriota miał sprawować pieczę nad nie swoim rządem i Senatem, służbę ojczyźnie przedkładając nad zawiedzione ambicjki. Kronikarze nigdy jakoś nie zanotowali, w jaki sposób James Madison mógł wymyślić coś równie bzdurnego, lecz jego pomyłkę szybko naprawiono, uchwalając w tysiąc osiemset trzecim roku XII poprawkę do konstytucji. Nawet w epoce, gdy celujący w siebie pojedyńkowicze skłonni byli do zwrotów typu "pańska kolej, sir", wymuszona wielkoduszność nie zdawała egzaminu. Dlatego właśnie uchwalono poprawkę, która zmieniała wiceprezydenta z pokonanego wroga w nieszkodliwy dodatek. To, że tak wielu wiceprezydentów mimo wszystko doczekało się awansu, należało zawdzięczać przypadkowi, nie zaś ustawie, a dzielne wyczyny takich byłych wiceprezydentów jak Andrew Johnson, Theodore Roosevelt i Harry Truman zawdzięczać trzeba opatrności.

Durling wiedział, że opatrność zlekceważy jego ambicje. Bob Fowler był zdrow, rzeński i politycznie tak pewnie osadzony w Białym Domu, jak żaden z jego poprzedników od czasu... Eisenhowera? Może nawet od czasu F.D. Roosevelta, przyznał Durling. Carter usiłował wprowadzić uczynić z wiceprezydenta, w tamtym wypadku z Waltera Mondale'a, równorzędnego partnera, co mogłoby przynieść dobre skutki, lecz nikt nie poszedł w jego ślady. Fowlerowi Durling był zwyczajnie niepotrzebny. Prezydent nawet tego nie ukrywał.

Dlatego właśnie oddelegowano Durlinga do obowiązków drugorzędnych, a właściwie podrzędnych. Dlatego Fowler miał na swój wyłączny użytek specjalnego boeinga 747, podczas gdy Durlingowi dawano pierwszy lepszy samolot z parku, w tym wypadku Gulfstreama VC-20B, którym mógł latać każdy członek rządu, mający uprawnienia. Gulfstreamami latali nawet senatorowie i deputowani Izby, o ile zasiadali w ważnych komisjach lub jeśli prezydent chciał ich przychylnie do siebie nastawić.

Nie bądź małostkowy, skarcił się w myślach Durling. Małostkowość to najlepsza pożywka dla całego gnoju, z którym się musisz borykać.

Kiedy samolot toczył się na początek pasa, Durling uświadomił sobie, że pomylił się jeszcze bardziej niż Madison. Madisonem, który uwierzył, że sprawy kraju można postawić ponad prywatną ambicją, kierował niewczesny optymizm. Durling z kolei zignorował powszechnie znane fakty. Przepaść między prezydentem a jego zastępcą była o wiele głębsza niż pomiędzy Fowlerem a pół tuzinem przewodniczących komisji w Izbie czy w Senacie. Żeby cokolwiek osiągnąć, prezydent musiał żyć w zgodzie z Kongresem. Natomiast na wiceprezydenta mógł spokojnie gwizdać.

Kto Durlingowi kazał pakować się w to wszystko? Wiceprezydenta szczerze rozbawiło to pytanie, choć zadawał je sobie po raz tysięczny. Powodował się wówczas patriotyzmem, lekko tylko zaprawionym polityką. Durling pociągnął za sobą wyborców z Kalifornii, bez których i on sam, i Fowler nadal byłiby gubernatorami. Udało mu się wywalczyć tylko jedno ustępstwo, w postaci mianowania Charliego Aldena doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego, lecz ostatnio utracił i tę przewagę. Jednak to Durling najbardziej się przyczynił do tego, że Fowlerowi udało się wydrzeć prezydenturę rywalizującej partii. W nagrodę mógł się napawać rutynowymi wizytami, podejmować niezbyt ważne decyzje i wygłaszać mowy, które rzadko trafiały na czołówki gazet, choć zwyczajni członkowie rządu co chwila występowali w telewizji. Nawoływał w nich partyjnych lojalistów do lojalności, przedstawiał nowe śmiałe koncepcje, przeważnie poronione, z reguły zaś cudze, i czekał, aż kogoś trafi szlag. Prędzej jednak jego niż prezydenta. Dziś przyszło mu lecieć na konsultacje w kwestii niezbędnych podwyżek podatków - na pokój na Bliskim Wschodzie. Cudowna okazja, żeby się zapisać w pamięci wyborców! Roger Durling miał wygłosić mowę na temat podatków w St. Louis przed publicznością złożoną z hurtowników. Już słyszał tę burzę oklasków, jaka nastąpi.

Sam jednak był sobie winien. Poprzysiągł godnie sprawować urząd. Na kogo wyjdzie, jeśli przestanie się wywiązywać z obowiązków?

Rozkołysany samolot przetoczył się obok hangarów, mijając rozmaite samoloty, w tym NEACP, Boeinga 747 przerobionego na latający ośrodek dowódczy na całe Stany Zjednoczone. Samolot nosił kryptonim "Kneecap" choć osoby bardziej poetyckie nazywały go "Aniołem Zagłady". Przepisy nakazywały stacjonować tę maszynę w odległości dwóch godzin lotu od miejsca, w którym się znajdował prezydent (co przysparzało niesamowitych kłopotów, jeśli prezydent wybierał się do Rosji albo do Chin). Jedynie na pokładzie "Anioła Zagłady" prezydent mógł być bezpieczny w wypadku zagrożenia atomowego, lecz w obecnych spokojnych czasach mało kto się przejmował takimi względami. Durling spoglądał na obsługę, uwijającą się w drzwiach samolotu. Kongres nie obciążał, jak dotąd, funduszków na "Anioła", stanowiącego część parku maszyn Białego Domu, dzięki czemu maszynę nadal utrzymywano w stanie gotowości do lotu. Durling pomyślał, że wkrótce tu może nastąpić zmiana, jak we wszystkim dookoła.

- Jesteśmy gotowi do startu. Czy pas zapięty? - zapytał steward w randze sierżanta.

- A jak! Puszczaj parę pod kotły! - zakomenderował wesoło Durling. Wiedział, że pasażerowie Air Force One często umyślnie nie zapinają pasów, by okazać wiarę w samolot i w umiejętności załogi. Jeszcze jeden dowód, że maszyna wiceprezydenta to latająca trumna. Trudno jednak rugać sierżanta, że wykonuje obowiązki jak należy i troszczy się o pasażera. Wiceprezydent pomyślał, że starszemu sierżantowi lotnictwa należy się z tego względu większy szacunek niż niejednemu z polityków. Ale przecież zawsze tak było.

- Startujemy.

- Znowu? - Ryan nie wierzył własnym uszom.

- Tak jest - potwierdził głos w słuchawce.

- Dobrze, będę za parę minut.

Ryan dopił kawę i ruszył w stronę gabinetu Cabota. Zaskoczyło go, że znów widzi w środku Goodleya. Młodzieniec usiadł jak najdalej, poza zasięgiem dymu z dyrektorskiego cygara. Nawet Jack był zdania, że szef przesadza z naśladowaniem generała Pattona czy innej wielkiej postaci,

- Co się stało, Ryan?

- Znów ten CAMELOT - Jack nie krył zdenerwowania. - Te gnojki z Białego Domu kolejny raz wypięły się na sztab. Mam wziąć udział zamiast nich.

- No i co, nie ma pan czasu?

- Nie o to chodzi. Pamiętam, jak ustaliliśmy cztery miesiące temu, że trzeba namówić Biały Dom do udziału, bo to ważna sprawa. Oni też muszą...

- Prezydent i jego ludzie mają teraz inne rzeczy na głowie - tłumaczył znużonym głosem dyrektor.

- Nie rozumiem, przecież wiedzą o wszystkim od tygodni. Już czwarty raz wypięli się na...

- Mnie pan to mówi, Ryan?

Jack nie tracił rezonu.

- Dyrektorze, ktoś musi im wytłumaczyć, że to nie są żarty.

- Próbowałem, do diabła! - uciął Cabot.

Jack wiedział, że to prawda.

- A czy próbował pan nacisnąć ich przez sekretarza Talbota albo przez Dennisa Bunkera? - zapytał Jack, przezornie nie dodając, że prezydent słucha tej dwójki tak, jak lekceważy Cabota.

Przezorność okazała się niepotrzebna. Cabot zrozumiał aluzję i rzekł, wzdychając ciężko:

- Proszę zrozumieć, Ryan, że nie możemy wydawać poleceń prezydentowi. Możemy mu najwyżej doradzać. Prezydent skorzysta z naszej rady albo nie, według własnego uznania. Poza tym sam mógłby się pan koło tego zakręcić. Dennis Bunker tak pana lubi...

- Owszem, ale nie będę się wtrącał bez pytania. Ciekawe, czy przynajmniej czytają później analizy.

- Wiem, że Charlie Alden je czytywał, więc Liz Elliot na pewno też.

- Na pewno - skomentował lodowatym głosem Ryan, nie przejmując się obecnością Goodleya. - Panie dyrektorze, Biały Dom zachowuje się w sposób nieodpowiedzialny.

- Troszkę ostre słowa, panie Ryan.

- Ale troszkę prawdziwe, dyrektorze - Jack zmusił się do zachowania spokoju.

- Czy wolno zapytać, co to jest, ten CAMELOT? - odważył się wtrącić Ben Goodley.

- Chodzi o grę - brzmiała odpowiedź Cabota. - Rozgrywamy scenariusze możliwych kryzysów i tak dalej.

- Aha, taka gra wojenna jak SAGA i GLOBAL?

- Właśnie - potwierdził Jack. - Obowiązuje zasada, że prezydent nie bierze udziału w grze, mianowicie dlatego, żeby żadna ze stron nie mogła się dowiedzieć z góry, jak postąpi szef państwa w danej sytuacji. Przyznaję, że to cały bizantyjski rytuał, ale tak już się u nas utarło. Zamiast prezydenta siada do gry jego doradca do spraw bezpieczeństwa albo ktoś inny z kierownictwa Białego Domu. Ktokolwiek przyjdzie, musi później zdać prezydentowi raport z przebiegu ćwiczenia. Teoretycznie, bo na przykład pan prezydent Fowler nie zadaje sobie trudu, żeby tego wymagać i jak widać, dał zaraźliwy przykład, bo teraz wypięli się na grę jego podwładni.

Jack był już tak wściekły, że bezwiednie w tym samym zdaniu użył słów "Fowler" i "wypinać się".

- A czy te gry są naprawdę takie ważne? - zdziwił się Goodley. - Trochę jak zabytek z innej epoki,

- Ubezpieczył pan samochód, Goodley? - przerwał mu Jack.

- Tak, oczywiście.

- A miał pan kiedykolwiek wypadek?

- Raz, i to nie z mojej winy - odparł Goodley.

- No to po co panu ubezpieczenie? - Po czym Jack odpowiedział sam sobie: - Dlatego, że tak trzeba. Ubezpieczenie może się nam na nic nie przydać, ale bywają takie sytuacje, kiedy pieniądze - a w tym wypadku czas - nagle stają się niezbędne.

- Bez przesady - prezydencki stypendysta machnął lekceważąco ręką. - Jest jakaś różnica między samochodami a polityką.

- Pewnie, że jest. W samochodzie człowiek najwyżej sam straci życie. - Ryan dał sobie spokój z kazaniem. - Trudno, dyrektorze, nie będzie mnie przez resztę dnia.

- Niech pan nie myśli, że nie zwróciłem uwagi na pańskie wskazówki i opinie. Przy pierwszej sposobności podzielę się nimi z kim trzeba. Ale, ale, jak tam operacja NITAKA?

Ryan zamarł w miejscu i spojrzał Cabotowi prosto w oczy.

- Dyrektorze, obecny tu pan Goodley nie został upoważniony nawet do tego, żeby znać ten kryptonim, nie mówiąc już o meritum sprawy.

- Meritum zostawimy sobie na inną okazję. Chcę tylko wiedzieć, kiedy ci z dołu - Ryan zauważył z ulgą, że Cabot nie użył nazwy MERKURY - będą gotowi z tym, hmm, ulepszonym projektem? Przekazywanie danych idzie coraz oporniej. - Za sześć tygodni. Do tego czasu musimy zostać przy metodach, o których rozmawialiśmy.

Dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej pokiwał głową.

- Cóż, trudno. Biały Dom bardzo się interesuje tą sprawą, panie Ryan. Dobra i pożyteczna robota.

- Miło, że pan tak myśli. Do jutra. - Jack opuścił gabinet.

- NITAKA? - zapytał Goodley, kiedy tylko został sam na sam z Cabotem. - To chyba po japońsku?

- Wybacz mi pan, panie Goodley, ale proszę jak najszybciej zapomnieć, że istnieje takie słowo. - Cabot zwrócił się do Ryana tylko po to, żeby pokazać, że on tu wydaje polecenia, i zdążył już pożałować tej decyzji.

- Oczywiście, proszę pana. Czy mógłbym zadać inne pytanie?

- Śmiało.

- Czy Ryan to naprawdę taki as, jak mówią?

Ku uldze Goodleya, Cabot rozduśił niedopałek cygara, po czym odrzekł:

- Ma spore zasługi.

- Naprawdę? Też tak słyszałem. Wie pan, tak naprawdę interesuje mnie to, w jaki sposób osobowość funkcjonariuszy wpływa na operacje wywiadu. Chodzi mi, powiedzmy, o sposoby, dzięki którym oficerowie wrastają w firmę... Ryan zrobił na przykład błyskawiczną karierę. Bardzo mnie interesuje, w jaki sposób mu się to udało.

- Udało mu się, bo częściej miał rację niż jej nie miał i dlatego, że nie bał się bezpośredniej akcji. Mnie samemu trudno uwierzyć w niektóre z jego wyczynów - odpowiedział z wahaniem Cabot. - Ale o tym nie wolno panu mówić nikomu, absolutnie nikomu.

- Oczywiście, rozumiem. Czy mógłbym przejrzeć w kadrach jego teczkę?

Cabot w zdumieniu uniósł brwi.

- Przecież wszystko, co pan tam zobaczy, jest utajnione. Nie będzie panu wolno o tym pisać ani mówić...

- Przepraszam, ale doskonale o tym wiem. Wszystko, co napiszę, musi zostać przejrane, zgodziłem się na takie warunki. Zależy mi na tym, żeby się przekonać na własne oczy, jak Agencja wpływa na osobowość, a Ryan wydaje mi się podręcznikowym przykładem kariery w CIA. Proszę zrozumieć, że właśnie po to przysłał mnie tu Biały Dom - przypomniawszy Goodley. - Mam ich informować o postępach badań. Cabot zastanowił się przez chwilę.

- Jeśli tak, to nie widzę przeszkód.

Wóz Ryana zatrzymał się przed wejściem do Pentagonu od strony rzeki. W przedsionku czekał już na niego generał brygady, dzięki czemu Jack nie musiał przechodzić przez bramkę wykrywacza metalu. Dwie minuty później wkroczył do jednej z wielu podziemnych sal, jakie rozciągają się pod najbrzydszym biurowcem świata.

- Witaj, Jack - powitał go z drugiego końca sali Dennis Bunker.

- Witam sekretarza - Jack skinął głową Bunkerowi i zasiadł w przypadającym mu dziś fotelu doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego. - Jakież kłopoty?

- Żadnych, oprócz tego, że Liz Elliot nie zaszczyci nas dziś swoją obecnością. - Sekretarz obrony zaśmiał się i dodał już poważnie: - We wschodniej części Morza Śródziemnego zaatakowano jeden z naszych krążowników. Z niekompletnych doniesień wynika, że okręt ma poważne uszkodzenia i zaczyna tonąć. Przepuszczalnie sporo ofiar.

- Wiemy coś jeszcze? - Jack natychmiast dał się wciągnąć grze. Przypiął do klapy kolorową plakietkę, która określała jego dzisiejszą rolę. Nad jego fotelem wisiała też tabliczka o identycznej treści.

- Prawie nic. - Bunker podniósł wzrok na kapitana marynarki, który wbiegł do sali.

- Panie sekretarzu, radiogram z USS "Kidd", że w wyniku uszkodzeń USS "Valley Forge" eksplodował i zatonął dokładnie pięć minut temu. Wyłowiono dotąd tylko dwudziestu rozbitków, poszukiwania trwają.

- Czy ustalono przyczynę eksplozji? - zapytał Ryan.

- Nadal nie jest znana. W chwili ataku "Kidd" płynął o trzydzieści mil morskich od "Valley Forge". Wysłali na miejsce swoje helikoptery. Dowódca Szóstej Floty postawił wszystkie okręty w stan pogotowia. Samoloty z USS "Theodore Roosevelt" startują, żeby przeczesać obszar.

- Tak się składa, że znam dowódcę pilotów z tego lotniskowca. Nazywa się Robby Jackson - rzekł Ryan, właściwie sam do siebie. Fakt nie miał najmniejszego znaczenia, jako że "Theodore Roosevelt" w rzeczywistości stał przy nadbrzeżu w bazie Norfolk, a Robby dopiero prasował mundur przed następnym rejsem. Nazwy okrętów w grze dobierana na chybił trafił. Osobista znajomość poszczególnych uczestników "walk" również nie miała znaczenia, gdyż nie chodziło o prawdziwych ludzi na prawdziwej wojnie, lecz o ćwiczenie. Gdyby rzecz działa się naprawdę, Robby jako dowódca pierwszy oderwałby maszynę od pokładu USS "Theodore Roosevelt" i poszedł w niebo w obłoku pary z katapulty. Świadomość takich możliwości pozwalała nie tracić z oczu faktu, że choć była to gra, rozgrywano ją nie dla zabawy.

- Co wiadomo o sytuacji międzynarodowej? - zapytał Jack, który niewiele zapamiętał z rozdanych dużo wcześniej wytycznych do ćwiczenia.

- CIA donosi o zamieszkach w Kazachstanie. Najprawdopodobniej bunt w koszarach wojskowych. Zamieszki objęły też dwie radzieckie bazy morskie - odpowiedział mu narrator gry, oficer marynarki wojennej.

- Jakie okręty radzieckie znajdowały się w pobliżu "Yalley Forge"? - zapytał natychmiast Bunker.

- Prawdopodobnie jeden okręt podwodny.

- Pilny teleks - obwieścił głośnik na ścianie. - USS "Kidd" melduje, że jego system przeciwrakietowy zniszczył w locie pocisk woda-woda. Na okręcie nieznaczone uszkodzenia, straty zero.

Jack podszedł do ekspresu w kącie sali i nalał sobie kawy. Wpadł w dobry humor. Musiał uczciwie przyznać, że wciągały go te gry, zwłaszcza że były tak realistyczne. Zamiast gnić przy biurku i odwalać rutynowe obowiązki, siedział w dusznej sali, wylapywał fragmentaryczne lub sprzeczne informacje i nie miał pojęcia, co się tak naprawdę dzieje. Na tym właśnie polegał realizm gier wojennych. Jack przypomniał sobie stary dowcip: "Dlaczego sztabowcy są jak pieczarki? Bo w gównie siedzą i gówno wiedzą."

- Panowie, odezwała się gorąca linia z Moskwy...

Ach, więc w to dzisiaj gramy, pomyślał Ryan. To na pewno Pentagon wymyślił scenariusz. Pod starym tytułem: zobaczymy, czy da się wysadzić świat w powietrze...

- Jeszcze więcej betonu? - nie dowierzał Kati.

- O wiele więcej - upierał się Fromm. - Każda z obrabiarek waży kilka ton i trzeba ją idealnie wypoziomować. Całe pomieszczenie musi być odporne na wstrząsy i hermetycznie odizolowane. Tu ma być czysto, jak w szpitalu - nie, czystiej niż w jakimkolwiek tutejszym szpitalu. - Fromm ponownie spojrzął na listę, przekonany, że i tak nic nie pobije czystości szpitali w Niemczech. - Dalej, zasilanie. Potrzebne nam trzy rezerwowe generatory i przynajmniej dwa zapasy...

- Co to takiego? - spytał Kati.

- Przetworniki, zapobiegają przerwom w dopływie prądu - przetłumaczył Hosni. - Jeden z generatorów będzie zawsze chodził, prawda?

- Zgadza się - potwierdził Fromm. - Ponieważ pracujemy w prymitywnym warsztacie, postaramy się nie włączać więcej niż jedną obrabiarkę na raz. Największy kłopot to bezpieczna, pewna instalacja elektryczna. Prąd z sieci przepuścimy przez stabilizatory w przetwornikach, żeby zapobiec skokom napięcia. Komputery w szlifierkach są bardzo wrażliwe. Dalej: - wyliczał Fromm - wykwalifikowani mechanicy.

- Z tym będzie ciężko - zmartwił się Hosni.

Ku ogólnemu zaskoczeniu Niemiec uśmiechnął się na te słowa.

- Nieprawda. Będzie łatwiej niż myślicie.

- Naprawdę? - Kati nie spodziewał się pomyślnych nowin od niewiernego.

- Potrzeba nam z pięciu wyszkolonych szlifierzy, ale znajdziecie ich na pewno w okolicy. Daję głowę.

- Gdzie? W całym okręgu nie ma takiego warsztatu...

- Na pewno się znajdzie. Przecież ludzie noszą tu okulary, prawda?

- Ale co to ma...

- Oczywiście! - Hosni podskoczył i z wrażenia przewrócił oczami.

- Chodzi o to - wyjaśniał Fromm na użytek Katego - że skala precyzji przy naszej pracy będzie mniej więcej taka sama, jak przy szlifowaniu szkieł optycznych. Maszyny też są bardzo proste w budowie, tyle że większe od zwykłych szlifierek. Chodzi nam w końcu o szlifowanie sztywnego materiału w taki sposób, aby uzyskać precyzyjne, idealnie wyliczone krzywizny. Bomby atomowe produkuje się według ścisłych wyliczeń, dokładnie jak okulary. Nasz wyrób jest oczywiście większy, lecz zasada pozostaje ta sama. Przy odpowiednich urządzeniach kłopot sprawiać będzie tylko skala zadania, a nie jego zasada. Pytam więc: czy znajdziecie mi doświadczonych optyków?

- Nie widzę kłopotu - odrzekł Kati, kryjąc irytację.
- Muszą się naprawdę znać na szlifowaniu - powiedział mu Fromm tonem profesora gimnazjum. - Najlepsi z najlepszych. Doświadczeni fachowcy, najlepiej wyszkoleni w Niemczech albo w Anglii.
- Będzie nowy kłopot z bezpieczeństwem - zauważył na stronie Hosni.
- Ach, tak? Dlaczego? - zdziwił się Fromm, udając, że nie wie, o co chodzi. Obu Arabom wydało się to szczytem arogancji.
- Ależ skąd, nie będzie kłopotu - zgodził się z Niemcem Kati.
- Dalej. Potrzebne nam mocne stoły warsztatowe, na których staną maszyny.

Połowa rejsu, powtarzał sobie komandor podporucznik Walter Claggett. Za czterdzieści pięć dni USS "Maine" wynurzy się przed wejściem do cieśniny Juan de Fuca, marynarze złapią rzutkę z holownika, a okręt wpłynie za "ciuchcią" do portu w Bangor i zacumuje do nadbrzeża, gdzie załoga zacznie żmudny proces przekazywania jednostki kolejnej zmianie, "niebieskim", wychodzącym na kolejny patrol. Najwyższa pora.

Przyjaciele wołali na Waltera Claggetta Szkot. Nikt nie pamiętał, dlaczego nadano mu to przezwisko, ale stało się to jeszcze w akademii marynarki wojennej. Claggett nie był Szkotem, lecz Murzynem, miał trzydzieści sześć lat, a tuż przed rejssem powiedziano mu w zaufaniu, że jeśli i ten rejs pójdzie jak trzeba, nie ominie go szybki awans na dowódcę jednostki, najpewniej szybkiego podwodnego patrolowca. Claggetta nie martwiła taka perspektywa. Dwa razy próbował poprzez małżeństwo zakotwiczyć się na lądzie, za każdym razem bez powodzenia. Nie był to odosobniony przypadek wśród podwodniaków. Claggett miał szczęście, że ani w jednym, ani w drugim związku nie dochował się dzieci. Rodzinę musiała mu więc zastąpić marynarka wojenna. Dlatego nie przeszkadzało mu, że trzy bite miesiące ma spędzać w rejsie. Na zabawy na plaży przyjdzie pora podczas długiej przerwy zmianowej. Na razie oceaniczny rejs przez mroczną głębinę, za sterami potężnego okrętu był najlepszym zajęciem w życiu Waltera Claggetta. Na pokładzie mógł liczyć na miłe towarzystwo i na szacunek należny mu z racji sukcesów w najtrudniejszej ze służb. Tu także wiedział nieomylnie, co powinien uczynić w każdej możliwej sytuacji. Lubił też pogawędki w mesie, rozmowy z marynarzami, zgodnie ze zwyczajem szukającymi porady u pierwszego oficera... Claggettowi podobało się więc życie na okręcie podwodnym.

Nie podobał mu się natomiast kapitan.

Jakim cudem komandorowi Harry'emu Ricksowi udało się wdrapać tak wysoko? W tym tygodniu Claggett już ze dwadzieścia razy zadał sobie to pytanie. Fakt, Ricks miał łeb. Gdyby mu dać ołówek, zaprojektowałby reaktor do okrętu podwodnego na byle świstku papieru albo wręcz w głowie, gdyby się tylko skupił. Również o konstrukcji okrętów podwodnych Ricks wiedział rzeczy, o których się nie śniło stocznicom firmy Electric Boat z Groton. Z szefem służby optycznej marynarki wojennej Ricks potrafił godzinami dyskutować o wadach i zaletach peryskopów, na nawigacji satelitarnej znał się równie dobrze, jak eksperci z NASA, TRW czy której tam jeszcze agencji rządowej odpowiedzialnej za cały ten zwariowany program. Claggett dałby sobie też głowę uciąć, że komandor zna się na układach nawigacyjnych w głowicach rakiet balistycznych Trident II D-5 umieszczonych w silosach pod pokładem prawie tak samo, jak ich projektanci z zakładów raketowych Lockheeda. Dwa tygodnie wcześniej, podczas obiadu, komandor wyrecytował z pamięci całą stronę instrukcji obsługi. Z technicznego punktu widzenia Ricks był najlepiej wyszkolonym oficerem w całej marynarce wojennej USA.

Harry Ricks był uosobieniem minionej mody na Atomową Flotę. Jako inżynier nie miał sobie równych. Problemy natury technicznej wyczuwał natychmiast i na odległość. Claggett znalazł się na

swoim sprzecznie i dobrze o tym wiedział; równie dobrze jak to, że pod tym względem nigdy nie dorówna Ricksowi.

Kłopot tylko, że komandor gówno się zna na podwodniakach i na pływaniu okrętem podwodnym, pomyślał ponuro Claggett. Trudno było w to z początku uwierzyć: Harry Ricks nie miał pojęcia o tym, jak pływać. Nie miał też najmniejszego podejścia do ludzi.

- Panie kapitanie - powiedział więc teraz Claggett ostrożnym tonem - to bardzo dobry szef sekcji. Owszem, młody, ale ma dryg.

- Rozpaskudził tylko podwładnych - odparł Ricks.

- Nie wiem, co pan chce przez to powiedzieć.

- Nieprawidłowo szkoli swoich torpedystów.

- Zdarzają mu się niekonwencjonalne metody, ale poprawił rekord przeładowania torped o sześć sekund. Wszystkie torpedy ma sprawne, nawet tę, którą dostaliśmy uszkodzoną z bunkra. Przedział torpedowy jak lusterko. O co więc tu jeszcze prosić?

- Ja nie proszę, tylko wydaję polecenia i rozkazy. Żądam, żeby wszystko robiono po mojemu, tak jak ja chcę, prawidłowo, a nie tak, jak się komuś wydaje. - Ricks zniżył głos do groźnego szeptu.

Nie miało najmniejszego sensu stawiać się staremu w tak niby błahej sprawie, szczególnie jeśli Ricks widział we wszystkim niesubordynację. Claggett jako pierwszy oficer miał jednak obowiązek pośredniczyć między załogą a kapitanem, szczególnie gdy kapitan nie miał racji.

- Z całym szacunkiem, kapitanie, nie zgadzam się. Jeżeli spojrzymy na rezultaty, torpedystom nie można nic zarzucić. Dobry szef sekcji to taki, który zbija normy czasowe, a temu się to akurat pięknie udało. Gdy dać mu po uszach, zniechęci się, tak samo jak jego ludzie.

- Panie pierwszy, od swoich oficerów oczekuję wsparcia, nie sprzeciwu. A już szczególnie od pana.

Claggett wyprostował się na krześle, jak trafiony w twarz. Zdołał jednak odpowiedzieć z całym spokojem:

- Kapitanie, może pan liczyć na moje poparcie i moją lojalność, ale proszę się nie spodziewać, że będę wykonywał tylko swoje obowiązki, jak jakiś robot. Moim zadaniem jest przedstawiać inne punkty widzenia. Tak przynajmniej mnie uczono w szkole oficerskiej. - Claggett pożałował ostatniego zdania, zanim je jeszcze wypowiedział, ale nie potrafił się powstrzymać. Ciasna kajuta dowódcy okrętu stała się nagle jeszcze ciaśniejsza.

Bardzo, bardzo niemądre słowa, komandorze podporuczniku Walterze Claggett, pomyślał Ricks, lecz powiedział obojętnie:

- Obsługa reaktora. Pełna runda ćwiczeń.

- Znów? Zaraz po poprzedniej?

Na litość boską, reaktor zaliczył poprzednią rundę z maksymalną notą! Prawie maksymalną, poprawił się w myślach Claggett. Chłopakom udałooby się może zaoszczędzić tu i tam z piętnaście sekund. Pierwszy oficer nie miał jednak pojęcia, co jeszcze obsługa mogła zrobić lepiej.

- Praktyka czyni mistrza, panie pierwszy.

- Zgadzam się w zupełności, ale sekcji reaktora nic nie brakuje do mistrzostwa. Pamiętam przecież wyniki, jakie dostali na KOZR, zanim odszedł komandor Rosselli. Mały figiel, a pobiliby wtedy rekord dywizjonu, a przecież od tamtej pory jeszcze poprawili wyniki!

- Nieważne, jak dobre są wyniki. Zawsze trzeba żądać jeszcze lepszych. Przy następnym KOZR mają pobić rekord dywizjonu, kropka.

Rekord dywizjonu, rekord floty, rekord świata... Starego uspokoiłby dopiero specjalny dyplom od Pana Boga, pomyślał Claggett. Pod warunkiem, że Bóg wpisałby to jemu do akt.

Rozległ się brzęczyk telefonu wewnętrznego. Ricks podniósł słuchawkę.

- Dowódca. Tak, już idę. - Odkładając słuchawkę, komandor wyjaśnił:

- Echo na sonarze.

Claggett w dwie sekundy znalazł się za progiem. Komandor ruszył w jego ślady.

- Coście namierzyli? - zapytał Claggett, wpadając do przedziału hydrolokatora. Jako pierwszy oficer był odpowiedzialny za przygotowanie okrętu do starcia taktycznego.

- Zabrało mi paru minut, nim rozpoznałem - zameldował szef hydroakustyków. - Pokręcone echo. Wygląda mi na naszego, typ 688, kurs mniej więcej jeden dziewięć pięć. Idzie prosto na nas.

- Cofnąć zapis - zażądał Ricks. Hydroakustyk przesiadł się do następnego ekranu, gdyż na swoim pozaznaczał już tłustym mazakiem kursy i nie chciał ich jeszcze ścierać. Na ekranie pokazały się namiary z ostatnich kilku minut

- Proszę popatrzeć, panie kapitanie. Zamieszanie, zamieszanie... a tutaj zaczęło się klarować. Natychmiast zameldowałem.

- Trzeba było wcześniej się zorientować, bosmanie, o tutaj - komandor dziabnął palcem w ekran monitora. - Zmarnowane dwie minuty. Na przyszłość radzę się przyłożyć do obowiązków.

- Tak jest.

Cóż innego miał odpowiedzieć dwudziestotrzyletni hydroakustyk? Ricks opuścił przedział. Claggett podążył za nim. Wychodząc klepnął bosmana po ramieniu.

Do kurwy nędzy, kapitanie!

- Kurs dwa siedem zero, prędkość pięć węzłów, zanurzenie sto sześćdziesiąt metrów. Jesteśmy pod warstwą styku - zameldował oficer wachtowy. - Utrzymujemy kontakt z namiarem Sierra-11 na kursie jeden dziewięć pięć, daleko po lewej burcie. Alarm w przedziale torpedowym. Załadowane wyrzutnie pierwsza, trzecia i czwarta. Klapy zamknięte, wyrzutnie suche.

- Co z namiarem Sierra-11? - zapytał Ricks.

- Idzie w naszą stronę. Siedzi nad warstwą styku, odległość nieznana.

- Warunki hydrostatyczne?

- Na dachu zupełna cisza, warstwa styku z wodą głębinową na trzydziestu pięciu metrach. Wokół nas dobra izoterma. Dla hydrolokatora idealne warunki. - Pierwsza analiza Sierra-11 daje odległość ponad dziesięciu tysięcy metrów - zameldował od stolika namiarowców podporucznik Shaw.

- Centrala, tu sonar, potwierdzam echo Sierra-11, okręt podwodny typu 688, amerykański patrolowiec. Przepuszczalna prędkość czternaście-piętnaście węzłów.

- Ejże! - Claggett podzielił się odkryciem z dowódcą. - Z dziesięciu kilometrów wykryliśmy typ Los Angeles. Ktoś będzie miał bardzo głupią minę...

- Sonar, tu centrala. Podawajcie mi dane, nie jakieś przypuszczenia - rzucił w słuchawkę Ricks.

- Przecież świetnie się sprawił, że w ogóle wychwycił to echo - zauważył bardzo cicho Claggett. Letni sezon w Zatoce Alaski oznaczał mnóstwo ech od kutrów rybackich i wielorybów, od których zatykały się komputery i ekrany hydrolokatora. - Ja bym się cieszył, że mam takiego dobrego sonarzystę.

- Za to bierze pieniądze, że jest dobry, panie pierwszy. Tego brakowało, żeby przyznawać orderzy za to, że ktoś robi, co do niego należy. Proszę dopilnować, żeby operator przedstawił później zapis. Sprawdzimy, czy rzeczywiście nie mógł nic wykryć wcześniej.

Na zapisie każdy może pokazać, jaki jest mądry, pomyślał Claggett.

- Centrala, tu sonar, mam słabe echo śrub napędowych... Częstotliwość wskazuje na czternaście węzłów, z dokładnością do jednego.

- Doskonale, To rozumiem.

- Jeszcze coś, panie kapitanie... Ten Los Angeles może iść bliżej niż dziesięć tysięcy... niewiele bliżej, ale trochę. Echo coraz bardziej wyraźne... W przybliżeniu dziewięć tysięcy czterysta metrów, kurs około trzy zero pięć - zameldował z kolei Shaw i czekał, aż na głowę spadną mu następne gromy.

- Aha, więc jednak jest bliżej niż dziesięć tysięcy?

- Tak jest, wygląda, że dziewięć czterysta.

- Proszę mnie powiadomić, jeśli znowu zmieni pan zdanie - rzekł kwaśno Ricks. - Zmniejszyć prędkość do czterech węzłów.

- Zmniejszyć do czterech węzłów - powtórzył oficer wachtowy.

- Damy mu wyjść przed nasz dziób? - zapytał Claggett.

- Właśnie - odparł komandor.

- Mamy przeliczenie do strzału - zameldował torpedysta. Pierwszy oficer spojrzął na zegarek. Norma oczywiście pobita.

- Świetnie. Dobra nowina - skwitował to Ricks.

- Prędkość cztery węzły.

- Teraz go mam. Sierra-11 na pozycji dwa zero jeden, odległość dziewięć tysięcy metrów, idzie kursem trzy zero zero, prędkość piętnaście węzłów.

- Już jest nasz - zauważył Claggett, choć nie dodał, że pędząc z taką szybkością rywal ułatwiał im zadanie.

- Właśnie, właśnie. Będzie co wpisać do dziennika działań bojowych.

- Coś niedobrze - stwierdził Ryan. - Nie podoba mi się taki rozwój sytuacji.

- Mnie też nie - przytaknął Bunker. - Trzeba zezwolić grupie uderzeniowej z lotniskowcem na użycie broni.

- Zgadza się. Zaraz zaproponuję to prezydentowi. - Ryan wystukał numer. Zgodnie z zasadami dzisiejszej gry, prezydent miał się znajdować na pokładzie Air Force One, krążącego nad Pacyfikiem. Sytuacja zaskoczyła prezydenta w drodze powrotnej z jednego z krajów Dalekiego Wschodu. W grze decyzje podejmował za "prezydenta" zespół ekspertów w gmachu Pentagonu. Jack podał im pod rozwagę propozycję i czekał na odpowiedź.

- Tylko jeśli zostaną zaatakowani, Dennis.

- Gówno - zauważył Bunker niegłośno. - Mnie by Fowler posłuchał.

- Zgoda, ale nie tym razem - wykrzywił się do niego Jack Ryan. - Powiedziano mi wyraźnie, żadnych akcji zaczepnych, ograniczyć się do obrony własnej lub innych okrętów grupy.

Sekretarz obrony zwrócił się następnie do oficera operacyjnego:

- Proszę nadać na pokład "Theodore'a Roosevelta": wysłać samoloty z pełnym uzbrojeniem. Meldować o każdym obiekcie w promieniu dwustu mil. Przy odległościach bliższych niż dwieście mil uprawniać dowódcę grupy do samodzielnych decyzji. Dla okrętów podwodnych promień ataku wokół grupy wynosi pięćdziesiąt, powtarzam, pięć-zero mil morskich. Atakować niezwłocznie wszystkie cele wewnątrz tego okręgu.

- Nowy pomysł - pochwalił sekretarza obrony Jack.

- Co chcesz, po tym ataku na "Valley Forge"...

Eksperci oceniali w tym punkcie, że krążownik zatonął po zaskakującym ataku raketowym ze strony radzieckiego okrętu podwodnego. Wyglądało na to, że niektóre jednostki radzieckiej floty wojennej działają na własną rękę lub przynajmniej słuchają innych rozkazów niż te z Moskwy. Potem

zaczęło się zamieszanie.

- Wiadomość z gorącej linii. Wojska lądowe zaatakowały bazę pułku strategicznych rakiet SS-18 w Azji Środkowej.

- Natychmiast wysłać w powietrze wszystkie bombowce! Jack, poinformuj prezydenta, że wydałem już rozkaz.

- Przerwa w łączności - obwieścił głośnik. - Brak kontaktu radiowego z Air Force One.

- Szczegóły! - krzyknął Jack.

- Wiemy tylko tyle.

- Gdzie jest wiceprezydent? - Jack nie ustawał w pytaniach.

- Na pokładzie drugiego "Anioła", tysiąc kilometrów na południe od Bermudów. Pierwszy "Anioł" leci sześćset kilometrów przed Air Force One, ma zaraz lądować na Alasce i wziąć prezydenta na pokład.

- Na tyle blisko Rosji, że mogli go strącić... Chociaż to mało prawdopodobne... samobójczy lot - rozmyślał na głos Bunker. - Chyba że prezydent zaplątał się nad radziecki okręt z raketami wodą-powietrze... Tymczasem niech przejmie wszystko wiceprezydent.

- Już dzwonię...

- Nie, nie, Jack, to moje zadanie. Prezydent albo się wyeliminował, albo przeciwnik zlikwidował mu linie łączności. Uwaga, rozkaz sekretarza obrony: do czasu odzyskania łączności i potwierdzenia autentyczności przekazu, polecenia wydaje wiceprezydent. Gotowość pierwszego stopnia dla sił zbrojnych, na moją odpowiedzialność.

Jack Ryan musiał przyznać, że Dennis Bunker w najtrudniejszej sytuacji walczył do końca, jak przystało na byłego futbolistę. Podejmował decyzję i trwał przy nich, a w dodatku rzadko się mylił. Nie pomylił się i tym razem.

Teczka personalna Ryana była gruba. Gruba na trzydzieści centymetrów. Goodley przejrzał ją w zaciszu przydzielonej mu klitki na siódmym piętrze. Na pierwszy centymetr składały się życiorys, meldunki sprawdzające życiorys, upoważnienia i przepustki do tajnych materiałów. Wyniki ze studiów mogły imponować, szczególnie doktorat z historii, pisany na Georgetown. Georgetown to oczywiście jeszcze nie Harvard, ale, zdaniem Goodleya, nie był to najgorszy uniwersytet. Pierwsze prace na rzecz CIA wykonał Ryan w ramach ustanowionego przez admirała Jamesa Greera planu szukania młodych talentów. Pierwsza analiza pisemna Ryana dotyczyła terroryzmu. Dziwny zbieg okoliczności, jeśli zważyć na to, co wydarzyło się później.

Trzydzieści stron maszynopisu zajmowała dokumentacja akcji Ryana w Londynie, kiedy uratował od zamachu następcę tronu. Oprócz raportów policyjnych w teczce znalazło się kilka wycinków z prasy. Goodley zaczął sporządzać notatki. "Stuknięty rewolwerowiec" napisał początkowo, bo rzeczywiście, kto to widział tak nadstawiać karku? Młody naukowiec potrząsnął głową. Dwadzieścia minut później doczytał do końca drugi raport Ryana dla CIA, w którym autor dowodził, że w Ameryce terroryści nigdy nie będą mieli możliwości działania. Ryan przedłożył raport na kilka dni przed zamachem na życie całej rodziny.

Kolejna omyłka, panie Ryan? Goodley zaśmiał się pod nosem. Wszyscy mówią, że taki geniusz, a tu, proszę, popełnia pomyłki jak wszyscy...

Kiedy Ryan pracował w Anglii, również pomylił się raz i drugi. Nie przewidział zupełnie, że po Andropowie obejmie rządy Czernienko, choć grubo przed resztą ekspertów domyślił się, że następny w kolejce do władzy będzie Narmonow. Oprócz Ryana napisał o tym jedynie profesor Kantorowicz z Princeton, który pierwszy spostrzegł, że Andriej Iljicz to gwiazda pierwszej wielkości. Goodley

pamiętał z tamtych lat tylko swój romans, grzmocił wtedy tę dziewczynę z Wellesley, Debrę Frost... Ciekawe, co się z nią stało?

- O, kurwa... - wyszeptał Ben minutę później. - O, kurwa!

“Czerwony Październik”, radziecki okręt podwodny z raketami balistycznymi... Dezercja załogi! Ryan jako jeden z pierwszych zorientował się w sytuacji. Niewiarygodne, żeby ekspert z placówki w Londynie zajmował się operacjami na pełnym morzu. Co, zabił rosyjskiego marynarza? Wiadomo, rewolwerowiec. Nie mógł zwyczajnie aresztować tego kogoś, musiał go położyć trupem jak na filmie...

Zaraz. Radziecki atomowy okręt podwodny ucieka do Ameryki i nic, zupełna cisza na ten temat? Aha, jednostka zatonała później na głębokich wodach.

Po tej historii znów kilka miesięcy w Londynie, powrót do domu na stanowisko specjalnego asystenta admirała Greera. Ewentualny następca tronu? Nowa, ciekawa praca przy rokowaniach rozbrojeniowych...

Niemożliwe. To pomyłka: przecież przewodniczący KGB zginął w katastrofie lotniczej...

Goodley notował teraz jak opętany. Liz Elliot na pewno nie ma o tym wszystkim pojęcia, bo i skąd?

- Dlaczego szukasz czegoś na Ryana? - zapytał sam siebie stypendysta Białego Domu. Liz Elliot nigdy, oczywiście, nie powiedziała wyraźnie, że właśnie o to jej chodzi, ale dała mu to do zrozumienia dostatecznie jasno... tak mu się przynajmniej wydawało. Goodley zorientował się nagle, że wpłatał się w paskudnie niebezpieczną grę.

Ryan potrafi zabijać. Osobiście zastrzelił co najmniej trzy osoby. Nie czuło się tego podczas rozmowy, ale życie nie jest westernem. Trudno wymagać, żeby Ryan nosił u pasa rewolwer i po każdym pojedynku złościł na kolbie kolejne nacięcie. Goodley poczuł gęsią skórę, lecz powiedział sobie tylko, że z Ryanem trzeba uważać. Stypendysta nigdy jeszcze nie spotkał prawdziwego mordercy, lecz nie miał najmniejszego zamiaru traktować podobnych ludzi jak bohaterów czy lepszych od siebie. Ale ostrożność tak czy siak nie zaszkodzi.

Zapisy dotyczące czasu śmierci Jamesa Greera okazały się fragmentaryczne... Czy nie wtedy trwało całe to zamieszanie w Kolumbii? Goodley znów zaczął skrobać notatki. Ryan pełnił wówczas obowiązki szefa pionu rozpoznania, lecz po wygranej Fowlera sędzia Arthur Moore i Robert Rittner prędko odeszli na emeryturę, robiąc miejsce dla nowej ekipy. Senat zatwierdził Ryana na stanowisko zastępcy dyrektora CIA. Na tym urywał się przebieg pracy zawodowej. Goodley odłożył tę część papierów i zabrał się z kolei za sprawy osobiste i finanse Jacka Ryana.

- Błąd w licytacji - orzekł Jack. Dwadzieścia minut za późno.

- Chyba masz rację.

- Za późno. W którym momencie schrzaniiliśmy sprawę?

- Nie jestem pewien - odparł Bunker. - Może daj znać grupie z “Theodoreem Rooseveltem”, że mają oderwać się od przeciwnika i nie atakować?

Ryan zapatrzył się w mapę na przeciwległej ścianie.

- Może i tak, ale sam powiedz, za bardzo przyparliśmy Andrieja Iljicza do muru. Jak go teraz uspokoić?

- Właśnie, jak? W dodatku w taki sposób, żeby się nie wystawić na strzał?

- Ciekawy ten scenariusz, pokazał, że coś nie gra. Ale co? Żebym to ja wiedział...

- Postarajmy się, żeby zrobili w gacie - wypowiedział głośno swoją myśl komandor Ricks.

- Niby w jaki sposób? - zdziwił się Claggett.

- Co z wyrzutnią numer dwa?

- Pusta. Rozładowaliśmy, żeby dokonać przeglądu - zameldował oficer-torpedysta.

- Sprawna? - Tak jest. Zakończyliśmy przegląd pół godziny przed nawiązaniem kontaktu.

- Pysznie... - Ricks uśmiechnął się nareszcie. - Napełnijcie wodą i rąbnijcie sprężonym powietrzem. Może się obudzą, jak usłyszą prawdziwą wyrzutnię torpedową.

Coś takiego. Claggett spodziewałby się podobnej fantazji prędzej już po Mancusie albo po Rossellim, ale żeby Ricks...?

- Panie kapitanie, narobimy straszego hałasu. Możemy mu równie dobrze zagrać pobudkę na naszej Gertrudzie.

- Torpedysta, przeliczenie na Sierra-11 gotowe? - pytał już Ricks, przejęty myślą, że Mancuso lubi śmiałych dowódców. Ha, przekona się, że i Ricks ma fantazję.

- Tak jest! - odkrzyknął natychmiast oficer.

- Przystąpić do odpalenia. Słup wodny z wyrzutni numer dwa.

- Panie kapitanie, potwierdzam, wyrzutnia dwa pusta. Torpedy w pierwszej, trzeciej i czwartej nie uzbrojone.

Telefon do przedziału torpedowego potwierdził odczyt na tablicy przyrządów. Na dziobie szef sekcji torpedystów spojrzeniem przez specjalną szybkę upewnił się, że z drugiej wyrzutni nie wyskoczy żaden pocisk.

- Inspekcja wzrokowa potwierdza, wyrzutnia dwa pusta. Ciśnienie w zbiorniku - zameldował szef sekcji przez telefon. - Melduję gotowość do odpalenia.

- Otworzyć pokrywę wyrzutni.

- Otwieram pokrywę wyrzutni. Pokrywa otwarta.

- Torpedysta?

- Celownik gotowy.

- Zgrać namiary celu... PAL!

Torpedysta nacisnął odpowiedni guzik. Kadłubem USS "Maine" zatrzęsło nagłe uderzenie sprężonego powietrza, wrywającego się z wyrzutni w głębinę.

Pod pokładem oddalonego o sześć tysięcy metrów USS "Omaha" hydroakustyk głowił się od kilku minut, czy dziwne echo na ekranie to wybryk natury czy może coś innego, kiedy na monitorze wykwitła jasna kropka.

- Centrala, tu sonar, echo, echo mechaniczne z kierunku zero osiem osiem, równo za rufą!

- Co jest! - Oficer wachtowy podskoczył do przyrządów. Dopiero trzeci tydzień sterował prawdziwym okrętem podwodnym. - Co za rufą?

- Mam echo. Echo odpalanej torpedy z kierunku zero osiem osiem. Powtarzam, TORPEDA ZA RUFĄ!

- Cała naprzód! - odrobinę za głośno rozkazał poblądły nagle oficer. - Alarm bojowy! Uszczelnić grodzie!

Podniósł słuchawkę, lecz we wnętrzu rozbrzmiewał już sygnał alarmowy, a kapitan wbiegał właśnie do centrali boso i w rozchełstany kombinezonie.

- Co się tu, kurwa, dzieje?

- Panie kapitanie, mieliśmy echo odpalanej torpedy, tuż za rufą. Sonar, meldujcie, co dalej!

- Nic poza tamtym echem. Echo na pewno z wyrzutni, sprężone powietrze do wody, ale dźwięk jakiś dziwny. Żadnego szumu w wodzie.

- Prawo na burt! - rozkazał oficer wachtowy, nie zwracając uwagi na obecność dowódcy. Nikt go przecież nie zwolnił z wachty i z obowiązku sterowania okrętem. - Głębokość trzydzieści metrów! Przedział bojowy, wystrzelić mamidło - już!

- Ster na prawą burtę. Ster na prawo, kurs nieznany, prędkość na razie dwadzieścia węzłów - odmeldował sternik.

- Dobrze. Nowy kurs zero jeden zero.

- Kurs zero jeden zero!

- Kto się kręci w tej okolicy? - zapytał leniwym głosem dowódca, choć wewnątrz cały się trząsał.

- Podobno "Maine" ma tu patrol - odpowiedział nawigator.

- Harry Ricks.

Ten kutas, chciał już dodać kapitan. Trzeba jednak dbać o dyscyplinę.

- Hydrolokacja, co u was?

- Centrala, tu sonar, w wodzie pusto. Gdyby walnęli torpedę, już bym ją usłyszał.

- Wachtowy, zwolnić do jednej trzeciej.

- Tak jest. Maszyna, jedną trzecią naprzód.

- Założę się, że mieli pełne portki - cieszył się Ricks, wciąż przyklepiony do monitora. Kilka sekund po wystrzeleniu przez "Maine" "torpedy" okręt typu 688, którego echo widać było na ekranie, przycisnął gaz do dechy. Teraz słychać było również gulgotliwy dźwięk pławy akustycznej, mającej zmylić torpedę.

- Zwolnił wreszcie, panie kapitanie. Spadała mu częstotliwość obrotu śrub.

- Czyli połapał się, że torpedy nie było. Damy mu sygnał przez Gertrudę.

- Co za osioł! Nie wie, że w pobliżu kręci się ta ruska akula! - warknął pod adresem Ricksa dowódca USS "Omaha".

- Hydrolokator nic nie pokazuje, same trawlerzy rybackie.

- Dobrze. Wyślijcie szyfrówkę do bazy. Niech się cieszą ci z "Maine", jeżeli muszą. - Komandor skrzywił się. - Moja wina. Trzeba było ciągnąć dziesięć węzłów, zamiast piętnastu. Zmniejszyć prędkość do dziesięciu!

- Dziesięć węzłów. Jaki kurs?

- Ci boomem wybierają się pewnie na północ. Płynmy na południowy wschód.

- Tak jest.

- Dobry refleks, panie wachtowy. Może udałoby się nawet uciec spod tej torpedy. Jaki z tego morał?

- Sam pan powiedział, kapitanie. Płynęliśmy za szybko.

- Proszę się uczyć na błędach swojego kapitana, panie Auburn.

- Z przyjemnością.

Wychodząc z centrali, kapitan klepnął podwładnego w plecy.

Trzydzieści cztery tysiące metrów dalej "Admirał Łunin" sunął z prędkością zaledwie trzech węzłów tuż nad linią styku wód powierzchniowych i głębinowych. Holowana za okrętem pława hydrolokatora siedziała w dolnej warstwie.

- Słychać coś? - zapytał rosyjski dowódca.

- Na jeden trzy zero mieliśmy ten nagły hałas - zameldował oficer namiarowy, wskazując na swój ekran. - Potem cisza, a

piętnaście sekund później drugie silne echo, daleko przed tym pierwszym. Analiza szumu wskazuje, że to Amerykanin, typ Los Angeles. Ni stąd, ni z owąd dał nagle całą naprzód. Potem zwolnił i zniknął mi z ekranu.

- Ćwiczą chłopaki, ćwiczą. Patrz, Jewgienij, ten pierwszy namiar to też Amerykanin, ohio z raketami balistycznymi. Co ty na to? - zapytał podwładnego komandor Walentin Borisowicz Dubinin.

- Nigdy się nam jeszcze nie udało wykryć ohio na głębokich wodach.

- Niby racja. Kiedyś musiał przyjść ten pierwszy raz.

- Jakie rozkazy?

- Zaczaimy się, zaczekamy. Te ohio są cichsze niż śpiący wieloryb, ale w ten sposób wiemy przynajmniej, że jeden siedzi w naszym sektorze. Nie będziemy się bawić w podchody. Bardzo głupi ci Amerykanie, żeby sobie pozwalać na takie hałasy. Jeszcze czegoś podobnego nie widziałem.

- Widać, jak zmieniły się zasady gry - zauważył oficer przy hydrolokatorze. Kilka lat temu wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Dziś nie trzeba już było, na przykład, mówić "towarzyszu kapitanie".

- Zmieniły się, a jakże. No, popatrz, Jewgienij: dopiero teraz mamy prawdziwą grę. Nikomu nie stanie się krzywda, za to rywalizacja jak na olimpiadzie.

- Komentarze?

- Ja bym tam podjechał bliżej przed odpaleniem - odezwał się torpedysta. - W ten sposób miał pięćdziesiąt procent szans na ucieczkę.

- Zgoda, ale chcieliśmy go przecież tylko nastraszyć - uciał lekceważąco Ricks.

To po co było w ogóle zaczynać? - Szkot Claggett miał już tego dosyć. Po co? Wiadomo, żeby pokazać, jakiego bojowego mamy kapitana.

- Nastraszyliśmy jak trzeba - odezwał się jednak, starając się poprzeć dowódcę. W całej centrali uśmiechano się szeroko. Boomersi i patrolowcy często bawili się pod wodą w kotka i myszkę, lecz przeważnie planowali takie ćwiczenia. Jak zwykle, i tym razem wygrał okręt typu Ohio. Ricks wiedział z góry, że w ich sektorze odbywa patrol "Omaha", poszukująca rosyjskiej okuły, którą nasłuch denny zgubił w pobliżu Aleutów kilka dni wcześniej. Rosyjskiej akuły - czyli "Rekina", jak dawała się przetłumaczyć nazwa tego typu okrętu podwodnego - nie było jednak ani śladu.

- Wachtowy, kurs na południe. Narobiliśmy tym strzałem trochę hałasu. Musimy odejść, najlepiej tam, gdzie siedziała przedtem "Omaha".

- Tak jest.

- Dobra robota, panowie - oświadczył jeszcze Ricks i wrócił do swojej kajuty.

- Nowy kurs?

- Na południe - rozkazał Dubinin. - Będzie próbował odskoczyć w rejon już przeczesany przez tego drugiego. Utrzymajmy się tuż nad warstwą głębinową, "ogon" pod spód, spróbujemy jeszcze raz złapać echo.

Komandor Dubinin wiedział, że zadanie jest dość beznadziejne, lecz przecież do odważnych świat należy. Czy jakoś tak. Za tydzień jego okręt musiał wziąć kurs powrotny do bazy, gdzie czekał ich remont. Na zamontowanie czekał też nowy, rewelacyjny hydrolokator, o niebo lepszy od tego, którym się posługiwali teraz. Czaili się u brzegów Alaski od trzech tygodni. Wykryty przez nich Amerykanin, wnosząc z doniesień wywiadu albo USS "Maine", albo USS "Nevada", również miał wkrótce zakończyć patrol, wrócić na przegląd, wrócić z nową załogą do sektora, znów wrócić do

bazy i wyjść w następny rejs w lutym przyszłego roku, dokładnie wtedy, kiedy Dubinin miał wyprowadzić swój wyremontowany okręt w morze. Jednym słowem, przy kolejnym rejsie Dubinin miał się zmierzyć z tym samym kapitanem, który przed chwilą popełnił gruby błąd. Po remoncie “Admirał Łunin” miał zyskać na cichobieżności, dojdzie też nowy sonar... Dubinin myślał w skrytości ducha, że może tym razem stanie się dla Amerykanów równym przeciwnikiem. Może wreszcie. Droga do własnej jednostki zabrała Dubininowi wiele lat, kiedy to uczył się podwodnictwa we Flocie Północnej, na okręcie kapitana Ramiusa. Cholernie szkoda, że taki świetny oficer, jak Marko Ramius, musiał zginąć w katastrofie. Ale kto powiedział, że służba na morzu jest bezpieczna? Zawsze była niebezpieczna i zawsze będzie. Pomyśleć, nim poszli na dno, Marko zdołał uratować dziesięciu ludzi z załogi... Dubinin wzdrygnął się. Gdyby do katastrofy doszło dzisiaj, mógłby chyba liczyć na pomoc Amerykanów. Chyba? Na pewno by ją otrzymał, radziecki okręt też pomagałby przecież ratować Amerykanów. Zmiany na świecie i we własnym kraju pozwalały Dubininowi bardziej uwierzyć w sens tego, co robi. Niby zawsze była to trudna gra, wymagająca ogromnych umiejętności, lecz nareszcie zmienił się jej zasadniczy cel. Naturalnie, Amerykanie wciąż mieli pod pokładem dziesiątki rakiet wycelowanych w kraj Dubinina, radzieckie rakiety nadal celowały w Stany Zjednoczone, lecz nawet to mogło się wkrótce odmienić. Dopóki jednak rakiety istniały, komandor Dubinin musiał siedzieć pod wodą. Prawdziwa złośliwość losu, że akurat w chwili, gdy radziecka flota zaczęła pomału dorównywać amerykańskiej akowały odpowiadały mniej więcej parametrami technicznymi pierwszym okrętom podwodnym typu Los Angeles - przestała też być potrzebna. Zamiast pojedynków, przyjacielska partyjka kart, pomyślał Dubinin. Nawet niezłe porównanie...

- Jaka prędkość, kapitanie? Dubinin zastanowił się.

- Zakładając, że słyszalność wynosi na tej głębokości dwadzieścia mil morskich, a prędkość celu pięć węzłów... Dajcie siedem węzłów. W ten sposób nie narobimy hałasu i być może złapiemy ich jeszcze... Zmiana kursu co dwie godziny, żeby hydrolokator wylapał, ile się da... Wykonać.

Następnym razem, Jewgienij, będziesz miał przy hydrolokatorze dwóch wyszkolonych oficerów, uświadomił sobie Dubinin. Dzięki zmniejszeniu liczebności radzieckich okrętów podwodnych, flota dostała nagle do dyspozycji sporą liczbę młodych oficerów, którzy przechodzili właśnie szkolenie specjalistyczne. Liczba oficerów wśród załogi miała się podwoić, co w połączeniu z nowym sprzętem pozwalało uwierzyć, że przyszłe polowania będą wyglądały inaczej niż dotąd.

- Daliśmy dupy - oświadczył Bunker. - Moja wina. Źle doradziłem prezydentowi.

- Nie ty jeden - pocieszył go Ryan, przeciągając się. - Ale powiedz mi, swoją drogą, na ile realistyczny był ten cały scenariusz? Jeżeli w ogóle?

Bieg wypadków pokazał, że całą sytuację sprowokował radziecki przywódca, usiłujący podporządkować sobie siły zbrojne. Z pozoru wyglądało to jednak na akcję zbuntowanej generalicji.

- Mało prawdopodobny. Coś podobnego może się jednak zdarzyć.

- Wszystko może się zdarzyć - palnął Jack. - Ale co, twoim zdaniem, mówią te gry wojenne o nas samych?

- Przypuszczam, że nic dobrego. - Bunker roześmiał się.

W wyniku rozwoju wypadków Ameryka musiała się pogodzić z utratą krążownika USS “Valley Forge”. W rewanżu śmigłowiec z pokładu USS “Kidd” wykrył i zatopił radziecki okręt podwodny typu Charlie. Nierówna transakcja, jak w szachach wymiana wieży za konia. Wojska radzieckie w

Niemczech Wschodnich stanęły w pogotowiu, słabsze zaś od nich siły NATO nie wiedziały, czy sobie poradzą. Dzięki temu Rosjanie uzyskali od Amerykanów ustępstwa, odkładając na później wycofanie swoich wojsk z Europy Wschodniej. Zdaniem Ryana, scenariusz został wzięty z sufitu, lecz nie było to zaskoczeniem. Chodziło przecież głównie o to, by przekonać się, jak władze amerykańskie dają sobie radę z niespodziewanym, bezsensownym kryzysem. Tym razem ekipa nie spisała się jak trzeba. Sztabowcy za dużo czasu stracili na pochopne, nieważne decyzje, za mało też zwrócili uwagi na istotne kwestie, które początkowo przeoczyli.

Lekcja z tego ćwiczenia brzmiała tak samo jak zawsze: nie rób głupstw. Naukę taką posiadał każdy pierwszoklasista, tym bardziej, że wszyscy robią jakieś głupstwa. W odróżnieniu jednak od pierwszoklasisty, głupstwa polityków niosły za sobą znacznie poważniejsze skutki. Mało kto pamiętał o tej prawdzie, a szkoda.

OBJAWIENIE

- Czego się pan zatem dowiedział?

- Ryan to niezwykley człowiek - odparł Goodley. - Te jego wyczyny w CIA są po prostu niewiarygodne.

- Słyszałam o tej łodzi podwodnej i o ucieczce przewodniczącego KGB na Zachód. Tylko tyle?

- zapytała Liz Elliot.

- Szanują go, a nawet lubią wywiady innych krajów. W Anglii, na przykład, Ryan przyjaźni się z sir Basilem Charlestonem. Łatwo zgadnąć, dlaczego się tak lubią. To samo dotyczy jednak innych wywiadów NATO, zwłaszcza we Francji. Ryan znalazł coś, co pozwoliło ludziom z DGSE zapuszkować całą bandę członków Action Directe - opowiadał Goodley, trochę skrępowany, że musi pełnić rolę szpicla.

Doradczyni do spraw bezpieczeństwa narodowego zwykle była ogromnie niecierpliwa, lecz poganiając młodego naukowca, mogła go tylko spłoszyć. Uśmiechnęła się więc kwaśno.

- Czy chce mi pan opowiadać o swojej fascynacji Ryanem?

- Nie, skądże. Miał wiele sukcesów, ale parę razy narobił błędów. Ot, chociażby jego prognozy na temat upadku NRD i tempa zjednoczenia Niemiec, kulą w płot! - Goodley nie zdawał sobie sprawy, że przecież nikt nie przewidział wypadków w Niemczech. Nikt poza nim samym, jeszcze podczas studiów w szkole imienia Kennedy'ego. Artykuł na ten temat, opublikowany w nikomu nie znanym czasopiśmie, stał się jeszcze jedną przyczyną, dla której w Białym Domu zauważono Goodleya. Stypendysta zamilkł powtórnie.

- Co dalej? - ponagliła go Liz Elliot.

- No... nie wiem, co myśleć o jego życiu prywatnym.

Nareszcie!

- Dokładnie o co chodzi?

- Inspektorzy z Komisji Papierów Wartościowych prowadzili dochodzenie przeciwko Ryanowi, jeszcze zanim wstąpił do CIA. Podejrzewano, że Ryan wykorzystał poufne informacje. Było tak: marynarka wojenna miała zawrzeć gruby kontrakt z jedną firmą na oprogramowanie dla komputerów. Ryan dowiedział się o tym, wykupił akcje firmy i zbił na nich majątek. O wszystkim dowiedziała się Komisja, która przetrzepała przy okazji radę nadzorczą firmy, i przyskrzyniła Ryana. Uniewinniony z jakichś przyczyn formalnych.

- Proszę konkretniej - zażądała Liz Elliot.

- Dyrektorzy tamtej firmy sami chcieli podkupić swoje akcje, ale żeby mogli być kryci, dali notkę o kontrakcie do jednej z gazet wojskowych, małą notatkę petitem, w sam raz, żeby w razie czego twierdzić, że o transakcji poinformowano wszystkich zainteresowanych. W ten sposób dyrektorzy i Ryan mogli podkupić te akcje legalnie. Najciekawsze jest to, co zrobił Ryan ze swoimi pieniędzmi, kiedy podniósł się szum wokół sprawy. Odjął sumę od reszty portfela papierów wartościowych, nawiasem mówiąc, jego portfelem zawiaduje teraz zarząd powierniczy, czterech różnych maklerów... - Goodley uczynił pauzę. - Czy wie pani, ile wynosi majątek Ryana?

- Nie, ile?

- Ponad piętnaście milionów dolarów. To z pewnością najbogatszy facet w całej Agencji.

Wartość jego aktywów wydaje mi się zresztą zanizona, sam oceniałbym ją na dwadzieścia milionów dolarów, ale Ryan nie zmienił systemu rachunkowości od czasów jeszcze przed CIA, więc nie ma się do czego przyczepić. Szacowanie majątku to prawie metafizyka. Każdy księgowy prowadzi rachunki trochę inaczej, i tak dalej. Najciekawsze, co Ryan zrobił z tamtymi zyskami: wydzielił je w postaci osobnego rachunku i przekształcił go w powierniczy fundusz edukacyjny.

- Na studia swoich dzieci?

- Nie - odrzekł Goodley. - Beneficjentami są... Zaraz, jeszcze inaczej. Ryan zużył część tych pieniędzy na wykupienie jakiegoś sklepu, sieci "7-11", na korzyść pewnej wdowy z dziećmi. Resztę pieniędzy zamienił na obligacje państwowe i parę murowanych pakietów akcji, żeby było za co wykształcić tamte dzieci.

- Wdowa z dziećmi?

- Nazywa się Carol Zimmer. Urodzona w Laosie, jej mąż był sierżantem lotnictwa, zabił się podczas lotu ćwiczebego. Ryan od tamtej pory opiekuje się rodziną. Wziął nawet zwolnienie, żeby odwiedzić tą Zimmer w szpitalu, kiedy urodziła ostatnie dziecko, dziewczynkę zresztą. Ryan regularnie odwiedza tę rodzinę - zakończył Goodley.

- Rozumiem. - Elliot wciąż nie rozumiała, lecz musiała zachować pozory. - To jakieś kontakty zawodowe?

- Właściwie nie. Jak powiedziałem, pani Zimmer to Laotanka. Jej ojciec rządził całą okolicą kraju i wspierał CIA w akcjach przeciwko Wietnamczykom, którym udało się wreszcie wydusić całą grupę. Nie zdołałem się dowiedzieć, w jaki sposób ta Zimmer się uratowała. Wyszła za mąż za sierżanta i przyjechała do Ameryki. Zimmer zginął w wypadku, nie podano gdzie, na pewno jakoś niedawno. W teczce Ryana nie ma żadnej wzmianki o wcześniejszych związkach z tą rodziną. Może zetknęli się w Laosie, ostatecznie chodziło o CIA, chociaż nie wiem, bo Ryan w ogóle nie pracował wtedy w rządzie, dopiero zaczynał studia. Najmniejszej wzmianki o wcześniejszych kontaktach. Dopiero ostatnio, kilka miesięcy przed wyborami prezydenckimi, Ryan ni stąd, ni zowąd ustanowił ten fundusz powierniczy i od tamtej pory przeciętnie raz w tygodniu odwiedza Zimmerów. O, jeszcze coś.

- Mianowicie?

- Dogrzebałem się tego w innej teczce. Z tym sklepikiem była jakaś afery, miejscowi chuligani nachodzili Zimmerów. Głównym ochroniarzem Ryana jest niejaki Clark, też z CIA. Dawniej działał w terenie, a teraz został gorylem. Nie udało mi się zdobyć jego teczki - opowiadał Goodley. - Wygląda w każdym razie na to, że ten właśnie Clark napadł na bandę chuliganów, jednego posłał nawet do szpitala. Sprawdziłem wycinek w gazecie, mała notatka w miejscowym dzienniku, coś w stylu "szary obywatel staje w obronie kobiety" ... Clark razem z drugim agentem, w gazecie napisano tylko, że chodzi o "pracowników sektora federalnego", ani słówka o CIA, zostali podobno zaczepieni przez czterech osiłków. Nie chciałbym się spotkać z tym Clarkiem. Prowodyr bandy poszedł do szpitala ze strzaskaną rzepką kolanową, drugi napastnik nieprzytomny, reszta popuściła pod siebie i uciekła. Miejscowa policja podała, że zna tę grupę jako chuliganów - teraz już byłych chuliganów. Nikt nie wniósł sprawy o pobicie.

- Dowiedział się pan czegoś więcej o tym Clarku?

- Widziałem go parę razy. Potężny, pod pięćdziesiątkę, milczący, trochę nawet jakby wstydlivy. Za to porusza się, wie pani, w jaki sposób? Uczyłem się kiedyś karate. Mój instruktor służył w swoim czasie w Wietnamie, w Zielonych Beretach, normalna sprawa. Oczywiście, poruszał się jak sportowiec, płynnie, dynamicznie, ale chodzi głównie o oczy. Zawsze w ruchu. Ktoś taki patrzy na człowieka, zerka boczkiem i decyduje: zagrożenie czy nie zagrożenie... - Goodley urwał, bo dopiero

w tej chwili zdał sobie sprawę, kim naprawdę jest Clark. Ben Goodley, mimo wszystko, nie należał do durniów. - To naprawdę niebezpieczny gość.

- Dlaczego? - Liz Elliot pogubiła się zupełnie w tym wywodzie.

- Przepraszam, już tłumaczę. Nauczyłem się tego w Bostonie, od instruktora karate. Najbardziej niebezpieczny przeciwnik z reguły wygląda całkiem niewinnie. W dużej grupie zupełnie nie rzuca się w oczy i nikt by nie powiedział... Tego mojego instruktora napadnięto na stacji kolejki podziemnej, tuż przy budynkach Harvardu. To znaczy, tamci spróbowali go napaść. Za chwilę cała trójka leżała w krwi na peronie. Wzięli mojego instruktora za woźnego czy zamiatacza, to Murzyn, teraz już po pięćdziesiątce, rzeczywiście ubiera się jak zamiatacz ulic, na oko zupełna pocziwina. Clark ma dokładnie taki sam styl, jak ten mój sensei... Ciekawe. Służył w sekcji specjalnej SPO, więc musi być naprawdę niezły. Domyślam się, że to Ryan dowiedział się o chuliganach od tej całej Zimmer i nasał na nich swoich goryli. Policji okręgu Anne Arundel zrobił tym tylko przyjemność.

- Wnioski?

- Ryan bardzo się odznaczył parę razy, lecz sporo spraw sknocił. Tacy jak on to relikty przeszłości. Ryan jest dinozaurem czasów zimnej wojny. Nie podoba mu się obecna ekipa, sarkał nawet, kiedy kilka dni temu nie mogła pani wziąć udziału w CAMELOCIE, Ryan uważa, że sztab prezydenta objaja się i że uchylanie się od gier wojennych to czysta nieodpowiedzialność.

- Tak powiedział?

- Cytuję prawie dokładnie jego słowa. Siedziałem w gabinecie Cabota, kiedy wszedł Ryan i puścił wiązanekę.

Liz Elliot pokręciła głową.

- Trudno o lepszy dowód, że to dinozaur. Jeśli prezydent i ja zrobimy, co do nas należy, nie będzie już żadnych kryzysów. A o to właśnie chodzi, prawda?

- Jak dotąd idzie wam rzeczywiście świetnie - przytaknął Goodley. Liz Elliot nie zwróciła jednak na niego uwagi, pochłonięta swoimi notatkami.

Nowe tynki pokryto dodatkowo płachtami wodoszczelnej folii plastikowej. Włączona klimatyzacja wysysała z wnętrza całą wilgoć i kurz.

Fromm mozolił się nad stołami warsztatowymi. Słowo "stół" było zresztą zbyt skromne, gdyż każda z konstrukcji miała znieść kilkutonowe obciążenie. Grube podpory zaopatrzone w śruby regulacyjne. Niemiec starannie ustawiał każdy kolejny stół, zerkając na poziomice wbudowane w krawędzie i nogi.

- Doskonale - rzekł wreszcie po trzech godzinach. Powierzchnia robocza stołów naprawdę musiała być idealnie pozioma. Udało się to osiągnąć. Po wypoziomowaniu przykręcono stoły raz na zawsze do posadzki.

- Tym maszynom potrzebne takie mocne oparcie? - zapytał Hosni.

- Wprost przeciwnie - zaprzeczył Fromm. - Każda maszyna unosi się na poduszce powietrznej.

- Przecież mówiłeś, że ważą ponad tonę! - wtrącił się Kati.

- Nie szkodzi, resorować je na poduszce powietrznej to wcale nie sztuka. Widzieliście na filmie poduszkowce, które ważą po kilkaset ton? Resor powietrzny to konieczność, chodzi o wygłuszenie wibracji gruntu.

- Z jaką dokładnością będziemy szlifować części? - zaciekawiał się Hosni.

- Mniej więcej z taką samą, jak przy teleskopie astronomicznym,

- Ale przecież tamte pierwsze bomby... Fromm przerwał jednak Kostnemu.

- Pierwsze amerykańskie bomby, te z Hiroszimy i Nagasaki, były tak prymitywne, że aż wstyd!

Marnował się w nich prawie cały materiał rozszczepialny, zwłaszcza w bombie z Hiroszimy. Brakowało tylko, żeby je odpalano lontem prochowym!

Prócz tego, nie stać nas na niewydajny model - ciągnął Niemiec. - Amerykańscy konstruktorzy zorientowali się dopiero po pierwszej próbnej eksplozji, że mają ograniczony zapas materiału. Parę kilo plutonu, które tu leży, to najdroższy surowiec świata. Sama fabryka, w której otrzymano materiał kosztowała miliardy, następne miliardy poszły na rozdzielanie poszczególnych izotopów, następne zakłady, następny miliard... tylko Amerykę stać było na taki wysiłek. Cały świat wiedział, na czym polega rozszczepianie jąder atomowych, nie była to żadna tajemnica. Pokażcie mi w fizyce jakieś tajemnice! Co z tego, skoro tylko Ameryka miała pieniądze na produkcję bomb. Pieniądze i ludzi - dodał Fromm. - Jakich geniuszy nazbierali u siebie! Właśnie dlatego pierwsze bomby - wyobraźcie sobie, że zbudowano ich tylko trzy - pochłonęły cały zapas posiadanego materiału. Najważniejszym kryterium była wtedy skuteczność, więc tak je właśnie zaprojektowano. Miały być prymitywne, ale skuteczne. Żeby je zrzucić, potrzebny był największy samolot świata.

Also, kiedy Amerykanie wygrali już wojnę, wzięli się na serio, już nie na łapu capu, za prace konstrukcyjne, metodycznie, ja? Reaktor plutonowy w Hanford wytwarzał wtedy raptem kilkadziesiąt kilogramów plutonu rocznie, więc Amerykanie musieli się nauczyć oszczędności. Bomba Mark-12 to ich pierwszy nowoczesny model, Izraelczycy ulepszyli ją jeszcze. Mark-12 ma pięciokrotnie słabszy ładunek niż bomba z Hiroszimy, ale za to pięć razy większą siłę wybuchu. Sprawność większą o całe dwadzieścia pięć procent, ja? Stać nas na to, żeby tę siłę zwiększyć jeszcze dziesięć razy, a gdyby mieć grupę prawdziwych ekspertów, porządne zakłady, można by pomnożyć siłę wybuchu jeszcze cztery razy.

Współczesne głowice jądrowe to najbardziej eleganckie, najbardziej fascynujące...

- Dwie megatony? - zdumiał się Hosni. - Jak to możliwe?

- Tutaj nie osiągniemy takiej mocy - przyznał ze smutkiem Fromm. - Mamy za mało danych. Mechanizm fizyczny jest bardzo prosty, ale za mało wiemy o stronie technicznej. Nie możemy nawet nigdzie przeczytać, jak się projektuje bombę jądrową. Nic dziwnego, bo przecież do dziś trwają próby, specjalnie, żeby ulepszyć i zminiaturyzować głowice. Żeby coś osiągnąć, trzeba prowadzić doświadczenia, a to zupełnie odpada. Nie mamy też pieniędzy ani czasu na wyszkolenie fachowych konstruktorów. Mógłbym pewnie zaprojektować bombę o mocy powyżej jednej megatony, ale sam dawałbym sobie tylko pięćdziesięcioprocentową szansę sukcesu. Może trochę większą, ale i tak nie ma sensu zaczynać, skoro nie możemy nawet przeprowadzać prób.

- No to co możesz zrobić? - zapytał wreszcie Kati.

- Mogę z tego ładunku zrobić bombę o sile znamionowej od czterystu do pięciuset kiloton. Będzie miała metr sześcienny objętości i pięćset kilogramów wagi. - Fromm przerwał na widok miny obu Arabów. - Nie będzie to najelegantszy model, bo strasznie duży i ciężki. Będzie za to miał ogromną siłę.

Projekt Fromma pomysłowością przewyższał wszystkie z osiągnięć amerykańskich i radzieckich konstruktorów z pierwszych piętnastu lat wyścigu atomowego. Zdaniem Niemca, było się czym pochwalić.

- Płaszcz dynamiczny? - zapytał Hosni.

- Oczywiście. - Młody Arab okazał się całkiem rozgarnięty, pomyślał Fromm. - W pierwszych bombach reakcja zachodziła wewnątrz grubego płaszcza z litej stali. U nas tę samą rolę odegra materiał wybuchowy, o dużej objętości, lecz lekki. W momencie detonacji wstrzykniemy do rdzenia bomby tryt, tak samo, jak wymyślili to Izraelczycy. Dzięki temu powstanie w tym miejscu duża ilość neutronów, która zwiększy siłę reakcji łańcuchowej. Reakcja wyzwoli dodatkową masę neutronów,

którą skierujemy prosto w drugą porcję trytu. Wtedy zacznie się reakcja syntezy jąder atomowych. Łączna moc bomby wyniesie pięćdziesiąt kiloton z ładunku pierwotnego i czterysta z wtórnego.

- Ile potrzebujemy trytu? - Hosni zdawał sobie sprawę, że łatwo było wejść w posiadanie małych ilości tego izotopu, używanego przez zegarmistrzów i niektórych optyków, lecz o zdobyciu więcej niż dziesięciu miligramów nie można było nawet marzyć. Hosni sam się o tym niedawno przekonał. Wbrew temu, co mówił Fromm, to właśnie tryt, a nie pluton, stanowił najdroższą substancję na świecie. Z tym, oczywiście, że tryt można było kupić, a plutonu nie.

- Mam w zapasie pięćdziesiąt gramów - oznajmił pyszałkowato Fromm. - Znacznie więcej, niż nam będzie potrzeba.

- Pięćdziesiąt gramów?! - wykrzyknął Hosni. - Pięćdziesiąt?

- Nasz reaktor wytwarzał materiały rozszczepialne do budowy bomb atomowych. Po upadku socjalistycznej władzy postanowiono zwrócić cały pluton Rosjanom, przez wierność wobec sprawy socjalizmu, czy czegoś takiego. Moskwa bardzo źle zareagowała... Sami możecie to sobie wyobrazić. Zrobili o ten pluton taki krzyk, że postanowiłem ukryć sprawę produkcji trytu. Wiecie, jaki to drogocenny materiał. Można powiedzieć, że potraktowałem go jako polisę ubezpieczeniową.

- Gdzie masz ten tryt?

- W moim domu, w piwnicy. Rozpuściłem w akumulatorach niklowych. Kati bardzo źle zareagował na tę wieść. Fromm widział, że z arabskim watażką jest nietęgo, a choroba przeszkadza mu ukrywać prawdziwe uczucia.

- I tak muszę wrócić do Niemiec po obrabiarki - oświadczył więc terrorystom.

- Jak to, masz je?

- Stoją pięć kilometrów od mojego domu, w Instytucie Astrofizycznym Karola Marksa. Mówiliśmy, że będziemy tam produkować teleskopy optyczne i rentgenowskie. Niestety, nie zdążyliśmy otworzyć placówki. Takie alibi się zmarnowało, co? W hali maszyn instytutu, w skrzyniach z napisem "aparatura astrofizyczna", stoi sześć precyzyjnych obrabiarek, pięciopłaszczyznowych, prima sort. - Fromm uśmiechnął się złowieszczo. - Z firmy Cincinnati Milacron, USA. Dokładnie takich samych używają Amerykanie w zakładach atomowych w Oak Ridge, Rocky Flats i Pantex.

- Skąd wzięliście obsługę? - zapytał Hosni.

- Szkoliliśmy dwudziestkę techników, szesnastu chłopaków i cztery dziewczyny, wszyscy po wyższych studiach... Nie, nie wchodzi w rachubę, nie wolno ryzykować. Zresztą po co? Te maszyny są bardzo łatwe w obsłudze, byle kto może na nich pracować, choćby my sami, ale szkoda naszego czasu. Poradzi sobie przy nich każdy szlifierz soczewek czy choćby wykwalifikowany rusznikarz. To, do czego pięćdziesiąt lat temu potrzeba było noblisty, dziś wykona doświadczony majster. To się nazywa postęp, ja?

- Może tak, a może nie - dywagował Dubinin, który od dwudziestu czterech godzin nie opuścił centrali, a przedtem spał zaledwie sześć godzin po poprzednim, jeszcze dłuższym dyżurze.

By wykryć poszukiwany obiekt - jeśli go rzeczywiście wykryli - potrzeba było całego doświadczenia Dubinina. Trafnie odgadł, że amerykański okręt z rakietami strategicznymi zrobi zwrot na południe i nie będzie płynął szybciej niż pięć węzłów. Trzeba było jeszcze rozważyć warunki hydrograficzne. "Łunin" musiał podążać w bliskiej odległości za tropionym okrętem, na tyle jednak daleko, by pozostać poza zasięgiem amerykańskich sonarów. Tak zwana strefa konwergencji hydrolokatora wokół okrętu miała kształt torusa. Każdy dźwięk, który rozchodził się w obrębie tej strefy, idąc w dół, odbijał się wskutek ciśnienia oraz temperatury wody i wracał ku powierzchni po

spiralnej ścieżce, rozsyłając miarowe echo, które zależało z kolei od fizycznych właściwości środowiska w danej chwili. Trzymając się z dala od domniemanej granicy strefy przeciwnika, okręt podwodny mógł sam pozostać nie zauważony. Aby to osiągnąć, Dubinin musiał jednak trzymać się w odległości, z której słychać było odgłosy drugiego okrętu rozchodzące się po linii prostej, unikając zarazem wykrycia. W tym celu radziecki okręt wyszedł nad termoklinę, powierzchnię styku wód powierzchniowych i głębinowych - Dubinin założył, że Amerykanie pozostaną w dolnej warstwie - opuszczając w zimną wodę głębinową jedynie holowaną za rufą pławę hydrolokatora. Dzięki temu komandor miał szansę ukryć szum swych maszyn przed przeciwnikiem.

Obrona taktyka miała również złe strony. Okręt amerykański był znacznie cichszy niż radziecki, miał też znacznie lepsze hydrolokatory z dużo sprawniejszą obsługą. Szef hydroakustyków, porucznik Jewgienij Nikołajewicz Rykow znał się na rzeczy, lecz poza nim nikt z całej załogi nie dorównywał operatorom amerykańskim. W dodatku Rykow padał już z nóg. Komandor Dubinin mógł więc liczyć tylko na siebie. Uważał się za niezłego taktyka i był nim rzeczywiście, w odróżnieniu od Amerykanina, z którego taktyk był żaden, za to straszny zarozumialec. Pozostawał jeszcze jeden szkopuł: trzymając się blisko powierzchni oceanu, Dubinin narażał się na wykrycie przez amerykańskie samoloty patrolowe. Komandor był jednak gotów podjąć ryzyko. Stawką był sukces, jakim nie mógł się poszczycić żaden oficer radzieckiej floty podwodnej.

Dowódca i jego oficer wbijali wzrok w "wodospad", patrząc jednak nie w sam stroboskop, lecz w poszarpaną, ledwie widoczną pionową linię, która powinna być odrobinę jaśniejsza. Amerykańskie okręty typu Ohio wytwarzały mniej szumów niż ocean wokół nich. Oficerowie zastanawiali się, czy warunki w wodzie, temperatura, zasolenie i setki innych czynników pozwoliły im oto ujrzeć obraz echa pozostawionego przez najlepszy atomowy okręt podwodny na świecie. Dubinin pomyślał, że prawdopodobnie obaj zaczynają mieć halucynacje z wyczerpania.

- Ależ by się przydał namiar - rozmarzył się Rykow, sięgając po herbatę. - Niechby ktoś upuścił klucz francuski albo trzasnął włazem... Niech zrobią jakiś błąd...

Zawsze można jeszcze strzelić go echosondą... Zanurkować pod warstwę styku, palnąć Amerykanina w kadłub wiązką energii akustycznej i zyskać pewność... Nie! Rykow wyprostował się i zrugął za takie myśli. Cierpliwości, chłopie. Oni są cierpliwi, to i my będziemy cierpliwi.

- Strasznie się wymęczyłeś, Jewgienij.

- Odpocznę sobie, jak wrócimy do Pietropawłowska. Najpierw pościę sobie tydzień, a potem pójdę do żony i przez tydzień nie będę spał. - Za uśmiechem Rykova czuło się ogromne zmęczenie, zwłaszcza w żółtym odbłasku z monitora. - Teraz nie przepuszczę takiej szansy!

- To Amerykanie. Nie zrobią błędu.

- Wiem, kapitanie. Cholerni Amerykanie, wyszkoleni, nie ma co... Ale ja wiem, że to ohio! Cóżby innego?

- Wyobraźnia, Jewgienij, wyobraźnia i dobre chęci.

- Żeby mój kapitan mówił coś podobnego? - Rykow odwrócił się z niesmakiem.

- Mój porucznik ma chyba rację.

Cóż za pojedynek, pomyślał Dubinin. Okręt przeciwko okrętowi, mózg przeciwko mózgom. Trójwymiarowe szachy, rozgrywane na wiecznie zmiennej planszy. Radziecki komandor wiedział, że Amerykanie są lepsi w tej grze. Lepszy sprzęt, lepsze załogi, lepsze wyszkolenie. Amerykanie również zdawali sobie z tego sprawę, a trwająca już drugie pokolenie przewaga coraz częściej wpędzała ich w zarozumiałość i rutynę. Nie wszystkich, oczywiście, ale część na pewno. Inteligentny dowódca okrętu podwodnego nie wyprawiałby takich rzecz jak ten tutaj... Dubinin nie wyobrażał sobie, co by zrobił, gdyby to jemu dano taki okręt. Nikt nie byłby w stanie go wykryć!

- Jeszcze dwanaście godzin i zrywamy kontakt, pora do domu.
- Jaka szkoda - odezwał się Rykow bez przekonania. Po sześciu tygodniach pod wodą miał już trochę dosyć.

- Wyjść na głębokość dwudziestu metrów - rozkazał oficer wachtowy.
- Wyjść na dwadzieścia metrów - dobiegł go odzew operatora sterów głębokości i balastów. - Przednie stery głębokości dziesięć stopni w górę.

Rozpocznali ćwiczenia w wystrzeliwaniu rakiet spod wody. Trening trzeba było powtarzać regularnie, zarówno dlatego, by załoga nie wyszła z wprawy, jak i po to, by uodpornić ludzi na myśl, że wiozą w pokładowych silosach dwadzieścia cztery rakiety międzykontynentalne UGM-93 Trident II D-5, każda wyposażona w dziesięć głowic jądrowych Mark-5 o mocy czterystu kiloton. Wewnątrz okrętu znajdowało się więc w sumie dwieście czterdzieści głowic o łącznej sile wybuchu równej dziewięćdziesięciu sześciu milionom ton trotylu. Łączna moc nie mówiła jednak wszystkiego, gdyż broń atomowa podlega kilku ważnym prawom fizyki naraz. Mniejsze głowice jądrowe są na przykład bardziej efektywne niż duże. Co więcej, w przypadku głowic Mark-5 prawdopodobny promień rozrzutu przy trafieniu wynosił plus minus pięćdziesiąt metrów. Oznaczało to, że po zatoczeniu paraboli długości siedmiu tysięcy kilometrów połowa głowic spadnie w odległości do pięćdziesięciu metrów od wyznaczonego celu, a prawie cała reszta w odległości do stu metrów. Promień rozrzutu był więc mniejszy niż średnica krateru powstałego przy eksplozji takiej głowicy, dzięki czemu D-5 jako jedyne we flocie mogły stać się morskimi pociskami strategicznymi pierwszego uderzenia. Głowice rakiet Trident D-5 w wypadku konfliktu miały zadać pierwszy cios, spadając na ośrodki przeciwnika. Przy zakładanej normalnie proporcji dwóch głowic na jeden cel, USS "Maine" mógł więc wyeliminować sto dwadzieścia radzieckich wyrzutni rakiet strategicznych lub bunkrów dowodzenia, czyli około dziesięciu procent wszystkich sił pierwszego uderzenia, jakimi dysponowała Moskwa.

W przedziale kontrolnym, położonym za przepastnym hangarem przedziału raketowego, bosman sztabowy trzasnął włącznikiem tablicy przyrządów. Wskaźniki ukazały mu stan wszystkich dwudziestu czterech "ptaszków". Pokładowe komputery nawigacyjne automatycznie przekazały niezbędne dane do systemów kierowania lotem wewnątrz każdej z rakiet. Za kilka minut dane te miał potwierdzić odczyt z satelity nawigacyjnego. Aby trafić, komputer pokładowy rakiety musiał znać nie tylko położenie celu lecz i współrzędne geograficzne punktu startu. Dzięki systemowi NAYSTAR można było poznać ten punkt z dokładnością do pięciu metrów. Bosman patrzył, jak po serii komputerowych sprawdzianów kolejne rakiety zgłaszają światelkiem na pulpicie swoją gotowość do lotu.

Z każdym metrem w górę ciśnienie wody napierającej na kadłub zmniejszało się o ponad dwie tony na metr kwadratowy powierzchni wynurzającego się okrętu. Kadłub "Maine" zaczął się więc rozszerzać z cichym trzaskiem rozprężającej się nareszcie stalowej blachy.

Nawet sonar ledwie wychwycił daleki jęk, zwodniczo podobny do podwodnego zewu wieloryba. Rykow tak chwiał się ze zmęczenia, że jeszcze kilka minut, a przegapiłby echo, lecz choć zapadał w coraz głębsze otępienie, zmusił się do uwagi. I oto...

- Kapitanie! Trzaski kadłuba, o tutaj! - Ryków stuknął palcem w dół ekranu, tuż obok cienia, któremu przyglądali się przedtem tak uważnie. - Wynurza się.

Dubinin wpadł do centrali i nasadził słuchawki, wydając jednocześnie komendę, by przygotować się do zmiany głębokości.

- Jewgieniju Nikołajewiczu, teraz musimy szybko i pewnie! Zejdziemy pod warstwę, kiedy tylko Amerykanin zacznie wychodzić nad nią, i...

- Nie trzeba się tak spieszyć, kapitanie. Jego pława dłużej zostanie pod warstwą. A nasza nad warstwą.

- Do czorta! - Dubinin prawie się roześmiał. - Wybaczcie mi, poruczniku. Stawiam za to butelkę starki.

- A jakże, wypijemy z żoną zdrowie kapitana... Mam pierwszy namiar... Cel pięć stopni w dół pod naszą pławą hydrolokacyjną... Jeżeli utrzymam kontakt, to kiedy zacznie wychodzić nad warstwę głębinową...

- Złapiemy namiar odległości! - Wynik byłby przybliżony, lecz zawsze to jakiś wynik. Dubinin wychrypiął serię rozkazów do namiarowca.

- Dwa stopnie... Nie słyszę trzasków kadłuba... Ciężko teraz wychwycić, na szczęście "wypija" szum otoczenia... Zniknął. Wyszedł nad warstwę!

- Raz, dwa, trzy... - powoli liczył Dubinin. Amerykanin wynurza się, żeby ćwiczyć strzelanie albo nawiązać łączność. Tak czy inaczej wychodzi na dwadzieścia metrów pod powierzchnię, a holowana za nim pława hydrolokatora na pięciusetmetrowej linii... przy prędkości pięciu węzłów... Teraz!

- Dziobowe stery głębokości pięć stopni w dół. Schodzimy tuż pod warstwę styku. Nawigacyjny, mierzyć temperaturę wody. Delikatnie, sternik, delikatnie...

"Admirał Łunin" przegłębił dziób i dynamicznie zszedł pod rozfalowaną warstwę, gdzie nagrzana woda z powierzchni stykała się z zimną głębiną.

- Jaka odległość? - zapytał teraz komandor.

- Pomiędzy pięcioma i dziesięcioma tysiącami metrów. Dokładniej nie dam rady określić.

- Zuch, Kola! Świetnie.

- Zeszliśmy pod warstwę, temperatura wody pięć stopni! - zameldowano.

- Dziobowe stery na zero, okręt na równą stępkę!

Gdyby nie niski sufit, Dubinin podskoczyłby z radości. Udała mu się sztuka, o jakiej tylko marzyli dowódcy radzieckich okrętów podwodnych i która - jeśli wierzyć doniesieniom wywiadu - stała się udziałem tylko nielicznych Amerykanów: nawiązał, a co ważniejsze utrzymał kontakt z amerykańskim okrętem podwodnym typu Ohio, pełnym rakiet strategicznych. Gdyby trwała wojna, miałyby czas na znalezienie celu aktywną echosondą i wypuszczenie torped. Radziecki komandor wygrywał oto w najtrudniejszej z istniejących gier - w chowanego. Poczul gęsią skórkę z emocji. Nic nie mogłoby mu przynieść równej satysfakcji!

- Ster na prawo - wydał komendę. - Nowy kurs trzy zero zero. Zwiększyć prędkość do dziesięciu węzłów.

- Ale, kapitanie... - zaczął starpom, czyli oficer wachtowy.

- Zrywamy kontakt. Amerykanin będzie tu tkwił co najmniej pół godziny. Kiedy skończy, bardzo wątpliwe, czy uda nam się uniknąć wykrycia. Lepiej się od razu zabierać, po co mają wiedzieć, że im siedzimy na karku. Spotkamy się jeszcze, a jeśli nawet nie, to i tak zadanie wykonane. Płynęliśmy za nim, aż podeszliśmy na pewny strzał. Ależ się napijemy na to konto w Pietropawłowsku. Kapitan stawia! Dobrze, wynośmy się stąd, po cichutku, żeby nie wiedzieli, że tu w ogóle byliśmy.

Komandor Robert Jefferson Jackson z lotnictwa morskiego miał kilka cichych życzeń: wolałby być młodszy, mieć znów krucze włosy i zmienić się na powrót w "młody talent" prosto ze szkółki w Pensacola. Pamiętał, jaki dreszcz poczuł, siadając pierwszy raz za sterami imponującego myśliwca

morskiego, których cały rząd stał niczym gromada mew wzdłuż pasa startowego bazy lotnictwa morskiego Oceana. Fakt, że wszystkie dwadzieścia cztery Tomcaty F-14D w okolicy były jego własnością, nie cieszył go aż tak bardzo, jak to, że jeden z samolotów wciąż należał do niego niepodzielnie. Jako dowódca grupy, Jackson miał pod sobą dwa dywizjony tomcatów, następne dwa myśliwców bombardujących FA-18 Hornet, dywizjon szturmowych intruderów A-6E, kolejny dywizjon pękatek S-3 do zwalczania okrętów podwodnych, a oprócz tego tłum mniej efektywnych maszyn: latających tankowców, prowlerów do walki elektronicznej i śmigłowców ratowniczych z echosondami. Łącznie miał więc pod opieką siedemdziesiąt osiem maszyn, których wartość przekraczała... zaraz, miliard dolarów? Pewnie więcej, biorąc pod uwagę koszt nowych maszyn. Oprócz samolotów byli jeszcze ludzie: trzy tysiące pilotów i mechaników, każdy z nich oczywiście bezcenny. A wszystko to na głowie Roberta Jeffersona Jacksona. O wiele zabawniej było latać na własnym myśliwcu, wszystkie inne troski pozostawiając "górze". Robby z biegiem lat sam stał się "góram", facetem, na którego temat chłopcy rozprawiali między sobą w kajutach pod pokładem. Niechętnie stawali w progu jego gabinetu, gdyż za bardzo im to przypominało tak niedawne wizyty na dywaniku u dyrektora szkoły. Nie lubili też latać razem z nim, bo po pierwsze, na pewno był za stary, żeby coś umieć, a po drugie, ciągle się czepiał, że robią coś nie tak. Piloci myśliwców przyznają się do omyłek tylko we własnym gronie.

Los lubi odwracać role. Robby Jackson trafił na lotniskowiec z Pentagonu, gdzie przez parę lat przekładał papiery, modląc się i marząc o przeniesieniu i końcu służby, w której polować mógł najwyżej na miejsce na parkingu. Kiedy wreszcie otrzymał dowództwo skrzydła lotnictwa morskiego, przekonał się, że ilość gównianych papierów na biurku wcale nie zmalała, przeciwnie. Teraz jednak mógł sobie dwa razy w tygodniu polatać...jeżeli się dało. Dziś się na przykład dało. Bosman sztabowy zawiadujący kancelarią odprowadził go wzrokiem do drzwi.

- Pilnujcie interesu, bosmanie.
- Tak jest. Będę tu tkwił, aż pan wylądzuje. Robby zatrzymał się.
- Gdyby ktoś próbował ukraść te wszystkie papiery, nie przeszkadzać.
- Służba, panie komandorze.

Jackson wyszedł z budynku, wsiadł w samochód sztabowy, a na miejscu migiem przebrał się w kombinezon z nomeksu, stary łach, wyblakły od prania, wytarty na łokciach i siedzeniu. Ten sam od lat. Jacksonowi dawno należał się nowy kombinezon, lecz piloci to ludzie przesądni. Robby już niejedno przeżył w swoim łachu.

- Hej, szefie! - zawołał do niego dowódca jednego z dywizjonów. Komandor Bud Sanchez był niższy od Jacksona, miał bujne wąsy i oliwkową cerę, kontrastującą z parą bystrych, ciemnych oczu i uśmiechem jak z reklamy pasty do zębów. Sanchez, dowodzący dywizjonem VF-1, leciał dziś jako partner Jacksona. Latali razem jeszcze w czasach, gdy Jackson dowodził dywizjonem myśliwskim YF-41 na lotniskowcu "John F. Kennedy".

- Twoja rura naoliwiona i gotowa. Gotów do zabawy?
- Kogo dziś wymiatamy?
- Tych pacanów z Cherry Point na hornetach delta. Wysłaliśmy już sto sześćdziesiąt kilometrów w morze hummera, nich krąży i patrzy. Mamy ćwiczyć wymiatanie na niskim pułapie.

Zadanie stanowiło część planu ochrony podejść do wybrzeża i polegało na tym, by nie dopuścić samolotów "przeciwnika" poza ustaloną linię.

- Puhuśta nas trochę, nie? Ci z Cherry Point coś mi dziarsko brzmiali przez telefon.
- Piechota morska nie wymyśliła jeszcze takiego pilota, który by mi dał radę - zauważył skromnie Robby, zdejmując hełm z półki. Na skorupie widniał znak asa pikowego. "Pik" był

radiowym kryptonimem komandora.

- Ej, balast, przestańcie się migdalić, bo lecimy! - zawołał Sanchez.

- Idę, idę, Bud - uspokoił go Michael Alexander, zwany Lobo. Za nim stał już Pilnik, czyli Henry Walters, radarowiec i strzelec pokładowy Jacksona. Oba "balasty", kapitanowie, nie przekroczyli jeszcze trzydziestki, ale w szatni zwracano się do siebie po imieniu, a nie regulaminowo. Obyczaj ten podobał się Robby'emu najbardziej ze wszystkich amerykańskich tradycji.

Na zewnątrz czekali już z meldunkiem mechanicy, obaj w randze bosmana. Każdy z nich zaprowadził swoich oficerów do maszyny i pomógł im wspiąć się do kabiny. Na pełnym niebezpieczeństwie pokładzie lotniskowca pilotów niesie się do samolotu dosłownie na rękach, żeby sobie nie zrobili krzywdy ani się nie zgubili. Maszyna Jacksona miała wypisany na nosie jednocyfrowy numer taktyczny, a pod owiewką litery KMDR R.J. JACKSON "PIK", chyba po to, żeby nikt nie miał wątpliwości, czyj to samolot. Pod napisem widniała jeszcze sylwetka myśliwca Mirage, którego iracki pilot nie tak dawno podleciał za blisko do maszyny Jacksona. Zwycięstwo przyszło bardzo łatwo, gdyż przeciwnik zapomniał się rozejrzeć i natychmiast zapłacił za to cenę, lecz zwycięstwo to zwycięstwo. Dla pilota myśliwca liczyło się tylko ono. Pięć minut później cała czwórka siedziała już przypięta w kabinach i zapuszczała silniki.

- Jak tam samopoczucie, Pilnik? - zapytał Jackson strzelca przez interkom.

- W sam raz, żeby się dobrać tym na hornetach do dupy. U mnie wszystko gra. Dadzą nam wystartować?

- Zaraz się dowiemy. - Jackson przełączył się na radio. - Bud, tu Pik, gotowe, odbiór.

- Zrozumiałem, Pik. Prowadzisz.

Piloci obejrzeni się, dostali od mechanika znak, że na zewnątrz wszystko w porządku i rozejrzeli się po pasie.

- Tu Pik, prowadzę. - Jackson zwolnił hamulce. - Kołuję na start.

- Jak się masz, mein Schatz - przywitał Manfred Fromm małżonkę. Traudl rzuciła mu się na szyję.

- Gdzieś ty był tyle czasu?

- Tego ci nie powiem - odpowiedział Fromm i mrugnął znacząco, po czym zanucił kilka taktów piosenki "Don't cry for Me, Argentina" z musicalu Webbera.

- Wiedziałaś, że się dasz namówić. - Traudl uśmiechnęła się nareszcie.

- Nikomu ani mru mru - przestrzegł mąż i utwierdzając żonę w domysłach, wręczył jej pięć paczek banknotów po dziesięć tysięcy marek każda. Fromm sądził, że suma powinna zamknąć usta tej zachłannej zdzirze. - Wpadłem tylko na jedną noc. Mam różne sprawy do załatwienia, więc sama rozumiesz...

- Rozumiem, rozumiem, Manfred. - Traudl znów go uściskała, nie wypuszczając pieniędzy z rąk.

- Trzeba było zadzwonić, uprzedzić!

Wszystko okazało się absurdalnie proste. Za siedemdziesiąt godzin odpływał z Rotterdamu frachtowiec do syryjskiego portu Latakia. Fromm i Bock wynajęli prywatną firmę przewozową. Musieli jeszcze tylko załadować maszyny z instytutu do niewielkiego kontenera i pomachać kierowcy na pożegnanie. Za sześć dni kontener miał już stacja syryjskim nadbrzeżu. Szybciej byłoby wysłać urządzenia samolotem albo koleją do jednego z portów we Włoszech czy w Grecji, lecz olbrzymi ruch panujący w Rotterdamie gwarantował, że przepracowani celnicy, szukający przede wszystkim narkotyków, nawet nie spojrzą na przesyłkę. Ten akurat kontener psy tropiące mogły sobie wachać do

woli.

Fromm zażądał kawy i przepuścił żonę do kuchni. Potrzebował zaledwie kilku minut. Zszedł do piwnicy, gdzie jak najdalej od grzejnika, na starannie ułożonym sągu drewna, stały cztery metalowe czarne pudła. Każde ważyło około dwunastu kilogramów. Fromm zaniósł je jedno po drugim do bagażnika wynajętego BMW. Przy drugim kursie włożył rękawice robocze. Gdy powrócił na górę, kawa już na niego czekała.

- Ładnie się opaliłeś - zauważyła Traudl, wnosząc tacę. W myślach wydała już jedną czwartą otrzymanych pieniędzy. Manfred nareszcie przejrzał na oczy. Wierzyła, że prędzej czy później tak się stanie. Lepiej jednak prędzej niż później... Postara się dzisiaj być dla niego miła.

- Günther?

Bockowi niezbyt się uśmiechało puszczać Fromma samopas, lecz sam także musiał o coś zadbać. Niebezpieczeństwo było w dodatku znacznie większe. Cała operacja pociągała za sobą najwyższe ryzyko, a co dziwniejsze, zmniejszało się ono w miarę trwania przygotowań. Na szczęście.

Erwin Keitel był emerytem, choć na emeryturę trafił wbrew własnej woli. Zmusiły go do tego dwie sprawy. Po pierwsze, do niedawna był podpułkownikiem w Stasi, centrali tajnej policji i wywiadu nieboszczki Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Po drugie, za bardzo lubił zajęcie, jakim parął się przez trzydzieści dwa ubiegłe lata, żeby liczyć na nowe. Niektórzy spośród jego kolegów pogodzili się jakoś ze zmianami, które wstrząsnęły ich krajem i niemiecką narodowość postawili ponad dotychczas wyznawaną ideologię, wyśpiewując wszystkie tajemnice agentom Bundesnachrichtendienst. Keitel powiedział sobie jednak, że nie pójdzie na rękę kapitalistom, stając się tym samym jednym z rzeszy "politycznych bezrobotnych". Nowym władzom było wręcz na rękę dać mu emeryturę, którą przyobiecał bądź co bądź poprzedni ustrój. Opłacało się to z przyczyn politycznych, tym bardziej, że nowe Niemcy i tak uginały się od ciężaru podobnych, wciąż nie załatwionych zobowiązań. Łatwiej było wysupłać dla Keitla emeryturę, niż posłać go na zasilek, co powszechnie odbierano jako upokorzenie. Tak przynajmniej rozumował nowy rząd, bo sam Keitel był innego zdania i myślał, że gdyby świat miał sens, nowa władza powinna go była aresztować i zgładzić, albo wygnać z kraju, choć sam nie bardzo wiedział dokąd. Zastanawiał się przez pewien czas, czy nie zaproponować usług Rosjanom - miał znakomite znajomości w KGB - lecz pomysł sam mu przeszedł, kiedy Kreml umył ręce od wszystkiego, co działo się w byłym NRD. Moskwa obawiała się zdrady ze strony narodu, którego oddanie dla sprawy światowego socjalizmu (Keitel nie był pewien, czy właśnie ta sprawa obowiązywała jeszcze w ZSRR, czy może już jakaś inna) było mniejsze niż miłość do nowej niemieckiej ojczyzny. Dlatego Keitel siedział teraz z Bockiem w cichym zakamarku Gastkausu w dawnym Berlinie Wschodnim.

- Bardzo niebezpieczne pomysły, kolego.

- Mnie to mówisz, Erwin? - Bock machnął ręką, zamawiając dwa kolejne litrowe kufle. Obsługiwano prędzej niż kilka lat wcześniej, lecz Bock ani Keitel nie skomentowali tego faktu.

- Nie wyobrażasz sobie, co czułem, kiedy zabili Petrę - odezwał się Keitel, gdy kelnerka odeszła.

- Wiesz może, jak się to stało? - zapytał Bock możliwie obojętnym głosem.

- Śledczy, który prowadził jej sprawę, odwiedził ją w więzieniu. Robił to co jakiś czas. Nie chodziło o przesłuchanie. Umyślnie chcieli ją doprowadzić do ostateczności. Zrozum, Günther, odwaga ma swoje granice. To nie była słabość ze strony Petry, każdy może się załamać. Po prostu kwestia czasu. Patrzyli, jak umierała - dodał pułkownik-emeryt.

- Ach tak? - Bock nie zmienił wyrazu twarzy, lecz jego place na uchu kufła zacisnęły się

kurczowo. - W celi ukryta była kamera telewizji przemysłowej. Sfilmowali jej samobójstwo na taśmie wideo. Przyglądali się, nie zrobili nic, żeby ją powstrzymać.

Bock milczał. W mrocznym wnętrzu nie było nawet widać, jak bardzo pobladł. Twarz piekła go tak, jak gdyby omiół ją gorący powiew z paleniska, a zaraz potem mroźny podmuch znad bieguna. Zamknął na mgnienie oczy, żeby zapanować nad sobą. Petra na pewno chciałaby, żeby zniósł tę chwilę mężnie, bez hysterii. Otworzył oczy i spojrzał na przyjaciela.

- Wiesz na pewno?

- Wiem nawet, jak się nazywa ten oficer śledczy. Mam jego adres. Mogę jeszcze liczyć na paru przyjaciół - zapewnił Keitel.

- Wierzę, że tak jest, Erwin. Pomożesz mi w jednej sprawie?

- W każdej.

- Wiesz przecież, dlaczego nam się to wszystko przytrafiło.

- Zależy, co masz na myśli - odparł Keitel. - Naród okazał się niewart swojej nazwy. Bez oporu dał się kupić. Inna rzecz, że masom zawsze brakuje dyscypliny, to kwestia świadomości. Wiadomo, że prawdziwi sprawcy naszej narodowej tragedii...

- Właśnie. Amerykanie i Rosjanie.

- Owszem, mein lieber Günther, ale zważ, że nawet zjednoczone Niemcy nie mogą...

- Właśnie, że mogą. Jeśli mamy doprowadzić do tego, by świat zaczął wyglądać tak, jak go widziałeś w marzeniach, Erwin, musimy zadać cios obu potęgom.

- Niby jak?

- Mam sposób. Czy wystarczy ci, że na razie powiem tylko tyle? Keitel niespiesznie osuszył kufel. Osobiście pomagał szkolić Bocka.

Sam miał pięćdziesiąt sześć lat i nie zamierzał już zmieniać poglądów na świat. Umiał natomiast oceniać ludzi. W Bocku, z jego przemyślnością, okrucieństwem i talentem konspiracyjnym, widział bliźniaczą naturę.

- Ale co z naszym kolegą śledczym?

- Ukatrupiłbym go z radością, Erwin, tylko że... Nie mam czasu na osobiste porachunki. Musimy ocalić nasz kraj i nasze idee - powiedział stanowczo Bock, nie dodając, że chodzi nie tylko o ich kraj. Dojrzywał w nim już plan wielkiego ciosu, dramatycznej akcji, która pozwoli im dowolnie ukształtować świat, o ile się uda. Intelktualna uczciwość nie pozwalała Bockowi ślepo uwierzyć w sukces, lecz kto wie, co się może wydarzyć w wyniku tego, co zaplanował? Nim się to jednak stanie, trzeba uczynić pierwszy krok.

- Jak długo się znamy? Piętnaście, dwadzieścia lat? Keitel uśmiechnął się.

- Aber natürlich. Ufam ci, nie ma obawy.

- Ilu jeszcze ludziom możemy zaufać?

- A ilu będzie potrzebnych?

- Najwyżej dziesięciu, ale będą musieli działać w grupie.

Keitel zasępił się. Znaleźć ośmiu ludzi, którym można całkowicie zaufać...

- Za dużo. Niepotrzebne ryzyko, Günther. O jakich ludzi ci chodzi?

Bock wyjaśnił pokrótce tę część planu.

- Dobrze, wiem, gdzie ich szukać. Powinno się udać... Paru w moim wieku, paru młodszych, powiedzmy w twoim. Dobrze, że nie potrzeba żadnych komandosów. Ale pamiętaj, nie możemy przewidzieć, jak się to wszystko potoczy.

- Jak mówią moi nowi przyjaciele, wszystko jest w rękach Najwyższego. - Günther uśmiechnął się krzywo.

- Dzikusy - parsknął Keitel. - Nigdy mi się nie podobali.

- Ja, doch. Nawet piwa nie pozwolą ci się napić - zażartował Bock. - Ale za to, Erwin, mają środki, są zdecydowani na wszystko i oddani sprawie.

- Dobrze, ale czyjej sprawie?

- Także naszej, także tej naszej. Ile mam ci dać czasu?

- Dwa tygodnie. Znajdziesz mnie...

- Nie. - Bock ostrzegawczo pokręcił głową. - Znów ryzyko. Możesz wyjeżdżać za granicę?

Śledzą cię?

- Czy mnie śledzą? Wszyscy moi podwładni przeszli na drugą stronę, więc w BND wiedzą dokładnie, że nie pracuję dla KGB. Nie będą marnowali ludzi, żeby mnie obserwować. Zrobili ze mnie wałacha, wysiali na trawkę, i wystarczy.

- Ładny mi wałach, Erwin. - Bock podał kopertę z pieniędzmi. - Spotkamy się za dwa tygodnie, na Cyprze. Tylko sprawdź, czy nie ciągną się za tobą.

- Sprawdzę, zawsze sprawdzam. Coś tam jeszcze potrafię, kolego.

Fromm ocknął się o świcie. Ubrał się bez pośpiechu, cicho, żeby nie budzić Traudl. Przez ostatnie dwanaście godzin była dla niego lepszą żoną niż przez cały poprzedni rok. Głos sumienia podpowiadał mu, że nieudany związek nie wynikał wyłącznie z jej winy. Manfred odkrył z zaskoczeniem, że na stole czeka już śniadanie.

- Kiedy znów przyjedziesz?

- Sam jeszcze nie wiem. Chyba za parę miesięcy.

- Tak długo cię nie będzie?

- Mein Schatz, za to mi płacą ci ludzie, żebym siedział na miejscu i użyczał im swojej wiedzy.

Dobrze płacą.

Fromm postanowił przycisnąć Katiego, żeby ten wysłał jego żonie dodatkowe fundusze. Jeśli tylko nie zabraknie jej pieniędzy, będzie siedziała cicho.

- Naprawdę nie mogę pojechać z tobą? - zapytała Traudl w nagłym przypływie troski o męża.

- To nie jest miejsce dla kobiet. - Odpowiedź była na tyle uczciwa, że Fromma przestało nawet gryźć sumienie. Dopił kawę. - Muszę lecieć.

- Wracaj prędko.

Manfred Fromm ucałował żonę i wyszedł za próg. Pięćdziesięciokilowy ciężar w bagażniku nie wpłynął w widoczny sposób na sylwetkę BMW. Fromm pomachał jeszcze raz do Traudl, i po raz ostatni spojrzął przez lusterko na dom, powtarzając sobie w duchu, skądinąd słusznie, że więcej tu nie wróci. Następny postój urządził przy Instytucie Astrofizycznym Karola Marksa. Parterowe baraki zaczynały już popadać w ruinę, choć Fromm odkrył z zaskoczeniem, że żadni wandale nie powybijali szyb. Ciężarówka z firmy przewozowej już czekała. Fromm własnym kluczem otworzył bramę i wrota hali maszyn. Obrabiarki stały na posadzce w hermetycznie zamkniętych, fabrycznych skrzyniach z napisami "APARATURA ASTROFIZYCZNA". Trzeba było jeszcze tylko podpisać kilka formularzy, które Fromm wypełnił na maszynie poprzedniego wieczora. Kierowca ciężarówki umiał obsługiwać podnośnik widłowy i osobiście jedna po drugiej umieścił skrzynie w kontenerze. Manfred wydobył tymczasem z bagażnika akumulatory i ułożył je troskliwie na dnie mniejszej skrzynki, którą załadowali na końcu. Ostatnie pół godziny kierowca zabezpieczał skrzynie we wnętrzu kontenera łańcuchami, po czym odjechał. "Herr Professor" Fromm miał się z nim ponownie spotkać już w Rotterdamie.

Następnie Fromm ruszył do Greifswaldu, gdzie miał czekać Bock. Na zachód udali się już

samochodem Günthera, który był lepszym kierowcą.

- Co tam w domu?

- Traudl aż się oczy zaświeciły, jak zobaczyła pieniądze - zameldował Fromm.

- Poślemy jej następne, regularnie, powiedzmy co dwa tygodnie.

- Świetnie, sam miałem o to poprosić Katiego.

- Na przyjaciół można liczyć - rzekł sentencjonalnie Bock, mijając dawne posterunki na zlikwidowanej granicy. Zamiast drutów widział tylko zieleń.

- Ile czasu zajmie nam produkcja?

- Trzy miesiące, może nawet cztery. Prawdopodobnie dalibyśmy radę krócej - dodał Fromm tytułem wyjaśnienia - ale zrozum, nigdy nie pracowałem na prawdziwym surowcu, zawsze tylko na imitacjach. Nie możemy sobie pozwolić na najmniejszy błąd. Powinniśmy być gotowi w połowie stycznia. Wtedy będzie twoja.

Fromm głowił się, oczywiście, jaki użytek chcą zrobić z bomby Bock i pozostali, lecz później dał sobie spokój. Nie jego sprawa, co? Doch.

CYKL PRODUKCYJNY

Hosni kręcił tylko głową z niedowierzaniem, choć dobrze wiedział, że to zmianom politycznym na kontynencie, faktycznemu zniesieniu granic dzięki unifikacji ekonomicznej, upadkowi Układu Warszawskiego i powrotowi Wschodu do rodziny państw europejskich można zawdzięczać tak bezproblemową przesyłkę pięciu skrzyń z Niemiec do libańskiej doliny. Najtrudniejsze w całym przedsięwzięciu okazało się znalezienie w Latakii odpowiedniej ciężarówki. W ferworze przygotowań zapomnieli bowiem, że do ich kryjówki nie prowadzi żadna porządna droga. Hosniego ucieszyła myśl, że nawet Niemiec nie zorientował się w porę. Fromm tymczasem nadzorował pracę gromady mężczyzn, którzy ustawiali właśnie na stole ostatnią, piątą obrabiarkę. Wiedza techniczna Fromma pozwalała zapomnieć o jego arogancji. Nawet stoły zaprojektował dokładnie odpowiedniej wielkości, z zapasem dziesięciu centymetrów blatu wokół każdej maszyny, żeby miał o co oprzeć notatnik. Generatory i stabilizatory napięcia znalazły się już na swoich miejscach i przeszły próbny rozruch. Teraz należało ostatecznie ustawić maszyny i wykalibrować je dokładnie. Potrzeba było na to tygodnia.

Bock i Kati przyglądali się krzątaniu z drugiego końca sali, starając się nie pchać pod nogi.

- Zacząłem po drodze przygotowywać plan operacyjny - zaczął Günther.

- Chcesz powiedzieć, że nie odpalimy bomby w Izraelu? - zapytał Kati, od którego zależała ostateczna decyzja. Chciał jednak najpierw wysłuchać argumentów Niemca. - Zdradź mi może jakieś szczegóły.

- Oczywiście.

- Ciekawe - zgodził się Kati po wysłuchaniu Bocka. - Widzisz na razie jakieś ryzyko?

- Boję się o naszego przyjaciela Manfreda, czy raczej o jego żonę. Żona wie, czym się zajmował i wie, że wyjechał pracować nad czymś podobnym.

- Wydaje mi się, że jeśli ją sprzątniemy, ryzykujemy jeszcze więcej.

- Pewnie bym się z tobą zgodził, ale inni koledzy Fromma, ci, którzy też wyjechali, z reguły pozabierali żony ze sobą. Jeśli ta baba zwyczajnie zniknie, sąsiedzi uznają, że pojechała za mężem. Gdy ją zostawimy tam, gdzie jest, niewykluczone, że będzie paplać o mężu, o jego nowym kontrakcie, sam wiesz, a wtedy mogą się zacząć pytania.

- Czy ona naprawdę wie, czym się zajmował?

- Manfred nie jest z tych, którzy dużo gadają, ale żonie na pewno powiedział, co robi w Greifswaldzie. Co się ukryje przed żoną?

- No, więc jak? - zapytał ze znużeniem Kati.

- Jeśli ktoś znajdzie ciało tej Traudl, policja zacznie szukać męża. Znow kłopot. Trzeba ją sprzątnąć bez śladu, żeby wyglądało, że ruszyła w ślad za mężem.

- Mąż ruszy w ślad za nią - Na twarzy Katiego rzadko pojawiał się uśmiech - Kiedy skończymy prace.

- Właśnie.

- Widziałeś tę kobietę?

- Tak, zwykle skąpiradło, pazerna, nie wierzy w nic poza forszą. Ostatnia uwaga ateisty Bocka rozbawiła Katiego.

- Jak chcesz to zrobić?

Bock objaśnił pokrótce, dodając:

- Dzięki temu sprawdzimy od razu ludzi, których miał wyszukać Erwin. Szczegóły niech już sami obmyślą.

- A nie oszukają nas? W tych sprawach nigdy za wiele ostrożności...

- Może sfilmować likwidację na wideo? Żeby nie było wątpliwości? - zaproponował Bock, dla którego nie była to pierwszozna.

- Barbarzyństwo - zauważył Kati - ale, niestety, konieczne.

- Zajmę się sprawą, kiedy pojedę na Cypr.

- Dam ci opiekunów na tę podróż, przyjacielu.

- Dziękuję. Rzeczywiście skorzystam - odrzekł Günther, który wiedział, co oznacza propozycja. Gdyby się zanosilo na to, że zostanie aresztowany, cóż... W tym fachu często trzeba podejmować ryzyko, a Kati wolał być ostrożny, tym bardziej, że wymagał tego plan nakreślony przez Bocka.

- Przecież przy każdym resorze powietrznym w maszynach jest poziomica! - pieklił się Hosni piętnaście metrów dalej. - I to bardzo dobra! Po co było tyle zawracania głowy ze stolami?

- Młody przyjacielu, nie będziemy mogli powtórzyć tego cyklu. Wolisz ryzykować, że coś sknocisz?

Hosni poddał się. Niemiec miał rację, nawet jeśli jego wyniosły ton doprowadzał otoczenie do furii.

- A co z trytem?

- Jest w tych akumulatorach. Trzymałem je w chłodnym miejscu. Żeby oddzielić tryt, wystarczy podgrzać akumulatory. To delikatna procedura, ale bardzo prosta.

- Z tym nie będę już miał problemu. - Na studiach Hosni spędził dość czasu w sali ćwiczeń laboratoryjnych.

Fromm podał mu instrukcję obsługi pierwszej z maszyn.

- Musimy sami nauczyć się czegoś, bo nie będzie miał kto szkolić obsługi.

Komandor Dubinin rozsiadł się w gabinecie głównego konstruktora stoczni, zwanej Zakładem 199, Stoczną Leninowskiego Komsomołu lub po prostu Komsomolską. To z jej pochylni spłynął "Admirał Łunin" i inne okręty podwodne. Inżynier sam dowodził w przeszłości okrętem podwodnym i wolał tytuł inżynierski od godności dyrektora technicznego. Dwa lata wcześniej, wprowadzając się do gabinetu, konstruktor kazał więc zmienić tabliczkę na drzwiach. Był tradycjonalistą we wszystkim, prócz budowy okrętów. Dzisiejszy dzień wprawił go w dobry humor.

- Kiedy byłeś w rejsie, znalazłem coś pięknego!

- Cóż takiego znalazłeś, admirale?

- Prototyp nowej pompy obiegu reaktora. Wielkie, masywne, żeliwne, skurwysyńsko ciężkie toto w montażu i obsłudze, ale za to...

- Ciche?

- Jak odeski złodziej - przytaknął uśmiechnięty admirał. - Pięćdziesiąt razy zmniejsza emisję hałasu w porównaniu z twoją obecną pompą.

- Naprawdę? Komu ją gwizdneliśmy? Główny konstruktor roześmiał się na to pytanie.

- O to lepiej nie pytaj, Walentin. Za to ja cię o coś zapytam: czy to prawda, co mówią, że dziesięć dni temu udała ci się nielicha sztuczka...?

- Admirale, tego z kolei ja nie mogę...

- Możesz, możesz. Uzgodniłem z twoim dowódcą dywizjonu. No, gadaj, jak blisko podszedłeś

do tej "Nevady"?

- Sprawdziłem, to chyba "Maine", a nie "Nevada" - sprostował Dubinin. Eksperci z rozpoznania nie byli pewni, lecz komandor zdał się na własny nos. - Podeszliśmy na jakieś osiem tysięcy metrów. Najpierw złapaliśmy jego echo, przypadkiem, kiedy ćwiczył atak, więc zacząłem się bawić w zgadywanki, jak by tu pójść za nim..

- Zgadywanki, bzdura! Po co ta skromność, komandorze? Dalej.

- Potwierdziło się, że naprawdę śledziliśmy "Maine", kiedy zaczęli się wynurzać, pewnie żeby ćwiczyć salwę raketową. Złapałem echo od kadłuba. Potem pomyślałem, że to koniec patrolu, że taktycznie tak czy owak leżę, A więc zdecydowałem sam przerwać kontakt, zanim ten Amerykanin mógł banie wykryć.

- Najmądrzejsza decyzja ze wszystkich - pochwalił konstruktor, celując w gościa wyciągniętym palcem. - Decyzja ze wszech miar słuszna, a dlaczego? Bo w następny rejs wyjdiesz najcichszym okrętem podwodnym, jaki dotąd wysłaliśmy na patrol.

- I tak będą mieli nad nami przewagę - przyznał szczerze Dubinin.

- Niby prawda, ale nareszcie będziesz mógł się zmierzyć z tantym kapitanem prawie jak równy z równym. Szkoda, że Marko Ramius tego nie widzi. Swoją drogą, nauczył czegoś mnie i ciebie.

Dubinin pokiwał głową.

- Naturalnie, przy obecnej sytuacji międzynarodowej to prawie zawody sportowe, a nie wojna.

- Szkoda, że jestem już na to stary - przyznał konstruktor.

- Jak ten nowy hydrolokator?

- Też prototyp, prosto z zakładów w Siewieromorsku. Holowany, z dużym prześwitem, czułość ma większą mniej więcej o czterdzieści procent od starego. W sumie będziesz miał sprzęt klasy tych całych los angeles.

Ale nie załogę, pomyślał Walentin Borisowicz. Upłyną całe lata, zanim ojczyzna nauczy się szkolić personel tak dobrze, jak w zachodnich marynarkach wojennych. Dubinin będzie już za stary na rejsy, ale... Ale przynajmniej za trzy miesiące będzie miał dla siebie najlepszy okręt, jaki kraj powierzył któremukolwiek z dowódców. Gdyby udało się wycygnąć od szefa dywizjonu jeszcze parę etatów oficerskich, można by się pozbyć co marniejszych poborowych, a resztę załogi przeszkolić naprawdę na medal. Jako kapitan był odpowiedzialny za szkolenie i dowodzenie ludźmi. Po to postawiono go na mostku "Admirała Łunina". Jeśli na okręcie wszystko szło dobrze, to on zbierał pochwały, to jego rugano, kiedy coś nie wyszło. Ramius wpoił mu tę prawdę pierwszego dnia, na pierwszym w życiu okręcie podwodnym. Dowódca trzymał los w swoich rękach. Czegóż więcej można chcieć od życia? Uważaj, kapitanie USS "Maine". W przyszłym roku, kiedy nad północny Pacyfik nadciągną zimowe sztormy, spotkamy się znowu.

- Ani śladu kontaktu - zauważył na głos komandor Ricks w mesie oficerskiej.

- Oprócz naszej "Omany". - Szkot Claggett podniósł wzrok znad papierów. - A tej spieszo się było oddalić.

- Iwan przestał nas w ogóle nawiedzać. Zamykają sklepik, czy co? - Uwaga nawigatora zabrzmiała jak żałobna skarga.

- Nie dziwię się, że znudziło im się nas szukać - oświadczył Ricks. - Oprócz tej akuły, która się zgubiła naszym..

- Wyłapaliśmy ją jakiś czas temu - przypomniał nawigator.

- Może następnym razem pstrykniemy im zdjęcie - zauważył optymistycznie inny oficer, zaczytany w piśmie ilustrowanym. W całej mesie rozległ się śmiech. Było faktem, że kilku

dowódcom szybkich podwodnych okrętów patrolowych udało się podkraść do radzieckich konkurentów tak blisko, że za pomocą lamp błyskowych sfotografowano ich kadłuby. Wyczyny te należały jednak do przeszłości, gdyż Rosjanie stali się w podwodnych podchodach o wiele sprawniejsi niż jeszcze dziesięć lat temu. Konkurencja czyni cuda.

- Czekają nas ćwiczenia z reaktorem - oznajmił Ricks.

Pierwszy oficer spostrzegł, że nikt z siedzących w mesie nie zmienił wyrazu twarzy. Oficerowie oduczyli się jęczeć i przewracać oczami. Ricks miał bardzo ograniczone poczucie humoru.

- Jak się masz, Robby! - przywitał gościa Joshua Painter i wstał z obrotowego fotela, by mu uścisnąć dłoń.

- Dzień dobry.

- Siadaj - Painter wskazał drugi fotel, zaś steward podał kawę. - Jak tam twoje skrzydło?

- Powinniśmy skończyć przygotowania na czas.

Admirał Joshua Painter z marynarki wojennej USA był naczelnym dowódcą sił zbrojnych Atlantyku, dowódcą sił morskich Atlantyku i dowódcą Floty Atlantyckiej, i choć otrzymywał za te trzy etaty tylko jedną pensję, mógł zostawić myślenie trzem osobnym sztabom. Sam zaczynał jako pilot wojskowy i latał wtedy głównie na myśliwcach, lecz obecnie osiągnął wierzchołek kariery. Zdawał sobie sprawę, że nie spotka go awans na szefa operacji morskich. Fotel trafi się pewnie komuś o lepszych koneksjach politycznych. Myśl ta nie psuła Painterowi humoru, gdyż tak czy inaczej, wskutek dziwactw struktury organizacyjnej sił zbrojnych, szef (a dawniej minister) operacji morskich razem z kolegami z sił lądowych i powietrznych pełnił tylko funkcje doradcze przy sekretarzu obrony. To właśnie ten ostatni wydawał rozkazy naczelnym dowódcom poszczególnych teatrów wojennych. Tymczasem, wbrew tasiemcowej nazwie i niemożliwie rozdętej strukturze, dowództwo SZA-SMAFA, które sprawował Painter, było prawdziwym dowództwem. Admirał miał pod sobą prawdziwe okręty, prawdziwe samoloty i prawdziwą piechotę morską, i mógł im wydawać dowolne rozkazy. Pod jego komendą znajdowały się też aż dwie floty morskie, II i VI, łącznie siedem lotniskowców, okręt liniowy, setka niszczycieli i krążowników, sześćdziesiąt okrętów podwodnych i półtorej dywizji marines. Painter lubił zwłaszcza okręt liniowy, gdyż jego dziadek sam dowodził pancernikiem. Nie ulegało wątpliwości, że tylko jedno państwo świata dysponuje potężniejszą flotą wojenną niż Joshua Painter, a w dodatku w czasach pokojowej współpracy państwo to przestało być istotnym źródłem zagrożenia. Admirał nie musiał już żyć z perspektywą przyszłej wojny, co poprawiło mu humor. Wojnę widział z bliska, latając nad Wietnamem, widział też jak Ameryka, powojenne imperium, słabnie, osiąga dno upadku w latach siedemdziesiątych i ponownie osiąga status najpotężniejszego państwa na świecie. Admirał Painter służył więc w bardzo złych i w bardzo dobrych czasach. Ostatnio zaś przyszły czas jeszcze lepsze. Jego gość, Robby Jackson, był jednym z tych oficerów, którzy mieli przejąć schedę.

- Co to za nowiny o radzieckich pilotach w Libii? - zapytał Jackson.

- Radzieccy piloci w Libii to chyba nie nowina? - zdziwił się admirał. - Nasz przyjaciel postanowił kupić najnowsze modele uzbrojenia, płaci z góry, twardą walutą. Czego bardziej potrzebuje Moskwa, jeśli nie waluty? Zwyczajne interesy, i tyle.

- A myślałem, że nauczyliśmy go czegoś - Robby nie mógł pojąć libijskich ambicji.

- Może sam się nauczy, i to prędko. Nie jest przyjemnie być ostatnim generalissimusem. Może dlatego chce się nachapać sprzętu, póki jest okazja. Tak twierdzi nasze rozpoznanie.

- Co to za Rosjanie?

- Sporo instruktorów pilotażu, eksperci techniczni na kontraktach, najwięcej mechaników i

speców od systemów przeciwlotniczych.

- Ładne kwiatki. Jeśli nasz przyjaciel coś wymyśli, będzie miał się jak schować przed nami.

- Przed tobą i tak się nie schowa, Robby.

- Za to zmusi mnie, żebym po akcji napisał parę listów - uciał Jackson, któremu nieraz już przyszło pisać listy do rodzin. Jako dowódca grupy na lotniskowcu mógł się śmiało spodziewać, że paru pilotów nie wróci z rejsu, tak samo jak w poprzednich latach. Jackson nie słyszał jeszcze o przypadku, by lotniskowiec wrócił z patrolu, wojennego czy pokojowego, z kompletem załogi. Za nieszczęścia wśród pilotów był zaś odpowiedzialny właśnie on, jako dowódca wszystkich dywizjonów. Najlepiej byłoby więc złamać tradycję i przyprowadzić wszystkich podwładnych cało. Raz, że świetnie by to wyglądało w aktach, a dwa, Jackson nie musiałby tłumaczyć zapłakanym rodzicom, że ich Johnny oddał życie, służąc ojczyźnie. Może uda się wrócić w komplecie, ale raczej nie. Robby wiedział, jak niebezpiecznie jest w lotnictwie morskim. Sam przekroczył już czterdziestkę i nieśmiertelność uważał trochę za mit, a trochę za żart, tym bardziej, że coraz częściej musiał sam prowadzić odprawy młodych, pilotów i zastanawiać się, której z tych młodych, sympatycznych, dumnych twarzy nie będzie już pośród żywych, gdy "Theodore Roosevelt" znów wpłynie między wyspy Virginia Capes w drodze do macierzystej bazy. Przykra myśl, że niejedna ładniutka żoneczka, w ciąży i stęskniona, tuż przed obiadem zamiast męża zobaczy na swym progu kapelana i innego lotnika w towarzystwie przewodniczącej klubu rodzin oficerskich, którzy opowiedzą jej, jak na drugiej półkuli, w krwi i ogniu roztrzaskał się świat. Nie chodziło tylko o możliwość powietrznego starcia z Libijczykami, gdyż na pokładzie lotniskowca śmierć bywa raczej gospodarzem niż gościem. Jackson sam w cichości ducha przyznawał, że jest już za stary na taką służbę. Latał w dalszym ciągu nie gorzej niż inni - wydorósł na tyle, że tylko po paru kolejkach twierdził, iż jest najlepszym pilotem świata - lecz coraz częściej dostrzegał wokół siebie sygnały, że życie dogania go nieubłaganie. Nie byłoby więc źle doczekać się awansu do rangi admirałkiej, latać tylko z rzadka, żeby zupełnie nie wyjść z wprawy i podejmować decyzje, które pozwolą zmniejszyć liczbę wizyt z kapelanem.

- Czym się gryziesz? - zapytał Painter.

- Częściami zamiennymi - odpowiedział komandor. - Coraz trudniej mi wysyłać w powietrze komplet.

- Wiesz, że naciskamy.

- Wiem, admirale, oczywiście. Tak samo, jak wiem, że będzie z rym jeszcze gorzej, jeśli dobrze czytam między wierszami. - Ostatnio zaczęły krążyć wieści, że na złom pójdą trzy lotniskowce, a ich dywizjony lotnicze zostaną rozwiązane. Jackson zżymał się, że kolejna lekcja miała pójść w zapomnienie.

- Ile razy wygraliśmy wojnę, dostawaliśmy zaraz po uszach - odezwał się dowódca Floty Atlantyckiej. - Ale przynajmniej ostatnim razem udało się zwyciężyć tanim kosztem. Nie martw się, jeśli będzie trzeba, zawsze znajdzie się miejsce dla najlepszego dowódcy pilotów we flocie.

- Dziękuję. Człowiek lubi usłyszeć coś takiego.

- Ja też bym lubił - roześmiał się Painter.

- Anglicy mają stare powiedzenie - przypomniał Gołowko. - "Mając takich przyjaciół, nie potrzebujemy już wrogów". Wiecie coś jeszcze na ten temat?

- Tak jest. Wygląda na to, że oddano w nasze ręce cały zgromadzony zapas plutonu - relacjonował rozmówca Gołowki, przybyły z wojskowego instytutu badawczo-projektowego w Sarowej, na południe od miasta Gorki. Przybysz nie zajmował się jednak projektowaniem broni, lecz

naukową analizą tego, co działo się w podobnych instytucjach za granicą. - Sam puściłem te obliczenia na komputer. Teoretycznie jest nawet możliwe, że wyprodukowali więcej plutonu, ale ilość, jaką zwrócili, lekko przewyższa podobną produkcję Pu 238 z identycznych reaktorów na naszym terenie. Dlatego myślę, że oddali wszystko co do grama.

- Wiem, czytałem ten raport. Dlaczego prosiliście mnie o rozmowę?

- Zapomnieliśmy w raporcie o jednej sprawie.

- Mianowicie? - zapytał pierwszy zastępca przewodniczącego KGB.

- O trycie.

- A co to takiego? - Gołowko słyszał już ten termin, lecz nie pamiętał dokładnie, co znaczy. Był ostatecznie ekspertem od dyplomacji i wywiadu, a nie od fizyki jądrowej.

Przybysz z Sarowej również nie wykladał podstaw fizyki od lat.

- Weźmy wodór, najprostszy ze wszystkich pierwiastków. Atom wodoru składa się z protonu, cząsteczki o ładunku dodatnim, i z elektronu o ładunku ujemnym. Jeśli do protonu dodamy neutron, który sam nie posiada ładunku elektrycznego, powstanie izotop nazywany deuterem. Następny neutron, i już mamy tryt. Tryt ma trzy razy większą masę atomową od wodoru, właśnie z powodu dwóch dodatkowych neutronów. Mówiąc zwyczajnie, neutrony to paliwo dla bomb jądrowych. Kiedy je uwolnić z rozbijanych atomów, neutrony biegną na wszystkie strony, bombardując i rozbijając następne jądra atomowe, dzięki czemu uwalniają następne neutrony. Innymi słowy, powodują reakcję łańcuchową, podczas której uwalnia się gigantyczna ilość energii. Tryt jest szczególnie przydatny, bo w atomie wodoru nie powinno być ani jednego neutronu, a co dopiero dwóch. Dlatego tryt jest niestabilny i "gubi" swoje neutrony wraz z upływem czasu. Okres połowicznego rozpadu wynosi tu bodaj rok i dziewięć miesięcy roku - tłumaczył ekspert. - Jeżeli dodamy trytu do bomby atomowej, dodatkowe neutrony przyspieszają rozpad jąder plutonu czy uranu, zwiększają tempo reakcji łańcuchowej i wzmacniają ją od pięciu do czterdziestu razy. Można więc dzięki trytowi zaoszczędzić ciężkie pierwiastki używane w bombach, to znaczy pluton i wzbogacony uran. Po drugie, jeśli umieścimy tryt w odpowiednim miejscu w pobliżu bomby atomowej (nazywanej w takich wypadkach ładunkiem pierwotnym), rozpocznie się reakcja syntezy jąder atomowych. Można ją oczywiście osiągnąć w inny sposób, używając deuterku litu i wodoranu litu, które są stabilniejsze, ale przy niektórych rodzajach bomb nie ma to jak tryt.

- Jak się wytwarza ten wasz tryt?

- Najprościej umieszczając duże ilości glinianu litu w reaktorze jądrowym i zezwalając na termiczny przepływ neutronów. No, po prostu pozwala się cząsteczkom jakby omywać surowiec, napromieniowuje się go i zmienia lit w tryt przez wyłapanie części neutronów. Wewnątrz metali powstają bąble, pęcherzyki trytu. Przypuszczam, że Niemcy produkowali w Greifswaldzie również tryt.

- Tak? Macie na to jakieś dowody?

- Analizowaliśmy próbki tego plutonu, który nam oddali. Pluton ma dwa izotopy, odmianę Pu 239 i Pu 240. Na podstawie ich wzajemnej proporcji można ocenić wielkość przepływu neutronów w reaktorze. W tej niemieckiej próbce było za dużo Pu 240. Oznacza to, że coś hamowało swobodny przepływ neutronów, a tym czymś był prawdopodobnie tryt. Prawie na pewno tryt.

- Na pewno?

- Mechanizm fizyczny jest skomplikowany, ale daje bardzo ścisłe wyniki. W wielu wypadkach można na podstawie wzajemnej proporcji rozmaitych domieszek izotopowych określić na sto procent, z którego reaktora pochodzi dana próbka plutonu. Podpisuję się pod wnioskami razem z całym zespołem.

- Przecież te ich elektrownie sprawdzały komisje międzynarodowe? Nie ma żadnego zakazu produkcji trytu?

- Niemcy zmylili parę takich kontroli, zresztą nie ma żadnych przepisów na temat trytu. A nawet gdyby były, ukrycie takiej produkcji to dziecinada.

Gołowko zaklął pod nosem i spytał: - Ile wyprodukowali?

- Nie da się stwierdzić. - Naukowiec wzruszył ramionami. - Elektrownia zresztą już zamknięta, nie mamy żadnego dostępu do tego reaktora.

- Tego trytu używa się tylko do bomb?

- Jasne, że nie. Izotop przedstawia ogromną wartość handlową. Ma tę właściwość, że fosforyzuje, świeci w ciemnościach, więc używa się go do pokrywania cyferblatów, celowników optycznych, rozmaitych wskaźników i czego tam jeszcze. Drogocenny materiał, kosztuje około pięćdziesięciu tysięcy dolarów za gram.

Gołowko sam nie wiedział, czemu zadał poprzednie pytanie, więc wrócił do sedna sprawy:

- Powiadacie więc, że towarzysze z bratniego kraju, z Niemieckiej Republiki Demokratycznej, za naszymi plecami zamierzali produkować nie tylko bomby atomowe, lecz jeszcze i wodorowe?

- Jest taka możliwość.

- A my nie możemy się doliczyć jednego z niezbędnych w tym celu materiałów?

- Tak jest. Prawdopodobnie tak - poprawił się ekspert.

- Prawdopodobnie? - Gołowko czuł się jak nauczyciel, usiłujący wymóc z dziecka odpowiedź.

- No, tak. Na ich miejscu, gdybym to ja otrzymał wytyczne od Ericha Honeckera, zrobiłbym dokładnie to samo. Z technicznego punktu widzenia to także łatwizna. Sami dostarczyliśmy im tych reaktorów.

- Swoją drogą, co nam do łba strzeliło? - mruknął Gołowko.

- Z Chińczykami popełniliśmy przecież identyczny błąd.

- I co, nikt się nie...

- Oczywiście, że ostrzegaliśmy na prawo i lewo - przerwał ekspert. - I my w Sarowej, i koledzy z instytutu w Kysztymiu. Nikt nie słuchał. Zapadła polityczna decyzja, żeby udostępnić technologię atomową naszym bratnim narodom - wyrecytował ekspert.

- Mówicie, że powinniśmy zareagować?

- Tak, chciałem najpierw dać znać moim kolegom w ministerstwie spraw zagranicznych, ale chodzi o czas, o konkretne skutki. Dlatego przyszedłem z tym do was.

- Jeszcze raz. Powiadacie, że Niemcy, nasi dobrzy Niemcy, prawdopodobnie mieli skład materiałów radioaktywnych i trytu do produkcji bomb wodorowych?

- Istnieje taka możliwość. W NRD było całkiem sporo dobrych fizyków jądrowych, pracują teraz przeważnie w Ameryce Południowej, dla Niemców to zawsze było najlepsze miejsce. Zresztą trudno im się dziwić, pracują nad bronią atomową dwanaście tysięcy kilometrów od domu, uczą się czego trzeba, nie zagrażają nikomu w Europie i jeszcze dostają pieniądze. Ciekawe, czy po prostu ich kupiono, czy chodzi o coś jeszcze innego? Może chodzi o pieniądze, ale nie jest wcale wykluczone, że ich rząd wie coś o całej sprawie. Wie, ale ich nie zatrzymywał, więc wolno nam założyć, że aprobuje te badania. Aprobuje zaś je najprawdopodobniej dlatego, że zastosowanie wiedzy tych naukowców służy narodowym interesom Niemiec.

Gołowko zmarszczył brwi. Gość znalazł powiązania między trzema różnymi sprawami i splótł je w realną groźbę. Sposób myślenia jak u oficera wywiadu, w dodatku tęgiego paranoika. Tacy okazywali się zwykle najlepsi.

- Co tam jeszcze macie?

- Listę trzydziestu nazwisk - naukowiec wręczył Gołowce teczkę. - Rozmawiałem z naszymi, z grupy, która pomagała Niemcom uruchomić Greifswald. Prosiłem, żeby sobie przypomnieli najważniejsze postacie po stronie niemieckiej. Jeśli ktoś wie cokolwiek o planie Honeckera, to właśnie oni. Pół tuzina miało rzeczywiście olej w głowie, byli na tyle dobrzy, że pracowali nawet dla nas w Sarowej.

- Czy któryś z nich dopytywał się jakoś szczególnie o...

- Nie, bo i po co? Fizyka to fizyka, reakcje to reakcje. Nie da się utajnić praw fizyki, a przecież to o nie chodzi. Skoro ci Niemcy potrafią obsługiwać reaktor, najlepsi spośród nich potrafią też zaprojektować atomówkę, jeśli dostaną niezbędne materiały. Dostali je, a jakże, z naszego reaktora. Myślę, że nie można tak tej sprawy zostawić. Trzeba sprawdzić, co działali Niemcy i co mają jeszcze w rękę. Taka jest moja rada.

- Mam paru świetnych fachowców w wydziale techniki Pierwszego Zarządu Głównego - zapewnił Gołowko gościa. - Przeanalizujemy jeszcze raz wszystkie dane, a potem przyślę ich do was. Do Sarowej pociągiem raptem parę godzin.

- A tak, miałem okazję poznać paru waszych ekspertów. Kilku jest rzeczywiście naprawdę dobrych. W Niemczech też pewnie zostały wam niezłe kontakty?

Gołowko puścił pytanie mimo uszu. Owszem, miał w Niemczech dobre kontakty, lecz ilu spośród tych agentów zaczęło pracować na dwie strony? Siergiej Nikołajewicz dokonał ostatnio drobiazgowej oceny wiarygodności swoich byłych agentów w dawnym Stasi. Wynik był jednoznaczny - nikomu nie można już było ufać. Ściślej zaś mówiąc, agenci, wciąż godni zaufania nic nie wiedzieli, a zresztą nawet i oni... Zastępca przewodniczącego z miejsca postanowił skierować do operacji ludzi z Moskwy.

- Gdyby Niemcy mieli wszystkie materiały, jak szybko mogliby wyprodukować bombę?

- Przy ich wiedzy technicznej, w dodatku przy dostępie do amerykańskiej broni i sprzętu w ramach NATO, równie dobrze mogą już mieć własną broń jądrową, i to nie jakąś prymitywną. Gdybym miał ich środki i materiały, mógłbym zbudować pierwszą bombę atomową, dwustopniową, w miesiąc po zjednoczeniu. Bomba wodorowa zabrałaby mi może rok...

- Gdzie byłoby najlepiej prowadzić takie badania?

- Oczywiście we wschodniej części Niemiec. Łatwiej wszystko ukryć. A gdzie konkretnie? - Ekspert zastanawiał się przez chwilę. - Na waszym miejscu szukałbym zakładu z bardzo precyzyjnymi maszynami do obróbki, na przykład małej wytwórni precyzyjnych urządzeń optycznych. Ten rentgenowski teleskop, który niedawno wysłaliśmy na orbitę, to pośredni efekt badań nad bombami wodorowymi. Przy projektowaniu broni wodorowej mechanika promieni rentgenowskich to rzecz pierwszorzędnej wagi. Nauczyliśmy się o tym bardzo wiele z jawnych amerykańskich publikacji naukowych na temat skupiania promieni rentgenowskich przy obserwacjach astrofizycznych. Tak jak mówię, fizyka to fizyka, nic się nie da ukryć, najwyżej odkryć. Każdy, kto ma odpowiednią wiedzę i chęć, żeby z niej skorzystać, prędko znajdzie drogę.

- Nie wyobrażacie sobie, jak mnie to cieszy - zauważył cierpko Gołowko. Nie miał powodu, żeby się złościć na kogoś za to, że mówi prawdę, ani na naturę, że daje sobie wydzierać tajemnice. - Bez urazy, profesorze. Bardzo wam dziękuję, że pofatygowaliście się, żeby nas poinformować o tym wszystkim.

- Nic takiego. Mój ojciec uczył matematyki. Całe życie mieszkał w Kijowie i pamięta Niemców. Gotówko odprowadził gościa do drzwi gabinetu, a potem dłuższą chwilę spoglądał przez okno.

Dlaczego pozwoliliśmy się im zjednoczyć? - zapytał sam siebie w myślach, Ciągłe potrzebne im podboje? Lebensraum? Nadal marzą, żeby trząść Europą? A może to ty masz paranoję, Siergieju?

Płacono mu jednak właśnie za chorobliwą podejrzliwość. Gołowko zasiadł więc za biurkiem i podniósł słuchawkę.

- To żaden kłopot. Jeśli trzeba, obejdzie się bez żadnych tłumaczeń - odpowiedział Keitel na pierwsze pytanie Bocka.

- A ci ludzie?

- Znalazłem kogo trzeba, i takich jak trzeba. Wszyscy pracowali za granicą, przeważnie w Afryce. Wszyscy z doświadczeniem. Trzech pułkowników, sześciu podpułkowników, dwóch majorów. Co do jednego na emeryturze, tak jak ja.

- Można im zaufać?

- Ależ, Günther, gdyby nie to wszystko, każdy z nich miał widoki na awans na generała. Wszyscy z nieskazitelną opinią z partii. Myślisz, że niby dlaczego musieli pójść na emeryturę? Nowe Niemcy nie ufają takim ludziom.

- Nie prowokatorzy?

- To ja jestem od wywiadu - wytknął przyjacielowi Keitel. - Ty rób swoje, kolego, ja swoje. Sam zdecyduj, albo mi ufasz do końca, albo wcale. Wybieraj!

- Daj spokój, Erwin! Wiem, przepraszam. Dla mnie to najważniejsza akcja w życiu.

- Nie musisz mi tego mówić, Günther.

- Kiedy będziesz gotowy?

- Za pięć dni. Wolałbym mieć więcej czasu na przygotowania, ale jeśli trzeba szybko, to trudno. Najtrudniej będzie, oczywiście, pozbyć się ciała.

Bock przytaknął, choć w swojej karierze nigdy nie miał podobnych kłopotów. Frakcja Czerwonej Armii tylko raz musiała się biedzić z ukryciem zwłok: po zgładzeniu dziewczyny z partii Zielonych, której donos udaremnił akcję na elektrownię. Na dobrą sprawę pomógł im wówczas przypadek, bo przecież nie planowali z góry, że zakopią dziewczynę w parku narodowym, skoro tak ukochała ekologię. W ostatniej chwili wpadła na ten pomysł Petra.

- Jak chcesz, żeby ci dostarczyć taśmę?

- Przyślemy kogoś w to samo miejsce, co teraz. Ja nie chcę się już pokazywać. Bądź w tym samym hotelu za dwa tygodnie, znajdziemy cię. Kasetę wideo ukryj między okładkami książki.

- Jak chcesz - odpowiedział Keitel, który uważał, że Bock przesadza z konspiracją. Wydrążone książki i inne chwytły z filmów płaszcza i szpady bawiły tylko amatorów. Zawodowcy woleli swoje zwyczajne metody. Lepiej byłoby na przykład wsadzić kasetę do oryginalnego opakowania, żeby udawała film. - Będą mi potrzebne fundusze.

- Sto tysięcy marek - rzekł Bock, podając kopertę.

- Zupełnie mi wystarczy. Czyli za dwa tygodnie? - Keitel wstał i odszedł, zostawiając Bocka z rachunkiem.

Günther zamówił następne piwo i zapatrzył się w morze, które pod bezchmurnym niebem nabrało barwy kobaltowego błękitu. Na horyzoncie przepływały statki, a nawet jeden okręt wojenny, choć z tej odległości nie można było poznać, czyj. Frachtowce płynęły spokojnie z jednego portu do drugiego, jak zawsze.

Bock wspominał podobny dzień, ciepłe słońce, chłodny wiew znad wody. Niedaleko miejsca, gdzie stał, piaszczysta plaża czekała na dzieci i pary kochanków. Günther myślał o Petrze, o Ericie i Ursel, choć nie dałoby się tego odczytać z jego twarzy, z której dawno zniknęły wszelkie uczucia. Najpierw rzeczywiście płakał i wściekał się, lecz teraz paliła się w nim tylko zimna furia i pragnienie zemsty. Szkoda, że nie ma z kim podzielić tak pięknego dnia. Samotność, nawet jeśli

przyszłość ześle jeszcze wiele takich dni. Günther wiedział, że drugiej Petry już nie znajdzie. Może trafi mu się jakaś dziewczyna, ciało ma swoje potrzeby, lecz niczego to już nie zmieni. Samotność do końca życia nie była przyjemnym widokiem. Bez miłości, bez dzieci, właściwie bez przyszłości, co to za życie. Pochłonięty myślami Bock nie zwracał uwagi na resztę osób na tarasie, głównie Europejczyków, przeważnie na rodzinnych wakacjach. Rodziny śmiały się i zabawiały, piły piwo, wino czy inne miejscowe specjały, pary planowały rozrywki na wieczór, kolację przy świecach, marzyły już o chłodzie prześcieradeł, o radości i pożądaniu - o wszystkim, co utracił na zawsze Günther Bock.

Niemiec poczuł gwałtowną nienawiść do ludzi wokół siebie. Omiótł siedzących wzrokiem, jak gdyby przyglądał się osobliwym zwierzętom w zoo. Nienawidził ich za śmiech, za głupią radość, za to, że czekała ich jakakolwiek przyszłość. niesprawiedliwość. On sam miał w życiu cel, miał ideę, o którą walczył, podczas gdy ludzie dookoła przez pięćdziesiąt tygodni w roku wychodzili po prostu z domu, jechali do pracy, wykonywali nieważne czynności i wracali do domu, by jak dobrzy obywatele Europy Zachodniej uskładać pieniądze na dwa tygodnie corocznego szaleństwa na Morzu Egejskim, na Majorce, w Ameryce - wszędzie, gdzie mogli znaleźć słońce, czyste powietrze i piasek. Ich życie było wprawdzie bezcelowe, lecz znajdowali w nim szczęście, o jakie próżno się dopominał mężczyzna siedzący samotnie ze szklanką piwa pod białym parasolem i patrzący w morze. niesprawiedliwość, koszmarna niesprawiedliwość. Bock czuł, że poświęcił całe życie dla tych ludzi, po to tylko, by odkryć, że sami znaleźli to, co pragnął im dać. Jemu zaś nie pozostało już nic.

Nic, oprócz planowanej akcji. Bock powiedział sobie, że i w tej sprawie powinien się zdobyć na szczerą przed samym sobą. Nienawidził tych ludzi. Nienawidził ich wszystkich. Jeżeli sam nie miał prawa do przyszłości, jakie prawo mieli do niej inni? Jeżeli jemu odebrano szczęście, należy je odebrać tamtym. Nienawidził tych ludzi, ponieważ się wyrzekli i jego, i Petry, i Katiego, i wszystkich, którzy walczyli z uciemieniem i wyzyskiem. Wyrzekając się ich, inni wybrali zło zamiast dobra i muszą teraz za to zapłacić. Bock uważał, że znaczy więcej od wszystkich tych ludzi, i że ponieważ osiągnął więcej niż oni, może z pogardą spoglądać na ich bezsensowną codzienną egzystencję. Cokolwiek postanowił uczynić dla tych ludzi - wciąż wierzył, że walczy o ich dobro - nie oni będą go osądzać. Jeśli jakaś ich liczba zginie przy okazji, trudno. Dla Bocka sąsiedzi z tarasu nie zasługiwali na miano ludzi, byli bezpostaciowi jak cienie, choć na powrót staliby się ludźmi, gdyby tylko przyjęli za swój ten sam cel co on. To nie Günthera Bocka wyrzekli się ludzie, lecz siebie samych w chwili, gdy zaczęło im wystarczać małe szczęście płynące z życia małymi sprawami, a nie wielką sprawą. Leniwe życie. Życie bydłace. Bock wyobraził sobie sąsiadów z głowami w korytach, chrząkających z ukontentowania nad paszą. Jeżeli nawet pewna ich liczba musi zginąć - że będzie musiała zginąć, to pewne - czym tu się martwić? Zasłużyli na to, pomyślał wreszcie Günther.

- Panie prezydencie...

- Słucham, Elizabeth? - Prezydent skwitował jej żart uśmiechem.

- Kiedy ostatni raz mówiono panu, że jest pan dobry w łóżku, panie prezydencie?

- Na pewno nie ostatnio, i nie w Owalnym Gabinetcie - szepnął Fowler prosto we włosy Elizabeth, która leżała z głową na jego piersi i obejmowała go lewą ręką. Pogładził włosy kobiety, uświadamiając sobie, że naprawdę musi być z niego dobry kochanek. Jego naczelną cechą była cierpliwość, nieodzowna - jak sądził - w sprawach łóżka. Wyzwolenie seksualne i równouprawnienie swoją drogą, lecz mężczyzna nadal miał za zadanie podziwiać i uwielbiać kobiety. - Na konferencji prasowej też nie.

- Ale za to mówił tak prezydencki doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego.

- Bardzo miło z pani strony, doktor Elliot - powiedział jeszcze Bob, zanim się oboje roześmieli.

Elizabeth posunęła się wyżej, by go pocałować. Fowler czuł na skórze przesuwający się dotyk jej piersi.

- Bob, nawet nie wiesz, ile dla mnie znaczysz.

- Może i wiem? - zastanowił się prezydent.

- Wszystkie te martwe lata na uniwersytecie - zasmuciła się Liz Elliot. - Nigdy nie było czasu, same obowiązki. Jako profesor nie miałam ani chwili dla siebie. Zmarnowałam lata...

- Ale chyba warto było trochę poczekać, kochanie.

- Warto. Byłeś wart czekania. - Elliot przetoczyła się na plecy, oparła głowę na barku Fowlera, złapała jego rękę i położyła ją sobie na piersi. Druga dłoń prezydenta z własnej inicjatywy znalazła sobie podobne miejsce tuż obok.

Jak to rozegrać? - zastanawiała się Liz. Mówiła przedtem prawdę: Bob Fowler rzeczywiście wykazał się w łóżku delikatnością, cierpliwością i talentem. Prawdą było również, że podobnym komplementem można obłaskawić każdego mężczyznę, nawet prezydenta. Na razie postanowiła czekać. Mogła tymczasem nacieszyć się nowym mężczyzną, przyjrzeć się własnym uczuciom... Leżała więc z otwartymi oczami, wpatrzona w czarny prostokąt, który za dnia był olejnym obrazem, pędzla niezłego artysty, jego nazwisko wyleciało jej z pamięci. Obraz przedstawiał rozległe zachodnie równiny, zamknięte barierą Gór Skalistych. Bob gładził ją delikatnie, starając się nie budzić jej, a tylko pieścić bez słowa. Liz pozwoliła mu na to, jedynie poruszeniami głowy zdradzając, że nie śpi.

Była na krawędzi zakochania się. Czy to takie dziwne? Zastanawiała się przez chwilę, co czuje. Fowlera było za co lubić i podziwiać. Było się też czym irytować. W Bobie mieszkała przedziwna mieszanka oziębłości i ciepła, a jego poczucie humoru miało osobliwy charakter. Zależało mu szalenie na bardzo wielu sprawach, lecz zainteresowanie to nie wpływało nigdy z emocji, lecz z szacunku dla zasad i pryncypiów. Dziwiło go też często, nie udawał tego zdziwienia, że inni ludzie nie dzielą jego tak logicznych poglądów. Przypominał w tyra nauczyciela matematyki, który nie gniewa się, lecz tylko dziwi i smuci, gdy uczniowie nie potrafią docenić piękna i symetrii jego równań. Fowlera stać było także na niezwykle okrucieństwo i bezwzględność, i to bez najmniejszego śladu zapalczywości z jego strony. Gdy ktoś stawał mu na drodze, Fowler niszczył go, jeśli akurat mógł. Zasada ta przypominała świat Ojca Chrzestnego: żadnych prywatnych porachunków, morduje się, bo tego wymaga biznes. Może nauczyli go tej zasady mafiosi, których wysłał do więzienia. Liz dziwiło zwłaszcza, że ten sam człowiek traktuje swoich zwolenników z oschłą rzeczowością, z jaką za okazany wysiłek i lojalność mógłby nagradzać podwładnych główny księgowy.

Zarazem jednak Fowler był znakomity w łóżku. Liz odwróciła się twarzą do ściany i zmarszczyła brwi. Jakże tu zrozumieć takiego człowieka?

- Przeglądałaś te doniesienia z Japonii? - zapytał prezydent, wracając do codzienności w chwili, gdy Liz Elliot już, już miała wyznać swoje uczucia.

- Hmm, dobrze, że mi przypomniałeś. Znalazłam na biurku coś niepokojącego.

- Na jaki temat? - zapytał prezydent, od niechcienia, przesuwając rękę w inne miejsce, jak gdyby chciał pieszczotą wydobyć z Liz informacje, które przed nim ukryła.

- Ryana - odpowiedziała Liz.

- Znowu on? O co chodzi?

- Nasze informacje o jego machlojkach finansowych okazały się prawdziwe, lecz Ryan wykręcił się sianem, uniewinniony z przyczyn formalnych. Nawet to wystarczyłoby, żeby go wylać z rządu, gdyby nie fakt, że odziedziczyliśmy go po starej ekipie...

- Przyczyny formalne też bywają rozmaite. Dowiedziałaś się jeszcze czegoś?

- Podwójne życie seksualne, być może także wykorzystywanie personelu agencji do porachunków osobistych.

- Podwójne życie seksualne... ohyda.

Elliot zachichotała. Prezydentowi spodobała się jej reakcja.

- Możliwe, że Ryan ma nieślubne dziecko. To już mniej się spodobało prezydentowi, który prawa dzieci i matek traktował bardzo serio. Puścił Liz i zapytał:

- Znamy jakieś szczegóły?

- Jeszcze za mało. Powinniśmy wyświetlić te sprawę - oświadczyła Liz, zmuszając dłoń Fowlera, by wznowiły swój ruch.

- W porządku, każę FBI przeprowadzić małe śledztwo - obiecał prezydent w nadziei, że skończy w ten sposób rozmowę.

- Tak się nie da.

- Dlaczego?

- Ryan ma bardzo dobre stosunki w Biurze. Mogą nie chcieć się tego podjąć, mogą zagłaskać sprawę.

- Bill Shaw nie jest z tych, którzy by zagłaskiwali. Najlepszy policjant, jakiego spotkałem. Nawet ja nie potrafię go do niczego przymusić, dokładnie tak, jak powinno być.

Oho, znów logika i zasady. Jak tu rozgryźć tego człowieka?

- Shaw osobiście pracował nad sprawą Ryana. No, nad tymi terrorystami. Osobista znajomość ze zwierzchnikiem agencji odpowiedzialnej za śledztwo...?

- Fakt - przyznał Fowler. Nie wyglądałoby to dobrze, ze względu na konflikt lojalności i tak dalej.

- W dodatku osobistym specem Shawa jest ten cały Murray. Znają się z Ryanem od wieków.

Odchrząknięcie.

- No, to kogo polecasz?

- Nie wiem, może kogoś z biura prokuratora generalnego?

- A może z Tajnej Służby? - zapytał Fowler, który wiedział, że nie wchodzi to w rachubę, lecz chciał wypróbować wiedzę Liz.

- O, nie. Będzie wyglądało, że to polityka. Że polujemy na czarownice.

- Słuszna uwaga. Dobrze, zostaje nam prokuratura. Zadzwonię jutro do Grega.

- Świetnie, Bob.

Pora była zmienić temat. Liz przeniosła sobie rękę Boba na twarz i pocałowała ja.

- A wiesz, w takich chwilach naprawdę tęsknię czasem za papierosem.

- Siwy dym nad łóżkiem? - zażartował prezydent, obejmując mocniej Liz Elliot.

- Kiedy jesteś ze mną, naprawdę się palę do tego... - Odwróciła się, by spojrzeć mu w oczy.

- Może byśmy tak zaproszyli jakiś ogień?

- Powiadają... - Tu doradczynie do spraw bezpieczeństwa zamruczała z rozkoszy i pocałowała Boba. - ... powiadają, że nie ma na świecie potężniejszego mężczyzny niż prezydent Stanów Zjednoczonych...

- Robię, co mogę, Elizabeth.

Pół godziny później Liz Elliot przyznała, że Fowler nie kłamał. Zaczynała się w nim zakochiwać. Nie wiedziała tylko, co on sam czuje względem niej, jeśli cokolwiek...

- Guten Abend, Frau Fromm - powiedział nieznajomy.

- Kim pan jest?

- Peter Wiegler. dziennikarz z Berliner Tageblatt. Czy można zamienić z panią dwa słowa?

- O czym?

- Aber... - Mężczyzna uczynił gest, wskazując na ulewny deszcz za swoimi plecami. Pani Fromm przypomniała sobie, że dobre maniery nadal ją obowiązują, nawet wobec dziennikarzy, wpuściła więc gościa.

- Proszę, proszę do środka.

- Dziękuję - powiedział przybysz i zdjął przemoczony płaszcz, który pani Fromm powiesiła w przedpokoju. Dziennikarz był w rzeczywistości kapitanem w Pierwszym Zarządzie Głównym (Zagranica) radzieckiego KGB. Zapowiadał się na doskonałego oficera, miał trzydzieści lat, był przystojny, władał językami, zdobył dyplom uniwersytecki z psychologii i politechniczny z mechaniki. Traudl Fromm rozgryzł w ciągu pół minuty. Nowe audi przed domem było luksusowe, lecz nie rzucało się w oczy, podobnie jak ubrania pani Fromm, eleganckie, lecz dalekie od ostentacji. Widać było, że gospodyni ma o sobie doskonałe mniemanie, odznacza się zachłannością, lecz jest jednocześnie dusigroszem. Prócz tego pani Fromm była ciekawa celu wizyty, ale dziwnie napięta, jak gdyby chciała coś ukryć, i jak gdyby zdawała sobie jednocześnie sprawę, że odsyłając intruza z kwitkiem rozbudzi tylko podejrzenia. "Dziennikarz" zasiadł we wskazanym mu fotelu i czekał, co będzie dalej. Pani Fromm nie zaproponowała kawy, miała więc widocznie nadzieję, że rozmowa będzie krótka. Oficer zastanawiał się już, czy o trzecim nazwisku z dziesięciu na liście nie warto by zameldować w Moskwie.

- Pani mąż pracuje w elektrowni atomowej Greifswald-Nord?

- Pracował. Przecież wie pan, że elektrownia idzie do rozbiórki.

- Naturalnie, wiem o rym. Chciałem właśnie zapytać męża, co sądzi o tej decyzji. Mogę z nim porozmawiać?

- Męża nie ma w domu - odparła zmieszana Frau Fromm. "Wiegler" udał, że nie widzi jej miny.

- Naprawdę? A wolno mi zapytać, gdzie jest?

- Wyjechał w swoich sprawach

- Czy w takim razie mógłbym wpaść do niego za kilka dni?

- Jeśli pan chce, to proszę. Ale proszę najpierw zadzwonić i mnie uprzedzić. - Traudl Fromm powiedziała to takim tonem, że oficer KGB drgnął. Tak, na pewno coś ukrywała, coś, co w dodatku wiązało się z...

Naraz rozległo się nowe pukanie do drzwi. Frau Fromm pobiegła do przedpokoju.

- Guten Abend, Frau Fromm - powiedział męski głos. - Mamy dla pani wiadomość od Manfreda.

Na dźwięk tego głosu kapitan KGB zdwoił czujność, lecz postanowił zostać na miejscu. Ostatecznie był w Niemczech - kraju, w którym panuje Ordnung. nie ryzykował więc, mógł za to czegoś się dowiedzieć... - Chwileczkę, panowie... Mam w tej chwili gościa - wybąkała Traudl. Następne zdanie wypowiedziano szeptem. Kapitan usłyszał kroki, lecz dopiero po dłuższej chwili

podniósł wzrok na drzwi. Błąd ten miał go kosztować życie. Twarz, którą ujrzał, widział na setkach filmów o wojnie, oglądanych w dzieciństwie, choć-przybysz nie miał na sobie czarnego, lamowanego srebrem munduru oficera SS. Przed “dziennikarzem” stał poważny mężczyzna, w sile wieku, o niebieskich, bardzo zimnych oczach. Twarz, którą zawodowym instynktem rozpoznał jako... Nie było czasu...

- Dobry wieczór. Właśnie miałem się zbierać.

- Co to za jeden?

Traudl nie zdążyła jednak odpowiedzieć.

- Jestem dziennikarzem, z... - Za późno. Przybysz nieoczekiwanie podniósł w górę pistolet.

- Was gibt's hier? - podniósł głos “dziennikarz”.

- Gdzie twój samochód? - zapytał ten z pistoletem.

- Zaparkowałem kawałek dalej, bo...

- Pełno miejsca przed domem, a ten parkuje dalej. Dziennikarze nie lubią spacerów. Kto cię tu przysłał?

- Jestem dziennikarzem z...

- Bez żartów.

- Tego też bierzemy - oznajmił drugi mężczyzna, który trzymał się do tej pory z tyłu. Jego twarz wydała się kapitanowi znajoma... Siłą woli zmusił się jednak, by wytrwać na miejscu. Kolejny błąd.

- Słuchaj, co ci powiem. Pojedziemy na małą wycieczkę. Jeśli będziesz robił, co każę, za trzy godziny puścimy cię wolno. Jeżeli nie, pożałujesz. Verstehst du? Tajniacy z wywiadu, domyślił się kapitan, skądinąd słusznie. Z niemieckiego wywiadu. Czyli - będą się trzymali pewnych zasad, powiedział sobie oficer. Był to ostatni fałszywy wniosek w jego tak obiecującej karierze.

Kurier z Cypru dotarł w oznaczonym czasie i wręczył przesyłkę zmiennikowi w jednym z pięciu zawczasu ustalonych punktów kontaktowych, obserwowanych od dwunastu godzin. Odbiorca przeszedł na sąsiednią ulicę i wskoczył na motocykl marki Yamaha. Po chwili był już za miastem, bijąc rekordy prędkości w kraju, w którym słowo motocyklista było synonimem choroby psychicznej. Dwie godziny później, kiedy motocyklista upewnił się, że nikt za nim nie jedzie, doręczył przesyłkę w kolejne ręce i po półgodzinnym kluczeniu wrócił do punktu wyjścia.

Günther Bock zezłościł się, kiedy zamiast wydrażonej książki ujrzał zwykłą kasetę z filmem, jeszcze z etykietami i tytułem “Rydwany ognia”. Ciekawy, czy Erwin załączył do materiału jakąkolwiek wiadomość, Bock włączył odtwarzacz. Przez kilka minut oglądał czołówkę filmu, po angielsku, z francuskimi napisami. Po dłuższym czasie pojął, że Keitel udziela mu w ten sposób subtelnej lekcji, jak się pracuje w prawdziwym wywiadzie. Dopiero po dziewięćdziesięciu minutach “Rydwanów” obraz zmienił się nagle.

Co?

- Gadaj, kim jesteś! - zapytał ostro głos z ekranu.

- Peter Wiegler, dziennikarz z... - resztę zdania przerwał straszny krzyk. Sprzęt, jakiego używał przesłuchujący, okazał się prymitywny, ot, elektryczny kabel od jakiejś lampy czy sprzętu domowego, odarty z izolacji na długości paru centymetrów. Mała kto wiedział, jak skuteczne okazują się prymitywne metody w rękach ludzi, którzy znają się na rzeczy. Człowiek, który twierdził że nazywa się Peter Wiegler, wrzasnął tak, jakby chciał tym krzykiem rozerwać sobie gardło. Z wargi, przygryzionej przy poprzednich pytaniach, ciekła mu krew. Jedyłą zaletą elektryczności był właśnie brak krwi, jej wadą zaś hałaśliwość.

- Pora, żebyś się przestał wygłupiać. Odważny jesteś, owszem, ale marnujesz tę swoją odwagę.

Odwaga ma sens tylko wtedy, gdy jest nadzieja ratunku. Przeszukaliśmy twój samochód, znaleźliśmy twoje paszporty. Niemiec to ty nie jesteś. Nie Niemiec, więc kto? Polak, Rosjanin? Gadaj!

Przesłuchiwany otworzył oczy, wziął głęboki oddech i powiedział wreszcie:

- Jestem reporterem z gazety Berliner Tageblatt.

Odpowiedzią był kolejny cios kablem elektrycznym. Tym razem ofiara zemdląca. Bock widział teraz, jak jeden z ludzi na ekranie podchodzi do bezwładnego ciała, sprawdzając źrenice i puls. Oprawca miał na sobie wojskowy płaszcz przeciwchemiczny z gumowanej tkaniny, choć bez kaptura i rękawic. Musiało mu być w nim okropnie gorąco.

- Bez wątpienia wyszkolony oficer wywiadu. Chyba Rosjanin. Nie jest obrzezany, protezy dentystyczne z nierdzewnej stali, dość toporne, jak u dentystów z bloku wschodniego. Szkoda go, dzielnie się trzymał - powiedział narrator z ekranu tonem, który imponował Bockowi kliniczną rzeczowością.

- Jakie narkotyki mamy ze sobą? - zapytał inny głos.

- Wziąłem dobry środek uspokajający. Dać?

- Dać. Nie za dużo.

- Już się robi. - Mężczyzna zniknął z pola widzenia kamery, lecz za chwilę powrócił ze strzykawką. Chwycił mocno ramię ofiary i wbił igłę w żyłę w zgięciu łokcia. Oficer KGB odzyskał przytomność dopiero po trzech minutach, gdy narkotyk rozsprzęgł mu już funkcje kory mózgowej.

- Wybacz, ale musieliśmy to zrobić. Głowa do góry, zdałeś egzamin - oświadczył jeden z oprawców, tym razem po rosyjsku.

- Jaki egzamin...? - zdziwił się przesłuchiwany, również po rosyjsku, zanim mózg kazał mu zamilczeć. - Dlaczego mówicie do mnie po rosyjsku?

- Bo chcieliśmy się czegoś dowiedzieć. Dobranoc.

Źrenice schwytanego rozszerzyły się na widok małokalibrowego pistoletu, który oprawca przystawił mu do piersi i pociągnął za spust. Kamerzysta cofnął się teraz, łapiąc w obiektyw resztę wnętrza. Na podłodze pod metalowym krzesłem leżała foliowa płachta, a właściwie trzy osobne płachty, które miały zatrzymać spływającą krew i inne wydzieliny. Skóra wokół rany postrzałowej była osmalona i wzdęta od gazów prochowych, które dostały się pod nią przy strzale. Krwi wyciekło z rany niewiele, jak zwykle przy postrzałach w serce. Po kilkunastu sekundach drgawki śmiertelne ustały. - Mogliśmy jeszcze trochę poczekać i wydobyć dodatkowe informacje, ale wystarczy nawet to, co mamy, później wyjaśnię - zwrócił się do kamery Keitel.

- Chodźże tu, Traudl...

Podprowadzono ją przed kamerę, z rękoma skrępowanymi z przodu grubą taśmą, zakneblowaną tą samą taśmą, nagą, z oczami rozszerzonymi strachem. Traudl próbowała coś wykrztusić przez knebel, lecz nikt nie zwracał na to uwagi. Kasetę nakręcono półtora dnia wcześniej, co Bock mógł ustalić po treści wieczornego dziennika telewizyjnego na włączonym odbiorniku w rogu pokoju. Całą scenę zaaranżowali prawdziwi specjaliści, dokładnie tak, jak zażyczył sobie Bock.

Bock przysiągłby, że słyszy milczące pytanie Keitla: "Jak by się najlepiej za nią zabrać?" Przez chwilę pożałował, że zlecił Erwinowi filmować tę akcję, lecz musiał przecież mieć w ręku jakiś dowód. Magicy i iluzjoniści bardzo często oddawali usługi agencjom wywiadowczym, lecz niektórych spraw nie dało się upozorować. Bock tymczasem musiał zdobyć pewność, że będzie mógł zaufać Keitlowi w niebezpiecznej, straszliwej operacji. Obiektywna konieczność zmuszała więc ich do krwawej sceny.

Inny z oprawców przerzucił sznur nad belką pod sufitem i podciągnął ramiona Traudl w górę, po czym podszedł do ofiary, wcisnął jej lufę pistoletu pod pachę i oddał pojedynczy strzał. Ten

przynajmniej nie jest sadystą, pomyślał Bock. Sadyści okazywali się najczęściej nieodpowiedzialni. Mimo to scena okazała się przykra. Kula trafiła prosto w serce, lecz Traudl w swoim przerażeniu umierała długo, szarpała się prawie pół minuty, spoglądała z niedowierzaniem, próbując złapać oddech, mówiła coś, błagając zapewne o ratunek, pytając dlaczego... Kiedy jej ciało zwiótczało, oprawca sprawdził puls w tętnicy szyjnej, po czym rozwiązał sznur i opuścił zwłoki na podłogę. Do tej pory ludzie Erwina działali najdelikatniej, jak mogli. Ten, który strzelał, odwrócił się do kamery ze słowami:

- Mam nadzieję, że się wam podobało. Mnie nie.

- Bo też nie miało ci się podobać - rzucił Bock w stronę ekranu. Ciało Rosjanina zwalono z krzesła i ułożono obok zwłok Traudl. Teraz zaczął mówić Keitel, którego komentarz pomagał znieść widok coraz bardziej przerażających scen na ekranie. Bock miał mocne nerwy, lecz nie mógł spokojnie znieść profanacji zwłok, nawet jeśli było to z jakiegoś powodu niezbędne.

- Rosjanin był z wywiadu, jak sami mogliście się przekonać - komentował Keitel. - Samochód wypożyczył w Berlinie, jutro odwieziemy wóz do Magdeburga i tam oddamy. Zaparkował kilkadziesiąt metrów dalej, normalne postępowanie zawodowca, lecz w razie wpadki nieomylny dowód winy. W samochodzie znaleźliśmy listę nazwisk, sami inżynierowie atomiści z NRD. Wygląda na to, że towarzysze radzieccy zaczęli się nagle bardzo interesować programem nuklearnym Honeckera. Szkoda, swoją drogą, że zabrakło nam tych paru lat, co? Przepraszam, że musimy brudzić sobie ręce, ale parę dni zajęło nam ustalenie, jak się pozbyć zwłok, a poza tym nie mieliśmy pojęcia, że Frau Fromm podejmuje "gościa". Było za późno, żeby wymyślić inny plan, zresztą przy takiej ulewie porwanie to najlepsze wyjście.

Kiedy Keitel przemawiał, nad każdym ciałem pracowało dwóch z jego ludzi. Wszyscy mieli na sobie ubiory przeciwichemiczne, nałożyli też kaptury i maski, zapewne po to, by nie czuć zapachu i ukryć swoją tożsamość. Podobnie jak w rzeźni, oprawcy przygotowali wiadra trocin, w które wsiąkała obficie tryskająca krew. Bock wiedział z doświadczenia, jak brudną robotą może być morderstwo. Niemcy uwijali się w takt komentarza Keitla, ćwiartując zwłoki narzędziami elektrycznymi. Najpierw oddzielili od tułowi ręce i nogi, następnie zaś głowy, które trzymali chwilę przed kamerą. Nikt nie byłby w stanie upozorować tego obrazu. Keitel rzeczywiście zgładził dwójkę ludzi. Ćwiartowanie zwłok przed kamerą rozwiewało najmniejszy cień wątpliwości i pozwalało łatwiej pozbyć się szczątków. Poszczególne członki owinięto w plastikową folię, kolejny mężczyzna zmiotł zakrwawione trociny do osobnego worka.

- Spalimy ciała w dwóch różnych miejscach. Zdążymy z tym na długo przedtem, zanim otrzymacie taśmę. Koniec wiadomości. Czekamy na dalsze instrukcje.

Z ekranu znów popłynął film osnuty na wydarzeniach olimpiady z tysiąc dziewięćset dwudziestego roku. A może z dwudziestego czwartego? Bock nie pamiętał. Data nie miała zresztą najmniejszego znaczenia.

- Co się stało, pułkowniku?

- Jeden z moich oficerów nie zameldował się w terminie - oznajmił pułkownik z Wydziału T, czyli pionu technicznego Pierwszego Zarządu Głównego. Gość Gołowki miał doktorat z nauk politechnicznych i specjalizował się w broni raketowej. Przed awansem na obecne stanowisko pracował już w Ameryce i we Francji, pracowicie zdobywając sekrety nowych rodzajów broni i uzbrojenia.

- Szczegóły.

- Kapitan Jewgienij Stiepanowicz Fiodorow, lat trzydzieści, żonaty, jedno dziecko, doskonałe

miejsce na liście awansów. Wchodził w skład trójki, którą wysłałem do Niemiec na wasze polecenie, żeby sprawdzili zakłady atomowe. Jeden z najlepszych w moim dziale.

- Kiedy zniknął? - zapytał Gołowko.

- Sześć dni temu. W zeszłym tygodniu przyleciał do Berlina, przez Paryż. Nasi na dole zrobili mu dobre papiery, dostał listę dziesięciu nazwisk do sprawdzenia. Miał nie wychylać łba, chyba że znajdzie coś ważnego. W takim wypadku kazałem mu się zgłosić do naszej rezydentury w Berlinie, czy tego, co z niej dziś zostało. Ustaliliśmy system meldowania się co jakiś czas, normalnie. Fiodorow się nie zgłosił, więc po dwudziestu czterech godzinach zarządziłem alarm.

- Może gdzieś zabałaganił?

- Nie on - uciął kwestię pułkownik. - Czyżby nic wam nie mówiło nazwisko?

- Fiodorow... Czy to syn...?

- Stiepana Jurijewicza? Tak jest. To jego najmłodszy syn.

- Boże mój, sam uczyłem się od Stiepana Jurijewicza - odezwał się Gołowko. - Jaka możliwość, że...

- Że zwiął? Żadna - pułkownik w złości potrząsnął głową. - Zostawił zresztą żonę, chórzystkę z opery. Poznali się na studiach i wzięli ślub, wbrew woli jednych i drugich rodziców. Taka para, że pozazdrościć. Dziewczyna przepiękna, z głosem jak anioł. Tylko ostatni dupek by taką zostawił. Poza tym jest jeszcze dziecko. Słyszałem zawsze, że Fiodorow to dobry ojciec.

Gołowko wiedział, do czego zmierza pułkownik.

- Chcecie powiedzieć, że aresztowany?

- Mnie nikt nie szepnął choć słówka, więc może wy moglibyście sprawdzić, przez swoje kanały? Obawiam się najgorszego - rzekł pułkownik i ponuro zapatrzył się w dywan. Nie uśmiechała mu się smutna wizyta u Natalii Fiodorowej.

- Trudno uwierzyć - zauważył Gołowko.

- Siergieju Nikołajewiczu, jeśli mieliście rację w tamtych domysłach, Niemcom musi ogromnie zależeć na programie atomowym. Być może potwierdziliśmy te domysły, choć w najkosztowniejszy z możliwych sposobów.

Generał dywizji Siergiej Nikołajewicz Gołowko przez chwilę nie wypowiedział słowa. Przecież to wszystko nie tak, pomyślał za to. W wywiadzie pracują ludzie cywilizowani. Dawno minęły czasy, kiedy się mordowało konkurencję. To wszystko daleka przeszłość, nie robi się tego od lat... Od dziesięcioleci...

- Inne wersje mało prawdopodobne?

- Zupełnie nie wchodzi w rachubę - zgodził się z wnioskiem pułkownik. - Najbardziej prawdopodobna wersja jest taka, że nasz człowiek wdepnął niechcący w coś naprawdę istotnego. Na tyle istotnego, że niezbędne jest nawet morderstwo. Czy może chodzić o coś innego poza programem zbrojeń nuklearnych?

- Pewnie tak właśnie jest - zgodził się Gołowko, zauważając z przyjemnością, że pułkownik, zamiast oskarżać podwładnego, broni go do końca, przedstawiając rozmaite warianty całej sytuacji.

- Wysłaliście już kogoś do instytutu w Sarowej?

- Pojutrze ktoś jedzie, najlepszy specjalista. Posłałbym go wcześniej, ale dopiero co wyszedł ze szpitala. Złamał nogę na schodach, czy coś takiego.

- Jeśli trzeba, zawieźcie go do Sarowej na noszach. Niech przywiezie najbardziej pesymistyczny scenariusz produkcji plutonu w reaktorach NRD. Wyślijcie też kogoś do Kysztymia, niech sprawdzi wyniki z Sarowej. Odwołajcie z Niemiec pozostałą dwójkę. Zaczniemy śledztwo od nowa, ostrożniej. Dwuosobowe grupy, ubezpieczający ma mieć broń. Niebezpieczna sprawa - przyznał

Gołowko po namyśle.

- Generale, przecież wiecie, ile czasu i pieniędzy kosztuje mnie szkolenie personelu. Miną ze dwa lata, zanim wyszkolę następcę Fiodorowa, aż dwa lata... Nie da się, ot tak, przenieść oficera z innego działu i wysłać go w pole. Ci ludzie muszą wiedzieć, czego szukają, ale przecież nie wolno nam narażać fachowców.

- Macie rację. Omówię rzecz z przewodniczącym i wyślę doświadczonych oficerów. Może nawet kogoś z Akademii? Co myślicie o tym, żeby dać im papiery niemieckiej policji?

- Świetny pomysł, Siergieju Nikołajewiczu.

- Tośmy się dogadali, Pawle Iwanowiczu. A co zrobicie z tym Fiodorowem?

- Może się jeszcze znajdzie. Mamy trzydzieści dni na poszukiwania, potem musimy zawiadomić żonę. Dobrze, wysłałam ludzi, zaczynam planować następną fazę akcji. Kiedy dostanę listę oficerów eskorty?

- Jutro rano.

- Świetnie. Przepraszam, że zająłem tyle czasu, generale. Gołowko wyciągnął dłoń na pożegnanie i stał obok biurka, dopóki gość nie zniknął za drzwiami. Miał dziesięć minut do kolejnego spotkania.

- A niech to... - wycedził patrząc w blat.

- Znów opóźnienie?

- Oszczędzamy czas! - Fromm nie próbował nawet ukrywać, że nie spodobało mu się to pytanie. - Materiał, który pójdzie do obróbki, ma takie same własności, jak nierdzewna stal. Musimy poza tym wytoczyć imitacje, żeby zrobić formy do odlewów. O, popatrzcie... - Niemiec rozwinął płachtę swoich rysunków. - Tu mamy podwójnie wywinięty cylinder z plutonu. Wokół niego przyjdzie drugi cylinder, z berylu. Opatrzność zsyła nam ten beryl: lekki, bardzo twardy, przepuszcza promienie rentgenowskie, ale zatrzymuje neutrony! Niestety, również wyjątkowo trudny w obróbce. Będą nam potrzebne frezy z krystalicznego azotku boru, to taki odpowiednik sztucznego diamentu. Niech wam do głowy nie przyjdzie użyć frezów ze stali czy węglików! Poza tym chodzi o bezpieczeństwo obsługi.

- Beryl jest nietoksyczny, sprawdzałem - wtrącił Hosni.

- Niby prawda, ale pył spod maszyny wiąże się z powietrzem w tlenek berylu, który w płucach zamienia się znów w wodorotlenek berylu i wywołuje pylicę berylową. Stuprocentowa gwarancja zgonu. - Fromm urwał i spojrzał na Hosniego jak nauczyciel, któremu uczeń przerwie wywód.

- Dalej, wokół cylindra z berylu przyjdzie kolejna cylindryczna otulina z wolframo-renu. Ten stop będzie najlepszy ze względu na dużą gęstość. Kupimy dwanaście kilogramów proszku i spieczemy w cylindryczne odcinki. Wiecie, jak się spieka? Podgrzewa się proszek, aż stwardnieje w odpowiedni kształt. Z topieniem i odlewaniem mielibyśmy za duży kłopot, zresztą obejdziemy się prostszym sposobem. Wokół płaszcza z wolframo-renu pójdzie soczewka materiału wybuchowego. Tak będzie więc wyglądał ładunek pierwotny bomby, który dostarczy jej jedną czwartą mocy.

- I dlatego musimy zachować aż taką precyzję?

- Właśnie dlatego. Wyobraź sobie, że szlifujemy największy pierścień z brylantem albo największą kolię na świecie. Nasz końcowy produkt będzie naprawdę piękniejszy od biżuterii, ba, nawet od precyzyjnych, instrumentów optycznych.

- Skąd weźmiemy ten wolframo-ren?

- Byle zakład urządzeń elektrycznych sprzeda ci każdą ilość. Używają tego metalu na specjalne włókna do lamp próżniowych i do masy innych rzeczy. O wiele łatwiejszy w obróbce niż czysty

wolfram.

- A beryl? Aha, pamiętam. Stosowany w żyroskopach i innych przyrządach. Piszę, trzydzieści kilogramów.

- Może dwadzieścia pięć? Nie, zamów trzydzieści. Nie wiecie nawet, jakie mamy szczęście. - Jak to?

- Ten izraelski pluton jest stabilizowany galem. Poniżej temperatury topnienia pluton ma cztery temperatury przejścia fazowego. Co za tym idzie, ma tę dziwną właściwość, że w niektórych przedziałach temperatury zmienia nagle gęstość, i to nawet o trzydzieści procent, jak to wielopostaciowy metal.

- Chcesz powiedzieć, że masa podkrytyczna...

- Otóż to. Masa, którą bierzemy za podkrytyczną, może w pewnych warunkach przejść w krytyczną. Nawet wtedy nie nastąpi eksplozja, lecz promieniowanie gamma i neutronowe zabije wszystko w promieniu... To zależy, ale powiedzmy, że w promieniu od dziesięciu do trzydziestu metrów. Odkryli to zjawisko naukowcy, w Chicago, podczas prac nad projektem Manhattan, choć mieli szczęście... Nie, to źle powiedziane. Nie tyle mieli szczęście, ile swój rozum, więc kiedy tylko otrzymali pierwsze gramy plutonu, postanowili natychmiast zbadać właściwości pierwiastka. Gdyby z tym zwlekali albo założyli z góry, że pluton jest stabilny, cóż...

- Nie miałem o tym pojęcia - przyznał Hosni, dziękując w myślach Najwyższemu.

- Nie wszystko da się wyczytać w książkach, mój młody przyjacielu, czy raczej, nie wszystkie książki podają pełną informację. Domieszka galu stabilizuje daną masę plutonu, który można bezpiecznie obrabiać, z zachowaniem niezbędnych środków ostrożności.

- Czyli tak, zaczniemy od wytoczenia na maszynach form z nierdzewnej stali, według tych rysunków, na ich podstawie zrobimy formy do odlewów...

- Rozumiesz prawidłowo, mein Junge - ucieszył się Fromm.

- Gotowe odlewy znów oszlifujemy na maszynach... Rozumiem. Dobrze, że ci szlifierze znają fach.

Kati zwerbował dziesięciu "poborowych" - jak ich nazwał - samych Palestyńczyków, z pracowni optycznych całego regionu, i zadbał, by wyuczyli się obsługi precyzyjnych obrabiarek i szlifierek.

Maszyny rzeczywiście były dokładnie takie, jak opisywał Fromm. Przed dwoma laty były jeszcze Weltspitze, najlepsze na świecie i identyczne ze sprzętem używanym w amerykańskich zakładach atomowych Y-12 w Oak Ridge w stanie Tennessee. Dokładność obróbki maszyna sprawdzała interferometrem laserowym, a ruchem głowic roboczych w trzech wymiarach i wzdłuż pięciu osi sterował komputer. Instrukcje wydawało się, dotykając palcem poszczególnych pozycji na ekranie komputera. Również rysunki projektowe sporządził Fromm w minikomputerze podłączonym do kosztownej maszyny kreślarskiej.

Hosni i Fromm przyprowadzili operatorów maszyn i wyznaczyli im pierwsze zadanie: wytoczenie z nierdzewnej stali wywiniętego cylindra, naśladowującego kształtem plutonowy ładunek pierwotny, od którego zapłonie termojądrowy ogień.

- Weźmy się teraz za soczewę eksplodującą... - zaczął Fromm.

- Dużo słyszałem o tobie - rzekł na wstępie Bock.

- Coś dobrego? - zapytał Marvin Russell z ostrożnym uśmiechem.

Bock zdał sobie sprawę, że widzi pierwszego Indianina w życiu. Widok rozczarował go. Gdyby nie kości policzkowe, Russela można by wziąć za białego, zresztą nawet przy osobliwych rysach

Marvin przypominał Słowianina, na przykład z domieszką krwi tatarskiej... Na miedziany kolor skóry składała się głównie opalenizna. Od potężnej sylwetki Russella biła jednak imponująca krzepa.

- Mówiono mi chociażby, że w Grecji skręciłeś kark policjantowi.

- Nie wiem, o co ten cały szum - odpowiedział Russell ze znużeniem i szczerością w głosie. -

Nie żaden policjant, tylko chudy wypierdek, nie z takimi dawałem sobie radę, panie Bock.

- Mówmy sobie po imieniu - zaproponował Bock. - Rozumiem, że patrzysz na to inaczej, ale taka metoda naprawdę robi wrażenie. Zresztą słyszałem masę innych pochwał na twój temat, Marvin...

- Nie przesadzaj, Günther.

- Naprawdę, instruktor rozplątywał się zwłaszcza nad tym, jak strzelasz.

- Wielka rzecz. Każdy głupi może się nauczyć.

- Jak ci się podoba w obozie?

- Bardzo fajnie. Ci ludzie, jak by to powiedzieć? Wkładają całe setce w to, co robią. Nie zrezygnują, choćby nie wiem co, a jak już coś robią, robią dobrze. Podziwiam ich. Przygarnęli mnie zresztą jak rodzina, chłopie.

- Bo jesteśmy rodziną, Marvin, razem na dobre i na złe. Mamy tych samych wrogów.

- Tego mi nie musisz mówić.

- Myślę sobie, Marvin, że mógłbyś nam pomóc. W bardzo ważnej sprawie.

- Okay - odpowiedział po prostu Russell.

- Co "okay"?

- Zgadzam się, Günther.

- Nawet nie zapytałeś, o co chodzi - przypomniał Niemiec.

- Dobra, jak chcesz, to mi wytłumacz. - Russell uśmiechnął się.

- Za parę miesięcy musiałbyś wrócić do Ameryki. Myślisz, że to ryzykowne?

- Zależy. Siedziałem kiedyś, znaczy się byłem w więzieniu, sam wiesz. Gliniarze mają moje odciski palców, ale zdjęć to już nie. To znaczy jakieś tam mają, ale stare, mocno się od tamtej pory zmieniłem. W Dakocie na pewno mnie poszukują, więc tam mnie raczej nie wysyłaj.

- Nawet nie zobaczysz Dakoty, Marvin.

- No to nie ma sprawy. Zależy jeszcze, co mam zrobić.

- Nie przeszkadzałoby ci, gdybyś musiał zabić? Zabić Amerykanów? - zapytał Bock, pilnie obserwując reakcję Russella.

- Amerykanów! - parsknął Indianin. - To ja, kurwa, jestem Amerykanin, nie oni, okay? Coś ci się pomyliło z tym moim krajem. To oni, ci niby Amerykanie, ukradli nam kraj, tak samo jak Izrael tym naszym chłopakom! Ukradli, tacy z nich Amerykanie, kurwa! Chcesz, żebym paru załatwił, dobra - jak trzeba, nie ma sprawy. Ale tylko jeśli trzeba, ja nie zabijam dla zabawy, nie bierz mnie czasem za jakiegoś czubka, pewnie, jeśli trzeba, pozabijam, jasne, że tak!

- Nawet gdyby chodziło o grupę?

- Wiem, już powiedziałeś, że nie chodzi o jednego, Günther, masz mnie za durnia czy co? Tylko tak załatw, żeby znaleźli się w tej grupie jacyś gliniarze, agenci FBI, no wiesz. Tych pozałatwiam z przyjemnością. Ale pamiętaj o jednym...

- O czym?

- Że oni też nie są tacy głupi. Pamiętaj, dupnęli mojego brata. Z tymi klientami nie ma żartów.

- Z nami też nie ma żartów - zapewnił go Bock.

- Faktycznie, sam widziałem. Powiedz mi coś więcej o tej robocie.

- Mianowicie co, Marvin? - zapytał Bock niby to od niechcenia.

- Jak to co? Sam jestem stamtąd, tam się wychowałem i znam różne tam szczegóły, o których nie masz pojęcia. Rozumiem, że ryzyko, że dyskrecja, możesz mi na razie nic nie mówić, nie ma sprawy. Ale pamiętaj, później już się nie obejdziesz bez takich szczegółów. Ci tutejsi to fajni ludzie, sprytni jak trzeba, ale o Ameryce gównie wiedzą, i tyle. Pogubią się zaraz, nie będą wiedzieli jak i co. Kiedy idziesz na polowanie, to musisz znać teren, a ja go znam.

- Dlatego jesteś nam potrzebny - znów uspokoił Indianina Bock, jak gdyby od dawna już wszystko przewidział. W rzeczywistości dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nie obejda się bez pomocy Russella.

Andriej Iljicz Narmonow powtarzał sobie często, że jest kapitanem największego okrętu na świecie. Cieszyło go takie porównanie. Mniej cieszyło go, że na okręcie ciekło dno, ułamał się ster i nawalala maszyna. By nie wspomnieć już o buntach załogi. Gabinet Narmonowa na Kremlu był tak obszerny, że można było się w nim spokojnie przechadzać. Ostatnio Narmonow przechadzał się po nim bez przerwy, i to wcale nie spokojnie. Sam zdawał sobie sprawę, że nerwowe krążenie po pokoju znamionuje niepewność, która nie przystoi prezydentowi ZSRR, zwłaszcza kiedy podejmuje się ważnego gościa.

ZSRR, czyli Związek Suwerennych Republik Radzieckich. Dobra nazwa, pomyślał Narmonow. Rada Najwyższa nie uchwaliła jeszcze oficjalnie tej zmiany, lecz nowa treść skrótu zaczynała już zdobywać popularność. Niestety.

Niestety, gdyż nawa państwowa zaczynała się w coraz szybszym tempie rozpadać. Sytuacja nie miała precedensu, bo choć wielu obserwatorów powoływało się na przykład, jakim był rozpad imperium brytyjskiego, Narmonow widział swój problem inaczej. Wszystko, co jeszcze parę lat temu wydawało się nieść nadzieję, dziś zaczynało go przerażać, zwłaszcza że to on sam musiał podejmować wszystkie bolesne decyzje, nie mając żadnego historycznego modelu do naśladowania. Narmonow był zupełnie sam, sam jak żaden inny polityk i stał wobec zadania, którego skala przerastała wszystkie inne. Na Zachodzie chwalono Narmonowa za niesamowity zmysł do rozgrywek taktycznych, lecz nie wiedziano tego co on, a mianowicie, że sukcesy wynikały nie z planu, ale z przewycięzania kolejnych nieprzewidzianych kryzysów. Narmonow pamiętał zdanie jednego z Brytyjczyków, bodaj czy nie Gladstone'a, który twierdził, że jako premier spływa szybką tratwą przez progi i skaliste przesmyki, za całą broń mając kij, którym odpycha się od kolejnych przeszkód. Jakże słuszne słowa, pomyślał prezydent, mając świadomość, że wraz z krajem mknie porwany przez nurty historii, przeczuwając, że za kolejnym zakrętem czeka już gigantyczny wodospad, otchłań, co zmiecie wszystko i wszystkich... Narmonow miał jednak dość roboty ze swoim kijem, by martwić się o dalszą przyszłość. Właśnie o tym myśleli inni, nazywając go taktykiem politycznym. Prezydent skupiał całą energię na staraniach, by przeżyć do następnego dnia, a to co miało się dzieć za tydzień, ba, pojutrze, traciło znaczenie...

- Wychudliście jakoś, Andrieju Iljiczu - zauważył ze skórzanego fotela Oleg Kiriłowicz Kadyszew.

- Spacer po gabinecie dobrze mi robią na serce - odburknął prezydent ZSRR.

- Może wstąpicie do naszej drużyny olimpijskiej? Narmonow zatrzymał się na chwilę.

- Rzeczywiście, o wiele przyjemniej byłoby walczyć wyłącznie z cudzoziemcami. Ci przynajmniej uważają mnie za geniusza. Niestety, człowiek radziecki ma nieco inne zdanie.

- Jak mogę w takim razie pomóc mojemu prezydentowi.

- Właśnie, potrzebna mi wasza pomoc. Pomoc prawicy.

Teraz uśmiechnął się z kolei Kadyszew, gdyż prasa - zarówno zagraniczna, jak i radziecka -

nigdy nie mogła się połapać w rozkładzie stronniw. Lewica oznaczała w ZSRR komunistyczny beton. Od osiemdziesięciu lat dążenia reformatorskie przychodziły więc z prawej strony, o czym zaświadczały chociażby stalinowskie wyroki, potępiające najbardziej nawet nieśmiały zwolenników swobody za "odchylenie prawicowe". Samozwańczy postępowcy z Zachodu mówili o sobie nieodmiennie "lewica", swoich przeciwników politycznych obwołując "konserwatystami" i reprezentantami "prawicy". Zachodni dziennikarze byli najwyraźniej za tępi, by nagiąć swoje schematy myślowe do odmiennej rzeczywistości politycznej, podczas gdy nowi liberałowie z prasy radzieckiej małpowali po prostu terminologię zachodnią w swoich publikacjach, a ich artykuły potęgowały jeszcze chaos na scenie politycznej ZSRR. To samo dałoby się powiedzieć o tych "postępowych" politykach z Zachodu, którzy przenieśli do swoich krajów część eksperymentów radzieckich. W zachodnich warunkach eksperymenty te dały się doprowadzić do końca i w pełni objawiły swoje katastrofalne skutki. Już na zupełny czarny humor zakrawały głosy krytyczne lewicy zachodniej, która utrzymywała, że wielki eksperyment nie udał się zacofanym Rosjanom, gdyż nie potrafili przekształcić socjalizmu w rządy przez ludzi i dla ludzi, co udało się z kolei nowoczesnym rządóm zachodnim. Zgadzało się to zresztą znakomicie z opinią samego Karola Marksa na temat przyszłości rewolucji. Kadyszew uważał ludzi o podobnych poglądach za takich samych idealistów, jak założyciele pierwszych Rad Rewolucyjnych, albo jeszcze głupszych. Zdaniem Kadyszewa, Rosjanie doprowadzili do logicznego końca rewolucyjne ideały, by odkryć, że skutkiem są tylko spustoszenie i katastrofa. Oto więc Rosja zawracała z błędnej drogi, z rzadko spotykaną w świecie odwagą polityczną i moralną. Zachód wciąż nie potrafił zrozumieć, co się dzieje w Moskwie! Chruszczow miał świętą rację, pomyślał parlamentarzystą. - Wszyscy politycy są tacy sami. Z reguły są to idioci.

- Andrieju Iljiczu, może nie zawsze zgadzamy się co do metod, lecz zawsze mieliśmy ten sam cel. Doskonale wiem, że macie kłopoty z przyjaciółmi po tamtej stronie barykady.

- Podobnie jak po waszej stronie - zauważył prezydent Narmonow z dziwnym rozdrażnieniem.
- Nasza strona też się tu przysłużyła, to prawda - zgodził się bez oporu Kadyszew. - Kto powiedział, że musimy zawsze myśleć tak samo, Andrieju Iljiczu?

Narmonow odwrócił się na pięcie. W jego wzroku była groźba i błaganie.

- Nie dzisiaj, nie zaczynamy znów tego piłować!
- Jak więc mogę wam pomóc? - spytał Kadyszew, dodając w myślach: - Tracimy nerwy, towarzyszu prezydencie? Zły znak, przyjacielu...

- Potrzebne mi wasze poparcie w kwestii narodowościowej. Nie możemy pozwolić na to, żeby rozleciał się cały Związek.

- Rozpad jest nieunikniony. - Kadyszew potrząsnął głową, dodając wagi tym słowom. - Dając wolną rękę Bałtom i Azerom pozbywamy się mnóstwa problemów.

- Tak? Ciekawe, jak sobie poradzimy bez azerbejdżańskiej ropy? Zadamy natychmiast cios reszcie gospodarki. Jeśli damy się odłączyć Bałtom, pójdzie zaraz za nimi pół kraju.

- Polowa ludności, ale tylko jedna piąta terytorium, nawet mniej. A także większość naszych kłopotów - powtórzył Kadyszew.

- Łatwo powiedzieć, że ludzie sobie pójda. Dokąd pójda? Co ich czeka? Poniewierka i wojna domowa? Ile ofiar chcecie mieć na sumieniu, co? - zapytał groźnym głosem prezydent.

- Trudno, wszystko to normalne skutki dekolonizacji. Nic nie poradzimy, a nawet jeśli spróbujemy zatrzymać kogoś siłą, przeniesiemy tylko wojnę domową we własne granice. No, a wtedy naprawdę trzeba będzie przekazać większą część władzy w ręce wojska i bezpieczeństwa. - Niedobrze. Nie ufam wojskowym jeszcze bardziej niż wy, Andrieju Iljiczu.

- Wojsko zostanie w koszarach. To czerwonooarmiści, a nie bonapartyści.

- Pokładacie widać większą wiarę w ich lojalność niż ja. Moim zdaniem, wojsko rozumie, że staje przez historyczną szansą, jedyną w swoim rodzaju. Partia trzymała armię za mordę od czasów Tuchaczewskiego. Żołnierze nie zapominają tak łatwo, więc nie zdziwiłbym się, gdyby spróbowali...

- Mówicie o nieboszczykach! Ich dzieci też już poszły do grobu! - zdenerwował się nie na żarty Narmonow. Od czasu stalinowskich czystek minęło z górą pół wieku. Ci, którzy pamiętali wizyty NKWD, siedzieli w wózkach inwalidzkich albo w domach starców.

- Za to ich wnuki pamiętają, a co gorsza, pamięta o wszystkim armia jako instytucja. - Kadyszew rozsiadł się wygodniej, obracając w myślach nowy plan, który przyszedł mu nagle do głowy. Czy była szansa...?

- Zgoda, wojsko ma swój punkt widzenia, który nie zawsze musi się zgadzać z moim. Możemy się różnie zapatrywać na to, jak rozwiązać ten czy ów problem, ale nie na to, do kogo należy władza. Moim zdaniem, wojskowi często błędzą, ale nigdy nie powstał im w głowie pucz.

- Może i tak, chociaż sam nie byłbym tego taki pewien.

- Jeśli mnie teraz wesprzecie, damy odpór krzykaczom, którzy żądają natychmiastowego rozwiązania federacji. Damy im nauczkę, zyskamy parę lat spokoju, normalizacji, będziemy mieli czas ustalić dokładny plan, jak przekształcić kraj we wspólnotę narodów - luźny związek, nazwijcie to jak chcecie, żeby zachować więzi gospodarcze przy rozdzieleniu instytucji politycznych.

Facet bredzi, pomyślał Kadyszew. Rzeczywiście jest na granicy załamania nerwowego. Facet, który obraca się na scenie politycznej jak środkowy napastnik drużyny hokejowej "Spartak", zaczyna się chwiać ze zmęczenia... Czy utrzyma się, jeśli go zostawię samego?

Zapewne tak, ocenił Kadyszew. Zapewne. A szkoda, zrobiłby miejsce młodszemu. Kadyszew był de facto przywódcą zjednoczonych sił "lewicy", pragnących doprowadzić do rozpadu struktury państwowej a z nią politycznej. Pozostały po takiej czystce rdzeń imperium, oparty na Federacji Rosyjskiej, wzięłoby się za gardło i poprowadziło w dwudziesty pierwszy wiek. Gdyby Narmonow runął, gdyby nie mógł już sprawować władzy, kto przyszedłby na jego...

Ja. Oczywiście, że ja.

Tylko co powiedzieliby na to Amerykanie?

Jakżeby mogli nie poprzeć agenta o kryptonimie ŻAGIEL, człowieka ich Centralnej Agencji Wywiadowczej?

Kadyszew pracował dla Amerykanów od sześciu lat, kiedy to zwerbowała go Mary Patricia Foley. Nie uważał tej decyzji za zdradę stanu. Działał przecież dla dobra swego kraju, w dodatku we własnej opinii działał skutecznie. Przekazywał Amerykanom informacje na temat trybu sprawowania władzy wewnątrz radzieckiego rządu. Część informacji była naprawdę ciekawa, o część zaś Amerykanie mogli z równym skutkiem zapytać swoich korespondentów prasowych. Kadyszew zdawał sobie sprawę, że CIA uważa go za najbardziej wartościową wtyczkę w radzieckie życie polityczne, zwłaszcza teraz, kiedy miał za sobą całe czterdzieści procent głosów w rozkrzyczanym Zjeździe Deputowanych Ludowych. Trzydzieści dziewięć procent, poprawił się w myślach Kadyszew. Po co się samemu oszukiwać? Jeśli dobrze wszystko rozegrać, może uzyskać jeszcze osiem procent. Pośród dwóch i pół tysiąca deputowanych znajdowali się przedstawiciele najrozmaitszych stronnictw: autentyczni demokraci, wielkorosyjscy nacjonałiści socjalistycznej i narodowej maści, lewacy i prawicowi ekstremiści. Istniało także w zgromadzeniu ostrożne centrum, złożone z polityków rzeczywiście zatroskanych losem kraju, a także z ludzi, którzy próbowali po prostu utrzymać się przy wpływach. Na ilu spośród nich można liczyć? Ilu da się pozyskać?

Za mało, pomyślał Kadyszew.

Miał przecież do rozegrania jeszcze jedną kartę.

To, prawda. O ile starczy mu odwagi, by ją rozegrać.

- Andrieju Iljiczu - rzekł pojednawczo - Żądacie, abym odstąpił od ważnej zasady i dopomógł wam w osiągnięciu wspólnego celu. Cel, owszem, wspólny, ale sposób osiągnięcia go nie budzi mojego zaufania. Dla mnie jest to bardzo trudna decyzja. Nie wiem nawet, czy zdołam pozyskać dla was te głosy. A nuż deputowani pokażą mi plecy?

Słowa rozjuszyły tylko Narmonowa.

- Bzdury! Dobrze wiecie, jak ufają i wam, i waszym ocenom sytuacji.

Nie tylko oni mi ufają, rzekł sobie w duchu Kadyszew.

Jak przy każdym normalnym śledztwie, i to prowadzono głównie na papierze. Ernest Wellington był prokuratorem młodym, lecz niezmiernie ambitnym. Jako absolwent wydziału prawa i dyplomowany adwokat, Wellington mógł zgłosić akces do FBI i nauczyć się prowadzenia śledztwa z pierwszej ręki. Uważał się jednak za adwokata, a nie za gliniarza, a co więcej, uwielbiał politykę, podczas gdy FBI szczyliło się przy każdej okazji swoją apolitycznością. Wellington tymczasem żył właśnie polityką i politykierstwem, bez którego nie wyobrażał sobie rządu. Wiedział też, że właśnie drogą rozgrywek politycznych można najprędzej dotrzeć do szczytu władzy, zarówno w rządzie, jak i poza nim. Znajomości, które obecnie zawierał, mogły okazać się nieocenione w oczach setki wielkich firm prawniczych, tych z właściwymi powiązaniem, mogły też nadać jego nazwisku odpowiedni rozgłos w Departamencie Sprawiedliwości. Wkrótce Wellington miał stanąć do rywalizacji o tytuł specjalnego asystenta przy prokuratorze generalnym. Jeśli by mu się powiodło zdobycie tego stanowiska, za pięć lat mógł liczyć na fotel szefa sekcji w Departamencie, albo też uzyskać nominację na prokuratora okręgowego w dużym mieście. Mógł też stanąć na czele specjalnych oddziałów Departamentu Sprawiedliwości. Wtedy naprawdę otworzyłyby się przed nim drzwi do kariery politycznej, a Ernest Wellington przestałby być tylko pionkiem na wielkiej szachownicy Waszyngtonu. Wszystkie te perspektywy uderzyły do głowy dwudziestosiedmioletniemu absolwentowi szkoły prawniczej na Harvardzie (dyplom z wyróżnieniem), który ostentacyjnie odrzucił dobrze płatne oferty wielkich i sławnych firm, poświęcając pierwsze lata kariery służbie na rzecz ogółu.

Na biurku Wellingtona leżała sterta papierów. Biuro mieściło się nieomalże w suterenie gmachu Departamentu Sprawiedliwości przy szerokiej centralnej alei Waszyngtonu. Z jedyne go okna rozpościerał się widok na parking w cieniu innego gmazyska z epoki Wielkiej Depresji. Pomieszczenie było ciasne, a klimatyzacja nędzna, lecz miało przynajmniej drzwi. Mało kto zauważa, że prawnicy unikają publicznych wystąpień w sądach równie skrupulatnie, jak testów mogących rzeczywiście określić ich inteligencję. Wellington odrzucił szereg ofert firm z Nowego Jorku - najciekawsza z propozycji określała jego pierwszą pensję na sto tysięcy dolarów rocznie - wiedząc, że jego obowiązki polegać będą na korekcie dokumentów. Zamiast stać się pozłacaną sekretarką, która przegląda kontrakty, szukając ewentualnych luk i nieścisłości, Wellington poszedł inną drogą, po to tylko, aby się przekonać, że pierwsze kroki w Departamencie Sprawiedliwości wyglądają dokładnie tak samo. W prawdziwym biurze prokuratora musiałby po omacku dawać sobie radę z prawdziwymi rozprawami przed prawdziwym sądem, lecz tu, w ministerstwie, studiował tylko akta, szukał sprzeczności, wychwytywał niuanse spraw i orzeczenia, które mogły okazać się sprzeczne z prawem.

Wellington czuł się w tej roli jak wydawca poprawiający rękopis niesamowicie zdolnego autora kryminałów. Trudno, pora sporządzić kolejną notatkę.

John Patrick Ryan, zastępca dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej, mianowany na to stanowisko przez prezydenta USA- znów dała o sobie znać polityka - i zatwierdzony przed dwoma laty przez Senat. Przedtem zatrudniony jako p.o. zastępcy dyrektora pionu wywiadu po śmierci wiceadmirała Jamesa Greera. Jeszcze przedtem specjalny asystent Greera i specjalny wysłannik pionu wywiadu w Wielkiej Brytanii. Idąc wstecz, Ryan wykładał historię w Akademii Marynarki Wojennej, pisał doktorat na uniwersytecie Georgetown i pracował jako makler w oddziale firmy giełdowej Merrill Lynch w Baltimore. Krótco służył też jako podporucznik w piechocie morskiej Stanów Zjednoczonych. Kariera może niedługa, ale za to burzliwa, stwierdził Wellington, zwracając uwagę na wszystkie daty.

Majątek osobisty. Wymagany od wszystkich urzędników państwowych kwestionariusz spoczywał na samym wierzchu teczki. Ryan miał się czyni pochwalić. Gdzie zdążył się tyle dorobić? Analiza zabrała prawnikowi kilka godzin, lecz wykazała niezbitcie, że jako makler J. P. Ryan kochał ryzyko. Zainwestował ponad sto tysięcy dolarów w linie kolejowe Chicago i North Western w momencie, gdy ich zarząd przejęli pracownicy, i zgarnął... ponad sześć milionów dolarów. Była to jedyna wielka wygrana J. P. Ryana, czemu trudno się było dziwić, bo przebitcie sześćdziesiąt do jednego nie zdarza się ostatecznie tak często. Inne spośród jego transakcji także zasługiwały na uwagę. Kiedy osobisty majątek przekroczył osiem milionów dolarów, Ryan zwinął żagle i dostał się na Georgetown, gdzie pisał doktorat z historii. Inwestował od czasu do czasu w akcje jako amator - nieładnie, prawda? - dopóki nie wstąpił do służby państwowej. Portfelem akcji Ryana zawiadywali odtąd zawodowi doradcy inwestycyjni, którzy z reguły zaniżają wartość aktywów u klientów... Majątek Ryana przekraczał więc prawdopodobnie dwadzieścia milionów albo i więcej. Ryan zgodnie z umową nie miał dostępu do tych szacunków i otrzymywał tylko co kwartał raport o zyskach od wkładu. Mógł oczywiście znaleźć sposoby, żeby obejść tę zasadę, w dodatku wszystkie co do jednego legalne. Nie można więc było nic dowieść Ryanowi, chyba że po założeniu podsłuchu u jego osobistego maklera, to zaś nie było takie proste.

Komisja Papierów Wartościowych badała transakcję Ryana, owszem, ale tylko przelotnie, bo naprawdę interesowała inspektorów rada nadzorcza firmy, której akcje zakupił zastępca szefa CIA. Końcowy raport informował językiem pełnym biurokratycznych zwrotów i skrótów, że Ryan pod żadnym formalnym względem nie naruszył prawa, wykupując swoje akcje. Wellington zauważył oczywiście, że opinia ta nie opierała się na solidnych dowodach, lecz na domniemaniu. Ryan nie wyraził zgody na złożenie zeznań, czemu trudno się dziwić, a rząd nie naciskał go w tej sprawie. To już trudniej było zrozumieć, choć oczywiście Ryan nie był zasadniczym obiektem śledztwa. Ktoś widocznie zdecydował, że to wszystko przypadek. Jednakże Ryan oddzielił uzyskaną sumę od reszty majątku... Czyżby dżentelmeńska umowa? Wellington skreślił kilka słów w żółtym notatniku. Całkiem możliwe. Gdyby zapytać Ryana, odpowiedziałby, że przeznaczył pieniądze na kształcenie dzieci dręczony winą, że zdobył je w nieuczciwy sposób. Zyski zamienił jednak na obligacje skarbu państwa, więc nie miał do nich dostępu, dopóki fundusz nie zostanie wyczerpany.. Ejże! Ciekawe...

Dlaczego akurat fundusz edukacyjny? Kim jest Carol Zimmer? Skąd zainteresowanie Ryana jej dziećmi? Sprawdzić daty. Trop mógł się okazać ważny.

Wellington jak zwykle nie mógł wyjść z podziwu, że z tak ogromnej góry papieru uzyskał tak niewiele informacji. Bawiła go myśl, że być może na tym właśnie polega działalność rządu: obracać papierami, które są całkowicie wyzute z treści. Wellington roześmiał się w głos. Prawnicy mogli przecież powiedzieć to samo o swoich aktach, jakże inaczej? Przy honorarium wynoszącym dwieście dolarów' za godzinę prawnicy uwielbiali kłócić się o interpunkcję i inne doniosłe sprawy. Ale zaraz. Wellington raz jeszcze przestudiował w myślach materiał. Zdaje się, że przegapił coś bardzo

istotnego.

Nie ulegało wątpliwości, że ekipa prezydenta Fowlera nie cierpi Ryana. Skąd w takim razie jego nominacja na zastępcę dyrektora CIA? Gra polityczna? Nie, względy polityczne powodowały inne nominacje, te dotyczące osób niekompetentnych... Czy Ryan miał jakiegokolwiek powiązania polityczne? Teczka personalna nie wspominała o nich, lecz po dłuższych poszukiwaniach Wellington znalazł list podpisany przez Alana Trenta i Sama Fellowsa z komisji kadr w Izbie Reprezentantów. Zaraz, dlaczego tych dwóch? Pedał w zgodzie z mormonem? Ryana na dodatek zatwierdzono na stanowisko znacznie łatwiej niż Marcusa Cabota, łatwiej nawet niż Bunkera i Talbota, dwie gwiazdy gabinetu prezydenta. Po części było tak pewnie dlatego, że Ryan to postać drugoplanowa, lecz pewne wątpliwości wciąż nie chciały zniknąć. Szybka nominacja, czyli ktoś stoi za Ryanem, i to nie byle kto. Dlaczego? O jakie powiązania chodzi? Trent i Fellows... Do diabła, nie było takiej sprawy, w której Trent miałby takie samo zdanie, jak Fellows!

Wiadomo było na pewno, że Fowler i jego ludzie nie lubią Ryana. Inaczej jak wytłumaczyć fakt, że prokurator generalny osobiście posadził Wellingtona nad tą sprawą? Sprawą? Czy studiowanie akt można nazwać śledztwem? Gdyby chodziło o jakąkolwiek sprawę, zlecono by ją przecież FBI, prawda? Chyba, że polityka dyktowała inaczej. Ryan współpracował z FBI na kilku odcinkach, lecz przecież...

William Connora Shawa, dyrektora Federalnego Biura Śledczego, sławiono jako najuczciwszą osobę w rządzie. Politycznie Shaw to zupełny naiwniak, pomyślał Wellington, lecz z drugiej strony ocieka wręcz pryncypialnością, co w pracy policjanta przydaje się nadzwyczajnie. Tak przynajmniej uważał Kongres, który nosił się nawet z myślą, by w przypadku tej nominacji zrezygnować ze specjalnego przesłuchania kandydata przez prokuratorów, tak nieposzlakowaną opinią cieszył się dyrektor. Dodatkowo przeważała świadomość, że prokuratura zaważyła sprawę tamtej... Nieważne, FBI i tak nie miało pojęcia, o co wtedy szło.

Ryan. Interesująca sprawa, tak na oko. Sprawa, przy której można zdobyć pierwsze ostrogi.

OBRÓBKA

Jack zwał wszystko na coraz krótszy dzień. Nie, to nie on wraca coraz później z pracy. O tej porze roku dni stają się krótsze, gdyż orbita Ziemi wokół Słońca, a z nią oś rotacji, nie są prostopadłe do płaszczyzny... Płaszczyzny ekliptyki? Jakoś tak. Kierowca zatrzymał się przed samymi drzwiami. Jack zmęczonym krokiem wszedł do środka, zastanawiając się, kiedy to, oprócz sobót i niedziel, po raz ostatni widział dom w świetle dnia a nie lamp elektrycznych. Jedyna pociecha, że nie musiał dziś zabrać z pracy żadnych papierów, choć nawet to nie było zupełnie zgodne z prawdą. Nie przywiózł ze sobą służbowych dokumentów, lecz łatwiej mu było pozbyć się papierów z biurka, niż zapomnieć o dręczących myślach.

W domu dobiegły go zwykłe hałasy. W telewizji leciały filmy rysunkowe, pralka łomotała jak zawsze. Trzeba będzie wezwać wreszcie mechanika. Jack wszedł do dużego pokoju na dole, by obwieścić swoje przybycie.

- Tato! - Jack junior przytulił się do niego i natychmiast spojrzał mu błagalnie w oczy. - Tato, obiecałeś, że pójdziemy na mecz baseballowy.

Cholera, faktycznie... Wakacje już się skończyły, do końca sezonu w Baltimore też raptem dwanaście kolejek, trzeba iść. Tylko kiedy, kiedy...? Jak tu się wyrwać obowiązkom? Nowa aparatura szyfrująca, ukochany projekt Ryana, była już w połowie gotowa, choć remont pomieszczeń opóźnił się o tydzień, trzeba pogonić podwykonawcę, jeżeli wszystko ma zagrać na czas...

- Spróbuję, naprawdę spróbuję, mały - obiecał Jack synowi, który był za mały, by zrozumieć, że ojciec może mieć jeszcze inne obowiązki niż obiecana wycieczka na mecz.

- Tato, przecież obiecałeś.

- Pamiętam, że obiecałem!

“Mecz”, zanotował Jack w pamięci. Obiecał gówniarzowi, to trudno.

- Dzieci, do łóżek - ponagliła Cathy. - Jutro szkoła!

Ryan przytulił i ucałował obydwójce malców na dobranoc, lecz oznaki czułości przyprawiły go tylko o nowe wyrzuty sumienia. Przez to wszystko stawał się coraz gorszym ojcem. W kwietniu czy tam w maju Jack Junior miał iść do pierwszej komunii, nie wiadomo tymczasem, czy jego ojciec w ogóle będzie wtedy w kraju. Trzeba już teraz zaplanować ten dzień. Jack powtórzył sobie w duchu, że nawet takie duperele jak obiecany dziecku mecz...

Jak to, duperele?

Boże, co się ze mną dzieje? Do czego doprowadziłem swoje życie?

Popatrzył na dzieci wędrujące do swoich pokoików, po czym sam pomaszerował do kuchni. Późny obiad czekał w piekarniku. Jack postawił talerz na stole śniadaniowym w kącie kuchni i podszedł do lodówki, ostatnio zaczął kupować wino w kartonach. Tak było wygodniej, zresztą zwracał coraz mniej uwagi na smak. Wewnątrz kartonowego pudełka tkwiła torba z mylaru, pełna... australijskiego? Wino jak wino, klasy kalifornijskich odmian przed dwudziestu laty. Silny owocowy posmak maskował inne drobne wady. Na szczęście napitek zawierał alkohol w odpowiedniej ilości, a o to przede wszystkim chodziło Jackowi. Spojrzenie na zegar ścienny uświadomiło mu, że jeśli dobrze pójdzie, uda mu się zmrużyć oko na sześć i pół, może nawet siedem godzin. Żeby zasnąć, Jack potrzebował wina. W pracy wypijał wiadra kawy, nasycając cały organizm kofeiną. Kiedyś potrafił

się zdrzemnąć za biurkiem, lecz dawno się pożegnał z tą umiejętnością. Koło jedenastej rano był już cały nakręcony, a o czwartej po południu słyszał w sobie dziwną melodię zmęczenia i napięcia, która kazała mu pytać samego siebie, czy aby jeszcze nie zwariował. Nic to, dopóki jeszcze jest w stanie zadawać sobie takie pytania...

Jack w kilka minut zmiotł obiad, żałując, że w piekarniku potrawy straciły soczystość. Cathy gotowała dziś sama, zamiast odgrzewać mrożonki. Szkoda, że nie dało się usiąść z rodziną do stołu. Chciał tak zrobić, lecz niestety, i tym razem coś mu wypadło... Kiedy wstał, odnosząc pusty talerz, poczuł w brzuchu lekki skurcz. W drodze do dużego pokoju wydobył z kieszeni marynarki paczkę tabletek na nadkwasotę żołądka. Zgryzł kilka i popił je winem. Przebywał w domu od trzydziestu minut i sięgał właśnie po trzeci kieliszek.

Cathy była chyba na górze, choć na stole, tam gdzie stało zawsze jej krzesło, rozłożyła jakieś papiery. Jack nadstawił ucha i usłyszał z łazienki szum prysznic. Aha. Przełączył telewizor na CNN, żeby złapać najnowsze wiadomości. W czołówce poszła kolejna historia na temat Jerozolimy.

Jack rozwalił się w fotelu, pozwalając sobie na uśmiech zadowolenia. Wszystko grało jak trzeba. Reportaż CNN dotyczył masowego najazdu turystów na Ziemię Świętą. Sklepiarze gromadzili już zapasy, spodziewając się najwyższych gwiazdkowych obrotów za swojej pamięci. Zapytany o zdanie Żyd, który postanowił zostać w Betlejem, stwierdził poważnie, że Jezus był ostatecznie miłym chłopcem z porządnej żydowskiej rodziny. Arabski wspólnik Żyda oprowadzał ekipę filmową po sklepie. Arabski wspólnik? - zdumiał się Jack. Hmm, dlaczego nie?

Uświadomił sobie, że warto było się starać, warto było dopomóc w przemianie. To także dzięki tobie, rzekł w myślach sam do siebie. Naprawiłeś życie masie ludzi, a jeżeli nawet nikt o tym nie wie, nieważne. Wiesz ty i wie o tym Bóg, a to wystarczy.

W cichym przebłytku szczerości Jack uświadomił sobie, że wcale mu to nie wystarczy.

Co z tego, że poskładał swój plan z kilku innych pomysłów? Oryginalnych pomysłów można ze świecą szukać. Tylko za sprawą planu Jacka Jerozolima zmieniła oblicze, tylko dzięki jego kontaktom udało się wciągnąć w tę sprawę Watykan... Zasługiwał więc na pochwałę, czy choćby na jedną wzmiankę, na przypis w podręczniku historii. Zasługiwał, i co z tego?

Parsknął, podnosząc kieliszek do ust. Nie doczeka się uznania, nie ma szans. Liz Elliot, ta cwana szmata, rozpowiedziała na prawo i lewo, że za pomysłem od początku stał Charlie Alden. Gdyby Jack sam próbował rozgłaszać inną wersję, wyszedłby na świnię, która chce wydrzeć zasługę nieboszczykowi, z którego był w dodatku fajny facet, niezależnie od nieszczęsnej afery z tą całą Blum. Głowa do góry, chłopie, powtórzył sobie Ryan. Ciesz się, że żyjesz. Masz rodzinę, masz żonę, dzieci.

Jakkolwiek jednak na to nie patrzeć, spotkała go niesprawiedliwość. I co z tego? Gdzie jest napisane, że w życiu wszystko ma być sprawiedliwie? Zaczynam myśleć tak samo, jak oni, uświadomił sobie Jack, dla którego "oni" oznaczali przede wszystkim Liz Elliot i inne zachłanne, małostkowe kreaturki, których dobre mniemanie o sobie pozostawało w odwrotnej proporcji do siły charakteru. Jack nieraz zastanawiał się i niepokoił, myśląc o zepsuciu, jakie niesie władza. Dlatego wystrzegał się bezpośrednich działań, wiążących się z decyzją, że cel uświęca środki i jest na tyle ważny, że w porównaniu z nim nie mają znaczenia takie sprawy, jak życie ludzkie, co dopiero mówić o życiu wroga. Jack nigdy nie zapominał o tej przestrodze - a nawet gdyby chciał, i tak nie potrafiłby o niej zapomnieć. Dobijały go jednak i gryzły pomniejsze troski. Na własnych oczach zmieniał się w aparatczyka, który myśli tylko o liście swoich zasług, wpływach i miejscu w hierarchii.

Przymknął oczy i raz jeszcze powtórzył w myślach, że ma się czym cieszyć - żoną, dwójką dzieci, niezależnością finansową, sukcesami, których nikt mu nie odbierze... Robisz się taki sam jak

oni.

Raz i drugi Ryan musiał walczyć w obronie rodziny. Nawet zabijać. Mogło się to nie podobać Liz Elliot, lecz w chwilach takich jak ta Jack z ponurym uśmiechem przypominał sobie, jak niecałe dwieście metrów od domu, w którym siedział, na zimno i z rozmysłem władował trzy kolejne pociski w pierś terrorysty, udowadniając, że nie zapomniał, czego uczono go w szkole marines w Quantico. Nieistotne, że serce waliło mu przy tym jak opętane, że prawie złał się w spodnie i że musiał potem przełykać w gardle wymioty. Zrobił to, co musiał i tylko dzięki temu jego żona i dzieci wciąż mogły się cieszyć życiem. Dowiódł swej męskości na wszelkie sposoby: zdobył i poślubił wspaniałą dziewczynę, stał się ojcem cudownej dwójki szkrabów, odważnie i pewnie obronił rodzinę, kiedy zaszła taka potrzeba. Ilekroć los stawiał go wobec wyzwania, Jack podnosił rękawicę i robił, co mógł, by zwyciężyć.

No, więc właśnie, uśmiechnął się do telewizora. Pierdolić Liz Elliot. Ta myśl rozbawiła go jeszcze bardziej. Jack nie umiał sobie wyobrazić, kto mógłby mieć ochotę na taki wyczyn. Zimna, wyrachowana, sucha wydra, arogancka, pewna siebie i... jeszcze jaka? Jack przez chwilę próbował uchwycić nową myśl. Jaka jeszcze? Słaba, oczywiście. Słaba i bojaźliwa. Elliot mogła udawać twardą i wyszczebaną, ale co kryło się za tymi pozorami? Prawdopodobnie nie za wiele. Ryan znał już ten typ doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego. Ot, choćby Cutter, który nawarzył piwa i nie chciał go wypić. Liz Elliot. Kto miałby ochotę na to, żeby przelecieć Liz Elliot? Ani mądra, ani na tyle ładna, żeby wynagrodziło to inne braki. Prezydent ma szczęście, że może się jeszcze oprzeć na Bunkerze i Talbocie.

Jesteś od nich lepszy, uświadomił sobie Jack. Uczcił tę myśl, dopijając i kieliszka resztę wina. Warto by chyba nalać sobie następny. Nawet nieźle winko, kto by pomyślał. Kiedy wrócił z kuchni, przy stole, w ulubionym fotelu z wysokim oparciem, siedziała już Cathy i przeglądała wywiady z pacjentami.

- Nalać ci wina, kochanie?

- Dziękuję. - Doktor Caroline Ryan potrząsnęła głową. - Mam jutro dwie operacje.

Jack usiadł na swoim fotelu, prawie nie patrząc na żonę. Kątem oka uchwycił jednak jej sylwetkę.

- Brawo!

Cathy posłała mu uśmiech, podnosząc głowę znad papierów. Miała na twarzy świetny makijaż. Jack zastanawiał się jakim cudem udało jej się nie zburzyć fryzury pod prysznicem.

- Gdzie to wypatrzyłaś?

- Znalazłam w katalogu wysyłkowym.

- Prędkiej już w Playboyu!

Caroline Muller Ryan, doktor nauk medycznych i członek Amerykańskiego Stowarzyszenia Chirurgów, miała na sobie czarny peniuar, który w mistrzowski sposób jak najwięcej zasłaniał i zarazem odsłaniał. Jack nie wiedział, jakim cudem tkanina trzyma się na ciele. Pod spodem dotknął innego materiału, jedwabistego i... bardzo miłego. Tylko ten dziwny kolor... Cathy wołała przecież białe nocne koszule? Jack po dziś dzień pamiętał jej cudowną białą koszulkę z nocy poślubnej. Nie chodziło oczywiście o udawanie dziewictwa, lecz tak czy inaczej biały jedwab czyni z każdej kobiety... Jack zachował tamto wspomnienie na wieczną pamiątkę. Cathy włożyła białą koszulkę jeden jedyny raz, bo - jak powtarzała - jak suknię ślubną, podobne rzeczy nosiło się tylko przez jedną noc. Jack po raz kolejny zdumiał się, jakim cudem zdobył tak wspaniałą dziewczynę.

- Czemu zawdzięczam ten honor? - zapytał.

- Wiesz, zastanawiałam się trochę.

- I co?

- Mały Jack ma już siedem lat. Sally dziesięć. Co powiesz na następne?

- Na co następne? - Jack odstawił kieliszek.

- Następne dziecko, durniu!

- Skąd ten pomysł? - zdumiał się mąż.

- Bo tak mi się podoba, bo chcę. Nie wiedziałam, że się tak przestraszysz - dodała Cathy z łagodnym uśmiechem. - Trudno, musisz się przyłożyć.

- Dam sobie jakoś radę.

- Muszę jutro wstać o wpół do piątej - ciągnęła Cathy. - Pierwsza operacja ma się zacząć przed siódmą.

- A więc?

- A więc - Cathy wstała, podeszła do męża i pocałowała go w policzek - czekam na górze.

Ryan przez minutę siedział bez ruchu, pospiesznie dopijając wino. Wyłączył telewizor i uśmiechnął się pod nosem. Sprawdził jeszcze, czy zamknął wszystkie drzwi, po czym włączył system alarmowy. Przystanął jeszcze w łazience, by wymyć zęby. Ukradkiem zajrzał do szuflady toaletki i odkrył tam termometr oraz kartkę z datami i zapisem temperatury.

Cathy nie żartowała. Po swojemu, z góry przemyślała sobie wszystko, nim wystąpiła z propozycją. Świetnie, jeśli chce... Świetnie.

W sypialni Jack odwiesił garnitur, włożył szlafrok, i dopiero wtedy położył się obok żony. Cathy objęła go za szyję i pocałowała.

- Jesteś pewna, że chcesz?

- A ty nie chcesz?

- Cathy, przecież wiesz, że dla ciebie zrobię wszystko. Wszystko, co zechcesz.

Tak? To przestań pić, pomyślała Cathy, lecz wolała nie wszczynać teraz rozmowy na ten temat. Poczula przez wiotki materiał dotyk Jacka. Miał takie mocne i tak delikatne dłonie, kiedy gładził ją przez jedwab. Stroik, który miała na sobie, zatrącał szmirą i burdelem, lecz każda kobieta ma prawo od czasu do czasu zmienić rolę, nawet profesor chirurgii ocznej z Instytutu Okulistyki imienia Wilmera na uniwersytecie Johna Hopkinsa. Usta Jacka smakowały pastą do zębów i tanim białym winem, lecz poza tym pachniał jak mężczyzna, jak człowiek, który zmienił jej życie w marzenie. No, prawie. Za ciężko ostatnio pracował, za dużo pił, za mało sypiał, lecz wciąż pozostał jej mężczyzną. Choć miał swoje słabości i wciąż znikał z domu, trudno było o lepszego.

Kiedy Jack dotknął wreszcie guzików, Cathy zamruczała, dając mu znak przyzwolenia. Jack zrozumiał, lecz palce odmawiały mu posłuszeństwa. Guziczki peniaru były małe i więzły w tych cholernych dziurkach, lecz z fakt, iż broniły dostępu do piersi Cathy, sprawiał, że Jack nie ustawał w zmaganiach. Cathy odetchnęła głęboko, wdychając zapach aromatycznego pudru. Nie używała perfum z zasady, przekonana, że w łóżku wystarczy kobiecie naturalny aromat. Nareszcie. Ręce Jacka dotknęły jej nagiej, gładkiej, wciąż jeszcze młodej skóry. Trzydzieści sześć lat to niewiele, w sam raz, by pomyśleć o następnym dziecku. Cathy pragnęła jeszcze raz, ostatni raz poczuć, jak dojrzewa w niej nowe życie. Nie przeszkadzały jej mdłości, skurczony pęcherz i inne dolegliwości ciąży, które stanowiły jedynie tło dla niewysłowionego cudu poczęcia. Bóle porodowe - nie, nie były żartem, lecz gdyby Jack znów asystował u jej boku, jak przy narodzinach Sally i małego Jacka, Cathy zgodziłaby się bez wahania. Czuwanie przy porodzie żony uważała za największy dowód mężowskiej miłości. Być kobietą oznaczało dla Cathy obdarzać świat życiem, przyjmować w darze jedyną nieśmiertelność, jaką dano ludziom - i jaką dawał jej Jack.

A poza tym, pomyślała Cathy, tłumiąc śmiech, łóżko było znacznie lepszą okazją do gimnastyki

niż biegi na średnie dystanse.

Jack uporał się wreszcie ze zdejmowaniem peniuaru i przycisnął żonę do prześcieradła. Znal się na tym, co robił, od zawsze, ośmielił Cathy już za pierwszym razem. Zdenerwowana dziewczyna już wtedy wiedziała, że Jack poprosi ją o rękę - lecz najpierw spróbuje innych części jej ciała. Śmiech z przeszłości i z terażniejszości splótł się w jedną wesołość, która trwała w Cathy, gdy Jack przesuwiał dłońmi po jej ni to rozpalonej, ni to chłodnej skórze. Kiedy wówczas, dawno temu, Jack zdobył się na odwagę, by zadać wreszcie pytanie, Cathy ujrzała w jego oczach lęk, przerażenie, że może go spotkać odmowa, choć przecież to ona obawiała się bardziej - ba, płakała przez tydzień - w przekonaniu, że Jack nie zechce jej poprosić, rozmyśli się, znajdzie sobie kogoś innego. Cathy wiedziała, że chce właśnie jego, długo przedtem, zanim poszli pierwszy raz do łóżka. Chciała Jacka, i tylko jego. Z nim chciała spędzić życie, jemu urodzić dzieci, jego kochać aż do śmierci albo i dłużej, jeżeli księża mówili prawdę. Nie chodziło o jego posturę ani o siłę, ani nawet o odwagę, którą wykazał się dwukrotnie na jej oczach - i wiele razy, jak przypuszczała, kiedy żona była daleko. Cathy zniewoliła przede wszystkim dobroć Jacka, jego siła i delikatność, którą wyczuwały jedynie osoby subtelniejsze. Pod wieloma względami Jack wydawał się jej nadzwyczajny, pod wieloma zaś zupełnie zwyczajny, lecz był mężczyzną, ze wszystkimi męskimi zaletami i kilkoma wadami...

Dziś miał jej dać trzecie dziecko. Zwykle umiała dokładnie przewidzieć swoje dni płodne, a ostatnio dopomagała sobie jeszcze termometrem. Wiedziała, oczywiście, że nie ma gwarancji, jedynie statystyczną szansę poczęcia, w jej przypadku szansę całkiem sporą. Skarciła się za kliniczną obiektywność. Nie pora na takie rachunki, nie teraz, nie przy Jacku.

Poczuła, że parzy ją skóra. Jack był naprawdę taki świetny! W jego pocałunkach czuło się zarazem namiętność i delikatność, jego ręce nieomylnie trafiały tam, gdzie chciała. Burzył jej teraz fryzurę, lecz nie było się czym przejmować: czepki chirurgiczne zmieniały trwałą ondulację w marnowanie czasu i pieniędzy. Przez woń pachnącego pudru zaczął teraz przebijać aromat kobiety, która jest prawie gotowa do kochania. Cathy zwykle aktywniej włączała się do pieszczot, lecz dziś pozwalała, by mąż całkowicie przejął inicjatywę i sam szukał na jej ciele miejsc... ciekawych miejsc. Jack lubił czasem taki układ ról, choć nie sprzeciwiał się wcale, gdy inicjatywę przejmowała żona. Wykazywał też dużą fantazję w łózkowych sytuacjach. Podniecenie ogarnęło ją niespodziewanie i Cathy po prostu wyprężyła plecy i krzyknęła. Nie powiedziała nic, bo nie widziała powodu. Byli zresztą razem od tak dawna, że rozpoznawała wszystkie sygnały męża. Pocałowała go teraz, mocno i zachłannie, wbijając mu paznokcie w ramię. Sygnał ten oznaczał oczywiście: - Już!

Nic się jednak nie stało.

Cathy pocałowała dłoń Jacka i popchnęła ją niżej, by nie pozostawić wątpliwości, że jest gotowa.

Jack był dziwnie odrętwiały, jak gdyby się wstydził. Jej wina, niepotrzebnie go tak poganiała. Najpierw pozwoliła mu robić co chce, a teraz zmieniła rolę... Cathy podniosła więc dłoń męża z powrotem ku piersiom i nie rozczarowała się. Zwracała teraz baczną uwagę na każde jego poruszenie, a przynajmniej próbowała. Umiał ją podniecić równie umiejętnie jak dawniej. Znów westchnęła głośno, pocałowała go, szepnęła, że on, tylko on, że na nim kończy się świat... Jack jednak nadal leżał dziwnie skurczony i napięty. O co chodzi?

Objęła go jeszcze raz, pogładziła po klatce piersiowej, targnęła żartobliwie za czarne włosy. Zawsze bezbłędnie reagował na ten gest... Zwłaszcza jeśli ręce Cathy schodziły potem jeszcze niżej, tam gdzie...

Co?!

- Jack, co z tobą jest? - zapytała wreszcie. Nim odpowiedział, upłynęła cała wieczność.

- Nie wiem. - Jack przetoczył się na bok, zostawiając Cathy samą, i wbił oczy w sufit.

- Zmęczony jesteś?

- Tak, to pewnie dlatego - wymamrotał. - Przepraszam, kochanie. Jak on mógł! Zanim Cathy zdążyła coś powiedzieć, Jack zamknął oczy. Wszystko dlatego, że tyle pracuje. I tyle pije. Ale jak mógł! Dziś miał być jej dzień, jej chwila...

Nie bądź samolubem - powiedziała sobie Cathy.

Wstała z łóżka, podniosła z podłogi przezroczysty peniuar i odwiesiła go starannie do szafy, skąd wyjęła zwyczajną nocną koszulę.

Człowiek nie jest maszyną, pomyślała w łazience. Jack jest taki przemęczony. Cholera, za dużo pracuje. Każdemu może się trafić zły dzień. Czasem to on namawia, i nic, więc się nie wściekaj, chociaż to nie twoja wina, ani jego. Masz cudowne małżeństwo, ale nie pod każdym względem. Jack to najlepszy mąż na świecie, co nie znaczy, że doskonały.

Dobrze, ale ja chciałam...

Chciałam nowego dziecka, dziś, bo właśnie dziś jest pora!

Cathy poczuła w oczach łzy rozczarowania. Wiedziała, że gniewa się niesłusznie, lecz i tak czuła rozczarowanie. I gniew.

- Nieee, komandorze, nie będę oskubywał naszej marynarki!

- Wsiadaj, wsiadaj, Ron. Myślisz, że starego kolegę z okrętu zostawię w taksówce?

- Tak pomyślałem, owszem.

Mancuso prychnął tylko. Kierowca umieścił bagaże w sztabowym plymousie Marynarki Wojennej. Mancuso i Ron Jones usadowili się na tylnym siedzeniu.

- Jak tam rodzina?

- Pysznie, komandorze, dziękuję...

- Teraz możesz mi już mówić Bart, doktorze Jones. A w ogóle, to nie komandorze, zatwierdzili mi już admirała.

- Ho, ho! - ucieszył się Ron Jones. - Proszę, proszę. Bart? Świetnie. Tylko nie nazywaj mnie Indiana. Powiadasz, rodzina? Kim wróciła na uniwersytet, robi doktorat. Dzieciaki w szkole, czy tam przedszkolu, a ja bawię się w biznes.

- Prywatny przedsiębiorca, zdaje się, za tak się to nazywa? - sprostował Mancuso.

- Prywatny czy siaki. Zgoda, wykupiłem większość akcji jednej takiej firmy, ale sam siadam jeszcze do projektów, bez obawy. Kupiłem takiego gościa, żeby się za mnie babrał w księgowości, a sam odwalam uczciwą robotę. W zeszłym miesiącu miałem inspekcję na USS "Tennessee", sprawdzałem, jak działa ten ich nowy system... - Jones podniósł wzrok na kierowcę. - Mogę spokojnie mówić?

- Bosman Vincent ma dostęp do jeszcze bardziej tajnych spraw niż ta. Prawda, Vincent?

- Tak jest. Admirał ma zawsze rację - odpowiedział kierowca, skręcając w kierunku Bangor.

- Będziesz miał kłopot, Bart.

- Coś poważnego? - Coś, czego jeszcze nie było, kapitanie - odezwał się Jones, przypominając tą rangą czasy, gdy dokonał z Mancusem ciekawych rzeczy na pokładzie USS "Dallas". - Zdziwisz się, jak zobaczysz.

Mancuso trafnie odczytał wyraz oczu Jonesa, więc prędko zmienił temat.

- Nie masz czasem zdjęć swoich dzieciaków?

- Jasne, że mam. Jak twoi? Mike i Dominic?

- Hmm, Mikę przymierza się do Akademii Lotnictwa.

- Powiedz mi, że od nadmiaru tlenu gnije mózg.

- Dominie chciałby zdawać na CalTech.

- Serio? Daj znać, może coś się da zrobić.

Resztę podróży wypełniły nieważne pogaduszki. Dopiero kiedy Mancuso wtoczył się do swojego gabinetu i zamówiwszy kawę zamknął za Jonesem dźwiękoszczelne drzwi, padło pytanie:

- Co się takiego stało, Ron?

Jones po króciutkim wahaniu oznajmił:

- Wydaje mi się, że ktoś śledził "Maine".

- Śledził okręt klasy Ohio? Co ty wygadujesz?

- Czy "Maine" jest jeszcze w porcie?

- Właśnie wychodzi w rejs, jeśli już o to pytasz, z "niebieską" zmianą załogi. Za cieśniną ma rendez vous z jednym z naszych 688, sprawdzą, czy nie robią za dużo hałasu i - na patrol.

Z Jonesem Mancuso mógł śmiało rozmawiać prawie o wszystkim. Firma Rona pracowała nad sonarami dla całej floty podwodnej i niszczycieli okrętów podwodnych. Jones miał więc siłą rzeczy dostęp do mnóstwa tajnych informacji.

- Czy ktoś ze "złotej" załogi tkwi jeszcze w bazie?

- Dowódca jest już na wakacjach. Jest za to pierwszy oficer, Szkot Claggett. Znasz?

- To nie on służył na "Norfolku"? Murzyn, zgadza się?

- Właśnie.

- Słyszałem o nim trochę dobrych rzeczy. Na egzaminach kwalifikacyjnych pięknie podszedł grupę uderzeniową z lotniskowcem. Siedziałem na pokładzie P-3, kiedy im przysolił w środek dupy.

- Dobrze słyszałeś, chłopaka czeka kariera. Za rok o tej porze dostanie już swój okręt.

- Kto jest jego "starym"?

- Harry Ricks. O nim też słyszałeś?

Jones wbił wzrok w podłogę i mruknął zmieszany:

- Mam nowego pracownika, pływał z Ricksem jako kucharz okrętowy. Ten Ricks to rzeczywiście taka szuja?

- Ricks to doskonały inżynier - odparł Mancuso. - Nie żartuję. Jeśli chodzi o maszynierię, to prawdziwy geniusz.

- Dobra, dobra, szefie. Wiem, że sam też jesteś niezły. Pytam, czy Ricks potrafi powozić.

- Może kawy, Ron? - zatroszczył się nagle Mancuso.

- Warto by poprosić do nas tego Claggetta - odezwał się Jones, nalewając sobie filiżankę. - Od kiedy zrobił się z ciebie taki dyplomata?

- Dowódca musi dbać o takie sprawy, Ron. Dlatego nigdy nie rozповідаłem naokoło, jakie wariactwa wyprawiałeś na "Dallas".

- Dobra, już się odczepiam - roześmiał się Jones. - Nieważne. Mam tu - w aktówce pełną analizę zapisów hydrolokatora. Muszę sprawdzić wszystkie zmiany kursu, głębokości i co tam jeszcze. Jestem prawie pewien, że ktoś włókł się za naszym "Maine". Poważnie, Bart, nie wstawiałbym ci przecież...

Mancuso chwycił już za słuchawkę.

- Proszę natychmiast znaleźć komandora podporucznika Claggetta. Niech się zaraz u mnie melduje. Wykonać. Ron, jesteś zupełnie pewien...

- Sam siedziałem nad tymi zapisami. Fakt, że jeden z moich pracowników przeglądał całość i pierwszy coś zwęszył. Pięćdziesiąt godzin siedziałem nad danymi, próbowałem coś z nich wycisnąć. Jedna szansa na trzy, albo więcej, że ktoś płynął za "Maine".

- Trudno mi w to uwierzyć - Bart Mancuso odstawił filiżankę.

- Wiem. Tym trudniej mi będzie przeanalizować wszystko jak trzeba. Wiem, że to niewiarygodna sprawa.

W marynarce wojennej USA panowała niezłomna wiara, że żaden z okrętów podwodnych z raketami strategicznymi nie był jeszcze nigdy, przenigdy śledzony podczas patrolu bojowego. I tutaj jednak od artykułów wiary zdarzały się wyjątki.

Lokalizację amerykańskich baz okrętów podwodnych znał każdy, nawet roznosiciele paczek, dla których nie było tajemnicą, komu doręczają przesyłki. Próbując ograniczyć wydatki, marynarka wojenna zatrudniała strażników-cywilów (przezywanych "najemnymi mordercami") do ochrony terenu baz. Żołnierze z piechoty morskiej pilnowali jedynie miejsc, gdzie składowano atomówki. Po ich obecności można było bezbłędnie poznać, że tu właśnie mieści się skład broni atomowej. Nazywano ten proceder środkiem zapobiegawczym. Okręty do wystrzeliwania raket międzykontynentalnych dawały się z łatwością odróżnić od mniejszych podwodnych jednostek patrolowych. W rejestrze floty można było znaleźć nazwy wszystkich okrętów, a marynarze mieli na czapkach wstążki z nazwą i numerem taktycznym swojej jednostki. Ponieważ wszystkie te szczegóły były powszechnie znane, Rosjanie wiedzieli, gdzie rozlokować swoje okręty podwodne, których zadaniem było wytropić wychodzące w morze amerykańskie boomery.

Z początku radziecka obecność nikogo nie martwiła. Pierwsza generacja sowieckich niszczycieli podwodnych wyposażona była w hydrolokator zwany pieszczotliwie "Helen Keller", gdyż wyposażone w niego okręty były ślepe i głuchonieme. Na dokładkę pierwsze radzieckie okręty atomowe hałasowały gorzej od samochodów bez tłumika. Wszystko to zmieniło się wraz z wprowadzeniem przez Moskwę do służby okrętów typu Victor-III (jak nazwano tę serię w Ameryce), które niskim poziomem emitowanego hałasu dorównywały amerykańskiemu okrętom typu 594 i doganiały je powoli, jeśli chodzi o parametry urządzeń hydrolokacyjnych. Victories-III pojawiały się co jakiś czas opodal cieśniny Juan de Fuca i w innych ważnych punktach i czekały, aż amerykański boomer wyjdzie w morze. Kiedy ofiara opuszczała ciasny zwykle awanport, Rosjanie uczepiali się jej i nie puszczali, a w dodatku lubili włączać aktywną echosondę, której dźwięk doprowadzał amerykańskie załogi do szału. Wkrótce boomery zaczęły wychodzić w morze pod eskortą podwodnych niszczycieli, mających odstraszyć radzieckich intruzów. Udało się to przez zmylenie hydroakustyków przeciwnika, którym zaczynały się mnożyć namiary lub nawet przez zepchnięcie radzieckich okrętów z kursu. Zamiast "taranowanie" mówiono o tym "wypychanie", odejmując manewrowi dawny romantyzm. Wiadomo było jednak niezbitie, że Rosjanie potrafili znaleźć amerykańskie okręty jedynie na płytkich wodach, w pobliżu znanych baz i wyłącznie na krótki czas. Kiedy tylko okręt wychodził na wody oceaniczne, dawał całą naprzód i pędził przed siebie, poza zasięg sonaru przeciwnika, zmieniał kurs i wyciszał maszyny. Ilekroć tak uczyniono, kontakt urywał się jak ucięty nożem. Okręty radzieckie gubiły trop i z myśliwego same stawały się zwierzyną. Nawet na okrętach, które służą jako podwodne wyrzutnie raket, załoga przedziału torpedowego jest świetnie wyszkolona, a bardziej agresywni kapitanowie wszystkie cztery gotowe do strzału torpedy nastawiali na szum oślepionych, poruszających się po omacku podwodnych okrętów radzieckich.

Można było śmiało stwierdzić, że na terenie sektorów patrolowych amerykańskie okręty strategiczne nie miały przeciwnika. Kiedy wysyłano ich tropem okręty patrolowe, trzeba było tylko uważać na zmiany głębokości - podobnie jak w przypadku samolotów pasażerskich - aby niechcący nie staranować "myśliwych". Nawet jednostkom amerykańskim, w tym nowoczesnym niszczycielom podwodnym typu 688-Los Angeles, rzadko udawało się odnaleźć w głębinie swoje boomery, a już liczbę wytropionych w ten sposób okrętów typu Ohio można było policzyć na palcach jednej ręki.

Niemal za każdym razem wynikało to z kardynalnego błędu kapitana tropionego okrętu, z tych, za które dostaje się “dwóję do dziennika”, a nawet i wtedy sztuka udawała się tylko najlepszym załogom okrętów patrolowych. W dodatku dzięki namiernikom ścigani doskonale wiedzieli, że ktoś idzie ich śladem. “Omaha” dowodził na przykład jeden z najlepszych kapitanów we Flocie Pacyfiku, lecz nawet on nie odnalazł “Maine”, mimo dokładnych informacji o pozycji ukrytego okrętu - informacji lepszych niż dane w dyspozycji radzieckiego sztabu floty.

- Dzień dobry, melduję się - oznajmił od drzwi Szkot Claggett. - Akurat byłem na dole, w kadrach.

- Komandorze, to jest doktor Jones.

- Ten sam Jones, którym się pan tak chwalił? - Claggett uściśnił dłoń cywila.

- Wszystko plotki i ludzkie gadanie - sprostował Jones. Claggett zmartwiał, kiedy zorientował się w nastroju gospodarza.

- Ktoś umarł czy co?

- Usiądźmy - zaproponował Mancuso. - Ron uważa, że ktoś płynął za wami podczas ostatniego patrolu.

- Gówno prawda - oświadczył na to Claggett. - Za przeproszeniem.

- Bardzo pan pewny swego - odezwał się Jones.

- “Maine” to najlepszy okręt podwodny we flocie, doktorze. Jesteśmy jak czarna dziura. Zamiast emitować dźwięki, wsysamy je w siebie.

- Widzę, że czytał pan broszurkę reklamową, komandorze. Lepiej porozmawiajmy konkretnie, co? - Jones otworzył aktówkę i wydobyl grubą zszywkę wydruków z komputera. - Zapisy z półmetka waszego ostatniego patrolu.

- A, owszem, kiedy ustawiliśmy się zaraz za “Omaha”.

- Co mnie obchodzi “Omaha”, “Omahę” mieliście przed dziobem... - mruknął Jones, szukając właściwej strony wydruku.

- Dalej nie wierzę, ale chętnie spojrzę, co pan tam ma.

Wydruki przedstawiały obraz na obu “wodospadach”, czyli ekranach ukazujących graficznie dźwięki wyłapane przez hydrolokator. Na kartkach zaznaczona była godzina i położenie względem bieguny magnetycznego. Na osobnym diagramie widniały dane o otoczeniu, głównie temperaturze wody.

- Mieliście naokoło pełno ech - Jones wskazał na swoje notatki, wzdłuż wykresu. - Czternaście trawlerów rybackich, pół tuzina frachtowców z dużym zanurzeniem, tu widzę jeszcze plectwale, które się wybrały na kryla... Nie dziwię się, że sonarzyści mogli coś przegapić. Warstwa styku też była zresztą paskudna.

- Wszystko prawda - zgodził się ostrożnie Claggett.

- A to co za dziwo? - Jones wskazał nagły wykwit na wydruku.

- Ciągnęliśmy się za “Omahą”, kapitan chciał nastraszyć tamtych i walnął im z pustej wyrzutni.

- Bez kitu? - zdziwił się Jones. - To by wyjaśniało ich reakcję. Zmienili gacie na czyste i ruszyli na północ. Mnie nigdy byście tak nie przyskrzynili, tak między nami.

- Na pewno?

- Na sto procent - uciał Jones. - Kto jak kto, ale ja zawsze pilnowałem, czy ktoś mi nie siedzi na tyłku. Pływałem na “Dallas”. Mogę się pochwalić, Bart, czy to tajemnica? “Maine” też można wytropić. Każdego da się wytropić. Trzeba tylko umieć. A popatrzmy tutaj...

Wydruk z komputera wyglądał jak kakofonia kropek, które ukazywały przeważnie szum i wyglądały jak tropy kolumny mrówek, która godzinami wędrowała wzdłuż kartek. Ponieważ hałas

był zjawiskiem losowym, kropki układały się nierówno, raz gęściej, raz rzadziej, jak gdyby mrówki omijały pewne miejsca i obsiadały inne, by zaraz ruszyć w dalszą drogę.

- Popatrzcie na echo z tego kierunku - wskazał Jones. - Ta sama sekwencja powtarza się osiem razy, ilekroć cienieje warstwa wód powierzchniowych.

- Mówi pan, osiem razy? - Komandor podporucznik Claggett zmarszczył czoło. - Te dwa echa mogą odczytać jako odbicia trawlerów albo dalekie kontakty z granic strefy konwergencji.

Claggett przerzucił kolejne strony. Jones musiał przyznać, że Szkot zna się na hydrolokacji.

- Dla mnie to żaden dowód.

- I dlatego nie udało się wam tego wyłapać, ani w rejsie, ani tu, w bazie. No, i właśnie dlatego dostałem kontrakt, żeby sprawdzać, co przywozicie - dodał Jones. - Kto jeszcze był wtedy w morzu?

- Komandorze? - zwrócił się Claggett do Mancuso. Odpowiedzią było skinienie głowy. - Kręcił się tam ruski, okuła. Ludzie z P-3 zgubili go na południe od wyspy Kodiak, mógł krążyć w promieniu może sześciuset mil od nas. Ale to jeszcze nie znaczy, że nas zwęszył. - Która akuła?

- "Admirał Łunin" - odpowiedział Claggett.

- Komandor Dubinin? - zapytał znów Jones.

- Boże, naprawdę masz dostęp do tych spraw - zdziwił się Mancuso. - Podobno bardzo dobry dowódca.

- Chętnie uwierzę, mamy z nim zresztą wspólnego znajomego. Czy komandor Claggett ma upoważnienie do tych danych?

- Nie. Przepraszam, Szkot, ale tu akurat musimy jak kamień w studnię.

- Powinien się dowiedzieć - upierał się Jones. - Za bardzo się pieprzycie z tajemnicami, Bart.

- Przepisy to przepisy.

- No, jasne. Nieważne, lepiej popatrzcie na to. Tu już się mocno zdziwiłem. Ostatnia strona. - Ron przerzucił kartki, docierając na sam koniec wydruku. - Wychodziliście na peryskopową.

- Tak, ćwiczenia rakietowe.

- Więc nie obyło się bez trzasków kadłuba.

- Poszliśmy w górę szybko. Ten kadłub jest ze stali, a nie z gumy do majtek - rzekł Claggett z pewnym rozdrażnieniem. - I co dalej?

- Dalej, wasz kadłub wyszedł nad warstwę styku wód szybciej niż ogon. Wasza pława została jeszcze chwilę pod warstwą i wyłapała o, to.

Między Claggettem i Mancuso zapadło całkowite milczenie. Mieli przed sobą postrzępioną pionową linię, oznaczającą częstotliwość dźwięku. Częstotliwość właściwą radzieckim okrętom podwodnym. Nie był to, oczywiście, stuprocentowy dowód na to, co mówił Jones, lecz trudno było nie zauważyć, iż echo dobiegało prosto zza rufy "Maine".

- Powiem wam, że gdybym był hazardzistą, którym oczywiście nie jestem, postawiłbym dwa do jednego, że kiedy szliście warstwą głębinową, ktoś ciągnął się za wami tuż ponad nią, zwieszając tylko pod spód swoją pławę hydrolokacyjną. Ten ktoś złapał namiar kadłuba, zorientował się, że wychodzicie w górę i natychmiast zanurkował pod spód. Zręczna sztuczka, ale ponieważ szliście ostro w górę, wasza pława także została na chwilę pod warstwą - i wyłapała to, co widzicie.

- Ale potem zupełna cisza.

- Jak w grobie - przyznał Jones. - Echo nigdy się nie powtórzyło. Do samego końca taśmy nic oprócz szumu tła i rozpoznanych kontaktów.

- Trochę cienkie te dowody, Ron - rzekł Mancuso, wstając by rozprostować kark.

- Wiem. Dlatego wsiałem w samolot. Gdybym napisał, nawet byście na to nie spojrzeli.

- Wiesz o rosyjskich namiernikach coś, czego my nie wiemy?

- Nie... Tyle, że są coraz lepsze, prawie takie, jak nasze były dziesięć czy dwanaście lat temu. Sprzęt szerokozakresowy interesuje ich bardziej niż nas, chociaż to się już zmienia. Namówiłem tych z Pentagonu, żeby sobie jeszcze raz obejrżeli ten szerokozakresowy namiernik z Texas Instruments. Aha, komandorze, powiedział pan coś o czarnej dziurze. Zasada jest ważna w obie strony. Czarnej dziury nie da się zobaczyć, ale można ją wykryć. Na przykład można wytropić Ohio szukając tego, czego nie ma?

- Nie ma szumu tła?

- A jak! - przytaknął Jones. - Ohio robi w tle dźwiękowym dziurę akustyczną, czarną plamkę w miejscu, z którego przestaje dobiegać szum. Jeżeli raz złapać namiar, nawet na ruskim sprzęcie, byleby miał dobre filtry, żeby odcedzić resztę szumów, i jeśli jeszcze posadzić do ekranu prawdziwego asa, można wytropić ten pański "Maine", o ile tylko na początku pomoże przypadek.

- Nadal nie bardzo wierzę. Jones był w stanie to zrozumieć.

- Ale proszę mi nie mówić, że to niemożliwe. Przewaliłem to wszystko przez komputer. Szansa niewielka, ale zawsze jakaś jest. Proszę pamiętać, że umiemy dziś namierzać poniżej poziomu tła. Kto nam zaręczy, że Rosjanie tego nie potrafią? Słyszałem, że opracowali nowy hydrolokator, holowany, z szerokim prześwitem, dzieło tych facetów spod Murmańska. Sprzęt klasy naszych starych BQR-15.

- Za nic ci nie uwierzę - wtrącił się Mancuso.

- A jednak, Bart. Zresztą tym razem nie zadecydował sprzęt. Wiemy coś więcej o "Łuninie"?

- Poszedł do suchego doku, remont. Zobaczmy zresztą - Mancuso spojrział na wielką mapę morską na przeciwległej ścianie gabinetu. - Jeżeli to naprawdę był on, i jeżeli wziął kurs prosto do bazy... technicznie całkiem możliwe, chociaż mamy same gołe domysły.

- Właśnie, domysły. Domyślałem się, że ten koleś kręcił się niedaleko was, kiedy walnęliście w "Omahę" tą niby torpedą, a potem skręcił za wami na południe, zareagował w porę, kiedy zaczęliście wychodzić na powierzchnię i z własnej inicjatywy przerwał kontakt. Domysły może gołe, ale pasują do zapisu. Być może pasują, zgoda, skoro się tak upieracie. Marynarka płaci mi za domysły, panowie.

- Pochwaliłem Ricksa, że palnął w "Omahę"... - odezwał się Mancuso po chwili. - Potrzebni mi agresywni dowódcy.

- Po cholere, Bart? - Jones zachichotał, żeby rozładować napiętą atmosferę.

- Szkot słyszał o naszej robocie na plaży, kiedy zdejmowaliśmy tamtych facetów.

- Trochę się wtedy najadłem strachu - przyznał Jones.

- Powiadasz, jedna szansa na trzy...

- Jeśli przyjąć, że tamten kapitan miał łeb, prawdopodobieństwo się zwiększy. Dubinin miał w końcu niezłego nauczyciela.

- O czym mówicie, do diabła? - zapytał z irytacją komandor Claggett.

- Wie pan przecież, że zdobyliśmy najrozmaitsze dane o radzieckich okrętach typu Tajfun, a jeszcze więcej o ich torpedach. Zastanawiał się pan może, skąd wytrzasnęliśmy te wszystkie informacje?

- Ron, do cholery!

- Nie zdradzam żadnych tajemnic, Bart, a poza tym, komandor powinien się czegoś dowiedzieć.

- Nie wolno mi tego zrobić i dobrze o tym wiesz.

- Zgoda, Bart. - Jones zastanowił się. - Komandorze, wolno panu do woli zastanawiać się, skąd wzięliśmy tyle pokrewnych informacji naraz. Może nawet uda się panu zgadnąć. Claggett słyszał parę niejasnych pogłosek. Dziwiono się na przykład, dlaczego na tak długo zamknięto parę lat temu kryty

suchy dok 8-10 w bazie w Norfolk. Powtarzano sobie też, choć tylko w mesach oficerskich, daleko od brzegu i w głębokim zanurzeniu, że w ręce marynarki wojennej USA w jakiś sposób wpadł radziecki atomowy okręt podwodny z raketami, mniej więcej wtedy, gdy agencja TASS doniosła o zatonięciu jednostki "Czerwony Październik". Opowiadano, że do szkoły obsługi reaktorów marynarki w stanie Idaho trafił bardzo dziwny reaktor, lecz po serii testów gdzieś zniknął. W bazie i zakładach w Groton czarodziejskim sposobem pojawiły się kompletne rysunki radzieckich torped, a co więcej, kompletne torpedy. Dwie rakiety międzykontynentalne wystrzelone podczas nocnych prób w bazie lotniczej Vandenberg w Kalifornii zupełnie nie przypominały amerykańskich... Wreszcie do sztabów floty napłynęło mnóstwo danych operacyjnych o przeciwniku, pierwszorzędnych danych, które świadczyły, że osoba, od której pochodzą, zna się na rzeczy (co w wywiadzie nie jest pochwałą codzienną) - w tym wypadku, na szkoleniu załóg i taktyce w radzieckiej flocie podwodnej. Jedno spojrzenie na mundur Mancuso uzmysławiało, że wstążka na piersi oznacza DSM, Medal za Przykładną Służbę, w Ameryce najwyższe odznaczenie wojskowe czasu pokoju. Na baretce znajdowała się gwiazdka, wskazująca, że DSM przyznano Mancusowi dwukrotnie. A Mancuso był trochę za młody na typowego dowódcę dywizjonu i o wiele za młody na to, by awansowano go do rangi komandora i kontradmirała. W dodatku był marynarz, nawet nie oficer, który pływał z Mancuso, zwraca się do niego per Bart. Claggett podziękował Jonesowi skinieniem głowy.

- Chyba wiem, o co chodzi. Dziękuję.

- Powiedz, Ron, czy twoim zdaniem to wina dowódcy?

Jones zmarszczył brwi. Komandora Ricksa znał zbyt słabo, by wyrobić sobie jakąkolwiek opinię. Orzekł więc:

- Nie tyle czyjaś wina, ile zwykły traf. Może nawet szczęśliwy traf, bo nie stało się nic złego, za to nauczyliśmy się czegoś przy okazji. Wiemy teraz o akułach więcej niż przedtem. Potraktujcie to jak dziwaczny zbieg okoliczności, na następny taki poczekamy ze sto lat. Pański dowódca padł ofiarą okoliczności, a drugi dowódca, jeśli naprawdę był na miejscu, wykazał się klasą. Co tam, po to robimy błędy, żeby się na nich uczyć.

- Harry wraca z urlopu za dziesięć dni - odezwał się Mancuso. - Dałbyś radę znów przyjechać?

- Niestety, Bart - Jones zaprzeczył ruchem głowy - Za dziesięć dni mam być w Anglii.

Wypływam na HMS "Turbulent" na parodniową zabawę w chowanego. Angole wynaleźli nowy przetwornik, trzeba mu się przyjrzeć, wypadło akurat na mnie.

- Nie każe mi pan chyba przedstawiać tej sprawy dowódcy - odezwał się Claggett po chwili zastanowienia.

- Nie, Szkot. Jakieś kłopoty?

Teraz z kolei zafrasował się Claggett.

- Nie, nie... Ricks to mój dowódca, nie powiem, żeby był złym dowódcą, tylko czasem za bardzo się stara.

Pięknie mu przyłożył, pomyślał Jones. "Nie żeby był złym dowódcą... Za bardzo się stara..." Ten Claggett potrafi nazwać swojego starego kretyńcem w taki sposób, że nikt nie ośmieli się mu zarzucić braku lojalności. Jones zainteresował się nie na żarty, jakim to zwariowanym specem od reaktorów jest Ricks. Całe szczęście, że pierwszy oficer na "Mai-ne" jest pozbierany. Mądry kapitan umie słuchać swojego pierwszego.

- Szefie, a co porabia pan Chambers?

- Niedawno objął dowództwo USS "Key West". Na głównego hydroakustyka wybrał sobie tego chłopaka, którego szkoliliś, Billy'ego Zerwskiego, tak słyszałem.

- Naprawdę? Ale ma szczęście. Zawsze wierzyłem, że pan Chambers pójdzie w górę, ale żeby

Billy Zerwinski został szefem sekcji? Marynarka schodzi na psy, daję słowo.

- To już trwa wieki - zauważył kwaśno Kati. Skórę miał kredowobiałą. Nowe skutki uboczne chemoterapii.

- Fałszywe twierdzenie - odparł z surową miną Fromm. - Powiedziałem, kilka miesięcy, więc potrwa to kilka miesięcy. Kiedy budowano pierwszą bombę, potrzebne były trzy lata i pieniądze najbogatszego kraju świata. Ja uwinę się w jedną dziesiątą tego czasu i za ułamek budżetu. Z berylem koniec, za parę dni zabieramy się za otulinę z rodu. Powinno już pójść łatwiej.

- A kiedy zaczniemy obrabiać pluton? - zapytał Hosni.

- Na końcu, po innych metalach. Wiesz oczywiście, dlaczego?

- Wiem, Herr Fromm, przecież pracujemy z masą podkrytyczną i musimy bardzo uważać, żeby nie przeszła w krytyczną - wyrecytował Hosni złośliwym tonem. Miał już dosyć. Od osiemnastu godzin uwijał się, nadzorując obsługę warsztatu. - Tryt też na końcu?

- Na samym końcu. Również z oczywistych przyczyn. Tryt jest niezbyt stabilny, a nam potrzeba najczystszej odmiany, bez obcych domieszek.

- No właśnie. - Hosni ziewał właśnie, więc prawie nie usłyszał odpowiedzi Fromma. Nie zastanowiło go więc, co Niemiec miał na myśli, mówiąc o domieszkach w trycie.

Fromm z kolei zanotował w pamięci słowo "pallad". Potrzebował jeszcze niewielkiej ilości palladu. Skarcił się w duchu, że zapomniał o takim drobiazgu. Jak to możliwe? Ano właśnie: długie godziny pracy, nędzny klimat, niegrzeczni pracownicy i koledzy. Trudno, musiał znosić to wszystko, by w zamian dokonać rzeczy, która udała się przed nim zaledwie garstce naukowców, w dodatku w jeszcze gorszych warunkach niż te, jakie miał Fermi i jego zespół w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym i czterdziestym piątym roku. Nieczęsto ma się okazję stanąć w szranki z gigantami fizyki i wyjść zwycięsko z turnieju. Czasem Fromm zastanawiał się od niechcenia, w jaki sposób bomba zostanie ostatecznie użyta, choć ucziwie mówiąc, nie obchodziło go to ani trochę. Miał inne zmartwienia.

Niemiec podszedł teraz do ściany, pod którą ustawiono stoły z obrabiarkami. Przy maszynach pracowała druga zmiana palestyńskich techników. Skrawany właśnie odlew z berylu miał najbardziej skomplikowany kształt ze wszystkich części składowych, najtrudniej było więc zaprogramować komputer maszyny, która miała odtworzyć wszystkie wypukłe, wklęsłe i zakrzywione powierzchnie z rysunku. Mimo że komputerowi można było całkowicie zaufać, obsługa stale obserwowała obróbkę przez leksanową szybę, która oddzielała przestrzeń roboczą od reszty otoczenia. Wyciąg z filtrem elektrostatycznym oczyszczał powietrze nad maszynami i magazynował pył. Wypuszczanie skażonego powietrza w niebo nie tylko nie miało sensu, lecz groziło wykryciem całej operacji. Płyty filtra elektrostatycznego oddzielała od powierzchni dwumetrowa warstwa ziemi. Beryl nie jest radioaktywny, lecz nie da się tego powiedzieć o plutonie. Pluton miał wkrótce trafić pod noże tej samej maszyny, której obsługa wprawiała się tymczasem na skorupie z berylu, potrzebnej w innym miejscu bomby.

Uniwersalna obrabiarka była urządzeniem, o jakim marzył Fromm, kiedy zamawiał ją kilka lat wcześniej z fabrycznego katalogu. Wszystkie narzędzia skrawające miały wbudowane mierniki laserowe, dzięki czemu dokładność obróbki przerastała wszystko, co jeszcze pięć lat wcześniej uznawano za cud techniki. Maszyna szlifowała jak klejnot powierzchnię berylowego odlewu, który zaczynał już przypominać ogromny, precyzyjny zamek karabinowy. Do końca jego obróbki było jeszcze daleko. Cyfrowa tablica wskaźników podawała wyniki pomiarów z dokładnością do kilku angstromów. Głowica urządzenia pracowała z prędkością dwudziestu pięciu tysięcy obrotów na

minutę, nie tyle skrawając, ile wypalając nierówności obrabianej powierzchni. Osobne czujniki informowały komputer o postępach procesu, mierząc, z jaką dokładnością pracuje głowica i wychwytyjąc moment, w którym jej noże i frezy wykażą pierwsze oznaki stępienia. Maszyna zatrzymywała się wówczas samoczynnie i przyłączała inny nóż. Cuda techniki, pomyślał Fromm. Dawniej elementy bomb obrabiali wykwalifikowani operatorzy pod kierunkiem noblistów. Dziś załatwia to jeden układ scalony.

Udało się już wykonać zewnętrzny pancierz bomby, w kształcie jaja, o długości dziewięćdziesięciu ośmiu centymetrów i pięćdziesięciu dwóch centymetrach szerokości w najgrubszym miejscu. Pancierz zrobiony został z centymetrowej stali. Powłoka bomby musiała być mocna, lecz bez przesady, na tyle tylko, by wewnątrz utrzymała się próżnia. Gotowe do zamocowania w środku były też zakrzywione klocki z polietylenu i gąbki poliuretanowej. W urządzeniu tego rodzaju musiały się znaleźć obok siebie elementy z najmocniejszych i najmniej wytrzymałych materiałów. W niektórych sprawach udało się wyprzedzić harmonogram, co miało swój sens, gdyż oszczędzało czas i dawało zajęcie wszystkim technikom. Kilku z nich kolejny raz ćwiczyło na innej maszynie obróbkę stalowego, zwiniętego podwójnie cylindra, który imitował kształtem przyszły ładunek pierwotny z plutonu. Mechanicy pocili się nad zadaniem po raz siódmy. Mimo precyzji urządzeń, pierwsze dwa elementy wyszły koślawe, jak można się było zresztą spodziewać. Przy piątym podejściu obsługa rozwiązała już większość problemów technicznych, a szósty model spełniał już wszystkie warunki - lecz, zdaniem Fromma, był ciągle do luzu. Niemiec trzymał się prostej zasady, wypracowanej przez NASA podczas przygotowań do lotu na Księżyc. Zasada głosiła, że aby projektowany mechanizm działał zgodnie z oczekiwaniami, musi wpierw nastąpić skomplikowana seria osobnych zdarzeń, zsynchronizowanych w nieludzko precyzyjny sposób. Fromm wyobrażał sobie cały proces jako bieg przez ciąg wąskich furtek. Im szersza furka, tym szybciej można było przez nią przebiec. Niedokładności elementów sprawiają, że kolejne furki stają się coraz węższe, i dlatego Fromm nie życzył sobie najmniejszych niedokładności. Każda część bomby miała spełniać założenia jego projektu w sposób tak pełny, jak tylko pozwalała na to posiadana technologia. Im większa doskonałość części składowych, tym większa szansa, że bomba zadziała dokładnie tak, jak powinna... Albo jeszcze lepiej, dodawał Fromm w skrytości ducha. Nie było tego jak sprawdzić, doświadczenia nie wchodziły w grę. Fromm nie mógł empirycznie znaleźć rozwiązań dla skomplikowanych problemów teoretycznych i w tej sytuacji zaprojektował bombę z marginesem niezawodności, który byłby na miejscu w bombie o mocy kilkakrotnie większej, niż ta zakładana. Właśnie dlatego postanowił użyć tak potężnej ilości trytu - pięciokrotnie większej niż to wynikało z obliczeń. Z rozwiązaniem tym wiązały się oczywiście następne problemy, gdyż zapas trytu z NRD miał już kilka lat i część izotopu przekształciła się już w ^3He , wyjątkowo tu nieprzydatny izotop helu. Żeby oczyścić tryt i zapewnić bombie odpowiednią moc, Fromm musiał więc jeszcze przefiltrować go przez siateczkę palladową. Amerykańscy i radzieccy konstruktorzy bomb mogli eksperymentować i znaleźć tą drogą sposoby oszczędzenia materiału, lecz plan Fromma również miał swoje zalety. Niemiec wiedział, że nie trzeba będzie latami przechowywać gotowej bomby w magazynie, czego nie mogli powiedzieć naukowcy z USA i ZSRR. Była to jedyna przewaga Fromma nad wielkimi konkurentami i zamierzał z niej w pełni skorzystać. Oczywiście przewaga ta miała swoje złe strony, lecz Fromm mógł wybierać najlepsze rozwiązania wyłącznie według własnych kryteriów.

- Pallad - powtórzył na głos. - Nie zapomnieć o palladzie. - Na szczęście jest jeszcze mnóstwo czasu.

- Skończone! - Palestyński majster przywołał Fromma gestem, by pokazać mu gotowy wyrób.

Element z nierdzewnej stali lekko zszedł z maszyny. Fromm wziął metal do ręki. Element miał długość trzydziestu centymetrów, a jego kształt był skomplikowany. Przypominał stożkową stągiew na wodę, której górny brzeg wywinięto na zewnątrz i ściągnięto aż do dolnej krawędzi naczynia. Metalowa stągiew nie nadawała się na czerpak, gdyż pośrodku "denka" widniał otwór. Fromm zżymał się na słowo "denko", gdyż ta akurat płaszczyzna miała być zwrócona do góry. Element ważył około trzech kilogramów, a każda z jego powierzchni była gładka jak lustro. Fromm spojrzał na metal pod światło, szukając skaz i nierówności. Miał jednak za słabe oczy: gładkość powierzchni łatwiej było przedstawić matematycznie niż ocenić wzrokiem. Komputerowe przyrządy maszyny wskazywały, że metal został obrobiony z dokładnością do jednej tysięcznej mikrona, czyli odległości mniejszej niż długość pojedynczej fali świetlnej.

- Prawdziwy klejnot - szepnął Hosni, zaglądając Frommowi przez litanie.

- Ujdzie - ocenił Fromm i spojrzał na operatorów. - Kiedy zrobicie mi jeszcze pięć takich, będę zadowolony. Każdy kolejny element musi być równie dobry jak ten. Zaczniście robić następny - rozkazał, oddał Hosniemu "klejnot" i poszedł sobie.

- Niewierny - warknął jeden z operatorów maszyn.

- Niestety - zgodził się Hosni - ale nie widziałem jeszcze takiego znawcy.

- Wolałbym już pracować dla Żyda - oświadczył Palestyńczyk.

- Wspaniała robota. - Hosni usiłował zmienić temat.

- Sam bym nie uwierzył, że można tak dokładnie oszlifować metal. Niewiarygodna maszyna.

Mógłbym na niej zrobić wszystko.

- To dobrze. Na razie zrób mi coś takiego. - Hosni pokazał technikowi metalowy element i uśmiechnął się.

- Jak sobie życzysz.

Hosni wrócił do pokoju Katiego. Chory nie tknął talerza z prostym, pożywnym jedzeniem, gdyż bał się wymiotów.

- Może to polepszy ci samopoczucie. - Hosni wręczył komendantowi stalowy rdzeń.

- Co to? - zapytał Kati, biorąc metal do ręki.

- Tak będzie wyglądał ładunek plutonowy.

- Jak szkło...

- Dużo gładszy. Tak gładki, że odbijałby promienie lasera. Mógłbym ci podać dokładność szlifi, ale po co? Nigdy w życiu nie widziałeś czegoś równie gładkiego. Ten Fromm to geniusz.

- Pyszałek, arogant i...

- Owszem, komendancie, wszystko to prawda, ale poza tym jest on dokładnie osobą, jakiej nam trzeba. Sam nigdy nie potrafiłbym dokonać czegoś takiego. Może, gdybym miał parę lat czasu, przerobiłbym tę izraelską bombę na coś użytecznego. Kilka tygodni temu nie miałem pojęcia, ile będzie z tym problemów. Ale Fromm... Ile już się od niego nauczyłem! Kiedy skończymy, będę już umiał sam taką zbudować!

- Naprawdę?

- Tak, komendancie. Wiesz, na czym polega inżynieria? - zapytał Hosni. - Dokładnie na tym samym, co gotowanie. Jeżeli masz przed sobą właściwy przepis, właściwą książkę kucharską i właściwe składniki, zrobisz dokładnie wszystko. Zadanie nie będzie łatwe, ale nie zmienia to całej zasady. Trzeba tylko wiedzieć, jak zastosować różne formuły matematyczne, te znajdziesz w byle książce. To tylko kwestia wykształcenia. Gdybym miał komputery, odpowiednie urządzenia... I dobrego nauczyciela, takiego jak ten skurwysyn Fromm...

- Jeśli to takie proste, dlaczego inni...

- Bo najtrudniej znaleźć wszystkie materiały, zwłaszcza pluton albo U235. Do tego potrzebny jest specjalny reaktor albo nowa generacja filtrów wirówkowych. Jedno i drugie kosztuje majątek, nie da się ich też ukryć. Właśnie dlatego tyle środków ostrożności przy przewozie i składowaniu bomb czy ich elementów. Ale te opowieści, że tak trudno jest zbudować bombę wodorową, to zwyczajne kłamstwo.

POSTĘPY

Wellington posadził trzech podwładnych do pracy nad sprawą. Wszyscy mieli doświadczenie w śledztwie, a co ważniejsze, często zajmowali się dochodzeniami natury politycznej, przy których obowiązywała absolutna dyskrecja. Sam Wellington miał za zadanie wskazywać swoim ludziom nowe kierunki śledztwa oraz sprawdzać i łączyć ze sobą informacje, które napływały na jego biurko w Departamencie Sprawiedliwości. Największą sztuką było tak zbierać dane, by nie zorientował się w tym śledzony obiekt. Wellington domyślał się słusznie, że pod tym względem Ryan przysporzy mu wiele kłopotu. Zastępcy dyrektora CIA trudno było odmówić spostrzegawczości, a na poprzednich stanowiskach dał się poznać jako ktoś, kto słyszy, jak trawa rośnie i nie ma sobie równych we wróżeniu z fusów. To zaś oznaczało, że nie trzeba się spieszyć w śledztwie... ale bez przesady. Młodemu prokuratorowi wydawało się na szczęście, że dowody, które miał zebrać, nigdy nie trafią na salę sądową, co pozwalało na duży margines swobody w sposobach gromadzenia materiału. Inna rzecz, że Ryan nie był na pewno taki głupi, żeby otwarcie złamać prawo. Naruszył może albo obszedł przepisy Komisji Papierów Wartościowych, lecz analiza późniejszego raportu Komisji w tej sprawie wykazywała niezbitcie, że Ryan działał w dobrej wierze i w pełnym przekonaniu, że nie narusza żadnego przepisu. Co z tego, że uniewinniono go z przyczyn formalnych? Cały wymiar sprawiedliwości opiera się na podobnych kruczkach. Owszem, Komisja mogła mocniej przycisnąć Ryana, może nawet uzyskać orzeczenie winy, ale nawet to nie doprowadziłoby do wyroku... Chyba, żeby załatwiono wtedy sprawę polubownie, a Ryan wziąłby winę na siebie. Wellington nie wierzył, by Ryan zgodził się na taki układ. Przecież kiedy zaproponowano mu dobrowolne przyznanie się do winy i koniec sprawy, odpowiedział krótkim nie. Nie był kimś, kogo dało się wodzić na pasku. Zabił paru ludzi, co nie przerażało Wellingtona, lecz unaoczniało mu siłę charakteru tego człowieka. Ryan był nie byle kim - był twardym skurwielem, który przyparty do muru wybierał walkę.

- I na tym się właśnie przejedzie - dodał Wellington na głos.

Ryan woli bezpośrednią walkę, nie podchody. Brakuje mu subtelności. To zwykła cecha ludzi uczciwych, potwornie zgubna w środowisku polityków.

Niestety, Ryan miał też popleczników w polityce. Trentowi i Fellowsowi trudniej już było odmówić zrzeczności i sprytu.

Taktycznie bardzo interesujący problem.

Wellington oceniał jako najpilniejsze dwa zadania: po pierwsze, znaleźć coś, co obciąży Ryana. Po drugie, znaleźć argument, który zamknie usta jego potężnym mocodawcom.

Carol Zimmer. Wellington sięgnął po kolejną teczkę akt.

Na wierzchu leżała fotografia z Biura Imigracyjnego. Pochodziła sprzed lat i zdradzała, jak niewiele przesady bywa czasem w określeniu "smarkata oblubienica". Kiedy Carol Zimmer przybyła do Ameryki, była nastoletnim maleństwem z twarzą wschodniej lalki. Inne zdjęcie, wykonane niedawno ukradkiem przez jednego z inspektorów, przedstawiało Zimmer jako kobietę dojrzałą, choć wciąż jeszcze przed czterdziestką, o twarzy, której dawną porcelanową gładkość zeszpeciły pierwsze zmarszczki. Wellington ocenił, że Zimmer była teraz jeszcze piękniejsza niż w młodości. Na pierwszym zdjęciu miała minę ścięganego zwierzątka, czemu się trudno dziwić, skoro dopiero co uciekła z Laosu. Dziś widać było, że Carol Zimmer czuje się w życiu pewnie. Ma ładny uśmiech,

stwierdził Wellington. Przypomniawszy sobie azjatycką koleżankę ze studiów, Cynthię Yu. Cholera, ta się umiała rznąć... Bardzo podobne oczy. Orientalna kokietka...

Może tędy się dostać do Ryana?

W tak prosty sposób?

Ryan był żonaty. Z Caroline Muller Ryan, doktorem medycyny, chirurgiem ocznym. Zdjęcie: wcielenie białej, anglosaskiej protestantki (choć katolickiego wyznania). Szczupła, atrakcyjna, matka dwójki dzieci.

Nie szkodzi. To, że się ma ładną żonę, wcale jeszcze nie znaczy...

Ryan ustanowił fundusz edukacyjny... Wellington otworzył kolejną teczkę i wyłowił kserokopię właściwego dokumentu.

Oho, Ryan sam sporządził ten zapis, wynajmując notariusza, a nie prawnika, z którym zwykle współpracował. Notariusz z Waszyngtonu. Caroline Ryan nie podpisała dokumentu, może nawet nie miała pojęcia o jego istnieniu? Dokumenty na biurku zdawały się na to wskazywać.

Wellington sprawdził z kolei odpis metryki urodzenia najmłodszego z dzieci Carol Zimmer. Mąż zginął podczas "lotu ćwiczebnego"... Z dat zgonu i narodzin nie wynikało nic wiążącego. Zimmer mogła zajść w ciążę w tym samym tygodniu, w którym jej mąż miał wypadek. Mogła albo i nie mogła. Które to już dziecko, siódme? Nie, ósme. Nie widać po niej, też typowe. Cięża, powiedzmy, krótsza niż dziewięć miesięcy, spóźnione porody zdarzają się raczej przy pierwszym czy drugim dziecku, potem przychodzą na świat wcześniaki. Waga urodzonego dziecka dwa tysiące czterysta pięćdziesiąt gramów, mniej niż wynosi przeciętna, ale matka Azjatka, Azjaci są niżsi, więc może i noworodki małą mniejsze? Wellington zaczął kreślić notatki, widząc już, że znów, zamiast konkretnego faktu, ma przed sobą serię znaków zapytania.

Ale zaraz... Kto powiedział, do diabła, że trzeba szukać faktów?

Następna sprawa, chuligani. Ochroniarze Ryana, Clark i Chavez, pokieroszowali jednego z nich. Inspektor specjalnie pojechał do komendy policji w okręgu Anne Arundel. Miejscowi gliniarze podpisywali się oburącz pod wersją Clarka. Zgraja chuliganów miała od dawna kartotekę za różne drobne wykroczenia, parę wyroczków w zawieszeniu, nadzór kuratora dla nieletnich... Gliniarze byli zachwyceni, że sprawa rozwiązała się sama. "Dla mojej przyjemności pan Clark mógł strzelić w łeb temu pierdolonemu gówniarzowi" - oświadczył sierżant, a taśma inspektora zarejestrowała jego śmiech. "Pyta pan o Clarka? Poważny klient, nie powiem, jego kolega też, owszem. Gówniarze sami sobie winni, że zadarli z kimś takim. Trudno, życie nie jest bajką, nie? Najmłodszy z tych małych drani potwierdzili, że wszystko było tak, jak mówił pan Clark. Zamknięta sprawa, kolego".

Dobrze. Dlaczego jednak Ryan nasłał na tych gówniarzy swoją ochronę? W przeszłości zabijał, broniąc rodziny. Ktoś taki jak on nie będzie tolerował gróźb wobec swoich przyjaciół, krewnych, swojej... kochanki? Więc to jednak możliwe.

- Hmm... - zdziwił się trochę Wellington. Zastępca dyrektora CIA pozwala sobie na skoki na boki. Niby mu wolno, ale można się pośliznąć. W dodatku rzecz zupełnie nie pasuje do naszego anioła, doktora Johna Patricka Ryana. Kiedy miejscowa banda nachodzi jego kochankę, najspokojniej w świecie szczuje na chuliganów swoich goryli, niczym capo z sycylijskiej mafii, tak wielkopańskim gestem, że żaden policjant nie ośmieli mu się później podskoczyć.

Wystarczy jako materiał na Ryana?

Nie.

Wellington potrzebował czegoś więcej. Potrzebował dowodów, jakichkolwiek. Słabszych niż takie, które przekonają ławę przysięgłych, ale zawsze dowodów, konkretów, które powoła... Właśnie, co? Wszczęć oficjalne dochodzenie. Naturalnie. Oficjalne dochodzenie trudno już przecie-

utrzymać w tajemnicy. Zaczną się szept, plotki... Łatwizna. Najpierw jednak Wellington musiał znaleźć hak na Ryana.

- Ten mecz to prawie wstęp do Superpucharu, sam zobacz: grają go w trzeciej kolejce sezonu, na stadionie Metrodome, obie drużyny dwa mecze do przodu, obie mają widoki na pierwsze miejsce w swoich grupach. Zobaczysz, w Superpucharze Szturmowcy z San Diego znów zagrają z Wikingami z Minnesoty.

- Ale popatrz, pierwszy zawodowy sezon Tony'ego Willsa zaczął się jeszcze bardziej błyskotliwie niż jego występy w lidze akademickiej - wtrącił się drugi sprawozdawca. Zaledwie dwa mecze, a już czterdzieści sześć razy utrzymał się przy piłce, przebiegając łącznie trzysta sześć jardów. Policzmy. Sunie sześć, siedem jardów do przodu na jedno przejęcie piłki. W dodatku blokowali go już tacy mistrzowie jak Niedźwiedzie i Sokoły, którzy mają dwie najlepsze linie obrony w całej lidze.

- Dziewięć razy wybiegał po piłkę do przodu, łącznie przebiegł sto dwadzieścia pięć jardów. Nic dziwnego, iż mówi się o Tonym, że wystarczy za całą drużynę.

- Powiedz mi tylko, kto z drużyny ma, tak jak on, doktorat z Oksfordu? - Sprawozdawca roześmiał się. - Proszę tylko popatrzeć: najlepszy futbolista w lidze akademickiej, stypendysta Rhodesa, człowiek, który własnoręcznie wywalczył dla Northwestern miejsce w lidze i dwie wycieczki na finały Pucharu Rose. A czy zgadzasz się z powiedzeniem, że Wills prześcignie pocisk w locie?

- Tego się dowiemy za chwilę. Pamiętajmy, że środkowy napastnik Szturmowców Maxim Bradley to największy wynalazek w Alabamie, dorównujący klasą Dickowi Butkusowi z Illinois. Zawodnik z tej samej szkoły, z której wyszli Tommy Nobis, Cornelius Bennett i masa innych zawodowych graczy. Nie darmo nazywają Bradleya "sekretarzem obrony".

Żartobliwe przezwisko powtarzano w całej pierwszej lidze, czyniąc aluzję do właściciela drużyny z San Diego i prawdziwego sekretarza obrony USA Dennisa Bunkera.

- Tim, złapaliśmy w telewizji mecz!
- Sam bym się tam wybrał - rozmarzył się Brent Talbot. - Dennis to pojechał.
- Gdybym mu nie pozwalał jeździć na te mecze, złożyłby dymisję - zauważył prezydent Fowler.
- Zresztą, jak się ma własny samolot...

Dennis Bunker rzeczywiście był właścicielem małego odrzutowca i chociaż zostawiał pilotaż fachowcom, nadal miał w kieszeni ważną licencję pilota-amatora. Między innymi dlatego właśnie tak go szanowali wojskowi. Jako odznaczony pilot myśliwski z dawnych lat, Bunker mógł zasiąść za sterami prawie każdej maszyny.

- Jakie prognozy na ten mecz?
- Wikingowie trzema punktami - odpowiedział prezydent. - W końcu grają u siebie. Inna sprawa, że drużyny mają równą klasę. Widziałem tego Willsa w zeszłym tygodniu, jak grał z Sokołami. Chłopak ma talent.

- Tony to chodzący talent. Kapitalny chłopak. Inteligentny, z życiem, lubi zajmować się dziećmi.
- Może by został naszym rzecznikiem w Krucjacie Antynarkotycznej?
- Zabierał już głos przeciwko narkotykom, w Chicago. Jeśli chcesz, to do niego zadzwonię.
- A, zadzwoń, Brent - zgodził się prezydent.

Za politykami rozsiedli się wygodnie na kanapie Pete Connor i Helen D'Agustino. Prezydent Fowler wiedział, że obydwójce są zapalonymi kibicami futbolu amerykańskiego, poza tym sala telewizyjna w Białym Domu była przestronna i wygodna.

- Komu piwa? - zapytał Fowler, który bez piwa nie wyobrażał sobie meczu.

- Ja przyniosę – D'Agustino poderwała się z kanapy i poszła do lodówki stojącej w pomieszczeniu obok. Jej zdaniem, piwo stanowiło największą zagadkę w prezydencie, najbardziej skomplikowanym człowieku, jakiego znała. Fowler wyglądał, ubierał się, kroczył i zachowywał się jak arystokrata. Był poza tym ogromnie inteligentny i przeraźliwie zarozumiały, lecz przed telewizorem, w którym szedł mecz piłkarski - baseball prezydent oglądał tylko wtedy, kiedy musiał - Fowler zmieniał się w typowego proletariusza, co wgapia się w ekran, pożerając prażoną kukurydzę i strzelając piwko za piwkiem. Oczywiście nawet tutaj słowa "komu piwo?" nie były pytaniem lecz rozkazem. Ochroniarze nie mogli jednak pić na służbie, a Talbot wręcz brzydził się piwem. Daga dla siebie wzięła dietetyczną colę.

- Dziękuję - odezwał się prezydent, kiedy D'Agustino podała mu szklankę. Jedynie mecze przypominały mu o dobrych manierach. Może dlatego, pomyślała Helen, że oglądał je niegdyś razem z żoną. I dobrze, przynajmniej stawał się dzięki temu bardziej ludzki, inny niż zwykle.

- O, rany! Bradley tak trzasnął w Willsa, że tu było słychać! - Na ekranie obaj zawodnicy podnieśli się jednak i zamienili kilka słów, co wyglądało jak kłótnia. Pewnie po prostu śmiali się obaj ze starcia.

- Prezentację mają z głowy. Lepiej niech się zaprzyjaźnią, bo często przyjdzie im się spotykać. Drugie wyjście z linii trzydziestu jeden jardów, obie drużyny dopiero się rozkręcają. Bradley świetnie umie wzmocnić pierwszą linię. Puścił środek i zatkał dziurę na skrzydle, jak gdyby wiedział, co się święci.

- Jak na nowy nabytek Bradley umie czytać nuty. Przypomnijmy, że reszta pierwszej linii Wikingów występowała w zeszłorocznym pucharze zawodowców - wtrącił spoza ekranu sprawozdawca.

- Świetne siedzenie ma ten Bradley - zauważyła cicho Daga.

- Ten ruch wyzwolenia kobiet zupełnie już ci przewrócił w głowie, Helen - zauważył żartobliwie Pete i usadowił się wygodniej na kanapie, gdyż służbowy rewolwer wbijał mu się w nerwę.

Günther Bock i Marvin Russell przystanęli na chodniku przed ogrodzeniem Białego Domu wraz z setką innych turystów, którzy zgodnie celowali aparatami fotograficznymi w okna prezydenckiej rezydencji. Obaj współpracownicy wylądowali w Waszyngtonie poprzedniego wieczora i zamierzali jutro zwiedzić gmach Kapitolu. Na głowach mieli czapki baseballowe, których daszki chroniły ich przed gorącym jesiennym słońcem. Bock powiesił na szyi aparat, dyndający na pasku z wizerunkami Myszki Miki. Żeby się nie wyróżniać w tłumie, także pstryknął parę zdjęć, lecz do rzeczywistej obserwacji wystarczył mu wprawny wzrok. Biały Dom stanowił trudniejszy cel, niż się spodziewał. Budynki wokół rezydencji były na tyle wysokie, że spokojnie mogli w nich czuwać snajperzy, bezpiecznie ukryci za kamiennymi gzymsami. Bock domyślił się, że prawdopodobnie obserwuje go i teraz wiele par oczu, lecz nawet służby amerykańskie nie miały czasu ani pieniędzy, by porównywać każdą twarz w tłumie z portretami z kartoteki. Prócz tego Bock na tyle zmienił wygląd zewnętrzny, że w Ameryce mógł się niczym nie przejmować.

Sto metrów od miejsca, gdzie stali, wylądował wewnątrz ogrodzenia prezydencki śmigłowiec. Ktoś z ręczną rakieta przeciwlotniczą bez trudu strąciłby maszynę, gdyby mógł się zacząić. To jednak było praktycznie niemożliwe. Potrzebna byłaby w tym celu kryta furgonetka z dziurą w dachu, przez którą celowniczy mógłby wymierzyć rakieta i wystrzelić, a potem spróbować ucieczki. Niestety, strzelcy wyborowi... Bock nie łudził się, że ochrona prezydenta może chybić. Amerykanie wymyślili

całą tę sztukę, łącznie ze słowem "snajper", a do czuwania nad głową państwa wybrali z pewnością najlepszych. Nie ulegało także wątpliwości, że część turystów to przebrani tajniacy. Tylko jak ich rozpoznać?

Można by podjechać aż do tego miejsca ciężarówką i odpalić bombę. Hosni ostrzegwał jednak przed urządzeniami wykrywającymi. Inne rozwiązanie to przemycić bombę w pobliże Kapitolu, na przykład kiedy prezydent będzie wygłaszał doroczne orędzie o stanie narodu... Pod warunkiem, że zdążą do tego czasu skończyć prace nad bombą, co nie było takie pewne. Do tego dochodził problem transportu - trzy tygodnie - jak nic. Bombę trzeba wysłać z Latakii do Rotterdamu, a stamtąd z kolei do portu w USA. Najbliżej Waszyngtonu znajdował się port w Baltimore, dalej Norfolk-Newport News, oba przyjmowały tysiące kontenerów dziennie. Można wprawdzie wysłać bombę przesyłką lotniczą, ale kontenery lotnicze często przeświecła się na lotniskach, więc nie mogli ryzykować takiego sposobu. Chodziło o to, żeby dopaść prezydenta w dzień świąteczny - w sobotę albo niedzielę. Inaczej akcja nie miała szans powodzenia. Pozostałe części akcji, poprawił się Bock, który zdawał sobie sprawę, że poświęca najważniejszy element dobrego planu: prostotę. Żeby jednak operacja udała się w całej rozciągłości, musiało dojść do kilku zamachów, i to w dzień świąteczny. I znów problem: amerykański prezydent rzadko zostawał w Białym Domu po zakończeniu roboczego tygodnia, a jego podróże między Waszyngtonem, Ohio i innymi miastami nie dawały się w ogóle przewidzieć. Niespodziewane podróże stanowiły dla prezydenta najprostszy środek zaradczy przeciwko zamachom, bo choć podawano do wiadomości terminy, wszystkie szczegóły i minutowy rozkład wizyt otaczała ścisła tajemnica. Żeby przygotować pozostałe akcje, Bock potrzebował tymczasem znać termin eksplozji na tydzień z góry, optymistycznie licząc. W Waszyngtonie prędko stracił nadzieję, że się to uda osiągnąć. Łatwiej byłoby już zaplanować akcję z użyciem broni konwencjonalnej, zdobyć awionetkę, uzbroić ją w rakiety SA-7... Łatwiej, albo i nie. Prezydencki śmigłowiec na pewno miał instalację mylącą czujniki rakiet przeciwlotniczych...

Jedyna szansa. Drugi raz się nie uda.

A gdyby tak cierpliwie zaczekać? Ukryć bombę i przemycić ją do Stanów Zjednoczonych za rok, tuż przed kolejnym wystąpieniem prezydenta w Kongresie? Przetransportować bombę w jakiś sposób tuż pod gmach Kapitolu i zburzyć go... Na oko nic trudnego. Bock słyszał, a jutro zresztą sam się przekona, że Kapitol wzniesiono jeszcze starymi metodami: dużo murów, mało stalowego szkieletu. Gdyby więc zdać się na cierpliwość?

Nic z tego. Kati nigdy na to nie zezwoli, zarówno ze względu na groźbę wpadki, jak i z ważniejszego powodu. Komendant uważał, że jest umierający, a od człowieka na łożu śmierci trudno domagać się cierpliwości.

Zresztą nawet wtedy akcja mogła się nie udać. Jak pilnie strzegą Amerykanie miejsc, o których wiadomo z góry, że będą gościć prezydenta? Czy w centrum Waszyngtonu umieszczono wykrywacze promieniowania?

Ja bym tam je umieścił, pomyślał Bock

Jedna, jedyna szansa. Nie da się już jej powtórzyć.

W dodatku trzeba ustalić datę tydzień naprzód. Inaczej skończy się na masowej rzezi.

Potrzebne będzie miejsce, gdzie nie ma czujników promieniowania. Waszyngton odpada.

Bock odszedł od ogrodzenia z czarnych żelaznych prętów. Czuł złość, lecz nie zdradzał tego najmniejszym drgnięciem twarzy.

- Co, do hotelu? ~ zapytał Russell.

- Tak, czemu nie - odpowiedział mu Bock. Obaj ślaniali się ze zmęczenia po wczorajszej długiej podróży.

- Świetnie, akurat zdążę na początek meczu. Wiesz, że to jedyne, co mam wspólnego z Fowlerem.

- Taak? O czym mówisz?

- O meczach futbolowych - wytłumaczył wesoło Russell. - Słyszałeś? Futbol amerykański.

Poczekaj, nauczę cię, jak się gra.

Piętnaście minut później siedzieli już w swoim pokoju. Russell przełączył telewizor na kanał sieci NBC.

- Tim, podobał mi się ten ostatni atak. Wikingowie musieli zatrzymać sześć podań, dwa razy trzeba było mierzyć odległość, piękna gra!

- Raz był spalony - dodał od siebie prezydent Fowler.

- Sędzia twierdził co innego - zwrócił mu uwagę Talbot.

- Tonny Wills jest kryty bez przerwy, przeciwnicy naciskają go tak, że przeciętnie przebiega z piłką zaledwie trzy jardy, chociaż pamiętają państwo ten jeden jego rajd, dwadzieścia jardów po przejęciu piłki. - Szturmowcy byli kompletnie zaskoczeni - trajkotał sprawozdawca.

- Strasznie się napocili, żeby wymęczyć trzy punkty, Tim, ale zarobili je.

- Teraz szansę na przejęcie inicjatywy mają Szturmowcy. Obrona Wikingów trochę się jakby zachwiała, dwóch obrońców zeszło z pola na opatrunek. Założę się, że będą tego zaraz żałować.

Ubezpieczający Szturmowców zajął pozycję do ataku między swoją pierwszą i drugą linią, pochylił się i rzutem między nogami podał piłkę obronie, cofnął się pięć kroków i odzyskując piłkę, posłał ją skrzydłowemu po przekątnej boiska. W locie ktoś potracił jednak piłkę, która trzasnęła prosto w twarz zaskoczonego obrońcę Wikingów. Obrońca wyłapał ją jednak i padł na linii czterdziestu jardów.

Bock potrafił z dystansu docenić emocje, jakie niosła gra, nadal jednak kompletnie nie rozumiał jej zasad. Russell próbował mu wytłumaczyć reguły, lecz niewiele wskórał. Günther znalazł pociechę w piwie i wyciągnięty na łóżku zastanawiał się nad topografią amerykańskiej stolicy. Wiedział z grubsza, co chce osiągnąć, lecz szczegóły - zwłaszcza tu na miejscu, w Ameryce - sprawiały nieoczekiwane trudności. Szkoda że...

- Co powiedział ten sprawozdawca?

- Sekretarz obrony - powtórzył Russell.

- To jakiś żart?

- Coś w tym stylu. Tak przezywają środkowego napastnika Maxima Bradleya. Grał w drużynie uniwersytetu Alabama. Przezywają dlatego, że prawdziwy sekretarz obrony Dennis Bunker prowadzi te całą drużynę. O, pokazują go!

Kamera najechała na Bunkera, siedzącego w jednej z górnych łóż. Interesujące, pomyślał Bock, i zapytał:

- Co to za Superpuchar, o którym mówili?

- Mecz o mistrzostwo Stanów. Cały sezon trwają rozgrywki między najlepszymi drużynami, a finał to właśnie Superpuchar.

- Coś jak Mundial?

- No, mniej więcej, tyle że jest co roku. W tym roku, znaczy się na początku następnego, Superpuchar będzie w Denver, na nowym stadionie, na Skydome, chyba tak się miał nazywać.

- A dlaczego mówią, że właśnie te dwie drużyny będą grały w Denver?

- Tak myślą. - Russell wzruszył ramionami. - Normalny sezon trwa szesnaście tygodni, potem trzy tygodnie dogrywek, tydzień przerwy i Superpuchar.

- To taki ważny mecz?

- Pewno, ludzie biją się o bilety, cały szpan, żeby siedzieć na trybunie, jak jest Superpuchar.

Wszyscy idą o zakład, że do finałów dojdą właśnie Szturmowcy i Wikingowie, ale tak naprawdę, to wcale nie wiadomo, kapujesz?

- Mówisz, że prezydent Fowler to taki kibic?

- Tak słyszałem. W Waszyngtonie ciągle go widać, jak grają Czerwonoskórzy.

- Nie boją się go puszczać na trybunę? - zapytał Bock.

- Ani podejść. Prezydent siedzi w specjalnej loży, na pewno dali tam pancerne szyby i w ogóle.

Straszna głupota, skomentował w myśli Bock. Na stadionie łatwiej, oczywiście, zapewnić bezpieczeństwo niż mogłoby się to wydawać postronnym. Ciężki sprzęt, czołg czy armatę można wprowadzić tylko przez bramę wjazdową, której łatwo upilnować. Ale z drugiej strony...

Bock przymknął oczy. W głowie czuł gonitwę myśli, gdyż wciąż wahał się między rozwiązaniem konwencjonalnym a bombą. Wiedział, że za dużo uwagi poświęca rzeczy nieistotnej. Przydałoby się, rzecz jasna, zabić amerykańskiego prezydenta, lecz nie było to wcale niezbędne. Niezbędne dla powodzenia planu było zgładzenie możliwie dużej liczby osób w możliwie widowiskowy sposób i koordynacja tej masakry z innymi akcjami, co w sumie miało wywołać...

Myśl! Skup się na planie akcji!

- Ta transmisja jest chyba strasznie ważna - zauważył Bock po dłuższej chwili.

- Jasne, ludzie ze skóry wyłażą, żeby wszystko grało. Przewoźne anteny satelitarne i co tam jeszcze - burknął Russell, który całą uwagę skupił na grze. Wikingom udało się zdobyć punkty za "touchdown", cokolwiek to znaczyło. Wynik wynosił obecnie dziesięć zero. Przeciwna drużyna zaczęła teraz pędzić w drugą stronę.

- Pamiętasz, czy były incydenty na takich meczach?

- Co mówisz? - Marvin odwrócił się do Günthera. - A, pewnie, jak była wojna z Irakiem, strasznie pilnowali kibiców, robili rewizje, i co chcesz. Poza tym pamiętasz tamten film...?

- Film? - zdziwił się Bock

- Film, przygodowy, nazywał się chyba "Czarna niedziela". O terrorystach gdzieś z Bliskiego Wschodu, którzy próbują rozwalić stadion pełen ludzi. Widzisz, nie pierwszy wpadłeś na ten pomysł - zaśmiał się Russell. - Hollywood cię wyprzedziła. Ci terroryści na filmie uprowadzili najpierw sterowiec, więc kiedy grano Superpuchar w czasie wojny z Irakiem, sterowiec telewizji miał zakaz lotów nad stadionem.

- W Denver też grają dziś mecz?

- Nie, dopiero jutro wieczorem. Mustangi przeciwko Orłom Morskim. Marny mecz, Mustangi jeszcze się nie pozbierały po zeszłym roku.

- Ach tak? - skwitował wieść Bock i zszedł do recepcji, żeby zamówić na następny dzień bilety lotnicze do Denver.

Cathy wstała razem z Jackiem, zrobiła mu nawet śniadanie. Jej troskliwość w ciągu ostatnich paru dni doprowadzała Jacka do rozpacz. Trudno było mu się jednak skarżyć na żonę i jej gesty, choć drażnił go nawet sposób, w jaki go zegnała, poprawiając mu krawat i całując jeszcze przed progiem. Uśmiech, czułe spojrzenie, a wszystko to dla męża, któremu nie staje, pomyślał ponuro Jack, maszerując do samochodu. Taką samą troskliwą opieką otacza się żywe trupy na wózkach inwalidzkich.

- Witam doktora.

- Jak się masz, John.

- Oglądał pan wczoraj mecz Wikingów ze Szturmowcami?

- Nie dałem rady, syn chciał iść na mecz baseballowy, kupiłem bilety na Wilgi. Przerżnęli sześć do zera. - Nawet przy ostatnim pieskim szczęściu Jack Ryan mimo wszystko zdołał spełnić obietnicę i zabrał syna na mecz. Przynajmniej tyle mu się udało.

- Była dogrywka, końcowy wynik dwadzieścia cztery do dwudziestu jeden. Boże, ten ich chłopak, Wills, jest niewiarygodny. Przydusili go na dziewięćdziesięciu sześciu jardach, ale wszystko zależało od niego, więc wyrwał na dwadzieścia jardów i zdobył punkt - dzielił się wrażeniami Clark.

- Postawiłeś coś na ten mecz?

- W agencji, pięć dolców, ale pomyliłem się o dwa punkty. Trudno, forsa pójdzie na fundusz.

Ryan nareszcie się uśmiechnął. W CIA, podobnie jak we wszystkich instytucjach rządowych, hazard był surowo wzbroniony, lecz gdyby ktoś serio chciał zakazać biurowego totalizatora futbolowego, skończyłoby się to przewrotem pałacowym. Jack mógł się założyć, że to samo dotyczy FBI, które chroniło przed zalewem hazardu wszystkie stany kraju. Niepisana zasada głosiła, że wolno się pomylić tylko o pół punktu, a w wypadku nieprzewidzianego remisu cały bank dostawał się organizacji charytatywnej CIA, czyli właśnie Funduszowi Edukacyjnemu. Nawet dyrektor generalny z komórki nadzoru kadr przymykał oczy na ten proceder, czy wręcz sam stawiał pieniądze na swoją drużynę.

- Wygląda, że się pan trochę zdążył wyspać - zauważył Clark. Dojeżdżali już do drogi numer pięćdziesiąt.

- Osiem godzin - odrzekł Jack. Poprzedniego wieczora sam próbował się czymś wykazać, lecz Cathy powiedziała mu "nie". "Jesteś przemęczony, Jack, i stąd to wszystko. Za dużo pracujesz, odsapnij najpierw trochę". Jack zezłościł się, gdyż poczuł się po tych słowach jak sforsowany ogier rozplodowy.

- No to fajnie - ucieszył się Clark. - Chyba że żoneczka chciała coś tego, co?

Ryan bez słowa obserwował szosę. Po dłuższej chwili zapytał:

- Gdzie teczka?

- Tu mam.

Ryan otworzył szafkę i zabrał się za meldunki z soboty i niedzieli.

Udało im się złapać wczesne połączenie z waszyngtońskiego National bezpośrednio do portu lotniczego Stapleton International w Denver. Prawie przez cały lot mieli bezchmurną pogodę, a siedzący przy oknie Bock mógł do woli przyglądać się Ameryce, którą widział po raz pierwszy. W typowy dla Europejczyków sposób Bock zdumiał się, czy wręcz zląkł się rozmiarów i różnorodności krainy. Lesiste stoki Appalachów, uprawne równiny Kansas, upstrzone zielonymi kręgami ruchomych deszczowni, wreszcie niesamowita ściana Gór Skalistych, zamykająca preię tuż za Denver; nic dziwnego, że Marvin wciąż plół o ziemi wydartej jego przodkom. Co za brednie. Przed nadejściem cywilizacji Indianie byli koczowniczymi dzikusami, którzy ciągnęli w ślad za stadami bizonów czy inną zwierzyną. Ameryka mogła sobie być wrogiem Russella, lecz ze swoją imponującą cywilizacją jawiła się jako wróg szczególnie niebezpieczny. Kiedy samolot schodził do lądowania, Bock poczuł, że nie wytrzyma ani chwili dłużej bez papierosa. W dziesięć minut uwinęli się z wynajęciem samochodu i rozłożyli mapę. Bockowi kręciło się w głowie, gdyż na tej wysokości dało się już odczuć brak tlenu. Tysiąc pięćset metrów nad poziomem morza, zdumiał się jeszcze raz. Cud, że ktokolwiek ma siłę grać tutaj w futbol amerykański.

Samolot przybył do Denver już po godzinach porannego szczytu, więc droga na stadion nie była

uciażliwa. Nowy Skydome leżał na południowy zachód od miasta i wystrzelał wieloma piętami w górę z rozległej płaskiej równiny, na której urządzono gigantyczny parking. Russell zatrzymał wóz niedaleko kas, gdyż Bock uznał, że najprostsze metody są najskuteczniejsze.

- Czy ja dostać jeszcze dwa bilety na mecz, dzisiaj? - zapytał Bock kasjerki.

- Oczywiście, zostało jeszcze kilkaset miejsc. Gdzie pan chciałby siedzieć?

- Ja to nie znam tego stadionu.

- Pan pewnie z daleka, co? - zauważyła kasjerka z przyjaznym uśmiechem. - Zostały mi tylko rzędy na górnej trybunie, sektor sześćdziesiąty szósty i sześćdziesiąty ósmy.

- Dwa bilety poproszę. Mogę zapłacić gotówką, nie kartą?

- Jasna sprawa. Wolno zapytać, skąd pan jest?

- Z Danii - odparł Bock.

- Naprawdę? Witamy w Denver! Miłego meczu.

- Mogę się tam rozejrzeć, żebym wiedział, gdzie siedzę?

- W zasadzie nie, ale nikt się nie przyczepi.

- Dziękuję serdecznie. - Bock również uśmiechnął się do idiotki z okienka.

- Naprawdę mieli jeszcze miejsca na dziś? - nie dowierzał Marvin. - Ja się zabiję!

- Chodź, zobaczymy, jak to wygląda.

Bock skierował się do najbliższej otwartej bramy, tuż obok rzędu wielkich wozów transmisyjnych sieci ABC z antenami satelitarnymi na dachach. Ekipy przygotowywały się do wieczornej transmisji. Bock po starannych oględzinach przekonał się, że w tym miejscu wychodzą na parking kable od wszystkich kamer na stadionie, przeprowadzone specjalną studzienką. Miał więc pewność, że wozy telewizyjne zawsze parkują w tym właśnie miejscu, obok bramy numer pięć. Na placu uwijała się gromadka techników, rozstawiając sprzęt. Bock ruszył najbliższą pochylnią w stronę trybun, umyślnie kierując się w złą stronę.

Stadion mieścił sześćdziesiąt tysięcy osób, może nawet więcej. Trybuny miały trzy poziomy, zwane parterem, balkonem i jaskółką. Oprócz tego widać też było dwa rzędy oszklonych łóż, na oko wręcz luksusowych, budowla mogła imponować skalą i rozmachem, z jakim pięły się w górę betonowe filary i przypory. Pola widzenia nie przesłaniały kibicom żadne słupy ani mury. Doskonały stadion. Pierwszorzędny cel. Na północ od parkingu ciągnęły się w nieskończoność hektary parterowych domków. Na wschód od stadionu wznosiło się kilka niewielkich biurowców ośrodka administracyjnego. Stadion leżał na dalekich przedmieściach Denver, lecz nie było na to rady. Bock znalazł swoje krzeselko i usiadł na nim, próbując określić busolą strony świata i miejsce, gdzie stały wozy transmisyjne. To ostatnie zadanie było łatwe, bo nad jedną z kabin transmisyjnych powiewał proporzec telewizji ABC.

- Hej tam! - rozległo się wołanie.

- Co się stało? - Bock podniósł wzrok na strażnika.

- Tu nie wolno się kręcić.

- To przepraszam. - Bock wy dobył swoje bilety. - Kupiłem je właśnie, więc chciałem znaleźć miejsca, żeby wiedzieć, gdzie mam zaparkować, pierwszy raz będę na meczu w Ameryce - dodał Bock z silnym akcentem europejskim. Słyszał kiedyś, że Amerykanie są wyjątkowo grzeczni dla Europejczyków.

- Musi pan zaparkować w sektorze A albo B. Najlepiej przyjechać wcześniej, tak przed piątą, potem robią się straszne korki, że ani dojechać. Bock energicznie pokiwał głową na znak, że rozumie, i podziękował.

- Już sobie idę.

- Nie ma problemu, krzyczałem dlatego, że z reguły nie wpuszczamy nikogo na trybuny. Potknie się jeden z drugim, złamie nogę i zaskarży dyrekcję o odszkodowanie.

Bock i Russell wrócili do samochodu. Najpierw jednak okrążyli cały stadion wokół dolnego poziomu, gdyż Günther chciał zapamiętać jego rozkład. Trudził się niepotrzebnie, bo na ulotce reklamowej znaleźli dokładny plan całego obiektu.

- Przyjrzałeś się, tak jak chciałeś? - zapytał Marvin, kiedy wrócili do samochodu.

- Tak, chyba tak.

- Powiem ci, że to sprytny plan - rozmarzonym głosem oświadczył Indianin.

- Niby dlaczego? - podskoczył Bock.

- No, że chcesz im rozwalić te wozy transmisyjne. Rewolucjoniści przeważnie nie patrzą na psychologiczną stronę roboty. Wcale nie trzeba robić żadnej rzezi, wystarczy nastraszyć ludzi, wkurzyć ich, i tyle. Mam rację?

Bock zatrzymał się przed bramą parkingu i spojrzał na Indianina.

- Wiele się przy nas nauczyłeś, przyjacielu.

- Pasjonujące - zauważył Ryan, przerzucając kolejne stronicę.

- Nie wiedziałam, że tam już takie afery - zgodziła się Mary Patricia Foley.

- A jak się czujesz?

Pytanie zaskoczyło funkcjonariuszkę.

- Hmm, Clyde wyjdzie lada moment. Jeszcze trochę i odpłyną mi wody.

- Clyde? - zdziwił się Jack Ryan.

- Tak go między sobą nazywamy. Jego, czy ją, zobaczymy.

- Gimnastykujesz się?

- Schwarzenegger mógłby mi pozazdrościć formy. Ed kazał odmalować cały żłobek, poskręcał łóżeczko... Wszystko gotowe, Jack

- Ile chcesz wziąć urlopu?

- Cztery tygodnie, może sześć.

- Chciałbym, żebyś to jeszcze raz przejrzała w domu - odezwał się Ryan, zaczytany teraz w stronie numer dwa.

- Jak mi zapłacisz za nadgodziny - Mary Pat roześmiała się.

- A jakie jest twoje zdanie, M. Pat?

- Według mnie ŻAGIEL to nasz najlepszy człowiek w Moskwie. Jeżeli tak napisał, prawdopodobnie tak jest.

- Żadne inne źródło nie donosi o czymś podobnym.

- Właśnie po to werbuje się agentów na wysokich szczeblach.

- Fakt - Ryanowi trudno się było z tym nie zgodzić.

Meldunek od agenta o kryptonimie ŻAGIEL nie oznaczał może końca świata, lecz mógł stanowić pierwszy ostrzegawczy pomruk, jaki słyszy się przed wielkim trzęsieniem ziemi. Odkąd Rosjanie zdecydowali się wypuścić dzina z butelki, Związek Radziecki zapadł na ostrą polityczną schizofrenię. Zły termin, pomyślał Ryan. Trafniej byłoby nazwać przypadłość rozszczeniem osobowości. Na moskiewskiej scenie działało obecnie pięć zasadniczych ugrupowań politycznych: fanatyczni komuniści, którzy najmniejsze odejście od Prawdziwej Drogi uważali za błąd (nazywano tę grupę także "Naprzód w świetlaną przeszłość"). Po nich szli postępowi socjaliści, marzący o stworzeniu socjalizmu z ludzką twarzą (eksperyment ten zrobił szczególną klapę w Massachusetts, zauważył Jack ironicznie). Następni szli centryści, którzy marzyli o prawdziwym kapitalizmie przy

zachowaniu wszystkich świadczeń państwa wobec obywateli (ekonomiści nazywali to łączeniem najgorszych cech obu systemów). Jako czwartą grupę można było wymienić reformistów, którzy żądali niewielu świadczeń i mnóstwa kapitalizmu (lecz nikt nie wiedział na razie, czym się je ten kapitalizm, z wyjątkiem rosnącego w szybkim tempie sektora przestępczego). Wreszcie istniało jeszcze prawe skrzydło, wzywające do utworzenia silnego, prawicowego rządu podobnego do dyktatury (takiego samego, jaki wywołał swą działalnością rewolucję bolszewicką siedemdziesiąt i więcej lat wcześniej). Obie grupy ekstremistów miały może po dziesięć procent mandatów w Zjeździe Deputowanych Ludowych. Pozostałe osiemdziesiąt procent rozkładało się równo na trzy ugrupowania bliższe centrum. Ewentualne sojusze komplikowała, oczywiście, co rusz ta czy inna kwestia sporna, zwłaszcza sprawy ochrony środowiska. Najgroźniejszą i najmniej znaną kartą w tej talii była nieuchronna secesja części republik, od dawna wyrwających się spod wielkorosyjskiego jarzma, a już zwłaszcza od czasów, kiedy Moskwa narzuciła wszystkim tę samą strukturę polityczną. W łonie każdego z pięciu ugrupowań działały ponadto rozmaite frakcje. Wśród prawicy, na przykład, sporo się ostatnio mówiło o zaproszeniu do Moskwy ostatniego z dynastii Romanowów, nie po to, by zasiadł na carskim tronie, lecz aby przyjął półoficjalne przeprosiny za wymordowanie jego krewnych. Taki przynajmniej pretekst. Jack powtarzał, że ten, kto wpadł na ten pomysł, to albo najbardziej naiwny skurwysyn od czasów Kubusia Puchatka, albo polityk o niebezpiecznie uproszczonym myśleniu. Na całe szczęście, paryska placówka CIA donosiła, że Wielki Książę Wszechrosji lepiej się orientuje w polityce niż jego moskiewscy dobroczyńcy. Na nieszczęście jednak polityczne i gospodarcze położenie ZSRR wyglądało po prostu beznadziejnie. Meldunek ŻAGLA wzmógł tylko obawy. Andriej Iljicz Narmonow trwał przyparty do muru, bez nowych opcji politycznych, bez sojuszników, bez nowych pomysłów, bez pola manewru, i najmniejszej rezerwy czasowej. ŻAGIEL donosił, że Narmonow nadmiernie się przejmuje kwestią narodowościową, wręcz do tego stopnia, że planuje wzmocnić aparat przemocy - MWD, KGB i wojsko - by siłą bronić imperium przed rozsypką. ŻAGIEL twierdził jednak, że wojsku wcale nie w smak taka misja, zwłaszcza że Narmonow znów zamierzał uciec się do półśrodków.

Na temat politycznych ambicji Armii Czerwonej, a później Armii Radzieckiej, snuto domysły od czasów Lenina. Pomysł nie był więc nowy. Pod koniec lat trzydziestych Stalin wykosił większość korpusu oficerskiego. Panowało dziś zgodne przekonanie, że marszałek Tuchaczewski nie zagrażał mu jako rywal, chodziło o kolejny zbrodniczy przejaw stalinowskiej manii prześladowczej. W latach pięćdziesiątych to samo, co Stalin, uczynił z armią Chruszczow, który jednak umiał się obejść bez owych egzekucji. Chruszczow podjął taką decyzję, gdyż chciał zaoszczędzić pieniędzy na czołgach i oprzeć się zamiast na nich na broni rakietowej. Również Narmonow posłał na emeryturę całkiem pokaźną grupę generałów i pułkowników. W tym wypadku chodziło wyłącznie o stworzenie dobrej atmosfery do ogólnych cięć w całym budżecie zbrojeniowym. Tym razem jednak oszczędnościom w wydatkach na wojsko towarzyszył renesans ambicji politycznych. Po raz pierwszy zaistniał wewnątrz ZSRR masowy ruch opozycyjny, a tymczasem podatna na te głosy armia miała w ręku wszystkie karabiny. Aby zapobiec podobnym planom, od pokoleń istniał Trzeci Zarząd KGB, złożony z oficerów w wojskowych mundurach, którzy mieli oko na wszystko, co działo się w szeregach. W dzisiejszych czasach Trzeci Zarząd zachował już tylko cień dawnej potęgi. Wojskowym udało się przekonać Narmonowa, że jeżeli chce osiągnąć swój cel, w postaci autentycznej zawodowej armii, wiernej nie tyle partii, ile ojczyźnie i nowej konstytucji, KGB musi zniknąć z koszar. Historycy wszystkich czasów niezmiennie określają własną epokę jako przejściową. Tym razem mieli świętą rację, pomyślał Jack Ryan. Co takiego, jeżeli nie epoka przejściowa? Dla Moskwy przejściowość i wynikała ze zmiany przynależności do światów politycznych i gospodarczych. Stary i nowy świat

szyły o lepsze, rzeczywistość chwiała się, wciąż więc nie było wiadomo, który świat przeważy. W tej sytuacji politycznej Związek Radziecki stawał się niebezpiecznie narażony... Na co? Na co tylko zechcesz, dokończył Jack w myśli.

ŻAGIEL informował, że wzmożły się naciski na Narmonowa, by zawarł układ z generalicją, częścią ugrupowania przezywanego "Naprzód w świetlaną przeszłość". Ugrupowania prawdziwych komunistów. Istnieje niebezpieczeństwo, stwierdzał meldunek, że ZSRR stanie się znowu zmilitaryzowaną dyktaturą zwalczającą wszelkie reformy demokratyczne. Narmonow nie wytrzymał napięcia i poszedł na ugodę.

- ŻAGIEL pisze, że spotkał się z Narmonowem w cztery oczy - stwierdziła Mary Pat - W wywiadzie trudno żądać czegoś więcej.

- Też fakt - zgodził się Ryan. - Niewesoły ten meldunek.

- Mnie nie chodzi już nawet o powrót do marksistowskich rządów... Bardziej mnie niepokoi...

- Wiem, co. Wojna domowa.

Wojna domowa w państwie, które posiada trzydzieści tysięcy głowic jądrowych. Dziękuję bardzo.

- Dotąd zasada była taka, żeby zostawiać Narmonowowi maksymalną swobodę manewru, ale jeśli nasz przyjaciel pisze prawdę, jest to zła polityka.

- Co powiedział Ed?

- Myśli to samo, co ja. Ufamy Kadyszewowi. Sama go zwerbowałam, Ed i ja czytaliśmy wszystkie jego meldunki. Sprawdza się jako agent. Jest bystry, dobrze ustawiony, spostrzegawczy, nie da sobie pluć do zupy... Nie pamiętam, żeby nam kiedykolwiek przysłał byle co.

- Ja też nie pamiętam - przytaknął Jack.

- A widzisz.

Ryan osunął się na oparcie fotela i rzekł znękanym głosem:

- Chryste, jak ja lubię te proste zagrania... Sam nie wiem, M. Pat. Swego czasu osobiście spotkałem raz Narmonowa, pamiętasz? Inteligentny, twardy zawodnik. Od razu wiadomo, co ma w spodniach.

Jack urwał, dopowiadając sobie w myśli, że o nim samym nie da się już tego powiedzieć.

- Wszyscy jesteśmy tylko ludźmi. Najtwardsi też w końcu miękną. - Mary Pat Foley uśmiechnęła się z zakłopotaniem. - Ojej, niefortunna metafora. Każdy się w końcu kiedyś wyprztyka. Stres, nerwy, długie godziny w siodle. Młyn codzienności. Myślisz, że dlaczego tak mi potrzebny ten urlop? Cięża to wspaniały wykręt, Jack. Życie z noworodkiem to piekło, ale przynajmniej przez miesiąc będę miała zwyczajne, prawdziwe życie, a nie ten biurowy kołowrót Mamy przynajmniej tę jedną przewagę nad mężczyznami. Mężczyźni nie mają się gdzie schować, nie tak jak kobiety. Może to gnębi ostatnio Andrieja Iljicza? Do kogo ma iść po dobrą radę? Kogo prosić o pomoc? Siedzi na górze już tyle lat, walczy z coraz gorszą sytuacją, kończy mu się paliwo... To samo pisze nam o Narmonowie ŻAGIEL, zgadzają się wszystkie fakty.

- Oprócz jednego, że o tej historii słyszymy wyłącznie od ŻAGLA.

- Bo to najlepszy agent wśród ich elity.

- Masło maślane, Mary Pat.

- Jack, przedstawiłam ci meldunek i moją oficjalną opinię - zdenerwowała się Mary Pat Foley.

- Czy ja coś mówię? - Jack odłożył raport na biurko.

- A co masz zamiar im powiedzieć?

Słowo "oni" dotyczyło najwyższej elity władzy: Fowlera, Liz Elliot i Talbota.

- Nie wiem, pewnie się zgodzę z twoją oceną. Nie podpisałbym się pod nią oburącz, ale nie

mam lepszego argumentu. Poza tym, kiedy ostatni raz wymogłem na tobie zmianę opinii, okazało się, że to ty masz rację.

- Wiesz, Jack? Porządny z ciebie szef.

- A z ciebie podwładny. Lepiej zjedź mi z pleców.

- Każdemu trafi się słabszy dzień - westchnęła Mary Foley i niezdarnie wstała z fotela. -

Poturlam się do siebie.

Jack zerwał się z biurka i otworzył przed Mary drzwi.

- To kiedy rodzisz?

- Trzydziestego pierwszego października - Mary Pat odwzajemniła uśmiech. - W Zaduszki. Ale

zawsze się spóźniałam, i zawsze rodziłam grubasy.

- Uważaj na siebie - pożegnał ją Jack i zajrzał do gabinetu dyrektora Agencji.

- Lepiej niech pan zaraz na to spojrzysz.

- Coś z Narmonowem? ŻAGIEL podobno znów coś przysłał?

- Dobrze panu ktoś powiedział.

- Kto robi analizę meldunku?

- Sam zrobię - oświadczył Ryan. - Muszę najpierw to i owo posprawdzać.

- Jutro mam być w Białym Domu. Wolałbym mieć już coś w ręku.

- Napiszę jeszcze dziś wieczór.

- Świetnie. Dziękuję, Jack.

Najlepsze miejsce, powtarzał sobie Günther, obserwując pierwszą ćwiartkę meczu. Stadion mieścił dokładnie sześćdziesiąt dwa tysiące siedemset dwudziestu kibiców. Można doliczyć następny tysiąc sprzedawców, uwijających się wzdłuż trybun z parówkami i napojami. Choć mówiono, że dzisiejszy mecz to nic takiego, widać było, że Amerykanie traktują swój futbol z równą powagą, jak Europejczycy piłkę nożną; zadziwiająco dużo kibiców pomalowało sobie twarze na kolor koszulek i jednej bądź drugiej drużyny. Kilku obnażyło się nawet do pasa i pomalowało sobie torsy, imitując klubowy strój z wielkim numerem na plecach. Na górnych trybunach zawieszono przeróżne transparenty, które miały zagrzewać do walki. Wzdłuż krawędzi boiska płaśał szereg młodych kobiet, dobranych ze względu na umiejętności taneczne i inne walory. Tancerki poddawały kibicom wciąż nowe okrzyki. Bock dowiedział się też, jak wygląda osobliwa owacja nazywana Fałą.

Nauczył się też wielu nowych rzeczy na temat amerykańskiej telewizji. Rozwrzeszczany, olbrzymi tłum potulnie przyjmował przerwy w grze, podczas których sieć ABC urozmaicała transmisję reklamami. Na najbardziej cywilizowanym europejskim stadionie taka przerwa doprowadziłaby raz dwa do zamieszek. Telewizja decydowała również o przebiegu gry. Całe boisko roiło się od sędziów w pasiastych koszulkach, lecz nawet ich nadzorowały kamery i specjalny kontroler, który - jak opowiedział Bockowi Russell - po każdej kolejce meczów ogląda wszystkie taśmy z przebiegu spotkań i wyrokuje, czy poszczególne decyzje sędziów były słuszne czy nie. Nie koniec na tym, bo dwa gigantyczne ekrany telewizyjne przedstawiały te same powtórki spornych zagrań na użytek kibiców. Gdyby spróbowano takich sztuczek w Europie, po każdym meczu znoszono by z boiska i z trybun parę ofiar. Bockowi połączenie hałaśliwego entuzjazmu i cywilizowanego szacunku dla zasad wydawało się niewiarygodne. Sama gra nie zachwycała go, choć widział, jak bardzo podnieca się nią Russell. Między ostrymi starciami, z których słynie futbol amerykański, następowały długie chwile bezruchu. Brutalne zderzenia nie były aż tak niebezpieczne, gdyż każdy z graczy miał na sobie tyle gąbki i ochraniaczy, że wyeliminować go z gry można było tylko pistoletem. Zawodnicy byli rzeczywiście potężni, jeden w drugiego po sto kilo żywej wagi. Łatwo było się

śmiać z ospałych osiłków; trwało to do chwili, kiedy gracze drugiej linii wyrwali się naprzód z szybkością i zwinnością, której Bock nigdy by się po nich nie spodziewał. Co tu jednak mówić, zasady gry były zupełnie niepojęte. Bock nie lubił zresztą gier zespołowych. Jako chłopiec grał trochę w piłkę, ale była to dla niego zamierzchna przeszłość.

Zamiast patrzeć na graczy, Günther znów zaczął się przyglądać konstrukcji stadionu. Nad potężnymi, niebosiężnymi trybunami widniało jeszcze łukowate stalowe zadaszenie. Wszędzie strzałki wskazujące drogę do licznych toalet i ogromna kolekcja stoisk, przeważnie z cienkim amerykańskim piwkiem. Łącznie sześćdziesiąt pięć tysięcy osób, wliczając policjantów, handlarzy, ekipy telewizji, ludzi w pobliskich osiedlach... Bock zdał sobie sprawę, że za mało wie o skutkach wybuchu jądrowego, by móc ocenić łączną liczbę przyszłych ofiar. Może ich być nawet sto tysięcy. Albo jeszcze więcej. Wystarczy. Ciekawe, ile ze zgromadzonych dzisiaj kibiców przyjdzie na Superpuchar. Pewnie większość. Siedzieli oto na wygodnych krzeselkach, pili zimne, słabe piwo, pożerali parówki i solone orzeszki... Bock pomagał w dwóch akcjach na samoloty pasażerskie. Za pierwszym razem bomba rozsadziła samolot w powietrzu, za drugim próba porwania skończyła się bardzo niedobrze. W tamtym okresie Bock często snuł fantazje na temat ofiar, które siedzą rozwalone w fotelach, jedzą kiepskie dania z plastikowych tacek, oglądają film i nie wiedzą nawet, że są całkowicie na łasce ludzi, których nawet nie znają. I nie poznają. Na tym polegało piękno takich akcji: Bock wiedział, co się stanie, podczas gdy ofiary do końca pozostawały nieświadome. Było się wówczas panem ludzkiego życia i śmierci, na dobrą sprawę było się więc Bogiem. Bogiem - szepnął Bock, omiatając wzrokiem tłum na trybunach. Było się oczywiście Bogiem okrutnym i nieczułym, lecz przecież historia także jest wobec ludzi okrutna i nieczuła.

Tak, idealne miejsce.

ROZWÓJ

- Naprawdę trudno mi w to uwierzyć, admirale - oświadczył Ricks najspokojniej jak tylko mógł. Z urlopu na Hawajach wrócił opalony i wypoczęty. Po drodze zatrzymał się, oczywiście, w Pearl Harbor, gdzie obejrzał sobie bazę flotyli podwodnej i marzył o dowództwie Dywizjonu Pierwszego. Był to dywizjon patrolowych okrętów podwodnych, lecz jeżeli patrolowiec w rodzaju Mancusa mógł zostać zwierzchnikiem dywizji raketowych boomerów, uczciwa gra zobowiązywała szefostwo marki wojennej także do odwrotnych manewrów.

- Doktor Jones jest znakomitym fachowcem - powtórzył Bart Mancuso.

- Nie wątpię w jego umiejętności, ale nasi ludzie również analizowali te zapisy.

Procedura przeszła w rutynę trzydzieści lat wcześniej. Taśmy z echami zarejestrowane na okręcie podwodnym podczas patrolu raz jeszcze przesłuchiwała w bazie ekipa ekspertów, którzy doszukiwali się pomyłek pracy hydroakustyków pokładowych. Chodziło o to, by się ostatecznie upewnić, że żaden okręt przeciwnika nie śledzi jednostki z raketami strategicznymi na pokładzie.

- Ten cały Jones był podobno najlepszym hydro we flocie, ale teraz ma własną firmę, podpisał kontrakt z marynarką i musi pokazać, że nie bierze pieniędzy za darmo, prawda? Nie oskarżam go o nieuczciwość, taka już jego rola, żeby wyszukiwać anomalie. Z rozmaitych przypadkowych dźwięków ukuł hipotezę, i tyle. Tych danych nie da się jednoznacznie zinterpretować, ani na tak, ani na nie, powiem więcej, do diabła: te dane to czysta spekulacja. Tak czy inaczej, wszystko sprowadza się t jednego pytania: czy ta sama załoga, która umiała wyłowić echo ego 688, nie potrafiła usłyszeć rosyjskiej akuly? Jak to w ogóle możliwe?

- Dobrze pytanie. Dlatego Jones wcale nie twierdzi, że ma stuprocentową rację. Określa prawdopodobieństwo jak jeden do trzech.

- Prędzej już jedna szansa na tysiąc, lekko licząc - sprzeciwił się Ricks.

- Wszystko prawda i dlatego dowództwo grupy zgadza się z pańską oceną. Trzy dni temu pokazałem ten zapis ludziom z OP-02, powiedzieli mi to samo, co pan.

Ricks chciał zapytać, po co w takim razie cała ta rozmowa, lecz nie śmiał.

- Kiedy wychodziliśmy w morze, sprawdzono naszą emisję akustyczną, prawda?

- Owszem - przytaknął Mancuso - Ośluchał was nasz 688, świeżo po przeglądzie, wszystkie dupersznyty na miejscu. ?

- I co?

- "Maine" to naprawdę czarna dziura. Akustycy z 688 zgubili echo na dwóch tysiącach dziewięciuset metrach przy pięciu węzłach prędkości.

- Co w takim razie napiszemy w raporcie? - zapytał Ricks możliwie beztrioskim głosem. Chodziło o jego osobistą teczkę, więc nie było żartów, Tym razem zmarszczył czoło Mancuso, który nie przemyślał tej sprawy do końca. Biurokratyczna część jego natury podpowiadała mu, że wszystko zrobił zgodnie z przepisami. Wysłuchał analityka, skierował notatkę o odkryciu Jonesa drogą służbową do dowództwa grupy, do dowództwa Floty i do ekspertów Pentagonu. Wszystkie odpowiedzi były negatywne: zgodnie stwierdzono, że doktor Jones cierpi chyba na manię prześladowczą. Na nieszczęście Mancuso przez dobre trzy lata pływał z Jonesem na USS "Dallas" i przekonał się, że jego hydroakustyk nigdy nie podnosi alarmu bez przyczyny. Jones nie pomylił się

nigdy. Ani razu. W dodatku po Zatoce Alaski rzeczywiście buszowała wówczas akula. Gdzie podziewał się "Admirał Łunin" od chwili, gdy patrolowy samolot P-3 zgubił jego echo do momentu, w którym okręt wynurzył się przed Pietropawłowskiem? Zniknął z powierzchni planety? Jeżeli zakreśliło się na mapie kilka okręgów, oznaczających prędkość i upływ czasu, okazywało się, że Łunin mógł spokojnie przebywać w sektorze patrolowym "Maine", tak jak mógł opuścić poblizę amerykańskiego okrętu podwodnego o oznaczonym czasie i o oznaczonym czasie zameldować się w bazie. Była jednak inna możliwość, i to cholernie prawdopodobna; mianowicie, że "Admirał Łunin" trzymał się setki mil od USS "Maine", co tłumaczyłoby fakt, że ani "Maine", ani "Omaha" nie wykryły Rosjanina. Czy to możliwe, żeby dwa najnowocześniejsze okręty podwodne w całej flocie nie domyśliły się, że w pobliżu kręci się radziecki okręt podwodny?

Raczej niemożliwe.

- Wie pan, czym się niepokoję?

- Nie, czym?

- Tym, że pływamy na tych naszych atomowych boomerach od ponad trzydziestu lat i przez cały ten czas nikt nie umiał nas wytropić na głębokich wodach. Kiedy byłem jeszcze pierwszym oficerem na USS "Hammerhead", próbowaliśmy podejść "Georgię" i dostaliśmy po tyłku. Kiedy dowodziłem "Dallas", nigdy nie próbowałem podejść innego Ohio, a ćwiczenia, kiedy musieliśmy podejść po cichu do USS "Pułaski" pamiętam do dziś jako najtrudniejsze w życiu. Potrafiłem za to spokojnie podejść Deltę, Tajfuny i co tam jeszcze zwodowali Rosjanie. Ich Victorom pstrykałem zdjęcia pod wodą. Zrobiliśmy się tacy dobrzy w tej sztuce... - Dowódca dywizjonu zmarszczył brwi. - Panie Ricks, spoczęliśmy na laurach.

Nawet słysząc taką nedorzecznosc, Ricks zdołał się opanować i spokojnie tłumaczył:

- Co w tym dziwnego, przecież naprawdę zdobyliśmy te laury. Jedyni, którzy nam dorównują, to Brytyjczycy, ale ostatnio wyrwali się daleko przed nich. Reszta flot gra w drugiej lidze. A propos, wpadłem na taki pomysł.

- Mianowicie?

- Rozumiem, że martwimy się o naszego pana akulę. Rzeczywiście, mamy z nim kłopot. To dobry okręt, prawie taki sam jak ostatnie z serii naszych 637, a w Rosji na pewno najlepszy, jaki kiedykolwiek spuszczone na wodę. W porządku, regulamin nakazuje nam zmykać, jeśli ktokolwiek zacznie płynąć w naszą stronę, ale sam pan wpisał Rossellemu pochwałę, że złamał tę zasadę i tak ładnie wytropił tę samą akulę. W sztabie grupy pewnie zmyli panu za to głowę.

- Zgadł pan. Kręcili trochę nosami na cały incydent, ale jeśli nie podoba im się to, jak dowodzę dywizjonem, mogą sobie zawsze poszukać innego dowódcy.

- Czy wiemy coś więcej o "Admirale Łuninie"?

- Jest w stoczni, przechodzi okresowy remont. Wyjdzie podobno w końcu stycznia.

- Doświadczenie uczy, że wyjdzie trochę wyciszony.

- Pewnie tak. Słyszałem jeszcze, że Rosjanie zamontują na nim nowy hydrolokator, klasy naszych sprzed dziesięciu lat - dodał Mancuso.

- Trzeba jeszcze uwzględnić wyszkolenie obsługi, ale i tak nie mogą nam podskoczyć, daleko im do tego. Możemy to udowodnić.

- W jaki sposób? - zaciekał się Mancuso.

- Mógłby pan na przykład zaproponować dowództwu grupy, że jeśli ktoś z naszych natknie się na akulę, ma ruszyć za nią, agresywnie. Niech nasze patrolowce spróbują podejść naprawdę blisko. A jeżeli na akulę natrafi któryś z naszych boomerów i będzie mógł podejść nie ryzykując, że się odkryje, niech podchodzi. Musimy przecież zdobyć informacje o tym nowym namierniku. Jeśli to

rzeczywiście coś groźnego, będziemy mieli przynajmniej świeże dane.

- Wie pan chyba, że w sztabie grupy dostaną kota, kiedy to usłyszą? Nie spodoba im się wcale taki pomysł...

Ricks widział jednak, że pomysł spodobał się Mancusowi, a o to właśnie chodziło. Przyciskał więc dalej dowódcę dywizjonu:

- I co z tego? Jesteśmy poza konkurencją. Wie pan o tym tak samo dobrze, jak ja. Sztab też o tym wie. Zresztą nałożymy sobie jakieś rozsądne ograniczenia.

- Jakie na przykład?

- Zaraz, na jaką odległość udało się podejść okręt typu Ohio? Mniej więcej?

- Niecałe cztery tysiące metrów. Mikę Heimbach na USS "Scranton" skradał się do Franka Kemeny na USS "Tennessee". Kemeny i tak pierwszy wykrył Heimbacha, miał nad nim minutę przewagi. Bliższe podejścia były wszystkie umówione z góry.

- Dobrze, pomnożmy w takim razie tę odległość przez... Powiedzmy, przez pięć, żeby mieć margines bezpieczeństwa. Mike Heimbach miał w końcu nowiutki okręt, prototyp nowego komputera hydroakustycznego i trzech dodatkowych sonarzystów z szóstej grupy, jak pamiętam.

- Zgadza się - przytaknął Mancuso. - Ustalili wtedy z góry dla "Tennessee" najmniej sprzyjające okoliczności, żeby sprawdzić, czy da się go wykryć. Izoterma wodna, okręt pod warstwą styku, i tak dalej.

- A mimo to "Tennessee" i tak wygrał - przypomniał Ricks. - Frank dostał rozkaz, żeby nie szaleć, i co? I tak pierwszy usłyszał Mike'a. Miał torpedy gotowe do strzału trzy minuty przed Mikem.

- Wszystko prawda. - Mancuso zastanawiał się przez chwilę. - Powiedzmy, że będzie nam wolno podejść do akui na dwadzieścia cztery tysiące metrów, nie bliżej. - Wystarczy. Wiem, że usłyszę Rosjan nawet z takiej odległości, mam świetnych hydroakustyków - co ja gadam, wszyscy mamy. Jeżeli się natknę na tego przyjemniaczka, pokręcę się w jego pobliżu i nazbieram, ile się da informacji. Zakreślę wokół niego koło na dwadzieścia cztery tysiące metrów i będę się trzymał na zewnątrz. Musieliby się skichać, żeby mnie wykryć.

- Pięć lat temu sztab grupy kazałby nas rozstrzelać za samą taką rozmowę - zauważył Mancuso.

- Świat się widać zmienia. Poza tym, nawet jeśli nasz 688 może podplłynąć blisko do Ohio, czy to o czymś świadczy? Jeżeli obawiamy się o bezpieczeństwo tych naszych boomerów, nie ma co się pieprzyć, trzeba działać.

- Na pewno da pan sobie radę, gdyby się coś takiego stało?

- Pewnie, bez kłopotu. Sam napiszę na brudno wniosek i zaraz prześlę do sztabu dywizjonu. Pan tylko podpisze i puści drogą służbową do sztabu grupy.

- Zdaje pan sobie sprawę, że wniosek wyląduje w końcu w Waszyngtonie?

- Tak, oczywiście. Pora skończyć z naszym "w ucieczce siła", nie? Chowamy się jak stare babcie. Szlag by trafił takie pływanie, dowodzę w końcu okrętem wojennym. Jeśli jakiś Jones mówi mi, że Rosjanie dobierają mi się do skóry, udowodnię mu, że plecie brednie. Nikomu się jeszcze nie udało mnie wytropić, teraz też nikt tego nie robi. Mam zamiar to udowodnić.

Rozmowa z Ricksem potoczyła się zupełnie inaczej niż miała. Mancuso przekonał się z radością, że Ricks przemawia jak rasowy dowódca okrętu podwodnego. Zawsze przyjemnie usłyszeć coś takiego od jednego z podwładnych.

- Na pewno obstaje pan przy swoim wniosku? Na górze zaczną fruwać siekiery, wie pan. Panu też może się oberwać.

- I panu także.

- Po to zostałem dowódcą dywizjonu, żeby było kogo opieprzać.
- Co do mnie, zaryzykuję. I tak planowałem pogonić do galopu tę moją załogę, zwłaszcza hydroakustyków, namiarowców i kogo tam jeszcze. Mam teraz czas i mam wreszcie niezłych ludzi.
- W takim razie zgoda. Proszę sporządzić wniosek, dopiszę swoje poparcie i pošlę wyżej.
- Takie to proste, prawda? - ucieszył się Ricks, przeświadczony, że jeśli chce się wysunąć przed pozostałych trzynastu dowódców, musi się pogimnastykować. W sztabie OP-02 w Pentagonie będą zachwyceni nowym wnioskiem, a kiedy sprawdzą, kto go sporządził, skojarzą sprawę z Harrym Ricksem, ostrożnym, dokładnym komandorem Ricksem. Dotychczasowa świetna opinia i poparcie ze strony Mancuso powinny wystarczyć: w sztabie pomarudzą, pomędzą, lecz zaakceptują wniosek. Harry Ricks: najlepszy inżynier-podwodniak w całej marynarce wojennej, Ricks, który nie tylko zna się na rzeczy, lecz potrafi to udowodnić w działaniu. Niezła charakterystyka. Taką charakterystykę pamięta się, kiedy przychodzi właściwa chwila.
- Jak tam było na Hawajach? - zapytał teraz Mancuso, wciąż mile zaskoczony postawą dowódcy (załoga "złota") USS "Maine".

- O, tutaj mam coś zajmującego. Instytut Astrofizyczny Karola Marksa. - Pułkownik KGB podał Gołowce plik czarno-białych fotografii.
- Pierwszy zastępca przejrzał zdjęcia i odłożył je na biurko.
- Puste budynki?
- Prawie puste. Wewnątrz znaleźliśmy to: list przewozowy na pięć amerykańskich obrabiarek numerycznych. Świetne maszyny, niesamowicie drogie.
- Do czego są stosowane?
- Zastosowań jest wiele, na przykład szlifowanie zwierciadeł teleskopów, pasowałyby to zresztą do alibi instytutu. Koledzy z Sarowej powiedzieli, że takich samych maszyn używa się do produkcji elementów bomb jądrowych.
- Powiedźcie mi coś jeszcze o tym instytucie.
- Placówka wygląda na zupełnie oficjalną. Dyrektorem miał być jeden z czołowych astronomów w NRD. Teraz cały personel przejął Instytut Maxa Plancka z Berlina. Chcą budować w Chile zespół wielkich teleskopów, projektują też satelitę do obserwacji promieniowania rentgenowskiego dla Europejskiej Agencji Kosmicznej. Ciekawe, bo teleskopy rentgenowskie mają wiele wspólnego z badaniami nad bronią jądrową.
- Ale jak odróżnić studia naukowe od badań...
- Nie da się - przyznał pułkownik. - Próbowałem sprawdzić. Nawet my sami ujawniliśmy niechcący masę informacji.
- My? Jak to?
- W różnych tam czasopismach naukowych ukazało się wiele artykułów o fizyce gwiazd. Jeden zaczyna się tak: "Wyobraźmy sobie wnętrze gwiazdy, w którym strumień promieniowania rentgenowskiego jest taki i taki". Wszystko dobrze, lecz jest małe ale. Autor opisał strumień promieniowania silniejszy niż w jakiegokolwiek gwiazdzie - silniejszy do czternastej potęgi.
- Mówcie jaśniej - przerwał Gołowko, który nie miał głowy do naukowego żargonu.
- Ten autor opisał warunki fizyczne, w których promieniowanie jest sto tysięcy miliardów razy silniejsze niż w jakiegokolwiek gwiazdzie. W rzeczywistości opisywał więc wnętrze bomby termojądrowej w chwili detonacji.
- I co, cenzorzy tak to zwyczajnie przepuścili? - Gołowko nie wierzył własnym uszom.
- Generale, jakiego poziomu wiedzy naukowej można w końcu wymagać od cenzorów? Ten,

który to czytał, zobaczył pierwsze zdanie, "wyobraźmy sobie wnętrze gwiazdy" i z miejsca pomyślał, że artykuł nie narazi bezpieczeństwa państwa. Ukazało się to piętnaście lat temu, potem było mnóstwo podobnych publikacji. Zeszły tydzień dał mi nauczkę co do naszych metod utajniania informacji. Jeżeli u nas dzieją się takie rzeczy, wyobraźcie sobie, co można wyczytać u Amerykanów! Na szczęście tylko łebski naukowiec potrafiłby pozbierać te wszystkie dane, ale takich przecież nie brakuje. Rozmawiałem w Kysztymiu z zespołem młodych inżynierów. Jeśli naciśniemy, zrobią nam analizę dostępności tego materiału w czasopiśmiennictwie naukowym. Mówią, że uwinęliby się z nią w sześć miesięcy. To oczywiście marginesowa sprawa, ale na pewno warto byłoby zamówić taką analizę. Moim zdaniem, systematycznie zaniedbywaliśmy dotąd problem broni jądrowej w krajach Trzeciego Świata.

- Co wy mi tu opowiadacie... - zaprotestował Gołowko. - Przecież wiadomo...

- Generale, sam pomagałem sporządzić trzy lata temu tamten raport. Teraz mówię, że moje wnioski były przesadnie optymistyczne.

Pierwszy zastępca przewodniczącego KGB zamyślił się.

- Piotrze Iwanowiczu, znam was jako uczciwego człowieka.

- Uczciwy, nie uczciwy, na pewno wystraszony - odparł pułkownik.

- Co jeszcze znaleźliście w Niemczech?

- Już melduję. Z tej trzydziestki, która, naszym zdaniem, mogła brać udział w programie nuklearnym Honeckera, trzy osoby zniknęły, razem z rodzinami. Reszta znalazła sobie inną pracę. Dwóch uczonych z tej trójki mogło pracować nad wojskowymi zastosowaniami atomistyki, tylko że jak to sprawdzić, żeby mieć pewność? Jak tu odróżnić pokojową fizykę od prac nad bronią atomową? Ja nie potrafię.

- Co z tymi, którzy zniknęli?

- Jeden jest z całą pewnością w Ameryce Południowej, dwóch nie wiadomo, gdzie. Proponowałbym rozpocząć dużą operację, żeby zbadać, co się dzieje w tej ich Argentynie.

- Ciekawe, co mówią Amerykanie...? - zastanowił się Gołowko.

- Nic konkretnego. Prawdopodobnie wiedzą tyle, ile my, czyli niewiele. - Pułkownik zamilkł na chwilę. - Nie wydaje mi się, żeby mieli jakiś interes w rozprzestrzenianiu broni jądrowej na inne państwa. To sprzeczne z ich oficjalną polityką.

- Sprzeczne? A Izrael?

- Izrael dostał od Amerykanów materiał rozszczepialny dobre dwadzieścia lat temu. Pluton z reaktora Savannah River i wzbogacony uran ze składów w Pensylwanii. W obu wypadkach dokonano transferu nielegalnie, sami Amerykanie musieli wszczynać śledztwo. Mówiło się wtedy, że Mossad dokonał największej akcji w swojej historii, a dopomagali w tym amerykańscy Żydzi na wysokich stanowiskach. Nikt nie trafił pod sąd, dowody i informacje pochodziły ze źródeł, których nie można było ujawnić na sali sądowej, poza tym w Waszyngtonie bali się przyznać, że w tak niebezpiecznej dziedzinie przemysłu środki bezpieczeństwa były tak mizerne. Sprawę załatwiono po cichu. Fakt, że Ameryka i Europa Zachodnia dość beztrąsko sprzedawały technologię jądrową różnym państwom, kapitalizm ma swoje prawa, a tu chodziło o ogromne sumy, ale przecież my też popełniliśmy ten sam błąd względem Chin i NRD. Nie - zakończył pułkownik. - Nie przypuszczam, żeby Amerykanom zależało bardziej niż nam na powstaniu niemieckiej broni atomowej.

- Co teraz?

- Nie wiem, generale. Prześledziliśmy wszystkie nitki, na ile się dało bez ryzyka ujawnienia operacji. Myślę, że powinniśmy się teraz zająć Argentyną. No, i popytać się ostrożnie wśród niemieckiej generalicji, może się czegoś dowiemy o ich programie atomowym.

- Gdyby mieli taki program, dawno byśmy o nim wiedzieli - zdenerwował się Gołowko, dodając: - Wielki Boże, co ja takiego wygaduję? Zaraz, a jakie środki przenoszenia mogłyby wchodzić w grę?

- Samoloty. Po co komu rakiety balistyczne, ze wschodnich Niemiec do Moskwy nie jest aż tak daleko. Poza tym Niemcy znają naszą obronę przeciwlotniczą, prawda? Zostawiliśmy im przecież tyle sprzętu.

- Piotrze Iwanowiczu, macie może jeszcze jakąś dobrą nowinę? Pułkownik uśmiechnął się bardzo smętnie i zauważył:

- No, a ci wszyscy durnie na Zachodzie pieją hymny, jaki to świat teraz bezpieczny.

Proces spiekania otuliny wolframowo-renowej okazał się dziecinnie prosty. Potrzebny był tylko piec mikrofalowy, przemysłowy odpowiednik urządzeń kuchennych. Oślepiąco biały, metaliczny proszek wsypano do form i podgrzano. Kiedy materiał był już gorący - o stopieniu go nie było mowy, gdyż wolfram ma bardzo wysoką odporność na ciepło - przyłożone do niego wysokie ciśnienie dokonało reszty. Za sprawą gorąca i ciśnienia proszek utworzył skorupę, która choć nie miała odporności metalu, była dostatecznie twarda do przewidzianego celu. Palestyńczycy spiekli łącznie dwanaście półkolistych elementów, którym trzeba było jeszcze nadać na maszynach odpowiedni kształt i gładkość. Gotowe elementy powędrowały na osobną półkę we wnętrzu kryjówki.

Za pomocą największej maszyny obrabiano teraz największą berylową skorupę, metaliczną hiperboloidę, czyli donicę o pięćdziesięciu centymetrach długości i w najszerszym miejscu szeroką na dwadzieścia centymetrów. Osobliwy kształt sprawiał sporo kłopotu technikom, nawet wspomaganym komputerem, ale nie było na to rady.

- Popatrz tutaj. Początkowy strumień neutronów rozejdzie się sferycznie od ładunku pierwotnego, lecz zostanie zatrzymany przez beryl - objaśniał Fromm Katiemu. - Te metalowe ścianki posłużą jako zwierciadło, odbiją neutrony z powrotem. Metrony będą oscylować z prędkością równą jednej piątej prędkości światła. Zostawimy im tylko jeden korytarz, prosto do wnętrza hiperboloidu. Wewnątrz umieścimy ten oto cylinder z deuterku litu wzbogaconego trytem.

- Tak mówisz, jakby to miało trwać wieki - zdziwił się komendant - Przecież materiał wybuchowy od razu wszystko rozwali.

- Trzeba się przestawić na inne myślenie. Materiały wybuchowe działają błyskawicznie, ale bomby potrzebne będą tylko trzy merdnięcia na cały proces detonacji.

- Trzy co?

- Merdnięcia. - Fromm pomachał dłonią i uśmiechnął się, co czynił rzadko. - Wiesz, co to jest nanosekunda. Jedna miliardowa część sekundy, ja? W takim przedziale czasu światło pokona drogę zaledwie trzydziestu centymetrów, jak odtąd dotąd - Fromm rozłożył dłonie.

Kati pokiwał głową. Rzeczywiście, bardzo krótki czas.

- A, właśnie. "Merdnięcia" to dziesięć nanosekund. Światło pokona przez ten czas odległość trzech metrów. Termin wymyślili Amerykanie, w latach czterdziestych. To miał być żart, że niby tyle czasu potrzebuje jagnię, żeby zamerdać ogonem. Techniczny żart. Do czego zmierzam? Zanim upłyną trzy merdnięcia, zanim wiązka światła pokona dziewięć metrów, w bombie rozpocznie się i zakończy cały proces eksplozji. Przez ten ułamek sekundy chemiczny materiał wybuchowy nie zdąży nawet drgnąć, co dopiero wybuchnąć!

- Rozumiem - oświadczył Kati, co nie było zupełnie prawdą, i wyszedł z pomieszczenia, pozwalając Frommowi snuć swoje makabryczne marzenia. Na dworze czekał już Günther.

- Jak?

- Mam gotową amerykańską część planu - obwieścił Bock. Rozłożył mapę na ziemi i przykucnął nad nią. - Bombę odpalimy tutaj.

- Co to za miasto?

Bock powiedział Katiemu nazwę.

- Ilu ludzi? - zapytał na to komendant.

- Na miejscu ponad sześćdziesiąt tysięcy. Jeżeli bomba uzyska planowaną moc, cała okolica znajdzie się w epicentrum. W sumie możemy liczyć na sto, dwieście tysięcy ofiar.

- Tylko tyle? Bomba atomowa i tylko tylu zabitych?

- Ismaelu, pomyśl, że to zwyczajna duża bomba.

Kati zamknął oczy i zaklął z cicha. Jeszcze minutę temu wysłuchiwał historii o niesłychanych cudach, by zaraz dowiedzieć się czegoś odwrotnego. Komendant miał jednak na tyle bystrości umysłu, by wiedzieć, że obaj eksperci mają rację.

- Dlaczego właśnie tam?

Bock przedstawił motywy decyzji.

- Pięknie byłoby zgładzić tego ich prezydenta.

- Pięknie, ale moglibyśmy sobie tym tylko przeszkodzić. Można oczywiście spróbować przemycić bombę do Waszyngtonu, chociaż ryzyko oceniam jako bardzo poważne. Zbyt poważne, komendancie. Mój plan bierze pod uwagę fakt, że mamy tylko jedną bombę i tylko jedną szansę. Nie wolno nam ryzykować wpadki. Dlatego musimy działać tam, gdzie nam najwygodniej.

- A niemiecka część akcji?

- Z tym nie będzie kłopotu.

- Uda nam się? - rzucił Kati, zapatrzony w wypalone słońcem wzgórza Libanu.

- Powinno. Daję nam sześćdziesiąt procent szans.

Nawet jeśli się nie uda, Amerykanie i Rosjanie dostaną za swoje, powtarzał sobie komendant. Pytanie tylko, czy im to wystarczy. Twarz Katiego stężała.

Chodziło o jeszcze jedno. Kati wiedział, że powoli umiera. Choroba postępowała raz szybciej, raz wolniej, jak nieubłagany przypływ, który nawet gdy na chwilę opada, nigdy nie osiąga stanu jeszcze sprzed miesiąca czy roku. Dzisiaj Kati czuł się doskonale, lecz wiedział, jak złudne może być to odczucie. Miał tyle samo szans, by dożyć następnego roku, ile plan Bocka na to, by się powiódł. Czy Kati mógł sobie pozwolić na to, by odejść, nie upewniwszy się, że jego misja zakończyła się nareszcie?

Nie mógł, a ponieważ umierał, nie dbał też o to, że umrą także inni. Poza tym, chodziło przecież o niewiernych.

Günther to niewierny; gorzej, bo niedowiarek. Marvin Russell następny, ten to już zupełny poganin. Bock proponował jednak, by zgładzić... na pewno nie niewiernych. Ostatecznie nawet oni są Ludem Księgi, zbłąkanymi wyznawcami Proroka Jezusa i wierzą w jedyne Boga.

Inna rzecz, że Żydzi to także Lud Księgi. Tak głosi Koran. Żydzi to duchowi spadkobiercy islamu, takie same dziatki Abrahama jak Arabowie. Ich religia była tak podobna... Lecz wojna Katiego z Izraelem nie dotyczyła religii, lecz ziemi, z której Żydzi wygnali jego lud, twierdząc, że kieruje nimi religia, podczas gdy nie o nakazy wiary chodziło.

Kati ujrzał nagle wszystkie sprzeczności w swoich poglądach. Jego wrogiem był Izrael. I Amerykanie. A także Rosjanie. Na tym zasadzała się jego prywatna teologia, bo choć uważał się za muzułmanina, nie kierował się w życiu poszanowaniem Boga, niezależnie co sam twierdził na ten temat wobec podwładnych.

- Zaplanuj resztę szczegółów, Günther.

ZAWODY

W połowie sezonu rozgrywek Narodowej Ligi Futbolu Wikingowie i Szturmowcy nadal prowadzili stawkę. Drużyna z San Diego otrząsnęła się po porażce z Wikingami i tydzień później na własnym boisku dołożyła Indianapolis, czerwonej latarni na końcu tabeli, aż czterdzieści pięć do trzech. Wikingowie musieli natomiast zмагаć się długo z nowojorskimi Gigantami, lecz ostatecznie wygrali dwadzieścia jeden do siedemnastu. W trzeciej kwadrze ósmego meczu sezonu Tony Wills przebiegł z piłką tysięczny jard i bez wahania uznany został debiutantem roku. Został też oficjalnym rzecznikiem Ligi na rzecz prezydenckiej Krucjaty Antynarkotycznej (czyli KRAN-u). Wikingowie wyłożyli się następnie w meczu z zespołem z San Francisco, przegrywając dwadzieścia cztery do szesnastu i w ten sposób doszłusowali do Szturmowców, którzy również wygrali siedem meczów i przegrali jeden. Na szczęście ich najbliższym rywalem mieli być mistrzowie grupy centralnej, Niebiesko-Czarnej, czyli Niedźwiedzie, a tych udało się usadzić wynikiem cztery do trzech. Liga Narodowa dawno zatraciła wyrównany poziom, dzięki czemu jedyne niespodzianki mogli sprawić zawodnicy Delfinów i Piratów, którzy w karneciku balowym zastrzegli sobie taniec ze Szturmowcami na sam koniec sezonu.

Wszystko to nie mogło pocieszyć Ryana, sypiającego coraz gorzej, mimo nieustannego zmęczenia, które wydawało mu się już nieodłączną częścią życia. Dawniej, kiedy niespokojne myśli nie pozwalały mu zasnąć, stawał przy oknie i spoglądał na Zatokę Chesapeake, patrząc jak o kilka kilometrów od niego przepływają statki i kutry. Teraz siadywał przy oknie. Czuł słabość w obolałych nogach, a przy wiecznym zmęczeniu nawet stanie wydawało mu się nieznośnym wysiłkiem. Żołądek przewracał mu się od kwasu, który brał się z nieustannego napięcia, olbrzymich ilości kawy i alkoholu. Jack najbardziej potrzebował snu, odpoczynku, dzięki któremu rozluźniłby mięśnie. Twardy sen bez snów pozwoliłby mu zapomnieć o ciężarze codziennych decyzji. Tęsknił także za ruchem fizycznym i wieloma innymi sprawami. Tęsknił za tym, by znowu poczuć się mężczyzną. Tymczasem jednak nie mógł zasnąć i zadręczał się myślą o porażkach, jakie niosły mu wciąż dni i noce.

Jack Ryan zdawał sobie sprawę, jak bardzo nienawidzi go Liz Elliot. Wiedział nawet, co było tego przyczyną, pamiętał przecież ich pierwsze spotkanie, kilka lat wcześniej, w Chicago, kiedy Elliot była w podłym humorze a on sam w nie lepszym. Na przywitaniu powiedzieli sobie wówczas kilka przykrych słów. Różnica polegała na tym, że Ryan przeważnie zapominał o urazach, podczas gdy Elliot pamiętała je doskonale. Poza tym mogła wmówić prezydentowi, co tylko chciała. Właśnie za jej sprawą rola Ryana w pracach nad Traktatem miała na zawsze pozostać w cieniu. Traktat stanowił tymczasem jedyne prawdziwe osiągnięcie Jacka Ryana poza obrębem CIA. Owszem, Ryan szczycił się tym, co zdziałał dla Agencji, lecz zdawał sobie sprawę, że chodziło za każdym razem o wąskie cele polityczne, na skalę kraju, gdy tymczasem na Traktacie Watykańskim zyskał cały świat. Jego jedno jedyne, znakomite osiągnięcie przypisywano komu innemu. Jack nie rościł sobie wyłącznych pretensji do Traktatu, nad którym pracowało tyle innych osób, lecz chciał przynajmniej dać się poznać jako jeden z głównych graczy. Czy żądał zbyt wiele? Harował czternaście godzin dziennie, większość w samochodzie, trzy razy nadstawiał karku za swój kraj - po co? Po to, by jakaś dzira z Bennington mogła wyrzucać jego analizy do kosza.

Liz, gdyby nie ja, w ogóle by cię nie było w Białym Domu. Ani ciebie, ani twojego szefa,

twojego Robota, gubernatora Jonathana Roberta Fowlera z Ohio!

Tego jednak Jack nie mógł powiedzieć samej Liz Elliot. Zobowiązał się przecież do milczenia. Czy po to się zobowiązywał? Za taką odpłatę?

Co najgorsze, sytuacja dręczyła Ryana także w nowy, niespodziewany sposób: tego wieczora znów rozczarował żonę. Nie rozumiał, jak to w ogóle możliwe. Zupełnie, jak gdyby po pstryknięciu kontaktem odkrył, że nadal panuje ciemność. Zupełnie, jakby przekręcał kluczyk w stacyjce i...

Zupełnie tak, jak gdyby przestał nagle być mężczyzną. Tak by można to najlepiej opisać.

Ale ja jestem mężczyzną, do cholery! Dowiodłem tego!

Powiedz to swojej żonie, przyjacielu.

Jack zrywał się na taką myśl. Walczył za rodzinę, walczył też za swój kraj, zabijał broniąc obywatela... Zyskał sobie szacunek najdzielniejszych ludzi. Dokonał rzeczy, których nie będzie można wyjawiać za sto lat, a potem dochował sekretu. Sprawdził się nie gorzej od innych.

Jeśli tak, kolego, dlaczego o drugiej w nocy gapisz się na zatokę?

Coś jednak udało mi się dziać?

Kto w ogóle o tym słyszał? Kogo to obchodzi?

A moi przyjaciele?

Dużo ci teraz pomogą... Poza tym, jacy znów przyjaciele? Kiedy ostatni raz spotkałeś się ze Skipem Tylerem albo z Robbym Jacksonem? Możesz się najwyżej zwierzyć swoim przyjaciołom z Langley. Chcesz?

Świt wstał niespodziewanie, choć jeszcze większą niespodzianką było dla Jacka to, że zdołał jednak zasnąć, na siedząco, w dużym pokoju. Wstał, czując, że ból w mięśniach wcale nie ustąpił, mimo kilku godzin spędzonych bez przytomności. Nie można tego nazwać snem, uświadomił sobie w drodze do łazienki. Czuwaniem także nie. Sen oznaczał odpoczynek, Jack tymczasem czuł przeraźliwe zmęczenie i pulsujący ból głowy od nadmiaru taniego wina, jakie pił poprzedniego wieczora. Cała pociecha, że Cathy nie wstała razem z nim. Jack nastawił ekspres, a kiedy Clark nadjechał o umówionej porze, czekał już przed drzwiami domu.

- Widzę, że miał pan kolejną szampańską niedzielę - odezwał się Clark, gdy Ryan wszedł do samochodu.

- Et tu, John?

- Coś panu powiem, dyrektorze. Jak będzie mnie pan chciał strzelić w pysk, proszę bardzo, ale powiem panu, że od paru miesięcy wygląda pan jak pół dupy zza krzaka i w dodatku jest z panem coraz gorzej. Kiedy ostatni raz wziął pan urlop, albo chociaż wyrwał się na dwa dni, żeby poudawać normalnego człowieka, a nie faceta, który tylko tyra w rządowym kieracie i odbija kartę, bo się boi, że bez niego świat się zawali?

- Clark, marzyłem o kazaniu na dzień dobry.

- Dobra, wiem, jestem zwykłym ochroniarzem, ale proszę się na mnie nie wkurwiać za to, że serio chce pana chronić. - John zahamował i zjechał na pobocze. - Niech pan da sobie coś powiedzieć, doktorze. Widziałem już paru takich jak pan. Ludzie mają to do siebie, że się wypalają. Pan też się wypala, jak ta świeczka, co ją zapalili z obu końców i pośrodku. Jak się ma dwadzieścia lat, człowiek jeszcze to zniesie. Może nikt dotąd tego panu nie mówił, ale pan już dawno nie ma dwudziestu lat.

- Nie trzeba mi tłumaczyć, co to jest zniedołężnienie starcze - Ryan uśmiechnął się cierpko, by pokazać, że niewiele sobie robi ze słów Clarka.

Ochroniarz zrozumiał, że może sobie darować ciąg dalszy. Nagle przypomniał sobie, że żona Ryana nie odprowadziła go dziś do drzwi. Poprząkali się? Nie bardzo było jak o to zapytać, lecz

wystarczyło spojrzeć na minę szefa, by się przekonać, że gnębi go nie tylko zmęczenie. Ryan rozsypywał się od środka, chwiał się coraz mocniej pod brzemieniem obowiązków, meldunków napływających wciąż z dołu, spraw i spotkań, w których stale wyręczał dyrektora Cabota. Właśnie, Cabot. Przyzwoity facet, pełen dobrych chęci, ale na kierowaniu CIA znał się jak wilk na gwiazdach. Dlatego Kongres musiał polegać na Ryanie, podobnie jak pion rozpoznania i pion operacyjny, które oczekiwały od doktora rozkazów i koordynacji działań. Zastępca dyrektora nie miał więc jak wywinąć się obowiązkom, brakowało mu też rozsądku, by stwierdzić, że niektóre sprawy naprawdę może przekazać innym, na przykład dyrektorom poszczególnych wydziałów. Szefowie pionów mogli wyręczyć Ryana w tym czy tamtym, ale skoro się upierał, wcale nie nalegali. Jedno warkniecie z gabinetu zastępcy dyrektora Agencji postawiłoby ich na baczność, choć nie wiadomo, czy Cabot poparłby tu swego zastępcę. Zastrący z Białego Domu mogliby przecież pomyśleć, że Ryan montuje przewrót pałacowy.

- Pierdolone układziki! - rzekł sobie w duchu Clark, włączając się do ruchu. Układy w biurze, układy w polityce. Nawet w domu też coś zaczynało śmierdzieć. Clark nie wiedział dokładnie, o co chodzi, ale czuł pismo nosem.

Zajeżdżą takiego porządnego faceta jak doktor!

- Mogę panu coś doradzić?

- Wal - zgodził się Jack, przeglądając meldunki.

- Niech pan urwie się na dwa tygodnie, weźmie rodzinę do Disneylandu, albo nad Pacyfik, żeby była tylko plaża i piasek. Niech się pan wyrwie chociaż na trochę z miasta.

- Dzieci mają teraz szkołę.

- To się je zwolni, na litość boską! Albo jeszcze lepiej, może pan je zostawić i jechać tylko z żoną. Nie, na to pana nie namówię. Niech im pan pokaże Myszki Miki.

- Nie mogę. Teraz jest szkoła...

- Przecież chodzą do podstawówki, a nie na uniwersytet Nawet jak opuszczą dwa tygodnie ułamków zwykłych i jak się pisze słowo "piegża", nie zatrzymają się w rozwoju umysłowym. Musi pan się wyrwać, naładować akumulatory, wyciągnąć się, kurwa, na piasku!

- Mam tyle pracy, John.

- Niech pan posłucha! Wie pan, ilu przyjaciół zakopałem w ziemi? Wie pan, ilu znałem facetów, którzy poszli do piachu, zanim mogła im się trafić żona i dzieci, i ładny domek nad wodą? Całą masę, znałem całą masę takich, którzy nie doczekali się tego, co pan. A pan, zamiast się tym cieszyć, próbuje się za wszelką cenę wykończyć. Mówię, w tym tempie wykończy się pan raz dwa. Góra dziesięć lat i pana też pożegnamy, doktorze.

- Mówię, że mam robotę!

- I co z tego? To jeszcze nie powód, żeby sobie tak kretyńsko marnować życie! Mam to panu tłumaczyć?

- A kto mnie niby zastąpi?

- Kiedy jest pan w formie, faktycznie nie ma pan sobie równych, ale w takim stanie jak teraz spokojnie pana zastąpi nawet ten gówniarz Goodley. - Clark stwierdził, że nareszcie wbił szefowi szpilę. - Rzeczywiście, w tej formie dużo pan zdoła!

- W porządku, na razie bądź tak uprzejmy i zajmij się jazdą.

Z zaszyfrowanych meldunków w teczce wynikało, że w Langley czeka nowe doniesienie od ŻAGŁA i kolejne od NITAKI. Zapowiadał się burzliwy dzień.

Akurat tego było mu trzeba. Jack zamknął oczy, by zdrzemnąć się jeszcze przez chwilę.

Dzień okazał się gorszy, niż można było przypuszczać. Ryan sam się dziwił, że ma jeszcze siłę

pracować. Zdumiało go też, że tym razem poranna kawa przegrała ze zmęczeniem, dzięki czemu przespał w samochodzie całe czterdzieści minut. Starając się nie zwracać uwagi na triumfalną minę Clarka, Jack Ryan wjechał na siódme piętro i polecił gońcowi przynieść obie tajne teczki. Oprócz meldunków zastał notatkę, że dyrektor Cabot będzie dziś później. Ambicją szefa było widocznie przychodzić do pracy na jedenastą. A szpiegostwo wymaga poświęceń, pomyślał Jack. - Ja się poświęcam.

Zaczai od meldunku NITAKI, z którego dowiedział się, że Japończycy postanowili złamać układ handlowy, zawarty raptem przed sześcioma miesiącami. Jako pretekst miały posłużyć "nieprzewidziane wypadki". Ktoś, kto nie wiedział o decyzji, mógł im spokojnie uwierzyć, uświadomił sobie Jack Ryan, studiując stronicę. Japończycy ostatecznie także mieli swoje problemy wewnętrzne. Uwagę Jacka przykuło jednak co innego: Japończycy chcieli jednocześnie załatwić sobie coś w Meksyku... W lutym ich premier miał przybyć z wizytą do Waszyngtonu, a po drodze dogadać się z Meksykiem. Zamiast kupować żywność amerykańską, Tokio postanowiło nabyć ją tanio od Meksyku, uzyskując w zamian dla siebie obniżkę ceł eksportowych w tym kraju. Tak przynajmniej zamierzali Japończycy, bo nie wiadomo było jeszcze, czy Meksyk wyrazi zgodę. Dlatego postanowili...

Przekupić...?

- Chryste Panie! - Ryan aż podskoczył. Wiedział, że meksykańska Partia Rewolucyjno-Państwowa - PRI - nie grzeszy uczciwością, ale żeby aż tak? Sprawa miała stanąć na porządku obrad meksykańsko-japońskich w stolicy Meksyku. Gdyby Japończycy uzyskali zgodę na otwarcie granic dla meksykańskiej żywności w zamian za ułatwiony dostęp na meksykański rynek artykułów przemysłowych, zakupiliby mniej ziemiopłodów amerykańskich niż zobowiązywał ich do tego układ zawarty z początkiem roku. Opłacalność takiego kroku nie budziła wątpliwości: Japonia sprowadzałaby żywność tańszym kosztem, otwierając sobie zarazem nowe rynki. Amerykańscy farmerzy musieliby się zaś zadowolić wykrętem, że niestety, ku ogólnemu zaskoczeniu, stosowane w USA chemiczne środki ochrony roślin eksperci japońscy uznali za szkodliwe dla zdrowia

Łapówka dla Meksyku rozmiarami odpowiadała skali transakcji. Kwota opiewała na dwadzieścia pięć milionów dolarów, do przelania określoną, półlegalną drogą na odpowiednie konta. Za rok, kiedy kończyła się kadencja, meksykański prezydent zostanie pewnie dyrektorem nowej korporacji... Nie, jeszcze sprytniej: Japończycy chcieli wykupić korporację już posiadaną przez prezydenta, za bardzo przyzwoitą cenę, i zatrudnić byłego prezydenta jako dyrektora, proponując mu gigantyczną pensję, w uznaniu dla jego talentu handlowego.

- Ładna zasłona dymna - przyznał Jack głośno. Sprawa wydawała się wręcz komiczna, najśmieszniejsze zaś było w niej to, że gdyby rzecz działała się w Ameryce i we współpracy ze zręcznym prawnikiem, można by tak uczynić zupełnie legalnie. Mnóstwo notabli z Departamentu Handlu czy Departamentu Stanu na odchodnym oferowało swoje usługi Japończykom.

Chodziło tylko o szczegół: Jack Ryan trzymał oto w ręku dowód, że zadzierzgnięto spisek, który uderzał w Amerykę. Tak zwykle przewidujący Japończycy zapomnieli, że nawet posiedzenia rządu nie są święte, a każde wypowiedziane słowo może wyjść poza obręb czterech ścian, w których padło. Japończycy nie wiedzieli, że jeden z członków ich gabinetu rządowego ma kochankę, która chowa w pamięci wielką urazę i niezwykle sprawnie wyciąga z ministra wszystko, co chce. Nie wiadano też w Tokio, że dzięki uprzejmości pewnego agenta KGB, Ameryka również mogła zapoznać się z tymi słowami.

- Myśl, chłopcze, myśl!

Gdyby zgromadzić jeszcze trochę dowodów i pokazać je Fowlerowi... W jaki sposób? Nie da

się przedstawić później w sądzie meldunków szpiega, w dodatku obywatela ZSRR, który działa na rzecz KGB w jeszcze innym kraju.

Nie idzie jednak o to, żeby doprowadzić do normalnego procesu, z legalnie uzyskanym materiałem dowodowym i całą resztą. Wystarczy, że Fowler poruszy tę sprawę podczas rozmowy w cztery oczy z japońskim premierem.

Zadzwonił telefon.

- Tak, Nancy?

- Dyrektor dzwonił właśnie drugi raz. Ma grypę.

- Szczęściarz, co? Dziękuję, Nancy. Ma taką grypę, jak ja zapalenie jajników - mruknął Ryan, odkładając słuchawkę. Z Cabota był kawał lenia.

Fowler mógł rozegrać nową sprawę na dwa sposoby. Raz, mógł załatwić kwestię w cztery oczy, powiedzieć japońskiemu premierowi, że o wszystkim wie i nie życzy sobie podobnych manewrów, a co więcej, zawiadomi kogo trzeba w Kongresie... Albo dwa, mógł puścić przeciek do prasy.

Pierwsze rozwiązanie... Ryan musiał tak czy inaczej powiadomić o meldunku Ala Trenta z Kongresu, jako że Trent miał być informowany o każdej podejmowanej operacji. Z drugiej strony Trent prowadził własną rozgrywkę, właśnie w kwestii umów handlowych. Fowler będzie się bał, że Trent chlapnie coś prasie. Tylko że zgodnie z przepisami Ryan musiał poinformować Trenta, co się dzieje. Pora na kolejny telefon.

- Nancy, czy możesz zadzwonić do przewodniczącego komisji, że muszę się z nim zobaczyć? Dziękuję.

Przyszła kolej na meldunek od ŻAGLA. Ciekawe, co nam dzisiaj powie pan Kadyszew...

- Święci pańscy! - Ryan wyteżył siły, by doczytać rzecz do końca. Dotarł do ostatniej kartki, odetchnął głęboko i jeszcze raz przestudiował doniesienie. Potem podniósł słuchawkę i wystukał wewnątrz do Mary Pat Foley.

Pół minuty musiał czekać, aż ktoś podniesie słuchawkę.

- Halo?

- Kto mówi?

- Ale kto mówi?

- Mówi wicedyrektor Ryan. Gdzie jest Mary Pat?

- Rodzi. Przepraszam, panie dyrektorze, nie wiedziałem, że to pan. Ed siedzi na porodówce razem z nią - dodał głos w słuchawce.

- Dobra, dziękuję. - Ryan rozłączył się. - Kurwa!

Pomyślał jednak, że trudno mu się gniewać w takiej sytuacji. Wstał i poczłapał do pokoju sekretarki.

- Nancy, Mary Pat właśnie rodzi - oświadczył.

- Cudownie! No, nic w tym cudownego, poród to mało zabawne zajęcie - zauważyła Nancy Cummings. - To co, kwiaty?

- Tak, wykombinuj coś miłego. Lepiej się na tym znasz ode mnie. Weź na moją kartę kredytową.

- Może poczekać, aż będzie wiadomo, że wszystko dobrze?

- Masz rację. - Jack wycofał się do gabinetu. - Ale co teraz? Wiedział, co go teraz czeka. Nie był tylko pewien, czy naprawdę ma na to ochotę.

Podniósł słuchawkę i wystukał następny rządowy numer.

- Elizabeth Elliot - usłyszał. Do bezpośredniego połączenia miała dostęp jedynie garstka polityków.

- Jack Ryan.

Głos w słuchawce stał się dziwnie chłodny.

- O co chodzi?

- Muszę się zobaczyć z prezydentem.

- Ale o co chodzi?

- Sprawa nie jest na telefon.

- To rządowy telefon, panie Ryan!

- To nie znaczy, że bezpieczny. O której mógłbym wpaść? To ważna sprawa.

- Jak ważna?

- Na tyle ważna, żeby poprzesuwać to czy tamto w grafiku! - warknął Ryan. - Myśli pani, że żarty sobie stroję?

- Proszę się uspokoić i poczekać. - Ryan usłyszał szelest kartek. - Czekam na pana za czterdzieści minut. Prezydent będzie miał dla pana kwadrans. Zaraz załatwię widzenie.

- Dziękuję, doktor Elliot. - Jack powstrzymał się, by nie rzucić słuchawką. Niech szlag trafi tę babę. Clark czekał w pokoju Nancy. - Zbieramy się. - Dokąd? - Clark zerwał się z miejsca.

- Do miasta. Nancy! - Jack odwrócił się do sekretarki. - Zadzwoń do dyrektora. Powiedz mu, że musiałem pojechać w jednej sprawie do starego i że z całym szacunkiem oczekuję go w naszych progach.

Kolejna komplikacja. Cabot mieszkał godzinę jazdy od miasta, tam, gdzie już ptaki zawracają.

- Oczywiście.

Przynajmniej na Nancy Cummings Jack Ryan mógł polegać zawsze i wszędzie.

- Odbij mi trzy egzemplarze. I jeszcze jeden dla dyrektora. Oryginał schowaj do sejfu.

- Dwie minuty. - Nancy poderwała się z miejsca.

- Fajnie. - Jack poszedł jeszcze do toalety. Spoglądając w lustro przekonał się, że Clark, który mu oczywiście towarzyszył, wygląda jak zwykle świeżo. On sam przypominał upióra. Trudno. - Gotowy?

- Zawsze, doktorze. - Clark trzymał już dokumenty w zamkniętej skórzanej teczce.

Poniedziałkowy poranek nie szczędził Ryanowi kolejnych wrażeń. Na dojeździe do autostrady 1-66 jakiś idiota spowodował wypadek, korkując cały ruch. Zamiast dziesięciu czy piętnastu minut jazda do Białego Domu trwała trzydzieści pięć. Nawet ścisła elita rządu musiała się liczyć z waszyngtońskim ruchem ulicznym. Na podjazd przed zachodnim wejściem wjechali dosłownie w ostatniej chwili. Tylko ze względu na obecność świadków Jack wszedł, zamiast wbiec do wnętrza rezydencji. Dziennikarze również korzystali z tego wejścia. Po minucie Ryan był już w gabinecie Liz Elliot.

- Gdzie się pali? - zapytała doradczyni do spraw bezpieczeństwa narodowego.

- Wolałbym omówić wszystko tylko raz. Dostaliśmy meldunek od wtyczki na Kremlu. Niewesoły meldunek.

- Coś jednak muszę wiedzieć - zauważyła rozsądnie Liz Elliot.

- Narmonow, generalicja, bomby atomowe.

- Chodźmy - oświadczyła Elliot. Przeszli wzdłuż dwóch korytarzy, mijając ośmiu agentów Tajnej Służby, strzegących kancelarii prezydenta jak zgraja uprzedzająco grzecznych wilków.

- Mam nadzieję, że to coś ciekawego - przywitał Ryana prezydent Fowler, nie ruszając się zza biurka. - Musiałem odwołać naradę w sprawie budżetu.

- Panie prezydencie, mamy agenta na najwyższym szczeblu radzieckich władz - zaczął Jack Ryan.

- Wiem o tym. Pamiętaj pan, że sam prosiłem, by nie podawać mi jego nazwiska.

- Pamiętam - przytaknął Ryan. - Zaraz je panu podam. Agentem jest Oleg Kiryłowicz Kadyszew.

Kryptonim ŻAGIEL. Mary Patricia Foley zwerbowała go wiele lat temu, kiedy była z mężem na placówce w Moskwie.

- Dlaczego mi to pan mówi?

- Żeby mógł pan właściwie ocenić to, co nam napisał. Oglądał pan jego wcześniejsze meldunki podpisane REMONTOWY i ŚRUBA.

- ŚRUBA? Ten z września, na temat problemów Narmonowa... To znaczy, tarć między Narmonowem i aparatem bezpieczeństwa.

- Zgadza się, panie prezydencie - odrzekł Ryan, w myśli gratulując Fowlerowi pamięci. Wiec jednak czyta nadsyłane materiały. Nieczęsty przypadek wśród prezydentów.

- Spodziewam się, że wystąpiły jakieś nowe tarcia, inaczej by pan tu nie przychodził. Proszę kontynuować - polecił Fowler, opierając się wygodniej.

- Kadyszew pisze, że w ubiegłym tygodniu spotkał się z Narmonowem. Pod sam koniec tygodnia. Pisze...

- Chwileczkę. Kadyszew to ten ich parlamentarzysta, szef koalicji opozycyjnej, tak?

- Dokładnie. Bardzo często spotyka się z Narmonowem w cztery oczy, dlatego jest dla nas takim cennym nabytkiem.

- Oczywiście, łatwo mi to pojąć.

- Kadyszew donosi, że podczas ich ostatniego spotkania Narmonow skarżył się na pogorszenie sytuacji. Dopuścił wojsko i bezpieczeństwo do decyzji w rozmaitych sprawach, ale nawet tego im mało, jak się okazuje. Można się spodziewać z tamtej strony silnych sprzeciwów wobec redukcji broni strategicznej. Z meldunku wynika, że generalicja chce zachować wszystkie rakiety SS-18, których sześć pułków miało iść do likwidacji zgodnie z postanowieniami traktatu. Nasz człowiek pisze, że Narmonow może się zgodzić na te żądania. Oznaczałoby to złamanie warunków traktatu, dlatego z tym od razu przyszedłem.

- To istotne naruszenie? - zapytała Liz Elliot. - Mam na myśli stronę wojskową?

- Jak by to powiedzieć? Nigdy nie zdołaliśmy ustalić tej sprawy do końca. Sekretarz Bunker rozumie, na czym polega problem, ale Kongres zupełnie nie jest w stanie pojąć, że ponieważ redukujemy ilość broni strategicznej po obu stronach o ponad połowę, zmienia się całe równanie. Kiedy każda strona dysponowała dziesięcioma tysiącami głowic atomowych, nikt nie miał wątpliwości, że w ewentualnej wojnie nuklearnej prawie na pewno zabraknie zwycięzców. Przy tej liczbie głowic nie dałoby się unieszkodliwić wszystkich wyrzutni przeciwnika, zawsze więc byłaby możliwość przeciwuderzenia. Natomiast po redukcjach trzeba wszystko przeliczyć od nowa. W zależności od stosunku sił i środków przenoszenia, zaskakujący atak bez szansy odwetu mógłby się udać, i właśnie dlatego tyle uwagi zwróciliśmy w ostatnim traktacie na bilans środków przenoszenia.

- Chce pan powiedzieć, że redukcja zbrojeń zwiększa tylko ryzyko? - zdziwił się Fowler.

- Nie, panie prezydencie, niezupełnie tak. Powtarzam od dawna, od kiedy wiele lat temu służyłem jako konsultant naszym negocjatorom, jeszcze za czasów Erniego Ailena, że poprawa sytuacji strategicznej w wyniku obcięcia o pięćdziesiąt procent arsenału atomowego, to iluzja, gest o znaczeniu symbolicznym.

- Bez przesady - sprzeciwiła się jadowitym głosem Liz Elliot - Zawsze jest to redukcja o połowę, więc...

- Doktor Elliot, gdyby pofatygowała się pani kiedyś, żeby wziąć udział w CAMELOCIE, miałaby pani dużo lepszą orientację w tym wszystkim. - Ryan odwrócił się, zanim zdążył zobaczyć reakcję Elliot. Za to Fowler ujrzał jej szkarłatną twarz i prawie się roześmiał, widząc, z jakim zakłopotaniem Liz przyjmuje cios w obecności swego kochanka. Prezydent skupił jednak uwagę na

tym, co mówił Ryan, pewien, że nieraz jeszcze wróćą z Elizabeth do tematu.

- Na tym poziomie problem staje się już zagadką dla ekspertów. Jeśli mi pan nie wierzy, proszę zapytać sekretarza Bunkera albo generała Fremonta z Dowództwa Lotnictwa Strategicznego. Decydującym czynnikiem jest tu proporcja między różnymi środkami przenoszenia broni atomowej, a nie liczba głowic. Jeśli Rosjanie zachowają swoje sześć pułków rakiet SS-18, rzeczywiście mogą zdobyć poważną przewagę w konflikcie. Nie chodzi więc o liczby, lecz o zasadnicze naruszenie warunków traktatu. To jeszcze nie wszystko.

- Słucham - ponaglił prezydent.

- Ten sam meldunek podaje, że między wojskiem a KGB nastąpiło jakieś nowe porozumienie. Orientuje się pan, że armia radziecka utrzymuje i obsadza wyrzutnie strategiczne, lecz wszystkie głowice atomowe pozostają pod strażą KGB. Kadyszew twierdzi, że obie te strony zwąchały się ze sobą, a magazyny z głowicami mogą przestać być bezpieczne.

- Co chciał przez to powiedzieć?

- To, że w ZSRR trwa przeliczanie stanu w magazynach z głowicami taktycznymi.

- Zniknęły im bomby atomowe?

- Małej mocy. Kadyszew twierdzi, że to niewykluczone.

- Innymi słowy - odezwał się Fowler - generalicja może uciec się wobec Narmonowa do szantażu, używając tych głowic taktycznych jako atutowej karty?

Jak na prezydenta, całkiem nieźle.

- Dokładnie tak, panie prezydencie.

Fowler milczał przez trzydzieści sekund, wpatrując się w przestrzeń. Potem zapytał:

- Jak wiarygodny jest dla nas ten Kadyszew?

- Panie prezydencie, Kadyszew pracuje dla nas od pięciu lat. Dotychczas bardzo nam się przydawała jego pomoc. Nie przypominam sobie, by nas kiedykolwiek wprowadził w błąd.

- Może zaczął pracować na dwie strony? - poddała myśl Liz Elliot.

- Może, ale raczej nie. Na to też mamy sposoby. Umówione hasła, które są dla nas ostrzeżeniem, jeśli coś się dzieje. Temu meldunkowi towarzyszyło hasło, że wszystko w porządku.

- Czy inne źródła potwierdzają to, co doniósł Kadyszew?

- Niestety, doktor Elliot, nie uzyskałem żadnego potwierdzenia.

- Przychodzi pan tu z nie potwierdzonym meldunkiem? - zgorszyła się Liz Elliot.

- Tak, właśnie - przyznał Ryan, który nie zdawał sobie sprawy, jak wielkie przebija z niego znużenie. - Niewielu agentów skłoniłoby mnie do tego, ale ŻAGIEL tak.

- W jaki sposób mógłby pan uzyskać potwierdzenie? - zapytał teraz prezydent.

- Możemy się dyskretnie rozpytać poprzez rozmaite nasze siatki, a jeżeli wyrazi pan zgodę, także delikatnie rzecz przedyskutować ze służbami innych krajów. Brytyjczycy mają kogoś na Kremlu, przysłała im pierwszorzędne informacje. Znam sir Basila Charlestona, mógłbym więc zwrócić się do niego w tej sprawie, choć przy okazji musiałbym ujawnić coś w zamian. W tej branży płaci się przysługą za przysługę, za darmo nikt niczego nie powie. Każdorazowo musimy uzyskać zgodę Białego Domu.

- Rozumiem, że to konieczne. Zastanowię się nad tym i powiadomię pana jutro o decyzji. Czy Marcus wie o tej sprawie?

- Nie, panie prezydencie. Zachorował akurat na grypę. Nie zjawiałbym się tutaj bez porozumienia z dyrektorem, ale pomyślałem, że musi się pan o tym jak najszybciej dowiedzieć.

- Powiedział pan kiedyś, że armia radziecka jest stabilna politycznie i nie ma mowy o puczu - wtrąciła Liz Elliot.

- Zupełnie słusznie, doktor Elliot. To, o czym donosi Kadyszew, jest bez precedensu. Wprawdzie polityczne ambicje moskiewskich generałów niepokoiły nas, odkąd pamiętam, ale nigdy nie było prawdziwych podstaw do niepokoju. Wygląda na to, że i tu zmieniły się czasy. Bardzo mnie denerwuje taki sojusz między wojskiem a KGB.

- Chce pan powiedzieć, że był pan przedtem w błędzie? - naciskała dalej Liz Elliot.

- Nie wykluczam tego - odparł ostrożnie Ryan.

- A teraz? - zapytał z kolei Fowler.

- Co chciałby pan ode mnie usłyszeć, panie prezydencie? Czy i teraz mogę się mylić? Pewnie, że mogę. Czy jestem pewien, że meldunek ma pokrycie w faktach? Nie, nie jestem, ale wiadomości są na tyle ważne, że chciałem je panu przedstawić.

- Bardziej od tych pułków raketowych martwią mnie brakujące głowice - powiedziała Liz Elliot. - Jeżeli ktoś naprawdę chce zaszantażować Narmonowa, to... dziękuję bardzo.

- Kadyszew to także potencjalny rywal dla Narmonowa - przypomniał Fowler. - Może nie warto mu aż tak wierzyć?

- Spotyka się pan z przywódcami kongresu równie często, jak Narmonow ze swoimi deputowanymi, z tym tylko, że dynamika polityczna w kremlowskim Pałacu Zjazdów jest jeszcze bardziej chaotyczna niż w naszym Kapitolu. Narmonow i Kadyszew darzą się respektem i szacunkiem, Kadyszew częściej zresztą popierał niż atakował Narmonowa. Może to rywale, ale na wiele spraw mają takie same poglądy.

- Rozumiem. Proszę za wszelką cenę sprawdzić tę informację, nieważne jak, byle szybko.

- Tak, panie prezydencie.

- Jak się spisuje Goodley? - zapytała jeszcze Liz Elliot.

- To bystry chłopak i ma świetne wyczucie spraw w bloku wschodnim. Niedawno przeczytałem na nowo jego pracę ze studiów i powiem od razu, że jest lepsza od naszych ówczesnych analiz.

- Może by też usiadł nad tą sprawą? Będzie miał świeże spojrzenie. - Niemożliwe - Jack energicznie pokręcił głową. - Zbyt poufne sprawy, jak na niego.

- Goodley to ten mój stypendysta, o którym opowiadałaś? Rzeczywiście jest taki świetny, Elizabeth? - zaciekał się Fowler.

- Uważam, że tak.

- Na moją odpowiedzialność, Ryan, proszę go wprowadzić w sprawę.

- Tak jest.

- Coś jeszcze?

- Owszem, jeżeli ma pan chwilę czasu, mam nowy materiał z Japonii. - Jack pokrótce zapoznał prezydenta ze szczegółami.

- To aby pewna informacja...? - Fowler uśmiechnął się marzycielsko.

- Co pan sądzi o tych Japończykach?

- Takie podchody są bardzo w ich stylu - brzmiała odpowiedź Ryana.

- Nie zazdroszczę facetom, którzy muszą prowadzić z nimi te negocjacje.

- Czy potrafimy jakoś sprawdzić ten meldunek?

- Pochodzi z dobrego źródła. Nasza kolejna ulubiona wtyczka.

- Byłoby świetnie, gdyby... Może dałoby się później dowiedzieć, czy w Meksyku dobito targu?

- Nie wiem, w jaki sposób, panie prezydencie.

- Mógłbym wtedy przydusić tego kurdupla do muru. Mam dosyć tego ciągłego impasu, mam dosyć wysłuchiwania kłamstw. Proszę znaleźć jakiś sposób.

- Spróbujemy, panie prezydencie.

- Dziękuję, że pan do mnie wpadł. - Jednak prezydent nie wstał na pożegnanie ani nie podał ręki. Ryan podniósł się więc i wyszedł.

- Co o tym myślisz? - zapytał Fowler, kartkując meldunek.

- Potwierdza się wszystko, co Talbot mówił o chwiejnej pozycji Narmonowa. Jest nawet gorzej, niż mówił.

- Zgadza się. Ryan ledwie się trzyma na nogach.

- Bo za dużo skacze na boki.

- Że co? - mruknął prezydent, nie odrywając wzroku od tekstu.

- Mam u siebie wstępny raport na temat dochodzenia, jakie prowadzi Departament Sprawiedliwości. Wygląda, że Ryan sobie kogoś przygruchał, tak jak podejrzewaliśmy. Zdaje się, że zafundował sobie też nieślubne dziecko. Z wdową po jakimś lotniku, który zginął w locie ćwiczebnym. Ryan wydał masę pieniędzy na utrzymanie tej wdówki. Żona oczywiście o niczym nie wie.

- Nie mam głowy do następnego skandalu. Najpierw Charlie, teraz nowy bawidamek! - burknął prezydent, dziękując niebiosom, że w Waszyngtonie nie dowiedziano się o jego własnym romansie. Oczywiście nie można porównywać przyjaźni z Liz Elliot z jakimś skandalem. Alden miał przecież żonę, Ryan też jest żonaty, a Fowler stanu wolnego, co zmienia postać rzeczy. - To, co mówisz, to fakty? Powiedziałaś, wstępny raport?

- Tak jest

- Musisz zdobyć potwierdzenie. Wtedy daj mi znać. Liz kiwnęła głową i zauważyła:

- Te wiadomości o radzieckim wojsku... Przerazające.

- Ogromnie - zgodził się z nią Fowler. - Musimy o tym porozmawiać podczas lunchu.

- Nareszcie mamy półmetek - ucieszył się Fromm. - Czy mógłbym o coś poprosić?

- Zależy o co - przestrzegł Hosni, który bał się, że Fromm poprosi o krótki urlop w Niemczech, u boku żony. Mógłby się bardzo zdziwić.

- Nie piłem już od dwóch miesięcy. Ibrahim uśmiechnął się tylko.

- Rozumiesz chyba, że to u nas niedozwolone?

- Warn może nie wolno, ale mnie? - zapytał Niemiec. - Bądź co bądź jestem niewiernym?

Hosni roześmiał się na całe gardło i odrzekł:

- Święta prawda. Porozmawiam o tym z Güntherem.

- Dziękuję.

- Jutro zaczniemy prace nad plutonem.

- To potrwa, prawda?

- Tak, podobnie jak obróbka kostek materiału wybuchowego. Na szczęście wszystko idzie planowo.

- Dobrze wiedzieć.

Akcję zaplanowano na dwunastego stycznia.

- Kto z naszych zna się najlepiej na KGB? - zadał sobie pytanie Ryan, gdy wrócił już do siebie. W meldunku ŻAGLA największe wątpliwości budził fakt, że KGB gremialnie popierało Narmonowa. Szukać z nim zwady mógł jednak Drugi Zarząd Główny, odpowiedzialny za wewnętrzne bezpieczeństwo państwa. Pierwszy Główny, zwany także departamentem zagranicznym, na pewno był lojalny, zwłaszcza z takim szefem jak Gołowko, który miał oko na wszystko. Gołowko był jednak zawodowcem, bez szczególnych ambicji politycznych. Ryana kusilo przez chwilę, by złapać za

telefon i... Nie, musiałyby się umówić osobiście... Tylko gdzie?

Nie można, to zbyt niebezpieczne.

- Szukał mnie pan? - Goodley wetknął głowę przez uchylone drzwi. Ryan gestem kazał mu wejść do środka.

- Interesuje pana awans?

- Nie rozumiem.

- Chcę tylko powiedzieć, że na polecenie prezydenta Stanów Zjednoczonych mam pana wprowadzić w sprawę, do której, moim zdaniem, jeszcze pan nie dorósł. - Jack wręczył Goodleyowi meldunek od ŻAGLA. - Niech pan czyta.

- Dlaczego ja? Co pan odpowiedział...

- Powiedziałem najpierw prezydentowi, że wspaniale umiał pan przewidzieć rozpad Układu Warszawskiego. Ta analiza była lepsza niż nasze tu wypracowania, nawiasem mówiąc.

- Nie obrazi się pan, jak powiem, że dziwnie się z panem pracuje?

- Dlaczego, dziwnie? - zapytał Jack.

- Nie lubi mnie pan, ale ni stąd, ni zowąd chwali pan moją pracę. Ryan opadł na fotel i zamknął oczy, po czym zaczął: - Może mi pan nie wierzyć, Ben, ale ja też nie zawsze mam rację. Ja też popełniam błędy. Palnąłem nawet parę straszliwych głupstw, ale mam na tyle rozumu, żeby się w tym zaraz zorientować. A ponieważ mam trochę rozumu, wyszukuję sobie ludzi o przeciwnych poglądach, żeby miał mnie kto od tych głupstw powstrzymywać. To cenny zwyczaj, nauczył mnie tego admirał Greer. Jeżeli powinien się pan u nas czegoś nauczyć, Goodley, to właśnie tego. W tej firmie nie wolno nam zasrać żadnej sprawy. Pewnie, że ciągle się to zdarza, ale nie powinno. Ta praca z Kennedy'ego jest lepsza niż moje analizy, więc teoretycznie może się kiedyś zdarzyć tak, że ja znów będę w błędzie, a pan będzie miał rację. Teraz pan rozumie?

- A, owszem - odrzekł cicho Goodley, zaskoczony całym wyznaniem. Oczywiście, że będzie miał rację, a Ryan nie. Po to tu przybył.

- Proszę czytać.

- Mógłbym zapalić?

- Pan pali? - Ryan wybałuszył oczy ze zdumienia.

- Rzuciłem parę lat temu, ale odkąd tu jestem...

- Palenie to niedobry nałóg i trzeba go zwalczać, ale nim pan go zwalczy, mnie też niech pan poczęstuje.

Zapalili i przez chwilę puszczały dym bez słowa. Goodley studiował meldunek, Ryan obserwował zaś jego twarz. Prezydencki stypendysta podniósł wreszcie oczy znad papieru.

- Cholera.

- Pierwsza reakcja prawidłowa. I co pan na to?

- Rzecz jest całkiem możliwa.

- Dokładnie to samo powiedziałem przed godziną prezydentowi. - Ryan pokręcił głową. - Sam nie byłem pewien, ale musiałem mu pokazać.

- Co mam niby z tym zrobić?

- Niech się pan trochę pobawi. Dział rosyjski w Rozpoznaniu będzie to przeżuwał ładnych parę dni, a przez ten czas pan i ja opracujemy własne analizy. Ale inne niż obecna.

- Jak to inne?

- Inne, bo w tej chwili pan mówi, że to prawdopodobne a ja nadal nie wierzę. Dlatego pan poszuka dowodów przeciwka doniesieniu, a ja znajdę coś na jego poparcie. - Jack zamyślił się. - Pion rozpoznania siądzie do tego w sposób szablonowy. Tak bardzo są zorganizowani, że ani

podskoczyć. Chcę czegoś innego.

- Ale przecież chce pan, żebym...

- Chcę, żeby pan trochę ruszył mózgownicą. Wiem, że ma pan poukładane w głowie, niech pan to teraz tylko udowodni. Tak na marginesie, to polecenie służbowe.

Goodley zastanawiał się przez chwilę. Nie miał zwyczaju słuchać ani wykonywać rozkazów.

- Nie wiem, czy stać mnie na to.

- A to dlaczego?

- Idea służby jest sprzeczna z moim światopoglądem. Nie chodzi mi o tę sprawę, tylko o to, że...

- Że nie może pan ścierpieć we mnie i w innych ludziach, że jesteśmy trybikami w maszynerii CIA, dobrze zgaduję? Poniekąd ma pan rację, jesteśmy wszyscy częścią większej całości, co ma swoje wady. Co nie znaczy, że pański sposób myślenia jest wolny od wad. Proszę mi udowodnić, że nie jest pan niewolnikiem swojego światopoglądu, jak ja próbuję w swoich analizach. Jeśli się panu uda, czeka pana tutaj kariera. Obiektywność jest rzadką cechą, bo trzeba ją najpierw w sobie wyrobić.

Goodley uznał, że Ryan podszedł go nadzwyczaj przebiegle. Kto wie, może pomylił się w pierwszej ocenie zastępcy.

- Tylko czy Russell da się na to namówić?

- Owszem, Ismaelu, już go namówiłem - uspokoił Katiego Bock, pociągając z butelki. Specjalnie dla Fromma zdobył skrzynkę dobrego eksportowego piwa z Niemiec i zatrzymał sobie kilka flaszek. - Russell myśli, że chcemy podłożyć zwyczajną dużą bombę, żeby przerwać transmisję telewizyjną z Superpucharu.

- Chytrze się domyślił. Ale mało inteligentnie - zauważył Kati. Sam miał ochotę na piwo, ale nie wypadało mu poprosić. Powtarzał więc sobie, że rozbolałby go od piwa żołądek, a przecież od trzech dni znów był w stosunkowo dobrej formie.

- Zgoda, jego horyzont to taktyka, bieżąca chwila. W sprawach taktycznych bywa bardzo przydatny, sam to przyznam. Bez jego pomocy nie wyobrażam sobie amerykańskiej części operacji.

- Fromm też się sprawdza.

- Myślałem, że tak będzie. Szkoda, że nie zobaczy swojego dzieła w akcji. Szlifierzy też?

- Niestety, też. - Kati spochmurniał. Był ostatnim człowiekiem, który mdleje na widok krwi, lecz nie lubił zabijać z rozmysłem. Dokonywał już w życiu egzekucji na szpiclach, lecz nigdy aż tylu naraz. Zaczęło mu to już wchodzić w krew. Pomyślał, że nie ma sensu zamartwiać się śmiercią garstki ludzi, gdy miały ich zginąć tysiące i miliony.

- Masz jakiś plan, gdyby bomba nie zadziałała albo gdybyśmy wpadli? - zapytał go Bock.

- Oczywiście - odrzekł Kati z chytrym uśmiechem. Opowiedział Niemcowi, na czym polega pomysł.

- Bardzo zręcznie. To plan na każdą ewentualność.

- Wiedziałem, że ci się spodoba.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO